

Nowe Opowiadania Guslarskie

Bułyczow Kirył



calibre 0.9.43

KIR BUŁYCZOW

NOWE OPOWIADANIA GUSLARSKIE

WYBORU DOKONAŁA I PRZEŁOŻYŁA EWA SKÓRSKA

ROZUM ZNIEWOLONY

Jeśli mówić o pechu, to miałem potwornego, tragicznego pecha. Jeśli mówić o szczęściu, to można mnie nazwać szczęściarzem.

Miałem pecha, bo już na drugiej pętli zrozumiałem, że będę musiał gdzieś wylądować. Silnik, który niepokoił mnie już od dawna, znowu dał o sobie znać. Nie może być nic gorszego niż nie działający silnik, gdy między tobą a domem rozpościera się pół Galaktyki.

Moje szczęście, można powiedzieć, niesłychane szczęście, polegało na tym, że na planecie była atmosfera, która pozwalała mi normalnie oddychać. A to napełniało mnie nadzieją, że jeśli kiedyś uda mi się naprawić silnik, znowu wzbiję się w kosmos i zobaczę swoich bliskich.

Planeta wyglądała na zniszczoną kataklizmami. Głębokie pęknięcia żłobiły jej pokrywę, niewiarygodnej wysokości szczyty i łańcuchy górskie wznosiły się nad atmosferę. Góry owiewał kosmiczny chłód.

Nie miałem kiedy przyjrzeć się dokładniej mojemu tymczasowemu, a może nawet stałemu schronieniu. Na to jeszcze będzie czas. Teraz najważniejsze było znalezienie dogodnego do lądowania i możliwie bezpiecznego miejsca. Znalazłem je na powierzchni wielkiego płaskowyżu i właśnie podjąłem decyzję, że tam wyląduję podczas następnej pętli, gdy silnik zamilkł zupełnie.

Byłem zmuszony przelecieć nad ciemną stroną planety, nad niskim łańcuchem górskim, nad olbrzymim płaskowyżem, który tak wysoko wznosił się nad powierzchnią planety, że upaść tam oznaczało skazać siebie na pewną śmierć. Atmosfera, a raczej jej resztki w tej części planety tała się jeszcze w niezbyt głębokich szczelinach i zapadlinach. Jeśli spudłuję - zginąłem.

W ostatnim momencie przed katastrofą odczytałem z przyborów, że na kursie jest kotlina. Jak meteor przeleciałem nad opustoszałą górską krainą, statek wbił się w gęstą atmosferę, iluminatory zasnuła mgła. Spadałem coraz wolniej. W końcu znalazłem się na powierzchni planety. Żyłem. Statek był rozbity. Jestem tu sam, czy może obserwuje mnie obcy rozum? Chce mi przyjść z pomocą?

Szykuje broń, żeby mnie zabić?

Przywarłem do iluminatora. Włączyłem sondy. Statek najeżył się igłami i szlauchami, otworzyły się oczy czujników i uszy radio-lokatorów. Nastąpił moment nawiązania pierwszego kontaktu.

Do momentu gdy zamigotał świt - nieśmiały, błękitny - wiedziałem już sporo o tej kotlinie. Rozumnego życia w niej nie było, za to wrzało życie nierozumne, niebezpieczne i krwiożercze. Wszyscy mieszkańcy tego świata byli ze sobą w stanie wojny: silni zżerali słabych, a słabi czyhali na jeszcze słabszych.

Nie mogłem tak siedzieć i nic nie robić. Najwyższy czas porzucić bezpieczne ściany statku, spotkać się twarzą w twarz z nowym światem. Wziąłem blaster i otworzyłem luk. Powietrze było zatęchłe, nieruchome, ale zdatne do oddychania. Musiałem okrążyć statek, dostać się do dysz i sprawdzić, w jakim są stanie. Przybory mogły kłamać: zbyt długo wymagano od nich prawdy i tylko prawdy.

Posuwałem się powoli, przez cały czas starając się mieć za plecami pewny korpus statku. Nie zrobiłem nawet dwóch kroków, gdy musiałem się zatrzymać. Z miękkiej, zdradzieckiej gleby

wychynęła okrągła głowa wielkiego robala. Uniosłem blaster, ale głowa zanurkowała w ziemię. W niemym zdumieniu patrzyłem, jak z ziemi wyłaziły coraz to nowe segmenty różowego ciała, przeżyły się i znowu znikwały w ziemi. Robal nie był duży - mógł mi sięgać do pasa, ale ponieważ widziałem tylko jego fragment, to wydawało mi się, że jest nieskończenie długi i straszny.

Muszę wziąć się w garść, pomyślałem. Jeśli dam się ponieść nerwom, może zdarzyć się nieszczęście. W końcu czym mógł mi grozić ten gigantyczny robak? Nawet nie miał ust.

Nade mną przemknął cień. Rzuciłem się do tyłu i przywarłem do chłodnego metalu statku. Wielka latająca kreatura, złowieszcza i elegancka w lekkości ruchów, wygięła się i rzuciła się na mnie z góry. Otworzyła się ogromna paszcza wypełniona mnóstwem ostrych zębów, doleciał mnie okropny smród...

Zdażyłem wyszarpnąć blaster i władować kulę w jej gardło. Ciężkie ciało zbiło mnie z nóg, przeturlałem się po ziemi. Długie, zielonkawe, plamiste ciało latającego smoka wiło się na ziemi w konwulsyjnych drgawkach. Nie ośmieliłem się zbliżyć do potwora. Starając się przemóc spóźnione drżenie, wstałem i zobaczyłem, że mam odciętą drogę na statek. Nie spiesząc się, jakby wiedząc, że nic nie zdoła mu przeszkodzić, zbliżało się do mnie inne zwierzę. Mnóstwo segmentowych nóg podtrzymywało ciężki, brudny tułów. Oczy, wysunięte daleko wprzód, lekko huśtały się na wyrostkach, a po obu stronach kołysały się wielkie, mordercze kleszcze. Zwierzę uniosło się na łapach i rozwarło kleszcze.

Nie chciałem, aby moje wejście w ten świat znamionowały krwawe jatki - było ich tu wystarczająco dużo i bez mojego udziału. Cofnąłem się. Zwierzę przewracało oczami, chciało mnie przestraszyć, ale nie atakowało. Spróbowałem obejść je tak, żeby wrócić pod osłonę statku. Nie opuszczało mnie nieprzyjemne uczucie niebezpieczeństwa czyhającego z tyłu. Wydawało mi się, że uważne spojrzenia mieszkańców kotliny obserwują każdy mój krok.

Nie spuszczać oczu ze zwierzęcia, zrobiłem jeszcze dwa kroki w bok i wtedy coś błysnęło pod moimi nogami. Na ziemi leżał dziwny przedmiot z białego metalu. Tylko ręce rozumnego stworzenia mogły nadać metalowi kształt lekko zwężającej się na końcach elipsy. Przedmiot był płaski, jego powierzchnia została poddana starannej obróbce. Tylko istoty znajdujące się na wysokim szczeblu drabiny ewolucji mogły tak dobrze opanować metalurgię.

Podniosłem ten przedmiot. Był ciężki. Pożałowałem, że nie uda mi się go przenieść na statek - na drodze do niego zwierzę przez cały czas groźnie kołysało kleszczami. Nie chciałem się niepotrzebnie obciążać - mogło się okazać, że muszę wykorzystać całą moją zręczność, żeby przedrzeć się na statek.

I w tym momencie coś podługowatego znowu rzuciło na mnie cień. Zdażyłem pomyśleć, że to pewnie jeszcze jeden smok, i spojrzałem w górę. Ale to nie był smok. Mógłbym przysiąc, że zobaczyłem latający statek. Był wielki, nie mniejszy od mojego, leciał powoli. Nie mogłem się zorientować, co sprawia, że się porusza. Zbyt regularny kształt, zbytnia nieruchomość poszczególnych jego części - to nie mogła być żywa istota. Możliwe, że to ekspedycja ratunkowa - ktoś mógł zauważyć, jak lądowałem. Minęło trochę czasu i rozpoczęto poszukiwania. Ale jakie były ich zamiary?

Latający statek zawisł nade mną. Czując, że coś jest nie w porządku, zwierzę z kleszczami zaczęło się powoli wycofywać w zarośla znajdujące się w pobliżu miejsca awarii. Nie wypuszczałem metalowego przedmiotu, który był pierwszym sygnałem, że na planecie są istoty rozumne. Statek powietrzny leciał w górnej granicy atmosfery. Podniosłem metalowy przedmiot, żeby

zwrócić na siebie uwagę - niech będzie, co ma być. Rozum, mimo że nie spotkany przez nas do tej pory na żadnej z planet, mógł mieć pokojowe zamiary.

Na statku zauważono mnie. Opuszczono sztormtrap. Kołysze się już obok mnie. Na jego brzegu pobłyskuje urządzenie do mocowania przedmiotów. Zapraszano mnie na górę. No cóż, zaryzykujmy. Wziąłem ze sobą metalowy przedmiot. Mógł go zgubić ktoś z mieszkańców planety. Gest dobrej woli zostanie pozytywnie rozumiany przez każdą rozumną istotę. Spojrzałem po raz ostatni na mój osierocony statek, objąłem sztormtrap i ostrożnie pociągnąłem za niego trzykrotnie, dając sygnał, że mogą mnie już wciągnąć. W odpowiedzi na mój sygnał sztormtrap zaczął się szybko podnosić.

- Ach, więc to on odgryzł moją błystkę - powiedział rozgniewany, ale i ucieszony Korneliusz Udałow, wyciągając wędkę.

- Patrzysz nie na to, co trzeba, człowieku małej ciekawości - odpowiedział mu Aleksander Grubin, jego przyjaciel, z którym o świcie pojechali nad jezioro Kopenhaga powędkować. - Widziałeś kiedyś w naszym jeziorze ośmiornice?

* * *

Ostatnie metry sztormtrap pokonywał w zawrotnym tempie. Zrozumiałem, że za chwilę wylecę poza atmosferę. A skafander został na pokładzie mojego statku! Mogłem zginać! Spróbowałem zeskoczyć ze sztormtrapu - już lepiej zaryzykować rozbicie się o ziemię, niż się udusić, ale ostry hak na końcu sztormtrapu wbił mi się w ciało. Jeszcze sekunda i tracąc przytomność, wyleciałem poza atmosferę. Wielkie potwory - były dwa - wyciągnęły w moją stronę swoje ogromne kończyny.

- Słoik! - krzyknął Grubin do Udałowa, który zupełnie stracił głowę. - Słoik z wodą! Albo wiadro! Nie masz pojęcia, jakiego dokonaliśmy odkrycia!

- A może ośmiornice jednak tu żyją? - zapytał Udałow z powątpiewaniem. - Może są ostrożne i rzadko można je spotkać?

- Skąd niby, osłe?! - krzyczał Grubin. - Wiadrem nabierz wody! Ośmiornice żyją tylko w morzach i oceanach!

- Ciszej - powiedział Udałow. - Wszystkie ryby wypłoszysz. Co teraz zrobimy?

- Nie ma już mowy o żadnych rybach. - Grubin ostrożnie zdjął ośmiornicę z haczyka. - Napiszą o nas w czasopiśmie naukowym.

- Akurat, o niczym innym nie marzą. A przyszło ci do głowy, że może te ośmiornice są pod ochroną? Wypuścili je, żeby się rozmnożyły, a my kłusujemy.

- Niemożliwe - sprzeciwił się Grubin. - Powiesiliby jakieś ogłoszenie. A widziałeś na brzegu jakieś ogłoszenia?

- Widziałem. Nie palić ognisk, chronić las przed pożarami.

- Co tu ma pożar do rzeczy? O ośmiornicach widziałeś?

- O ośmiornicach nie widziałem. Ale jestem przekonany, że ono tu sobie gdzieś wisi. Tylko go nie zauważyliśmy, bo ciemno.

- Nie - rzekł Grubin, wkładając ośmiornicę do wiadra z wodą, które podstawił pełen wątpliwości Udałow. - Gdyby w naszym jeziorze mieli zamiar hodować ośmiornice, wiedziałoby o tym całe miasto. Poza tym zwróć uwagę, że ta ośmiornica ma dziesięć nóg i jest dość spora. Całkiem możliwe, że to jakiś nieznaną gatunek. Na to właśnie liczę.

- Sławy mu się zachciało - westchnął z wyrzutem Udałow. - Daj Boże, żeby się to skończyło na mandacie.

Ośmiornica bez życia opadła na dno wiadra. Jedna z macek ciągle ścisnęła upuszczoną przez

Udałowa błystkę.

- Sasza - powiedział Udałow. - Zabierz jej błystkę. - Dlaczego ja?

- Może jest jadowita.

- Dla ciebie jadowita, a dla mnie nie?

- Zaczep coś. Szkoda błystki.

Spoza świerków na brzegu wysunął się fragment słońca. Zaczęły śpiewać ptaki, zasrebrzyło się wiadro. Ośmiornica zaczęła ruszać mackami, przychodziła do siebie.

- Wspaniale - ucieszył się Grubin. - Już się bałem, że zdechła.

- A co to za różnica - irytował się Udałow.

Błystka ciągle była w wiadrze i wędkowanie stało pod znakiem zapytania. Nie powie przecież żonie Kseni, że obiecanych leszczy nie będzie i trzeba zadowolić się połową ośmiornicy, w dodatku może niejadalnej i jadowitej. Nie, połowy Grubin nie odda - będzie chciał przeprowadzić badania, a pewnie nawet zacząć hodować ośmiornice w akwariium.

- Bądź przyjacielem, wyjmij błystkę - poprosił Udałow. - Może coś jeszcze uda się złapać. Szkoda wracać.

- Byłeś i będziesz głupcem. Natychmiast wracamy!

- Przecież nic się jej nie stanie!

- Może zdechnąć.

- A nawet jeśli, będziesz ją trzymał w spirytusie.

Ale Grubin chwycił już za wiosła i zaczął płynąć do brzegu.

- Jak sobie chcesz - powiedział bardzo stanowczo - ale ja wracam do miasta.

Odzyskałem przytomność. Metalowy cylinder, w którym mnie umieszczono, kołysał się powoli. Cylinder był otwarty z wierzchu, ale atmosfera kończyła się u jego górnego brzegu - każda moja próba ucieczki skończyłaby się tragicznie. Wewnętrzne ściany cylindra były gładkie i chłodne.

Tak głupio dać się złapać! Nie mogłem sobie darować ufności. Istoty zamieszkujące planetę okazały się podstępne i okrutne. Były rozumne, temu nie można zaprzeczyć - budowały statki powietrzne i umiały obrabiać metal. Ale najwidoczniej idee międzyplanetarnego braterstwa, a nawet idee zwykłego braterstwa wewnątrzplanetarnego jeszcze nie znalazły drogi do ich serc.

Ostrożnie postukałem koniuszkiem palca w ścianę cylindra. Dźwięk był słaby, mogli go nie usłyszeć. Namacałem blaster. Nie dostaną mnie tak łatwo.

Okrągła głowa jednego z moich strażników pojawiła się nad brzegiem cylindra. Był ogromny. Sama jego głowa była dużo większa ode mnie, a co dopiero mówić o kończynach. Jego oczy, porośnięte na brzegach szczoteczką sierści, rzadko mrugały. Paszczę otaczał pasek czerwonej skóry, wewnątrz widać było żółtawe płaskie zęby. Nawet w tak tragicznym momencie ciągle żył we mnie badacz. Dokonałem szokującego odkrycia: to stworzenie znajdowało się poza atmosferą i byłbym gotów przysiąc, że nie miało na sobie skafandra. A przecież wiadomo, że żaden organizm na wyższym stadium rozwoju niż bakteria nie może przebywać poza atmosferą.

Potwór mi się przyglądał. Podniosłem obie ręce w powszechnym geście pokoju, i przyjaźni.

- Grozi - oświadczył Udałow. - Macha mackami. Gdyby nie błystka, w ogóle bym się z nią nie zadawał.

Paszcza potwora rozwarła się groźnie i w jej wnętrzu zamajaczył jakiś czerwony organ. Pomyślałem, że przecież mogli mnie wyciągnąć na zewnątrz, ale pewnie zrobiło im się szkoda i włożyli mnie do cylindra z powietrzem. A może po prostu chcieli przedłużyć moje cierpienia?

Nad brzegiem cylindra pojawiła się kończyzna zakończona pięcioma ohydnyimi, poruszającymi się niemrawo odrostkami. Odrostki zanurzyły się w atmosferę, zbliżając się do mnie. Chciał mnie udusić! A ja, naiwny, przyniosłem im metalowy przedmiot, chciałem ich ucieszyć. Wyciągnąłem mój mały blaster. Nastąpiła krytyczna i, być może, ostatnia chwila mojego życia. Przed moimi oczami przemknęły obrazy z dzieciństwa, minuty pierwszej miłości, pierwsza praca naukowa, długie dni spędzone w kosmosie... Łapa zbliżała się, szpony już dotykały mojego bezbronnego ciała. Wyjąłem blaster i wystrzeliłem w tę łapę. Atmosfera w cylindrze się wzburzyła...

* * *

- A to gad! - krzyknął Udałow. - Zadusić go to mało! Ojej, jak to prądem uderzył, łobuz jadowity!

- Uprzedzałem cię - powiedział Grubin, nie przestając wiosłować do pobliskiego brzegu. - Tylko się bronila. Nawet mrówki się bronią, gdy taki dureń jak ty wdepnie w mrowisko.

- Może mi jeszcze powiesz, że komary też się bronią.

- O komarach nie mówię, one się żywią ludzką krwią.

- To może też się żywi ludzką krwią.

- Niewykluczone.

Łódka uderzyła w piasek, z wiadra wypłusnęła woda. Ośmiornica zaczęła się ruszać.

- Niewykluczone - powtórzył Grubin, wyskakując i wciągając łódkę wyżej, w krzaki. - Ale czy możemy winić stworzenie za to, że takie stworzyła je natura? Nie możemy. Daj mi tutaj wiadro, tylko uważaj, nie uszkodź jej.

- Znalazł się mądrała - odpowiedział Udałow, składając wędki. - A może ja tu zostanę, jeszcze trochę połowię?

- Boisz się?

- Akurat. Wiadro jest metalowe. A metal jest najlepszym przewodnikiem, jeszcze w szkole o tym uczyli.

- Owiń czymś rękę.

Ale Udałow już go nie słuchał, szedł szybko brzegiem, opędzając się wolną ręką od dolatujących do niego słów Grubina, Dopiero gdy dzieliła ich solidna przestrzeń, odwrócił się i zawołał:

- Jak będziesz tego gada wyciągać, to weź mój błysk! W naszym sklepie takich nie ma. Specjalnie sobie przywiozłem z Wołogdy.

Grubin dotknął palcem wiadra. Wiadro nie uderzało prądem. Udałowowi mogło się coś przywidzieć ze strachu.

- Będiesz tego żałował, Korneliuszu! - krzyknął Grubin do przyjaciela, zarzucił plecak na plecy, do jednej rękę wziął wędki, do drugiej wiadro i poszedł przez las na przystanek autobusowy, starając nie wylewać wody i nie niepokoić zwierzęcia.

Ta podróż będzie mnie prześladować w koszmarach, jeżeli oczywiście są mi jeszcze sądzone koszmary. Cylinder huśtał się, atmosfera wichrowała się w turbulentnych potokach, nie mogłem złapać tchu, musiałem przytrzymywać się gładkich ścian cylindra, żeby nie upaść. Mdlilo mnie. Gotów byłem błagać o litość - ale jak, kogo?

Moja sytuacja wyglądała coraz gorzej. Jeszcze niedawno wydawało mi się, że gorzej już być nie może. Ale było. Przede wszystkim nie miałem żadnej nadziei na odnalezienie drogi powrotnej do swojego statku. Mój ciemiecza niósł cylinder nad nie zamieszkanym płaskowyżem i z każdym krokiem oddalał się od kotliny. Włączyłem wszczepiony w moje ciało kompas-szybkościomierz i

przrząd zaczął automatycznie rejestrować pokonywaną przez nas trasę. Zrobiłem to odruchowo, nie wierzyłem, że ta informacja może mi się kiedykolwiek przydać.

Zrobiło się jaśniej. Ciemne, twarde, zasłaniające niebo kształty zniknęły. Przestało trząść. Czekaliśmy na coś - Zastanawiały mnie rozmiary tych istot, najwidoczniej życie w rozrzedzonej atmosferze, prawie bez powietrza, pozwalało im osiągnąć tak fantastyczną wielkość. Ach, gdyby udało mi się wrócić do domu - jaką sensacją byłaby moja informacja o okrutnej rozumnej rasie zamieszkującej pogranicza kosmosu!

Poprzez warstwę powietrza dobiegł mnie niezrozumiały łoskot. Dno cylindra zadrżało. Strażnik podniósł cylinder i weszliśmy do jakiegoś pomieszczenia, a może pojazdu. Znowu zaczęło trząść, jeszcze silniej niż poprzednio.

- Co wiesz? - zapytał znajomy z wytwórni masła. - Czyżbyś aż tyle złapał? Pokaż.

Grubin usiadł na wolnym miejscu i postawił wiadro na kolanach, żeby mniej trzęsło.

- Zajrzyj.

Autobus jechał szybko, sosny znikwały w tyle, ale Grubinowi wydawało się, że jadą zbyt wolno. Ośmiornica mogła zdechnąć.

- Pojęcia nie mam - przyznał się znajomy. - Co ty tam masz, Sasza? Kijanek nałapałeś czy co?

- Nie. Ośmiornicę. - Co?

- Ośmiornicę złapałem.

- Aha - powiedział znajomy. - Rzadkie zwierzę.

I przestał się interesować ośmiornicą. Grubin poczuł się urażony.

- Widziałeś już kiedyś ośmiornicę? - zapytał.

Autobus zahamował gwałtownie na przystanku. Woda wypłusnęła z wiadra, ośmiornica zamotała się, jakby chciała zaprotestować.

- Na obrazkach. Nigdy nie łapałem.

- I nie będziesz miał okazji - powiedział ostro Grubin.

- A dlaczego? - zdziwił się znajomy, rozkładając gazetę. - Dzisiaj ty złapałeś, jutro może mnie się uda. Ale mnie wędkarstwo nie za bardzo interesuje.

Zwariować można, pomyślał Grubin. Złapałem ośmiornicę, a jego to zupełnie nie dziwi. Tak jakby w naszych wodach roiło się od ośmiornic.

- Dzieciom wiesz? - odwrócił się do niego sąsiad z przedniego siedzenia. - Dzieci lubią takie rzeczy. Niedawno swoim przyniosłem szpaka. Skrzydło mu podwiązaliśmy i żyje. Zabawny ptaszek.

- Szpaka - powiedział z pogardą Grubin. - A ja złapałem ośmiornicę.

- Gdzie? - zapytał sąsiad z przedniego siedzenia.

- W naszym jeziorze, w Kopenhadze.

- Pierwsze słyszę, żeby tam żyły ośmiornice.

- Nikt o tym nie słyszał - powiedział Grubin.

- A ja widziałem ośmiornicę - powiedział stojący obok chłopak. - Nawet jadłem. Były w sklepie rybnym. Mrożone. Kalmary.

- Konserwy z nich robią - zgodził się sąsiad z przodu.

Go za ludzie, oszaleć można! - oburzał się w myśli Grubin. A gdybym wiozł tygrysa i powiedział, że złapałem go w lesie, czy też by się nie zdziwili?

Ośmiornica zwijała i rozwijała macki. Nie podobało jej się, że trzęsie.

- Ja tam bym nigdy nie przywozła dzieciom ośmiornicy - powiedziała babcia z workiem.

Siedziała z tyłu i przysłuchiwała się rozmowie. - Korale mecyje! A może jest jadowita?

- Nie - odpowiedział Grubin. - Tylko kopie prądem.

- Kto jadowity? - zapytano z odległego końca autobusu.

- A jeden typ tu jadowitą żmiję wiezie - odpowiedziano z przodu.

- Nie żmiję, tylko ośmiornicę - poprawił głośno Grubin. - Bardzo rzadkie zwierzę.

- Wszystkich pogryzie! Panie kierowco, niech pan zatrzyma autobus! - krzyknęli z tyłu.

- Siedzi w wiadrze - uspokoił ich Grubin. - Proszę się nie bać.

- Żmiję wiozą! - huczał autobus.

Ludzie odsuwali się od Grubina. Kierowca odwrócił się, przyhamował.

- Co się tam dzieje? - zapytał.

- Niech pan go wysadzi - powiedziała staruszka, która nigdy nie przyniosłaby dzieciom ośmiornicy. - Wszystkich pogryzie.

- Obywatelu, niech pan przestrzega przepisów - powiedział kierowca, zatrzymując się na poboczu. - Materiałów wybuchowych, substancji żrących i tak dalej przewozić nie wolno.

- To jest cenne, zupełnie niegroźne zwierzę - zdenerwował się Grubin. - Muzealna rzadkość, nikomu nic złego nie robi. Są tu nawet towarzysze, którzy jedli je w charakterze mrożonek. Prawda?

Ale chłopak, który jadł mrożone kalmary, zaprzeczył.

- Takich nie jadłem. Takich u nas nie sprzedają.

- Każda minuta zwłoki może kosztować życie jedyną występującą w naszym województwie słodkowodną ośmiornicę! - krzyczał Grubin. - Kto weźmie na siebie taką odpowiedzialność?

- Ja - powiedział kierowca. - Mam pasażerów.

I Grubina wysadzono na samych przedmieściach Wielkiego Guslaru.

To straszne, zdawać sobie sprawę, że wokół ciebie rozgrywa się jakiś dramat, i nie wiedzieć o co chodzi. Mieszkańcy planety huczeli, to przestawało trząść, to znowu zaczynało, mój ciemnieca wydawał głośne dźwięki. Najprawdopodobniej członkowie ekspedycji wysłanej, żeby mnie schwytać, spierali się, z jakiej planety pochodzę. A może bali się, że już zaatakowaliśmy ich planetę, albo sądzą, że jestem zwiadowcą, który ma przygotować najazd. A ja nie mam żadnej możliwości, żeby opowiedzieć im o powszechnie znanej pokojowości moich rodaków.

Mój strażnik porzucił huczącą maszynę i niósł cylinder dalej. Słońce pobłyskiwało na powierzchni atmosfery. Mdlilo mnie. Powietrze zrobiło się zatechłe. Zaczynałem się dusić. Na tej planecie na każdym kroku czyhała na mnie śmierć.

* * *

Słońce przypiekało. Każdy krok Grubina wzbijał w powietrze obłoczek pyłu, który ciągnął się za nim. Woda w wiadrze zmętniała, zaczęła nieprzyjemnie pachnieć. Grubin postawił wiadro na ziemi i zaczął się przyglądać zwierzęciu. Chyba się jeszcze ruszało. Na szczęście po drodze znalazł studnię. Woda w niej była zimna i Grubin dolewał jej po trochu do wiadra, żeby nie przeziębic ośmiornicy. Przecież prawie wszystkie ośmiornice to dzieci tropikalnych mórz.

Oblewając się potem i oddychając z trudem, Grubin doczłapał na podwórko domu numer szesnaście. Podwórko było puste, nawet miłośnicy domina, zajmujący w sobotnie ranki miejsca wokół stołu pod bzem, pochowali się przed upałem. Grubin, nie wchodząc do swojego mieszkania, poszedł na pierwsze piętro do starego Łożkina, znanego przyrodnika i miłośnika ptaków.

Łożkin był w domu.

- O co chodzi? - zapytał surowo, bo uważał Grubina za dyletanta i człowieka lekkomyślnego.

- Dzień dobry - powiedział Grubin. - Nie ma pań może zapasowego akwarium?

- A po co?

- A, złapałem jedną taką sztukę - powiedział skromnie Grubin. - Nie wiem, czy pana zainteresuje.

Grubin był przebiegły. Bardzo chciał usłyszeć, co powie Łożkin. Może naprawdę istnieje jeziorny gatunek ośmiornic.

Łożkin niespiesznie wyciągnął z komody futerał, wyjął okulary, kazał podnieść wiadro do światła i w milczeniu oglądał jego zawartość. Trwało to dość długo. Grubina skręcało z niecierpliwości, ale nic nie mówił.

W końcu Łożkin westchnął, rozłożył żylaste ręce, podrapał się po koszulce na piersiach, poskrobał po łysinie i powiedział:

- Zdaje się, że to nowy gatunek. - Co?

- Nowy gatunek ośmiornicy - wyjaśnił Łożkin, nie odrywając oczu od jeńca. - Albo mutant genetyczny. Dziesięć nóg. Taak. Możesz ją u mnie zostawić, w wolnym czasie przeczytam Brehma i dam ci wyczerpującą odpowiedź.

- Nie, lepiej niech będzie u mnie. - Grubin się nie mylił. Zwierzę okazało się unikatem. - Czy one w ogóle u nas występują?

- Zdarzają się. Kupiłeś ją w sklepie zoologicznym?

- Złapałem.

- Ciekawe. Zostaw ją tutaj. Napiszę do Moskwy. A u ciebie jeszcze kot ją zje.

- Kot nie zje, ośmiornica kopie prądem. Udałow oberwał.

- Udałowa to nawet słowik by prądem kopnął. Żaden argument. Ale jeśli się upierasz, to dam ci akwarium. Na jakiś czas. A list do Moskwy sam napiszę. Ciebie tam nie znają, a mnie owszem. Do wielu osób już pisałem.

Gdybym prowadził dziennik, napisałbym w nim: „Moja sytuacja stała się nieco lepsza. Gdyby nie głód, który zaczął mnie męczyć, gdy tylko minął pierwszy szok, powiedziałbym, że w końcu trafiłem w ręce prawdziwych naukowców. Możliwe, że są to specjaliści do spraw kontaktów z cywilizacjami kosmosu. Może to nawet jakaś komisja. Z ciemnego cylindra przeniesiono mnie do przezroczystego, wypełnionego świeżym powietrzem sześcianu. Powietrze ścieka po jakiejś rurce, a więc o to nie muszę się już martwić”.

Ale nie pisałem dziennika. Rozglądałem się. Otaczające moje więzienie ogromne pomieszczenie wypełniały dziwne przedmioty i instrumenty. Na dole bez przerwy krążyło jakieś zwierzę, większe ode mnie i pokryte sierścią. Zwierzę otwierało paszczę i oblizywało się czerwonym językiem. Patrzyło pożądliwie na moje więzienie. Nasuwały się dwa wnioski: moje więzienie było przedtem jego mieszkaniem, zwierzę zostało z niego wyeksmitowane i teraz chciało je odzyskać, albo też, co okazałoby się mniej przyjemne, zwierzę było moim strażnikiem i miało mnie pilnować. Niewykluczone, że było rozumne.

Zgłębianiem mnie i próbami kontaktu zajęły się dwie miejscowe istoty. Jedna z nich była tym aborygenem, który niósł mnie w cylindrze. Drugi, najwidoczniej szanowany specjalista, dołączył do niego dopiero tutaj, w centrum badawczym. Ich paszcze otwierały się i zamykały - najwidoczniej w taki sposób wymieniali informacje. Teraz moim zadaniem było udowodnienie, że mam nad nimi intelektualną przewagę, nie urażając przy tym ich godności.

Byłem głodny. ‘

- Czym żywią się ośmiornice? - zapytał Grubin Łożkina, który przyniósł z góry tom Brehma. -

Jeszcze go, nie daj Boże, zamorzemy głodem.

Łożkin czytał na głos:

- „Najbardziej rozpowszechniona jest ośmiornica zwyczajna, *Octopus vulgaris*. Jej ciało ma zwykle szary kolor, który w chwilach rozdrażnienia zwierzęcia zmienia się na brązowy, czerwony lub żółty, przy czym skóra na stronie grzbietowej pokrywa się nierównomiernymi, przypominającymi brodawki pęcherzykami”.

- Ale to drapieżnik czy roślinożerca?

- Drapieżnik - powiedział Łożkin. - Weź jakiś kijek, spróbuj go trochę podrażnić, popatrzymy na pęcherzyki.

W czasie gdy Grubin szukał pałki, Łożkin upewnił się, że ośmiornice to drapieżniki, i dowiedział, jak się rozmnażają. Ale na to było jeszcze za wcześnie - najpierw trzeba było złapać dla ośmiornicy partnera.

- Nie będę jej za mocno szturchać - powiedział Grubin, podchodząc z pałką.

- Nie ma potrzeby. Chcemy tylko zobaczyć, czy zmieni kolor.

- Ale ona już nie jest szara.

- To nieważne.

Grubin wsunął pałkę do akwarium i poszturchał ośmiornicę.

Po długich naradach i studiowaniu grubego foliału wprowadzili do atmosfery jakąś tyczkę. Pierwsza próba kontaktu. Nawet zaczerwieniłem się z zadowolenia. Moja przysłowiowa nieśmiałość znowu zrobiła mi kawał. Złapałem koniec tyczki i trzy razy szarpnąłem. Tyczka została natychmiast zabrana. Zrozumieli czy nie?

- Zmieniła kolor na czerwony - powiedział Łożkin. - Wszystko się zgadza. A więc to nie nowy gatunek, ale po prostu potworek. Jak cielak z dwoma głowami.

Grubin poszedł do kuchni, wrócił z kawałkiem mięsa. Za nim w podskokach biegł kot, sądząc, że mięso jest dla niego, wiernego przyjaciela.

Mięso wpadło do akwarium.

- Umyłeś? - zapytał Łożkin.

- W zimnej wodzie.

Wstrętny kawałek krwawiącego ciała spadł na mnie z góry. Co to ma być? Prowokacja? Czy próba nakarmienia mnie? A jeść się chce coraz bardziej. Ale przecież ja, wegetarianin z przekonania, nie będę tego jadł. Złapałem mięso i wyrzuciłem je z mojego więzienia.

- Grymasi - uznał Łożkin. - Znaczy się, głodna nie jest W Brehmie stoi wyraźnie: drapieżnik. Ślimaki lubi, ryby i tak dalej.

- No tak, mięsa nie chce. Wyrzuciła je z akwarium.

Kot wziął się za mięso, szarpał i obgryzał je na podłodze. Ośmiornica wpatrywała się w niego swoimi bezmyślnymi oczami.

- Będziesz musiał pójść po rybę - powiedział Łożkin do Grubina.

- Pójdę. Tylko najpierw zrobmy jeszcze jedno doświadczenie.

Wystukiwałem po powierzchni mojego domu kolejne liczby. Nie reagowali. Wtedy zacząłem pokazywać po kolei moje kończyny. Najpierw jedną. Potem dwie, trzy, potem od razu cztery. To też nie zrobiło na nich żadnego wrażenia. Podniosłem z podłogi kamyczek i zacząłem stukać nim w ścianę. W końcu, wierząc, że podstawy geometrii powinna znać każda rozumna istota, próbowałem

rysować na ścianie trójkąt równoramienny.

- Wierci się - powiedział Łożkin. - Nie podoba jej się w niewoli. Jak każdemu stworzeniu.

- Popatrz, w macki zaplątał się jej kamyczek. Żeby sobie tylko krzywdy nie zrobiła.

- Nic jej nie będzie. Coś mi się wydaje, że nie uda się jej dowieźć żywej. Tym bardziej że odmawia jedzenia. Trzeba będzie ją uśpić.

- Szkoda, zawsze to żywe stworzenie - powtórzył Grubin swój jedyny argument.

- Żywe, ale bezmózgie - powiedział kategorycznie Łożkin. - Bardzo niski poziom rozwoju, umieszczona w pierwszym tomie Brehma. Tam gdzie pierwotniaki. Nie ma nawet kręgosłupa.

- Sasza, jesteś tu? - odezwał się Udałow, wchodząc do pokoju. - Nie przyszedłem sam. Jest ze mną Misza Standal z gazety.

- Mówią, że złapał pan w naszym jeziorze ośmiornicę. To prawda? - zapytał Misza. - Żywą?

- Żywą - odpowiedział Grubin. - A ty co, Korneliuszu, czemu nie zostałeś na rybach?

- Kiepsko mi szło. Zrobiło się późno. Nie brały. Twoja ośmiornica pewnie wyżarła wszystkie ryby w naszym jeziorze. Jeśli się rozmnożą - to żegnaj, wędkarstwo. Nie zdechła czasem?

- Nie - odpowiedział Łożkin. - Prowadzimy badania.

- Zachwycające stworzenie - powiedział Misza Standal, poprawiając okulary i robiąc się bardzo podobny do młodego Gribojedowa. - Ile ona ma tych macek! To będzie sensacja. Pierwsza ośmiornica w województwie. Damy to w dziale „Sobotnie różności”. Kto ją złapał?

- Razem ją złapaliśmy - odpowiedział Udałow.

- Wobec tego napiszemy tak: „Wędkarze amatorzy z naszego miasta...”

Standal zapisywał, Udałow wyjaśniał, a Grubin wrócił do akwarium. Ośmiornica, która najwidoczniej zgłodniała, miotła się, składała i rozkładała macki, podnosiła okrągłą głowę i wodziła okrągłymi bezmyślnymi oczami.

Wyczerpałem cały arsenał moich środków przekonywania. Nie rozumieli. Nigdy przedtem nie myślałem, że nawiązanie kontaktu może być tak trudne. Oto ja, istota rozumna, znany uczonec, mam przed sobą przedstawicieli innej rozumnej rasy. To prawda, żyliśmy w odmiennych środowiskach, różniliśmy się rozmiarami i wyglądem. Ale dlaczego ja rozumiem, że oni są istotami rozumnymi, i próbuję wejść z nimi w kontakt, a oni uparcie nie reagują na moje znaki, rzucają we mnie kawałkami mięsa i morzą mnie głodem?

* * *

Zajrzała Ksenia, żona Udałowa, i zaczęła się gapić na potworka w akwarium.

- Widziałam taką. W książce „Dary morza”. Tam jest napisane, jak ją przyrządzić.

Standal pobiegł do redakcji. Grubin wybierał się do sklepu po ryby, żeby nakarmić jeńca. Ksenia Udałowa ze złośliwą satysfakcją przysunęła do akwarium obrazek z książki „Dary morza” i powiedziała:

- Widziałas, co robią z takimi jak ty? Widziałas?

- Zabierz to - powiedział Grubin.

Udało mi się wydrapać na ścianie trójkąt równoramienny. Musieli go zauważyć. Wskazałem trójkąt kończyną. W odpowiedzi jeden z obecnych otworzył ogromną księgę i pokazał mi jakiś obrazek. Na obrazku widniała istota podobna do mnie pod względem anatomicznym. Nad nią wzniesiony był nóż.

Wszystko stało się jasne.

Nie byłem pierwszym kosmonautą, który rozbił się na rym martwym płaskowyzu. No cóż, czego

innego można było się spodziewać po istotach żyjących w tak niedogodnych warunkach, w środowisku bez powietrza. Nie mogłem ich potępiać.

** *

- Dobrze, Korniusza - powiedziała Ksenia. - Bierz książkę, idziemy na śniadanie. Obejdziemy się bez ośmiornicy.

Łożkin został sam. Czytał Brehma, wciągnęło go to, przeszedł do meduz i innych mieszkańców morza. Grubin ciągle nie wracał. Łożkin się zdrzemnął.

** *

Jeden z tych monstrów został, żeby mnie pilnować. Pozostali się rozeszli. Najwidoczniej przygotowywali się do uczyty. Ale nie mogłem przecież zdać się na łaskę zwycięzcy. Tym bardziej że raczej nie można było na nią liczyć.

Próby nawiązania kontaktu zawiodły. Ale czyżbym mimo to nie umiał znaleźć wyjścia? Byłaby to hańba dla istoty rozumnej. Walczyć do ostatniego tchnienia, do ostatniego naboju w blasterze! Tak właśnie zrobię.

Zamyśliłem się. Ostatni nabój w blasterze zachowam dla siebie. Zabić ich nie mogę - mój wystrzał sprawia tylko, że czują ból. Nic więcej. Ale blaster może mi się przydać. Musiałem się pospieszyć.

Obmacałem ściany i podłogę. Ściany były wykonane z kruchego materiału. Co innego podłoga. Była z metalu, z miękkiego metalu. Zaświtała mi nadzieja.

Włączyłem blaster na pełną moc i wymierzyłem go w podłogę. Powietrze zawrzało, parzyło mnie, w podłodze zrobił się otwór. Nie zwracając uwagi na ból, zatkałem otwór jedną z moich dziesięciu kończyn. Spojrzałem na mojego stróża. Spał. Bardzo dobrze. Wywierciłem jeszcze jeden otwór, który również zatkałem kończyną. Zdążyłem wywiercić sześć otworów - powinno wystarczyć. W tym momencie do pomieszczenia wszedł mój główny ciemiężca. Niósł coś owiniętego w biały materiał. Położył to coś obok mojego domu i rozwinął materiał z szelestem. W środku był fragment istoty podobnej do tej, która napadła na mnie niedawno w nieszczęsnej kotlinie. Strażnik oderwał kawałek i rzucił mi.

** *

- Nie chce, no i co poradzisz! - zmartwił się Grubin. Łożkin obudził się, powiedział, że idzie teraz pisać list do Akademii Nauk. Przyjdzie później.

- A ja muszę iść do pracy - powiedział Grubin. - Postaram się wrócić jak najszybciej. Może nad rzeką znajdę ślimaka.

- Daj sobie spokój - powiedział Łożkin. - Zawieziemy ją w spirytusie.

Ledwie doczekałem się chwili, gdy wszyscy, oprócz pokrytego sierścią stworzenia z ostrymi zębami, które zeżarło mięso, wyszli. Stworzenie nie zwracało na mnie uwagi. Wsunąłem do otworów sześć kończyn. Czterema pozostałymi przytrzymałem górne brzegi otwartego od góry przezroczystego domu. Byłem przygotowany na ciężką, prawdopodobnie tragiczną drogę.

Kończyny dotknęły wzniesienia, na którym stało moje więzienie. Wyteżyłem wszystkie siły, wsunąłem kończyny jeszcze dalej i podniosłem się razem z więzieniem. Znowu mogłem chodzić - zrobiłem z mojego więzienia coś w rodzaju niewygodnego skafandra. Podeszedłem do krawędzi wzniesienia. Daleko w dole była podłoga pokoju. Musiałem zeskoczyć - innego wyjścia nie było.

Pokryte sierścią ostrożbę stworzenie podniosło się, widząc moje poczynania i wygięło grzbiet. Przełożyłem blaster do jednej z moich swobodnych macek. Poradzę sobie z nim.

Decydująca chwila! Odbiłem się sześcioma kończynami i skoczyłem w dół, starając się nie stracić równowagi. Moje kończyny zetknęły się z twardą podłogą pomieszczenia. Przeszył mnie okropny ból. Z trudem utrzymałem się na nogach. Zaciśnąłem zęby, przemogłem mdłości i ruszyłem do wyjścia.

Nie musiałem używać blastera. Widząc, że razem z przezroczystym domem zeskoczyłem ze wzniesienia i kieruję się w jego stronę, pokryty sierścią i uzbrojony w ostre zęby strażnik podniósł puszysty ogon, spanikował i wybiegł z pomieszczenia, wydając głośnie dźwięki. Uśmiechnąłem się w myśli. Okrutne stworzenia są, zawsze najbardziej tchórzliwe.

Liczyłem przede wszystkim na zaskoczenie i na swoją doskonałą pamięć. Drogę do kotliny, do mojego statku, znałem. Żebym tylko zdążył, zanim skończy się powietrze. Żebym tylko zdążył!

Pokonałem długi korytarz i większe ode mnie schody. Zszedłem na równinę otoczoną ze wszystkich stron domami potworów. W jednym miejscu między domami była przerwa. Tam właśnie pobiegłem.

Nie zdążyłem pokonać nawet połowy drogi przez równinę, gdy dobiegł mnie głośny krzyk. Odwróciłem się. W jednym z okien pojawiła się głowa istoty, która pokazywała mi okrutny obrazek. Istota krzyczała i wskazywała mi palcem. Tracąc oddech z wysiłku, na uginających się od potwornego ciężaru kończynach, biegłem dalej.

- O Jezu, Jezu! - krzyknęła Ksenia nie swoim głosem. - Co to-to wyprawia!

- Co się stało? - zapytał Udałow, nie odrywając się od zupy. Był przyzwyczajony, że jego żona zawsze wyolbrzymiała ważność i dramatyzm wydarzeń.

- Ojej! - zawodziła Ksenia. - Biegnie na sześciu nogach! Ratuj się, kto może!

Tego już Udałow nie wytrzymał. Podeszedł do okna, wyjrzał na zewnątrz i jego oczom ukazał się niesamowity widok. Po podwórku, kierując się w stronę bramy, biegło akwarium.

Spod akwarium wysuwały się macki ośmiornicy, pozostałymi przytrzymała brzegi, żeby nie wylewać wody. Ośmiornica biegła z szybkością trzyletniego dziecka. Jej oczy groźnie błyszczały.

Udałow przygryzł łyżkę, którą miał w ustach, i o mało nie złamał sobie zęba.

Z okna na górze wysunął się Łożkin. Z innych okien wyjrżeli pozostali mieszkańcy domu - i ci, którzy wiedzieli o ośmiornicy, i ci, którzy nie mieli o niej pojęcia. Podniósł się zgiełk. Jedni się przestraszyli, drudzy, nie rozumiejąc, co się dzieje, zaczęli dopinguować akwarium: „Dawaj gazu!”.

W bramie akwarium omal nie zderzyło się ze Standalem, który zapomniał zapisać dane o życiu ośmiornic na wolności i wracał do Łożkina, żeby zajrzeć do Brehma.

Misza Standał, mimo że nie należał do ludzi strachliwych, na widok biegnącego akwarium podskoczył, złapał za skrzydło bramy i zawisł, podciągając do góry nogi. Akwarium zatrzymało się na chwilę pod Standalem, jedna z macek uniosła się i wystrzeliła maleńką błyskawicą, która trafiła Standała z tyłu.

Akwarium wybiegło z bramy i pomknęło wzdłuż ulicy.

Mieszkańcy domu numer szesnaście oprzytomnieli, wyskakiwali z okien i drzwi, zaczęli gonić

zbiega. Przechodnie na ulicach zatrzymywali się, przywierali do domów, krzyczeli albo zanosili się śmiechem, sądząc, że to nie ośmiornica, tylko dziecięcy psikus. Akwarium o mały włos nie wpadło pod autobus, ale kierowca zdążył zahamować. Na drodze stał milicjant Siemionow i akwarium próbowało go ominąć. Ale nic z tego! Siemionow stał jak wmurowany. Wtedy akwarium, a raczej ośmiornica wystrzeliła w niego błyskawicę. Siemionow ani drgnął. Ze wszystkich stron biegli ludzie.

Gdy na mojej drodze pojawił się jeden z nich, ubrany w coś szarego z błyszczącymi guzikami, zrozumiałem, że to koniec.

Rzuciłem się w bok, strzeliłem do niego z blastera. Nie mogłem iść dalej. To był koniec. Co gorsza, nie miałem już nabojów. I nie mogłem się zastrzelić.

Ze wszystkich stron biegły potwory. Dla nich to była rozrywka, dla mnie - tragedia.

Wtedy wysunąłem kończyny z otworów w podłodze domku. Powietrze szemrząc wyciekło na zewnątrz. Kurz wokół pociemniał. Żywego mnie nie wezmą.

Gdy Grubin podbiegł do ośmiornicy, w akwarium niemal nie było już wody. Ludzie patrzyli na to wszystko z zakłopotaniem i nie rozumieli, że ośmiornica chce popełnić samobójstwo.

- Wody! - krzyknął Grubin. - Niech ktoś natychmiast przyniesie wodę! Ona umrze bez wody!

- Wody! - powiedział milicjant Siemionow.

Ośmiornica leżała nieruchomo na mokrej, dziurawej podłodze akwarium. Wyglądała jak kupka śluzu.

Ktoś przyniósł garnek, ktoś wiadro, ktoś inny filiżankę czy szklankę. Grubin wybrał najczystsze wiadro i ostrożnie włożył do niego ośmiornicę. W drugą rękę wziął akwarium.

Tak właśnie wyglądał na zdjęciu zrobionym przez Misze Stan-dala. Zdjęcie to obiegło potem cały niemal świat.

Piszę te słowa specjalnie dla mnie skonstruowanym długopisem, na białych plastikowych kartkach. Piszę dużymi literami, żeby akademik Połosow mógł mnie rozczytać bez mikroskopu.

Jak tylko skończę rozmawiać z Połosowem i Maszeńką, naszą sekretarką, przyjdzie Ksenia Udałowa i przyniesie mi wiśnie. Cudowne wiśnie rosną w mieście Wielki Guslar. Nie mam pojęcia, jak sobie bez nich poradzę w Moskwie. Ale Sasza Grubin, mój stary przyjaciel i zbawca, przyrzekł, że weźmie ze sobą do Moskwy ze dwa kilo. Wierzę mu, to przemiły człowiek. Nie taki wykształcony jak akademik Połosow, nie skończył przecież studiów. Ale nic to, pomogę mu zdobyć tytuł doktora. Należy mu się, choćby za to, że mnie odkrył.

1971

DESANT KOSMICZNY

Wydarzyło się to w sierpniu, w pewną gorącą i wietrzną sobotę.

Mikołaj Łóżkin, emeryt, namówił swoich sąsiadów - profesora Lwa Chrystoforowicza Minca i Korneliusza Udałowa, żeby spędzić ten dzień nad jeziorem Kopenhaga, gdzie mogliby odpocząć od miejskiego zgiełku, od rodziny i pracy.

Jeziro Kopenhaga leży dwadzieścia kilometrów od miasta. Żeby się do niego dostać, trzeba jechać autobusem, a potem iść na piechotę przez las mieszany. ‘

Nazwa jeziora ma dość proste wytłumaczenie. Kiedyś była tam posiadłość ziemianina Gulia (Gulkina), wielkiego anglogmana, który twierdził, że Kopenhaga to angielski generał. Nazwa przyjęła się ze względu na niezwykle dla okolicznych mieszkańców brzmienie.

Korneliusz Udałow zabrał ze sobą sprzęt, żeby trochę powędkować, profesor Minc - walizeczkę ze składanym laboratorium. Chciał pobrać próbkę wody: planował zaprowadzić w jeziorze hodowlę omułków dla gospodarki narodowej. Mikołaj Łóżkin pragnął opalić się według systemu jogów. Na początku wybrali miejsce w cieniu, pod przysadzistą sosną i zorganizowali tam obóz - rozłożyli pled, położyli na nim prowiant, przekąsili co nieco i zaczęli rozmawiać o różnych rzeczach. Nad jeziorem było trochę ludzi, ale nikt nie łowił ryb - było za gorąco. Odpoczywano.

- Coś dawno nic się nie wydarzyło - powiedział Udałow. Rozebrał się, miał na sobie tylko niebieskie slipki z kwiatusem z boku i trójkątną czapkę z gazety, żeby nie poparzyć łysiny.

- Musi się coś wydarzyć - zapewnił go stary Łóżkin. - Pogodę mamy piękną. Czegoś takiego nie było u nas od 1878 roku. - Dla większej wyrazistości napisał na piasku datę, przeciągnął strzałkę i obok napisał drugą datę: 1978. - Sto lat.

W tym momencie pojawił się nad nimi statek kosmiczny. Bezszelestnie zawisł nad jeziorem, tak jakby obleciał całą Galaktykę w poszukiwaniu takiego ładnego jeziora i teraz nie mógł się na nie napatrzeć.

- Patrzcie - pokazał Udałow. - Przybysze z kosmosu.

- Przecież mówiłem - powiedział Łóżkin.

- Tacy jeszcze do nas nie przylatywali - powiedział Udałow, podnosząc się i zsuwając czapkę na tył głowy. Wyglądał poważnie.

Profesor Minc, który jeszcze się nie rozebrał, poluźnił tylko krawat, też się podniósł i rozstawił palce w określonej odległości od oczu, żeby ustalić rozmiary statku.

- Takich jeszcze nie widzieliśmy - przytaknął Łóżkin. - To coś nowego.

- Z daleka przylecieli - stwierdził profesor Minc po zakończeniu pomiarów. - Piu-mezonowe akceleratory zużyte zupełnie.

Udałow i Łóżkin zgodzili się z Mincem. Piu-mezonowe akceleratory wymagały remontu.

Statek powoli obniżał się, przesuując w stronę brzegu. W końcu zawisł nad samą krawędzią wody, rzucając cień na piasek.

- Zaraz zaczną wychodzić - oświadczył Udałow.

Tak, pomyślał Łóżkin. Zaraz otworzy się luk i na piasek wyjdzie nieznana cywilizacja.

Najprawdopodobniej jest przyjaźnie nastawiona, ale nie można wykluczyć, że wybrała się do nas zła i obca siła kosmiczna w celu podbicia Ziemi. A my nawet nie będziemy mogli nic zrobić. Do miasta dwadzieścia kilometrów, autobus chodzi rzadko.

Ze statku wysunęły się liczne sondy i analizatory.

- Badają warunki - powiedział Udałow. Minc tylko kiwnął głową. To było oczywiste.

Analizatory się schowały.

Wtedy wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Otworzył się inny luk, dolny. Na brzeg zamiast kosmonautów, zupełnie jak ze zbiornika silosowego, wypadł kłęb zielonej masy, przypominającej konserwowy szpinak - takie konserwy przywieźli ostatnio do spożywczego, używano ich do zup! Zaraz potem luk został zamknięty. Zielona masa rozpełzła się po piasku jak gęsty kisiel i zbliżyła się do wody. Statek wzbił się w powietrze i zniknął.

- Wygląda to - powiedział Minc - na cywilizację wodną.

Łożkin, jako społecznik i człowiek o sporym doświadczeniu życiowym, przygotował już w myślach mowę powitalną. Zielona masa nie miała żadnych organów, do których można byłoby zwrócić się z przemówieniem. Łożkin powiedział szeptem, tak żeby kiślowaty przybysz nie usłyszał:

- Zwykle chuligaństwo. Całe jezioro zapaskudzi, a przecież ludzie się tu kąpią.

- Trzeba będzie na razie zrezygnować z kąpieli - odpowiedział Korneliusz Udałow. - Możliwe, że przybysz ma delikatne narządy i można by je uszkodzić.

- To pleśń, a nie przybysz - doszedł do ostatecznego wniosku Łożkin.

- Może jest radioaktywny? - zapytał Udałow.

- Zaraz sprawdzimy.

Minc otworzył walizeczkę, w której znajdował się składany mikroskop, spektrograf, licznik Geigera, próbki, chemikalia i inne przybory.

Łożkin, nie dowierzając zielonemu przybyszowi, który częściowo wpełzł już do wody i pokrył jej powierzchnię jak zielona folia, wyjął ołówek chemiczny i na kawałku dykty napisał drukowanymi literami:

KĄPIEL.

ŁOWIENIE RYB PRANIE ODZIEŻY

WZBRONIONE. NIEBEZPIECZEŃSTWO!

Potem przymocował dyktę do pnia sosny. Ludzie, którzy schodzili się na miejsce zajścia znad całego jeziora, zatrzymywali się i czytali.

Minc zszedł do wody i nachylił się nad zielonym kisiem. Licznik promieniowania milczał. To było pocieszające.

- Niewykluczone - powiedział do Udałowa, który stał nad nim, ubezpieczając tyły - że to desant kosmiczny.

- Szkoda - zmartwił się Udałow. - Zawsze miałem nadzieję na przyjaźń między cywilizacjami kosmosu.

- Jeśli ta zielona pleśń zacznie się szybko rozmnażać i pokryje całą naszą planetę, to agresorom z kosmosu nietrudno będzie wziąć nas gołymi rękami.

- Mogli wymyślić dużo prostszy sposób.

- Co my możemy wiedzieć o ich psychologii? - zapytał Minc. - A jeśli oni zawsze tak podbijają obce planety?

Jeden z wędkarzy powiedział:

- Jadę do domu. Muszę zebrać pomidory w ogrodzie. Jeszcze mi je kosmici zatrują.

Za jego przykładem poszło kilku wędkarzy i miłośników kąpieli. Ale sporo ludzi zostało. Dla przeciętnego mieszczucha nie ma większej przyjemności od kontaktu z niewiadomym, styczności z tajemnicami kosmosu.

- A teraz - oświadczył profesor Minc - należy zbadać zachowanie pleśni w środowisku wodnym. Pobrał próbki i zaczął oglądać kosmitę pod mikroskopem.

Udałow również nie marnował czasu. Najpierw narysował w powietrzu koło i trójkąt, odwołując się do wspólnej dla wszystkich rozumnych istot wiedzy geometrycznej, a potem poszedł po spodnie, żeby na tym przykładzie wytłumaczyć przybyszowi twierdzenie Pitagorasa o spodniach. Pleśń nie zwróciła uwagi na wysiłki Udałowa. W tym momencie Minc ogłosił swoje wyniki:

- Absolutnie nieszkodliwa substancja. Mikroskopijne wodorosty, organizmy prymitywne, występują na Ziemi. Nierozumne.

- To jeszcze nie dowód - zaprotestował Udałow, ale przestał machać spodniami i je włożył. Możliwe, że gdyby zebrać je do kupy, to otrzymalibyśmy kolektywny rozum.

- Nawet gdybyśmy zebrali do kupy całe pole kapusty, to otrzymamy tylko wielką stertę kapusty i nic więcej - powiedział Minc.

- A jeśli one się rozmnożą i podbiją Ziemię? - zapytał Łożkin. - Sam pan o tym mówił, profesorze.

- Mieli wystarczająco dużo czasu, żeby to zrobić. Te wodorosty żyją na Ziemi od miliardów lat.

- Wytrują wszystkie ryby - wysunął przypuszczenie młody człowiek w podkoszulku w paski.

- Ryby już je jedzą - powiedział Minc.

Tak upadła teoria o desancie kosmicznym. Zaprzepaszczone zostało przygotowane przez Łożkina przemówienie, a wysiłki Udałowa związane z twierdzeniem Pitagorasa zakończyły się fiaskiem. Minc wiedział, co mówi. Jeśli jego zdaniem statek kosmiczny wyrzucił na brzeg jeziora Kopenhaga zwyczajną stertę drobnych wodorostów, to znaczy, że tak było.

Rozczarowani widzowie rozeszli się, a Minc z sąsiadami usiedli pod sosną z przymocowaną dyktą i zaczęli się zastanawiać. Niemożliwe, żeby przysłano statek kosmiczny tylko po to, żeby przywieźć wodorosty.

Pozostawione na brzegu wodorosty szybko schły, czerniały i wsiąkały w piasek.

- Zadali nam zagadkę logiczną - zasugerował Udałow. - Poddają nas próbie. Przestraszymy się czy nie.

- I obserwują? - zapytał Łożkin.

- I obserwują.

Minc wstał i przeszedł się po brzegu, żeby określić granice wyrzutu wodorostów. Jezioro żyło swoim spokojnym, cichym, sobotnim życiem i nic nie przypominało o niedawnej wizycie statku kosmicznego. Minc potknął się o coś twardego. Myśląc, że to kamień, kopnął go. Ale przeszkoda nie poddała się. Za to Minc, który był w sandałach, stłukł duży palec.

- Oj! - wykrzyknął.

Udałow już spieszył mu z pomocą.

- Co się stało?

- Kamień. Pod wodorostami.

Intuicja podpowiedziała Udałowowi, że to nie kamień. Szybko przykucnął, rozgrzebał wodorosty, jeszcze mokre i lepkie. Jego starania zostały wynagrodzone. Nieduży złocisty cylinder, którego górna

część wystawała z piasku, powoli wkręcał się ziemię.

- A oto i nasz przybysz - powiedział Udałow, rozgarniając piasek obiema rękami jak pies, żeby wyjąć cylinder.

Cylinder był niewielki, za to ciężki. Minc szybko wyjął z walizeczki radio, które znalazło się tam tylko dlatego, że w walizce było wszystko, co mogło się przydać, nastawił je i powiedział:

- Tak jak myślałem. Cylinder nadaje na stałej fali.

- Tu jest coś napisane - zauważył Udałow. Rzeczywiście, na cylindrze był jakiś napis.

Cylinder rozkręcono. W środku był zwinięty w trąbkę zwój metalowej folii pokrytej takimi samymi literami jak jego powłoka.

- Wygląda mi to na esperanto - myślał na głos Minc, oglądając tekst. - Tylko że to inny język. I nieznaną grafiką. Ale to nic, prefiksy i zakończenia widać wyraźnie, znaków przestankowych można się domyślić, struktura jest prosta. Dajcie mi dziesięć minut. Jak każdy geniusz lingwistyczny, nie potrzebuję więcej czasu na odczytanie tego tekstu.

- No i dobrze - podsumował Udałow. - A ja pójde pokroić kiełbasę i otworzyć piwo.

Udałow przygotował posiłek. Minc też dostał kanapkę. Po dziesięciu minutach tekst został rozszyfrowany, jako że Minc wykorzystał przy swojej pracy doświadczenie Szampoliona-Knorozowa i innych wielkich mistrzów, specjalistów od pisma klinowego i pisma Majów.

- Uwaga - powiedział. - Jeśli jesteście zainteresowani, mogę przeczytać przekład posłania kosmicznego. Jest nawet dosyć ciekawe. - Zachichotał. - Najpierw napis na cylindrze: „Otworzyć za cztery miliardy lat”.

- Co takiego? - zapytał Łożkin.

- Za dokładność przekładu ręczę.

- W takim razie niepotrzebnie to zrobiliśmy - stwierdził Udałow. - Oni mieli nadzieję, a my wszystko zepsuliśmy.

- Nie będę żył tak długo - powiedział Łożkin. - I dlatego nie ma co się bić w piersi. Poza tym najpierw otworzyliśmy, a dopiero potem przeczytaliśmy.

- Teraz tekst - przypomniał Minc. - „Drodzy mieszkańcy planety, której nazwa nie została jeszcze wymyślona...”.

- Jakże to tak? - zdziwił się Łożkin. - Nasza planeta ma już swoją nazwę.

- I spora część kosmosu o tym wie - poparł go Udałow.

Minc przeczekał protesty i kontynuował:

- „Dzisiaj minęło cztery miliardy lat od czasu, gdy automatyczny statek-siewnik z naszej ojczystej planety Prekrupican w sposób niezauważalny, ale znaczący wpłynął na waszą ewolucję. Będąc adeptami teorii i praktykami panspermii, wysyłamy do wszystkich zakątków Galaktyki nasze statki załadowane prymitywną formą życia - wodorostami. Na nie zamieszkaną planetę wodorosty rozwijają się, jako że są bardzo prostymi i niewymagającymi formami życia. Po wielu milionach lat dadzą początek bardziej złożonym organizmom. Potem pojawią się dinozaury i mastodonty, aż w końcu nastanie ten najszczęśliwszy w życiu każdej planety dzień, kiedy małpolud weźmie do ręki pałkę i zacznie wymawiać pojedyncze słowa. Następnie zbuduje sobie dom i wynajdzie radio. Wiedźcie o tym, że wy - nasi odlegli pod względem czasoprzestrzeni krewni w ewolucji, właśnie dzięki wynalezieniu radia odebraliście sygnał naszej kapsuły, zakopanej cztery miliardy lat temu na brzegu jałowego jeziora. To my zasialiśmy w jego wody prymitywne wodorosty. Nie zostawiamy adresu zwrotnego - upłynęło zbyt wiele lat. Ofiarowaliśmy waszej planecie życie i stworzyliśmy was

zupełnie bezinteresownie. Jeśli znaleźliście kapsułę i przeczytaliście nasze przesłanie - nasz cel został osiągnięty. Podziękujcie nam. Szczęśliwej ewolucji, przyjaciele!” To wszystko - powiedział Minc z nieskrywanym żalem. - Trochę się spóźnili.

- Przecież mówiłem, że są rozumni - stwierdził Udałow. - I nie mieli żadnych złych zamiarów.

Udałow wierzył w przyjaźń w kosmosie. Notatka w cylindrze tylko utwierdziła go w tym przekonaniu.

Mikroskopijne wodorosty pływały po jeziorze. Jadły je karasie. Łożkin zafrasował się nagle.

- O co ci chodzi? - zapytał Udałow. - Co ci nie pasuje? Że adresu nie ma? Dowiemy się.

Polecimy do nich i razem się pośmiejemy.

- Nie o adres mi chodzi. Tak sobie myślę, że można by poszukać jeszcze jednej kapsuły.

- Jakiej kapsuły?

- No, tej, którą ktoś zostawił na Ziemi cztery miliardy lat temu.

1975

OBRAZA

Ósmego wieczorem Udałow i Grubin zdecydowali, że pójdą do profesora Minca porozmawiać o tajemniczych zjawiskach. Miał przyjść również stary Łożkin, ale jakoś się spóźniał. Ze stojącego na biurku radia, ledwie widocznego zza stert rękopisów i artykułów naukowych, płynęły delikatne melodie Mozarta. Gdy Lew Chrystoforowicz zaproponował gościom drugą filiżankę herbaty, muzyka w radiu urwała się i dał się słyszeć ostry głos przemawiający w niezrozumiałym języku.

- Łobuzują - powiedział Korneliusz Udałow. - Własna częstotliwość im już nie wystarcza, leżą z komentarzami na Mozarta.

- Z komentarzami? - zapytał profesor Minc. - Czyżby pan, Korneliuszu, rozumiał ich język?

- Piąte przez dziesiąte - zmieszał się Udałow. - Podobny do węgierskiego.

- Jakaś wersja lokalna? - zapytał Minc.

- Poszukam muzyki - zaproponował Grubin.

- Nie trzeba, to bardzo ciekawe - powstrzymał go Minc i zamyślił się. Zapomniał nawet dolać przyjaciółom herbaty. I nie zauważył, jak wszedł Łożkin i głośno się przywitał.

W takim stanie znajdował się przez trzy minuty.

- Wszystko jasne - rzekł do Udałowa. - Na Ziemi nie ma takiego języka. Przejrzałem w myśli wszystkie możliwe warianty - No, może to nie węgierski. Może to jakaś mało znana gwara, z którą nie miał pan czasu się zapoznać?

- Nie znam wielu języków, ale mogę czytać w każdym. Najważniejszy jest system, struktura języka. Wystarczy znać elementarne minimum - jakieś piętnaście, szesnaście języków, jakimi ja sam władam, żeby poznać reguły lingwistyki i móc się potem nimi kierować. Rozumiecie mnie, koledzy?

- Rozumiemy - odpowiedział mile połączony Udałow. - A więc, co to za język?

- Język mieszkańców innej planety - odpowiedział Minc. - I co z tym zrobimy?

- Przetłumaczymy ich wypowiedź i odpowiemy. To nasz obywatelski obowiązek.

- Słusznie, Korneliuszu - poparł go Grubin. - Może pan w każdej chwili liczyć na moją pomoc, Lwie Chrystoforowiczu. Jeśli oczywiście będę mógł się na coś przydać.

- Niestety. Nie uda nam się tego języka rozszyfrować. Nie mamy ani jednego wspólnego rdzenia, ani jednego wspólnego przypadku.

- No cóż - westchnął Łożkin. - Nawet zdolności profesora Minca mają swoje granice. Trzeba będzie napisać do Akademii Nauk. Szkoda tylko, że zanim dostaniemy odpowiedź, kosmici mogą odlecieć.

- Jakie granice? - nie zrozumiał Minc. - Moje możliwości są ograniczone?

- Niestety - zgodził się Łożkin.

- Sasza, czy panu rzeczywiście nigdzie się nie spieszy?

- Dokąd ma mi się spieszyć, skoro przed nami eksperyment?

- W takim razie - Minc surowo popatrzył na swoich gości - poproszę osoby postronne o opuszczenie pomieszczenia. Oczekuję wszystkich po zakończeniu prac.

- To znaczy kiedy? - zapytał Udałow, posłusznie kierując się w stronę drzwi.

- Powiadomimy was.

Minc szerokim gestem zrzucił ze stołu papiery, a w tym czasie domyślny Grubin wyciągał już spod łóżka niewielki mózg elektronowy.

- Powiadomcie - zgodził się Łożkin. - Nie krępujcie się. Nawet wcześniej rano.

- Może być nawet późno w nocy - powiedział Minc i włączył przenośny magnetofon.

Udałow z Łożkinem postali chwilę na klatce schodowej pod drzwiami., nie wiedząc, czy mają się obrazić, czy spokojnie zaczekać.

- Nie pamiętasz przypadkiem, na jakiej częstotliwości nadawali? - zapytał w końcu Udałow.

- Na trzydziestym pierwszym metrze. Będziesz próbował sam rozszyfrować?

Udałow pokręcił przecząco głową, poszedł do siebie, włączył cicho radio i zaczął szukać audycji w kosmicznym języku. Znalazł. Ale nie na trzydziestym pierwszym metrze - pewny siebie Łożkin jak zwykle wszystko pokręcił - tylko na sześćdziesiątym. Korneliusz Udałow długo siedział wsłuchany w szumy i trzaski w eterze, próbując z intonacji odgadnąć, co tam słychać u kosmitów. Było mu ich żal, współczuł im i denerwował się. Wziął nawet radio do łóżka, mając nadzieję, że uda mu się we śnie opanować ich język metodą hipnopedii.

Obudził się, bo coś stuknęło w szybę. Kiedy indziej może nie zwróciłby na ten stuk uwagi, ale dzisiaj nerwy miał napięte - przez cały czas śnili mu się kosmici proszący o pomoc. Ostrożnie zsunął się z łóżka, podszedł do okna. Pod latarnią stał Grubin i machał ręką, żeby zejść.

Korneliusz spojrział na zegarek. Wpół do czwartej. A więc jego przyjaciele szybko uporali się z zagadką. Starając się nie hałasować, włożył buty, narzucił na pizamę marynarkę i poszedł do Minca. Formalności schodzą na drugi plan, gdy spotykają się sami mężczyźni, będący w dodatku ludźmi o tych samych poglądach.

Grubina Udałow spotkał na korytarzu, pod drzwiami Łożkina.

- Próbowałem go obudzić przez okno - oznajmił Grubin - ale staruszek się nie odzywa. Może obejdziemy się bez niego?

- A co, rozwiązaliście?

- Rozwiązaliśmy. Już nawet co nieco rozumiemy.

- W takim razie trzeba go obudzić. Inaczej nigdy nam nie wybaczy. Czekał, ja spróbuję.

Udałow zastukał do drzwi, ale przesadził: wyszło nieco za głośno. Dało się słyszeć szuranie kroków, a potem głos żony Łożkina:

- Co? Co się stało? Kto tam puka?

- To ja, Udałow. My do męża.

- Poszaleli, przekłete włóczęgi - złorzeczyła starucha. - Ja wam zaraz pokażę, co to znaczy budzić ludzi po nocy.

- Sam nas prosił - tłumaczył Udałow. - Bardzo chce uczestniczyć w odkryciu.

- Idźcie stąd, bo pożałujecie!

- Kto tam przyszedł? - usłyszeli dobiegający z oddali głos Łożkina.

- Udałow się awanturuje! - odkrzyknęła żona.

- A, to mu się zdarza. Pogoń go.

- Jak pan sobie chce - powiedział Udałow. - Potem będzie pan żałował.

Poszli do Minca.

W gabinecie Minca było pełno dymu, buczały liczne przyrządy, słycać było dobiegające z radia słowa w obcym języku, ale zagłuszał je inny, mechaniczny głos, dochodzący z przystawki. Głos mówił po rosyjsku.

- Gdzie Łożkin? - zapytał Minc. Wychudł przez tę noc, postarzał się, ale uśmiechał się nie bez dumy. - Gdzie ten sceptyk?

- Łożkin nie chce wstać - odpowiedział Grubin. - A Udałow przyszedł od razu.

- Co do Udałowa nie miałem wątpliwości. Szkoda, że nie mogę zdemaskować tego niedowiarka. Ale nic, słuchajcie. Sprawa wygląda interesująco. Niech się pan nie denerwuje, Korneliuszu. Nie ma żadnej awarii. Ich statek zawisł nad naszym miastem na wysokości stu trzydziestu kilometrów i rozesłał zwiadowców.

- W celach pokojowych? - zainteresował się Udałow.

- Oczywiście, że nie - usłyszeli głos od drzwi. Stał tam senny, rozczochrany i zły Łożkin w szlafroku i kapciach.

- Wstał jednak - uśmiechnął się złośliwie Udałow.

- Milcz - powiedział Łożkin. - Wojenny podstęp. Przecież w życiu by mnie nie puściła. A tak to jej powiedziałem, że idę po milicję, żeby cię uspokoili. W tak szlachetnym celu pozwoliła mi wyjść. Rozumiesz?

- Rozumiem, że dla własnych korzyści pogrążasz przyjaciela. Ale nie obrażam się, nawet mnie to bawi.

- I słusznie - ocenił Grubin. - Najważniejsze, że jesteśmy wszyscy razem.

- Nie odbiegajmy od tematu - poprosił Minc. - Posłuchajcie. To ciekawe.

- Zwiadowca-dwa - rozległ się głos mechanicznego tłumacza.

- Zwiadowca-dwa. Czemu się nie odzywacie?

- Prowadzę obserwacje. Bardzo interesująca istota. Cztery kończyny. Ogon. Pokryta sierścią. W zębach niesie kość. Możliwe, że jest rozumna.

- Pies chyba, nie? -, wysunął przypuszczenie Łożkin. - Co oni, rozumnych od nierozumnych nie odróżniają?

- Zwiadowca-dwa - odezwał się statek kosmitów. - Powinniście już wiedzieć, że czworonogi nie mogą być rozumne, bo nie mają rąk, żeby pracować.

- Otóż to - zgodził się Łożkin. - Nas też tego uczono.

- Widzę, jak czworonóg z kością podszedł do dwunoga w garniturze i z rękami - dał się słyszeć głos zwiadowcy-dwa.

- I po co oni tu przylecieli? - rozłościł się Łożkin. - Zwykli agresorzy.

- Obserwują - odpowiedział Udałow. - Dlaczego nie mieliby obserwować?

- To nie w porządku - powiedział Łożkin. - Najpierw powinni wylądować, porozmawiać z nami, postarać się o pozwolenie. Potem mogą sobie obserwować. A może wypatrują jakichś tajnych obiektów?

- Do tej pory nigdy nie było u nas żadnych tajnych obiektów - uśmiechnął się Grubin.

- Niewykluczone - zaprotestował uparty emeryt - że są, ale tak utajnione, że nawet nic nie podejrzewasz.

- Zwiadowca-trzy, zwiadowca-trzy - zatrajkotał tłumacz. - Dlaczego nie odpowiadasz?

- Zaobserwowałem dziwne skupisko aborygenów. Stoją w kolejce przed sklepem

przemysłowym. Spodziewam się, że są rozumni.

- Obiecali, że jutro rzucą tapety - wyjaśnił Grubin. - Ludzie już trzeci dzień dyżurują.

- Stanie w kolejce nie dowodzi jeszcze rozumu - stwierdził mechaniczny tłumacz. - Szukajcie czegoś bardziej perspektywicznego.

- Mają rację - westchnął profesor.

- Nierozumni by się przepychali - sprzeciwił się Łożkin - a skoro stoją w kolejce, to znaczy, że wszystko w porządku.

- Żeby tylko nie zobaczyli w dzień kolejki po wódkę! - zaniepokoił się Udałow.

- Zgłasza się zwiadowca-dwa - usłyszeli nagle. - Pilna wiadomość. Istota dwunożna biegnie za czworonogiem. Dogoniła go... O nie, nie mogę na to patrzeć! Dwunożny kopnął czworonoga! Czworonóg wydaje żalosne dźwięki!

Z daleka, z ulicy dobiegł skowyt psa. Udałow rzucił się do okna. Ulica była ciemna, pod daleką latarnią przemknął czyjś cień.

- No i co takiego?! - wykrzyknął Łożkin. - Szedł sobie człowiek po ulicy i zobaczył psa. Mógł się wystraszyć? Miał prawo z przestachu odpędzić go nogą? Pytam się, czy miał prawo...

Minc podniósł rękę, próbując uciszyć Łożkina. Głos ze statku kosmitów był twardy i kategoryczny:

- To bardzo ważne odkrycie. Jeśli dwunogi biją czworonogów, oznacza to, że dwunogi nie są rozumne.

- Są rozumne, tylko popełniają błędy! - poprawił go Łożkin.

- Mówi zwiadowca-cztery - powiedział tłumacz. - Proszę o pozwolenie powrotu na statek.

Wpadłem w chmurę dymu wypuszczanego przez tętną fabrykę. Czuję się coraz gorzej...

- Zwiadowco-cztery, trzymajcie się! Wysyłam grupę ratunkową.

- No i proszę - powiedział Udałow zmęczonym głosem. - Ile to już razy mówiono dyrektorowi fabryki zabawek plastikowych, żeby zamontował filtry...

- Może to nie nasza fabryka? - wyraził nadzieję Grubin.

- Nasza.

I wszyscy widzieli, że nasza...

- Trzeba coś zrobić - zdecydował Udałow. - W przeciwnym razie wyrobiamy sobie fałszywy obraz... Mamy latarkę?

Minc bez słowa wyjął latarkę spod poduszki. W dzieciństwie mama nie pozwalała mu czytać po nocach i tak przyzwyczaił się do czytania pod kołdrą, że chociaż już od dawna mieszkał sam, ciągle nie mógł wyzwolić się z tego nawyku.

- Idę.

Udałow wyszedł na podwórko. Nikt go nie zatrzymywał.

Stanął na środku podwórka, wycelował latarkę w niebo i zapalił. Zaczął ją naprzemian włączać i wyłączać. Najpierw dwa razy włączył i wyłączył. Potem jeszcze dwa razy. A potem odczekał chwilę i powtórzył to samo jeszcze cztery razy.

- Nie ma co - burczał Łożkin, patrząc na to wszystko przez okno. - Jeden człowiek i tak nie zdoła powstrzymać agresorów.

- Centrala! - rozległ się głos w przystawce. - Na podwórku domu numer szesnaście przy ulicy Puszkina zaobserwowałem dwunożną postać z latarką. Chyba próbuje udowodnić mi, że ich cywilizacja posiada już umiejętność dodawania dwóch do dwóch.

- Zrozumiałem - usłyszeli odpowiedź. - Zrozumiałem. Zwiadowca-dwa, kontynuujcie obserwację. Ale nie przeceniajcie zbyttno swojego odkrycia. Nauka zna kilka gatunków ryb umiejących liczyć do piętnastu.

- No nie, tego to im nie daruję! - zdenerwował się Grubin. Wyskoczył przez okno pierwszego piętra na podwórko, zabrał Udałowowi latarkę i zaczął biegać, przez cały czas trzymając latarkę światłem do góry. Biegał tak szybko, że na tle czarnej ziemi widać było zarysy znanego twierdzenia Pitagorasa. Gdy padając ze zmęczenia zatrzymał się, w radiu znowu rozległy się dwa głosy:

- Melduje zwiadowca-dwa. Centrala, słuchajcie, może mi się tylko wydawało, ale drugi aborygen biegał po tym samym podwórku i za pomocą latarki starał się pokazać ogólne zarysy znanego twierdzenia Priudoniksa.

- Pitagorasa, Pitagorasa - poprawił surowo Łożkin.

- Proszę przerwać obserwację, jeden marny obiekt jeszcze niczego nie dowodzi - powiedział głos z Centrali. - Poziom cywilizacji nie może być mierzony pojedynczymi próbami nauczenia się liczenia czy czytania, lecz jej ogólnymi osiągnięciami. Zwiadowca-jeden, meldujcie, jakie są rezultaty pomiarów na granicach ich mrowiska.

- Jestem wstrząśnięty - rozległ się głos pierwszego zwiadowcy. - Oni zatruwają wodę i powietrze, którym oddychają, a przy tym nie tylko sami nim oddychają, ale jeszcze zmuszają do tego innych.

- Słyszeliście, zwiadowco-dwa? Oni dosłownie robią pod siebie. Rozumiecie to wulgarne wyrażenie?

Łożkin wyciągnął rękę i nacisnął kilka przycisków naraz. Rozmowa badaczy z innej planety został przerwana.

- Dostyc! - krzyknął Łożkin. - Nie mogę tego słuchać.

- Niech pan poczeka.

Minc włączył z powrotem aparaturę. Wrócili Grubin i Udałow.

- No i jak? - zapytał Grubin. - Domyślili się, że to twierdzenie matematyczne?

- Pitagorasa nazywają Priudoniksem - oświadczył Łożkin. - Nie ma co z nimi gadać.

- Czyżby udało się nawiązać kontakt? - ucieszył się Udałow.

- Obawiam się, że wręcz przeciwnie - powiedział Minc. - Nie chcą nas uznać za istoty rozumne.

- Dlaczego?

- Nasza znajomość twierdzeń matematycznych ich nie przekonuje. Uważają, że żyjemy w brudzie.

- Lwie Chrystoforowiczu! - zawołał błagalnym głosem Udałow. - Nie dałoby się zrobić tak, żeby maszyna zaczęła działać na odwrót? Żebyśmy mogli im powiedzieć...

- Spróbuję. - Profesor zaczął majstrować przy przyciskach. - Proszę, Korneliuszu Iwanowiczu, teraz może pan rozmawiać z braćmi w rozumie, jak długo pan chce.

Udałow wziął mikrofon, odchrząknął i zaczął:

- Bracia w rozumie, słyszycie mnie?

- Kto nawiązuje łączność bez zezwolenia? - szczerknęła w odpowiedzi Centrala.

- Zwracają się do was przedstawiciele ziemskiej cywilizacji. Cywilizacji, którą teraz zobaczyliście na własne oczy i której wielkości nie byliście w stanie ogarnąć!

- Dobrze mówi - poparł go Łożkin. - Dawaj dalej, śmiało!

- Proszę wyjść z eteru, przeszkadzacie nam w pracy - odpowiedziała Centrala. - Nie mamy zwyczaju dyskutować z aborygenami.

- Nie jesteśmy aborygenami - zaprotestował Udałow. - Możemy pochwalić się ogromnymi osiągnięciami w dziedzinie nauki, rolnictwa oraz literatury i sztuki.

- Udało mi się go zlokalizować - oznajmił drugi głos, należący do jednego ze zwiadowców. - To ten sam, który umie dodać dwa do dwóch.

- Oszaleć można! - zdenerwowała się Centrala. - Tracimy czas, a on blokuje eter.

- Przyjrzyjcie się nam! - krzyknął zrozpaczony Udałow. - Jest nam przykro, że nie chcecie nas uznać za równych sobie. Zaslugujemy na przyjaźń i równoprawne traktowanie.

- Będziemy musieli odlecieć - zdecydowała Centrala. - Proszę wszystkich zwiadowców, aby wracali na statek. Nigdy bym nie przypuszczał, że aborygeni mogą być na tyle bezczelni i nietaktowni.

- A więc, nie chcecie? - zapytał groźnie Łożkin, zabierając sąsiadowi mikrofon.

- Niczego nie chcemy - powiedziała Centrala. - Zostawcie nas w spokoju. Przylatujemy na planetę, odkrywamy ją...

- Nie trzeba nas odkrywać - powiedział Łożkin. - Już nas odkryto.

- Odkrywamy ją - upierała się Centrala - znajdujemy niski poziom kultury i techniki, dowiadujemy się, że żyjecie w mrowiskach, niszczyacie powietrze i wodę, tępicie inne żywe istoty, dochodzimy do wniosku, że będziecie potrzebowali milionów lat, żeby uzyskać prawo do miana „cywilizacja”, a wy bezczelnie wtrącacie się do naszych rozmów, do naszej działalności i próbujecie przyciągnąć naszą uwagę... nie... nie, dosyć tego. Zwiadowcy na pokładzie?

- Poczekajcie! - wykrzyknął Udałow. - Jeszcze nie wszystko stracone. Będziemy się uczyć!

- Wszyscy na miejsca! - zakomenderowała Centrala. - Dzieci, nasza wycieczka na dziką planetę zakończyła się wcześniej, niż planowaliśmy. Ale mam nadzieję, że teraz już będziecie wiedzieli - gdy zobaczycie dzikusa, trzymajcie się od niego z daleka. Dzikusy są złośliwe, bezczelne i natrętne...

Ostatnich słów już niemal nie było słyhać, najwidoczniej statek kosmitów odlatywał z Ziemi w niezmiernie daleki kosmos.

- Tak... - westchnął Grubin. - To były dzieci.

- Od dzieci nie można oczekiwać wrażliwości - powiedział Łożkin. - Wszystkie dzieci są natrętne, a jeśli w dodatku pozwala im się pętać po kosmosie, to już lepiej w ogóle ich nie słyhać.

- Oczywiście - zgodził się Minc, wyłączając aparaturę i przecierając oczy. Strasznie chciało mu się spać. - Oczywiście, możemy potraktować sceptycznie wnioski dotyczące naszego życia, skoro wypowiadali je uczniowie z innej planety.

- Gdyby to byli dorośli, zrozumieliby - powiedział Udałow.

- Gdyby to byli dorośli - poprawił go po cichu Grubin - mogliby dojść do jeszcze gorszych wniosków.

- Ile można! - zdenerwował się nagle Łożkin. - Ciągle powtarzam, że najwyższa pora zająć się oczyszczaniem środowiska naturalnego, żebyśmy nie musieli się wstydić przed resztą kosmosu. Nikt nie zwraca na to uwagi! Kosmici już nawet dzieci nie chcą do nas puszczać!

Pozostali milczeli.

1977

ŻEGNAJ, SWOBODO

Gdy Popsi-kon z planety Palistrata odwiedził Wielki Guslar, korzystał z bezinteresownej gościnności Korneliusza Udałowa. Odlatując, zaprosił Udałowa, aby w dogodnym dla siebie terminie odwiedził jego planetę. Korneliusz Iwanowicz zdecydował się odwiedzić przyjaciela następnego lata.

Niewysoki, zgrabny Popsi-kon czekał na Udałowa na kosmodromie. Szczęśliwy, że go widzi, Popsi-kon objął Korneliusza i ucałował w oba policzki - nauczył się tego na Ziemi. Nie przestając pytać o wspólnych znajomych, o pogodę, o budownictwo mieszkaniowe, o urodzaj w Guslarze, zaprowadził Korneliusza do samochodu. Pojechali do miasta.

Udałow z zainteresowaniem rozglądał się, przypatrując się mieszkańcom Palistraty i zaznajamiając z warunkami życia.

Samochód jechał miękko po wysprzątanym ulicach stolicy, wzdłuż których rosły rozłożyste drzewa, mijał skromne, eleganckie szyldy i gustownie zaprojektowane witryny. Wydawało się, że nikt się w tym mieście nie spieszy, ludzie cierpliwie czekali na skrzyżowaniach na zielone światło, żeby przejść przez ulicę, dzieci były czyściutkie i schludne.

- A oto i nasz dom - powiedział Popsi-kon, zatrzymując samochód przed parterowym, tonącym w zieleni domkiem. - Tutaj wszystko jest do twoich usług. Mieszkaj, jak długo zechcesz, baw się, telewizor jest na stole. Ale przez pierwsze dni nie wychodź beze mnie na ulicę.

- A co, nie uporaliście się z chuliganami? - zapytał Udałow.

- Uporaliśmy się - odpowiedział Popsi-kon. - Chuliganów prawie nie ma. Żyjemy spokojnie, zajęci pracą i twórczością.

Ale dla niewtajemniczonego jedna sprawa może być niebezpieczna...

Popsi-kon nie zdążył dokończyć - właśnie wchodzili do pokoju gościnnego, w którym czekali na nich domownicy. Udałow zaczął się witać.

Najpierw podeszła do niego mała dziewczynka i powiedziała:

- Dzień dobry. Jak lot? Nie trzęsło?

- Dziękuję, skarbie - odpowiedział Udałow. - Lot był wspaniały. Chodzisz już do szkoły? - Odszukał w kieszeni spodni trufkę i dał dziecku.

Dziewczynka zachichotała i wzięła cukierka.

- Nie pisałeś, że masz córeczkę - powiedział Udałow do gospodarza.

- Córeczkę? Skąd - odpowiedział Popsi, uśmiechając się serdecznie. - Pozwól, że ci przedstawię mojego ojca.

Dziewczynka ukloniła się grzecznie i, ściskając w ręku cukierka, wybiegła z pokoju.

Udałow odchrząknął, ale nie zdążył przetrwać tej wiadomości - wyciągając rękę podszedł do niego surowy starzec z siwą brodą zaplecioną w warkoczyki.

Ściskając rękę starca, Udałow usłyszał słowa Popsi:

- To moja młodsza siostra, KucyLIA-kop.

- Dzień dobry - powiedział Udałow, przypatrując się starcowi. Zastanawiał się, czy broda

młodszej siostry jest prawdziwa, czy to tylko ozdoba.

- A twoja żona... - zaczął Korneliusz.

- Oto moja żona, poznajcie się - powiedział Popsi-kon, wskazując wielkiego rudego psa, który siedział na krześle.

Pies podniósł przednią łapę i Udałow nie mógł jej nie uścisnąć. Czuł przy tym niejakie rozdrażnienie - podejrzewał, że wszyscy bezlitośnie go nabierają.

- Nie chciałbym, żebyś nas źle zrozumiał... - zaczął Popsi, ale Udałow przerwał mu, wskazując siedzącą w klatce białą papugę.

- A to twój dziadek?

- Nie - odpowiedziała papuga, odsuwając łapką haczyk przy drzwiczkach. - Nazywam się Klopsi-kon, jestem wujem Popsi-kona.

- Jasne - powiedział Udałow, nie skrywając sarkazmu. - Masz jeszcze jakichś krewnych?

- Tak - odpowiedziała elegancko ubrana dziewczyna, wychodząc zza portiery. - Może się pan do mnie zwracać Kuksi.

- Jest pani jego dziadkiem? - zapytał zjadliwie Udałow.

- Nie - uśmiechnęła się dobrodusznie Kuksi. - Jestem jego siostrzenicą.

- No, przynajmniej tutaj wszystko jasne - ucieszył się Udałow. Mimo woli zapatrzył się na dziewczęcy rumieniec Kuksi.

- Nakryłam już do stołu - powiedziała Kuksi. - Myjcie szybko ręce, bo ostygnie.

Popsi zaprowadził Udałowa do toalety, gdzie Korneliusz szybko doprowadził się do porządku, zastanawiając się gorączkowo, czy ma się obrazić na Popsi za ten żart, czy też sam zażartować. Ciągle nie mogąc się zdecydować, Udałow wrócił do stołu, gdzie zebrali się już wszyscy jego nowi znajomi, dwójka dzieci, które oświadczyły, że są ciotkami Popsi, oraz wielki rudy kot, który przedstawił się basem jako kuzyn żony Popsi z pierwszego małżeństwa.

Kuksi troskliwie dbała, żeby Udałow miał pełny talerz, a Popsi i reszta rodziny zabawiali go rozmową. Byli przy tym tak rozmowni, że Korneliuszowi nie udało się zadać ani jednego pytania, ale panująca przy stole atmosfera była tak serdeczna i przyjacielska, że poczuł się jak u siebie w domu. Przy kawie kot z papugą zaśpiewali Udałowowi pieśń narodową, a dziewczynka-ojciec zatańczyła czeczotkę. Udałow postanowił, że na razie powstrzyma się od pytań - różne mają ludzie obyczaje i różnie nazywają swoich krewnych i zwierzątka. Na przykład, sąsiadka Udałowa, Gawriłowa, kupiła sobie psa rasy bokser, a nazywa go koteczkiem.

Po obfitym obiedzie Udałow zrobił się senny. Popsi zaprowadził go do niewielkiej, przytulnej sypialni i zostawił samego.

Udałow spał spokojnie. Śniło mu się, że podeszła do niego szafa i mówi:

- Jestem twoją żoną Ksenią, nie poznajesz mnie, pieseczku?

- Nigdy bym nie przypuszczał, że jesteś z mahoniu - odparł zakłopotany Udałow.

- Nic się nie martw, to tylko fornir - mówi na to szafa.

- A co z domem? - zaniepokoił się Udałow. - Kto będzie gotować obiady, zajmować się dziećmi?

- Wszystko będzie dobrze - odpowiada szafa. - Działaj, zajmuj się, a ja sobie postoję.

Udałow przygotowany był na kolejne cuda i dlatego nie zdziwił się specjalnie, gdy przy śniadaniu okazało się, że rodzina Popsi-kona wygląda inaczej niż wczoraj. Samego Popsi-kona Udałow poznał od razu, ale na przykład miła Kuksi przybrała postać tłustej małpy i śmiała się, gdy Udałow próbował odgonić ją od stołu, żeby zwierzę nie ściągnęło placków.

Którzy krewni Popsi w ciągu nocy zmienili wygląd, a którzy pozostali w swojej starej skórze, tego Udałowowi nie udało się wyjaśnić, zresztą nawet się specjalnie nie starał. Jak zechcą, to sami powiedzą.

Po śniadaniu Popsi-kon zaprowadził Udałowa do muzeum.

- Trochę tu u nas nudno - powiedział, gdy szli przez cienisty park. - Mała liczba ludności, poziom życia wysoki, a kultura słabo rozwinięta. Nudno.

- Posłuchaj, co się tu u was dzieje? - nie wytrzymał Udałow. - Najpierw dziewczyna, potem małpa?... Brak stabilności, czy co?

- Tak - powiedział Popsi-kon. - To właśnie z nudów. Kuksi jest chyba ze trzy razy grubsza ode mnie. Co prawda, dawno jej nie widziałem.

- A gdzie jej prawdziwy wygląd? Wisi w szafie?

- Kto to wie...

- Trudno wrócić do własnego wyglądu?

- Łatwo nie jest - zgodził się Popsi-kon.

- A co z przestępczością? Przecież to raj dla kryminalistów! Ludzie ciągle zmieniają wygląd, łatwo się ukryć.

- No, z tym dajemy sobie radę - zaprotestował Popsi. - Wyśledzić takiego zawsze można...

Z naprzeciwka szła grupa młodych ludzi. Na widok egzotycznie ubranego i egzotycznie wyglądającego Udałowa młodzi ludzie zatrzymali się, jak na komendę wyjęli z kieszeni piłeczki wielkości włoskiego orzecha i uśmiechając się, wyciągnęli je w stronę Udałowa.

Udałow popatrzył niepewnie na Popsi-kona.

- Nie mam nic na wymianę - powiedział.

- I nie trzeba - odpowiedział Popsi-kon i kazał młodym ludziom iść w swoją stronę.

Ci schowali piłeczki do kieszeni i posłusznie poszli dalej.

- Nieładnie wyszło - zmartwił się Udałow. - Nie obrazili się?

- Nie. Jesteś przecież cudzoziemcem, wkrótce wyjeżdżasz.

- To mnie nie usprawiedliwia - powiedział Udałow. - Trzeba było wziąć ze sobą jakieś znaczki, pamiątki...

Na ulicy obok muzeum ktoś zawołał Udałowa.

- Hej! - powiedziało nieduże, rozłożyste drzewo. - Zamieniamy się?

I wysunęło w stronę Udałowa cienką gałązkę, w której zaciskało piłeczkę.

- Nic z tego - odpowiedział Udałow. - Nie mam nic na wymianę. W muzeum Udałowa pochłoneły doznania estetyczne. Popsi-kon szedł obok przyjaciela i cieszył się, że mu się podoba. Wszystko szło normalnie, dopóki w jednej z sal nie wpadli na wycieczkę, którą oprowadzała potężna, pulchna kobieta z grzywą rudych włosów.

- Jaka piękna! - zawołał Popsi-kon.

- Podoba ci się? - zapytał Udałow. - No cóż, nie w moim guście.

- To moje marzenie - przyznał się Popsi.

- W takim razie poznaj się z nią - zaproponował Udałow. - Jeśli żona nie ma nic przeciwko temu...

- Nie ma - odpowiedział Popsi. - Jeśli się nie mylę, jest dzisiaj kolejarzem-weteranem. A ty się nie obrazisz? W sumie, zasady gościnności...

- Zapomnij o tym - uspokoił go Udałow. - Gościnność nie ma tu nic do rzeczy. Najważniejsza w

człowieku jest dusza. Formalności pozostawmy dyplomatom.

Te słowa przekonały Popsi-kona. Podeszedł do przewodniczki i wyjął z kieszeni kulkę.

Przewodniczka uśmiechnęła się do Popsi-kona i powiedziała do wycieczki:

- Przepraszam na chwilę.

Jakie to u nich wszystko proste. Nawet nie zdążyli poznać się jak należy. I przed jego żoną jakoś tak niezręcznie...

Udałow dyskretnie odwrócił się i zaczął przyglądać się obrazowi przedstawiającemu żniwa. Zachwycał się nim przez jakieś dwie minuty, nie dłużej. Do rzeczywistości przywróciło go czyjeś delikatne dotknięcie w ramię. Ręka była duża i miękka. Udałow obejrzał się. Obok niego stała przewodniczka.

- Chodźmy - powiedziała. - Chciałbym ci, Korneliuszu, pokazać salę rzeźby współczesnej.

Spojrzenie Udałowa padło na wycieczkę. Jego przyjaciel Popsi wychodził z sali, prowadząc za sobą grupę i nawet się nie obejrzał. Udałow odepchnął kobietę i rzucił się do wyjścia.

- Popsi! Popsi, gdzie idziesz?

Popsi zniknął, a imponująca kobieta mocno złapała Udałowa za rękaw.

- Proszę mnie puścić! - zawołał Korneliusz. - Zostawiłem żonę na Ziemi. Nie mogę...

- Ach, Korneliuszu, Korneliuszu - powiedziała kobieta nie rozluźniając chwytu. - Przecież nie miałeś nic przeciwko...

- Przeciwno czemu? - zdziwił się Korneliusz. - O niczym nie rozmawialiśmy. Pierwszy raz panią widzę na oczy.

- Nie - sprzeciwiła się kobieta. - Poczekaj, wszystko ci wyjaśnię. Siadaj.

- A mój Popsi w tym czasie gdzieś mi zniknie? Ja w tym mieście sam nawet do domu nie trafię.

- To właśnie ja jestem twoim Popsi - zaszemrała pulchna kobieta.

- A tam?

- A tam jest przewodniczka. Jestem ci wdzięczny, Korneliuszu, że pozwoliłeś mi urzeczywistnić moje marzenie - pobyc w ciele prawdziwej piękności...

- Proszę mi wytłumaczyć... - Udałowowi trudno było przejść z tą kobietą na ty, mimo że pretendowała do roli jego przyjaciela.

- Korneliuszu, sam przecież powiedziałeś, że najważniejsza w człowieku jest dusza. Zmieniłem tylko cielesną powłokę. Mój umysł, moje uczucia pozostały nie zmienione. Odbieram teraz świat jak przewodniczka, postrzegam wszechświat, wzbogacając się o nowe odczucia i wrażenia. Ale wewnątrz to ciągle ja, Popsi-kon, twój przyjaciel. Jeśli nadal mi nie wierzysz, to posłuchaj: nazywasz się Korneliusz Udałow, mieszkasz w mieście Wielki Guslar, na ulicy Puszkina, w domu numer szesnaście, gdzie jeszcze niedawno razem z twoją żoną Ksenią i twoim sąsiadem Grubinem piłem herbatę. Chyba sam rozumiesz, że na całej Palistracie tylko ja, Popsi-kon, mogę o tym wiedzieć.

- Przekonałeś mnie - powiedział Udałow. - A jednak to dziwne. I mógłbyś z takim wyglądem wyjść za mąż?

- Oczywiście, że mógłbym. Ale to się zdarza niezwykle rzadko. Przecież dzięki wynalazkowi naszego wielkiego uczonego, zmarłego Ksikake-kona, który wymyślił generator zamiany - Popsi-kon pokazał Udałowowi kulkę wielkości włoskiego orzecha - zamieniamy się ciałami wyłącznie dla rozrywki. Z nudów w głowach nam się przewraca. Można powiedzieć, że zamiana ciał to u nas najbardziej popularne hobby.

- A więc oni wszyscy proponowali mi zamianę na ciała! - wykrzyknął Udałow. - A ja myślałem, że chodzi o pamiątki...

- Nie chciałem cię wciągać w nasze rozrywki - powiedział Popsi-kon, poprawiając pukiel włosów, który spadł mu na czoło. - Musisz wrócić na Ziemię i chciałbym, żebyś wracał w swoim własnym ciele. Oczywiście, każdy by chciał побыć w skórze człowieka z innej planety. A potem szukaj Udałowa...

- Miałeś rację - powiedział Udałow - że chciałeś mnie przed tym uchronić.

- Zdarza się, że jak ciało pójdzie w obieg... Mówi się, że centrum ataku w naszej drużynie piłkarskiej jest w każdym meczu inne. I dlatego kiepsko u nas z piłką nożną - brakuje psychologicznej stabilizacji. Niektóre ciała są szalenie deficytowe. Piłkarzem, aktorem każdy chciałby być. Dopłacają ogromne pieniądze...

- A premierem? - zapytał Udałow.

- Członkowie rządu nie mogą. Zostało zabronione.

- I słusznie. - powiedział Udałow.

Korneliusz spojrział na przyjaciela i wbrew woli zapatrzył się we wspaniałą białą kobiecą szyję. Poczul się niezręcznie. Speszył się.

- A tobie, Korneliuszu, radzę uważać - powiedział Popsi-kon. - Powtarzam, chętnych będzie wielu...

- Nie! - wykrzyknął z przekonaniem Udałow. - W żadnym wypadku.

Ale już w drodze do domu zaczęły targać nim wątpliwości. Pokusa była ogromna. Można by przecież spróbować - na chwileczkę, na dziesięć minut - i z powrotem. Poprosić kogoś znajomego - chociażby Popsi-kona...

Poprosić Popsi-kona Udałow nie zdążył - doszli już do domu i okazało się, że do Popsi jest telefon. Udałow poszedł do pokoju gościnnego i usiadł w fotelu. Przepęłniały go myśli i uczucia. Zdecydował, że poczeka, aż Popsi będzie wolny, i wtedy poprosi go, żeby pożyczył mu na chwileczkę swoje ciało...

W tym momencie do pokoju wszedł stary garbus w czarnym smokingu.

- Dzień dobry, Korneliuszu Iwanowiczu - powiedział.

- Przepraszam - odpowiedział Udałow - nie wiem, z kim mam przyjemność...

- Jestem Puksi, młodszy syn Popsi - powiedział garbus, gładząc wąsy. - Mam już dziewięć lat i pozwolono mi na zamianę.

- No i jak? - zapytał Udałow. - Podoba ci się?

- Strasznie śmiesznie - odpowiedział chłopiec. - Chcę pójść tak do szkoły. Chociaż jak wczoraj Kraukso-konik przyszedł do szkoły jako baletnica, to go wyrzucili z klasy. Myśli pan, że mnie też wyrzucą?

- Nie wiem - powiedział Udałow. - Ja bym wyrzucił.

- A gdybym wyglądał jak kosmita? - Jak kto?

- Jak pan! Na naszej planecie tylko pan ma taki wygląd. Pożyczy mi pan swojego ciała?

- Nie - powiedział Udałow. - Jeszcze byś je zgubił.

- A gdybym nie wychodził z domu? - zapytał chłopiec.

- Nie... - ale w głosie Udałowa nie było już poprzedniej pewności.

- Może panu nie podoba się moje ciało? To ja się zaraz zamienię. Mam przyjaciela, mieszka w sąsiednim domu...

- A jak on wygląda? - Udałow zamarł, czując przedsmak przygody.

Ale garbus z żywością dziwną u dotkniętego kalectwem starego człowieka już wybiegł.

W domu było cicho. Papuga, którą nie wiadomo kto z domowników teraz zamieszkiwał, spokojnie drzemała na żerdzi, w kuchni brzęczały naczynia, obok zabzyczała mucha. Udałow chciał ją zabić, ale się przestraszył. A jeśli to wybitny skrzypek?

Po jakichś trzech, minutach do pokoju wbiegła piętnastoletnia kędzierzawa dziewczynka. Trzymała w ręku kulkę. Wyciągnęła ją stronę Udałowa:

- To generator dla pana, pożyczyłem go. Zamieńmy się szybko, bo zaraz przyjdzie tata. To mu się nie spodoba.

- To ty, Puksi? - zapytał Udałow. - Jakoś mi tak niezręcznie...

- No szybciej, szybciej - skrzywiła się dziewczynka.

- I od razu z powrotem - powiedział Udałow:

- No pewnie, tylko spróbuję i od razu z powrotem. Udałow wziął kulkę i zacisnął w palcach. Kulka była ciężka i chłodna. Dziewczynka wyjęła z kieszeni sukienki taką samą kulkę, wyciągnęła rękę i dotknęła nią kulki Udałowa. Korneliuszowi na moment pociemniało w oczach, zmrużył je, potem otworzył i zobaczył, że nie stoi już twarzą do drzwi, tak jak przed chwilą, tylko plecami, a przed nim - znajomy korpulentny mężczyzna w średnim wieku z rzadkimi pszenicznymi włosami wijącymi się na skroniach i okrągłą twarzą bez wyrazu. Udałow zamarł ze strachu i zachwytu. Mój Boże, przecież to ja! Co za postęp!

Kulka ziębiła dłoń.

- Niech pan ją schowa, bo zginie - powiedziało do niego ciało Udałowa, w którym krył się teraz synalek Popsi-kona.

Udałow spojrzał na swoją dłoń i zdziwił się, że jest taka wąska i blada. Typowa łapka nastolatki. Schował kulkę do kieszeni w spódnicy - palce same do niej trafiły. Zaraz potem ręka sięgnęła do czoła i znalazła tam gęste dziewczęce kędziory.

- Co za osiągnięcie! T - zawołał Udałow. Głos miał teraz cienki i delikatny.

Puksi odezwał się głosem Udałowa:

- To najlepsza rozrywka na świecie. Chciałbym pójść tak jutro do szkoły! A może podoba się panu bycie dziewczyną? Jak tylko wrócę ze szkoły...

- Nawet o tym nie myśl! - powiedział Udałow cieniutkim dziewczęcym głosikiem. - Wszystko powiem ojcu.

W korytarzu dały się słyszeć ciężkie kroki.

- Ojej, to on! - zawołał Udałow-Puksi.

Rzucił się do otwartego okna, przeskoczył przez parapet i zniknął. Udałow-dziewczynka skoczył za nim i zobaczył, jak jego rodzone ciało przedziera się przez krzaki.

- Stój! - krzyknął. - Oddaj ciało!

- Kim jesteś, dziewczynko? - zapytała przewodniczka.

Udałow odwrócił się. Ścisnęło mu się gardło i strasznie zachciało mu się płakać. Zapewne właścicielka ciała była beksą. Spróbował przypomnieć sobie, gdzie ma chusteczkę do nosa. Ręka dotknęła dziewczęcego biodra i z przerażeniem odskoczyła...

- To ty, Korneliuszu? - zapytał Popsi-kon.

- Możliwe - powiedział Udałow. - Nie wiem.

- Z kim się zamieniłeś?

Z dziewczęcych oczu Korneliusza trysnęły łzy. Wymamrotał:

- To twój syn... Powiedział, że tylko na chwilę...

- No, uspokój się - pulchna kobieta objęła dziewczynkę za wąziutkie ramionka i przytuliła. -

Złapiemy go, nie bój się!

- A jak nie złapiemyyyyyy...

Płynące dwoma gorącymi potokami łzy dosłownie dusiły Udałowa.

- Sam jesteś sobie winien - powiedział Popsi. - Ostrzegałem cię!

- Ale ja tylko na chwileczkę... On obiecaaaaał...

W pokoju gościnnym zebrali się już wszyscy domownicy. Przeklinali niemądrego chłopca i głęboko współczuli nieszczęsnemu gościowi. Mimo to Udałow ciągle nie mógł się uspokoić. Wtedy gruba małpa, w której nie wiadomo kto aktualnie przebywał, powiedziała:

- Drogi Korneliuszu Iwanowiczu, obiecujemy, że znajdziemy tego wstrętnego chłopaka i odbierzemy mu twoje ciało. A teraz osobiście radzę ci korzystać z sytuacji, w jakiej się znalazłeś.

- To znaczy? - chlipnął Udałow.

- Idź sobie na spacer, rozkoszuj się pogodą i swoją młodością, wachaj kwiaty, poczuj, jak wyostrzyły się i wyczuliły wszystkie twoje zmysły.

- Słusznie - powiedział Popsi-kon. - Idź, przyjacielu, pospaceruj trochę. Jesteśmy nie mniej winni od ciebie i nie opuścimy cię w nieszczęściu...

TF i'lii, - To nie jest żadne nieszczęście! - wykrzyknęła papuga. - Popatrzcie na to w ten sposób, że Udałow przyłączył się do naszej zabawy.

Udałow wstał z krzesła, poprawił spódniczkę i stukając obcasikami poszedł do wyjścia. Rzeczywiście, pomyślał, wszystko na pewno jakoś się ułoży. Przecież nie wyrzuci mojego ciała na śmietnik, pokaże kolegom i odda. A na razie... Jaki inny Ziemianin miał okazję pospacerowania w dziewczęcym ciele?

W sadzie Udałow przystanął przed kwitnącym krzakiem róży. Patrząc na jedwabiste płatki, na sprężyste pąki, po raz pierwszy w życiu poczuł delikatność aromatu i wyszukaną doskonałość kwiatów. Mój Boże, jakie to piękne! - pomyślał. Co ja robiłem przez te czterdzieści lat? Dlaczego nigdy wcześniej nie zwróciłem uwagi na niewiarygodny rysunek żyłek na zielonym liście, na pewną skończoność trajektorii lotu pszczoły? Dlaczego nigdy wcześniej nie rozumiałem piękna przyrody? Oto idzie chłopiec, czarne, włosy burzy mu wiatr, jego błękitne, głębokie oczy zatrzymują się na mnie, chłopiec zwolnił kroku, wpatruje się w moją twarz. Czyżbym się czerwienił?...

Udałow gwałtownie odwrócił się od chłopca. Do diabła, co mu chodzi po głowie! i .

Z okna wychyliła się ruda głowa Popsi-kona - Udałow! - zawołał. - Obdzwaniamy jego przyjaciół. Nie mógł daleko uciec. U jednego już był, ale odmówił zamiany. Co? - Popsi-kon odwrócił się do kogoś wewnątrz pokoju i zniknął.

Udałow mimo woli spojrzął na czarnowłosego młodzieńca. Motyl, huśtając się elegancko w strumieniu wonnego powietrza, przysiadł na kwiatku. Udałow zapatrzył się na niego.

Na parapet wskoczyła tłusta małpa.

- Nieszczęście! - powiedziała. - Dopiero co dzwonili! Ten łobuziak zamienił się twoim ciałem z przyjaciółką. Pościg trwa!

Udałow nie odpowiedział.

Czy to nie wszystko jedno, w jakiej powłoce człowiek przebywa? - dumiał. Życie jest tak różnorodne, trzeba poznawać jego tajemnice, dopóki człowiek jest młody i może jeszcze cieszyć się

zmianami.

Udałow poprawił spódniczkę i powoli, rozkwitając dziewczęcym rumieńcem, podszedł do młodzieńca.

- Dzień dobry - powiedział. - Mieszkasz tutaj?

- Tak - odpowiedział młodzieniec załamującym się basem.

- Może poszlibyśmy do kina? - zapytał Udałow.

- Nie - odpowiedział młodzieniec. - Chciałbym cię prosić o coś innego.

- A jak masz na imię? - zapytał Udałow drżącym głosem.

- Poczekaj - młodzieniec zaciągnął Udałowa za krzaki, żeby nie zobaczono ich z okien.

Udałow posłusznie poszedł za młodzieńcem, drżąc na myśl o słowach, które zaraz usłyszy. O dziwo, to wewnętrzne drżenie było przyjemne.

- Słuchaj - powiedział młodzieniec, wyjmując z kieszeni generator. - Jesteś w moim ciele. A ono jest mi strasznie potrzebne. Mój przyjaciel jest wrogiem zamian i powiedział, że przestanie się ze mną zadawać, jeśli za każdym razem będę wyglądać inaczej. Już trzeci dzień się szukam...

- Jesteś dziewczyną? - zapytał Udałow. - A ja myślałem...

- Proszę cię, oddaj mi ciało - powiedział błękitnooki młodzieniec. - Co ci za różnica, i tak nie jest twoje. Chcesz, to ci dopłacę...

- Jakże bym mógł! - oburzył się Udałow. - Niedawno do was przyjechałem, przedwczoraj, sam szukam wszędzie mojego ciała... Doskonale cię rozumiem!

Udałow wyciągnął kulkę, dotknął nią kulki młodzieńca i zamienili się ciałami. Ale trzeba przyznać, że Korneliuszowi było trochę żal, że młodzieniec okazał się dziewczyną...

W nowym ciele mieszkało się całkiem przyjemnie - ciało kipiało energią, chciało skakać, biegać i działać. Na pożegnanie Udałow uściśnął dziewczynie rękę (palce, tak niedawno należące do niego, były delikatne i kruche) i życzył jej szczęścia w życiu osobistym.

A co teraz? Wracać do domu i czekać na telefon?

Podszedł do okna, zajrzał do środka i zapytał małpę:

- Wiadomo coś nowego? Małpa zdziwiła się.

- Kim jesteś?

- Udałow.

- Znowu się zamieniłeś? No, no!

- Bardzo mnie o to proszono - powiedział Udałow.

Do pokoju wszedł Popsi-kon, ciągle wyglądający jak przewodniczka. Udałow przedstawił mu się. Popsi był przygnębiony.

- Twoje ciało zostało przekazane dalej. Mój syn ukrywa się - nie wiadomo gdzie i nie wiadomo pod jaką postacią. Zaraz damy ogłoszenie do radia i telewizji. Tylko się nie denerwuj!

- Nie denerwuję się - powiedział Udałow.

Ale tak naprawdę trochę się denerwował. Nowość sytuacji przestała już go podniecać. Do serca zakradł się strach, który wieczorem jeszcze się zwiększył, gdy okazało się, że na nadane w telewizji wezwanie nikt się nie zgłosił, a latorośl Popsi-kona, która wróciła do domu w ciele słoniątka i dostała okrutne lanie, powiedziała, że nie może w niczym pomóc.

Nowe ciało Udałowa ciągle domagało się jedzenia i ruchu. Udałow się go wstydził. Do południa następnego dnia ukrywał się w domu, powstrzymując ciało przed próbami wyrwania się na szeroką przestrzeń. Popsi-kon pocieszał przyjaciela jak umiał. Ale czy mogą pomóc pocieszenia, jeśli

człowiek ma bujną wyobraźnię i oczyma duszy widzi reakcję żony Kseni na widok młodzieżowego wyglądu swojego męża? A co powiedzą w pracy? A jeśli jego ciało już utonęło? Albo spadło z jakiejś góry? Sytuacja zaczynała wyglądać krytycznie.

Po obiedzie, gdy wszyscy domownicy spali, Udałow wyszedł na ulicę. „Własny niepokój i niecierpliwość młodego ciała, które miało ochotę trochę się rozruszać, nie pozwalały mu usiedzieć na miejscu. Udałow hamował się, żeby nie zacząć biec i nerwowo się rozglądał - ciągle miał nadzieję, że uda mu się przypadkiem spotkać własne ciało.

Przypatrywał się twarzom i myślał: wszystko na świecie jest tylko maską. Na Ziemi też tak bywa: ktoś wygląda jak łajdak, a w rzeczywistości trudno o szlachetniejszego człowieka, pod maską pięknej kobiety czai się kobra... I skąd można wiedzieć, z kim ma się do czynienia? Pozostają tylko czyny... Zaraz, to przecież ja!

Udałow rzucił się za okrągławym mężczyzną w czarnych okularach.

- Stój! - krzyknął, rozpychając przechodniów. - Stój!

Złapał człowieka za połą płaszcz i pociągnął do siebie.

Twarz w czarnych okularach spojrzała na niego ze zdziwieniem i Udałow, zrywając te okulary, zrozumiał, że tragicznie się pomylił - Nieznajomy miał na zębach złote koronki. Udałow nigdy by sobie na coś takiego nie pozwolił.

- Przepraszam - powiedział ze smutkiem, zwracając właścicielowi czarne okulary. - Wziąłem pana za siebie.

- Zgubił pan ciało? - zapytał współczująco przechodzień. - To problem, który staje się coraz częstszy i coraz bardziej poważny. Własne ciało okazuje się potrzebne przy wyjazdach za granicę, w sądzie, na egzaminach, podczas odbywaniu służby wojskowej bądź przy zawieraniu małżeństwa. A niektórzy lekkomyślni osobnicy pozwalają swojemu ciału zagać. Nie, najwyższy czas coś z tym zrobić!

- Absolutnie się z panem zgadzam! - zawołał Udałow. - Ja, na przykład, mam czterdzieści lat, w dodatku jestem nietutejszy...

- Uległ pan pokusie! - westchnął przechodzień. - Ja również... I widzi pan, jak to się skończyło?

- Jak?

- Kuleję. Nogę gdzieś mi uszkodzili, nawet nie wiem, w jakich okolicznościach. Niech pan spojrzy: i ręka oparzona, i oko podbite, muszę chodzić w ciemnych okularach...

- A moje ciało wzięli chłopcy - powiedział Udałow.

- No nic, może wszystko będzie dobrze - uspokajał go przechodzień.

- Chciałbym mieć swoje ciało z powrotem... - powiedział Udałow. - Co z tego, że czasem dokuczał mi żołądek albo ząb... przyzwyczałem się, wie pan, przez te czterdzieści lat. Jak nie znajdę swojego ciała, to chyba wezmę takie jak pańskie. Przynajmniej nie będzie mi wstyd przed żoną i dziećmi.

I Udałow poszedł dalej ulicą, rozdarty pomiędzy kipiącym energią młodym ciałem i dojmującą goryczą serca.

- Niech pan poczeka! - dogonił go krzyk przechodnia. -, Nie mogę patrzeć na pańskie cierpienie. Pomogę panu. Proszę brać!

- Co mam brać?

- Moje ciało. Nie pierwszej świeżości, ale zawsze... Jeśli tylko panu pomoże...

- Dziękuję - powiedział szczerze Udałow. - Serdecznie dziękuję. Jest pan prawdziwym

Człowiekiem pisany wielką literą.

Dwie minuty później Udałow kontynuował przechadzkę w starszawym, cierpiącym na bóle wątroby i zadyszkę ciełe przechodnia.

Poprzez ciemne okulary trudno było rozróżnić kolory, noga nie chciała się słuchać i przez cały czas próbowała się ugiąć. Uczucie wdzięczności do przechodnia stopniowo ustępowało miejsca podejrzliwości. Coś to ciało miało za wiele mankamentów. Właściwie ledwo, ledwo się ruszało. A jeśli nikt nie zechce go wziąć? - martwił się Udałow. Co wtedy? Iść na emeryturę i resztę życia spędzić w sanatoriach i szpitalach? Ale się narobiło! Żeby wiedział, nigdy bym tu nie przyleciał. A mówiła Ksenia - w domu siedź, nic dobrego z tych twoich kosmicznych przygód nie będzie!

Kajając się i oddając smutnym rozmyśleniom, Udałow doszedł do płynącej na przedmieściach miasta rzeki. Nad wodą siedziało kilku wędkarzy, ktoś się kąpał, ktoś opalał na brzegu.

Udałow patrzył na to wszystko ze smutkiem, zastanawiając się, czy ma wrócić do domu, czy utopić się w tej rzece.

I wtedy przypadkiem spojrzął na przeciwległy brzeg.

Nie wierzył własnym oczom.

Jego własne ciało, obnażone, w znajomych niebieskich slipkach opalało się na brzegu, przymykając powieki i zwracając tę tak znajomą i w sumie sympatyczną twarz w stronę słońca.

- Korneliusz! - zawołał samego siebie i od razu umilkł: przecież aktualny właściciel jego ciała nie podejrzewa nawet, że nazywa się Korneliusz Udałow.

Przeklinając swoją chorowitą powłokę, Udałow zbiegł do wody.

- Obywatelu! - zawołał.

Właściciel jego ciała nie odpowiadał, najwidoczniej spał i nie słyszał.

Jak się przedostać na drugi brzeg?

- Chłopczyku! - zawołał Udałow do dzieciaka, który pluskał się w wodzie. - Nie chcesz trochę pobyć dorosłym? Dam ci swoje ciało.

- Takie? - zapytał pogardliwie chłopiec. - A co ja z nim będę robił? Ono nic nie umie.

- Tylko na chwileczkę. Strasznie mi zależy!

- Zapomnij - odpowiedział chłopiec i zanurkował. Kogo poprosić o pomoc?

Zrozpaczony Udałow zaczął się rozbierać, chciał spróbować przepłynąć rzekę sam, chociaż instynkt i przeczucie mówiły mu, że jego nowe ciało nigdy nie umiało pływać.

Nie wiadomo, jak by się to wszystko skończyło, gdyby nad Udałowem nie zlitował się jeden z wędkarzy i nie przewiózł go na drugi brzeg łódką.

Ciało Korneliusza spokojnie drzemało na słońcu. Udałow nachylił się nad nim, szczerze zachwycony łysiną, kędziorkami na skroniach i malutkim pieprzykiem na policzku. Nigdy by nie przypuszczał, że własne ciało tak go zachwyci...

Właściciel ciała poczuł na sobie badawczy wzrok Udałowa i otworzył oczy.

- Kim pan jest? - zapytał.

- Nazywam się Udałow - powiedział Korneliusz. - Przyszedłem po moje ciało.

- Nie zamieniam się - powiedział właściciel i przewrócił się na bok.

- A to dlaczego? - zdziwił się Udałow. - Muszę lecieć do domu. Jak ja tak wrócę, w cudzej skórze?

Właściciel przymknął oczy, ignorując prośby Udałowa. Wokół nich zaczęli się zbierać ludzie. Wędkarz, który przywiózł Udałowa z tamtego brzegu, przyszedł mu z pomocą.

- To gość, rozumie pan? - powiedział. - Pańskim obowiązkiem jest zwrócenie mu ciała.

- Nie - powiedział właściciel ciała. - Za nic! Drugiego takiego nie zna j de!

- Ale dlaczego? - wykrzyknął Udałow.

- Dlatego że jestem Kjujuksi-kon.

Przy tych słowach właściciel ciała otworzył oczy, usiadł i potoczył Udałowymi wzrokiem po tłumie ciekawskich. Tłum zaszemrał z szacunkiem.

- Kto to taki, ten Kjujuksi-kon? - zapytał Udałow.

- To największy pisarz naszych czasów!

- No i co z tego? - zdziwił się Udałow. - Jak taki wielki, to już nie musi oddawać ciała?

- Niech pan zrozumie - powiedział Kjujuksi-kon do Udałowa. - Mój ogromny talent pozwala mi wczuć się w cudzą osobowość i przelać nowe wrażenia i odczucia na papier w przekonujących słowach. Do mojej nowej genialnej powieści potrzebny mi jest prawdziwy kosmita. Pańskie ciało udało mi się zdobyć dzisiaj rano. Teraz jest pan bohaterem przyszłego arcydzieła. Rozumie pan?

- Nie mam zamiaru niczego rozumieć - rzekł ostro Udałow. - Proszę mi oddać ciało. Zapłacę panu.

- Pieniądze nie są mi potrzebne - powiedział pisarz. - Pragnę sławy.

- No jak tak można! - oburzył się Udałow, zwracając się do tłumu. - Pomóżcie, obywatele, postawcie się na moim miejscu!

Ale nikt nie współczuł Udałowowi. Wszyscy z zachwytem wpatrywali się w swojego znamienitego rodaka i przepychali się, żeby ucisnąć mu rękę, Udałową rękę. Udałow miał ochotę krzyknąć: „Ostrożnie! Połamiecie mi palce!”.

W tym momencie z góry dobiegło brzęczenie. Lądował helikopter. Wyskoczył z niego zdenerwowany Popsi-kon.

- Jest tutaj! - zawołał Popsi-kon, rzucając się do Udałowego ciała.

...Pertraktacje z wielkim pisarzem dotyczące zwrócenia ciała przeciągnęły się do północy. Najpierw rozmawiali na plaży, potem w domu Popsi-kona, wreszcie w willi pisarza, przy butelce wina. Stało na tym, że pisarz zwróci Udałowowi ciało w przeddzień jego wyjazdu, a na razie będzie z niego korzystał, żeby móc wcielić się w postać. Tej nocy Udałow i pisarz tak się zbliżyli, że długo spacerowali objęci po cichych ulicach i śpiewali pieśni rosyjskie oraz palistratowskie. Prowadząc sam siebie pod rękę, obejmując się za ramiona i zaglądając w swoje własne pijane oczy, Udałow czuł się dziwnie, ale przyjemnie.

Pisarz uczciwie zwrócił Udałowowi jego powłokę w wyznaczonym terminie, a te dwa tygodnie Udałow, uspokojony, spędził oddając się rozrywkom. Wystarczy powiedzieć, że zwiedził osiem muzeów, trzy razy był w teatrze, dwa w restauracji, pięć razy zażywał kąpiele morskich i, co najciekawsze, osiem razy, już bez obaw, zmieniał cielesną powłokę, w tym przez pół godziny był tygrysem, latał nad morzem w skórze albatrosa i dla żartu obiecał rękę i serce jednemu prowincjuszowi, będąc w ciele pięknej modelki.

Udałową odprowadzał nie tylko Popsi-kon z rodziną, ale również nowi przyjaciele - głównie ci, w których ciele Udałow przebywał. Synek Popsi strasznie go przeproszał i Udałow wyczałował go na pożegnanie - co było o tyle przyjemne, że właśnie ten hultaj odziedziczył ciało modelki...

Ksenia przywitała Udałową bardzo czule - nic dziwnego, przywiózł całą walizkę prezentów. Podgrzewając obiad, zaczęła wypakowywać walizkę, a Udałow usiadł, żeby przejrzeć gazety z ostatniego miesiąca - miał duże braki w polityce i sporcie.

- A to dla kogo? - usłyszał Korneliusz głos żony. - Co to jest, owoce?

Ksenia trzymała w ręku dwie kulki. Trudno teraz powiedzieć, czy Udałow zapomniał oddać generatory, czy też włożył je do walizki, mając nadzieję skorzystać z nich podczas następnego pobytu na Palistracie.

- Odłóż - powiedział. - To obca technika.

- Technika? - powiedziała podejrzliwa z natury Ksenia. - Jak obca, to po co przywiozłeś? Gadaj mi zaraz!

- Jak by ci to wytłumaczyć... To taka niewinna zabawa... - Udałow odłożył gazetę „Radziecki Sport” i w skrócie opowiedział żonie o dziwnych obyczajach panujących na planecie Palistrata. Ksenia oczywiście nie uwierzyła. Za to wysłuchawszy opowieści o modelce, od razu nazwała męża starym kozłem, a także podrywaczem i oburzyła się jego przestępczymi, według niej, stosunkami z piętnastoletnią dziewczynką, której ciało mąż jakoby nosił w sadzie. Gdy Udałow miał już dosyć słuchania tych bredni, wstał z fotela, podał żonie jedną kulkę i powiedział:

- Dotknij mojej kulki, to zobaczysz, że nie kłamię.

- A prąd mnie nie kopnie? - zapytała Ksenia.

- Nie kopnie - powiedział Udałow. - Wejdiesz na chwilę w moje ciało. I żebyś więcej nie dotykała tych kulek. Rozumiesz?

Ksenia stanęła jak na baczność, wyciągnęła przed siebie zaciśniętą na kulce dłoń, zmrużyła oczy... Udałow, uśmiechając się na wspomnienie o Palistracie, lekkim i dobrze znanym ruchem dotknął generatorem do generatora żony. I stał się własną żoną.

- Otwórz oczy - polecił.

Ksenia w ciele Udałową otworzyła oczy, zobaczyła przed sobą Korneliusza we własnym ciele i cofnęła się.

- Och - powiedziała Udałowym głosem. - Oszaleć można. I rzuciła się do lustra.

- A to ci dopiero - wymamrotała, macając mężowską twarz. - Czego to ludzie z nudów nie wymyślą!

- No dobrze - powiedział Udałow, wyciągając przed siebie kulkę. - Pobawiliśmy się i starczy. Daj no, schowam generatory.

- Chowaj - zgodziła się Ksenia.

Odwróciła się do Udałowa, popatrzyła na jego pulchną, kobiecą figurę, na potargane włosy, na zgrubiałe od prania ręce i zamyśliła się.

- No! - ponaglił Udałow. - Ile mam czekać? Muszę jeszcze do Grubina pójść, przywiozłem mu pamiątki.

- Aha - powiedziała Ksenia głosem Udałowa. - Pamiątki... Zaraz do domina siądziecie. Znam ja was.

- Co cię ugryzło? Coś się stało?

- A nic - powiedział Ksenia. - Nic takiego. Rozmyśliłam się.

- Dosyć tych żartów.

- Nie żartuję. Patrząc tak teraz na ciebie, Udałow, i sobie myślę. Porównaj nasze życia. Ja się przez cały dzień zajmuję tobą i dziećmi, piore, gotuję, po sklepach latam. Ani minuty spokoju, ani jednego jasnego promyczka. A jak wygląda twoje życie? Wracasz z pracy i od razu przed telewizor, oderwiesz się od telewizora, to lecisz grać w domino, skończysz z dominem, pogadasz sobie z przyjaciółmi, potem na ryby... Nie ma żadnego porównania!

- No coś ty! - oburzył się Udałow. - Przecież jestem kierownikiem przedsiębiorstwa!

- A to teraz zrozumiesz, czym jest twoja praca w porównaniu z moją - odrzekła twardo Ksenia. -

Twoim biurem i ja mogę kierować, żadna filozofia. A ty...

- Nie! - przeraził się Udałow. - Ja nie umiem gotować...

- Nauczysz się, na początku trochę ci pomogę.

- Ksenia, przestań się wygłupiać. Oddaj generator!

- Nie ma mowy, gołąbeczku.

Ksenia wzięła szeroki zamach i wyrzuciła generator przez otwarte okno. Generator załśnił w słońcu i skrył się w tumanie kurzu.

- Psychopatka! - zawył Udałow i płacząc się w połach podomki, rzucił się do drzwi.

Ciężko mu się biegło, tym razem dostało mu się ciężkie, spracowane, rozlazłe ciało. Nogi sprzeciwiały się gwałtownym ruchom, chciały przyhamować... Gonił go znajomy śmiech - Kto śmie się z niego śmiać? Ach, przecież to jego własny śmiech.

Sąsiedzi właśnie siadali na podwórku przy stole, mieli zamiar grać w domino.

- Ksenia! - krzyknął Sasza Grubin na widok sąsiadki. - Nie ma wiadomości od Korneliusza?

- Wrócił! - odpowiedziała ze złością Ksenia. - Wrócił, łobuz jeden!

- Co się z tą kobietą stało? - zdziwił się Łożkin. - W życiu nie widziałem, żeby tak biegła.

Sąsiedzi pośmiali się i zaczęli mieszać kostki domina.

Udałow zatrzymał się pośrodku ulicy, nie wiedząc, co robić dalej. Kulki nigdzie nie było widać. Podniósł wzrok. Kędzierzawa łysiejąca głowa Udałowa sterczała w oknie i uśmiechała się tajemniczo jak Gioconda.

- Ksiusza! - Udałow wyciągnął do niej rękę. - Nie zauważyłaś, gdzie upadł? Może zauważyłaś?

Ksenia pokręciła Udałowową głową i przez cały czas uśmiechając się tajemniczo, zamknęła okno.

Gruba, ciężka kobieta w podomce uklękła i powoli pełzała po ulicy, rozgrzebując dłońmi pył.

- Nie odejdę stąd, dopóki go nie znajdę - powtarzał po cichu Udałow. - Nie odejdę, dopóki nie znajdę... Przecież jak go nie znajdę, to żegnaj, swobodo, żegnajcie, przyjaciele! Nie, nie dorośliśmy jeszcze do takich zabaw.

Z podwórka dobiegł go głos Korneliusza Udałowa:

- Zróbcie mi miejsce, sąsiedzi. Wróciłem z gwiazd! Odpowiedział mu wesoły gwar głosów.

- Siadaj! - krzyczeli sąsiedzi. - Zagramy sobie! Gruba kobieta w podomce płakała na ulicy.

1979

POKUSA

Hipolit Iwanów wracał do domu. Był już na ulicy Puszkina. Padał deszcz, do którego przez tydzień wszyscy zdążyli się przyzwyczaić. Powietrze było tak nasączone wodą, że parasol nie wysychał i przeciekał. Hipolit patrzył pod nogi, żeby nie wejść w wodę. Gdy przeskoczył przez kolejną kałużę, zobaczył, że w następnej pływa bardzo cenny znaczek, poświęcony lotowi Lewoniewskiego nad biegunem północnym. Znaczek był tak cenny, że Hipolit jeszcze nigdy go nie widział.

Później Hipolit nieraz zadawał sobie pytanie, skąd mógł wiedzieć, że to właśnie ten znaczek, jeśli wcześniej go nie widział, tym bardziej że pływał rysunkiem do dołu, a więc nie można go było zobaczyć.

Niemniej nie miał żadnych wątpliwości. Zamarł nad kałużą jak pies gończy nad szeregiem rajskich ptaków. Potem nie wiedząc czemu złożył parasol i upuścił go na ziemię. Następnie przykucnął i ostrożnie podsunął dłoń pod znaczek. Ten jak rybka odpłynął od brzegu kałuży, nie dał się. Hipolit Iwanów zrobił krok, wchodząc w wodę po kostki. Drugą ręką odciął znaczкови drogę ucieczki. Ten spróbował jeszcze przedrzeć się na otwartą wodę, ale szybko się poddał i ułożył na dłoni Hipolita. Hipolit podniósł dłoń do oczu, palcami drugiej ręki chwycił znaczek za róg, przekręcił i znowu położył na dłoni. Tak, to był znaczek poświęcony lotowi Lewoniewskiego przez biegun północny, lotowi, z którego dzielny pilot nie wrócił. Mokra, odważna twarz lotnika patrzyła na Hipolita, nadruk był wyraźny, a litera „f” w słowie San Francisco - mała, co czyniło znaczek jeszcze rzadszym i cenniejszym.

Trzymając znaczek na dłoni, Hipolit swobodną ręką wyjął z górnej kieszeni marynarki pudełko z validolem, zębami wyciągnął korek i wsypał do gardła trzy tabletki. Żuł je jak rodzynki i myślał, że teraz nie ma prawa chorować ani umierać. Jego życie zyskało nowy sens.

Po przyjściu do domu Hipolit Iwanów popatrzył na żonę nieobecny wzrokiem, odmówił zjedzenia obiadu, wziął z ubikacji rolkę papieru toaletowego, odwinął ze dwa metry, żeby zbudować łożę dla znaczka, który musiał ogrzać się, wyschnąć i przywyknąć do nowego domu.

Dopiero gdy znaczek ułożył się wygodnie w kołysce z papieru toaletowego i zasnął, Hipolitowi Iwanowowi przyszło do głowy, że ten unikat do kogoś należy.

Kolekcjonerzy dzielą się na dwa rodzaje. Rodzaj pierwszy zadowala się samym faktem posiadania. Może trzymać w sejfie w banku błękitnego Mauritiusa albo Johore i spotykać się ze swoimi skarbami raz na dwa lata. Rodzaj drugi musi widywać się z innymi filatelistami, żeby ci mogli ocenić jego nabytki i osiągnięcia, podzielić jego radość albo, co zdarza się częściej, gorzko pozazdrościć jego szczęściu. Szczęście, które spotkało Hipolita, było niewiarygodne, bajeczne, niepojęte. Dlatego gdy tylko minął pierwszy zachwyt, Hipolit zrozumiał, że to niemożliwe.

Wielki Guslar jest stosunkowo niedużym miastem, zarejestrowanych filatelistów jest w nim, wliczając sekcję szkolną, osiemdziesięciu sześciu. Wszyscy porządni kolekcjonerzy nie tylko się znają, ale wiedzą również, co gdzie u kogo leży.

Wiadomo było, że jeden taki znaczek leży u emeryta Łożkina. Ale emeryt Łożkin należał do

nieszczęśliwego w naszym kraju pierwszego rodzaju skrytych kolekcjonerów, mało kto widział jego kolekcję. Hipolit nie należał do tych wybrańców. Gdyby taki skarb jak ten znaczek był jeszcze u kogoś, wiedziałby o tym cały Wielki Guslar.

To znaczy, pomyślał Hipolit Iwanów, że znaczek należy do Łożkina.

A więc, Łożkin wyszedł pospacerować sobie po deszczu ze swoim bezcennym znaczkiem, ten wypadł mu z ręki i wpadł do kałuży.

Mało prawdopodobne.

Żaden kolekcjoner nie weźmie ze sobą na deszcz tak cennego znaczka i nie upuści go do kałuży. A nawet gdyby coś takiego się wydarzyło, to rzuci się za nim w pław.

Ale jeśli Łożkin nie zauważył? Niósł, powiedzmy, klaser, żeby ukryć go przed potencjalnymi złodziejami w przechowalni... Bez sensu. Kolei w Wielkim Guslarze nie ma i przechowalni też nie. No dobrze, niósł klaser, żeby go pokazać swojemu bliskiemu przyjacielowi... Ale jakich przyjaciół może mieć ten skąpiec i skandalista?

- Czy jestem uczciwym człowiekiem? - zapytał Hipolit żony.

- Będziesz jadł obiad, czy nie? - odpowiedziała pytaniem na pytanie żona.

- Czy jestem uczciwym człowiekiem? - powtórzył Hipolit.

- To by trzeba sprawdzić - powiedziała żona.

- Otóż to - potwierdził Hipolit. - Otóż to.

I zdecydował, że natychmiast odniesie znaczek Łożkinowi.

Znaczek już trochę przesechł, w papierze toaletowym mu się podobało, ale nie protestował, gdy Hipolit włożył go do dowodu osobistego, wsunął do wewnętrznej kieszeni marynarki i podszedł do drzwi.

- Czyli nie będziesz jadł obiadu? - zapytała żona.

- Nie będę - zgodził się Hipolit.

Hipolit ledwie znał Łożkina - czasem widywali się w towarzystwie kolekcjonerów, ale nawet wtedy nie zawsze mówili sobie dzień dobry. Hipolita zaczęły dręczyć inne wątpliwości. Oto jemu, Hipolitowi Iwanowowi, wpadło do rąk niewysłowione szczęście, a on od razu pomyślał o swojej uczciwości. I własna uczciwość pognąła Iwanowa do emeryta Łożkina. Ale czy to znaczy, że emeryt Łożkin jest tak samo uczciwy i szlachetny jak Iwanów? Załóżmy, że nie zgubił tego znaczka. Załóżmy, że znaczek leży sobie spokojnie w jego klaserze. Ale widząc drugi znaczek, emeryt Łożkin szybko dojdzie do wniosku, że do niego też uśmiechnęło się szczęście i powie: „Ach, zgubiłem ten znaczek dzisiaj rano. Ogromnie dziękuję, że mi go pan przyniósł!”. I będzie miał dwa znaczki. A Hipolit Iwanów, wybawca tego nędznego kawałeczka papieru, będzie miał guzik z pętelką. Obawy Iwanowa nie były bezpodstawne - wśród filatelistów czasem wyjątkowo zdarzają się nieuczciwi ludzie. Jeden z nich, nie będziemy wymieniać jego nazwiska, w zeszłym roku podsunął Hipolitowi znaczek z podklejonymi ząbkami na rogu, a gdy Hipolit zauważył fałszerstwo, tamten udał, że widzi znaczek po raz pierwszy w życiu. Ale tacy obywatele stanowią oczywiście niechlubne wyjątki w naszym społeczeństwie i w najbliższej przyszłości znikną zupełnie.

Myśląc sobie w ten sposób, Iwanów zamarł przed wejściem do domu numer szesnaście i stał tam dosyć długo, nie zwracając uwagi na ściekający mu po twarzy deszcz. W tej niezdecydowanej pozie zastał Iwanowa Korneliusz Udałow, który właśnie szedł do domu - mieszkał u niego gość i trzeba go było karmić, a żona Ksenia zapowiedziała, że nie będzie tego robić.

- Do nas? - zapytał Udałow. - Dawno pana nie było.

- Do Łożkina - odpowiedział Iwanów. Znał Udałowa, nawet uczyli się w szkole w równoległych klasach.

- No to co tak stoisz? Światło się u niego pali - powiedział Udałow.

Hipolitowi nie pozostawało nic innego, jak pójść za Korneliuszem.

Udałow skręcił ze schodów do swojego mieszkania, a Hipolit zadzwonił do drzwi Łożkina.

Łożkin długo nie otwierał. W końcu drzwi drgnęły i odjechały w głąb mieszkania. Łożkin był rozczochrany, nie ogolony, ubrany w stary szlafrok i kapcie.

- Dzień dobry! - zbyt głośno i radośnie wykrzyknął Iwanów. - Filateliści mogą wejść?

- Dobry wieczór - odpowiedział Łożkin, nie ruszając się z miejsca i nie wpuszczając gościa. - Zajęty jestem, zmęczyłem się, odpoczywam.

- Ja tylko na chwilę. Chciałem prosić o radę. Pańska erudycja jest tak powszechnie znana...

Pochlebstwo było najlepszym sposobem przeniknięcia do serca Łożkina. Wiele osób o tym wiedziało.

- Jaka tam erudycja - odpowiedział Łożkin. - Nie ma żadnej erudycji. Skończyła się. Pozostał marazm.

- Ale mimo to ma pan najlepszą kolekcję przedwojennych znaczków. I jeśli pan mi nie pomoże, to już nikt mi nie pomoże. Przrzekam, że więcej niż minutę panu nie zajmę. Tylko jedno pytanie i sobie idę.

- No dobrze, wejdź - poddał się Łożkin. - Tylko nie dalej jak do przedpokoju. Kapie z ciebie.

- Oczywiście - zgodził się Iwanów. - Pada.

- Co to za pytanie?

- Chciałbym popatrzeć na pańskiego Lewoniewskiego. Na lot. Twarz Łożkina zbladła, kąciki ust opadły jeszcze bardziej.

- Jaki tam Lewoniewski! - zawołał. - Nie znam żadnego Lewoniewskiego.

Ale troska o potencjalną stratę Łożkina połączona z nadzieją na zachowanie znaczka zmusiła nieśmiałego zazwyczaj Iwanowa do uporu.

- Lewoniewskiego widział u pana Sztormiło - powiedział, przysuwając się do ściany, żeby nie zalać deszczówką mieszkania. - Z prześwitką.

- Z przeeseświtką? - Łożkin drgnął, jakby go ktoś uderzył. - Mój Lewoniewski z prześwitką? To ten twój Sztormiło ma prze-świtkę. Czekał no!

Łożkin rzucił się do pokoju i Iwanów odruchowo chciał pójść za nim.

- Stój! - przykazał mu Łożkin. - Mam suche mieszkanie!

Hipolit cofnął się, ale potem słysząc, że Łożkin wywala z szafy klasery, wyciągnął szyję, ciekawy, jak ten trzyma swoje znaczki. I zobaczył, jak Łożkin wyjmuje gruby klaser, otwiera go i nieruchomieje. Stał tak, schylony, odwrócony plecami do Hipolita. Nie ruszał się.

- No, co tam! - pogonił Łożkina Hipolit. Znaczek zawinięty w papier toaletowy palił mu serce. - Nie ma znaczka?

Hipolit powiedział to i jego wymęczone serce ścisnęło się niebezpiecznie.

- Jest! - odkrzyknął Łożkin. - Nie sprowokujesz mnie!

Odwrócił się i szedł w stronę Hipolita, niosąc przed sobą otwarty klaser tak, jak na pogrzebach generałów niosą poduszki z orderami.

Tymczasem Udałow przyszedł do siebie do domu, wyjął z siatki gościa. Ten zaczął szybko, zwinnie i elegancko lizać i poprawiać na swoim długim ciele piórka. Udałow położył na stole

przyniesione ze sklepu zakupy i niechęć zapałzył się na budowę i doskonałość kształtów kosmity, który od trzech dni mieszkał u Udałowa, znanego w całym kosmosie stronnika przyjaźni między cywilizacjami kosmosu i wybitnego międzyplanetarnego działacza, który zajmował skromne stanowisko kierownika przedsiębiorstwa budowlanego w mieście Wielki Guslar.

Gdy Udałow wypakowywał zakupy, żeby przygotować dla siebie i gościa skromną wieczerzę, do pokoju zajrzała jego żona Ksenia, która skrzywiła się na widok stojącej na stole upierzonej jaszczurki z ogonem przypominającym drewnianą malowaną łyżkę.

- I syna ze sobą zabiorę! - krzyknęła.

- Nie zwracaj uwagi - powiedziała jaszczurka do Udałowa, gdy Ksenia wybiegła, trzaskając drzwiami. - Normalna idiosynkrazia do stworzeń pełzających. To się zdarza u dwunogów. I ja, i ty wiemy, jaki jestem piękny, przede wszystkim duchowo.

- Zewnętrznie też nie jesteś potworem - zgodził się Udałow. Był zdenerwowany. Zawsze to przyjemniej, gdy w domu panuje spokój i żona okazuje gościnność.

- Charakter Kseni jest dość znany w Galaktyce - jakby czytając myśli Udałowa, powiedział przybysz, którego dla ułatwienia nazywano Koko. - Zdarzają się jeszcze gorsze żony. Zagrzej mi kefiru. Wolę ciepły.

I już potem, gdy siedli do kolacji, Koko dodał:

- Moja żona też by cię nie znosiła.

- Napatrzyłeś się? - zapytał Łożkin, próbując zamknąć klaser. - Przekonałeś?

Hipolit Iwanów zrećnie przytrzymał palcami brzeg klasera. Starał się jak najdokładniej przyjrzeć znaczкови. Znaczek był jeden na stronie, w dumnym odosobnieniu. To samo mężne spojrzenie pilota, ten sam skromny nadruk, nawet ta sama malutka litera „f” w słowie San Francisco.

Ale nie to zaniepokoiło Hipolita. Nie to przykuło jego wytrenowany wzrok. Człowiek, który mógł odgadnąć taki znaczek w kałuży, w dodatku leżący rysunkiem do dołu, od razu dostrzegł szczegół, który go zdenerwował.

Prawy dolny róg znaczka zajmował pocztowy stempel. Jasny, wyraźny, na którym bez trudu można było odczytać litery „...ningrad”, przy czym pierwsza litera była do połowy obcięta zębami znaczka, a ostatnia odrobinę wychodziła na margines. Identyyczny stempel, identycznie przyłożony, był na znaczku znalezionym przez Iwanowa. Ale przecież stemple dwóch znaczków nie mogą być identyczne!

- Wszystko! - emeryt Łożkin wyrwał klaser z rąk Iwanowa, zatrzaskał go i przycisnął do zapadłej piersi.

- Nie - odpowiedział Iwanów. - To nie wszystko.

Ciężkie przecucie wymagało energicznych działań. Nie mógł dręczyć się podejrzeniami. Nie mógł znieść kłamstwa!

Wyjął z kieszeni dowód osobisty, z niego złożony na cztery papier toaletowy, a z niego znaczek. Śmiało zrobił trzy kroki do pokoju i położył swój skarb na stole.

- Niech pan to wytłumaczy - powiedział cicho.

Emeryt Łożkin zbladł śmiertelnie i ledwie poruszając ustami zapytał:

- Skąd to masz?

- Długo jeszcze u nas pobędziesz? - zapytał Udałow Koka. Koko dopił kefir ze spodeczka, zakąsił cukierkiem, oblizal zielone wargi i leniwie rozłożył się wśród talerzyków i filiżanek.

- To zależy - powiedział. - Sam rozumiesz, podróż służbowa. Dopóki nie wypełnię zadania, będę

musiał u was siedzieć. Ale nie mam pretensji do kierownictwa. I lubię latać na Ziemię.

- A na czym polega to zadanie, jeśli to nie tajemnica? - zapytał Korneliusz Udałow.

- Dyrekcja instytutu zaplanowała dzieło zbiorowe „Koncepcja uczciwości i honoru w skali Galaktyki”. W trzydziestu tomach.

Terminy tuż-tuż, a jeszcze nawet połowa prac badawczych nie została zakończona.

- Wielu zmobilizowano?

- Wszystkich ten despota rozesał, żeby mu ogon usechł! Udałow wzdrygnął się. Jeszcze nigdy nie słyszał, żeby jego przyjaciel Koko używał takich wyrazów.

- Mogło być gorzej - powiedział Udałow. - Dla ciebie.

- Miałem szczęście. Trafiłem na stosunkowo stabilną planetę.

- Herbaty?

- Trzy kostki cukru. A nie zostało trochę zeszłorocznej konfitury z truskawek?

- Ksiusza gdzieś schowała.

- Można się było tego spodziewać.

- Spotykałeś się już z kimś?

- Nie, tydzień spędziłem w bibliotekach. Po nocach pracowałem, rozumiesz, muszę zachować incognito. W bibliotece historycznej o mało nie zezarł mnie kot. I po co wpuszcza się koty do bibliotek? Napisałem donos do dyrektora, żeby nie wpuszczano kotów.

- Bardzo dobrze - zgodził się Udałow. - Co prawda, myszy sprawiają tam kłopoty.

- Tutaj też przeprowadziłem pewne badania - ciągnął Koko, stukając po stole twardym końcem ogona. - Porozmawiałem sobie.

- Jak to? Z takim wyglądem?

- Nie przejmuj się, ograniczyłem się do naszych. Z Saszą Grubinem spędziłem miły wieczór, Łożkina odwiedziłem. Ale tylko wyrządziłem mu przykrość.

- Ty? Przy twojej delikatności?

- Niechący. Oglądał swoje znaczki. Wiesz, że niektórzy ludzie dziwnie się zachowują... zbierają kawałki papieru. To tak zwany syndrom sroki. Zajęcie bezmyślne, ale ciekawe z punktu widzenia konstruowania modelu ziemskich zachowań.

- Nie takie znowu bezmyślne - zauważył Udałow. - Te znaczki warte są ciężkie pieniądze. A u was co, macie sroki?

- Srok nie mamy. To z mojego ziemnego doświadczenia. Czy ziemskiego?

- Ziemskiego.

- Dziękuję. O stosunkowej wartości znaczka już słyszałem. Szkoda, że nie widziałeś, jaką minę zrobił Łożkin, gdy zahaczyłem ogonem o jego ulubiony znaczek. Można by pomyśleć, że dom mu spłonął. Ale ja tłumaczę to nie zwykłym skąpstwem, lecz kolekcjonerskim szalem. Podoba ci się ten termin? Sam go wymyśliłem.

- To znaczy, że zniszczyłeś mu jego ulubiony znaczek?

- Nic się nie bój, zniszczyłem i odtworzyłem.

- Ja tu się spieszę, deszcz nie deszcz, denerwuję się! - oburzał się w sąsiednim mieszkaniu Iwanów. - I okazuje się, że nie człowiekowi chciałem oddać znaczek, ale kanciarzowi!

- Kanciarzowi? Cofnij te słowa! Peseta cię przebiję za taką obrazę! - Łożkinowi trzęsły się ręce, w kącikach ust pojawiła się piana.

- Mój znaczek i pana znaczek - to kopie czy nie?

- Znaczki są podobne, i to wszystko. Zbieg okoliczności!

- Zbiegi okoliczności nie leżą w kałużach. Lepiej niech się pan do wszystkiego przyzna, bo zwołam zebranie filatelistów! Nie cofnę się przed niczym!

- O niczym nie wiem - powiedział Łożkin i odwrócił oczy.

- Dobrze - powiedział ze zmęczeniem Iwanów. Wziął ze stołu swój znaczek, do którego nie czuł już żadnych cieplejszych uczuć, i cofnął się do przedpokoju. Tam oświadczył: - Przede wszystkim powiadomię Ginzburga. Razem z nim pojedziemy do Smoleńskiego, a stamtąd prosto do Sztormiły, do naszego sumienia i kontrolera..

Łożkin uparcie milczał.

- Nie ma pan nic do powiedzenia? - zapytał przed wyjściem Iwanów.

- Przez całe moje długie życie... - zaczął Łożkin, ale głos mu się załamał.

W innej sytuacji Iwanowowi zrobiłoby się żal staruszka, ale sprawa była zbyt poważna. Jeśli w Wielkim Guslarze ktoś nauczył się podrabiać takie znaczki jak „lot Lewoniewskiego”, to znaczy, że kolekcjonerzy nie mają już nic do roboty.

Iwanów zszedł po schodach zdecydowanym krokiem, wyszedł na podwórko, ostatni raz spojrzął na oświetlone okna Łożkina - Deszcz nie słabł, krople były drobne, ostre i zimne. Iwanów poszedł w stronę bramy.

- Stój! - rozległ się krzyk z tyłu.

Łożkin tak jak stał, w szlafroku, wybiegł z klatki. Wyglądał jak upiór.

- Nie gub! - wykrzyknął.

- Pójdę! - odkrzyknął uparty Hipolit Iwanów.

- Nigdzie nie pójdziesz, prędzej cię zabiję! Wracaj, wszystko ci wytłumaczę! Przysięgam na pamięć mojej matki!

Na te słowa Iwanów musiał się zatrzymać. Łożkin wyglądał żałośnie. Stał w głębokiej kałuży i tego nie zauważał. Jego szlafrok przemókł i ciężko obwisł. Iwanów zrozumiał, że jeśli staruszek nie wróci zaraz do domu, na pewno ciężko się rozchoruje.

- Dobrze - powiedział. - Tylko żadnych kłamstw.

- Jakie tam kłamstwa! - odpowiedział Łożkin, cofając się do klatki. - Wszystkiemu winien jest Koko, krokodyl jeden!

- Słyszysz, jak na ciebie mówią? - zapytał Udałow. Stał przy oknie i obserwował rozgrywającą się na podwórku scenę.

Koko ześliznął się ze stołu, zręcznie wdrapał po ścianie na parapet i wsunął długą twarz w uchylone okno.

- Słyszę - powiedział. - Ale się nie obrażam. Chociaż mógłbym.

- Nie spodobało ci się porównanie do krokodyla?

- Co ma do rzeczy krokodyl? To niewdzięczność ludzka mi się nie podoba.

Rozmówcy na dole skryli się pod daszkiem. Poprzez szum deszczu do Udałowa dobiegały szybkie, zawile wyjaśnienia staruszka.

- Ten krokodyl zniszczył mi ogonem Lewoniewskiego, rozumiesz? Przyleciał, proszę ja kogo, z innej planety, wprosił się w gości, całą herbatę w domu wypił, o mało co nie nabrudził..

- Otóż to! Barbarzyńcy... - oburzył się Koko.

- No to go przycisnąłem - mówił dalej Łożkin. - Powiedziałem mu co nieco o przyjaźni kosmicznej. Wił się jak piskorz...

- Naprawdę jest podobny do krokodyla? - zapytał Iwanów.

- Jeszcze brzydszy.

- Krokodyli nie widziałem - zauważył półgłosem Koko. - Ale teraz obowiązkowo się z nimi zapoznam.

- Nie ma sensu - odpowiedział Udałow. - To drapieżniki.

- Na, mówi do mnie - dał się słyszeć głos Łożkina. - Weź kopiarke. I daje mi maszynkę. Niedużą. Włóż, mówi, do niej dowolny kawałek papieru i swój zniszczony znaczek. Po minucie będziesz miał identyczną kopię. Co do atomu. Jak naprawisz znaczek, to oddasz mi maszynkę.

- I zreperował? - zapytał Hipolit Iwanów.

- Identyczny zrobił. Bez żadnego oszukaństwa. Jaka tam technika w tej ich przestrzeni kosmicznej, aż strach pomyśleć! Już sami nie wiedzą, co z nią robić!

- Lepiej by się z nami podzielili. Z takimi maszynkami to by dopiero był przemysł.

- Nie chcą - powiedział Łożkin. - Że to niby nieingerencja. Chcą, żebyśmy sami. A tak naprawdę to ze skąpstwa.

Koko się obraził.

- Jakie on ma moralne prawo osądzać...

- Poczekaj - przerwał mu Udałow.

- A więc naprawił pan i oddał? - zainteresował się Iwanów.

- Diabeł mnie podkusił - przyznał się Łożkin. - Zrobiłem jeden znaczek. Potem jeszcze jeden. Na wypadek wymiany. Wiesz przecież, że u Ginzburga leży antywojenna seria.

- Wiem - westchnął Hipolit.

- Nie zrozum mnie źle. Zrobię, postanowiłem, jeszcze jeden znaczek dla Ginzburga. I jemu będzie miło, i ja będę miał pożytek. To przecież nie jest fałszywy znaczek. Jest absolutnie prawdziwy, skopiowany na poziomie kosmicznej techniki.

- Wstyd - powiedział Iwanów.

- I to jeszcze jak. Ale nie mogłem się powstrzymać.

- A ja tu przyszedłem panu oddać znaczek, w deszczu...

- Nawet nic nie mów... No dobrze, zrobiłem drugi, a potem przypomniałem sobie o Sztormille. Pamiętasz, co on ma na wymianę? Zapomniałeś? Niezabkowanego Dzierżyńskiego!

- Pamiętam.

- No to czy mogłem nie zrobić jeszcze jednego Lewoniewskiego?

- Niech pan poczeka. To ile w końcu pan tych Lewoniewskich natrzaskał?

- Już wszystkie. Myślisz, że ja nie rozumiem całej głębi swojego moralnego upadku?

- Przecież jutro Ginzburg pokaże swojego Lewoniewskiego Sztormille. Sprawa się wyda. A co z pana honorem?

- Otóż to - powiedział Koko. - Co z honorem?

- Zaniósłem tylko Sztormille - mówił Łożkin. - A znaczek dla Ginzburga zgubiłem po drodze. To właśnie jego znalazłeś.

- Pańskie szczęście, że znalazłem - rzekł twardo Iwanów. - I tak musiałby pan przerwać swój niecny proceder.

- No przecież już przerwałem! Dzisiaj oddaję kopiarke Koko... - I koniec?

- I koniec...

- No to niech pan odda. Natychmiast! A Lewoniewskiego podrzemy!

- A to zuch! Podoba mi się ten Iwanów - powiedział Korneliusz.

- Poczekaj, poczekaj - odpowiedział Koko.

- Oddam. A może nie będziemy drzeć Lewoniewskiego? - zapytał jękając się Łożkin. -

Nieząbkowanego Dzierżyńskiego już dołączyłem do kolekcji. Druga taka okazja może mi się nie trafić! A ty też go sobie zostaw. Znaczek jest dobry, prawdziwy. Co do atomu.

- Nie - powiedział Iwanów niepewnym głosem. - I tak muszę poinformować Sztormiłę.

- I śmiertelnie go zdenerwujesz. On teraz nie posiada się z zachwytu, jakiej to korzystnej wymiany dokonał. A jak się dowie, to co zrobi? Zostanie bez Lewoniewskiego?

- Oczywiście, że tak...

- Poczekaj no - powiedział Łożkin. - A może chciałbyś spojrzeć na tę maszynkę? Może ci jeszcze jakiś mój znaczek potrzebny? Szybciuteńko zrobię ci kopię. Za darmo. I bez żadnego oszustwa i kręactwa. Pamiętam, że interesowałeś się pocztą konsularną. Interesowałeś się, prawda?

- Nie, nie będę w tym uczestniczyć - zaprotestował Iwanów.

- Nie będziesz - odpowiedział Łożkin. - Wejdziemy tylko do mnie na górę, popatrzysz sobie na maszynkę, herbaty się napijemy. Dobrze? Przemokłem do nitki. Jeszcze się przez ciebie dorobię zapalenia płuc, umrę...

- Jeśli tak, to chodźmy - zgodził się Iwanów. Trzasnęły drzwi wejściowe.

- Może i my byśmy się herbaty napili - powiedział Koko do Udałowa.

W mgnieniu oka galaktyczna jaszczurka przeskoczyła na stół. Udałow się zamyślił. Kilka razy podchodził do okna, nasłuchiwał, czy nie trzaska drzwi, a Koko otwarcie kpił z niego.

- Nie spiesz się - mówił. - Twój Iwanów już został zdemoralizowany.

- To znaczy?

- Produkuje znaczki w uczciwy sposób.

- On nie z tych - sprzeciwił się Udałow. - Niósł człowiekowi jego własność w deszczu!

- Wtedy to była niezrozumiała dla niego sytuacja. Wiedział, co w takim wypadku należy robić. A w sytuacji wątpliwej łatwo poddał się namowom Łożkina, który czuje, że jest moralnie zgubiony i teraz pójdzie na wszystko, żeby tylko zneutralizować świadka.

- Mówisz o nich jak o kryminalistach - obraził się Udałow..

- Jacy tam z nich kryminaliści! Zwyczajni ludzie. Dopóki pokusa jest niewielka, są uczciwi, ale jak tylko pokusa przekroczy dopuszczalne rozmiary, to zaczynają się chwiać jak trzcina na wietrze.

- Przykro mi, że jesteś tak niskiego mniemania o Ziemianach.

- Dlaczego niskiego? Normalnego... A propos, już po jedenastej, pora spać. Korneliuszu, mógłbym cię prosić o przysługę?

- Jaka?

- Zajdź do Łożkina i weź kopiarzkę. Muszę ją zniszczyć. Sam rozumiesz...

- A może sam byś poszedł?...

- Oczywiście nie myśl, że cię zmuszam. Tylko że mnie plecy rozbolewały, znowu odezwały się korzonki...

I Udałow poszedł do sąsiada po maszynkę. Dobrze wiedział, że Koko prosił go o to nie przypadkiem: chce, żeby na własne oczy zobaczył, jak wiele do życzenia pozostawia moralność poszczególnych mieszkańców naszej planety... Udałow przeciął półpiętro, zły na Koka, a jeszcze bardziej na Łożkina i Iwanowa. I chociaż w głębi duszy miał nadzieję, że kolekcjonerzy spokojnie piją herbatę, sam już w to nie wierzył. Dlatego jak tylko Łożkin otworzył drzwi, Korneliusz odsunął

go, rzucił się do pokoju i zobaczył, jak Iwanów próbuje zakryć ciałem maszynkę, klasery, znaczki i inne narzędzia przestępstwa.

- Daj sobie spokój, Hipolicie - powiedział Udałow głosem Komandora, który przyłapał Don Juana, ale nie poczuł przy tym żadnej moralnej satysfakcji. - Wiem o wszystkim.

- On wie o wszystkim - odezwał się za jego plecami Łożkin. - Ten Koko zatrzymał się u niego.

- Oddajcie kopiarkę. Nie można wam ufać...

- To tylko eksperymenty - wyjąkał Hipolit, poczerwieniał jak burak i złapał się za serce.

- Nieźleście się naeksperymentowali - powiedział Udałow. - Zostawić wam maszynkę jeszcze na godzinę i wzięlibyście się za pieniądze, co?

- Pieniądze się nie mieszczą - zaprotestował Łożkin.

Udałow zrozumiał, że ta ohydna myśl już przychodziła sąsiadowi do głowy. Człowiekowi, którego znał tyle lat, którego może nie bardzo lubił, ale zawsze uważał za porządnego...

Zdjął ze stołu maszynkę, chciał nawet podrzeć znaczki, ale nie wiedział, które są prawdziwe, a które to kopie. I czy to on ma osądzać tych ludzi?... Sami siebie osądzą.

Bez jednego słowa wyszedł, zamknął za sobą drzwi. I stanął. Płaska, podobna do papierośnicy maszynka leżała na jego dłoni. Można w nią wsunąć, co się chce. Chociażby bilet autobusowy.

Ciekawe, co by się stało? Udałow wyjął z kieszeni bilet. Na klatce było dość mroczno - świeciła jedna dwudziestopięciowatowa żarówka. Udałow obejrzał się, czy nikt go nie obserwuje. Nikt go nie obserwował. Włożył bilet w szczelinę na brzegu papierośnicy. Aha, potrzebny był jeszcze papier, żeby na niej zrobić kopię. Wyrwał kartkę z notesu i wsunął w tę samą szczelinę. Maszynka cicho zabręczała. Potem z drugiego końca wyskoczyły dwie jednakowe czyste karteczki. Dwie strony z notesu, identyczne. Najwidoczniej Udałow coś pomylił i maszynka skopiowała nie bilet, tylko kartkę. Wtedy Korneliusz się ocknął.

Wszystko jasne, myślał ponuro, mnąc kartki w dłoni. Wszystko jasne. Że też się od razu nie domyśliłem! I to ma być galaktyczny przyjaciel! Jak ja mogłem puścić mimo uszu, że on pisze pracę o honorze i uczciwości! Poddawał próbie emeryta Łożkina, poddawał próbie Iwanowa... A potem mnie, swojego przyjaciela, chciał wypróbować. Udałowowi przywidziało się, że żarówka podejrzanie trzeszczy. Może pstrykają zdjęcia, żeby zrobić z Udałowa ilustracje do tej trzydziestotomowej pracy?

Korneliusz gwałtownie otworzył drzwi do swojego mieszkania. Koko odskoczył od drzwi i rzucił się na kanapę.

- Co cię tak długo nie było? - zapytał serdecznie.

- Bierz maszynkę - powiedział Udałow. - Parszywy prowokator.

- No co ty, no co ty... - zaczął szybko mówić Koko. - Nie włączałem cię do eksperymentu.

- Wszystko jedno. Zabieraj swoje rzeczy i wynocha z mojego domu, jasne? Iwanów ma słabe serce, Łożkin na pewno się przeziębził...

- Korneliuszu, kochany, bądź rozumny!

- Nie będę! Nie jesteśmy świnkami morskimi. Zbieraj się stąd!

- A co z kosmiczną przyjaźnią?

- Właśnie, pomyśl sobie o niej w wolnej chwili!

- Ale przecież pada! Gdzie ja się podzieję? Do hotelu mnie nie wpuszczą...

Udałow nie słuchał. Podszedł do okna, przycisnął czoło do chłodnej szyby, stał i patrzył na ciemne podwórko. Samotna latarnia oświetlała półokrąg przed bramą. Drzwi się otworzyły, wyszedł

Hipolit Iwanów i nie zwracając uwagi na deszcz, gdzieś poszedł. Potem drzwi znowu się uchyliły i z domu wymknęła się elegancka pierzasta jaszczurka. Wtedy Udałow poszedł spać.

1980

PIEPRZYK TIETOTYR

„Nieszczęście wydarzyło się o szóstej po południu. Początkowo nikt nie wiedział, co się właściwie stało.

W promieniach wieczornego słońca statek kosmiczny wyglądał jak obłok, pozbawiony wyraźnego kształtu, migoczący i zupełnie niegroźny.

Oddzielił się od pasma chmur, powoli popłynął nad lasem, obniżając lot na przedmieściach miasteczka, gdzie wzdłuż pylistych ulic stały otoczone ogródkami parterowe domki.

Nad ostatnim, zupełnie nowym domem wisiał dość długo. Nikogo to jednak nie zaniepokoiło. Nawet pies Trenoga, stworzenie wyjątkowo złośliwe i kłótlive, szczeknął na obłok tylko dwa razy, a potem schował się do budy i zasnął.

W tym momencie w domu była Maria Stiepanowna, jej córka Leokadia i wnuczka Sasza, która chorowała na anginę i grymasiła. Siemieński, mąż Leokadii, jeszcze nie wrócił z pracy.

Świadkowie zeznali, że obłok powisiał kilka minut nad domem Siemieńskich, potem nagle na niego spadł, otulił go jak mgła, znowu się unióśł, zaczął ‘nabierać prędkości i połączył się z pozostałymi chmurami i obłokami.

Dom zniknął. Zniknął również zarośnięty chwastami ogródek, buda z Trenoga i zabudowania gospodarcze. Zostało puste miejsce, gdzie nie rosło nawet źdźbło trawy, i kwadratowy dół po fundamencie.

Mniej więcej po pięciu minutach Praskowia Iliniczna zobaczyła na miejscu domu sąsiadów puste miejsce. Nie wierząc własnym oczom, wybiegła z domu, doszła do granicy swojej działki, zajrzała przez płot. Dalej nie odważyła się pójść. Wróciła do domu i obudziła męża. Mąż najpierw odmówił pójścia i popatrzenia na dom sąsiadów, ale widząc, że Praskowia zawodzi, wyjrzał przez okno i wysłał żonę po milicję.

Starszy sierżant Pilipienko przybył na miejsce wydarzeń dziesięć minut później. Po zbadaniu pustego placu, dookoła którego zebrało się już sporo ludzi, zapytał:

- Kto ostatni widział tu dom?

Nikt nie mógł się do tego przyznać, ale sporo osób potwierdziło, że w tym miejscu zazwyczaj stoi dom Siemieńskiego, który jeszcze nie wrócił z pracy.

Następnie przyjechała karetka, której kierowca również wyraził zdanie, że dom Siemieńskiego zawsze był w tym miejscu. Starszy sierżant Pilipienko stał niezdecydowany. Zanim zamelduje przełożonym, powinien coś przedsięwziąć, ale zupełnie nie wiedział, co właściwie ma przedsięwziąć. Ktoś zaproponował, żeby otoczyć pusty plac sznurkiem. Pomysł upadł, bo plac i bez tego otoczony był płotem. Wtedy Pilipienko wysłał kogoś do komitetu rejonowego po plan osiedla.

Siemieński, który szedł do domu niczego nie podejrzewając, z daleka zobaczył tłum ludzi, ale nie widział swojego domu. Od razu pomyślał, że dom spłonął - to było najbardziej prawdopodobne. Tak

go to zszokowało, że zatrzymał się na środku drogi. Wtedy go zobaczono, tłum rozstąpił się, pozwalając Siemieńskiemu przejść do stojącego na środku pustej działki sierżanta Pilipienki.

- Żyją?! - zawołał z daleka Siemieński, nie mogąc zrobić ani kroku.

- Pan jest właścicielem? - zapytał Pilipienko.

- Gdzie jest dom?! - zawołał Siemieński.

- Niech się pan nie boi! - odpowiedział Pilipienko. - Nie było pożaru.

Ktoś z obecnych zaszlochał.

Siemieński wyszedł na puste miejsce i rozejrzał się, nie poznając własnej działki. Z każdej strony napotykał uważne i smutne spojrzenia.

- Gdzie one są? - zapytał sierżanta Pilipienki.

- Kto?

- Moja rodzina. Córka, żona, teściowa Maria Stiepanowna...

Sierżant Pilipienko popatrzył na widzów. Tłum przytaknął.

- Jeszcze rano były - powiedział ktoś.

- Może wyjechały? - zapytał sierżant.

- Jego teściowa nie rusza się z domu - padły wyjaśnienia z tłumu. - Ma ciężki charakter.

- Żonę miałem - oświadczył Siemieński, przykucnął i zaczął grzebać paznokciem w ziemi.

- Tam nic nie ma - powiedział kierowca karetki. - Zwykła ziemia. Nie zapadły się przecież pod ziemię.

- A gdzie dom? - zapytał Siemieński sierżanta.

- Właśnie dlatego mnie wezwano - powiedział sierżant. - Niech się pan nie boi, wszystko wyjaśnimy.

- Może zrobić panu zastrzyk? - zaproponował lekarz z karetki.

- Po co? - zapytał Siemieński. - Teraz to już i tak mi nic nie pomoże.

- Niech się pan trzyma - powiedział kierowca.

- Jak wychodziłem rano, to jeszcze były - powiedział Siemieński.

- Leokadia przychodziła do mnie w ciągu dnia - potwierdziła jedna z sąsiadek. - Po sól.

Powiedziałyby, gdyby się coś stało.

- Tu taki dziwny obłok wisiał - przypomniała sobie druga sąsiadka. - Patrzą na niebo, a on wisi.

Tak sobie nawet pomyślałam, że to dziwny obłok.

- Dlaczego pani nikogo nie powiadomiła? - zapytał surowo starszy sierżant Pilipienko.

- Kogo nie powiadomiłam? - zdziwiła się sąsiadka. - I o czym? Sierżant nie odpowiedział.

- Nie - zdecydował Siemieński. - Coś trzeba z tym zrobić. Czemu pan tak stoi?

Wrócił wysłany do komitetu rejonowego. Przyniósł plan osiedla. Zaczęto go oglądać i porównywać z rzeczywistością. Okazało się, że domu Siemieńskiego na planie nie ma. Starszy sierżant Pilipienko poszedł na posterunek złożyć meldunek i poprosić o wytyczne. Siemieński został na działce. Sąsiedzi zapraszali go do siebie, lecz on powiedział, że poczeka. Ktoś przyniósł mu krzesło. Siemieński usiadł na krześle pośrodku pustego placu. Sąsiedzi rozeszli się do domów, ale często wyglądali przez okna.

- Siedzi - mówili.

Siemieński myślał. Przeżył już czterdzieści jeden lat, pracował jako hydraulik, nieźle zarabiał, prawie nie pił, nigdy nie przydarzało mu się nic szczególnego, co zresztą wcale go nie martwiło.

Pustka działki i ten jakiś niezwykły porządek świadczyły

O tym, że dom zabrano na długo, może nawet na zawsze. Sąsiedzi albo wrogowie nie mogliby tego w żaden sposób zrobić, teściowa przy całej swojej wredności i antypatii do Siemieńskiego nie zdecydowałaby się na taki krok. Zresztą Leokadia by na to nie pozwoliła - dom był nowy, zbudowany dwa lata temu, miał starczyć na długo... A jeśli one już nie wrócą? Ta myśl zdenerwowała i zmieszała Siemieńskiego przede wszystkim dlatego, że jeszcze godzinę temu właśnie o tym marzył. Myślał, jak by to było cudownie, przyjść do domu i znaleźć na drzwiach kartkę: „Pojechaliśmy do Melitopolu, do ciotki Anastazji. Wrócimy za dwa miesiące”. Albo jeszcze lepiej: „Wyjechaliśmy do Brazylii. Wrócimy za...”. Ach, cóż by to było za szczęście! Przychodzisz do domu. Pies nie próbuje złapać cię za piętę, teściowa nie krzyczy, że zapomniałeś wytrzeć nogi, żona nie piłuje, że dostałeś za małą premię, córka nie marudzi, że nie ma roweru. Cisza, spokój... A jeśli istnieje jakaś wyższa siła sprawcza? I ta siła usłyszała jego pragnienie? I zadziałała? Tak jakby wysłuchiwała jego modlitw.

Zaraz, zaraz, powiedział do siebie Siemieński. Wychodzi na to, że przez głupie życzenie zlikwidowałem swoich krewnych. A co z nimi? Gdzie są teraz? A może pójść na milicję, wszystko wyjaśnić i poprosić o karę? Nie, najpierw trzeba spróbować naprawić to samemu.

Wyglądający przez okna sąsiedzi zobaczyli, jak Siemieński zsunął się z krzesła, padł na kolana i zwracając twarz ku niebu, zaczął poruszać wargami.

- Panie Boże albo inna siła sprawcza! Nie prosiłem o to na serio. To była chwilowa słabość. Proszę, zwróć mi ich, i teściową, i żonę, i córkę, i psa Trenogę!

Sąsiedzi oczywiście nie mogli słyszeć tego szeptu, ale rozumieli, że Siemieński po pociechę zwrócił się do nieba. Niektórzy mu współczuli. Co to musi być za okropne uczucie - wrócić do domu po pracy, spodziewając się barszczu i telewizora, a zastać pustą działkę.

Gdy Siemieński przekonał się, że niebo mu nie odpowie, znowu siadł na krześle. Siedział tak do samej nocy, kajając się i wspominając rzadkie szczęśliwe chwile swojego życia. Czasem zaczynał bezgłośnie szlochać, kiwając się w tył i w przód. Sąsiedzi po kolei przychodzili do niego, zapraszali do siebie, ale on tylko kręcił głową.

W nocy, za dwadzieścia dwunasta, na działkę przyszedł sierżant Pilipienko. Zrozumiał, że po dobroci z Siemieńskim nie da rady, więc siłą zaciągnął go na posterunek, umieścił w pustym areście, dał mu dwie tabletki na sen, potem okrył swoim płaszczem i zamknął, żeby zdenerwowany Siemieński nie narobił głupstw.

Rano na pustą działkę zaczęli schodzić się ludzie z innych ulic. Przyszli również z Rady Miejskiej. Wszystkim starszy sierżant Pilipienko pokazywał plan osiedla. Siemieński znowu siedział na krześle. Na przykład moja teściowa, Maria Stiepanowna, myślał. Wydaje się taka kłótniwa i zła. Ale przecież ona też chciałaby, żeby było lepiej, pod tą szorstką i nieprzyjemną powłoką ukryta jest dobroć. W ludziach trzeba szukać dobra. Nawet w zwierzętach. Co z tego, że Trenoga rzuca się na swoich? Na obcych też szczeka, a to znaczy, że jest z niego pożytek. A że żona jest chciwa i niezbyt mądra? Cóż, z niego też żaden przystojniak, widocznie na inną nie zasłużył. Ale po swojemu go kocha. Gdy na trzeci dzień teściowa zarządziła strajk, Leokadia zupełnie dobrowolnie nałapała mu talerz zupy...

W tym momencie nadjechały dwie wołgi, a w nich komisja z województwa. W skład komisji wchodziło dwóch profesorów, pułkownik i ludzie w ciemnych garniturach, którzy specjalizują się w wyjaśnianiu tajemnic. Długo się rozglądali, brali próbki ziemi i powietrza, kręcili głowami, pytali Siemieńskiego, czy to prawda, że jeszcze wczoraj tu mieszkał. Siemieński potwierdzał, upierając się przy tym, chociaż w głębi duszy sam zaczynał w to wątpić, pokazywał im nawet dowód, w którym

była pieczętka, miejsce zameldowania i adnotacja o córce.

Goście odeszli na bok. Zaczęli się naradzać, kilka razy powtórzyli słowa „wariant kosmiczny” i „niezidentyfikowane obiekty”, potem zaczęli się spierać, a odjeżdżając, uprzejmie pożegnali się z Siemieńskim i złożyli mu wyrazy współczucia.

Pilipienko został na placu. On i Siemieński zdążyli się już za-kolegować. Pilipienko przyniósł butelkę piwa, potem zaczął opowiadać historię swojego nieudanego małżeństwa. Siemieński również opowiadał o swojej rodzinie, ale serdecznie, wspominając tylko dobre chwile. Tak się zagadali, że nie zauważyli nawet, jak nad placem znowu zawisł siwy obłok, który po chwili zaczął się powoli zniżać. Może nawet by ich przywaliło, na szczęście sąsiad wypatrzył w obłoku statek kosmiczny i zaczął krzyczeć ze swojego okna, żeby uciekali.

Zdążyli. Ze statku wypadł dom, psia buda, ogródek i inne zabudowania. Siemieński i Pilipienko mogli z bliska przyjrzeć się pobłyskującemu przez obłok statkowi i zobaczyli, jak metalowe szczęki ostrożnie zwalniają uchwyt, wypuszczając wzięty do niewoli dom.

Dom zachwiał się lekko i stanął dokładnie na dawnym miejscu.

- Mieliliśmy szczęście - powiedział Pilipienko. - Mogło nas zmiażdżyć.

W mgnieniu oka ulica wypełniła się gapiami. Nikt nie śmiał się zbliżyć, wszyscy tylko się przyglądali i czekali na pojawienie się ludzi i na reakcję ze strony Siemieńskiego.

Siemieński nie od razu ruszył się z miejsca. A jeśli otworzy drzwi, a tam będą trupy, to co wtedy?

Popatrzył na Pilipienkę. Pilipienko odpowiedział znaczącym spojrzeniem. Zdawał sobie sprawę, że on, jako przedstawiciel władzy, powinien zrobić pierwszy krok. Ale przecież nawet milicjant pozostaje w głębi duszy tylko człowiekiem, który boi się nieoczekiwanego. Pilipienko wolałby wiedzieć, że w domu ukrywa się wyjątkowo groźny i uzbrojony przestępca, niż umarłe w niebie niewinne kobiety i dzieci.

W tym strasznym momencie niepewności z budy wyrzwał Trenoga i rzucił się biegiem do pana. Siemieński cofnął się w obawie przed złośliwym napadem, ale pies o niczym podobnym nie myślał. Machając ogonem, zaczął tulić się do Siemieńskiego, skakać na tylnych łapach i cieszyć się, że znowu widzi swojego pana po tak długiej rozłące. Siemieński wzruszył się, ostrożnie pogłaskał psa po łebku. Pilipienko powiedział:

- Możliwe, że wszystko dobrze się skończy. Miał rację.

W tym samym momencie otworzyło się okno i wyrzała Maria Stiepanowna, pulchna kobieta z wyrazistą, zazwyczaj gniewną twarzą.

- Kola, kochany! Co tak stoisz, wchodź! Towarzysza milicjanta zaprosź.

Siemieński otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale nie mógł. Jeszcze nigdy nie słyszał, żeby teściowa mówiła coś podobnego.

- Chodźmy, skoro proszą - popędził go Pilipienko.

Z domu wybiegła Leokadia i córka Saszeńka. Podbiegły do Siemieńskiego, objęły go, zaczęły całować.

- Jak ci tu było bez nas? - pytała z troską Leokadia.

- Przecież on nic nie jadł! - krzyknęła teściowa z okna. - Zaraz wszystko będzie gotowe!

A córeczka Saszeńka w milczeniu tuliła się do tatusiowej nogi.

Starszy sierżant Pilipienko powiedział, że właściwie to on musi przesłuchać rodzinę Siemieńskich w związku z tajemniczym zniknięciem, ale robi to dopiero jutro, żeby nie przeszkadzać rodzinnemu spotkaniu. I poszedł.

Siemieński, odprowadzany przez zaskakująco dobrego Trenogę, wszedł do domu. Na widok zmian, jakie w nim zaszły, doznał szoku. W domu było czysto. Kryształowo, absolutnie i niewiarygodnie. Gdzie się podziały wstrętne ślady działalności teściowej, która miała w zwyczaju znosić zewsząd różne śmieci (a nuż się przydadzą?). Gdzie kurz, którego leniwa Leokadia nie mogła zetrzeć od pół roku? Gdzie popsute zabawki Saszeńki, dlaczego nie walają się pod nogami?

Siemieński nie zdążył się porządnie rozejrzeć - teściowa nakrywała do stołu, spoglądała na niego łagodnym wzrokiem, z którym tak jej było do twarzy. Sasza dobrowolnie i bez marudzenia pobiegła umyć ręce, a Leokadia wyjęła z bufetu karafkę i sama postawiła ją na stole, żeby wypić za szczęśliwy powrót.

- Jak tam? - Siemieński odzyskał w końcu dar mowy. Usiadł przy stole.

- U nas wszystko w porządku - pierwsza odezwała się Saszeńka. - Stęskniłyśmy się za tobą. A ty?

- Ja też - powiedział Siemieński. - Myślałem, że już nie wrócicie.

- I odetchnąłem z ulgą - dodała teściowa z uśmiechem. - Co tu ukrywać, nie miałeś z nami lekko.

Słyszając takie wyznanie od nieugiętej teściowej, Siemieński aż otworzył usta. W tym samym momencie spojrzął na szyję żony Leokadii. Coś było nie tak. Po chwili zrozumiał: pod uchem brakowało pieprzyka.

- Leokadia - powiedział cicho. Przeszyło go straszne podejrzenie. - Gdzie pieprzyk?

Wskazał palcem szyję żony i przez jego głowę przebiegła przerażająca myśl: to nie jego rodzina! Jego rodzina jest inna. Jego dom jest inny... Odruchowo podniósł do ust łyżkę z barszczem i zrozumiał, że barszcz też jest inny - takiego smacznego barszczu nie jadł nigdy w życiu. Zamienili mu rodzinę!

- Aaaaa! - wrzasnął Siemieński, wyskakując przerażony zza stołu. - Puśćcie mnie! To nie wy!

Nikt prócz niego się nie podniósł. Rodzina odprowadziła go smutnym wzrokiem do drzwi. W drzwiach Siemieński się zatrzymał.

- Powiedzcie coś! - krzyknął. - Jesteście moją rodziną czy kosmitami przysłanymi, żeby zniszczyć nas od wewnątrz?

- Jeśli masz na myśli pieprzyk - powiedziała spokojnie Leokadia - to usunięto mi go, żeby z biegiem czasu nie zezłościł.

- A mnie wycięli wyrostek - powiedziała Sasza. - I migdałki. Chcesz popatrzeć, tatusiu?

Siemieński wrócił do pokoju i zajrzał do szeroko otwartego gardła córki. Nic nie zobaczył, ale ten ruch i ufność dziecka trochę go uspokoiły.

- I po co? - zapytał. - Kto im pozwolił?

- Siadaj, Kola, bo ostygnie - powiedziała Maria Stiepanowna. - Wszystko ci wyjaśnimy. ‘

Siemieński posłusznie jadł barszcz, który po tak długiej i nerwowej głodówce smakował wyśmienicie. A Maria Stiepanowna z pomocą Leokadii opowiadały:

- Na początku bardzo się przestraszyliśmy. Płakałyśmy nawet. Mieszkamy sobie na Ziemi, czekamy, aż wrócisz z pracy, a tu nagle coś nas unosi do góry. Na początku nie wiedziałyśmy, co się dzieje.

- Ale wszystko nam wyjaśnili - włączyła się Leokadia. - Sam Pokołówuch z nami rozmawiał.

- Kto?

- Pokołówuch, on tam jest najważniejszy, bardzo miły człowiek - odpowiedziała Maria Stiepanowna. - Szczerze polubił Leokadię.

- Ja go też polubiłam - oświadczyła Leokadia.

- Jeszcze czego! - wykrzyknął Siemieński. - Tego by jeszcze brakowało!

- Tato, nie denerwuj się - powiedziała Sasza. - On jest zielony, sięga mi do ramienia i ma trzy nogi.

Siemieński trochę się uspokoił. Jeśli to była jego córka, a nie jakieś oszukaństwo, to na pewno mówiła prawdę.

- Przylecieli do nas - mówiła dalej Maria Stiepanowna - żeby poznać nasze życie.

- Kto ich prosił? - sprzeciwił się Siemieński. - Co to za zwyczaj?

- Tato, to naukowcy. Bardzo ich interesuje, jak żyjemy i do czego dążymy.

- Saszeńka ma rację - powiedziała Maria Stiepanowna, zdejmując z patelni wspaniałe kotlety. - Najpierw się sprzeciwialiśmy, ale potem z nami porozmawiali i wszystko wyjaśnili.

- I zrozumieliśmy - powiedziała Sasza. Trenoga grzecznie szczerknął spod stołu - Zasadnicze pytanie brzmiało - ciągnęła Maria Stiepanowna - czy ludzie dorośli do kontaktów z cywilizacjami międzygalaktycznymi. Żeby się o tym przekonać, wybrali zwykły dom w zwykłym mieście i wzięli na jakiś czas na obserwację...

- Z początku byliśmy bardzo zdenerwowane - przerwała jej Leokadia. - Nie masz pojęcia, jak wiele było w nas różnych śmieci, pieprzyków, mieszczaństwa, zabobonów, złości i kłótności...

- Szczególnie we mnie - uśmiechnęła się Maria Stiepanowna.

- We mnie też - przyznała Leokadia.

- Pokazali nam możliwości, jakie otwierają się przed ludźmi w galaktycznej wspólnocie, pokazali nam szczęśliwy świat powszechnej przyjaźni, a potem zapytali, czy miałybyśmy coś przeciwko pozbyciu się naszych wad, fizycznych i moralnych - powiedziała teściowa.

- Na początku nie zrozumieliśmy - dodała Leokadia. - Myślałyśmy, że wszelkie wady są w innych, że my nie mamy żadnych wad.

Jak ona to gładko mówi, pomyślał Siemieński. Może ją jednak zamienili?

Ale w tym momencie Leokadia spojrzała na niego tak czule, jak nie patrzyła od czasów ślubu. To spojrzenie Siemieński rozpoznałby na końcu świata.

- Interesowało ich - powiedziała Maria Stiepanowna - czy będą mogli usunąć nam te wady. Czy one są nabyte, czy wrodzone? Gdyby były wrodzone, to musieliby objąć Ziemię kwarantanną na tysiąc lat. Ale jeśli w głębi duszy ludzie nie są tacy źli, to jeszcze nie wszystko stracone.

- I zgodziłyście się?

- Byłyśmy odpowiedzialne za całą planetę - odpowiedziała poważnie Maria Stiepanowna.

- A kiedy nas wysyłali z powrotem, to ściskali nam ręce i cieszyli się, że żadna kwarantanna nie będzie potrzebna. Wszystko można naprawić. Jedz, jedz. Przeszłam tam krótki kurs wszystkich kuchni świata, będę cię teraz rozpieszczę różnymi frykasami...

Nocą, leżąc w słodkich objęciach żony, Siemieński czuł ogromną wdzięczność do zielonych badaczy. Co prawda, to uczucie zmniejszyło się trochę, gdy Leokadia szepnęła mu:

- Od jutra, ukochany, będziemy się uczyć. Nasza rodzina jest pod delikatną obserwacją kosmitów. Nie chciałabym, żebyśmy musieli się wstydzić...

- Mam nadzieję, że nie będziesz się gniewał za naszą szczerość - powiedziała rano Maria Stiepanowna. - Ale człowiek musi doskonalić się, stale do czegoś dążyć...

- Do czegoś wielkiego - dokończyła Sasza, podnosząc paluszek. Siemieński dawno już nie płakał. Nawet gdy stracił rodzinę, nie uronił ani jednej łzy. Ale teraz coś gorącego popłynęło po jego policzkach. Zaszłochał. Z wewnętrznym drżeniem i głęboką radością rozpoczął nowe życie...

Sąsiedzi i znajomi zazdrościli Siemieńskim. Mówili: Zajrzyjcie do nich do domu, nawet nie w porę, nawet z zaskoczenia. Choćby w tym czasie Siemieński powtarzał czasowniki nieregularne, Leokadia zgłębiała tajniki całek, Maria Stiepanowna pisała kolejny esej o ochronie środowiska naturalnego, a Sasza, po odrobieniu lekcji, oddychała systemem jogów, nawet wtedy ucieszą się z waszej wizyty. Każdy gość to dla tej skromnej rodziny radość. Maria Stiepanowna z pomocą córki przygotowuje skromny, ale smaczny poczęstunek, pozostali będą was zabawiać interesującą rozmową o Ermitażu, o nowych odkryciach archeologicznych, o samodoskonaleniu moralnym. I jeśli tylko nie jesteście ludźmi kompletnie zacofanymi, wyjdziecie od Siemieńskich wewnątrz bogatsi, usatysfakcjonowani, poczujecie się więksi.

Sam Siemieński w ciągu ostatniego pół roku bardzo zmienił się na lepsze. Od wartościowego, kalorycznego jedzenia i obowiązkowych porannych przebieżek trochę przytył, ale nie za bardzo. Jego wzrok wyraża zadumę, czasem nawet pasję. Szczęście rodzinne, które dosłownie spadło na niego z nieba, wymaga od niego pewnego wysiłku. Siemieński jest pracownikiem wzorowym, po pracy zawsze zdąży kupić ziemniaki albo proszek do prania, poświęcić godzinę, a nawet więcej pracy społecznej. Potem spieszy do domu, gdzie czekają go zajęcia i serdeczne uśmiechy ukochanej rodziny.

Właśnie w takim momencie spotkał go niedawno starszy sierżant Pilipienko. Siemieński na głowie niósł z naprawy telewizor, w prawej ręce torbę z bananami, w lewej teczkę wypchaną pracami naukowymi.

- Dzień dobry, Kola - powiedział sierżant. - Nie za ciężko ci?

Może pomóc?

- Trzeba walczyć z trudnościami! Trzeba się hartować! - powiedział Siemieński.

- Masz rację - westchnął sierżant. - Miałeś ogromne szczęście. Przecież mogli wziąć inny dom. I zostałbyś ze złą teściową i niemiłą żoną, tak jak inni nieszczęśliwcy.

- Mogli. - Kola ostrożnie postawił na ziemi ciężkie torby. - I wszystko byłoby normalnie.

- Pewnie teraz to nawet przykro ci na nas patrzeć - powiedział sierżant.

- Nie patrzę na was. Nie mam na to czasu.

- Może się napijemy piwa?

- Piwo jest szkodliwe - odpowiedział Siemieński - Masz rację - zgodził się sierżant. - Jest szkodliwe. Ale ja jestem po służbie. Wypiję kufel.

Nagle ku swojemu zaskoczeniu sierżant zobaczył, że oczy Siemieńskiego wypełniają się łzami.

- Co się stało?

- Nic, wszystko w porządku... Przejdzie... Żeby chociaż raz szczeknął!

- O kim ty mówisz?

- O moim psie, o Trenodze. Czy ty wiesz, że on z całej ulicy znosi do swojej budy kocięta, liże je i pozwala jeść z własnej miski?

- No, no...

- A teściowa kapie je w importowanym szamponie. Żona nie ma już ani jednego pieprzyka!

- No tak, nie możesz być gorszy - powiedział Pilipienko. Nie wiedział już sam, czy zazdrościć Siemieńskiemu, czy...

Nagle telewizor na głowie Siemieńskiego zachwiał się, runął na drogę - Pilipienko nie zdążyli go złapać - i rozbił się w drobny mak. Siemieński spojrzał tęsknie na niebo, gdzie wisiał samotny wieczorny obłok, i zapytał:

- Widzisz?

- Co? - zdziwił się Pilipienko, który na klęczkach próbował zebrać resztki telewizora. - To zwyczajny obłok.

- A może nie?

Było cicho, nawet psy nie szczekały. W tej ciszy ku niebu wzleciał zmęczony głos Siemieńskiego:

- Może byście je wzięli z powrotem? Przynajmniej na jakiś czas...

1980

TECHNOLOGIA OPOWIADANIA

Nie wiem jeszcze, o czym będzie to opowiadanie. A już tym bardziej jaki będzie miało tytuł.

Mam zamiar napisać je, nie ukrywając przed czytelnikiem, jak się to robi. Mam ku temu ważne powody.

Nieraz zarzucano mi, że nie jestem prawdziwym pisarzem fantasta, bo nie prezentuję ostatnich naukowo-technicznych osiągnięć, tylko ograniczam się, podobnie jak godni pogardy realiści, do wyświechtanych moralno-etycznych praw.

Przyjmuję wyzwanie i oświadczam, że mam zamiar napisać prawdziwie fantastycznonaukowe opowiadanie, u podstawy którego będzie leżał jeden z faktów naukowego postępu. Spróbuję ułagodzić członków klubów fantastyki naukowej, którzy zupełnie nie reagują na literaturę piękną, ale gotowi są wychwalać pod niebiosa dowolny plagiat z pogranicza literatury, jeśli tylko został przyprawiony pseudonaukowością. Mam zamiar przeniknąć do wspólnoty prawdziwych fantastów.

Teraz w oceanie postępu należy odnaleźć punkt zaczepienia dla fabuły.

Po wystukaniu ostatniego zdania wstałem od maszyny do pisania i wziąłem się do poszukiwań.

...Kolejne zdanie piszę po czterech godzinach. Przez ten czas przejrzałem kilka czasopism popularnonaukowych, w których nauka prezentowana jest w sposób tak prymitywny, że sedno sprawy może ogarnąć nawet doktor historii. Niestety, na razie w żadnym z artykułów nie udało mi się odnaleźć weny. Ale muszę przyznać, że w znacznym stopniu poszerzyłem swoje horyzonty. Dowiedziałem się, że glicyn, prosty aminokwas, został odkryty w 1969 roku w meteorycie mercuryonowskim, od tamtej pory nie udało się go odnaleźć, nawet z pomocą radioteleskopu FIAN RT-22. Ale cóż mi taki glicyn, jeśli w ciągu ostatnich lat odnalazłem w kosmosie kupę cywilizacji, i to bez żadnego teleskopu!

Dowiedziałem się, że badając spektrum kwantów gamma ultra wysokich energii, można dojść do wniosku, która z hipotez kosmologicznych jest prawdziwa. Ale ponieważ jeszcze nikt tego nie zrobił, to każda zaproponowana przeze mnie jest równie dobra.

Zapoznałem się z poglądem, który głosi, że kształtowanie się geniuszu jest problemem biosocjologicznym. Jakże wspaniałe są odkrycia, o których można powiedzieć: tak właśnie myślałem!

W końcu udało mi się odkryć, że wirusy niektórych brodawek mogą być przenoszone drogą płciową. To ostatnie mogłoby zostać wykorzystane w literaturze pięknej, ale niestety nie w naszej.

Nie znalazłszy szczęścia w czasopismach, postanowiłem zwrócić uwagę na problemy globalne - na groźbę wojny atomowej, katastrofy ekologiczne bądź też osiągnięcia cybernetyki. Ale to by znaczyło pójść po najmniejszej linii oporu. Cokolwiek bym powiedział, powiedzieli już przede mną inni. Dlatego pozostawiam kartkę w maszynie i udaję się przed półkę z broszurami popularnonaukowymi.

...Wydaje mi się, że znalazłem coś ciekawego!

Trzy lata temu kupiłem książkę pewnego francuskiego speleologa - wyłącznie dlatego że zazdroszczę takim ludziom. Zatapiają się w głębokich jaskiniach i siedzą tam przez kilka miesięcy

bez przerwy, a ich oddani przyjaciele i żony męczą się w tym czasie w namiotach na powierzchni, marzną, przeziębiamy się, czasami głodują. Ale za to codziennie otrzymują z dołu, z ciemnych głębin butelki z moczem. Speleolog z wyjątkiem regularnego oddawania moczu do analizy nie ma nic do roboty. Może rozmyślać o sensie życia, czytać książki i rysować. Telefon im nie dzwoni, goście do nich nie przychodzą i nikt nie wymaga od nich wykonania planu.

Ileż to razy marzyłem, żeby zaszyć się w jakiejś jaskini i tam, z dala od wrażeń i zamieszania, napisać coś prawdziwego.

Nic, oprócz zawiści, książka we mnie nie wywołała i nie znalazłem w niej żadnego pomysłu na opowiadanie. Ale przecież wtedy nie szukałem pomysłu!

A teraz szukam.

Zobaczmy, czy nie przydałby się akapit ze 111 strony: „Tony i Josie, nie mając żadnych punktów orientacyjnych czasu, żyli poddając się instynktowi. Ich rytm snu i czuwania stopniowo zmieniał się i dzień za dniem przesuwiał. Trzeciego stycznia 1965 roku Tony obchodził Boże Narodzenie! A Josie powitała Nowy Rok dopiero trzynastego stycznia. Pod ziemią długość jednej minuty wydawała się inna niż na powierzchni”.

Potem autor sporo miejsca poświęca opisowi pewnego fenomenu. Okazuje się, że jest on charakterystyczny dla wszystkich speleologów. Po pewnym czasie życia pod ziemią każdy z nich przechodził na inny niż na powierzchni kalendarz. Organizatorzy eksperymentu próbowali zdezorientować speleologów na wszystkie możliwe sposoby. Po kilku tygodniach samotności u każdego z nich ustalał się ten sam, jednakowy rytm - czterdzieści osiem godzin, przy czym dwanaście godzin zajmował im sen, a przez pozostałe trzydzieści sześć czuwali.

Szczególnie interesująca jest historia, która wydarzyła się pierwszej kobiecie - speleologowi, dwudziestopięcioletniej Josie Lores. Spędziła w jaskini trzy miesiące. Tak jak wszyscy mężczyźni przed nią, przeszła na czterdziestoosmiodzinny rytm, mając przy tym pewność, że mija dwadzieścia cztery godziny. Ale w odróżnieniu od mężczyzn miała swój wewnętrzny zegar, który nie poddał się temu rytmowi. Miesiączki zbijały Josie z tropu. Zdroworozsądkowe założyła, że organizm jest bardziej pewnym źródłem informacji niż wrażenia, i dlatego starała się korygować uczucia według fizjologii. W rezultacie zupełnie zaplątała się w kalendarzu.

Informacje podane przez autora i potwierdzone przez wielu innych speleologów nie budzą wątpliwości, ale nie wychodzą poza konstatację faktu. Natomiast ja w poszukiwaniu pomysłu na opowiadanie zrozumiałem, że to bardzo ważny fakt. Jednakże istnienie budzącego zainteresowanie naukowego faktu jeszcze nie wystarcza; w opowiadaniu powinni figurować ludzie.

W prawdziwym opowiadaniu ludzie potrzebni są po to, żebyśmy mogli jeszcze raz zajrzeć w głąb ludzkiej duszy. W opowiadaniu fantastycznonaukowym niestety nie jest to konieczne. W nim ludzie rozmawiają tylko po to, żeby autor mógł w sposób możliwie najbardziej przystępny przedstawić koncepcje naukowe. Dla wygody koncepcje dzieli się na frazy, które potem stopniowo wkłada się w usta bohaterów. Redaktor czasopisma popularnonaukowego, specjalista w tej czy innej dziedzinie wiedzy, rzadko bywa przy tym ekspertem od literatury pięknej i można go z łatwością przekonać, że to jest właśnie literatura piękna.

Tak właśnie zrobimy.

Aby to nie napisane jeszcze opowiadanie zajęło zaszczytne miejsce na stronach czasopisma, najprościej uczynić bohaterów naukowcami. Najlepiej, żeby jeden z nich był siwowłosym profesorem, który wie wszystko, a drugi - młodym naukowcem, który na razie jeszcze wszystkiego

nie wie i dlatego zadaje potrzebne nam pytania...

- Nigdy pana nie dziwił ten fenomen, z którym w ostatnich latach zetknęli się speleologowie? - zapytał profesor Syromiatnikow młodszego pracownika Instytutu fizjologii Wyższej Nerwowej Działalności Mehmeda Mahometowa, który od trzech miesięcy przebywał w instytucie na stażu. ‘

Była wczesna jesień, żółte liście pływały w kałużach parku. Niebo od rana było szare i zimne.

Mehmed szczerze otulił się płaszczem: moskiewska jesień go przygnębiała.

- Jakżeby inaczej - powiedział ochryple. - Nieraz zastanawiałem się nad tym, że wszyscy speleonauci obowiązkowo przechodzą na czterdziestoosmiodzinny cykl, w którym, trzydzieści sześć godzin zajmuje czuwanie, a dwanaście sen.

* * *

Po napisaniu tego fragmentu ucieszyłem się, jak szybko i energicznie udało mi się wprowadzić czytelnika w sedno sprawy.

* * *

- Niech pan weźmie pod uwagę - kontynuował profesor, patrząc na zgrabne nóżki przebiegającej obok aspirantki Niny Dudkinej - że w jaskini człowiek jest zupełnie oderwany od trybu życia, jakie dotąd prowadził. Jego organizm, ustala zegar, do którego przystosowała go natura.

- Ma pan rację - powiedział Mehmed, również patrząc na nóżki aspirantki.

* **

Nóżki aspirantki trzeba będzie wyrzucić. W literaturze f anta-stycznonaukowej dzieci mogą powstać przez klonowanie, zostać stworzone w probówce, ostatecznie znalezione w kapuście, ale jakiegokolwiek aluzje do możliwości stworzenia ich w sposób ortodoksyjny uważane są za nieetyczne.

** *

- Czy to nie daje do myślenia? - zapytał siwowłosy profesor, patrząc na przejeżdżający za ogrodzeniem trolejbus.

- Właśnie dzisiaj całą noc o niczym innym nie myślałem - odrzekł Mehmed. - Przecież do tej pory nie odnaleziono brakującego ogniwa.

- Tak, jeszcze nikt nie udowodnił, że człowiek pochodzi od małpy-pokręcił głową profesor, patrząc...

* * *

No, na co on jeszcze może patrzeć, żeby opowiadanie było bardziej literackie?

* * *

...patrząc na spadający z drzewa żółty klonowy liść.

- Między neoantropami, fizycznie nie różniącymi się niczym od człowieka, i jego małpimi przodkami nie ma formy przejściowej - powiedział Mehmed i zakaszłał.

- Mam suszony fiołek - zaproponował profesor. - Niech pan zaparzy dwie łyżki stołowe na szklanek wody. Doskonały środek wykrztuśny.

** *

Ostatni akapit trzeba będzie usunąć, odwraca uwagę czytelnika. Lepiej, żebym zrobił to ja, niż redaktor.

- A jeśli wrócimy do problemu panspermii? - rozważał profesor. - Rozumne życie jakimś sposobem... powiedzmy, że w postaci zarodników, zostało przeniesione na Ziemię. Nie mam na myśli koncepcji idealistycznych. Zawsze byłem i będę materialistą.

Dobrze powiedziane! Otwarcie i twardo!

- I na tej planecie, gdzie narodzili się nasi przodkowie - rozwinął myśl profesora Mehmed - doba ma czterdzieści osiem godzin!

- Muszę natychmiast zadzwonić do mojego przyjaciela profesora Brauna w saskaczewańskim obserwatorium - powiedział zaintrygowany profesor Syromiatnikow. - On akurat zajmuje się studiowaniem czasem obiegu planet w najbliższych nam systemach gwiazdnych. Gdyby udało się znaleźć taką planetę...

- I naszych braci w rozumie! - zawołał Mehmed.

- Powiedziałbym raczej starszych braci, ojców, dziadów...

Dalej opowiadanie można pisać, ale można i nie pisać. I tak wiadomo, co będzie dalej. Profesor Syromiatnikow skontaktuje się ze swoim przyjacielem profesorem Braunem. W ostatecznej redakcji ten zostanie profesorem Ter-Owaniesianem z Leninakanu, bo profesor Ter-Owaniesian lepiej zna się na czasie obiegu planet niż dowolny Braun. Ter-Owaniesian odpowie profesorowi, że właśnie ostatniej nocy zetknął się z bardzo interesującym zjawiskiem: jedna z planet w systemie Aldebarana wysyła pewne dziwne sygnały, które mogą nie być naturalne. I właśnie ta planeta dokonuje pełnego obrotu wokół własnej osi w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

Kropki w opowiadaniu lepiej nie stawiać.

Może ta planeta jest rzeczywiście naszą praojczyzną...

Opowiadanie mi się spodobało. Mam nadzieję, że któryś z moich kolegów dokończy je i opublikuje. Ale dla mnie, mimo wszystkich zalet, w opowiadaniu brakowało akcji.

A gdyby je tak udramatyzować? Wprowadzić element przygody? W fantastyce naukowej jest to absolutnie dopuszczalne, oczywiście pod warunkiem że element nie będzie odciągał uwagi czytelnika od zasadniczego tematu.

Wróćmy do środka opowiadania.

Pamiętacie, na co popatrzył profesor? Właśnie.

* * *

- Niech pan weźmie pod uwagę - kontynuował profesor, patrząc na zgrabne nóżki przebiegającej obok aspirantki Niny Dudkinej - że w jaskini człowiek jest zupełnie oderwany od trybu życia, jakie dotąd prowadził. Jego organizm ustala zegar, do którego przystosowała go natura.

Kroki Niny zamarły.

- Dzień dobry - powiedziała melodyjnie. - Można włączyć się do rozmowy?

- Oczywiście - powiedział profesor. - Mówiliśmy o tym, że czterdziestoosmiodzinny rytm speleonautów dowodzi, że kolebką człowieka nie jest Ziemia. Że człowiek jest właściwie przybyszem. Jest tu obcy.

- Co za potworność! - wykrzyknęła Nina. - I ja również?

- Wszyscy - smutnie uśmiechnął się Mehmed.

Nina wykrzywiła twarz w dziwnym, nieludzkim grymasie. Wydawało się, że postarzała się o czterdzieści lat.

- Niestety - powiedziała ochryple - będę musiała was zlikwidować.

W jej ręce matowo lśnił blaster.

- Nikt nie może o tym wiedzieć - powiedziała. - Tajemnica panspermii musi pozostać tajemnicą!

Przybysz wycelował (wycelowała?) blaster w profesora, ale w ostatniej chwili Mehmed rzucił się naprzód i w bramkarskim wyskoku dosięgnął ręki kosmity. Ten (ta?) ze strasznym krzykiem walczył (walczyła?) o blaster. W ferworze walki lufa blastera została wymierzona w kosmitę. Rozległ się wystrzał. Pod nogami profesora i Mehmeda leżała kupka szarego popiołu. To było wszystko, co zostało z Rakryszynata Fe, trzeciego porucznika tajnej straży galaktycznej planety Epsilon.

Całkiem niezłe! Opowiadanie nie straciło nic ze swej wartości poznawczej, a nabrało dynamizmu. Ale chciałem czegoś jeszcze. Szczegółów, drobiazgow, zwrotu akcji.

Może tak: >

* * *

- Szkoda - westchnął profesor. - Zawsze wydawała mi się taka miła...

- Tak - poparł go Mehmed. - Pod postacią Niny Dudkinej skrywał się...

- Kto skrywał się pod moją postacią? - rozległ się z tyłu melodyjny głos.

Naukowcy obejrżeli się jednocześnie. Za nimi stała uśmiechnięta Nina.

- Pani... pani... żyje?! - wykrzyknął profesor, rzucając spojrzenie na kupkę szarego popiołu.

- Tak - uśmiechnęła się Nina, patrząc figlarnie na Mehmeda. - Mam tu jeszcze kilka spraw do załatwienia.

Mehmed zaczerwienił się.

No, to by było na tyle. Nad opowiadaniem trzeba by jeszcze popracować. Może wprowadzić strażnika tajemnicy nieco wcześniej? Niech poobserwuje trochę naszych bohaterów, popodsłuchuje ich rozmowy, niech powoli zaczął ogarniać go podejrzenia: ludzie już wiedzą! I gdy wszystko stanie się jasne, wyciągnie swój przeklęty blaster... Co prawda, trzeba będzie znaleźć usprawiedliwienie dla jego dziwnego zachowania. Dlaczego naszym starszym braciom nie jest wszystko jedno, czy wiemy o swojej praojczyźnie, czy nie? Załóżmy, że boją się, bo staliśmy się zbyt agresywni i bezczelni, i dopóki zajmujemy się tu wojnami i bombami atomowymi, nie należy dopuszczać nas do galaktycznej wspólnoty...

W tym momencie zauważyłem, że opowiadanie przeradza się w powieść o określonym obywatelskim wydzwisku. Nie, o powieści nie było mowy. Niech więc motywy pozostaną nieznanne - kto ich tam wie, tych kosmitów, o co im chodzi.

A więc, opowiadanie gotowe, pozostawało tylko ręką mistrza wygładzić przecinki i wielokropki...

A co by na to powiedział Lew Chrystoforowicz?

Jak mogłem wcześniej o tym nie pomyśleć! Lew Chrystoforowicz Minc, wielki uczonego, którego tymczasowo umieściłem w miasteczku Wielki Guslar, jeszcze nie wie, że doba dla speleonautów ma czterdzieści osiem godzin! Trzeba go jak najszybciej powiadomić.

...Poszli do krajoznawcy Sidiakina.:

Pierwszy kroczył profesor Minc. Zamszowa marynarka ciasno opinała mu się na brzuchu, jesienne słońce igrało na łysinie. Za nim szedł jego sąsiad Korneliusz Udałow z zadartym nosem, kierownik zakładu budowlanego.

Dom krajoznawcy i fenologa Sidiakina nie różniłby się niczym od innych domów na ulicy Gołębiej, gdyby nie pamiątkowa tablica. Tablica stała oparta o ścianę, odgradzona od chodnika płótkiem. Na szarym marmurze wybito złotymi literami: „W tym domu żył od 12.01.1878 do

1.05.2012 wybitny krajoznawca, honorowy obywatel miasta Wielki Guslar Artemiusz Sidorowicz Sidiakin”.

Sidiakin był głęboko przekonany, że los nie ośmieli się klócić z marmurem i dzięki temu do początku dwudziestego pierwszego wieku dociągnie na pewno. Tym bardziej że tak naprawdę to urodził się całkiem niedawno, w naszym stuleciu, zaraz po rewolucji.

Miejsce na ścianie, gdzie miała wisieć tablica, było starannie pobielone, na rogach do połowy wkręcono mosiężne zabytkowe sworznie.

Przy otwartym oknie, oświetlony dentystyczną lampą o ostrym świetle siedział ktoś siwy i majestatyczny z rudym kotem na kolanach. Sidiakin rzadko wychodził z domu - wolał, żeby to do niego przychodzono po radę. Tak właśnie mówił: „Nie mam prawa porzucać posterunku, mogę być potrzebny ludziom”. A tak naprawdę czekał, kiedy z Rady Miejskiej przyniosą akt o nadaniu mu godności honorowego obywatela.

Na widok ludzi, którzy zatrzymali się przed tablicą pamiątkowa, Sidiakin zaczął przeczesywać swoje siwe, gęste, ale niestety sztuczne wąsy. Zrozumiał, że idą do niego, co prawda nie z aktem, tylko po poradę. W związku z walką o ekologię do krajoznawcy często ktoś przychodził - a to z gazety, a to ze szkoły, czasem nawet z województwa.

- Jak się pan miewa? - zapytał Minc, zajmując wskazany palcem taboret dla gości.

Udałow stanął za jego plecami. W pokoju krajoznawcy, obwieszonym rogami zwierząt kopytnych, widokami Guslaru i portretami gospodarza domu, wykonanymi metodą tłoczenia, goście czuli się nieco onieśmieleni. Co się tyczy metody tłoczenia, staruszek sam ją opanował - był przekonany, że takie portrety dłużej się zachowują.

- Jestem zmęczony - powiedział Sidiakin. - Starość. Wczoraj obchodziliśmy moje sto dziesiąte urodziny. Napiliśmy się, potańczyliśmy.

Sidiakin kątem oka zerknął na gości - wierzą czy nie? Goście uprzejmie pochylili głowy. Staruszek zrozumiał - nie wierzą, ale był im potrzebny.

- Czym mogę służyć? - zapytał, głaskając kota.

- Potrzebna nam jaskinia - powiedział profesor Minc. - Głęboka. Im bliżej Guslaru, tym lepiej.

- Jaskiń nie mamy - odpowiedział Sidiakin, kiwając śnieżną lwią grzywą, niestety sztuczną.

- Przecież mówiłem - powiedział Udałow. - Trzeba będzie jechać na Krym.

- Po co wam jaskinia? - zapytał Sidiakin.

- Jaskinia jest nam potrzebna do bardzo ważnych eksperymentów, które mogą zadecydować o losach całej ludzkości.

- Jedziemy na Krym - powtórzył Udałow. - Tam i morze, i klimat cieplejszy.

- Jaki może być klimat w jaskini? - skrzywił się Minc.

- Zapomina pan - sprzeciwił się Udałow - że my, grupa kontrolna, będziemy siedzieć na górze i podawać wam żywność.

- A co to za eksperyment? - zapytał Sidiakin. „,*

- Nie zainteresuje pana - powiedział Udałow. - I tak nie ma tu jaskiń.

- O tym, czy są tu jaskinie, czy ich nie ma, decyduję ja - Powiedział krajoznawca.

- Okazało się - wyjaśnił Minc - że ludzkość narodziła się nie na Ziemi, lecz na zupełnie innej planecie.

Sidiakin się zasepił. Kot parsknął. Minc kontynuował:

- Francuscy speleologowie odkryli, że cykl życiowy człowieka trwa czterdzieści osiem godzin. A

to oznacza, że kiedyś ludzie żyli na planecie, na której doba jest dwa razy dłuższa niż na Ziemi. Właśnie stamtąd bardzo dawno temu przysłano tutaj pierwszych ludzi.

- Francuzów? - zapytał z niedowierzaniem Sidiakin.

- Nie tylko Francuzów. Wszystkich ludzi. Włączając Chińczyków.

- Co do Francuzów, to możliwe - powiedział Sidiakin. - Jedzą żaby. Ale Rosjanie są stąd. To wiem na pewno.

- Nie potrzebujemy rozważań - uciął Minc. - Potrzebujemy jaskini, w której moglibyśmy kontynuować eksperyment.

- Nie mamy o czym rozmawiać - upierał się Sidiakin. - Rosjanie zawsze żyli na Ziemi. Jeszcze przed mongolsko-tatarskim najazdem.

I gestem wskazał gościom drzwi.

Na ulicy na chwilę zatrzymali się przed tablicą pamiątkową. Udałp w popatrzył w okno, napotkał ostre spojrzenie zza zasłony i głośno powiedział:

- Nie, Sidiakin, nie zostaniesz honorowym obywatelem. Okno zostało zatrzęsnięte.

Badacze wrócili zdenerwowani do domu. Rozmowa z Sidiakinem przekreśliła ostatnie nadzieje. W Wielkim Guslarze mogli liczyć na poparcie społeczeństwa i bezinteresowną pomoc młodzieży, ale wątpliwe, czy mieszkańcy Krymu podzielą ich entuzjazm.

Na Minca przykro było patrzeć.

- Niech się pan nie martwi - powiedział Udałow. - Coś mi mówi, że zaraz ktoś zapuka do okna i powie: „Jest jaskinia!”

Minc uśmiechnął się smutno.

Ktoś zastukał w szybę. Za oknem stał krajoznawca Sidiakin w czarnym palcie do pięt i nasuniętej na oczy zajęczej czapce. Wąsy ciężko spadały na czerwony moherowy szalik.

- Długo myślałem - powiedział Sidiakin - i doszedłem do wniosku, że trzeba was zdemaskować. Was i waszych Francuzów.

- Mój Boże! - westchnął Minc. - A myśmy myśleli, że przyniósł nam pan jaskinię.

- Jaskinia będzie - powiedział Sidiakin. - Ale w jaskini będę ja.

- Jak to? - zdziwił się Minc - pójdę do jaskini i udowodnię wam, że w odróżnieniu od niektórych ja osobiście jestem stąd. I że mój rytm to dwadzieścia cztery godziny. Możecie powiadomić prasę.

Sidiakin wsunął rękę za pazuchę i wyjął stamtąd pożółkłą kartkę.

- Oto koordynaty. Mam nadzieję, że jesteście uczciwymi ludźmi i zarezerwujecie mi miejsce w jaskini.

Minc już wyciągał rękę po karteczkę, ale w ostatniej chwili ją cofnął.

- Nie - powiedział. - Nie mogę się na to zgodzić. W pańskim wieku przebywanie w jaskini jest absolutnie wykluczone.

- Poczynię pewne przygotowania - powiedział stanowczo Sidiakin. - Poza tym trzymam się dużo lepiej, niż się niektórym wydaje.

Sześć dni później w Czarnym Jarze, głębokim, zarośniętym osikami parowie, który ciągnie się niemal do jeziora Kopenhaga, zawrzała praca. Od rana przebijały się tam ciężarówki załadowane skrzyniami, klatkami i pudełkami wydającymi różnorakie dźwięki. Za ciężarówkami jechał dźwig i słońca Maharani z wędrownego cyrku. Za nimi na rowerach i pieszo ciągnęło społeczeństwo. Szli pionierzy, kółko młodych krajoznawców, towarzystwo wielbicieli teatru, chór emerytek i uczniowie z technikum rzecznego.

Gdy skończyła się droga, ciężarówka wyładowano i dalej młodzież niosła skrzynki i kosze w rękach. Sidiakina opuszczono w parów na helikopterze straży pożarnej. Siedział spokojnie, obok była pielęgniarka, która mierzyła mu puls. Sidiakin czytał artykuł w „Sztandarze Guslarskim”. Był niezadowolony, bo w całym artykule ani razu nie nazwano go honorowym obywatelem.

Do jaskini nikt nie wszedł od czasów, gdy w połowie zeszłego stulecia porzucił ją szlachetny rozbójnik Piętka Krew na Ziemi.

Chował tam kufry z zagrabionym bogaczom dobrem, a potem rozdawał je ciężko pracującym chłopom. Sidiakin pisał o tym w wojewódzkiej gazecie i domagał się stworzenia w jaskini domu-muzeum Piętki Krew na Ziemi.

Przed zejściem do jaskini profesor Minc i krajoznawca Sidiakin udzielili ostatniego wywiadu prasie. Jako pierwszy mówił Minc.

- Nie ma wątpliwości - powiedział - że ludzie przybyli tu kiedyś z innej planety. Astronomowie odnajdą ją kiedyś. Teraz najważniejsze jest co innego: kto towarzyszył człowiekowi podczas przeniesienia na naszą planetę? Jestem głęboko przekonany, że wśród ptaków i zwierząt, które schodzą razem ze mną do jaskini, na pewno znajdzie się stworzenie, którego cykl wynosić będzie czterdzieści osiem godzin. I wtedy spór o to, które zwierzę jest najlepszym przyjacielem człowieka, zakończy się w sposób naturalny.

- Niech żyje Lew Chrystoforowicz! - zawołał Korneliusz Udałow. - Który dobrowolnie opuszcza nas na trzy miesiące, żeby dotrzeć do prawdy naukowej!

Rozległy się brawa. Przerwał je krajoznawca Sidiakin. Górował nad tłumem, odziany mimo ciepłego wrześniowego dnia w ogromny kozuch, walonki i zajęczką czapkę.

- Profesor nie odchodzi sam - powiedział staruszek, przytrzymując placem sztuczny biały wąs. - Razem z profesorem odchodzę ja. Wziąłem na siebie kierownictwo ekspedycji, żeby udowodnić: to wszystko kłamstwo! Może za granicą niektórzy będą się chełpić swoim pochodzeniem z innej planety, ale ani ja, ani Trifon robić tego nie będziemy!

Z obszernego rękawa kozucha Sidiakin wyciągnął swojego złego rudego kota. Kot wskoczył krajoznawcy na ramię i wyprężył ogon.

A dookoła już wrzała praca. Do jaskini spuszczano skrzynie, kontenery i akwaria. Były w nich psy, kury, indyczki, karasie, cielak, koń Siwek, słonica Maharani i dużo innych stworzeń, które meczały, kwiczały, szczeptały i nie chciały porzucić świata.

Potem zszedł na dół profesor Minc w pomarańczowym kasku. Nadzorował ustawianie klatek w ciemnej podziemnej sali.

Gdy już wszystko zostało ustawione, na dół zszedł krajoznawca Sidiakin z grzałką, notatnikiem i plikiem blankietów telegraficznych.

Tak rozpoczął się trzymiesięczny bohaterski pobyt pod ziemią profesora Minca i krajoznawcy Sidiakina oraz ich świty. Na górze zostali dyżurni z Udałowem na czele. Spuszczali do jaskini jedzenie i odbierali stamtąd pamiątki i telegramy. Smagał ich deszcz, dręczyły przymrozki. Stopniowo robiło się ich coraz mniej.

O dziwo, krajoznawca doskonale znosił przebywanie pod ziemią - Mincowi nie pomagał, ale też nie przeszkadzał. Prowadził osobisty pamiętnik.

Nastrój profesora pogarszał się z każdym dniem. Wszystkie zwierzęta, włączając konia Siwka, któremu w jaskini było ciasno i który bardzo się bał, zasypiały, budziły się i jadły, jak gdyby w ogóle

nie były w jaskini. Staruszek Sidiakin również nie zmieniał swojego zwykłego rytmu życia. Codziennie rano, dokładnie o godzinie ósmej szarpał za swój osobisty sznurek i pytał dyżurnych, kiedy dostanie kefir i śmietanę. Zaraz potem rozlegało się ohydne miauczenie kota Trifona, który domagał się swojej śmietany. I tak dzień po dniu. Czasem Sidiakin wysyłał do Rady Miejskiej telegramy z Hadesu, w których przypominał o tytule honorowego obywatela.

Niewykluczone, że eksperyment zakończyłby się fiaskiem, gdyby nie przypadek.

Zerwała się lina. Czy przetarła się o ostry występ, czy może nie wytrzymała podziemnego klimatu - dość że któregoś dnia przed świtem Udałow zauważył, że lina swobodnie wysuwa się z czarnej czeluści.

Trzeba było coś z tym zrobić.

Udałow opuścił w przepaść drabinkę sznurową i zszedł na dół. Z daleka dobiegało smętne rżenie - to koń Siwek chciał na wolność. Zamęczał cielak...

Korneliusz Udałow związał linę i już miał wejść z powrotem na górę, gdy nagle zapragnął chociaż jednym okiem popatrzeć, jak im się tam, biedakom, żyje. Oslaniając latarkę dłonią, ostrożnie doszedł do obozu. Brzegi podziemnej sali ginęły w ciemnościach.

Od razu zobaczył profesora Minca, który spał na połówce przykryty płaszczem i przez sen marszczył wysokie czoło. Na drugiej połówce leżał przykryty kożuchem krajoznawca.

Nagle w ciszy rozległ się ledwie słyszalny dzwonek.

Udałow zamarł. Co to mogło dzwonić? „||

Kožuch, pod którym leżał krajoznawca, poruszył się, spod niego wysunęła się łysina, a potem biała ręka ściskająca lwią grzywę, i Grzywa została umieszczona na łysinie. Oswobodzona dłoń wsunęła się do walonka, dzwonek ucichł. Udałow zrozumiał, że w walonku krajoznawcy schowany jest budzik.

- Wstawaj, próżniaku! - rozległ się szept krajoznawcy. Walonek pofrunął, zrzucając na kamienie kota Trifona. Kot zamiauczał obrażony. Zaczął się nowy dzień.

- Wstawaj! - powtórzył krajoznawca. - Bo Minc usłyszy.

Udałow wyszedł na górę i napisał o tym wszystkiemu profesorowi. Wieczorem tego samego dnia otrzymał krótką odpowiedź: „Budzik unieszkodliwiony. Eksperyment trwa. L.Ch. ”.

Odebrawszy krajoznawcy budzik, Minc schował go w szczelinie. Sidiakin nie tylko zmienił tryb życia na czterdziestośmiogodzinny, ale wkrótce przeszedł na siedemdziesięciogodzinną dobę. Udałow nie ukrywał tego faktu przed społeczeństwem. Całe miasto wiedziało, że Sidiakin jest nie tylko przybyszem z innej planety, ale nawet z innej, zupełnie nam obcej galaktyki. A Minc dokonał swojego wielkiego odkrycia. Odnalazł najlepszego przyjaciela człowieka, który razem z nim przybył na Ziemię z kosmicznych dali. Okazał się nim kot Trifon. Jak tylko Sidiakin przestał go budzić, Trifon udowodnił, że dla niego doba ma dużo więcej niż dwadzieścia cztery godziny.

...Tysiące mieszkańców Wielkiego Guslaru, nie bacząc na śnieg i zamieć, zebrało się przed wejściem do jaskini, skąd ostrożnie wyciągano wszystkich uczestników eksperymentu. Trochę się chwiali na nogach i mrużyli oczy, a oklaski publiczności wydawały im się za głośnie.

Minc skromnie odszedł na bok, dając Sidiakinowi możliwość wygłoszenia przemówienia.

Sidiakin wyciągnął z kieszeni kartkę i powiedział:

- Drodzy towarzysze. Nauka Zachodu została skompromitowana. Oto mój dziennik, w którym codziennie zapisywałem datę. Dożęcie porównać go z kalendarzem i przekonać się, że właśnie ja

jestem prawdziwym Ziemianninem.

- I jaki mamy dzisiaj dzień? - zapytał Korneliusz Udałow.

- Dziewiąty listopada! - powiedział Sidiakin.

Wśród publiczności rozległ się śmiech - dobiegał końca grudzień. Powiedziano o tym krajoznawcy.

- To niemożliwe! - wykrzyknął Sidiakin i zachwiał się na nogach.

Gdy lekarze poili staruszkę kroplami walerianowymi, na trybunę wszedł profesor Minc.

- Było ich troje - powiedział Minc, gdy ucichła burza oklasków. - Pierwszy był człowiek... - mówiąc te słowa, obejrzał się na Sidiakina. - Drugi był... - profesor zrobił pauzę i wszyscy zobaczyli, że kot Trifon, tak jakby rozumiejąc, czego się od niego oczekuje, zaczął się przeciągać: - Kot!

- Nie rób wstydu zwierzęciu! - krzyczał z karetki krajoznawca. - Ono jest nasze, nasze!

- Kto był trzeci? - padło pytanie z tłumu.

Minc wyciągnął z kieszeni pudełko od zapalek i uchylił wieczko - wyskoczył z niego czarny punkcik i przepadł w śniegu.

- Cóż byłby ze mnie za uczonec - powiedział Minc - gdyby moje doświadczenia nie obejmowały wszystkich żywych stworzeń, bliskich i człowiekowi, i kotom. Ta pchła żyła na Trifonie. Oto biologiczna triada kosmitów!

- Trifon, zdrajco, zabiję! - wściekał się krajoznawca.

Ale nikt go nie słyszał. Wielki Guslar triumfował. Nareszcie dokonano w nim prawdziwie wielkiego odkrycia.

* * *

W tym momencie zreflektowałem się i zrozumiałem, że dałem się ponieść. Przestępcę ciągnie na miejsce zbrodni, pisarza na przetarte szlaki. Ile wysiłku włożyłem, żeby napisać prawdziwe opowiadanie fantastycznonaukowe, a skończyło się na jeszcze jednej guslarskiej historii. I to jakiej! Doświadczenie, przeprowadzone przez profesora Minca, jest antynaukowe, nie włączono do niego wielu potencjalnych kosmitów. Krajoznawca Sidiakin w ogóle jest zbędny. O ile bardziej interesujące byłyby opisy życia w obozie, codzienna praca badaczy...

Zanim zaniósłem opowiadanie do redaktora, zrozumiałem, czego w nim brakuje - szczęśliwego zakończenia. Dlatego dopisałem, co następuje:

** *

- Co miasto może dla pana zrobić? - zapytał towarzysz Białosielski, podchodząc do profesora, żeby uścisnąć mu rękę.

- Mam prośbę - odpowiedział Minc z uśmiechem. - Czy nie dałoby się nadać krajoznawcy Sidiakinowi tytułu honorowego obywatela Wielkiego Guslaru?

- Już podjęto pozytywną decyzję - odpowiedział Białosielski również z uśmiechem.

Tak zakończył się ten wielki dzień.

* * *

Moim zdaniem, doskonale powiedziane.

Na zakończenie chciałbym jeszcze zadać pytanie czytelnikom mającym związek z astronomią. Nie znacie przypadkiem jakiejś planety, która obraca się wokół osi w ciągu czterdziestu ośmiu godzin?

Każdy pisarz w głębi duszy pragnie zostać prorokiem.

1986

REJONOWE ZAWODY W DOMINO

Maleńkie tornada wirowały po pylistej ulicy, dolatywały do ogromnych lip przy wejściu do parku i rozsypywały się bez śladu. Wiatr był gorący, meteorolodzy twierdzili, że przyszedł do nas z Afryki razem z cyklonem. Korneliusz Udałow w obronie przed tornadami przywierał do płotu, Sasza Grubin szedł śmiało, nie kłaniał się tornadom, opędzał się od nich tylko, gdy stawały mu na drodze.

- Obawiam się - mówił Udałow - że Goriuchin spartaczy. Przy pierwszym silniejszym uderzeniu stół się rozjedzie.

- Zobaczymy - odpowiadał Grubin. - Pogadamy z nim. Nad ich głowami głośnik opowiadał o stratach obu stron w coraz groźniejszej wojnie klubijsko-waryjskiej.

- Nie możemy się zblamować - mówił Udałow. Denerwował się. Zdjął czapkę i wytarł nią łysinę. - Dwanaście zespołów. Największe sławy rejonu. Co sobie pomyślą o organizatorach?

- Zobaczymy - odpowiadał Grubin.

Weszli do parku. Od razu zrobiło się chłodniej. Wiatr ucichł. Z przodu słyhać było głucho uderzenia.

Przez jakiś czas aleja biegła brzegiem rzeki. Od rzeki dolatywał kwaśny zapach - fabryki wyżej położonych miast wyrzucały do niej wszelkie możliwe ścieki i odpady.

Na polanie obok estrady do tańca pracował młot parowy. Przed nim na ziemi leżały drewniane nasmołowane pale, mniej więcej sześciometrowe. Niektóre z nich były już wbite w ziemię - nad powierzchnią wystawały jedynie słupy metrowej wysokości.

Młot parowy zamarł. Zrobiło się cicho.

- Iwanycz! - zawołał z kabiny wąsaty młodzieniec Goriuchin. - Ziemia. Lita skała. Przelicz no współczynnik.

- No proszę - powiedział Udałow do Grubina, podchodząc do najbliższego słupa i próbując nim poruszyć. - Nie wierzę temu Goriuchinowi.

Grubin też poruszał słupem. A potem jeszcze dwoma, które były wbite obok.

- Jeden nie wytrzyma - powiedział. - Ale na cztery uderzenie jakoś się rozłoży.

- Zapomniałeś, jak wali Drakonow z Potmy? Jego uderzenie jest słynne w całym województwie! Na zeszytych zawodach przebił arkusz blachy. Zastanawiają się, czy nie kazać mu grać w rękawicach bokserskich.

- A co on na to?

- Mówi, że nie ma mowy. Jak utrzymać kamienie w rękawicach?

Goriuchinowi obiecali premię, ale Udałow w dalszym ciągu miał wątpliwości. Bał się zblamować przed gośćmi z odległych miejsc Guslarskiego rejonu.

Desek z tartaku jeszcze nie przywieźli. Deski miały być dwu-calowe, z wierzchu pokryte blachą.

Na estradzie miejscowy artysta malarz przygotowywał plakat: „Witamy uczestników wszechrejonowych zawodów w domino!”. Litery były metrowe - plakat miał wisieć na głównym placu.

Udałow postął chwilę za plecami malarza. Nadleciał wiatr, zaczął szarpać końce dykty. Gapie,

których zebrało się dosyć sporo, musieli sięgnąć na rogach tablicy.

Zaczął padać śnieg. Od razu zrobiło się chłodniej. Najwidoczniej cyklon z Afryki został zastąpiony cyklonem z Norwegii. Już raz tak było, w zeszłym tygodniu.

- Jeśli warunki pogodowe nie będą sprzyjające - powiedział Grubin i w zadumie wsadził dłoń w bujne włosy - trzeba będzie znaleźć wariant rezerwowego.

Podeszli do zbijanych przez cieśli trybun.

- Może zrobimy daszek? - zapytał Udałow.

- Nie dostaniemy funduszy - zauważył Grubin.

- A gdyby tak zrobić zbiórkę wśród mieszkańców?

- Już dwie zrobiliśmy. Ludzie mają dosyć. I tak byśmy do jutra nie zdążyli.

- Jakoś to będzie - zdecydował Udałow. - Zawsze jakoś się udaje.

Wielkie płatki śniegu przygniatały trawę do ziemi. Jedno z tornad, któremu udało się przedrzeć przez ścianę drzew, wyskoczyło na polanę i zakręciło tablicą z hasłem, rozganiając malarza i gapiów. Malarz klął. Farba ściekała po deskach.

- Weź się w garść - poradził malarzowi Udałow.

Razem z Grubinem, kuląc się i walcząc ze spychającym ich wiatrem, poszli dalej, do letniej czytelnicy, gdzie czekały drużyny i krewni-kibice.

Wszyscy siedzieli przy stolikach. Udałow poszedł naprzód i odwrócił się. To byli prawdziwi, zahartowani w bojach wojownicy, waleczni, o twardych dłoniach, ostrym spojrzeniu, potrafiący liczyć do stu, a nawet dalej, wytrawni znawcy wszelkich chwytów i zasad, mistrzowie debiutów i końcówek.

- Stoły będą na czas - oznajmił Udałow.

Za oknami zrobiło się ciemno. Nadciągała nieoczekiwana burza śnieżna. W szyby tłuło śniegiem, gradem i małymi kamykami, które wiatr przywiał z Kuzyl-Kumach.

- Włączcie światło! - polecił Udałow, przekrzykując oklaski.

Światło nie chciało się zapalić - linie były zerwane. Brzęczały tłuczone szyby.

Nikt nie opuścił sali.

- Otrzymaliśmy zgłoszenia dwunastu drużyn! - Udałow starał się przekrzyczeć łoskot burzy. - Zasadniczo nie stanowią zagrożenia. Ale nie można zapominać o Drakonowie i Żmijewie z Potmy.

Gwizd kibiców zagłuszył poświstywanie wiatru.

- Ale obie nasze drużyny - ciągnął Udałow - ja i Grubin... Brawa.

- ...oraz Łóżkin z Pogosianem... Gromkie brawa.

- ...jesteśmy gotowi i nie boimy się! Burza braw.

III

Wracali w ulewnymi deszczu. Było ciepło. Z nieba z rzadka spadały żaby. Barometr od stu lat wiszący na rynku leżał w błocie: spadł tak nisko, ponieważ zleciał ze słupa.

- Natura nam nie sprzyja - powiedział zirytowany Grubin.

- Zignorujemy ją - odparł Udałow. - Nie ma czasu na takie rzeczy. Jak się będziemy zajmować drobiazgami, to zapomnimy o najważniejszym.

W domu Udałowa panowała przygnębiająca atmosfera. Wszystkiemu winna była telewizja. Podano informację, że wycofująca się klubijaska armia zrzuciła bombę atomową na waryjską stolicę. Jest sporo ofiar. Radioaktywna chmura przesuwana się w stronę Europy.

Udałow szczerze współczuł Waryjczykom. Ale najgorsze było to, że Urząd Gospodarki Komunalnej mógł udostępnić tylko trzydzieści pokoi w hotelu „Gęś”. Dwa dwuosobowe, pozostałe czterosobowe. Istnieje możliwość dostawienia kilku łóżek polowych. Ale dla gości i kibiców to i tak nie wystarczy. Zjadą się przecież i z Głębokiego Jaru, i z Mrówek, i z Matejki.

Przyszedł emeryt Łożkin. Był nie w formie, męczyło go ciśnienie. Udałow wytłumaczył mu, że myślenie w takim momencie o zdrowiu to przestępstwo. Staruszek protestował, powtarzał, co pisano w gazetach - że warstwa jonosfery nad Antarktydą została zupełnie zniszczona i promieniowanie kosmiczne może bez przeszkód dosięgnąć ziemi, niszcząc florę i faunę. Udałow przekonywał go, że jonosferą zajmą się odpowiednie organizacje międzynarodowe. My mamy inne zadania. Po raz pierwszy w historii Wielkiego Guslaru drużyna miasta ma szansę zdobyć tytuł mistrza rejonu. Łożkin, pokonany, poszedł do siebie zażyć validol. Zdarza się, że los powstaje przeciwko idei. Można o tym poczytać w biografjach niektórych wielkich ludzi. Ale siła ducha polega właśnie na tym, żeby przeprowadzić wyraźną granicę między tym, co ważne, i tym, co nieistotne, sprawami zasadniczymi i drobiazgami, głównym celem i bocznymi ścieżkami.

O godzinie dziesiątej wieczorem do drzwi Udałowa zastukał przemoczony, ledwie żywy rowerzysta z Głębokiego Jaru. Zawiadomił, że przepelniona ściekami rzeczka Korowka zalała osiedle, odcięła je od cywilizacji. Drużyna siedzi na dachu klubu, trzymając nad głowami pudełka z markowymi kostkami domina. Udałow obiecał, że z samego rana przyśle do Głębokiego Jaru holownik. Pokrzepiony rowerzysta zniknął w ciemnościach nocy. Należał do gatunku cichych bohaterów.

Udałow nie spał. Na stole cicho mruczało radio. Udałow nie wyłączał go - miał nadzieję, że powiedzą coś o zawodach. W radiu mówili o zaspach na Hawajach i posiedzeniu ONZ. Nie było nowych doniesień z frontu klubijsko-waryjskiego, tylko sputniki zarejestrowały kolejne wybuchy jądrowe. Na zakończenie wiadomości naczelnny synoptyk przeproszał słuchaczy, że nie może przedstawić prognozy pogody na jutro. O zawodach ani słowa.

Około trzeciej w nocy zaczęło się trzęsienie ziemi. Niezbyt silne, ale za to długotrwałe. Obudziło się wiele osób w mieście. Udałow martwił się o Łożkina.

O siódmej rano poszedł przez całe miasto do Siniuszyna. Siniuszyn grał w domino jeszcze w okresie pierwszych pięciolatek i miał w domu cenne warianty debiutów. Udałow liczył na to, że dzisiaj, w tak decydującym momencie, emeryt je udostępni.

Szedł ponad godzinę. Przez noc w niektórych miejscach wiatr nawiał piaszczyste wydmy, w innych zasyły śnieżne. Dzień ciągle nie chciał się zacząć, drzewa były nagie, a pod nimi leżały sterty liści.

Siniuszyn długo nie otwierał - ukrywał się w piwnicy. Otulony był w liczne kołdry, na które miał narzucone coś w rodzaju pledu zszytego z plastikowych worków. Udałow przypomniał mu, po co przyszedł. Powiedział, że obecność Siniuszyna na zawodach jest obowiązkowa. Staruszek rozłościł się i poszedł z powrotem do piwnicy.

Udałow zszedł za nim.

- Kiedy ewakuacja? - zapytał staruszek.

- O tym później - powiedział Udałow. - Gdzie debiuty? Bez nich nie pokonamy Drakonowa i Żmijewa.

Staruszek nie rozumiał. Chciał się dowiedzieć czegoś więcej o zimie jądrowej. Udałow starał się zachować spokój. Najważniejsze to nie zdenerwować staruszka.

Gdy staruszek opadł z sił, Udałow zaniósł go na rękach na górę, do tajemnego kufra. Siniuszyn poddał się.

Droga powrotna do domu zajęła Udałowowi dwie godziny - na ulicach leżały powalone drzewa i słupy telegraficzne. Trzeba było przedzierać się przez przewrócony przez burzę autobus. Radioaktywne niebo świeciło się na zielono.

Udałowa zżerał niepokój, czy dojadą ludzie z Matejki - tam jest polna droga. Może wysłać traktor?

Gdy Korneliusz przebierał się i szukał krawatu, przyszedł Grubin. Był w pełnej gali. Z tyłu na marynarce miał przyszyty napis: „2, Grubin” i „Wielki Guslar”. Oznajmił, że Łożkin źle się czuje, ale stanie do walki. Położyli emeryta na połówce i ponieśli na miejsce walki. Łożkin przyciskał do piersi warianty debiutów Siniuszyna.

Po drodze zatrzymali się przed hotelem. W hotelu było pusto, administrator zniknął. Przeszli się po pokojach. W niektórych były jeszcze całe szyby.

Z jednego z pokoi dobiegał słaby krzyk. Gdy odgarnęli piasek spod drzwi, znaleźli tam kibica z Potmy.

Wyszli na ulicę. Ochłodziło się. Odkopali połówkę. Łożkin zamarzł na kość. Musieli rozcierać go śniegiem. Udałow strasznie się denerwował - zbliżał się moment otwarcia, a nikt nie wiedział, gdzie jest orkiestra. Poza tym trzeba było rozmieścić gości na trybunach honorowych.

Na rynku pojawiła się góra. Ziemia wciąż drżała. Trzeba było przenieść Łożkina nad szczeliną niewiadomej głębokości.

Orkiestrę dogonili przy parku. To byli prawdziwi muzycy i kibice. Zostały tylko skrzypce i kotły. Dalej szli, trzymając się za ręce. Ściemniło się już zupełnie, spadały meteoryty.

Panował bardzo podniosły nastrój. Chcieli śmiać się i śpiewać. Udałow był niemal pewien, że pokonają drużynę Drakonow-Żmijew.

Przez park szło się ciężko, większość drzew leżała na ziemi. Porzucili połówkę. Podtrzymywany przez towarzyszy i świadomość doniosłości chwili Łożkin szedł niemal o własnych siłach.

Na polanie czekał na nich potężny Pogosian, partner Łożkina. Napis na jego plecach oderwał się i łomotał na wietrze jak biała flaga.

- Melduj - poprosił Udałow.

- Kibice odkopują stoły - powiedział Pogosian. - Dobrze, że przyprowadziliście orkiestrę.

Do tego czasu z orkiestry zostały tylko kotły, skrzypce zgubiono podczas przeprawy.

- Drakonow przyjechał? - zapytał Udałow.

- I Żmijew też - odpowiedział Pogosian. - Żmijew ma złamaną rękę.

- Ale chyba nie prawą?

- Nie, nie martw się, lewą. Co słyhać w mieście?

- W mieście wszystko w porządku. Mieszkańcy żyją oczekiwaniem zawodów - odpowiedział Udałow.

Burza ucichła. Wyjrzało purpurowe słońce. Natura chwilowo odpoczywała.

Kibice - prawie tuzin, chociaż Udałow liczył na więcej - już wykopali w śniegu i błocie transeje do stołów. Potrzebny był tylko jeden stół - jak się okazało, drużyny z Matejki i Głębokiego Jaru nie przybyły na czas. Może dojadą później.

Łożkin usiadł naprzeciwko Pogosiana, Drakonow naprzeciwko Żmijewa. Lewą rękę Żmijew miał

w łupkach, krzywił się z bólu, ale w oczach płonął mu ogień. Drakonow, jak zwykle, był ponury i pewny siebie.

Udałow miał sędziować w pierwszej partii. Asystował mu Grubin.

Zdecydowano, że zwycięzcy będą walczyć z parą Grubin-Udałow.

Z góry przyglądało im się purpurowe słońce.

Rozłożenie okazało się korzystne dla Łożkina. Uderzył jako pierwszy.

Pokrywa lodowa Grenlandii przesunęła się na południe i Ocean Atlantycki wylał. Księżyc zerwał się z orbity i pomknął w otwarty kosmos.

Pogosian musiał przepuścić jeden ruch. Drakonow tak rąbnął kamieniem domina w stół, że sześciometrowy pał wszedł w ziemię na kolejnych dziesięć centymetrów. Kibic z Matejki krzyknął „Hura!” - kibicował Drakonowowi:

Graczy i kibiców otoczyła gęsta, zielonkawa mgła.

Partia zbliżała się do końca, ale jej wynik nadal pozostawał tajemnicą.

Niestety, niewielki wulkan, który przebudził się właśnie na terenie parku, nieoczekiwanie wybuchł. Pale, graczy i sędziów rozrzuciło w różne strony.

Udałow ocknął się na brzegu morza. Słone fale biły o brzeg. Ocean Atlantycki dotarł do Wielkiego Guslaru.

Udałow pomógł Drakonowowi wstać.

Cofnęli się z brzegu morza, starając się jednocześnie nie wpaść pod płynną lawę.

- Dokończymy jutro - uśmiechnął się Udałow.

- Pamiętam ułożenie kamieni - powiedział Drakonow. - Wszystko mam zapisane.

Poczępali szukać pozostałych uczestników zawodów.

1987

TOTALNA KLĘSKA

Udałow wszedł, a raczej wdarł się do gabinetu Mikołaja Białosielskiego. Był silnie wzburzony.

- Kola! - zawołał od progu. - Ja już nie mogę.

Białosielski odłożył ołówek, którym robił notatki na dokumentach dostarczonych mu poranną pocztą. Uśmiechnął się łagodnie i zapytał:

- Co się stało, Korneliuszu?

Dawno temu Białosielski i Udałow chodzili do jednej klasy. Ich przyjaźń, trwająca po dziś dzień, nie przeszkadzała wzajemnemu szacunkowi ani nie naruszała zasad, którym hołdowali.

- Dzisiaj rano otrzymałem osiem nowych formularzy sprawozdań, cztery pilne ankiety, każda po sześćset punktów, nie licząc czterdziestu trzech innych dokumentów i instrukcji.

Z tymi słowami Udałow postawił na biurku wypchaną teczkę, szczerknął zamkami i na biurko wysypała się sterta papierów.

- Co ja mogę poradzić - westchnął Białosielski, który od razu wszystko zrozumiał. - Sam jestem zavalony papierami, nie mam nawet czasu pracować.

- To co, jest pierestrojka, czy nie ma pierestrojki? - zapytał Udałow. - Czy ty nie rozumiesz, Kola, że biurokraci niedługo pogrzebią nas pod tymi papierami? Papiery są im potrzebne, żeby usprawiedliwić swoje bezmyślne istnienie. A my cierpimy.

- My walczymy - oświadczył Białosielski. - Trzy dni temu skłoniliśmy Urząd Gospodarki Gruntami, żeby zmniejszyli o sześć procent kwartalną sprawozdawczość. Po zaciekłych bojach zgodzili się.

- No i co?

- A to, że potroili objętość pozostałych dziewięćdziesięciu czterech procent.

- Trzeba ich rozgonić.

- Nie możemy - powiedział Białosielski. - Wszystkie nasze organizacje podlegają organizacjom wyższego szczebla, a te z kolei podlegają organizacjom jeszcze wyższego szczebla i tak dalej, aż do ministerstw...

- W takim razie składam podanie o emeryturę - oświadczył Udałow. - Od trzech dni nie byłem na budowie. Ręki już nie czuję.

- Kiepski pomysł. Swoją kapitulacją tylko pozbawiasz mnie sprzymierzeńców. Powinniśmy myśleć, a nie narzekać.

- No to myśl! Po to mianowali cię przewodniczącym Rady Miejskiej.

- Żebym ja wiedział! - powiedział ze smutkiem Białosielski, podszedł do okna i przycisnął rozpalone czoło do szyby. Chciało mu się płakać.

- Wybaczcie, przyjaciele - rozległ się w drzwiach głos profesora Lwa Chrystoforowicza Minca.

- Niech pan wejdzie, Lwie Chrystoforowiczu - rzekł Białosielski. - To nieszczęście dotyczy nas wszystkich, chociaż nie pana bezpośrednio.

- Wszystko słyszałem - oznajmił Minc. - Nie rozumiem tylko, na czym polega beznadziejność sytuacji.

- Biurokracji nie da się pokonać - odpowiedział Białosielski.

- Nie ma pan racji. Do tego problemu trzeba podejść w sposób naukowy, a tego właśnie nie zrobiliście.

- Ale jak?

- Odszukać związki przyczynowo-skutkowe - wyjaśnił profesor. - Na przykład, jeśli mam zamiar wytruć karaluchy, to przede wszystkim muszę poznać krąg ich zainteresowań, ich zachowania, zamiary. A potem uderzyć w najczulszy punkt.

- No, ale to karaluchy! - wykrzyknął Udałow.

- Muszę panu powiedzieć, Korneliuszu Iwanowiczu, że karaluchy są nie mniej żywotne od biurokratów.

- Co pan proponuje? - zapytał Białosielski.

- Proponuję pomyśleć. Na czym polega siła biurokraty? No? No?

Przyjaciele zamyślili się.

- Na układach - rzekł w końcu Białosielski.

- Na niechęci do prawdziwej pracy - powiedział Udałow.

- Zgadza się, ale nie to jest najważniejsze. Obiektywna siła biurokraty polega na tym, że władza on papierem. A papier z kolei ma w naszym społeczeństwie magiczną moc. Zwłaszcza jeśli jest wyposażony w podpis i pieczęć. Widząc taki papier, najśmielsi ludzie tracą przytomność umysłu, kwiaty usychają, fabryki stają, pociągi zderzają się z samolotami, pisarze zamiast książek dobrych piszą książki potrzebne, malarze przedstawiają na płótnach sceny grupowego zachwyty, miliony ludzi pokornie opuszczają stałe miejsca pobytu i w wagonach bydłych jadą tam, gdzie każe im papier...

- Jasne - przerwał profesorowi Udałow. - Trzeba zabronić przyszłym biurokratom nauki czytania i pisania. Będą analfabetami!

- Czytać i pisać to oni już umieją - powiedział Białosielski.

- A w dodatku ludzie nie rodzą się biurokratami, lecz stają się nimi - ciągnął Minc. - I znowu na polecenie papieru. Dlatego proponuję pozbawić naszą biurokrację papieru!

- Jak to? - zdziwił się Białosielski.

- Fizycznie. Nie dawać im więcej papieru. Jak nie będzie papieru, nie będą mieli na czym pisać instrukcji i zakazów, a wy nie będziecie mieli na czym pisać sprawozdań.

- Ale jak to zrobić?

- Nie możecie zamknąć wszystkich urzędów, nie możecie wygnać biurokratów na ulicę. Ale możecie odmówić im papieru. Cała władza w ręce rad!

Mądre słowa Lwa Chrystoforowicza zapadły Białosielskiemu głęboko w serce. Nie od razu, ale po zebraniu wokół siebie sprzymierzeńców i przemyśleniu całej procedury wydał zarządzenie, radośnie przyjęte przez całe społeczeństwo.

„Z dniem dzisiejszym i po wsze czasy żaden urząd miasta Wielki Guslar nie ma prawa trzymać w swoich murach żadnego papieru oprócz toaletowego i przeznaczonego do napisania podania o zwolnienie (jedna kartka na urzędnika)”.

Nie będziemy opisywać, jak trudno było zamknąć papierom wstęp do urzędów i biur, jak kombinowali i kręcili dyrektorzy tych biur, jak trzeba było postawić na rogatkach ochotników, żeby przerwać kontrabandę papieru z województwa, a nawet z Moskwy. Ale jeśli naród postanowił, naród da radę!

Napływ papieru został przerwany. Miasto mogło swobodnie odetchnąć. Dzielne patrole

przechwytywały wdzierającą się do miasta rzekę papieru i od razu oddawały na makulaturę. Po dwóch tygodniach za tę makulaturę każdy mieszkaniec miasta otrzymał książkę Dumasa i dzieła zebrane pisarza Pikula.

Z jakąż rozkoszą szedł rano do pracy Korneliusz Udałow i inni mieszkańcy miasta! Wszyscy byli przekonani, że nic już nie będzie odciągać ich od twórczej pracy, której wydajność znacznie teraz wzrosła.

Urzędy się przyczyły. Ich pracownicy organizowali nie kończące się zebrania. Ponieważ byli zmuszeni protokołować je na papierze toaletowym, a żywot takich dokumentów bywa krótki, następnego dnia zebranie trzeba było powtarzać, ponieważ zebranie bez protokołu uważa się za niebyłe.

Udałow i Białosielski każdego dnia czekali na świetlany moment, gdy otworzą się podwoje Urzędu Administracji, Urzędu Statystycznego, Urzędu Inwestycyjno-Technicznego, Urzędu Planowania i innych urzędów, i wyjdą z nich pracownicy i pracownice gotowi zdać się na łaskę zwycięzców i stanąć w końcu przy tokarkach, szpitalnych łózkach, szkolnych tablicach i w innych miejscach, gdzie ciągle brakuje ludzi. Ale podwoje pozostawały zamknięte.

Minał tydzień. Pewnego dnia, idąc po ulicy Puszkina, Udałow zobaczył niepozorne ogłoszenie następującej treści: „Urząd Inwestycyjno-Techniczny poszukuje kamieniarzy, tkaczy, grawerów, wyszywaczy i cyzelerów. Praca stała, stawki porównywalne z pensjami wybitnych ekonomistów, gwarancja trzynastej pensji”.

Serce zabiło mu trwożnie. A gdy zobaczył takie samo ogłoszenie wywieszone przez Urząd Planowania, przestraszył się nie na żarty. Najgorsze przeczucia Udałowa sprawdziły się jeszcze tego samego dnia. Mniej więcej na godzinę przed obiadem do jego biura weszło trzech krzepkich młodzieńców. Wlekli za sobą wielką granitową płytę. Na płycie widniały starannie wykute litery:

INSTRUKCJA

Dot. ewidencji wykorzystywania armatury w przeliczeniu na metry bieżące i centymetry sześciennie.

Do służbowego wykorzystania.

Pilne.

Odpowiedź dostarczyć w ciągu dwudziestu czterech godzin pod karą pociągnięcia do odpowiedzialności.

Młodzieńcy postawili płytę pod ścianą. Słońce, które zajrzało do pokoju, oświetliło swoimi ciepłymi promieniami głęboko wryte wersy.

- Niech pan podpisze odbiór - jeden z młodzieńców podał Udałowowi kawałek miedzianej blachy, młotek i dłuto. - Tu proszę wybić swoje nazwisko.

Udałow wybijał swoje nazwisko aż do obiadu. Z sąsiednich fabryk, biur, sklepów i szkół dobiegał stuk młotków - przewodniczący i dyrektorzy podpisywali odbiór instrukcji.

Zamiast na obiad Udałow poszedł do Białosielskiego. Białosielski był w żałobie: ściany jego gabinetu były zastawione różnego rodzaju kamiennymi płytami, miedzianymi i stalowymi blachami, na stole leżała sterta jedwabnych i bawełnianych zwojów z wyszytymi na nich zapytaniem, skargami, ankietami i rekomendacjami.

Na środku gabinetu stał profesor Minc i lekko się uśmiechał.

- No i czemu pan się uśmiecha! - wykrzyknął Udałow od progu. - Pokonali nas! Już wolę podpisywać papiery niż wybijać swoje nazwisko na różnych twardych przedmiotach jak egipski

niewolnik.

- Niech pan nie rozpacza, Korneliuszu - powiedział Lew Chrystoforowicz. - Pan również, towarzyszu Białosielski. Wróg przeszedł do ostatecznych środków. A to znaczy, że słabnie.

- Niech pan wyjrzy przez okno! - zawołał Mikołaj. - Nawet stąd widać, że oni bez przerwy kują i wyszywają! Wszyscy mają za - ' jecie! Stworzyli nowe etaty.

- My będziemy sprytniejsi - odpowiedział Minc. - Na ostatnim zebraniu odmówiliście stworzenia spółdzielni szlifierzy, wyszywaczek, cyzelerów?

- Nie odmawialiśmy. Odłożyliśmy tę sprawę, ponieważ nie były przygotowane potrzebne dokumenty.

- Otóż to! Dokumenty! A przecież teraz nie ma papierów!

- A jak...

- I ty też, Kola? - zapytał surowo Udałow.

Twarz Białosielskiego rozjaśnił przekorny uśmiech.

- Wieroczka! - zawołał sekretarkę. - Może pani poprosić do mnie przedstawicieli wszystkich spółdzielni? Tak, zaraz. Dziękuję.

Godzinę później, bez żadnego dokumentu, w sposób, operatywny i zdecydowany zostały zorganizowane spółdzielnie szlifierzy, cyzelerów, kamieniarzy, wyszywaczek oraz inne dobrowolne organizacje, gotowe wnieść swój wkład w rozwój gospodarki i zarobić przy tym więcej, niż mogły im zaproponować urzędy miejskie, nawet biorąc pod uwagę trzynastą pensję.

Biurokracja straciła ręce do pracy.

Minęło kolejne pięć dni. Życie w mieście płynęło spokojnie. Nowe instrukcje się nie pojawiały.

We wtorek rano Udałow powiedział do swojej żony Kseni:

- Ksiusza, tytaniczna walka z biurokracją zakończyła się naszym zwycięstwem. Biurokracja poniosła klęskę!

W tym momencie z drugiego pokoju wyszedł syn Udałowa, mały Maksym.

- Tato - oświadczył. - Nie pójdziemy na wycieczkę.

- Dlaczego? - zdziwił się Udałow. - Przecież tak się szykowałeś.

- Wczoraj przyszedł jeden pan z Urzędu Planowania i zaproponował nam pracę.

- Wam? W czasie wakacji?

- Tato, ty zupełnie nie śledzisz tego, co dzieje się w oświacie. Trzeba wreszcie przybliżyć szkołę do życia. Nasze wykształcenie woła o pomstę. Nie chcę być nieukiem! Mój rówieśnik w USA zarabia setki, a nawet tysiące dolarów, rozwożąc mleko i gazety!

- Opamiętaj się! - wykrzyknął Udałow. - Wszyscy nagle zrobili się wykształceni! Idź, zarabiaj. Ale uczciwą pracą!

- Dobrze, tato. Jeśli ktoś proponuje mi coś nieuczciwego, odmówię, nawet jeśli za te pieniądze mógłbym kupić skuter.

Wieczorem, podczas kolacji, Udałow zapytał:

- No i co, synku?

- Bardzo ciekawy pomysł - odpowiedział Maksymek. - Wszyscy mamy pracować jako kurierzy.

Udałow roześmiał się.

- Jacy z was będą kurierzy, skoro nie ma papieru?

- To my właśnie będziemy papierami. Każdy z nas dostanie numer. Na przykład ja będę

wychodzącym osiemnaście, dwadzieścia cztery z czternastego czerwca. Składam się z sześćdziesięciu punktów i jutro rano mam zostać wysłany do województwa.

- Nic z tego nie będzie - odpowiedział Udałow, który nie mógł jeszcze uwierzyć w diabelski pomysł Urzędu Planowania. - Nie zapamiętasz wszystkich punktów.

- Zapamiętam - uśmiechnął się nastolatek.

Wyciągnął z kieszeni długi sznurek, od którego odchodziły krótkie sznureczki z mnóstwem węzłków.

- Pismo Majów - wyjaśnił ojcu. - Przekazując swoją treść, posługuję się tym pismem jako ściągawką. Pokazać?

- No... - mruknął niepewnie Udałow.

Maksymek przyjął odpowiednią pozę, pociągnął palcami za koniec sznurka i zaczął monotonicznie mówić:

- Wychodzący osiemnaście, dwadzieścia cztery z czternastego czerwca. Do zarządu wojewódzkiego Urzędu Rozwoju i Polityki Gospodarczej, do zastępcy kierownika, towarzysza Bogatkina GieEm...

- Wystarczy! - Udałow machnął ręką. - Poddaję się. Boję się tylko, że cię tam zaprzychodują, wszyją do akt, położą na półkę i zapomną nakarmić.

Syn chodził po pokoju, przebierał sznurki palcami i cicho mamrotał..

Następnego dnia rano, przechodząc obok otwartych okien Inspektoratu do Spraw Finansów i Rozliczeń, Udałow usłyszał dochodzące stamtąd mamrotanie. Zatrzymał się i zajrzał do środka.. Przed biurkiem naczelnika stała dziesięcioletnia dziewczynka i posłusznie powtarzała za kierownikiem zaopatrzenia Łapkinem, którego Udałow znał od dawna:

- Punkt trzeci: zlecić naczelnikom niższych ogniw lustracyjnych...

- Nie lustracyjnych, tylko administracyjnych, dziecko! Jeśli nie zapamiętasz tego do obiadu, nie dostaniesz kompotu.

Na przystanku autobusowym, czekając na samochód do województwa, sterczało kilkunastu uczniów ze sznurkami w rękach...

W biurze czekało na Udałowa trzech młodzieńców i pierwszoklasista w okularach. Byli grzeczni, ale stanowczy. Udałow musiał wysłuchać ich tekstów i zaleceń odpowiednich organizacji. Później pokornie zapytał:

- A gdzie pokwitować odbiór?

- Jeśli ma pan okrągłą pieczęć - odpowiedział jeden z chodzących dokumentów - to proszę przystawić mi ją na czole.

Udałow uśmiechnął się. Wyjął z biurka okrągłą pieczęć, zanurzył ją w tuszu i ze złośliwą radością przypieczętował okrągłe dziecięce czoła.

- Niech was teraz rodzice szorują! - powiedział.

Ale gdy podszedł do pierwszoklasisty w okularach, zrobiło mu się głupio.

- A gdzie jeszcze można? - zapytał.

Chłopiec wysunął dłoń. Udałow przystawił pieczęć na dłoni.

Przez cały dzień po mieście kursowały wchodzące i wychodzące. Niektóre dzieci miały na czołach już po trzy pieczęcie. A na ich policzkach widniały podpisy flamastrami.

Udałow przestał się uśmiechać.

A gdy wieczorem wrócił z miasta zmęczony Maksymek, z czołem i policzkami gęsto pokrytymi stemplami, Udałow, nie zwracając uwagi na szloch chłopca, pozbawianego uczciwie zapracowanych pieniędzy, własnoręcznie wyszorował go tak, że o mało skóra nie zesła.

Podobne sceny rozgrywały się w wielu domach. Dzieci-dokumenty znacznie straciły na wartości.

Następnego dnia, po krótkim acz burzliwym zebraniu w Urzędzie Miejskim, wszystkie dzieci zostały wysłane do leśnego obozu, w błyskawicznym tempie zbudowanego przez rodziców.

- Wygląda na to, że wreszcie nastał koniec - powiedział Udałow następnego dnia.

Przed chwilą dzwonił do niego Kola Białosielski i powiedział, że wpadli do niego kurierzy z województwa. Jeden przyniósł instrukcję wyciętą na korze brzoźowej, drugi zdjął w gabinecie podkoszulek i przedstawił dokument napisany na brzuchu. Okazywało się, że w innych miastach, a nawet w województwie podjęto inicjatywę mieszkańców Guslaru.

- Tytaniczna walka dobiega końca - oświadczył Udałow żonie, wychodząc do pracy.

- Już mi to mówiłeś - odpowiedziała Ksenia. - Poczekaj, oni się jeszcze nie poddali.

Udałow opędził się tylko od proroczych słów małżonki.

Świeciło słońce, śpiewały ptaki i trąbiły samochody.

Na głównym placu miasta, rozległym i zaasfaltowanym, coś się działo. Samochody i autobusy, które miały zamiar przejechać przez plac, musiały się zatrzymać. Urzędnicy z rozlicznych urzędów, których budynki otaczały plac, wynosili na plac swoje biurka. Setki, tysiące biurek...

Dyrektorzy urzędów i biur, wczytując się w rozrysowane na kawałkach papieru toaletowego planiki, pokazywali, gdzie należy stawiać biurka.

Udałow stanął obok gapiów na skraju placu, próbując pojąć, co też wymyśliła ginąca biurokracja.

Powoli wyłaniał się zarys rysunku, według którego ustawiano biurka. W sumie złożyły się one na ogromny napis SOS.

Po czym urzędnicy na dany sygnał usiedli przy biurkach i zaczęli wpatrywać się w niebo.

Udałow też popatrzył w niebo. Było błękitne i puste.

- O co tu chodzi? - zapytał siedzącego najbliżej urzędnika.

- Nie powiedziano nam - odpowiedział ten. - Mamy siedzieć i czekać. Dyrekcja wie lepiej.

Dyrekcja nie chciała rozmawiać z Udałowem.

Udałow poszedł do Białosielskiego. Białosielski był zaniepokojony. Stali pod oknem, skąd litery SOS były doskonale widoczne.

Podszedł do nich Minc.

- Głupio robią - rzekł. - Jeśli liczą na pomoc z województwa... tam przeprowadzany jest ten sam proces.

- Wiem - odpowiedział Białosielski. - W całym kraju dzieje się to samo. Ale mimo to czuję się niepewnie.

W tym momencie z góry dobiegł równy, narastający huk.

Ciemne, ruchliwe cienie mignęły nad placem.

Pomiędzy literami niepokojącego przesłania jeden za drugim lądowały latające talerze. Wszystkie miały znaki rozpoznawcze. Niektóre z nich Udałow znał.

- Ten jest z Aldebarana - powiedział, patrząc, jak otwiera się luk i z talerza wychodzą trzynodzy zieloni kosmici z teczkami. A ten z Alfry Wodnika.

Z drugiego talerza wyszły krabopodobne istoty w czarnych garniturach.

Otworzyły się luki w trzecim, piątym, dwudziestym talerzu... Jeden z kosmitów, potężny, z czterema mackami, wyjął zza pazuchy mikrofon. Nad placem rozległ się jego głos:

- Drodzy bracia! Gdy dowiedzieliśmy się, w jak tragicznej sytuacji się znaleźliście, i gdy zobaczyliśmy wasz sygnał, nie mogliśmy nie przyjść wam z pomocą. My, przedstawiciele wpływowych organizacji i urzędów Aldebarana, Syriusza, Pataliputry i wielu innych rozumnych światów, niesiemy wam ratunek. Nie jesteście sami, przyjaciele i koledzy!

Guslarscy urzędnicy bili brawo. Kosmici zaczęli wynosić ze statków stopy papieru, kopiarki, urządzenia ksero, nowiutkie maszyny drukarskie...

Urzędnicy ze spokojem i powagą ustawiali się w kolejce. Każdy z nich dostał wystarczająco dużo papieru, żeby zawalić nim Udałowa.

- Tak - powiedział Minc. - Ponieśliśmy klęskę.

- Totalną klęskę - dodał Udałow., Białosielski nie wytrzymał i zapłakał.

- Nie rozpaczaj, Kola. - Udałow położył przyjacielowi rękę na ramieniu. - Na Aldebaranie też znajdziemy sprzymierzeńców.

- A oni... oni... z sąsiedniej galaktyki...

- Do sąsiedniej galaktyki też się dobierzemy.

1988

WOLNY TYRAN

Choć na resztkę paliwa, Udałow wylądował bez problemu: nic się nie rozbiło, sam również wyszedł bez szwanku.

Wyjrzał przez iluminator - nie padało, temperatura plus siedemnaście stopni. Włożył marynarkę, sprawdził, czy nie zapomniał portfela z dokumentami, i zszedł po trapie na nieznaną planetę.

Statek stał na odludziu, w krzakach. Korneliusz ucieszył się, że nie uszkodził zasianego pola. Pylistą dróżką ruszył w stronę miasta.

Przy stojącym na skraju miasta domu krzątał się jakiś mężczyzna w szarej kurtce i w szarych spodniach.

- Przepraszam - zwrócił się do niego Udałow w kosmolingwie, języku zrozumiałym w całej cywilizowanej Galaktyce. - Czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie u was dostanę paliwo do statków kosmicznych? i - U nas nie ma statków kosmicznych - odpowiedział miejscowy.

- A naftę macie? Ostatecznie może być i nafta.

- Nafta jest - odpowiedział miejscowy. - Ale panu nie sprzedadzą.

- Dlaczego?

- Złamał pan prawo. Wylądował pan w żonie.

- Nie mam żadnych złych zamiarów. Jestem tu przelotem. Wszystkie dokumenty mam w porządku.

- Nie moja sprawa - odpowiedział miejscowy. - Jestem tylko więźniem.

I znowu zabrał się do skopywania ogródka. A Udałow dopiero w tym momencie zauważył naszyty na plecach i piersi rolnika siedmiocyfrowy numer.

Trochę go to zaniepokoiło, ale poszedł dalej. Przechodniów było mało. Na Udałowa patrzyli z zaciekawieniem, ale o nic nie pytali. On też milczał. Wszyscy przechodnie byli ubrani na szaro i mieli naszyte numery.

W końcu Udałow zobaczył człowieka z książkami pod pachą. Śmiało podszedł do niego, wierząc, że zawsze to łatwiej dogadać się z inteligentem. Zapytał o naftę. Człowiek odpowiedział, że ciężko ją dostać - w kraju nie ma ani samochodowego, ani żadnego innego transportu. Trzy lata temu z rozkazu tyrana wszystkie silniki zostały zniszczone, żeby przestępcy nie mogli z nich skorzystać i uciec z żony.

- Czy mam pańską odpowiedź rozumieć w ten sposób, że niechcący wylądowałem na terytorium obozu koncentracyjnego, a wy wszyscy jesteście więźniami?

- Rozumuje pan jak najbardziej prawidłowo, przybyszu - odpowiedział inteligent.

- Za co pana aresztowano?

- Widocznie było za co - odpowiedział wymijająco inteligent.

- A poza granicami żony są samochody?

- Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie - powiedział inteligent - bo nie wiem, co się dzieje poza żoną.

- Czyżby pozbawiono pana prawa do korespondencji? - zdziwił się Udałow.

Inteligent skinął głową.

- A jak rodzina?

- Nie mam rodziny - westchnął inteligent i pospiesznie się oddalił.

Pewnie dlatego że do Udałowa podszedł policjant. Można go było rozpoznać po czapce, pałce w

ręku i wysokich butach. Pozostałe części jego garderoby były takie same jak u innych więźniów.

Numer też miał siedmiocyfrowy.

- O co chodzi? - zapytał policjant.

Udałow od razu się do wszystkiego przyznał i został aresztowany. Policjant prowadził go główną ulicą obozowego miasta, które niewiele różniło się od zwykłego miasta, tyle że zamiast nazw ulic wisiały numery bloków lub żon, a zamiast numerów domów były napisy „Barak nr 456” albo „Karcer nr 24”. Ale nie przeszkadzało to pracować fryzjerom i woźnicom. Chociaż konie też miały swoje numery obozowe.

W budynku komendantury obozu poproszono Udałowa, żeby zaczekał, więc usiadł na ławce w wąskim korytarzu. Po jednej stronie siedział ożywiony nastolatek, a po drugiej - kobieta lekkich obyczajów. Jej zawód można było odgadnąć po skróconej szarej spódnicy i głębokim dekolcie w obozowej bluzie.

- Dziwi mnie wasz obóz - powiedział Udałow. - Wszyscy zajmują się swoimi sprawami i nikt nie jest poddawany reedukacji.

Nastolatek zaśmiał się przypochlebnie, a kobieta chwyciła chłopca za czuprynę i zaczęła nim potrząsać. Trzęsła nim tak dopóty, dopóki ten nie wypluł zegarka Udałowa. Podobnie jak wiele prostytutek była w życiu codziennym bardzo serdeczna.

Wrócił policjant i zaprowadził Korneliusza do komendanta.

- Co? - zdziwił się Udałow. - Pan też jest więźniem?

- Oczywiście - odpowiedział komendant.

- I długo pan już siedzi?

- Długo - odpowiedział komendant. - Ale pan dostanie o wiele więcej j.

- Za co?

- Za ucieczkę.

- Ale ja nigdzie nie uciekałem.

- Przekroczył pan granice obozu? Znaczą się, uciekał pan.

- Ale ja ją przekroczyłem do wewnątrz, a nie na zewnątrz!

- A czy to nie wszystko jedno, w którą stronę?

- No i co teraz będzie?

- Po obiedzie zbierze się sąd. A narazie niech pan idzie coś zjeść. Na prawo za rogiem jest sympatyczna knajpka. Sam się tam stołuję. Ma pan pieniądze?

- Kredyty międzyplanetarne i radzieckie ruble.

- Ruble lepsze - powiedział komendant. - Bardziej stabilne. Niech pan da, rozmienię panu.

- Ale jeśli zostałem aresztowany - mówił Udałow, podczas gdy komendant rozmieniał pieniądze - to jak może mnie pan wypuszczać do jadłodajni?

- Ja pana nie wypuszczam - odpowiedział rozsądnie komendant. - Pan już jest więźniem. Już pan odsiaduje wyrok.

Kobieta lekkich obyczajów czekała na Udałowa przed komendanturą.

- Nakarmisz, kawalerze? - zapytała.

Udałow nie mógł odmówić dobrej dziewczynie. Zachowywała się przyzwoicie. Lokal okazał się czysty, a jedzenie smaczne.

Rozmawiali o różnych głupstwach. Udałow opowiedział jej o swoich problemach, a dziewczyna o swoim nieudanym życiu.

Udałow dopił właśnie herbatę i miał zamiar dowiedzieć się czegoś więcej o aresztowanym mieście, gdy do kawiarni wszedł generał w epoletach przyszytych do więziennego stroju.

Od razu podszedł do Udałowa i powiedział:

- Przybysz z kosmosu jest oczekiwany w rezydencji.

- Szczęściarz - westchnęła dziewczyna. - Pobędziesz trochę na wolności.

Więzień generał wsadził Udałowa do karety z zakratowanymi okienkami i zabronił wyglądać na zewnątrz. Pojechali do rezydencji.

Kareta zatrzymała się przed wysoką kratą dzielącą wielki trawnik na dwie części. Dwaj wartownicy na rozkaz generała otworzyli furtkę w kracie, przeszukali Udałowa i wpuścili na teren rezydencji.

Pośrodku gazonu pod niedużym baldachimem stało biurko. Przed nim złoty fotel. W fotelu siedział tyran, bardzo różniący się od innych mieszkańców planety, których Udałow spotkał do tej pory. Miał na sobie pyszny mundur, ozdobiony gwiazdami orderów i akselbantami.

- Proszę wybaczyć - odezwał się tyran - że nie proponuję, by pan usiadł. Nie znoszę, kiedy ktoś siedzi w mojej obecności.

Udałow nie protestował.

- Powiedziano mi, że szuka pan nafty - ciągnął tyran. - Ale zatrzymano pana podczas przekraczania granicy obozu. Teraz grozi panu długi wyrok. Czy to się zgadza?

Z tyranami lepiej nie dyskutować. Udałow kiwnął głową. Tyran wstał z fotela, obszedł biurko i wyciągnął do Udałowa rękę.

- Współczuję panu - powiedział. - Ciągle mam do czynienia z ludźmi naiwnymi. Uważają, że jeśli oni trafili do obozu, nasi goście też powinni w nim siedzieć. - Zachichotał i zaczął potrząsać ręką Udałowa. - Nazywają mnie Tyran Sprawiedliwy. Śmiesznie, co?

Zaczęli spacerować po trawniku i tyran prosił Udałowa, żeby opowiedział mu szczegółowo o sytuacji w Galaktyce, o innych planetach, na które tyran wybierał się od dawna, ale ciągle nie mógł znaleźć czasu.

Zapanowała miła atmosfera i Udałow zapytał:

- Po co trzymać w obozie tak wielu ludzi?

- Wynika to z logiki życia - odpowiedział ze smutkiem tyran.

- Proszę wybaczyć, ale nie rozumiem.

- Gdy zwyciężyłem w walce o władzę, musiałem odizolować opozycję. Nie mogłem przecież wszystkich zabić! Wkrótce okazało się, że utrzymanie obozów bardzo drogo kosztuje mój ukochany naród. Wszystko trzeba było więźniom zapewnić - i fryzjerów, i kucharzy, i katów, a wszystkim należało płacić pensję... - Tyran przyjął godną pozę, zadzwęczał orderami i wykrzyknął: - Ale przecież jestem geniuszem! Aresztowałem niezbędną liczbę fryzjerów, kucharzy i katów. Niech wypełniają swoje obowiązki za darmo. Rozumie pan?

Udałow zrobił nieokreślony ruch głową. Tyranowi wystarczyła ta pochwała. Mówił dalej:

- Ale czym ich karmić? W co ubierać? Musiałem wsadzić chłopów i robotników, inżynierów, a nawet pisarzy razem z drukarniami... - Westchnął zadowolony. - Problem został rozwiązany - zakończył.

Pospacerowali jeszcze trochę. Potem tyran w zaufaniu oznajmił gościowi:

- Rząd drogo nas kosztuje...

W tym momencie przyszedł mu do głowy wspaniały pomysł. Rzucił się do biurka i zaczął pisać

rozporządzenie. Gdy skończył, wezwał aresztowanego generała i krzyknął:

- Aresztować rząd! Poszerzyć żonę o odpowiedni blok. A mojego osobistego gościa proszę odprowadzić do żony i znaleźć mu miejsce w porządnym baraku. Jutro będę chciał znowu z nim porozmawiać.

Generał zaprowadził Udałowa do żony, zamknął furtkę i od razu wydał straży rozkaz aresztowania ministrów.

A potem zawiózł Udałowa z powrotem do centrum i wysadził przed dwupiętrowym budynkiem, na fasadzie którego widniały czarne litery: „Barak nr 21”. A poniżej złote litery z zawijasami głosiły: „Hotel Katorga”.

Administrator w ubraniu obozowym kazał strażnikowi zaprowadzić Udałowa na pierwsze piętro. Tam otworzono mu drzwi „jedyńki nr 45”. Karcer był przytulny, z dwuosobowym łóżkiem. O świcie Udałowa obudzono. W karcerze stał więzień generał. W rękę trzymał szare ubranie.

- Tyran Sprawiedliwy wzywa do siebie aresztanta numer 678942I - powiedział. - Proszę się przebrać.

Udałow przebrał się posłusznie. Zapewne tyran zapomniał, że Udałow ciągle jeszcze jest wolny. Trzeba będzie mu przypomnieć.

Gdy Korneliusz szedł z generałem przez hol, zza kolumny wysliznęła się kobieta lekkich obyczajów.

- Dzień dobry - powiedziała. - W naszym firmowym ubraniu bardzo ci do twarzy. Zdobyłam dla ciebie naftę. Trzydzieści hektolitrow. Do Aldebarana powinno wystarczyć.

Miła dziewczyna, pomyślał Udałow. I bezinteresowna. Życzył jej szybkiego zwolnienia i szczęścia w życiu osobistym.

Umówili się, że naftę dziewczyna przywiezie na statek. Potem Udałow wrócił do generała i pojechali do rezydencji.

- Jak tam wczorajsze aresztowania? - zapytał Udałow. - Bez problemów?

- Wszystko odbyło się tak, jak należy - odpowiedział generał oschle.

Weszli na znajomy trawnik.

Jego środek był otoczony kratą. Wewnątrz stało biurko i złoty fotel. Przy biurku siedział tyran w pięknym mundurze i coś pisał. Na pozostałej części trawnika, należącej teraz do obozu, biegały dzieci i opalały się aresztowane nianie.

Udałow zatrzymał się przed wejściem do klatki. Tyran go poznał.

- Wejdz - rzekł. - Poczuj się jak wolny człowiek. Wybacz, ale musiałem cię skazać. Bądź co bądź przekroczenie granicy obozu to poważne wykroczenie.

- No i co? - zapytał Udałow. - Jest pan teraz jedynym wolnym człowiekiem?

- Tak! - odpowiedział twardo tyran.

- No to ja już pójdę - powiedział Udałow.

Tyran strasznie się rozżościł, ale nie odważył się opuścić azylu wolności.

Obozową odzież z numerem 678942I Udałow zatrzymał na pamiątkę.

OPOWIEŚĆ O KONTAKCIE

Część pierwsza

Wydarzyło się to w okresie zastoju. Sam towarzysz Czyngisow obiecał być na otwarciu rejonowych mistrzostw w domino. Otwarcie miało się odbyć na placu przed Urzędem Rady Miejskiej, przed pomnikiem Pionierów.

Wszyscy wiedzieli, jak Czyngisow troszczy się o zagospodarowanie terenu: jeśli na trasie pochodu znajdzie jakiś wybój albo dołek, natychmiast poleci głowa winnego. Dlatego zadanie numer jeden brzmiało: tak przygotować plac, żeby ziarnko grochu puszczane z zachodniego rogu, gdzie stoi pomnik, bez przeszkód dotoczyło się do wschodniego rogu, gdzie stał Urząd Rady Miejskiej.

Zadanie to powierzono Korneliuszowi Udałowowi.

Batyjew najpierw wezwał go do siebie i długo równał z ziemią. Żeby Udałow bardziej się zaangażował...

Udałow zaangażował się. Plac zamknięto dla ruchu. Zerwano asfalt. Zaczęto kopać głębiej.

Na dwa dni przed przyjazdem Czyngisowa łyżka koparki natrafiła na coś metalowego - zaraz obok pomnika, z prawej strony, tuż pod powierzchnią ziemi znajdował się metalowy przedmiot gigantycznych rozmiarów.

Przyczyna tak ogromnych rozmiarów wyjaśniła się jeszcze tego samego dnia pod wieczór, gdy przedmiot został okopany w celu wyciągnięcia. Okazało się, że jest to statek kosmiczny niewiadomego pochodzenia i wieku.

Batyjew stał w swoim gabinecie przy oknie i złościł się. Miał powód! Jeśli Czyngisow zobaczy, do czego doprowadziło zagospodarowanie w Wielkim Guslarze, bez kar się nie obejdzie.

- Zasypuj! - krzyknął Batyjew z okna.

Udałow, który stał nad krawędzią głębokiego dołu i patrzył na matową, opaloną milionami parseków owalną powierzchnię statku kosmicznego, podniósł głowę i rozłożył ręce. Za jego plecami stała zbita w gęsty tłum miejscowa społeczność. Społeczność była gotowa do walki.

- Ludmiła - rozkazał Batyjew - wydaj polecenie natychmiastowego zamknięcia poczty. Z powodu remontu.

- Dlaczego? - zapytała sekretarka.

- A dlatego że za chwilę społecznicy zaczną zasypywać Moskwę listami i telegramami z prośbą o przysłanie komisji.

- Zawiadomić milicję?

- Mądra dziewczyna - powiedział Batyjew i czule uszczypnął sekretarkę. - Ani jeden inteligent nie może opuścić miasta.

A tymczasem z okna można już było zobaczyć, jak społeczność schodzi na statek i stuka pięściami po powierzchni. Nawet do gabinetu Batyjewa dobiegały odgłosy głuchych uderzeń.

Dziesięć minut później profesor Minc, Helena Siergiejewna i prowizor Sawicz jako przedstawiciel inteligencji twórczej wprosili się do gabinetu Batyjewa.

Batyjew demokratycznie obszedł stół, żeby przywitać ich w pół drogi. Uścisnął wszystkim ręce. W myśli życzył im, żeby zapadli się pod ziemię. Zapytał o zdrowie i sprawy zawodowe.

- Jak panu wiadomo... - zaczął profesor.

- Wiem, wiem - westchnął Batyjew. - Chciałbym go wyciągnąć, ale nie mamy takiego dźwigu. I przepiłować też nie ma czym. A więc trzeba będzie zasypać - Nie jesteśmy chyba barbarzyńcami? - zapytała Helena Siergiejewna.

- Gdybyśmy byli barbarzyńcami - powiedział w zadumie Batyjew, drapiąc się po mocnej czerwonej szyi - to wysadzilibyśmy go w diabły.

- Ach! - przestraszyła się Helena Siergiejewna.

- Ale nie jesteśmy barbarzyńcami! - wykrzyknął Batyjew. - Zachowamy ten wytwór natury dla przyszłych pokoleń.

- Słusznie - ucieszył się prowizor Sawicz. - Nasze miasto stanie się sławne na całym świecie. Przecież to pierwszy statek kosmiczny z innej planety.

- Z innej? - zaniepokoił się Batyjew i podszedł do okna. Skąd pan to wie?

- To przecież oczywiste.

- Nie ma w tym nic oczywistego. Może zawsze tu leżał - powie- dział Batyjew. - Ale zapewniam was: jak tylko zawody w domino dobiegną końca, natychmiast zajmiemy się badaniami. Tym bardziej że ojczyzna potrzebuje metalu!

- Kiedy? - zdziwił się Minc. - Kiedy się zajmiemy?

- Jak tylko zostaną zakończone zawody. Nie chcecie chyba skompromitować miasta w oczach gości i towarzysza Czyngisowa?

- Jak można to porównywać? - zdziwił się profesor Minc. - Jakies tam rejonowe zawody i kamień węgielny w historii ludzkości...

- Ja ci, Minc, powiem tak - odpowiedział Batyjew. - Dla mnie osobiście nie ma nic ważniejszego od interesów rodzinnego miasta, które dało mi życie, wykształcenie i zaszczytne stanowisko. Jako patriota i obywatel rozkazuję zasypać ten meteoryt, a gdy zawody się skończą, wtedy zobaczymy. Może rozkopiemy.

- Złożymy skargę - uprzedził Minc.

- Składajcie... - odpowiedział Batyjew. Z jego tonu jasno wynikało, jak wielu rzeczy nie powiedział.

Gdy tylko przedstawiciele społeczności opuścili gabinet, Batyjew wezwał Udałowa.

- Dlaczego nie zasypujesz?

- A jak mam zasypać? - zapytał płaczącym głosem Udałow. - Pionierów się naschodziło...

- Tak - podsumował Batyjew. - Możesz iść do domu, „Udałow. Nie spełniłeś pokładanych w tobie nadziei. Nie jesteś już kierownikiem budowy.

Udałow wyszedł, a Batyjew wezwał Słabienkę i powiedział, że wszystkim, którzy w nocy zasypią dół, z funduszy specjalnych zarządu zostanie wydane po trzydzieści rubli i butelce wódki...

Zanim pojechał do domu, wyszedł na plac i postać chwilę, patrząc w dół, na okrągły bok statku kosmicznego.

Potem rozepchnął tłum i pojechał do domu trochę się przespać, żeby w nocy osobiście móc nadzorować zasypywanie. Nie wiedział jeszcze, że społecznicy wysłali już Saszę Grubina do województwa po pomoc. Grubina przez patrol przewiózł w bagażniku żiguli podmiejski spółdzielca Silantiew - przekupił kordon nie sprzedanymi na bazarze melonami.

Niestety, w każdym mieście znajdują się reakcyjne siły gotowe pogrzebać ideę galaktycznego kontaktu za trzydzieści rubli i butelkę wódki. Społeczność przegapiła akcję: część spała, a część uczestniczyła w zebraniu w mieszkaniu Minca.

Następnego dnia rano ludzie znowu zaczęli napływać na plac. Plac był nie do poznania. Otoczono

go nawet płotkiem, żeby nikt nie deptał po świeżym miękkim asfalcie.

- Popęłnił pan ciężkie przestępstwo! - wykrzyknął profesor Minc, próbując przedostać się na plac obok starszego sierżanta Pilipienki.

- Jakie przestępstwo? - zainteresował się z okna Batyjew.

- To był statek kosmiczny.

- Pan zwariował! - krzyknął Batyjew. - W kosmosie nie ma życia.

W tym momencie na plac wjechała szara wołga i zatrzymała się przed Urzędem Rady Miejskiej. Wsiadło z niej trzech starszawych mężczyzn, którzy weszli na górę do Batyjewa.

- Jestem akademikem, nazywam się Wejner - powiedział jeden z nich. - Poinformowano nas, że odkryto tu starożytny statek kosmiczny. Gratuluję!

Batyjew posłusznie potrząsał dłonią akademika, intensywnie zastanawiając się, co robić dalej.

Sytuację uratował Karaś, który akurat był w gabinecie Batyjewa - dyskutowali, jak przywołać społeczność do porządku.

- Rzeczywiście, znaleźliśmy statek! - potwierdził radośnie Karaś. - Ale dlaczego kosmiczny?

- A jaki? - zdziwił się akademik.

- Jedźmy - zaproponował Karaś. - Zaraz panom pokazemy. Batyjew zachwiał się na nogach.

Czyżby Karaś chciał go zdradzić?

Zeszli na plac. Akademik zatrzymał się na chwilę, ze zdziwieniem przyglądając się tłumowi ludzi, którzy rwali się na ogrodzony teren, głośno kłócąc się z milicjantami.

- Przygotowujemy się do biegu na przełaj - powiedział szybko Karaś. - Zaraz start. Bieg to zdrowie!

Samochody niespiesznie podjechały do przystani. Stał tam stary parowiec pamiętający jeszcze czasy rewolucji, czekał na przekładane z roku na rok przerobienie go na schronisko dla turystów.

- Proszę spojrzeć - mówił Karaś, prowadząc gości do parowca. - Tylko wygląda na zniszczony. Znaleźliśmy go na dnie, wyciągnęliśmy i teraz planujemy tu muzeum. Prawda, że ładny? Chcecie panowie obejrzyć go z bliska?

- Ale nas poinformowano, że to statek kosmiczny... - wymamrotał akademik Wejner.

- Jeśli można zapytać, kto panów poinformował? - spytał szybko Karaś.

- Miody człowiek, przedstawił się jako Aleksander Grubin. Przywiózł list od profesora Minca. A właśnie, chcielibyśmy z nim porozmawiać.

- Ach, Grubin, Grubin - westchnął Karaś. - Wiecznie te jego wygłupy. Chuligan.

- Chuligan - zgodził się Batyjew.

- Profesor przedwczoraj wyjechał na urlop - powiedział Karaś. - Jeszcze go sam żegnałem. Teraz już pewnie odpoczywa.

Po odprowadzeniu zakłopotanych gości do szosy, Batyjew i Karaś z tarczą wrócili do miasta.

- Dziękuję, Karaś - powiedział Batyjew. - Nie ma co, pomogłeś mi.

- Sobie też - odpowiedział Karaś. - Jedziemy na tym samym wózku. Jak Czyngisow zobaczy, że asfaltu nie ma, to mogą polecieć obie nasze głowy.

- Żyjemy cicho, plany wypełniamy, kulturę pomalutku rozwijamy - odezwał się Batyjew. - Po co nam niezdrowe sensacje?

- Jeszcze nie daj Boże przyjechaliby zagraniczni korespondenci... - zmartwił się Karaś.

- I szpiedzy. - Batyjew zniżył głos. - Obowiązkowo.

- Moim zdaniem gdy skończą się zawody w domino, trzeba jednak będzie ten statek wyciągnąć i albo pociąć, albo wysadzić w powietrze.

- Dobrze mówisz - zgodził się Batyjew. - Dopóki czai się pod placem, dopóty i ja, i ty siedzimy

na bombie z opóźnionym zapłonem.

Samochód podjechał do placu.

Na placu coś było nie tak. Ogromny tłum już krzątał się na samym środku. Jak wielkie pomięte arkusze kalki na placu piętrzył się pozrywany asfalt. Łopatami, kilofami, a nawet gołymi rękami ludność rekonstruowała nieszczęsny dół..

Minc otworzył luk i jako pierwszy wszedł na pokład. Tam w stanie anabiozy leżał absolutnie żywy kosmita. Przeniesiono go do szpitala i zaczęto reanimować. A statek zamknięto na noc, żeby nikt nie wszedł do środka.

Gdy lekarze zajmowali się kosmitą, na miasto opadła letnia noc. I nikt nie widział, jak na plac wyszedł Batyjew, wziął łopatę i zaczął zasypywać dół.

Pracował prawie do świtu, ale dół niemal się nie zmniejszył.

Nastał ranek. Ludzie poszli już do pracy, miejscowa stacja radiowa podała drugą informację o stanie zdrowia przybysza, który otworzył oczy i wszystkim podziękował. A Batyjew ciągle zasypywał dół.

O godzinie dziewiątej do Batyjewa dołączył Kobczikow z działu ogólnego. Liczył na awans. Sekretarka Ludmiła przyniosła szefowi szklankę herbaty z cytryną.

Iwtedy na plac wjechała kawalkada samochodów z towarzyszem Czyngisowem na czele.

Czyngisow siedział na tylnym siedzeniu i już macał w kieszeni ziarenko grochu, za pomocą którego sprawdzał, czy dobrze dba się o drogi i place w powierzonych mu miastach i osiedlach. I co zobaczył? Na głównym placu Wielkiego Guslaru ział dół wielkości czteropiętrowego bloku, w którym leżało gigantyczne żelastwo. Obok dołu stał Batyjew i pił herbatę z cytryną.

Właśnie ten szczegół najbardziej rozłościł Czyngisowa - naczelnik rejonowego szczebla nie tylko doprowadził jezdnie do stanu godnego pożalowania, ale w dodatku cynicznie popija herbatę.

Czyngisow powiedział Batyjewowi, co o tym myśli. I nie słuchając jego tłumaczeń, wyjechał.

Batyjew usiadł na brzegu dołu i po raz pierwszy w życiu zapłakał.

A w szpitalu kosmita wypił filiżankę bulionu z kury i powiedział, że zrobi wszystko, żeby odwdziżyć się miastu.

Część druga

Do gabinetu zmizerniałego Batyjewa wszedł malutki człowieczek z zielonkawą cerą.

- Przyszedłem - powiedział - w imieniu cywilizowanej Galaktyki wyrazić panu, jako ojcu miasta, wdzięczność za uratowanie mi życia.

- Niech pan siada - powiedział Batyjew. - Szkoda nóg. Starał się uśmiechnąć, mimo że nie miał powodów - w każdej chwili w mieście mogli pojawić się korespondenci i szpiedzy.

- Co mogę dla was zrobić? - zapytał kosmita.

- Na pewno ciągnie pana do domu, do rodziny - powiedział Batyjew. - Nie będziemy pana zatrzymywać.

- To bardzo szlachetne z pańskiej strony - odpowiedział kosmita. - Ale rodzina poczeka. Czekali osiemset lat, nic im się nie stanie, jak jeszcze trochę poczekają.

- Ale pana statek uniemożliwia ruch - powiedział Batyjew.

- Oczywiście - zgodził się kosmita. - Dziesięć minut temu przeniosłem go nad rzekę.

Batyjew rzucił się do okna.

Rzeczywiście - statku nie było. I dołu też nie było. Plac był równy i gładki, można było turlać po nim ziarnka grochu. Tylko nawierzchnia była nie jak zazwyczaj czarna, ale różowa, z perłowym połyskiem.

Batyjew wydał okrzyk zaskoczenia.

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu - powiedział kosmita - taką nawierzchnią mogę pokryć wszystkie ulice w mieście.

Sięgnął do kieszeni kombinezonu i wyjął woreczek.

- Tutaj jest zaczyn. Wystarczy rozpuścić go w szklance wody, jeden gram, nie więcej, a potem za pomocą tego urządzenia rozpylić mieszaninę po ulicy, wyobrażając sobie, jakiej szerokości ma być nawierzchnia. I gotowe.

- Zuch! - zachwycił się Batyjew. - Napijesz się herbaty?

- Dziękuję, piłem już u Minca. Którą ulicą się zajmiemy?

- Poczekaj. Wezwiemy kierownika budowy i zadecydujemy. Kiedy przyszedł kierownik budowy, Batyjew rzekł:

- Posłuchaj, Słabienko, tutaj towarzysz ma propozycję związaną z zagospodarowaniem.

- Wiem - odpowiedział Słabienko, kiwając kosmicie głową. - Na placu położył nawierzchnię w rekordowym czasie. Szkoda tylko, że bez zezwolenia.

- Słabienko, nie bądź biurokrata! Lepiej planuj, co robić dalej. Żeby do jutra miasto wyglądało pokazowe. Przyjadą cudzoziemcy i co zobaczą? Długo pan u nas zostanie? - zwrócił się do kosmity.

- Ile będzie trzeba - odparł przybysz. - Ale nie kojarzcie mojego pobytu wyłącznie z budową. Zaczyn wam zostawię. I każdy będzie mógł robić dowolne drogi i tak dalej...

- Co to znaczy „i tak dalej”? - Batyjew zrobił się czujny.

- Domy można budować...

- Jakie domy?

- Dowolne - powiedział kosmita. - Bierzecie zaczyn, rozpuszczacie w szklance wody, wylewacie na ziemię i wyobrażacie sobie, jak ma wyglądać dom. I on rośnie.

- A kanalizacja?

- Wszystko będzie takie, jak trzeba - powiedział kosmita. Batyjew przeszedł się po gabinecie, popatrzył na Słabienkę:

- Chwytasz? Wysuwamy się na pierwsze miejsce w województwie. A ty ciągle: przybysze, przybysze... Trzeba wierzyć w kosmiczne braterstwo!... - Czule położył rękę na ramieniu kosmity.

- To co, mam iść robić ulice? - zapytał kosmita.

- Idź! - powiedział Batyjew. - Z Bogiem!

Kosmita wyszedł, a Słabienko, który został w gabinecie, po- ' wiedział:

- Koniec z nami, towarzyszu Batyjew.

- O czym ty mówisz?

- Od tak dawna jest pan naczelnikiem, a prostych rzeczy pan nie rozumie. Po co jestem w mieście?

- Żeby budować - odpowiedział Batyjew.

- Zgadza się. W tym celu mam u siebie księgowych, robotników, kasjerów... w sumie dwieście sześćdziesiąt osób, nie licząc pododdziałów. I wszyscy mają co robić.

- I wszyscy nie wypełniają planu! - przerwał mu Batyjew. - Za co się wam płaci? Przyszedł jeden kosmita...

- Otóż to - rzekł Słabienko. - Nie wypełniamy, ale staramy się, podejmujemy socjalistyczne zobowiązania, walczymy. A teraz co? Co zrobić z całym aparatem?

Batyjew zastanowił się, potem spytał:

- To wszystko?

- Nie, nie wszystko! On zbuduje wieczne drogi. Nie trzeba będzie ich remontować. Rozumie pan, co to dla nas oznacza?

- Zajmiesz się budową domów... - głos Batyjewa drgnął.

- Domów? Wyjrzyj przez okno!

Podeszli do okna. W oddali na brzegu rzeki powoli, piętro po piętrze wznosił się śnieżnobiały dom. Rósł w oczach. Okna były już oszklone.

- Do obiadu problem mieszkaniowy zostanie rozwiązany - powiedział Słabienko. - A to oznacza, że kolejne tysiąc osób zostanie bez pracy. A ty u siebie w biurze masz działy budownictwa przemysłowego, kulturalnego i co z nimi zrobisz? A co zrobisz ze mną?

- Przesadzasz...

- Przesadzam? A wiesz, co on powiedział w wywiadzie?

- W jakim wywiadzie?

- Udzielił wczoraj wywiadu „Guslarskiemu Sztandarowi”. Powiedział, że pokaże nam, jak można produkować tkaniny i obuwie bez fabryk. Jak zorganizować księgowość, instalując komputer, który nigdy się nie zepsuje... To przecież prowokacja!

- Karaś! - zawołał Batyjew grzmiącym głosem. - Do wyjścia! We trzech pobiegli ulicą w stronę rosnących wieżowców.

A tam już kosmita pokazywał Udałowowi i innym mieszkańcom miasta, jak w ciągu pięciu minut wybudować samemu komfortowy dom.

- Towarzyszu kosmito! - zawołał Batyjew. - Niech pan przestanie!

- Czym mogę służyć?

- Czy to prawda, że będzie pan instalował komputer?

- Oczywiście, ale po obiedzie - odpowiedział kosmita.. Zgromadzone społeczeństwo zaczęło bić brawo.

- A co z księgowością? - zapytał Batyjew. Ciągle jeszcze nie wierzył do końca pesymiście Słabienko. Ale już się bał.

- Księgowość nie będzie już potrzebna - oznajmił przybysz.

- I zbuduje pan zautomatyzowane fabryki?

- Zbuduję. Nawet zautomatyzowane gospodarstwo hodowli świń. Po co cywilizowany człowiek ma zajmować się tak przestarzałą pracą?

- Ale czym my wtedy będziemy kierować? - zapytał Batyjew.

- Niczym - odpowiedział kosmita. - Wszystko będzie się samo robić.

- A my? A ja? A oni?

- Wszyscy zajmiecie się tworzeniem - powiedział kosmita. - Na mojej planecie wszyscy zajmują się tworzeniem i nikt niczym nie kieruje.

Batyjewa ogarnęło przerażenie. Nie, nie podda się tak łatwo!

- Towarzyszu kosmito, jak rozumiem, wkrótce przyjadą korespondenci, musimy omówić pewne sprawy organizacyjne.

- Proszę bardzo. Zaraz skończę wieżowiec, hotel i będę wolny.

- To zajmie tylko pięć minut - rzekł twardo Batyjew. - Są kłopoty.

- Dobrze - zgodził się przybysz. - Korneliuszu Iwanowiczu, może pan dokończyć wieżowiec beze mnie?

- Dlaczego nie? - odpowiedział Udałow. - Żadna filozofia. Wziął szklanę z roztworem i zajął się budowaniem. Batyjew pochwyił kosmitę pod jedną rękę, Słabienko pod drugą i szybko pociągnęli go w stronę rzeki.

Zatrzymali się przed statkiem. Słabienko już zrozumiał, co chce zrobić Batyjew. Pchnął kosmitę do otwartego luku i krzyknął:

- Jazda, wynoś się stąd! Żeby tu po tobie śladu nie zostało!

- Nie rozumiem - wymamrotał kosmita. - Czyżbym naruszył jakiś wasz obyczaj?

Batyjew przestraszył się, że kosmita zacznie wołać na pomoc społeczeństwo - to by dopiero były nieprzyjemności!

- Posłuchaj - powiedział jak można najserdeczniej. - Bardzo cię prosimy, odleć stąd natychmiast i więcej nie przylatuj!

- Ale dlaczego?

- Z humanizmu - odrzekł Batyjew. - Z miłości do ludzi.

- Nie rozumiem. Wszystko robię z humanizmu. Zawsze kieruję się ideą międzyplanetarnej współpracy.

- My, ludzie, przyzwyczailiśmy się do ciągłej walki - tłumaczył Batyjew. - Wszystko, co zostało tu zrobione - pokazał ręką okolice: nie dokończoną budowę akademika, wysypisko śmieci, rurę, z której lała się do rzeki cuchnąca ciecz, zaśmieconą plażę - wszystko to zdobyliśmy w trudzie i znoju. Walczyliśmy z przyrodą, wygrywamy i przegrywamy bitwy o urodzaj, walczyliśmy nawet o równouprawnienie kobiet. A co ty nam proponujesz? Złożyć broń? Opuścić ręce? Nie! Nie zdamy się na łaskę postępu, sami zdobędziemy szczyty. I właśnie w tym jest wielki humanizm.

- To dziwne - powiedział kosmita.

- Widział pan, ilu ludzi siedziało w tym budynku, w którym pracuję? - zapytał Batyjew. - Ponad trzysta osób. I to tylko tak wygląda, że oni palą papierosy i przekładają papierki. Tak naprawdę walczą i pomagają walczyć innym. Proszę nie pozbawiać nas prawa do walki!

- Dawaj, dawaj! - Słabienko popchnął kosmitę, który wpadł do luku.

- Mimo wszystko to dziwne... - dobiegł głos ze statku. - Chciałem jak najlepiej...

Batyjew osobiście zatrzaskał klapę. Kosmita wyjrzał przez iluminator, coś jeszcze mówił, ale już nic nie było słychać. Batyjew władczym gestem wskazał niebo. Kosmita skinął głową i statek wzbił się w górę.

- A więc, tak - powiedział Batyjew do Słabienki. - Leć do Udałowa i zabierz mu szklanę, ale nie wylewaj. Musimy sobie jeszcze zbudować po willi.

- Jasne - uśmiechnął się chytrze Słabienko.

- I przygotuj sobie dokumenty przyznania premii za plac i wieżowiec. A ja zadzwonię do Czyngisowa. Niech przyjedzie, niech przetoczy swoje ziarnko grochu.

1988

SPONSORA!

W ostatnich latach kosmici, najwidoczniej zaniepokojeni wydarzeniami na Ziemi, wyraźnie nabrali śmiałości. Wielki Guslar przestał im wystarczać i zaczęli krążyć nad Brukselą, Bangladeszem i Wychino-Władykino.

Na Zachodzie znudzeni, zblazowani ludzie nie interesują się zbytnio przybyszami. My jednak bardzo na nich liczymy. Potrzebujemy dewiz, artykułów powszechnego użytku, sponsorów. Na przykład, wczoraj w telewizji było takie ogłoszenie: „Szanowne panie, panowie i towarzysze! Organizacja samotnych matek i dziewcząt idealistek poszukuje sponsorów, posiadających skromne zapasy dewiz. Mile widziane propozycje kosmitów. Prosimy nie proponować rubli i talonów”.

...Statek kosmitów wylądował - jakoby w celu odpoczynku i przeprowadzenia niewielkiego remontu - na starej porębie za jeziorem Kopenhaga, akurat gdy Udałow zbierał tam gąski. Udałow przywitał się. Kosmici zaproponowali mu grę w karty, ot tak dla relaksu. Grali w durnia: ich trzech przeciwko jednemu Korneliuszowi. Należy dodać, że co rusz dolewali mu alkoholu.

Najpierw Udałow przegrał koszyk z gąskami. Ale to jeszcze nic. Potem przegrał marynarkę - porządną, prawie nową. Do tego czasu wpadł już w szpony hazardu. Wyjął portfel i wygrzebał z niego wszystkie pieniądze, które odkładał na spinning, ale ciągle nie mógł go kupić - albo nie było spinningów, albo znowu drożały. Ale przybysze nie chcieli grać na pieniądze.

- Co my z tymi śmieciami będziemy robić na Aldebaranie? - zapytali, śmiejąc się. - Zagrajmy o twoje spodnie.

Tu już się Udałow postawił. Człowiek z niego solidny, nie będzie przecież paradował goły po mieście.

- W takim razie - powiedział główny przybysz - zagrajmy o nieruchomości.

- Jakże ja mogę mieć nieruchomości! - westchnął Udałow.

- Zagrajmy o Ziemię. Ty stawiasz Ziemię, a my nasz statek kosmiczny.

W Udałowie odezwała się żyłka hazardzisty. Zgodził się. Lepiej by pomyślał, po co kosmitom Ziemia ze wszystkimi jej mieszkańcami i bogactwami naturalnymi. Ale on nie! Powiedział tylko:

- Rozdawaj! No i przegrał. Zmartwił się i powiedział:

- Po co wam nasza Ziemia?

- Podbijemy ją. Będziecie musieli dla nas pracować, zhańbimy wasze kobiety, podporządkujemy sobie gospodarkę i wywieziemy wasze bogactwa naturalne. W zamian damy wam tandetne, nikomu niepotrzebne artykuły powszechnego użytku.

- A nie można by jej wykupić? - zapytał Udałow. Kosmici obliczyli coś na swoim komputerze i odpowiedzieli:

- Jeśli do jutra wieczorem dostarczysz sto czterdzieści trzy tysiące rubli z groszami, to oddamy ci Ziemię. A jak nie - to nie miej do nas żalu. Nie nasza wina.

Zaczęło się ściemniać, kosmici wsiedli na statek, żeby jeszcze za dnia dolecieć na swoją bazę po drugiej stronie Księżyca, a Udałow pojechał do domu. Bez grzybów, bez marynarki, w dodatku jeszcze przegrał Ziemię.

Do domu dojechał zły i posępny. Ksenia poczuła zapach alkoholu i zauważyła brak marynarki. I zamiast się domyślić, że wydarzył się dramat, naskoczyła na męża:

- Znowu zamiast na ryby to latałeś do Rimki? Stary i łysy, a jak był kozłem, tak już zostanie.

- Nie - odpowiedział Udałow. - Sprawy mają się znacznie gorzej. Przegrałem Ziemię w karty.

Ksenię rozżłościło takie kłamstwo, zaczęła tłuc naczynia. Udałow miał inne zmartwienia: Ksenia powścieka się i uspokoi, a on musi do jutra zebrać sto czterdzieści trzy tysiące rubli.

- Ksiusza - zapytał Udałow. - Ile mamy na książeczkę?

- Co, nie wiesz? - powiedziała Ksenia i zaśmiała się sarkastycznie. - Złamanego grosza nie mamy na książeczkę, roweru nie ma za co dziecku kupić. Nie mamy pieniędzy na biżuterię dla niej!

- A ty ciągle o tym samym - westchnął Udałow i poszedł do sąsiada, profesora Lwa Chrystoforowicza Minca, wielkiego wynalazcy.

Profesor odpoczywał - sam ze sobą grał w szachy na dwunastu planszach jednocześnie.

- Poczekaj - powiedział do Udałowa. - Zdaje się, że wyszedł wieczny szach.

- Nie mam czasu czekać. Nad planetą zawisło nieszczęście. Grałem w karty i przegrałem Ziemię.

- Z kim grałeś?

- Z kosmitami.

- Skąd?

- Cholera wie. Zieloni, w wojskowych mundurach.

- No cóż - mruknął Minc, dając sobie mata na szóstej planszy. - Już dawno chciałem cię zapytać, Korneliuszu, o twoją narodowość.

- Rosjanin.

- Dziwne. Gdybyś był Żydem, tobym zrozumiał. Najpierw sprzedali Chrystusa, potem Rosję, a teraz Ziemię. Ale po Rosjaninie się tego nie spodziewałem.

- Nie mogłem się już wycofać. Jeśli do jutra nie zbiorę stu czterdziestu trzech tysięcy rubli, zrobią z nas niewolników.

- A więc to nie byli kosmici - powiedział Minc i dał sobie mata na ósmej planszy. - Kosmici umieją liczyć. Doskonale wiedzą, że Ziemia jest warta więcej niż sto czterdzieści trzy tysiące rubli.

O wiele więcej.

- No to kim oni są?

- Przebrani chuligani. Z Wołogdy.

- Nie, to byli prawdziwi kosmici - sprzeciwił się Udałow. - Metr wzrostu, trzy nogi, oko na środku czoła, jak się za takiego przebrać?

- Podejrzana sprawa. Lepiej się do niej nie mieszaj.

- A więc nie pożycz mi pan? Oddałbym przy pierwszej okazji.

- Nie masz z czego oddać takiej sumy. Idź lepiej spać.

- Czyżby nie było panu szkoda Ziemi?

- Jeszcze wczoraj było mi szkoda. Ale może to i lepiej, że podbiją ją kosmici?

- Co pan mówi, Lwie Chrystoforowiczu! Oni nawet nie ukrywają, że zrobią z nas niewolników, zhańbią nasze kobiety, roztrwonią bogactwa naturalne.

- Jakoś nie widzę różnicy - powiedział profesor i na trzeciej planszy zakończył partię remisem.

Udałow pożegnał się i poszedł na pierwsze piętro do Saszy Grubina. Dobry człowiek z tego Minca, wykształcony, myślał, ale jednak Żyd. Takiemu wszystko jedno - będziemy niewolnikami czy nie. A rosyjskie serce nie zniesie niewoli!

Tak właśnie powiedział Saszy Grubinowi, gdy oderwał go od pracy nad perpetuum mobile.

- Nie mam pieniędzy - rzekł Sasza, wsadzając palce w swoje kudły i zaczął biegać po pokoju, potrącając przyrzady. - A nawet gdybym miał... nie wiem, czybym ci dał.

- Ity też?

- Nie, nie chodzi ó narodowość - powiedział Grubin. - Żydzi i Tatarzy też rzucali się w wir walki. Ale tu chodzi o to, że u nas w sklepie skończyły się żarówki.

- A co się nie skończyło? - zdziwił się Udałow.

- Kalosze były - powiedział Grubin. - Rozmiar czterdzieści sześć.

- Wczoraj były. A dzisiaj rano one też się skończyły. To co, nie dasz pieniędzy?

- A może to lepiej, że nas podbiją? - odpowiedział pytaniem na pytanie Grubin. - Zawsze jakaś nadzieja...

Udałow wyszedł. Miał swoje zasady i nie mógł się im sprzeniewierzyć. W dzieciństwie jego ulubionym bohaterem był Iwan Susanin.

W nocy kiepsko spał. Miał koszmary erotyczne: śniło mu się, co robią kosmici z naszymi dziewczętami. Obudził się o świcie, zdecydowany walczyć o Ziemię. Choćby nawet miał zginąć.

Wziął biurko syna Maksymka, wyniósł je na plac Radziecki, postawił na trawniku przed pomnikiem Pionierów, obok wbił w ziemię łopatę z przymocowanym do trzonka napisem:

ZBIERAMY ŚRODKI NA OCALENIE ZIEMI ZAGROŻONEJ PODBOJEM KOSMITÓW

Wkrótce zaczęli pojawiać się pierwsi przechodnie. Zatrzymywali się, pytali. Wszystkim bez wyjątku Udałow szczerze odpowiadał: tak i tak, przegrałem Ziemię w karty, potrzebne jest sto czterdzieści trzy tysiące rubli, żeby uratować ją od podboju.

Nie można powiedzieć, żeby go bardzo potępiali, chociaż, oczywiście, nie chwalili. „Dzisiaj Ziemię przegrałeś, a jutro nie wiadomo za co się weźmiesz - własną żonę trzeba było przegrywać!”. I zaczęli się śmiać. Wszyscy rozumieli, że nie każdy kosmita zechciałby wygrać Ksenię z jej charakterem.

Dawali niedużo. Łóżkin położył do puszkii kilka monet, potem, wracając ze sklepu, wziął jedną monetę z powrotem. Przychodzili uczniowie - zebrali między sobą sto rubli. Przyszedł Pupykin, który pracował teraz w małym przedsiębiorstwie „Pytonek” - ma zamiar hodować węże na skóry. Jego wkładem w zbożne przedsięwzięcie były życzenia powodzenia.

Bardziej interesowano się warunkami podboju, terminem oddania Ziemi, obietnicami zniewolenia. Rimma, stara przyjaciółka Udałowa, nielubiana przez Ksenię, przez cały czas starała się dowiedzieć, jak kosmici ją zhańbią. A jak już zhańbią, to czy dadzą rekompensatę pieniężną, czy to tylko dla przyjemności.

Do obiadu udało się zebrać dwa tysiące. W mieście w dalszym ciągu panował spokój. Zdenerwowany Udałow uznał ten spokój za efekt fatalizmu: uciec nie ma gdzie - Ziemia jest okrągła i przegrana w całości.

Poszedł do Rady Miejskiej, ale zastał urząd zamknięty - wszyscy wyjechali do Wołogdy na kurs menedżerów. W miejskim Wojskowym Komitecie Uzupelnień wyrażono współczucie, były pułkownik Iwan Potapycz postanowił się poświęcić, wziął automat ćwiczebny, z dziurką, i zaproponował Udałowowi, że będzie mu towarzyszył w tym ostatnim boju.

W ostatniej chwili przyłączył się do nich Pupykin. Przyniósł ze sobą napoczętą butelkę. Wypili i we trzech poszli do lasu.

Do samego jeziora Kopenhaga szli na piechotę. Ciekawskich” którzy chcieli iść za nimi, Udałow przegonił - w boju mogła kogoś trafić zbłąkana kula. O szóstej czterdzieści dotarli do starej poręby.

W tym momencie wylądował latający spodek. Luk otwierał się powoli i złowieszczo. Pojawił się w nim główny kosmita z blasterem w ręku. Za jego plecami stali inni kosmici, również uzbrojeni. Mieli przewagę liczebną, ale nasi się nie cofnęli.

- Nie strzelajcie na razie - powiedział kosmita. - Może się dogadamy. Zgadamy się na rekompensatę pieniężną.

Udałow pokazał mu puszkę. Kosmita przeliczył pieniądze.

- Mało - stwierdził urażony.

- Wiem, że mało - odpowiedział Udałow. - Ale jesteśmy zdecydowani walczyć do ostatniej kropli krwi.

Wskazał towarzyszy. Właściwie na jednego - Iwana Potapycza z automatem ćwiczebnym. Pupykin zdążył uciec.

- Nie ma takiej potrzeby - rzekł kosmita. - Dawaj, ile tam masz, daj też automat i życie jak chcecie. Więcej do takich jak wy nie przylecimy.

I odwrócił się, żeby odejść.

Ale w tym momencie rozległy się głośnie krzyki i tupot tysiąca nóg. Udałow zrozumiał - naród stanął do walki. Wprawdzie trochę za późno, ale jednak.

- Nie trzeba, obywatele! - krzyknął Udałow, odwracając się do tłumu. - Odlatują! Zwyciężyliśmy!

Ale w tym momencie zaszło coś nieoczekiwanego. Wyjający tłum mieszkańców Guslaru odciął kosmitom drogę na statek. Dziewczęta machały plakatami: „Zhańb mnie, kosmito!” i „Jestem gotowa oddać ci wszystko!”. Emeryci krzyczeli: „Upokorzcie nas emeryturą, poniżcie nas serem i kiełbasą!”. Spółdzielcy nieśli torty, na których widniały kremowe napisy: „Jedz nas, ciemiężco, jesteśmy smaczne i tanie!”... Cały ten tłum głośno, tubalnie, złowieszczo skandował:

- Spon-sora! Spon-sora! Spon-sora!

Ludzie zaczęli łapać kosmitów i podrzucać ich do góry. Niektórzy podrzucali również Udałowa z okrzykami:

- Dziękujemy, że znalazłeś dla nas sponsorów! Udałow wzleciał do góry razem z głównym kosmitą.

- Dziwni ludzie! - krzyknął przybysz.

- Nie spodziewałem się tego! - zgodził się Udałow. Gdy znowu ich podrzucono, Udałow krzyknął:

- Jest mi wstyd!

- Dlaczego?

- My, Rosjanie, jesteśmy narodem miłującym wolność.

- A to nawet widać! - odkrzyknął kosmita. W tym momencie j jego, i Udałowa upuścili na ziemię, zapomnieli o nich - na statku otworzono luk towarowy i zaczęto upokarzać Ziemiaków żalonymi ochłapami artykułów powszechnego użytku.

- Nie wezmę! - krzyczał Udałow, wstając z trawy. - Z głodu umrę, nagi i bosy, ale wolności nie sprzedam.

- Daj spokój - zirytował się przybysz. - Zostałeś niewolnikiem. Zapomnij o wolności.

I Udałow, ostatni wolny człowiek w Wielkim Guslarze, łykając łzy, poddał się i pozwolił się upokorzyć puszką czarnego kawioru.

1990

SZATY REKETIERA

Zmienia się życie kraju, zmienia się również życie w Wielkim Guslarze. Może nie w takim tempie, ale równie dramatycznie.

Dlatego też, podczas gdy wcześniej ceniono w ludziach uczciwość wobec prawa, aktywność w ramach zebrań związkowych, koleżeński stosunek do kobiet i edukację komunistyczną, to teraz wiele cech, za które wcześniej głaskano po główce, tylko przeszkadza zostać bogatym i wesołym.

Coś takiego przeżywał właśnie Kola Gawryłow.

Gawryłow dorósł, jakoś udało mu się skończyć technikum rzeczne, popracował w jednym biurze, drugim biurze i za gardło żelazną dłonią schwyciło go rozczarowanie. W dodatku porzuciła go Tamara o przydomku Tomi-Tomi, finalistka miejskiego konkursu na najładniejszy biust - odeszła do sklepikarza Ahmeda. Ciekawe może się wydać to, że wcześniej Ahmed nazywał się Wasyl, mieszkał na ulicy Proletariackiej i nie mógł się wybić - brakowało mu przyjaciół i kontaktów. Gdy przechrzczył się na Ahmeda, sąsiedzi zaczęli traktować go podejrzliwie, ale za to zyskał przyjaciół w województwie.

Widząc, jak ginie jej syn, matka Gawryłowa przysłała do profesora Minca, który w dalszym ciągu mieszkał na ulicy Puszkina w domu numer szesnaście. Profesor niestety postarzał się, co wprawdzie nie wpłynęło w żaden sposób na jego geniusz, ale w znacznym stopniu osłabiło hamulce i ograniczniki w jego mózgu. Przedtem, zanim profesor coś wymyślił, długo się zastanawiał i czasem dochodził do wniosku, że wynalazek może być niebezpieczny. A przecież nawet wtedy zdarzały się wpadki. Teraz profesor zupełnie stracił umiejętność przewidywania, czym zakończy się jego kolejne wtargnięcie w ziemską cywilizację.

- Lwie Chrystoforowiczu - błagała obywatelka Gawryłowa, jak zresztą niejednokrotnie w ciągu ostatnich dziesięciu lat. - Niech pan pomoże mojemu Koli. Ostatni raz.

Profesor zwrócił do Gawryłowej swoją łysą głowę i zapytał:

- Co tam znowu?

- Nie żeby coś narozrabiał - odpowiedziała matka Koli. - Chodzi o to, że nie ma dla niego miejsca w nowym życiu. A pieniądze potrzebne.

- Jak to? - zdziwił się profesor. - Chłopak w sumie dobry...

- Nikomu taki niepotrzebny - chlupnęła Gawryłowa. - Za dobry.

- Ta cecha jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Proszę mi powiedzieć, o co konkretnie pani chodzi.

- Siedzi pan tutaj, profesorze, jak pustelnik i nie widzi pan, kto teraz rządzi. A rządzą łajdaki! Bandyści i kapitaliści.

- A przedtem?

- Przedtem rządzili ludzie serdeczni, komuniści. Przedtem jakby co, człowiek zawsze mógł pójść do komitetu rejonowego. A teraz to już tylko pan został.

- Na czym polega pani pomysł? - zapytał Minc, zastanawiając się jednocześnie, po co Gawryłowa latała do komitetu rejonowego.

- Na tym, żeby dać mu, to znaczy Koli, szansę w nowym życiu. Żeby przestał wreszcie schodzić

wszystkim z drogi i przeproszać.

- A skąd ja mam wiedzieć, jakie cechy mu będą przeszkadzać, a jakie pomogą?

- Przejdziemy się po ulicy - zdecydowała Gawryłowa - i jak tylko zauważę zbędną cechę, to od razu panu powiem.

- A ja?

- A pan zadziała na mózg.

- Coś w rodzaju blokady? - Pomysł wydał się profesorowi interesujący. Niestety, gdy profesor uzna jakiś pomysł za interesujący, to od razu zapomina o jego aspekcie etycznym. W dodatku jak na złość ostatnio wynalazł bioblokator, co prawda, w celu leczenia schizofreników.

- Otóż to - zgodziła się Gawryłowa, pobiegła do siebie, żeby się ubrać i wyciągnąć Kołę na spacer.

Koła zebrał się posłusznie. I tak nie miał nic do roboty - leżał na kanapie i oddawał się refleksji. Myślał o tym, że przeżył swoje życie bez sensu, nie zdążył zrobić nic wartościowego i nadchodząca śmierć jest jak najbardziej prawidłową kolejną rzeczą.

Profesor Minc reprezentuje w nauce szkołę szczerości - to znaczy, mówi choremu bądź osobnikowi poddawanemu doświadczeniu całą nieprzyjemną prawdę. Dlatego też od razu w bramie uprzedził Gawryłowa:

- Teraz będę pozbawiać cię zbędnych uczuć i cech - tych, które twoja matka uzna za szkodliwe.

- A jak się już ich pozbędziemy - powiedziała Gawryłowa - pójdziemy do cukierni, zaprosimy Lwa Chrystoforowicza na lody i zaczniemy nowe życie.

W tym momencie obok nich przebiegł kotek, bezimienne zwierzątko podwórkowe. Kołę znał i wyróżniał spośród innych ludzi. Koła na widok zwierzątko zatrzymał się i rzekł:

- Czekaj, gdzieś tu miałem dla ciebie kotlecik.

- Widzi pan, Lwie Chrystoforowiczu! - krzyknęła Gawryłowa. - Niech pan natychmiast usunie! To właśnie zbędna cecha!

Gawryłow znalazł w kieszeni zawinięty w papier kawałek kotleta, kotek rzucił się do niego i stanął na tylnych łapkach, przednimi opierając się o spodnie Koli. W tym momencie Minc wyjął swój blokator i nacisnął przycisk.

Efekt był piorunujący. Gawryłow nie widział już kotka. Oczy mu zmętniały, zrobił krok w kierunku bramy, po drodze, strzepując zwierzątko ze spodni. Na szczęście kotek nic nie zauważył - zajęty był wyłuskiwaniem kotleta z papieru. Minc nachylił się pomimo swojego okazałego brzucha i pomógł kotkowi. A z ulicy już dobiegał głos obywatelki Gawryłowej:

- Lwie Chrystoforowiczu, niech pan tylko popatrzy! Wychodząc z bramy, Lew Chrystoforowicz zastał następujący widok: Gawryłow zobaczył nadłamaną gałąź rosnącej na ulicy lipy i zaczął ściągać z siebie krawat, żeby podwiązać nim drzewo.

- Idiota! - krzyknęła na niego kochająca matka. - Ikto cię potem będzie szanować!

Profesor Minc był innego zdania. Poza tym dojrzywał w nim postanowienie udowodnienia tej kobiecie, że człowieka lubią właśnie za jego słabości, ale nie protestował i usunął Koli litość.

Młody Gawryłow szarpnął, ułamując gałąź, i poszedł dalej, po drodze zaczął zawiązywać krawat. I właśnie w tym momencie spotkali Tamarę o przezwisku Tomi-Tomi. Szła zapłakana - właśnie przeżyła życiową tragedię. Kilka minut temu Ahmed wymienił ją na Rimkę, która była co prawda dwa razy starsza od Ahmeda i ustępowała Tomi-Tomi pod względem biustu, ale za to miała większe doświadczenie w sprawach miłości i kuszeniu młodych mężczyzn.

- Hej, Mikołaj! - rzuciła się w stronę byłego ukochanego Tamara.

Kola zamarł i jego twarz rozjaśnił nieśmiały uśmiech nadziei.

- Lwie Chrystoforowiczu, niech pan włączy blokator! - syknęła Gawryłowa.

Minc wykonał polecenie. Rozgrywający się dramat wyraźnie go bawił.

I wtedy, zamiast otworzyć ramiona dla przyjaciółki, która co prawda zgrzeszyła, ale przecież przysłała się pokajać, Kola zaryczał coś wulgarnego i podniósł pięść, żeby dokonać zemsty.

Gawryłowa interweniowała natychmiast.

- Lwie Chrystoforowiczu, nienawiść jest zbyt bliska miłości - oświadczyła profesorowi. - Nie potrzebujemy nienawiści.

Znowu szcęknał blokator. Mikołaj opuścił rękę, wyminął płaczącą dziewczynę, tak jakby nigdy nic między nimi nie było, jakby nigdy nie kusił go ten słynny na całe miasto biust i piękne oczy o cielejącym spojrzeniu.

Na następnej ulicy omal nie doszło do tragedii.

Z naprzeciwnika biegł rozjuszony Ahmed-Wasyl. Na widok Koli zaryczał:

- Gdzie jest Rimka? Co z nią zrobiłeś? Zabiję!

Rimkę w tym czasie pieścił w objęciach emeryt Batyjew, ale to już zupełnie inna historia.

Mikołaj zbladł. Zawsze bał się Ahmeda i jego kumpli. Zaczął się cofać, a Minc po cichu zapytał jego mamę:

- Blokować?

- Niech pan blokuje! - wykrzyknęła matka głosem starożytnej Greczynki.

Kola zatrzymał się, wyprężył, zacisnął pięści. Wszyscy zobaczyli, że jest o pół głowy wyższy od Ahmeda i jego kumpli. Spokojnie ruszył na Ahmeda, a Ahmed zaczął się wycofywać, póki nie wpadł na rewizora Sawicza, od którego oberwał po karku. Wtedy rzucił się biegiem - w oczach Koli Gawryłowa było coś, co go przeraziło.

To coś zobaczył również profesor Minc, gdy już wracali do domu. Oczy Koli były spokojne, obojętne i lekko senne.

Na podwórku, przed wejściem, Kola odepchnął profesora, który stał mu na drodze i przeszkadzał otworzyć drzwi. Gdy zobaczył, że mama zatrzymuje się przed Mincem, żeby mu podziękować, zawołał:

- Czas na obiad!

Najwyraźniej podczas spaceru stracił również poczucie wstydu.

** *

Czarna gwiazda Koli Gawryłowa weszła nad Wielkim Guslarem szybko i groźnie. Lwa Chrystoforowicza nie było wtedy w mieście - wyjechał na kongres biofizyków w Utrechcie, a stamtąd z wizytą do Iwa Kusto, z którym miał się udać na Wyspy Wielkanocne.

- Nigdy jeszcze nie byłem na Wyspach Wielkanocnych - powiedział do Udałowa przed wyjazdem. - Boję się, że tam będzie trzęsienie ziemi, zadziwiające rzeźby nie doczekają się mnie i wtedy już nikt nie odgadnie, kto i po co je tam postawił. Muszę płynąć na Ocean Spokojny, to mój obowiązek wobec ludzkości.

Stali akurat na przystanku autobusowym. Profesor wyszeptał na pożegnanie:

- I w ogóle, przecież Chilijczycy mogą zamknąć wyspy, zwłaszcza dla Żydów. A ja przez całe życie marzyłem, żeby tam pojechać.

- Myślę, że nie będą się teraz specjalnie zajmować Żydami - rzekł Udałow. - Za mało ich zostało.

Ale na przykład dla mieszkańców Kaukazu wyspy rzeczywiście mogą zamknąć.

Postali chwilę, nic nie mówiąc. Nikt inny nie przyszedł odprowadzić Minca - wszyscy byli zajęci swoimi sprawami. Wcześniej zbiegłby się cały dom...

- Jak tam twoja pracownia? - zapytał Minc.

- Klientów nie brakuje, ale głównie wśród przyjezdnych - odpowiedział Udałow. - U nas ludzie są za bardzo konserwatywni.

Pracownia również była jednym z wynalazków profesora Minca. Wpadł kiedyś na zabawny pomysł - wymyślił odzież, która sama dopasowywałaby się do figury. Co za postęp w przemyśle lekkim! Minc od razu poszedł do fabryki odzieżowej imienia Klary Cetkin. Profesora tam znano i nawet lubiano - mieszkając w Wielkim Guslarze, profesor zdążył pomóc wielu osobom. Dlatego gdy zaproponował kierownictwu fabryki swój nowy wynalazek, do gabinetu Barbary Hipolitowny przybiegły wszystkie wolne pracownice.

- Proszę mi dać jakiś wzór waszej produkcji - poprosił profesor.

- Wariant standardowy czy eksportowy? - zapytała Barbara Hipolitowna.

- Najzwyklejszy.

- Jaki rozmiar?

- Tak jak na panią.

Zapadła niezręczna cisza - Barbara Hipolitowna była kobietą potężną, grubokościstą. Fasonów, które by na nią weszły, nie produkowano w tej fabryce. Poza tym do wyrobów swojego zakładu odnosiła się sceptycznie i szyła sobie suknie w atelier numer jeden.

- Takich jak na mnie nie da rady - powiedziała dyrektorka.

Nikt się nie roześmiał. Wszyscy wiedzieli, że Barbara Hipolitowna wydała już trzysta dolarów na zachodni środek odchudzający Herbalife i w efekcie przytyła dziesięć kilo.

- Spróbujmy! - zawołał wesoło Minc, zacierając krzepkie, krótkie ręce. - Proszę przynieść średni rozmiar.

Rozległy się piski i zaczęła się kobieca krzątanina. Rozchichotane krawcowe przyniosły od razu trzy sukienki: modele „Czerwony Kapturek”, „Po prostu Maria” i „Orlica”.

Minc wybrał szarą, obwisłą „Orlicę” i poprosił o jej włożenie Klarę Anapko, smukłą jak brzoza, nieśmiałą jak fiołek szwaczkę drugiej kategorii. Anapko zaczęła się bronić. Wtedy wystąpiła Daria Szejlókowna, artystka modelarka i powiedziała, że gotowa jest poświęcić się i przymierzyć dowolny model za darmo.

Nie pozbawione poczucia humoru pracownice fabryki zaczęły nalegać, żeby sukienkę przymierzyła Klara.

Ze łzami w oczach Anapko podporządkowała się i sukienka zwiśla na niej jak zdychająca gigantyczna meduza próbująca dosięść żerdzi. ‘

- A teraz patrzcie - powiedział Minc jak iluzjonista, który już za chwileczkę wyciągnie zza pazuchy królika albo jedwabną chustkę.

Przesunął ręką nad ramieniem Klary, coś małego i płaskiego przyczepiło się do sukienki i podporządkowując się niewiarygodnemu prawu doskonałości, model „Orlica” zmniejszył się, podkreślając drobną figurę szwaczki. Zakładki i guziczki również znalazły swoje miejsce i minutę później Barbara Hipolitowna pogroziła Szejlókownie pięścią - kontrast był niewiarygodny.

Profesor Minc nie robił ze swojego nowego wynalazku żadnej tajemnicy. On w ogóle nie umiał zachować niczego w tajemnicy. Okazało się, że zdołał stworzyć minikomputer-krojczy, który

działa w momencie, gdy gotowy wyrób leży już na ludzkim ciele. Wtedy ten minikomputer przemienia wyrób albo materiał w optymalną odzież, jaką chciałby nosić obiekt eksperymentu, z uwzględnieniem, rzecz jasna, paryskiej mody, ale bez jej frymuśności.

Minc zaproponował swój wynalazek fabryce imienia Klary Cetkin, sądząc, że jej kolektyw i kierownictwo ma ambicje stać się jednym z centrów światowej mody. Okazało się jednak, że jest inaczej.

Początkowo wszyscy się zgodzili. Wypuszczono nawet próbną partię i przekazano ją do domu towarowego Wandy Sawicz. Kobiety przymierzały, dziwiły się i odwieszały palta czy suknie z powrotem na wieszaki. A gdy Wanda Kazimierzowna pytała ich, co takiego nie spodobało się im w tych wyrobach, klientki odpowiadały: - Jeśli już kupować coś takiego, to lepiej od Cardina niż swoje. Mieszkanki Wielkiego Guslaru nie dały się przekonać. Partię cudownej odzieży wysłano do Wołogdy, a w fabryce doszło do rewolucji. Najpierw kierownictwo, a potem nawet szeregowie pracownice zrezygnowały ze „sztuczki” Minca: fabryka traciła swój charakter, potężny dział projektowania z Darią Szejlókową na czele tracił pracę, zwłaszcza gdy okazało się, że do uzyskania pięknej sukienki wystarczy owinać się kawałkiem tkaniny o odpowiedniej długości. I wszystko dzieje się samo, bez pomocy cienionej Klary Cetkin.

Bez słowa podziękowania zwrócono Mincowi jego aparacik. Żeby się dobro nie marnowało, profesor oddał go Kseni Udałowej i staruszce Łożkinej, które wspólnie otworzyły w wychodzącej na ulicę piwnicy „Atelier Błyskawicę”. Bez żadnych wyjaśnień obiecywały uszycie ubrania w ciągu dziesięciu minut na kliencie. I klienci się znaleźli. Niewielu, ale zawsze. Jedna dziewczyna spieszyła się do USC i przepaliła swoją sukienkę żelazkiem, narzeczony innej na dzień przed ślubem wpadł w kałużę. Barykinom spłonęła szafa, a następnego dnia Barykin miał jechać w podróż służbową... Rimka, spryciara, szyła sobie sukienki u Udałowej, a metki przywoziła z Wołogdy. Wiele osób myślało, że sukienki są z importu. Ale nie wszyscy.

O tę właśnie pracownię pytał Minc, gdy żegnał się z Udałowem przed podróżą na Wyspy Wielkanocne.

- Jakoś tam ciągniemy - powiedział Udałow. - Jutro przyjeżdża delegacja z Korei Południowej.
- Bądźcie ostrożni - ostrzegł Minc. - To bardzo przebiegłi dżentelmeni.
- Wiemy - powiedział Udałow. - Ale i moja baba nie w ciemną bita. Powiedziała, żeby bez zaliczki się nie zjawiali. Niech otworzą konto w naszym banku. Potrzebne są środki na budowę nowej kliniki położniczej i wehikułu czasu.
- Masz rację - zgodził się Lew Chrystoforowicz i czule uściśnął Korneliusza na pożegnanie.

A Korneliusz patrzył na odjeżdżający autobus, machał ręką i wyobrażał sobie, jak kobiety przygotowują się do spotkania z zagranicznymi gośćmi.

* * *

Gdy autobus odjechał, Udałow poszedł do domu. Po drodze zobaczył chłopaka z sąsiedztwa, Kolę Gawryłowa. Kola jechał swoim nowym moskwiczem, zamaskowanym na mercedesa za pomocą charakterystycznego kółka na celowniku. Dobroduszny Udałow podniósł rękę i pomyślał: oto mija życie, jedni schodzą z drogi innym, inni dorastają, może właśnie dzięki nim miasto stanie się sławne... Kola Gawryłow nie zwrócił na Udałowa uwagi, a raczej to Udałowowi wydało się, że nie zwrócił, w rzeczywistości lekko przyhamował, czekając, aż Udałow zrówna się z olbrzymią kałużą i wtedy, nie żałując samochodu, nacisnął gaz. Mętna woda oblała sąsiada od stóp do głów. Kola uśmiechnął się przy tym pobłażliwie, nie odwracając się wprawdzie, ale zezując w stronę ofiary.

- Och ty łobuzie! - krzyknął Udałow, który swego czasu ganiał Gawryłowa z pokrzywą w rękę.

Ale Gawryłow już pędził dalej. Na widok Klary Anapko zaczął jechać prosto na nią. Dziewczyna przeraziła się śmiertelnie.

Przed domem Udałow znowu zobaczył pseudomercedesa Koli. Samochód stał na środku podwórka, łamiąc i zgniatając lubiany przez wszystkich krzew bzu. Gawryłowa nigdzie nie było widać. Udałow nie poszedł do domu, tylko zapukał do okna Saszy Grubina.

- Przesuńmy samochód, co?

Grubin od tak dawna przyjaźnił się z Korneliuszem, że rozumiał go w pół słowa. Wyszedł na podwórko, gdzie stał też Łożkin, starszy wiekiem, ale ciągle jeszcze krzepki mężczyzna.

- Trzeba coś zrobić z Kola - powiedział Łożkin. - Wstydu chłopak nie ma za grosz, honoru i żadnych ludzkich cech.

Z okna pierwszego piętra wychyliła się mama Gawryłowa i głośno zaszeptwała:

- To moja wina. Poprosiłam Lwa Chrystoforowicza i usunął chłopcu wszystkie zbędne cechy, żeby mu w tym nowym życiu lżej było. Ale chyba profesor przedobrzył...

- Już ty Koli nie broń - powiedział Grubin. - Nawet gdyby nam z Udałowem usunęli jakieś cechy, to i tak byśmy nic złego nie zrobili...

- Ciii... - Gawryłowa zamknęła okno. Najwidoczniej przestraszyła się syna.

- Historia dowodzi - westchnął Łożkin - że najgorzej, jak królowa matka zaczyna bać się swojego syna. Znaczy, że już niedługo poleci jej głowa.

- Mikołaju Mikołajewczu, co pan mówi! - przestraszył się Udałow. - Tylko by nam tego brakowało!

Odwrócił się do okna Gawryłowów i powiedział głośno, tak żeby jego słowa można było usłyszeć w mieszkaniu:

- Mikołaj, uprzedzam cię! Zaraz przesuniemy twojego „mercedesa” i to będzie pierwsze ostrzeżenie. Bez jest chroniony przez prawo i ekologię.

Udałow popluł na dłonie. We trzech chwycili za tylny zderzak moskwicza i odciągnęli go na bok. Podczas tej operacji mercedesowskie kółko oderwało się i potoczyło po ziemi.

W tym momencie rozległ się głośny jak seria z cekaemu stuk obcasów Mikołaja na schodach. Trzasnęły drzwi i chłopak wyskoczył na ulicę, ściskając w rękę gazrurkę i łyskając oczami jak, Aleksander Macedoński.

- Ja was zarazi - krzyczał. - Ja wam zaraz...

- Zwróćcie uwagę - powiedział do przyjaciół Grubin - że profesor zapomniał usunąć mu jeszcze jedną cechę: poczucie własności.

- I uczucie złości - dodał Łożkin.

- To nie uczucie, tylko stały stan emocjonalny ludzi, którzy nie mają już innych uczuć - poprawił go Korneliusz.

Kola wymachiwał groźnie swoją gazrurką.

- Uważaj, Kola, żebyś nie przeholował, bo cię po sąsiedzku zlejemy! - uprzedził Korneliusz.

Otworzyło się okno i Gawryłowa zaczęła błagać sąsiadów:

- Nie róbcie mu krzywdy! Przecież to jeszcze chłopiec, na pewno się poprawi. Jak tylko się wzbogaci, od razu się poprawi.

Kola złapał mercedesowskie kółko i klnąc przez zęby, zaczął przymocowywać je do moskwicza. Sąsiedzi go nie zbili. Popatrzyli, pokiwali głowami nad ogólnym upadkiem obyczajów i rozeszli się

do domów.

O czwartej nad ranem ktoś rzucił kamieniem w okno Grubina. Szyba potłuczona w drobny mak, stojący pod oknem nie dokończony model wehikułu czasu uszkodzony... Kto rzucał? Grubin był przekonany, że to Gawryłow, ale jego matka przysięgała, że Kola spał.

Następnego dnia poszło okno u Łożkinów. W dodatku zniszczone zostało akwarium i cenne rybki musiały zadowolić się trzylitrowymi słoikami. Kto rzucił kamieniem - nie wiadomo.

W samochodzie Wasi-Ahmeda też szyby były powybijane, a opony rozprute. A przecież w Wielkim Guslarze nigdy wcześniej nie zdarzały się ani kradzieże, ani uszkodzenia samochodów.

Wasia-Ahmed poszedł do Gawryłowa. Ale nie doszedł. Okazało się, że dwóch przyjezdnych mięśniaków w kamuflażach, którzy już od dwóch dni mieszkali w hotelu „Gęś”, przyjechało do miasta nie w celu zakupu lnu, lecz po to, żeby załatwić dla Koli parę spraw. I oni właśnie stłukli Wąsie tak, że trafił do szpitala.

Miasto było zaniepokojone, na Kolę patrzono spode łba, a on ciągle czekał, aż będzie miał prawdziwego mercedesa. Brakowało mu już tylko dwudziestu tysięcy dolców.

* * *

Przedsiębiorcy z Korei Południowej odwiedzili pracownię Udałowej „Atelier Błyskawica”, gdzie nowe modelki Tamara Tomi-Tomi i Klara Anapko z fabryki odzieży prezentowały ubrania, które same dopasowują się do figury klienta. Co więcej, podzieliły się z Koreańczykami niektórymi nowymi pomysłami Lwa Chrystoforowicza. Potencjalnym klientom najbardziej spodobał się model „Włóż się i zdejmij się” - „dla tych, którym się zawsze spieszy”. Początkowo model zachowywał się jak każdy inny, dopasował się do figury, ale potem w razie potrzeby sam zdejmował się z ciała i wieszal na wieszaku albo wracał do klienta na umówiony sygnał. Zagwiżdżesz na niego, a on odpowie krótkim ptasim świergotem jak autoalarm - i szybko leci do ciebie albo od ciebie.

Koreańczycy Południowi nie mogli powstrzymać się od braw, a potem zaprosili właścicielki i modelki pracowni na kolację do restauracji przy hotelu. Po kolacji uściśniły dłonie Udałowej i Łożkinej, a dziewczęta zaprosili do swoich pokoi, żeby razem z nimi podziwiać stamtąd Guslar nocą. Klara Anapko, nie przyzwyczajona do zainteresowania obcokrajowców, wyskoczyła przez okno, na szczęście nic jej się nie stało - była wspaniale wygimnastykowana. Natomiast Tomi-Tomi została i kontynuowała zabawę z Koreańczykami.

Ksenia i Łożkina przed pójściem do domu weszły jeszcze do pracowni, żeby posprzątać, wyłączyć prąd, wszystko pozamykać i umówić się co do formy płatności - czy Koreańczycy mają wpłacić franki na konto, czy od razu zakupić wyposażenie dla kliniki położniczej.

Stara Łożkina usiadła na kanapie dla klientów i powiedziała:

- Zmęczyłam się, Kseniu, jakbym węgiel nosiła. A Ksenia na to:

- Coś mi się wydaje, że Korneliusz w końcu mnie pogoni, w ogóle się już domem nie zajmuję.

Powiedziała to nie bez dumy. Niemal przez całe swoje życie Ksenia czegoś się bała. Czemu mąż się spóźnia - czy zebranie się przeciągnęło, czy wypadło mu jakieś spotkanie z kosmitami, a może zdradza ją, gospodynię domową? A teraz to ona stała się osobą o międzynarodowym znaczeniu.

...Nie siląc się na pukanie, podpity Kola Gawryłow otworzył sobie drzwi nogą, wpadł do atelier i wypalił:

- Słuchajcie, babki! Żebyście mi na jutro przygotowały w kopercie dwadzieścia tysięcy dolców. Bo jak nie, to wasi mężowie dostaną wasze uszy. Jasne?

- Jakich dolców, Kola? - zapytała Ksenia, która zawsze lubiła tego chłopca.

- Milczeć! - ryknął Kola. - Dwadzieścia tysięcy. Albo uszy. Pierwsza przyszła do siebie stara Łożkina.

- Kola, dawno nie dostałeś w skórę? - zapytała. - Jak ci nie wstyd!

- Co? - odpowiedział Kola. - Jestem teraz jak terminator trzeci. Z głównem was zmieszam i nawet nie zauważę. Taki teraz ze mnie człowiek.

Ksenia Udałowa zdenerwowała się w końcu i chciała przegonić Kolę z pracowni. Ale Kola jakby tylko na to czekał. Uderzył ją w twarz z taką siłą, że Ksenia upadła na kanapę, odepchnął Łożkinę i zagwizdał. Do atelier weszło dwóch typów w kamuflażach, z workami, do których zaczęli wpychać pozrywane z wieszaków międzynarodowe toalety.

- Dureń - powiedziała Ksenia odzyskując równowagę. - Jak weźmiesz ubrania, to nam nie zapłacą! - Oznaczało to, że żona Korneliusza przyszła już do siebie i zaczęła działać.

Poskutkowało. Reketierzy wzięli tylko dla siebie po garniturze i parę sukienek dla Rimki, która pomimo znacznej różnicy wieku aktualnie żyła z Kolą.

- Dwadzieścia tysięcy jutro, jak się ściemni - polecił Kola. - Pod pomnikami Pionierów. A jeżeli powie pani o tym komukolwiek, to pani Maksymek jest skończony, Korneliusz Iwanowicz też, nie mówiąc już o Mikołaju Mikołajewiczu.

** *

Jęcząc i kulejąc, nieszczęsne businesswomen jakoś dotarły do domu. Przed wejściem usłyszały pojedyncze dzikie okrzyki: na podwórku czekali mężowie, zaniepokojeni długą nieobecnością kobiet. Chcieli do razu dzwonić na milicję i aresztować Kolę, ale potem Udałow zaciągnął wszystkich do siebie, żeby omówić sprawę bez świadków. Teraz już zrozumieli, że matka to zawsze matka - nawet Hitler miał matkę. Tym bardziej Gawryłowa będzie zawsze po stronie syna.

Już w domu Udałow powiedział:

- Nie możemy go teraz aresztować. Nie mamy żadnych dowodów. Ale jak mu damy pieniądze, to wtedy capniemy go na gorącym uczynku, z dowodem rzeczowym w ręku.

Ranek spędzili bardzo pracowicie.

Udałow wysłał faks na Wyspy Wielkanocne i dostał odpowiedź, że w ciągu ostatnich dni profesor Minc był bardzo zamyślony i zaniepokojony, prawie nie patrzył na rzeźby, tylko ciągle powtarzał: „Jak mogłem być tak nieostrożny! Dałem taką straszną broń jak brak uczuć Koli Gawryłowowi!”. Wsiadł wczoraj wieczorem do samolotu i poleciał do Delhi z przesiadką w Dżakarcie.

Gdy Koreańczycy przyszli do pracowni, zastali już spakowany kontener. Wypisali czek do banku szwajcarskiego i podpisali umowę generalną.

Tymczasem do domu numer szesnaście z różnych krańców miasta napływały złe wiadomości. Przystępca trójka spaliła kiosk na stacji, porwała i porzuciła traktor, urządziła bójkę w dworcowym bufecie. Gdy się ściemniło, reketierzy podjechali moskwiczem z mercedesowskim kółkiem pod pomnik Pionierów. Warto zauważyć, że do tej pory już całe miasto wiedziało o szykującej się rozprawie. Dlatego też sierżant Pilipienko wziął zwolnienie z powodu nieżyty górnych dróg oddechowych. Zrobił to jednak nie ze strachu, lecz na prośbę Udałowa.

- To sprawa między sąsiadami - powiedział Korneliusz. - Po co nam strzelanina! Sam rozumiesz. Pilipienko rozumiał.

Wiele osób, które w tym czasie spacerowały zazwyczaj po brzegu rzeki i placu Pionierów, teraz skupiło się w pobliżu domów bądź chowało się za starymi lipami przed zajazdem. Pod pomnikiem stali tylko Udałowowie, tak jak zostało umówione - Korneliusz i Ksenia. A przed nimi na postumencie leżała zawinięta w niebieski plastik paczka.

O dziewiątej moskwicz z mercedesowskim znaczkiem wjechał na plac, zatoczył koło i zatrzymał się pod pomnikiem, przedstawiającym dziób łodzi Pionierów. Na dziobie, z dłońmi przyłożonymi do hełmów, stali pochodzący z Wielkiego Guslaru Jermak, Deżniew i Kruzensztern.

- Dawaj sałatę - powiedział Kola Gawryłow, spokojnie wysiadając z samochodu i podchodząc do Udałowów. - Gdzie reszta?

Jego towarzysze celowali w Udałowów z pistoletów, może gazowych, a może nawet prawdziwych.

- Kola - powiedział Korneliusz, po raz ostatni próbując przemówić chłopcu do rozsądku i zaoszczędzić mu wstydu. - Opamiętaj się! No, jak ci nie wstyd!

- Szybko! - odpowiedział Kola. - Dawaj sałatę. Będiesz mi płacił po dwadzieścia melonów na miesiąc. Mam w garści całe miasto.

- Kola, pomyśl o mamie - powiedziała Ksenia metalicznym głosem.

Gawryłow rozejrzył się czujnie. Wycelował swoją broń w stronę Udałowów. Ochroniarze zrobili to samo. Ich skórzane kurtki lśniły w świetle latarń.

- Wszyscy na kolana! - zaryczał Gawryłow nieludzkim głosem. - Całe miasto na kolana!

- Ja też? - zapytała matka, która również przyszła na plac.

- Ty przede wszystkim. Zapomniałaś już, jak mnie biłaś, gdy byłem dzieckiem?

Gawryłowa padła na kolana. Pozostali nie mieli zamiaru. Mało tego, Ksenia włączyła mikrokomputer w odwrotną stronę i ubranie bandytów zamieniło się w bezkształtne chlamidy, które w dodatku związały im ręce i nogi. Pistolety upadły na ziemię, a bandyci zaczęli walczyć z ubraniami, próbując się z niego uwolnić. Wyglądali przy tym jak Laokoon i jego synowie na antycznej rzeźbie.

Zanim im się udało oswobodzić, Korneliusz podniósł ich pistolety. Bandyci widząc, że nie mają już żadnych szans, jak nadzy królowie, którzy uświadomili sobie całą potworność sytuacji, uciekli do najbliższego lasu. Ich ubranie tajemniczym sposobem wzleciało w górę i ułożyło się na barczystych ramionach kamiennych Pionierów.

Jedynym, który nie stracił rezonu, był Kola. Spokojnie zabrał paczkę z dolarami i wycofując się z placu, powiedział do Udałowa, stojącego przez cały czas z pistoletami w rękach:

- Strzelaj, wujku Korneliuszu, strzelaj do dziecka.

W tym momencie na plac wpadł międzynarodowy autobus i ostro zahamował. Po chwili wyskoczył z niego profesor Minc.

- Mój Boże, to wszystko moja wina! - wykrzyknął i wyciągnął wynaleziony na Wyspach Wielkanocnych deblokator. Wymierzył go w oddalającą się nagą postać.

Błękitny piorun dogonił Kola i przeszył go na wskroś.

- Weź z powrotem wstyd! - wykrzyknął profesor stentorowym głosem.

Kola zaczął się zasłaniać paczką z pieniędzmi. Rozglądał się przerażony.

- Litość! - powiedział profesor.

Kola zobaczył Ksenię i nieśmiało podał jej paczkę z dolarami.

- Dobroć...

Kola padł na kolana.

Jego matka podbiegła i objęła chłopca. A on stał, tuląc się do niej, jak marnotrawny syn na obrazie Rembrandta. - Strach!

Kola zaczął drżeć.

- Miłość! - gromowym głosem wykrzyknął Minc. Zmętniały wzrok Koli odnalazł w półmroku figurkę Tomi-Tomi, która zapomniała już o Koreańczykach. Oboje wybuchnęli płaczem..

Do domu wracali wszyscy razem. Tylko Gawryłowowie z Tomi-Tomi szli trochę z tyłu. Kola miał na sobie zgrabny garnitur, który wrócił z pomnika.

- No i zwyciężyliśmy! - powiedziała stara Łożkina.

- Aha - zgodziła się Ksenia. - Musimy teraz zamówić żelazne drzwi.

- Nauka pomoże nam naprawić charaktery! - Minc był w nastroju optymistycznym. - Wymyślimy odtrutkę na każde łajdactwo!

- A oni wynajdą nowe łajdactwo - westchnął Udałow. Żadnemu nie udało się drugiego przekonać.

1994

OJCOWIE I DZIECI

Prerogatywy nowego życia w Wielkim Guslarze zżerała inflacja.

- Jak czarna dziura - powiedział Mikołaj Białosielski, przechadzając się po swoim gabinecie i nie patrząc na rozmówców. - Podnieśliśmy emerytury i od razu podrożał chleb. A co ja mogę poradzić, jeśli mąkę przysyłają z województwa już po nowych cenach?

- Emeryci nie mają teraz lekkiego życia - powiedział Udałow, który wkrótce sam miał przejść na emeryturę, a tak bardzo chciałby jeszcze poużywać życia, może nawet pojechać na Wyspy Kanaryjskie. Niewykluczone przecież, że jak tak dalej pójdzie, to pozamykają granice jak za Stalina i człowiek straci życiową szansę.

- I właśnie dlatego postanowiliśmy zwrócić się do pana o pomoc, Lwie Chrystoforowiczu - ciągnął Białosielski, który nie usłyszał repliki Udałowa. - Niech pan wynajdzie coś kardynalnego.

- Nowe jedzenie? - zapytał Minc.

- A z czego by je pan robił?

- Z substancji organicznych - odrzekł niepewnie Minc i zamilkł.

- Może w wielkim mieście zdałoby to egzamin - powiedział bystry Białosielski. - U nas już następnego dnia wszyscy wiedzieliby, skąd pan wziął te substancje.

- Nie jesteśmy na statku kosmicznym, gdzie wszystko przerabia się po sto razy - poparł Białosielskiego Udałow.

Został zaproszony na rozmowę Minca z Białosielskim jako przedstawiciel społeczeństwa i rozjemca. Rozmówcy wysoko sobie cenili jego trzeźwy osąd. Nawet jeżeli go nie wyrażał.

- Nie da się zrobić czegoś z niczego - powiedział Minc. Zabrzmiało to tak, jakby to była jego wina. A przecież prawo zachowania energii i inne rzeczy wymyślono na długo przed nim.

- Niech pan myśli, profesorze, niech pan myśli! - polecił Białosielski. - Ludzie nie mogą sobie pozwolić na godne życie.

- Pomyślę - obiecał Minc.

Był bardzo poważny. Jeszcze nigdy nie stawiano przed nim tak globalnego problemu - uratowanie państwa przed kryzysem.

- W tym roku święta majowe zbiegają się z Wielkanocą. Ludzie chcieliby zasiąść przy stołach i móc pofolgować sobie do woli - zakończył rozmowę Białosielski. Wierzył w Minca. Już nieraz profesor znajdował paradoksalne wyjście z sytuacji bez wyjścia.

Profesor Minc obudził Udałowa o godzinie trzeciej w nocy.

Udałow usłyszał niepewny dzwonek do drzwi. Myślał, że to syn Maksym wrócił i boi się obudzić mamę. Ale to był Minc w piżamie. Resztki włosów sterczały mu nad uszami jak skrzydełka, zapomniane okulary tkwiły nad czołem.

- Przepraszam, Korneliuszu, ale musiałem się podzielić - zaszeptał głośno Lew Chrystoforowicz.

- Czyżby „eureka”? - zapytał również szeptem Udałow. - Tak szybko?

- Widzę już światło na końcu tunelu - oświadczył Minc. - Chodźmy do mnie, bo tu na schodach zimno.

Gdy weszli do mieszkania profesora, Minc postawił przed Udałowem karafkę z firmową nalewką o złożonym leśnym składzie.

- Dziękuję - powiedział Udałow. - Teraz marzę tylko o tym, żeby poznać rozwiązanie.

- Otóż to! - ucieszył się profesor. - Przyjaźń jest dla mnie ważniejsza od wszelkich innych sentymentów. Od twojej reakcji na mój wynalazek zależy los kraju.

- Dziękuję. - Udałow się speszył i nalał sobie łyk nalewki. W końcu był to historyczny moment.

- Jakie zadanie postawiono przed władzami miasta? - zadał Minc pytanie retoryczne. I oczywiście sam sobie na nie odpowiedział: - Zapewnić ludności miasta dostatnie święta oraz wystarczającą ilość pożywienia w dni powszednie, nie zwiększając przy tym ani pensji, ani emerytur, ani żadnych innych dochodów. Sądzę, że żadnemu innemu uczonemu na moim miejscu, włączając Newtona i Einsteina...

- Którzy już nie żyją - dodał Udałow.

- Którzy zmarli, nie udałoby się rozwiązać tego problemu. A ja go, jak sądzą, rozwiązałem, właśnie dzięki mojemu nietuzinkowemu sposobowi myślenia. Odwróciłem sytuację. A więc, cóż należałoby zrobić?

Tym razem pytanie było wyraźnie skierowane do Udałowa i wypadało coś odpowiedzieć.

- Trzeba podwyższyć emerytury.

- Bzdura. Na to nie ma pieniędzy.

- Trzeba... zmniejszyć apetyty.

- Udałow, jesteś geniuszem. Na taki sposób postawienia problemu mógłby się zdobyć wyłącznie wybitny umysł naszych czasów.

Udałow zmieszał się i znowu sobie nalał. Nalewka była wonna i mocna.

- A jak zmniejszyć apetyty?

- Tabletki? - spróbował zgadnąć Udałow.

- A jak zmniejszyć tkaniny na kołdry i prześcieradła? Na pieluszki? Jak zmieścić w autobusie pięćset osób, jeśli teraz z trudem mieści się w nim sto? No? Został już tylko jeden krok, Udałow! Tabletki tu nie pomogą.

Udałow nie mógł zrobić tego kroku.

Wtedy Minc wziął ze stołu pudełko po butach. Coś w nim szeleściło.

- Patrz! - polecił.

Na dnie pudełka leżała kotka z dwoma kociętami. Kotka była wielkości myszy, kocięta - malutkich myszek.

- O nie! - zawołał Udałow. - Tylko nie to!

- Nie bój się, nie będzie tak tragicznie - uśmiechnął się Minc. - Nie mam zamiaru zamieniać ludzi w myszy. Zmniejsz się ich tylko dwa razy. Ile masz teraz wzrostu?

- Metr sześćdziesiąt sześć.

- To będziesz miał osiemdziesiąt. Wtedy i twój apetyt zmniejszy się o połowę, i do autobusu będzie was mogło wejść dwa razy więcej.

A ponieważ wszyscy pozostali będą tego samego wzrostu, nikt nie zauważy różnicy. Za to o dwa razy podniesie się stopa życiowa!

- A krzesła? - zapytał Udałow.

- Obetnie się nogi - odpowiedział profesor.

** *

Niestety, okazało się, że to wszystko nie jest takie proste. Czasy mamy demokratyczne. Partia komunistyczna na znak protestu zorganizowała wiec, miał nawet przyjechać jeden deputowany Dumy, ale w ostatniej chwili przestraszył się, że go zmniejszą razem ze wszystkimi. Ze wszystkimi, bo wyniki referendum brzmiały: siedemdziesiąt osiem procent za minimalizacją, dziewięć procent przeciwko. Reszta społeczeństwa nie miała zdania.

Wprowadzono jedną poprawkę. Sformułował ją emeryt Łożkin, który przed referendum powiedział:

- Szkoda dzieci. My to już życie przeżyliśmy, możemy zmaleć, ale jeśli one przestaną rosnąć?

Minc zgodził się z Łożkinem, którego poparło całe miasto: wprawdzie profesor obiecuje przywrócić nam dawny wygląd, jak tylko skończy się inflacja, ale naród nie zamierza ryzykować zdrowia dzieci w wieku przedszkolnym i szkolnym, które, jak wiadomo, i tak dużo nie jeżdżą.

Nocą nad miastem wzniósł się balon i Grubin z Mincem opylili śpiące domy. Dzieciom przed snem dano tabletki, żeby nic im się nie stało.

Po opyleniu Minc, cały czas w masce przeciwigazowej, uściśnął Grubinowi dłoń na pożegnanie i wsiadł do swojego moskwicza. Czekano na niego w województwie, w sprawie podniesienia stopy życiowej.

Malejący w oczach Grubin machał mu na pożegnanie ręką.

Gdy już wyjechał z miasta, Minc zdjął maskę. Następnego dnia rano mieszkańcy Wielkiego Guslaru obudzili się zmniejszeni o połowę.

Na konferencji referat Minca wywołał burzę dyskusji. Niektórzy, broniąc praw człowieka, odrzucali pomysł bezapelacyjnie, inni prosili o podzielenie się doświadczeniem i udostępnienie środka zmniejszającego.

W związku z tym Minc musiał zatrzymać się w mieście na kilka dni, potem zaś poleciał do Moskwy, żeby omówić ten problem na wyższym szczeblu.

Do domu wrócił dopiero przed samymi świętami majowymi.

* * *

Dojeżdżając do Guslaru, profesor czuł niejasny niepokój. Bał się, czy jego wynalazek nie spowodował efektów ubocznych, a przede wszystkim czy w centrali zdołają go umiejętnie wykorzystać, biorąc pod uwagę konfrontację interesów tak licznych resortów.

W mieście powitała Minca dziwna cisza.

Ulice były puste, nigdzie nie było widać ludzi.

Ulica Puszkina w pobliżu centrum została zastawiona barykadą ze skrzynek. Minc wyszedł z samochodu i zawołał:

- Jest tu kto?!

Odpowiedział mu tylko poranny wiatr przeganiający śmieci po ulicach.

Obok był sklep spożywczy. Witryny potłuczone, wewnątrz spustoszenie. Ucierpiał głównie dział słodczy - zostały z niego tylko kawałki szkła i kolorowe papierki. Najlepiej zachował się dział monopolowy i mimo że część butelek była rozbita, ani jednej nie napoczęto.

Zmniejszona o połowę myszka wielkości pajęczka przebiegła po podłodze i zniknęła w kącie.

Dalej Minc poszedł, kuląc się pod ścianą. Był przerażony. Gdy przechodził koło piwnicy sklepu z

artykułami rolniczymi, usłyszał jęk.

Na poziomie chodnika było zakratowane okienko. Jęk dobiegał stamtąd.

- Kto tam? - zapytał Minc.

- To my, ludzie...

Profesor odniósł wrażenie, że to głos Udałowa.

Kilka sekund później profesor zbiegał po schodkach do piwnicy. Odsunął zasuwę. Z ciemnej piwnicy zaczęli wyczołgiwać się wycieńczeni, nieszczęśni ludzie. Niektórzy wyglądali na pobitych i podrapanych. Można by pomyśleć, że podczas nieobecności Minca na miasto napadło stado panter.

Wśród cieni, w które zamienili się mieszkańcy Guslaru, Minc zobaczył Udałowa i samego Białosielskiego. Malutcy, nie sięgający profesorowi nawet do pasa, skupili się, chwiali i piszczeli, domagając się uwagi, jedzenia i zarzucając profesorowi zdradę. Przerywając sobie nawzajem, opowiedzieli Mincowi straszną historię upadku Wielkiego Guslaru, który zgotował miastu nieprzemyślany wynalazek profesora.

Gdy rano mieszkańcy Guslaru obudzili się zmniejszeni, od razu pojawiło się tysiące problemów. Jedni zaczęli obcinać nogi przy krzesłach, inni nie zdołali dosięgnąć do górnej półki w kuchni, jeszcze inni nie mogli umyć zębów... Ale największym wstrząsem moralnym, na który w dodatku nie byli zupełnie przygotowani, było spotkanie z dziećmi. Wyobraźcie sobie, jak czuje się dziecko, które ma iść do przedszkola, a tu budzi go nie mama, lecz coś w rodzaju mamy-lalki, mniejszej od tegoż przedszkolaka. A w sąsiednim mieszkaniu tata próbuje wysłać do szkoły córkę, która jest o głowę wyższa od niego... Początkowo rodzice próbowali potwierdzić swoje prawo decydowania o dzieciach z pozycji siły i trzeba przyznać, że zakłopotane dzieciaki potulnie rozeszły się po przedszkolach, szkołach i różnych tam placach zabaw. Ale w momencie gdy rodzice zaczęli uciekać się do coraz bardziej represyjnych środków, nawet do kar cielesnych, żeby utrzymać dzieci w ryzach, maluchy się zjednoczyły. Na trzeci dzień wybrały przywódcę - powtarzającą drugą klasę dziewczynkę o przezwisku Tyczka, która była teraz najwyższa w całym mieście. W imieniu dzieci Tyczka zażądała otworzenia sklepów ze słodyczami i oddania dzieciom całego zapasu gumy do żucia i cukierków, a także zamknięcia szkół, odwołania mycia się i zupy.

Trafiła kosa na kamień. Rodzice powstali jak jeden mąż i podjęli próby powstrzymania dzieci. Niestety, nie mieli takiego doświadczenia w bójkach jak one. Poza tym chcieli porządku i poszanowania godności człowieka, a przecież dzieci nie mają pojęcia, co to takiego poszanowana godność. Wynik walki był z góry przesądzony. Czwartego dnia rodziców bezlitośnie zamknięto w piwnicach. Nastaly dni beztroskiej swawoli: kradzieże w działach słodyczy i zabawek, spustoszenie sklepu „Lalka Barbie” i wiele innych rzeczy, o których nie wypada mówić w przyzwoitym towarzystwie. Nie wspominając już o tym, że w ciągu ostatnich trzech dni ani jedno dziecko nie umyło zębów. Nawet te, które chciały to zrobić, bały się, że zostaną uznane przez inicjatorów przewrotu za maminsynków...

* * *

Minc wysłał ludzi, żeby pootwierali pozostałe piwnice i inne więzienia, a sam pospieszył do domu, mając nadzieję, że nowi gospodarze Guslaru nie dorwali się do jego laboratorium.

Pierwsze masowe zgrupowanie dzieci zobaczył na placu Pionierów. Rozgrywała się tam radosna bitwa na jajka, wyniesione z pobliskiego sklepu spożywczego. Z boku stało kilka skrzynek po czekoladzie - dzieci tłukły się, grzebiąc w papierkach i mając nadzieję na znalezienie zapomnianej tabliczki.

- Ej! - Minc usłyszał za plecami przenikliwy dziecięcy głos. Szpieg!

Odwrócił się. W jego stronę biegł tłum dzieci, z długonogą pryszczatą dziewczynką na czele, najprawdopodobniej Tyczką. Dzieci były uzbrojone w zabawkowe i prawdziwe pistolety ze sklepu „Myśliwy”.

Nie zważając na swój wiek, tuszę i brzuch, Minc pognał tak, jak nie biegał od czasów podstawówki. Udało mu się skryć w bramie i wbiec do siebie na górę. Pogoń pozostała daleko w tyle.

Ciężko dysząc, Minc otworzył ostatnią butlę z antygazem i odkręcił zawór. Nad miastem zawisła chmura gazu, przywracając dorosłym ich dorosły wygląd. Gdy Minc podszedł do telefonu, z ulicy dobiegał dziecięcy płacz - dorośli na poważnie wzięli się za wychowanie swoich niewdzięcznych latorośli.

Wykręcając numer do województwa, Minc słyszał wzmagające się wycie dzieci. Chciał jak najszybciej uprzedzić kierownictwo o niebezpieczeństwie grożącym tym, którzy pójdą w ślady mieszkańców Guslaru.

W województwie nikt nie podnosił słuchawki.

Wobec tego Minc włożył do samochodu butle z antygazem i zawołał Udałowa. We dwóch pomknęli do województwa.

Miasto przywitało ich ciszą.

Najpierw Minc pomyślał, że tu również doszło do dziecięcej rewolucji.

Ale sklepy były nie tknięte. Nawet działały słodczy.

Minc stał na środku spożywczego i nasłuchiwał, czy nie usłyszy ludzkiego głosu.

Usłyszał, ale głos był tak cieniutki, że początkowo Minc nie mógł się zorientować, skąd dobiega.

- No nie! - zawołał Udałow i jak młodzieniaszek rzucił się na tłustego sklepowego kota.

Kot zamiauczał i wypuścił z pyska małą gołą grubaskę - jak się później okazało, kierowniczkę działu nabiałowego w tymże sklepie.

Trzymając nieszczęsną kobietę na dłoni, Udałow wyszedł na ulicę.

Zobaczył ruch w cieniu kwitnącego bzu.

Minc już wyjmował z samochodu butle z antygazem. Udałow rozsunał liście. Kilku człowieczków wielkości szpilki próbowało uratować się przed dziobem kury.

Szybciej! - zawołał Udałow, przeganiając ptaka.

* * *

Pół godziny później nieliczni mieszkańcy województwa, którym udało się przeżyć te dni, chowając się pod gankami i w szczelinach asfaltu, opowiedzieli im swoją straszną historię. Okazało się, że władze miasta uznały pomysł Minca za połowiczny i postanowiły rozwiązać problem wyżywienia za pomocą jednego mocnego uderzenia - zastosowały stokrotną koncentrację gazu. Po oddaniu przysługi ludności urzędnicy rozjechali się na swoje dacje. Dzięki temu wielu z nich ocalało.

...Przyjaciele wracali do Guslaru w milczeniu. Dopiero wjeżdżając do miasta, Minc szepnął jakby do siebie:

- A przecież wtedy na zebraniu byli różni działacze...

- No i co? - zapytał Udałow.

- Niewykluczone - odpowiedział Minc - że w niektórych miastach nie uda się odnaleźć ludności bez mikroskopu...

SKÓRKA CZASU

Lew Chrystoforowicz zaprosił do siebie Udałowa na filiżankę kawy. Ksenia nie pozwalała Korneliuszowi Iwanowiczowi pić prawdziwej, mocnej kawy, którą tak polubił w czasie swoich podróży kosmicznych; twierdziła, że szkodzi ona Udałowemu sercu. A Minc, wielki miłośnik kawy, umiał dokonać selekcji, mielić i prażyć. W zabytkowych armeńskich naczyniach parzył taki napój, że zapachem przesiąkał cały dom. Mieszkańcy, jedni z zawiścią, inni z niezadowoleniem, wachali i kręcili głowami. A przecież każdy mieszkaniec domu przy ulicy Puszkina numer szesnaście mógł przyjść do Minca na kawę, jeśli tylko profesor nie był zajęty kolejnym wynalazkiem bądź naukowo-teoretycznymi rozmyślaniami.

Starzy przyjaciele pili kawę małymi łyżkami - tak lepiej czuło się jej smak, i zapijali ją dobrym francuskim koniakiem, przysłanym profesorowi z Sorbony, gdzie w zeszłym roku miał wykład, a przy okazji rozwiązał problem przeciekających dachów starego uniwersytetu - otoczył go polem siłowym. Francuscy koledzy nie zapominali o nim, wiedzieli, jak się odwdzięczyć.

- Dziwne - powiedział Korneliusz Iwanowicz. - Przed sylwestrem kupiłem u nas koniak w niemal identycznej butelce, tylko na etykiecie było trochę więcej złotego koloru. A w smaku okazał się gorszy od tego trzygwiazdkowego melitopolskiego.

- Nie ma w tym nic dziwnego - odparł profesor. - Typowy przykład rozbieżności pomiędzy etykietką i zawartością.

- To smutne - powiedział Udałow. - Przez całe życie się z tym stykam. Jeszcze na apelu pionierskim meldowałem, pamiętam jak dziś, o zebraniu dwóch ton makulatury, a tak naprawdę było jej wszystkiego trzy kilo. Pamiętam, była tam taka sympatyczna dziewczyna, Irina miała na imię... - Udałow westchnął i zamyślił się.

- O kim mówisz, Korneliuszu? - zapytał Minc.

- To było w drugiej klasie. Oddałem jej wszystkie pocztówki. A. potem również znaczki. A i tak na sprawdzianie z arytmetyki nie dała odpisać.

- Przykre - zgodził się Minc. - Bardzo przykre. Może kawałek ciasta?

- Nie, dziękuję. W szkole zdarzały mi się również inne przykre sytuacje.

- Jaki okres życia pamiętasz najwyraźniej?

- Gdy chodziłem do szkoły, zwłaszcza wakacje - odpowiedział bez wahania Udałow.

- Tak też myślałem - zgodził się Minc. - A o sobie nie mogę tego powiedzieć. Nie wiem, nie pamiętam, nie brałem udziału...

Zapadła cisza. Gdy zżyłeś się z człowiekiem, zbliżyłeś się z nim, przeżyliście razem niejedną przygodę, to możecie posiedzieć w milczeniu, nie czując skrępowania.

- Jak tu mówić coś o innych ludziach - nieoczekiwanie dla samego siebie odezwał się Udałow - skoro sami siebie tak słabo znamy?

- Słusznie - odpowiedział Minc. - Dlatego że nasz wygląd zewnętrzny jest absolutnie nieadekwatny do wnętrza. Już starożytni o tym pisali. Próbowałem rozwiązać ten problem, przyjąć wyzwanie rzucone mi przez naturę, ale na próżno. Wiesz przecież...

. Udałow kiwnął głową. Zrozumiał, że Minc mówi o swoim ostatnim, genialnym, ale nie do końca udanym wynalazku. Lew Chrystoforowicz wyprodukował maść, która sprawiała, że posmarowane nią lustro odbijało nie wygląd zewnętrzny człowieka, lecz jego wnętrze. Jednakże wynalazek ten miał pewną wadę: przecież stan ludzkiej duszy ciągle się zmienia. Teraz jesteś diabłem, bo rozmawiasz ze swoim dyrektorem, a po dwóch minutach prawdziwy z ciebie anioł - zobaczyłeś sekretarkę Larysę.

W lustrze Minca jeden i ten sam człowiek mógł po kolei zobaczyć dziesięć swoich twarzy lub fizjonomii - w zależności od okoliczności.

- Wiesz przecież - powtórzył Minc - że zwykłego współczesnego człowieka nie można upraszczać. Jest zbyt różnorodny.

- Na przykład ja. Rzeczywiście jestem różnorodny - zgodził się Udałow.

Znowu zapadła cisza.

- Życie mija zbyt szybko - ciągnął Udałow. - Jeśli na urlopie czy w podróży służbowej, to jeszcze da się wytrzymać. Ale w dni powszednie mknie w katastroficznym tempie.

Kawa już trochę ostygła, lecz ciągle była tak samo aromatyczna i mocna. Udałow pił małymi łydkami, a Minc patrzył na przyjaciela i kiwał głową jak chińska figurka.

- Czasami lepiej pamiętam to, co było czterdzieści lat temu, niż to, co wydarzyło się w zeszłym roku. I zadaję niebu pytanie: Kim jestem? Ile lat przeżyłem na Ziemi? Ile jeszcze będę żył? - rozmyślał na głos Lew Chrystoforowicz.

Starego kota Mruczka, który przychodził do Minca przez lufcik, żeby coś zjeść albo podrzemać na dywaniku przy kuchence, znudziły rozmowy starsuszków. Zaczął się bawić kłębkami wełny.

- I on tak samo - zauważył Udałow. - Jakby był małym kotkiem. Też nie zauważył, jak życie przeleciało. A ty mówisz, że ludzie się znają.

- Tego nie mówiłem. Powtarzam, że widzę tylko to, co chcą mi pokazać, maski. Moje próby zerwania masek i spojrzenia w prawdziwe twarze moich współobywateli na razie nie przyniosły rezultatu.

- Pomyśl o tym, Lew - poprosił Udałow. - Wynajdź coś, bo się zupełnie zestarzejesz, zmarnujesz się.

- Ile masz lat? - zapytał Minc.

- W przyszłym roku przechodzę na emeryturę.

- Trudno uwierzyć - powiedział Minc. - Trudno uwierzyć...

I tak jakby się wyłączył, jakby zapomniał, że siedzi u niego drogi przyjaciel i sąsiad. Ale Udałow się nie obraził. Wiedział, że właśnie rozpoczął się proces twórczy. Nieraz miał okazję go obserwować. Teraz, póki wynalazek nie stanie się faktem, profesora lepiej nie ruszać. Nie ma sensu. Przebywa w innym świecie, w świecie bujnej wyobraźni i trzeźwych matematycznych obliczeń...

Udałow zebrał filiżanki, umył je w kuchni i pożegnał się. Minc skinął głową, jakby zauważył wyjście przyjaciela.

Minc miał jedną, niezawodną metodę wcielania swoich wynalazków w życie. W tym celu należało wejść na dzwonnice cerkwi Paraskewy Piatnicy i opylić albo obryzgać miasto odpowiednim specyfikiem. I wtedy w Wielkim Guslarze zaczynały się kolejne magiczne zmiany.

- Chodź, rozpylimy - mówił wtedy Minc do swojego wiernego Udałowa, Korneliusz zaś pytał:

- A ofiar w ludziach nie będzie?

- Na razie nie. - Minc brał na siebie odpowiedzialność za następstwa eksperymentu, ale nigdy za

następstwa następstw.

Był łagodny jesienny dzień. Niebo nad dzwonnica miało barwę wrzosu, syrena rzeczno promy przy przystani wydała się Korneliuszowi rykiem jelenia. Kanister z kolejnym zieleni, wyposażony w rozpylacz, stał na poręczy dzwonnicy.

- Co dzisiaj siejemy? - zapytał Korneliusz Iwanowicz.

- Pamiętasz naszą wczorajszą rozmowę? - zapytał Minc. Ostatni raz przyjaciele rozmawiali ponad tydzień temu, ale jak wiadomo, dla Minca czas jest czynnikiem skrajnie względnym. Najwidoczniej tydzień wydał mu się kilkoma godzinami.

- Pamiętam.

- Poruszyłeś wtedy bolesną strunę.

Minc sprawdził, czy rozpylacz działa. Przezroczysty obłoczek substancji wydostał się z kanistra i odleciał w dal.

- Uświadomiłeś mi, jak bezmyślne wiodłem życie. Przy moich genialnych zdolnościach do tej pory nie udało mi się rozwiązać naczelnego zadania nauki - jak odkryć prawdziwą istotę człowieka. Jaki on jest naprawdę? Nie wtedy, gdy spojrzysz w lustro, nie wtedy, gdy kłóci się z żoną lub gdy rzuca dolara żebrakowi. Nie! Chcę, żeby z człowieka opadła jego skórka, żebyśmy zobaczyli go nagiego!

Z tymi słowami Minc mocno nacisnął dźwignię i po chwili miasto otuliła niewidoczna zasłona.

- Mam nadzieję, że nie w sensie dosłownym? - zapytał Udałow.

- Nie rozumiem.

- Mam nadzieję, że nie w sensie rozebrania wszystkich do rosołu!

- Ubranie spadnie samo! - wykrzyknął niejasno Minc.

Pusty kanister Udałow zaniósł do domu.

- Rano - obiecał Minc na pożegnanie. - Rano sam zrozumiesz.

Ksenia przywitała męża gniewnie - dlaczego to trzeba czekać na niego z obiadem? Ze żłobka wróciła Karolinka, synowa, żona Maksyma. Maksym Udałow poznał ją w akademiku technikum rzeczno, a zakochał się w niej na stadionie, gdzie Karolinka, krzepka brunetka, zajęła pierwsze miejsce w rejonowych zawodach pchnięcia kulą.

Przyprowadziła Beniamina. Stosunki Udałowa z synową były na granicy zimnej wojny. Karolinka, człowiek poważny i wykształcony, trafiła do rodziny mieszczańskiej. Za to mieszczaństwo mocno obrywało się Maksymowi, a część pogardy dostawała się Korneliuszowi Iwanowiczowi. Tylko Ksenia Karolinka nie odważyła się pogardzać - z Ksenia takie numery nie przechodziły.

Wkrótce przyszedł również Maksym, który już od dwóch lat pracował w zakładzie fryzjerskim, jednocześnie ucząc się zaocznie. A co robić, jeśli trzeba posyłać dziecko do żłobka-liceum, żeby nie wyrosło na mieszczanina?

Udałow chciał pocałować Beniaminka, ale trzylatek uchylił się - wiedział, kto rządzi w domu.

- Twoje pocałunki zalatują trywialnością - powiedziało dziecko.

Udałow poczuł gorycz. Zrozumiał, że pomimo autorytetu, jakim cieszy się w Galaktyce, i śladu, jaki zostawił w twórczości Kira Bułyczowa, z biegiem lat stracił w rodzinie resztki dawnego znaczenia. Pomyślał, że wkrótce będą mu stawiać talerz z jedzeniem w kącie, obok kociej miski.

Wszedł zmęczony Maksym. Pachniało od niego wodą kolońską. Zaczął się obiad. Udałow patrzył na swoją rodzinę i myślał: wkrótce poznam wasze prawdziwe wnętrza. Minc zdejmie z was skórę.

* * *

Udałow przeżył już coś podobnego...

Wiele lat temu na jakiś czas zamienił się w małego chłopca. Teraz jednak było inaczej.

Obudziło go dziwne, świeże, radosne uczucie wewnętrznej harmonii. Nie otwierając oczu zrozumiał, że wszystko jest w nim piękne - i myśli, i uczucia, i ciało.

Przeciągnął się, ale nie sięgnął nogami do oparcia łóżka, co wcześniej zawsze mu się udawało. Coś przeszkadzało mu otworzyć oczy - tak jakby wpadł w lesie w wielką pajęczynę i teraz musiał jaz siebie zrzucić.

Z lekkim szelestem niemal nieważka powłoka rozerwała się j spadła z Udałowa. Odrzucił ją i otworzył oczy.

Przywitał go, tak jak każdego poranka, znajomy okrągły zaciek na suficie. Obok ciężko oddychała Ksenia. Słońce rzucało w okno ukośne promienie babiego lata, pływały w nich drobinki kurzu. Brzęczała spóźniona mucha...

Ksenia spała odwrócona do Korneliusza tyłem. Widział tylko jej okrągłe plecy w koszuli nocnej i ufarbowane włosy z siwymi odrostami. W polu widzenia Korneliusza Iwanowicza znalazła się jego własna ręka. Najpierw przeraził się zmianą, jaka w niej zaszła, a potem postanowił, że nie będzie się dziwił - ręka była niezbyt gruba, chłopięca, pokryta rzadkim puszkim, w niczym nie przypominającym siwiejącego owłosienia wczorajszego Korneliusza.

Przesunął dłonią po brzuchu. Brzuch, wystający przez kilka ostatnich dziesięcioleci, teraz był płaski.

Ostrożnie, żeby nie obudzić Kseni, Udałow spuścił dziecięce nogi z łóżka i wsunął stopy w kapcie. Spodnie od piżamy od razu spadły na podłogę. W drodze do łazienki musiał podtrzymywać je rękami.

Zwrócił uwagę na cienką przezroczystą skórkę walającą się obok łóżka. Jakimś szóstym zmysłem odgadł, że to jego własna skóra. Zrzucając ją, tak jak żmija, odmłodził.

W łazience spojrział w lustro. Poznał się. Z poprawką na wiele lat. Teraz miał jakieś dwanaście, trzynaście lat, był raczej wyrostkiem niż nastolatkiem. Romantycznie nastrojony, kudłaty, sympatyczny, niebieskooki Korniusza o okrągłej buzi. A więc taki jesteś naprawdę, Korneliuszu! Witamy!

Myjąc się, myślał o tym, że jego odmłodzenie jest bez wąpiewni-efektem eksperymentu, rozpylenia tajemniczej substancji, w którym wczoraj uczestniczył. Nie wiadomo tylko, po co było Korneliusza o tyle lat odmładzać, skoro chodziło o wydobycie prawdziwego oblicza mieszkańców naszego miasta. Coś tu było nie tak! Pewnie Minc znowu się pomylił.

Korneliusz Udałow włożył spodnie, podwinął nogawki i zapiął pasek na ostatnią dziurkę. Buty były o parę numerów za duże, ale dzięki sznurówkom, którymi omotał kostki, jakoś się trzy-wały. Rękawy koszuli też musiał podwinąć.

Kończąc toaletę, ciągle łamał sobie głowę nad przyczynami przemiany. Wiedział, że nie ma się czego bać - w razie niepowodzenia Minc wynajdzie antysubstancję, która odwróci negatywny efekt. A zresztą na razie Korneliusz nie miał ochoty wracać do swojej poprzedniej postaci - za bardzo podobało mu się owo poczucie harmonii.

...Ksenia otworzyła oczy i usiadła na łóżku, próbując uwolnić się od nieważkiej skórki - swojego poprzedniego wyglądu. Mimo że się zmieniła, zrzucając z dziesięć lat, i tak można ją było rozpoznać. No dobrze, stała się młodsza, silniejsza, bardziej złośliwa. I nic poza tym.

Na przykład tacy Amerykanie albo moskwianie, pomyślał Udałow, umieją znaleźć sobie ładne, długonogie, a przede wszystkim inteligentne i miłe żony. A w Wielkim Guslarze takich żon nie ma, a

jeśli nawet były, to i tak dawno temu wzięli je ci z innych miast.

- A ty co! - krzyknęła Ksenia z potępieniem. - Oszalałeś? Znowu zaczynasz te swoje sztuczki?

- Ksenia - powiedział Udałow łamiącym się głosem nastolatka. - Opanuj się. Zostaliśmy zmienieni. Myślę, że już niedługo przyjdzie Lew Chrystoforowicz Minc i wszystko nam wyjaśni.

- Jak to zmienieni? Wszystkich zmieniono, czy znowu tylko ciebie? Ofiaro losu, świnko morska, szczurze doświadczalny!

- Ty też odmłodziłaś - zauważył Udałow. Gdy tylko do jego żony dotarło, co usłyszała, rzuciła się do łazienki, żeby przejrzeć się w lustrze.

Nie zdążyły się zamknąć drzwi za Ksenia, gdy otworzyły się drugie - od pokoju młodych. Korneliusz dawno już się tak nie zdziwił jak w tym momencie. Z pokoju wyszły trzy osoby: starszawa brunetka przy tuszy, w której po brwiach można było rozpoznać Karolinę, mniej więcej dziesięcioletni chłopiec, w którym Udałow poznał małego Maksymka i jego serce przepęliło się ojcowskimi uczuciami, oraz karzełek w nieokreślonym wieku, ale za to z bródką - wnuk Benjamin, nieco podstarzały.

- Jaki jest numer na milicję? - zapytała Karolinka. Udałow nie zdążył odpowiedzieć, gdy syn rzucił mu się w ramiona.

- Tato! - zawołał. - Tatusiu! Jakie to szczęście, że teraz jesteśmy jednakowi! Obronisz mnie przed nią!

A Benjamin zatrzymał się w drzwiach, wsunął palec do ust i zastygł w tej pozie.

- Co to wszystko znaczy? - zapytała Ksenia, wychodząc z łazienki i oglądając swoją zmienioną rodzinę.

- Zaraz się dowiem! - zawołał Udałow i zanim zdążono go zatrzymać, wybiegł z mieszkania, o mało co nie przewracając po drodze starego Łożkina, który w podkoszulku i spodenkach szedł na dwór, żeby trochę pobiegać. Codziennie rano biegał - do nabrzeża i z powrotem.

- A kim ty jesteś? - zapytał przebiegającego obok chłopca. - Po co łazisz po naszym domu? Może kradniesz?

- Nie mam teraz czasu, Mikołaju Mikołajewiczu! - odkrzyknął chłopiec i zaczął dobijać się do drzwi Minca.

Profesor nie reagował. W końcu otworzyły się drzwi od mieszkania Grubina. Na klatkę wyjrzał Sasza - nastolatek z bujną grzywą włosów.

Wszystko od razu zrozumiał i powiedział:

- Wchodź, Korneliuszu. Sprawa jest dużo poważniejsza, niż ci się wydaje.

Korneliusz pokornie wszedł do Grubina, człapiąc w za dużych butach.

- Wszystko wiem - powiedział Grubin. - Poznałem cię, ty mnie też?

- Tak. Nie sądzisz, że najwyższy czas obudzić Minca?

- Nie trzeba go budzić - odpowiedział Grubin. - Śpi. Całą noc przegadaliśmy, a rano położyłem go spać.

- To może ty mi to wyjaśnisz? Bądź przyjacielem!

- Wyjaśnię ci. Koncepcja Minca była prosta. Chciał odsłonić prawdziwe twarze mieszkańców Wielkiego Guslaru. Prawdziwe. Chciał zrozumieć, co kryje się za fasadą każdego z nas. Jak to zwykle bywa, eksperyment był genialny, lecz nie do końca przemyślany. Środek Minca działa tylko na fizjologiczną stronę naszych organizmów.

- Mów jaśniej!

- Jaśniej się nie da. Każdy człowiek z biegiem lat wchodzi sam ze sobą w sprzeczność. Jeden całe życie przeżył, zestarzał się, a tak naprawdę pozostał małym chłopcem. A inny urodził się już jako staruszek i nieważne, że ma wygląd niemowlęcia. Z powodu tej sprzeczności pomiędzy formalnym i prawdziwym wiekiem człowieka dochodzi do różnych wewnętrznych konfliktów. Niektórzy nawet tracą rozum.

- Czyli jaki zakodowano ci wiek...

- Genetycznie zakodowano!

- Jaki zakodowano ci wiek, tak się zachowujesz?

- Właśnie! Ludzkość już dawno temu zauważyła tę sprzeczność. Znalazła ona odbicie w folklorze, wyśmiewano ją w piosenkach i przysłowiach. Przypomnij sobie: „Wysoki jak brzoza, a głupi jak koza”, „W starym piecu diabeł pali”.

- „Natura zawsze ciągnie wilka do lasu” - uzupełnił Korneliusz Udałow.

Grubin uniósł brwi, ale się nie spierał.

Nagle drzwi otworzyły się z hukiem i do mieszkania wpadł mały Maksymek.

- Tatusiu! - krzyknął. - Karolinka mnie bije!

- A to dlaczego? - zdenerwował się Udałow, ale nie zdążył rzucić się do drzwi, gdy pojawiła się w nich masywna, niemłoda Karolinka, trzymająca na zgiętej ręce swojego postarzałego Beniaminka.

- Dzwoniłam na milicję - oznajmiła. - Ja ich wszystkich rozgonię!

- I co na milicji?

Karolinka miała zamiar zignorować pytanie nieznanego dzieciaka, ale język wbrew niej odpowiedział:

- A diabli wiedzą co! Telefon odebrał jakiś chłopiec i kazał mi iść do diabła! Chłopiec!

- Niewykluczone - zauważył Grubin. - Przecież objęło to całe miasto.

- Trzeba obudzić Minca i wszystko odkręcić - zaproponował Udałow. - Rozumiesz chyba, jakie z tego mogą wyniknąć nieporozumienia!

- Poczekaj! - Może my... tego... Przejdziemy się, popatrzemy. To przecież niepowtarzalna okazja. Kiedy jeszcze uda ci się zobaczyć swoich znajomych w ich prawdziwym wieku i wyglądzie?

Udałow zrozumiał, że Sasza Grubin ma rację. Sprawdza, czy sąsiad ma jeszcze ciekawość, czy już mu się wyczerpała.

* * *

Maksymek przyczepił się do dorosłych, których nikt by o dorosłość nie podejrzewał, i we trójkę poszli na spotkanie porannemu miastu, ugodzonemu w samo serce odkryciem samego siebie.

To było szczęśliwe miasto. Co prawda, trudno było w to uwierzyć, patrząc na przeklinających ludzi na ulicach. Ale czy można się im dziwić - przecież kiedy otworzą człowiekowi oczy na jego prawdziwe oblicze, to jeszcze wcale nie znaczy, że będzie szczęśliwy. Do samego siebie trzeba przywyknąć, a czasem nawet się ze sobą pogodzić.

Korzystając z ciepłego słonecznego dnia i nie mogąc usiedzieć w domu, zaniepokojeni zachodzącymi w nich przemianami, mieszkańcy Guslaru wyszli na ulice, tak jakby to był Pierwszy Maja.

Udałow sądził, że miasto się zestarzeje, ale okazało się, że nie miał racji. Można by sądzić, że trafili nie na plac Pionierów, lecz na szkolne podwórko - tyle dzieci w różnym wieku, w dziwnych, za dużych ubraniach chodziło, biegało, przekrzykiwało się, rozpoznając się nawzajem - jak po

powrocie z wakacji, wakacji, które dla niejednego ciągnęły się latami.

Gdzieś leżały skórki ludzi.

Po ulicy biegał gruby chłopiec, kopiąc przed sobą piłkę. Mój Boże, przecież tą piłką wygraliśmy z szóstą B! - przypomniał sobie Udałow i krzyknął:

- Sawicz, podaj tutaj!

Gruby Sawicz aż zapiszczał z radości, że spotkał kumpla z klasy, towarzysza najśłodszych lat życia. Podał do Korzenia, a Korzeń kopnął piłkę do Saszki Wiorsty. W tym momencie na plac wbiegła młoda ślicznotka Wanda. Z miłości do niej usychała cała dziesiąta klasa szkoły numer dwa. Wanda wydawała się o dziesięć lat starsza od Sawicza. Widząc, że ten kopie piłkę z chłopakami, rzuciła się do niego i złapała za rękę.

- Zwariowałaś! - zawołała z czułością. - Czy nie rozumiesz, że ludzie patrzą?

Udałowowie, ojciec i syn, oraz Sasza Grubin dalej ganiłi za piłką, zupełnie zapominając, po co tu przyszli. Ale prawie nikt nie zwracał na nich uwagi. A Wanda Kazimirowna, jeszcze wczoraj kierownik domu towarowego, głaskała po główce swojego ukochanego, nieletniego męża.

- Atas! - rozległ się nagle czyjś dziecięcy krzyk. - Ratuj się, kto może!

Zza rogu zajazdu wyskoczył chłopiec w mundurze pułkownika. Mundur włókł się za nim po ziemi, kieszenie tłuły go po gołych nogach. Chłopiec w rękach trzymał kałasznikowa. Wołał: „Tatata”, udając, że strzela. Nagle rzucił się w stronę kolumn zajazdu, a zaraz za nim wbiegł na plac drugi chłopak, trochę starszy. On też miał w rękach automat. Tylko że strzelał z niego naprawdę - kule zrywały ze ścian kawałki tynku.

Ludzie rozbiegli się, niektórzy schowali się za kolumnami lub krzakami.

- Kto to? - zapytał Udałow.

- Nie poznałeś? - odpowiedział Grubin. - To przecież nasz pułkownik Ostapiuk z DOSAAF, czy jak oni się tam teraz nazywają!

- A ten drugi?

- Drugi to pułkownik Ismailow, dowódca komendy wojskowej. Ma automat z dziurką w lufie, żeby na ćwiczeniach chłopaki się nie powystrzelali. A tamten dostał prawdziwy.

Strzelanina na placu ucichła, ale spokój już nie powrócił.

Znowu przebiegł chłopiec, krzycząc ostrzegawczo.

Z daleka, z centrum miasta, nadciągało coś groźnego.

Było widać czarną ścianę ludzi, zajmującą całą ulicę. Nad tłumem powiewały czerwone flagi.

- Komuniści! - krzyknęła Wanda Kazimirowna i pociągnęła do domu Nikitkę Sawicza.

Inne żony, przeważnie trzy razy starsze od swoich mężów, też zabrały ich z placu. Ale Grubin i Udałowowie pozostali razem z innymi widzami - Karolinka i Ksenia jeszcze ich nie znalazły.

Kolumna była coraz bliżej. Nad nią powiewały sztandary. Z gardeł wrywał się hymn Związku Radzieckiego.

Wszyscy ci ludzie byli krzepkimi, siwowłosymi, mniej więcej siedemdziesięcioletnimi starcami. Ci, którzy nieśli portrety Stalina, byli nieco starsi, a ci z portretami Lenina trochę młodszy.

Kolumna komunistów weszła na plac.

Udałow rozpoznawał w tych surowych i nieprzekupnych starcach swoich rówieśników z przedsiębiorstwa budowlanego, z byłego komitetu rejonowego Komsomołu i komitetu miejskiego partii, rozpoznawał emerytów o miejskim i nawet wojewódzkim znaczeniu. Co najdziwniejsze, również Maksymek rozpoznawał i pokazywał ojcu swoich rówieśników, a nawet młodszych kolegów

z technikum rzecznego. Teraz przeżywali rozkwit starczych sił i tworzyli surową jedność - oto nadszedł ich czas! W świecie chłopców i małolatów to oni będą rządzić!

- Szybko! - powiedział Grubin. - Szybko do domu. Trzeba powiadomić Minca.

- Słusznie! - Udałow pierwszy pobiegł w stronę domu. Grubin i Maksym za nim.

Im byli bliżej domu, tym bardziej Grubin tracił na pewności, zaczęły mu się plątać nogi, wreszcie przed bramą zupełnie się zatrzymał.

- Co się stało? - zapytał Udałow.

- Rozumiecie, chłopaki - powiedział Sasza. - Tylko się nie dziwcie... Sytuacja może być poważniejsza, niż myślicie.

Udałowowi wydawało się, że kroki komunistów już go doganiają, tak jak jakiegoś tam rozpustnika kroki komandora.

- Coś z wujkiem Lwem? - domyślił się Maksymek.

- Myślę, że tak.

Grubin otworzył drzwi do mieszkania Minca swoim kluczem. Taki klucz był konieczny - Minc wpadając w amok pracy nierzadko zapominał o jedzeniu i śnie. I gdyby nie ingerencja Grubina, już dawno w czasie jednego z twórczych ciągów uczony umarłby z wyczerpania.

Ale jak się przekonali, tym razem było o wiele gorzej.

Gdy w Wielkim Guslarze ważyły się losy demokracji, Minc wpadł pod walec własnego eksperymentu i zmienił się w pięcioletniego brzdąca, zadowolonego z siebie i zjadającego resztki kilogramowego tortu, który profesor osobiście kupił w tym tygodniu na przyjazd kuzyna z Montevideo, włożył do zamrażalnika i zapomniał o nim.

Gdy do pokoju wpadli młodzi sąsiedzi, gruby chłopczyk chrupał zamrożony tort.

- Lwie Chrystoforowiczu! - zawołał od progu Grubin. - Eksperyment trzeba odwołać.

Lew Chrystoforowicz poznał sąsiadów. I chociaż mimo swojego młodego wieku zdawał sobie sprawę, co się dzieje, to jednak odpowiedział zdecydowanie:

- Nie, nie, i jeszcze raz nie!

- Dlaczego, Lwie Chrystoforowiczu?

- Dlaczego, wujku?

- Dlatego że tort jest bardzo smaczny - odpowiedział geniusz.

I dalej chrupał.

Za oknem rozległ się hałas.

Udałow podbiegł do okna, potem skoczył z powrotem, złapał małego Minca, który przez cały czas chręścił lodowym tortem, podniósł go do okna i krzyknął:

- Patrz, co narobiłeś!

Ulicą Puszkina szedł niewielki patrol wąsatych, siwowłosych kombatantów. Nieśli czerwone flagi. Przed niektórymi bramami zatrzymywali się, wieszali czerwony sztandar i rysowali czerwoną gwiazdę. Przed innymi domami flag nie wieszali, malowali za to czarny krzyż.

- Już niedługo - powiedział Udałow. - Już niedługo się zacznie. Tego pan chciał?

- Do wieczora jest jeszcze dużo czasu - kaprysił Minc. - Jak zjem tort, to porozmawiamy.

Malec spróbował się wyrwać i wrócić do tortu, ale Udałow go nie puszczał.

- Odczaruj miasto! - krzyczał na Minca. - Mam tego dość!

Nie wiadomo, czym skończyłaby się walka między małym obżartuchem i jego sąsiadami, gdyby do pokoju nie weszły dwie grube kobiety w średnim wieku.

- Do domu, ale to już! - usłyszeli ich mężowie.

Po krótkim i nierównym starciu na scenie pozostali tylko Minc i Grubin.

- Widzisz - powiedział Grubin. - Na tych chłopców wystarczyły stare żony. A na nasze miasto wystarczą starzy kombatanci.

- Skąd ich się tyłu wzięło? - spytał chłopiec, ciągle pogryzając tort.

- W sercach siedzieli, w duszach - powiedział Grubin. Minc oderwał się na sekundę od tortu i zawołał:

- Posłuchaj, Sasza, chodźmy stąd! W las, do Wołogdy. Oddasz mnie do przedszkola i codziennie będę dostawał dodatkową porcję kompotu.

Grubin wyjrzał przez okno. Przed domem numer szesnaście nie powieszono flagi. Na bramie namalowano krzyż.

Co prawda, czerwona flaga wysunęła się z otwartego okna pierwszego piętra - wywiesił ją emeryt Łożkin.

- Jak przyjdziecie na likwidację - krzyknął do staruszków - to najpierw zastukajcie do mnie! Zaprowadzę was do odpowiednich mieszkań.

- Dziękujemy, towarzyszu! - odkrzyknięto z ulicy.

- Zrozumiał pan wreszcie, że tortów już nie będzie? - zapytał Grubin malutkiego profesora.

Za oknem dał się słyszeć szum silnika. Grubin znowu wyjrzał.

To, co zobaczył, kompletnie go zaskoczyło - na ulicę wjechał i właśnie hamował przed domem stary, pamiętający pierwszą wojnę światową samochód opancerzony. Samochód zatrzymał się i zwrócił wieżyczkę z cekaemem w stronę okien Minca.

Podtrzymywany przez towarzyszy, na samochód wszedł kombatant z bródką w szpic.

- Przyjaciele! - zawołał. - Współbojownicy! Dla nikogo nie jest tajemnicą, gdzie mają swoje gniazdo najemnicy Zachodu masoni i demokraci wszelkiej maści! Już raz im się udało rozwalić Związek Radziecki! Teraz my ich rozwalimy.

Kombatant spadł z samochodu - był bardzo stary. Wieżyczka poruszyła się i ze złowieszczym skrzypieniem zaczęła obracać się w stronę domu numer szesnaście.

Na ten dźwięk profesor Minc błyskawicznie porzucił dziecinną beztroskę.

- Eksperyment zakończył się fiaskiem - oświadczył. - Podsadź mnie, Sasza.

Lew Chrystoforowicz wskazał rozpylacz stojący na górnej półce. Grubin chciał wziąć krzesło, ale było już za późno. Samochód pancerny puścił serię po oknach. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła, na podłogę poleciały próbówki, menzurki i buteleczki. Grubin padł w kałużę chemikaliów, przykrywając swoim ciałem małego Minca. Z sufitu posypał się tynk.

- Demokratów na szubienicę! - dobiegały z ulicy radosne okrzyki kombatantów.

- Co robimy? - zapytał Grubin.

- Pojęcia nie mam - odpowiedział Minc, wydostając się spod sąsiada. - Cała nadzieja w tym, że mój środek wkrótce wywietrzeje. A na razie ukryjmy się w przedszkolu.

- Nie mogliśmy zrobić nic głupszego - rzekł Grubin. - Tam w pierwszej kolejności będą szukać demokratów.

Hałas na ulicy nie ucichał.

- Słuchaj - powiedział mały Minc. - A gdybyśmy tak poszli na plac, pograli w piłkę?

- Ale władzę w mieście przejmą kombatanci!

- Bo tego chcą, a my czego chcemy?

- Ja osobiście... - Grubin zaczerwienił się nagle.
- Nie krępuj się - poprosił Minc.
- Chciałbym teraz wyjść na dwór! Pozbierałbym łuski po nabojach!
- A potem?
- Oddałbym je do skupu.
- A potem?
- Dostałbym za nie dużo pieniędzy.
- A potem?
- Kupiłbym dziesięć porcji lodów...

Minc milczał przez chwilę, rozważając ten pomysł. Wreszcie powiedział:

- Życie toczy się dalej! Dlaczego nie mielibyśmy pożyć jeszcze raz w komunizmie? Gdy lody były tanie...

I schylając się, żeby nie wpaść pod przypadkowe kule, chłopcy pobiegli na ulicę zbierać łuski.

1994

ODBICIE W LUSTRZE

Rozmowa zaczęła się banalnie - od psów.

Minc i Udałow siedzieli na ławce przed domem numer szesnaście, czując się jak starszankowie, chociaż oczywiście w duszy byli młodzi. I patrzyli, jak wnuczka Łożkina, Daszeńka, która przyjechała do Guslaru na wakacje, spaceruje ze swoim zgrabnym, niemal rasowym pieskiem. Była do niego bardzo podobna, tak samo zgrabna i też prawie rasowa.

- Ciekawe - powiedział profesor. - Jaki jest mechanizm wybierania psów przez ludzi?

Udałow, który rozumiał Minca w pół słowa, odparł:

- A może to psy dobierają sobie podobnych do nich właścicieli? Ponieważ rozmowa miała miejsce we wrześniu i okna były pootwierane, z parteru odezwał się Grubin:

- Myślę, że pies i jego pan muszą trochę razem pożyć, żeby się do siebie upodobnić.

Nie spierali się z nim. Tym bardziej że jakby na potwierdzenie tej koncepcji zza rogu wyłonił się chuligan Koroczkin, mięśniak, jak nazywała go przyciszonym głosem Daszeńka, drobny reketier i terrorysta, który niedawno nabył za dolary prawdziwego bulteriera - stworzenie niezwykle podobne do wielkiego, tłustego, koślawego szczura. Mówiono, że Koroczkin, znany w światku przestępczym Wielkiego Guslaru pod ksywą Szczur, chodzi ze swoim psem na operacje i ten zadusił już dwóch czy trzech graczy w lotto. Może nie w samym Guslarze, tylko na dworcu albo w Po-tmie. W każdym razie pies i jego pan byli do siebie bardzo podobni. Gdy już minęli rozmawiających, strasząc po drodze Da-szeńkę, Udałow nieśmiało rzucił w ślad za plecami Koroczkina:

- Jeden rzut oka na psa i od razu wiadomo, jaki jest jego właściciel. A pan mówi!... - Oczekiwał sprzeciwów, ale się nie doczekał.

Chwilę później ze swojego okna odezwał się Grubin:

- To nawet dobrze.

Udałow, który przeżył z Grubinem w jednym domu ponad dwadzieścia lat, wszystko zrozumiał i zaprotestował:

- W przypadku gdy wygląd zewnętrzny odpowiada zawartości, pies rzeczywiście może wiele powiedzieć o swoim panu. Ale zdarza się mnóstwo wyjątków. Idzie bolończyk, prowadzi bolończyka, a w środku - buldog morderca.

Zapadła cisza.

Na piętrze otworzyło się okno i stary Łożkin zawołał:

- Dasza, kolacja!

Dasza zastukała obcasikami, psina pazurkami. Trzasnęły drzwi i obie zniknęły na klatce. Łożkin powiedział:

- Największy problem ludzkości to niezgodność wyglądu zewnętrznego i wnętrza człowieka.

A więc słyszał całą rozmowę!

- Właśnie słuchałem w telewizji ministra, nie będę wymieniać nazwiska. Gada, uśmiecha się, spikerkę po tyłku głaszcze - a ja i tak wiem, że kłamie!

. - Akurat tam głaszcze! - zaśmiał się Grubin.

- W sensie moralnym. A ona merda ogonkiem.

- Zapewne sam siebie z boku nie widzi - powiedział Udałow. - Często tak bywa. Aż się człowiek

czasami dziwi - no i jak możesz nie widzieć, co z ciebie za łajza!

- A co robić? - zapytał Minc, do tej pory milczący w napięciu, co u niego świadczyło o intensywnej pracy umysłowej. - Jak odgadnąć prawdziwą twarz? Po psie?

- Wspaniała myśl! - dobiegł z góry głos Łożkina. - Widzę charta i właściciela z miejsca do paki!

- Nie o to mi chodzi - sprzeciwił się Minc. - Chciałem zwrócić waszą uwagę na nieścisko wniosków, jakie można wyciągnąć z naszych obserwacji. Ludzkość od wieków próbuje znaleźć sposób określenia umiejętności i skłonności człowieka po cechach formalnych. Jedni wyszukiwali przestępców po kształcie czaszki, inni geniuszy po charakterze pisma, jeszcze inni określali charakter człowieka za pomocą gwiazd.

- Dobrze wam mówić, uczonym - odezwał się Łożkin. Powiedział to specjalnie, chciał, żeby mu zaprzeczono, bo sam uważał siebie za człowieka wykształconego. Swego czasu, gdy jeszcze w ręce mógł utrzymać pióro, napisał немало skarg do czasopisma „Znanje - siła”. Niektóre nawet wydrukowano.

Ale nikt mu nie zaprzeczył, nikt nie zawołał: „Jak możesz tak mówić, dziadku Mikołaju! Ty, nasz główny uczonek!”

- Pewnie, łatwiej byłoby żyć - powiedział Udałow - gdyby, każdemu człowiekowi dać twarz odpowiadającą jego postępowaniu i psychice. Spojrzysz na człowieka i od razu przechodzisz na drugą stronę ulicy. Bo zobaczyłeś nie twarz, ale mordę bandziora.

- Interesujące zadanie - powiedział w zadumie Minc. Tak jakby to zadanie zadano jemu i właśnie szykował się je rozwiązać.

- Ale jak to osiągnąć? - myślał na głos Grubin, który też był wynalazcą, i to całkiem niezłym.

- Wstrzyknąć! - nie wytrzymał Łożkin. - Każdemu wstrzyknąć środek od kłamstwa. A tak to idzie sobie taki i się uśmiecha, choć przed chwilą własną ciotkę udusił.

- Nie uda się - powiedział Minc po zastanowieniu. - Ludzie są dużo bardziej skomplikowani, niż nam się wydaje. Człowiek to cały świat. Teraz może być złodziejem, a za chwilę wyciągnie dziecko z przerębli albo skoczy ratować ludzi z płonącego mieszkania.

- Ale i tak jest to zadanie dla geniusza - podkreślał sąsiada Udałow, który pomyślał, jak by to było wspaniale, gdyby przyszedł do domu, a Ksenia ma wszystko wypisane na twarzy i nic nie trzeba zgadywać. Zdążyłby zapobiec rodzinnemu konfliktowi.

- Jeśli ma pan na myśli mnie, to nie pretenduję do wyjątkowości - odparł skromnie Lew Chrystoforowicz. - Zawsze z wdzięcznością wspominam moich nauczycieli, Newtona i Einsteina.

- Nie ma ich wśród nas - powiedział Grubin.

- Naprawdę? - zapytał z roztargnieniem Minc. Nieoczekiwanie wstał i szybko poszedł do siebie. Myśleć - Tworzyć. Próbować. Na nieszczęście bądź szczęście ludzkości.

Przez trzy dni nikt Minca nie widział. Sąsiedzi, wiedząc, jakie naukowe ciągi zdarzają się profesorowi, stawiali przed Drzwiami mleko, chleb i pepsa. Minc instynktownie otwierał drzwi i brał to, co mu przynoszono. Nawet tego nie zauważając.

Czwartego dnia z rana włączył radosną muzykę Haydna, otworzył okno, potupał trochę - czyli robił gimnastykę, wypił przyniesione przez Ksenię mleko i odwiedził Udałowa. Korneliusz dopiero co wyszedł z łazienki, ogolony i w dobrym nastroju.

- Korneliuszu, zdaje się, że rozwiązałem problem - powiedział Minc.

- Prawdziwej mordy? - domyślił się Udałow.

- Albo prawdziwej twarzy.

- Niech pan wejdzie. Ksiusza, przyniesiesz kaszy Lwu Chrystoforowiczowi?

- Niosę! - odkrzyknęła Ksenia. - Z mlekiem czy z konfiturą?

- Z miodem - odpowiedział profesor i kontynuował, zwracając się do Udałowa: - Poszliśmy niewłaściwą drogą. Drogą pozbawioną paradoksów. Chcemy zobaczyć prawdziwą twarz człowieka. Ale po co?

- Żeby człowiek stał się lepszy - odpowiedział bez wahania Udałow. - Albo żeby go zatrzymać i oddać w ręce milicji.

- Właśnie twoja pierwsza odpowiedź, Korneliuszu, mnie ucieszyła. A druga zmartwiła. Chcemy zobaczyć prawdziwą twarz człowieka po to, aby zmniejszyć na naszej planecie liczbę przestępstw i złych uczynków, wykorzenić niesprawiedliwość i okrucieństwo. W tym celu człowiek musi zobaczyć samego siebie!

- Nie rozumiem - powiedział Udałow.

Minc bez pośpiechu poskrobał łyżką po talerzyku, zebrał miód z kaszy i włożył do ust.

- Gdy człowiek zobaczy własną twarz, będącą odbiciem jego wnętrza, przerazi się i wykrzyknie: „Co ja narobiłem!”. Każdy z nas żyje z samym sobą i dlatego wychowanie człowieka przenoszę na poziom indywidualny.

Udałow nic nie rozumiał.

- Siedź, zawołam cię - polecił Minc.

Wstał od stołu, podszedł do szafy, w której na jednych drzwiczkach zamontowane było lustro, wyjął z kieszeni puderko z jakąś mazią i watkę. Następnie, potrząsając pudełeczkiem, żeby maź spłynęła na watkę, zaczął pocierać nią lustro.

Gdy już skończył, powiedział:

- A teraz poczekamy, aż przeschnie.

Korneliusz Iwanowicz udawał, że niczemu się nie dziwi, mimo że nie przestawał dziwić się genialności Minca. Zaczął pić herbatę.

- Już, gotowe.

- Co gotowe?

- Prawda, Korneliuszu. Podejdz do lustra. Korneliusz posłusznie wstał i podszedł do lustra.

I nic szczególnego nie zobaczył. Pół godziny wcześniej tę samą twarz oglądał w łazience, w tamtym lustrze.

- Nic szczególnego nie widzę - oznajmił. - Zapewne eksperyment się nie udał.

- Czego należało dowieść! - odpowiedział profesor. - W tej chwili twoja twarz w zupełności odpowiada twojemu wnętrzu.

- A co dalej?

- A dalej chciałem ci powiedzieć, że widziałem wczoraj na ulicy Batyjewa. Wrócił do Guslaru i krążą plotki, że mają go mianować na przewodniczącego Rady Miejskiej, na miejsce Koli Białosielskiego.

- Co?! - wykrzyknął Udałow. - To niemożliwe!

- Przejrzyj się teraz w lustrze! - polecił Minc.

Udałow odwrócił się w stronę lustra i przeżył wstrząs. Z lustra spoglądało na niego dziwne zwierzę, w dużej mierze przypominające Udałowa - na przykład łysiną i kolorem wianuszka włosów dookoła niej. Ale jego uszy stały wysoko, na twarzy nie wiadomo dlaczego rosła sierść, a górna warga była rozszczepiona. Udałow zobaczył siebie jako zająca, co prawda zająca z wyszczerzonymi groźnie zębami, które klóciły się z resztą obrazu.

- Kto to jest? - zapytał Udałow.

- Kto to jest? - zapytało jednocześnie zwierzę w lustrze.

- To ty, Korneliuszu - odpowiedział Minc. - To twoja prawdziwa istota w danej chwili. Moja

wiadomość o Batyjewie przestraszyła cię i przemieniła wewnątrz w strachliwego zajęczka, cała agresja zaś skoncentrowała się w zębach - w ten sposób otrzymaliśmy zajęca, który będzie gryźć aż do ostatniego naboju.

- To ja?

Nie warto było odpowiadać - wizerunek zajęca rozpląnął się powoli i z lustra spoglądał znowu Korneliusz Udałow.

- A teraz niech pan się pokaże - poprosił Udałow profesora. Potrzebował czasu, żeby uświadomić sobie wielkość wynalazku.

Minc spokojnie podszedł do lustra.

Korneliusz zobaczył twarz profesora. Ale wokół jego głowy jaśniały promienie, które sprawiły, że w pokoju po tamtej stronie lustra było dużo jaśniej niż w pokoju Udałowa.

- A to co? - zapytał Udałow.

- Myślę, że to odblask mojej genialności - odpowiedział profesor i jego odbicie się nadęło, przeobrażając się w gigantyczny balon. Balon zaczął się kołysać, próbując oderwać się od ziemi.

- Ma pan o sobie wysokie mniemanie, prawda? - zapytał Udałow, domyśliwszy się przyczyny tej metamorfozy.

- Tak naprawdę to nic szczególnego nie wynalazłem - odpowiedział szybko profesor i od razu zaczął wyglądać normalnie. Nawet nimb wokół jego głowy przygasł.

- Dziękuję, Lwie Chrystoforowiczu - powiedział Udałow. - Myślę, że od dzisiaj ludzkość rozpocznie nowe życie. Ma pan jeszcze trochę tej mazi?

- Chcę jej wyprodukować dużo. Im więcej luster prawdy, tym wyższy poziom moralny mieszkańców miasta.

Profesor posmarował lustro w łazience, tremo w sypialni i lustro w przedpokoju. Gdy wrócił do pokoju, przyjaciele zaczęli rozpatrywać możliwości wielkiego wynalazku.

- Trzeba by posmarować lustra w miejscach publicznych - myślał na głos Udałow.

- W naszym mieście nie ma luster w miejscach publicznych - powiedział profesor. - Trudno znaleźć takie, w którym wszyscy by się przeglądali.

- A gdyby je postawić? - zapytał Udałow. - Kiedy gdzieś przychodzisz, na przykład na zebranie emerytów, przejrzyj się najpierw w lustrze. I jeśli zobaczysz coś niewłaściwego, wracaj do domu, nie psuj ludziom nastroju. Mech wszędzie zawisną lustra!

Wtedy dobiegł ich dziki krzyk.

Rzucili się do łazienki i w drzwiach wpadli na Ksenię. Była blada jak ściana, ręce jej się trzęsły i przez ramię próbowała pokazać lustro.

- Tam... tam... - mamrotała nieszczęsna kobieta. - Tam jest potwór...

Udałow wszystko zrozumiał.

- O czym myślałaś, gdy przeglądałaś się w lustrze?

- Ja... o niczym nie myślę, jak się przeglądam w lustrze! - Ksenia nerwowym ruchem poprawiła spadający pukiel włosów.

- A teraz myślałaś?...

- No, tylko o tej...

- O kim?

- O kim, o kim! O Wandzie! Wczoraj przywieźli im argentyńskie indyki, tanie, z sosem. A czy ona dla mnie odłożyła? Może mi powiesz, dlaczego dla mnie nie odłożyła?

- Wszystko jasne - stwierdził Udałow. - Wynalazek działa. I opowiedział wstrząśniętej Kseni o czarodziejskiej mazi. Ksenia była szczerze zachwycona. Co prawda, jej zachwyty miał bardzo

egoistyczne źródło. Jego istota sprowadzała się do zdania: „No, teraz wreszcie przejrzą wasze machinacje!”.

* * *

Mikołaj Białosielski wykorzystał wynalazek w praktyce. Po pierwsze, wydał polecenie, aby milicja ustawiła lustro na przystanku autobusowym, w restauracji „Złota Gęś” i przed wejściem do parku. Przy lustrach mieli stać milicjanci z notesami i zapisywać wyjątkowo nieprzyjemne odbicia. Rzecz jasna, milicjanci postawili jeszcze jedno lustro na komendzie, a Białosielski u siebie w poczekalni, na stole. Dzięki temu w ciągu dwóch dni wyszło na jaw wiele przestępstw, perfidnych planów i złych zamierzeń.

Trzeciego dnia zwykły potok petentów do Białosielskiego wysechł. Okazało się, że ludzie wcale nie mają ochoty przeglądać się w lustrze, które pokazuje im różne mordy.

Kryzys nastąpił, gdy do Białosielskiego przyszła Masza Diuszy, kobiecina cicha, niezauważalna i nieszkodliwa. Prosiła o przyznanie jej zapomogi jako samotnej matce. Białosielski, zanim zaczął rozmowę, nacisnął przycisk i połączył się z sekretarką. Ta umówionym szyfrem zameldowała:

- Katastrofa!

Oznaczało to skrajny stopień zezwierżenia na twarzy Maszy Diuszynej.

Kierując się tym obiektywnym sposobem zagładania do ludzkiej duszy, Białosielski zjeżył się wewnątrz, szykując do odmowy. Na wszystkie jego pytania Masza odpowiadała nieśmiało, cicho i łagodnie. Ale Białosielski rozumiał, że ma do czynienia ze szczególnie przebiegłą i zamkniętą kanalią. Odmówił i odprowadził płaczącą Diuszynę do poczekalni, ciekaw, co też się odbije w lustrze.

W lustrze odbiło się kruche stworzonko, motylek z połamanymi skrzydełkami, bezradnie pełzający w kałuży...

- Niech pani poczeka! - krzyknął Białosielski, rozumiejąc, że popełnił tragiczną pomyłkę.

W tym momencie odbicie się zmieniło. Przerażająca twarz mordercy zajęła całe lustro.

- Niech pani poczeka! - powtórzył Białosielski, ale już innym tonem: - O czym pani teraz pomyślała?

- Nienawidzę ich - powiedziała Masza Diuszyna. - Gotowa jestem je wszystkie pozabijać! - Wskazała karalucha, który spokojnie szedł po listwie.

Wtedy Białosielski zaprosił Diuszynę z powrotem do gabinetu, wypisał jej czek i zamyślił się głęboko. I zrozumiał, że do wynalazku Minca trzeba podchodzić ostrożnie. Niewykluczone, że z jego powodu w mieście może dojść do tragicznych pomyłek i nieporozumień.

Poprosił sekretarkę o zdjęcie lustra. Po pracy pojechał do swojego przyjaciela, którego rodzinę lubił za ciepło i wzajemną miłość.

Od razu przy wejściu zobaczył, że lustro w przedpokoju jest rozbite, a jego kawałki zmieciono w kąt.

- Dzień dobry - powiedział, udając, że nic nie zauważył. - A gdzie Bella?

- Dzięki tobie Bella wyjechała do swojej mamy.

- Co takiego?

- Spojrzała na lustro, gdy się goliłem i myślałem o palestyńskich ekstremistach, którzy wczoraj porwali samolot z zakładnikami.

- I co?

- Powiedziała, że z mordercą mieszkać nie będzie.

- Kto rozbił lustro w gościnnym? - zapytał Białosielski, wchodząc do pokoju.

- To się stało dzisiaj rano - odpowiedział przyjaciel. - Wybierała się do mamy, a telewizor był włączony. A tam w serialu grał ten, no... wąsaty Pedro!

- Ico?

- Patrząc, a w lustrze ona jest nago i biegnie do łóżka. Powiedziałem jej wtedy, że dobrze robi, że jedzie do mamy.

Przed świtem dnia czwartego wszystkie lustra w Wielkim Guslarze były rozbite. Nawet na milicji - za sprawą naczelnika komendy majora Pronina, który zobaczył się w momencie, gdy niepokoił się o los drużyny piłkarskiej „Guslar”, bo groził jej spadek w tabeli.

Minc, gdy rozpatrywał ten problem z Udałowem, powiedział:

- Mój wynalazek sam w sobie jest genialny. Ale nie bierze pod uwagę tego, że człowiek nieadekwatnie reaguje na różne wydarzenia. Może wyglądać jak potwór, chociaż pomyślał tylko o psie sąsiadów, który nieustannie szczeka na podwórku, i obojętnie przyjąć wiadomość o trzęsieniu ziemi w sąsiednim mieście. Rozumiesz?

- Ico zrobimy?

- Przekażemy lustro śledczym, uprzedzając ich, żeby byli ostrożni.

- A w mieście?

- W mieście wymyślimy coś innego.

Poszedł do siebie. Oczywiście, u niego też wszystkie lustra były rozbite - duże przez syna Maksyma, a to w łazience - przez Ksenię.

Przypomniał sobie, że na strychu powinno być jeszcze jedno stare lustro, posmarowane przez profesora Minca na wszelki wypadek.

Wszedł na strych. Z kąta, w którym stało oparte o ścianę lustro, dobiegł ryk, przerażający ryk dzikiego zwierza. Udałow zmrużył oczy, wpatrując się w to coś w półmroku, i nie mógł się nie roześmiać.

Przed lustrem siedział kot Wąska. U jego łap leżała zduszona mysz.

W lustrze odbijał się potężny tygrys bengalski, przygniatający łapą drżącą Ksenię ze szczotką w ręce.

1994

PRZYBYSZE NIE DO NAS

Gdy stary Łożkin, zasłużony emeryt Wielkiego Guslaru, zapukał do Korneliusza Iwanowicza, ten właśnie kończył kompot „Owoce Honolulu”. Rozleniwiona Ksenia kupiła go w sklepie „Almaviva”, otworzonym przez małżeństwo Sawiczów na placu Pionierów. W zeszłym roku placowi przywrócono historyczną nazwę Bydłęcy Wygon, jednak mieszkańcy Guslaru ciągle nie mogli do niej przywyknąć. Reinkarnacja pradawnych wartości nie jest łatwa.

- Korneliuszu - powiedział Łożkin - znowu przylecieli.

- Kto przyleciał? - zapytał Korneliusz. - Obcy.

- Jak wyglądają?

- Nie wiem.

- Dlaczego? Niewidzialni?

- Nie, tylko z jakiegoś powodu nie lądują. Już pół godziny krążą nad placem i nie lądują.

- A jak ja ci mogę pomóc? - zapytał Korneliusz.

- Nie mnie, tylko całej ludzkości. Jak mamy nawiązać z nimi kontakt? Może trzeba zapobiec konfliktowi? Może szykują się do inwazji? Korneliusz westchnął ciężko, odłożył łyżkę.

- Niepotrzebnie rozpieszczasz się artykułami zagranicznymi - zauważył Łożkin. - Jak się skończą, będzie ci trudno.

Korneliusz nic nie odpowiedział sąsiadowi, tylko krzyknął do żony:

- Ksiusza, wychodzę na minutkę! Popatrzę na niebo i wracam.

Wyszli na podwórko. Udałow spojrział w górę. Rzeczywiście, ponad żółknącą koroną lipy widać było brzeg wiszącego nad miastem statku kosmicznego.

- Spory - powiedział Udałow. - Dawno takiego nie widziałem.

- Może to najeźdźcy - odpowiedział Łożkin.

- Wołaj Grubina - polecił Korneliusz. W trudnych sytuacjach w tym niemłodym, pulchnym, łysawym mężczyźnie budził się Napoleon, zawsze gotów przyjąć ogień na siebie.

Łożkin podbiegł do uchylonego okna na parterze i zaczął wołać Aleksandra Grubina - dla przyjaciół ciągle jeszcze Saszę. Ten długo się nie odzywał. Okazało się, że są u niego dobroczyńcy, których w większych miastach, ulegających zagranicznemu wpływowi, nazywa się sponsorami. Dobroczyńcami byli: były redaktor gazety miejskiej Malużkin i Kozuszniczka Głasza - poseł nielicznego leśnego narodu Kozuchów, występującego w okolicach Wielkiego Guslaru. Wspólnie utworzyli przedsiębiorstwo wydobywcze „Głębia - Guś”, subsydiujące przyszły lot Saszy Grubina balonem dookoła świata. Na balonie rękami dziewcząt z technikum odzieżowego wyhaftowano metrowymi literami hasło: „Głębia - Guś! I wszystko od razu prostsze!”

- Co się stało? - zapytał Sasza Grubin, wysuwając przez okno posiwiałą, ale ciągle jeszcze bujną czuprynę. - Co mogło przywieść tu moich przyjaciół w czasie przerwy obiadowej?

Na ten żart wszyscy się roześmiali. Przestali się śmiać, gdy Udałow powiedział:

- Ale popatrzeć na niebo to już nie łaska!

- Co się stało? - z tym pytaniem dobroczyńcy i Grubin wybiegli na podwórko. Zobaczyli statek

kosmiczny obcych.

- Przybysze - powiedziała Głasza, kobieta o wystających kościach policzkowych.

- Jeśli to rzeczywiście przybysze, a nie zamaskowana inspekcja podatkowa - odpowiedział ostrożny i podejrzliwy Malużkin.

- Przybysze - powiedział Udałow z przekonaniem. - Inspekcja podatkowa jeszcze nie dysponuje takimi statkami.

- Na własne oczy widziałem, jak przyleciał! - poparł Udałowa Łożkin. - Najpierw wyglądał jak gwiazdka, a potem zamienił się w talerz.

Rozmawiając, przeszli na środek podwórka, żeby lepiej obejrzeć statek.

Był to dysk, najwyraźniej olbrzymich rozmiarów, co podkreślały trzy rzędy okrągłych iluminatorów, oraz rozliczne nadbudówki na powierzchni.

- No cóż - powiedział Udałow. - Sasza, nawiąż łączność na fali galaktycznej.

Galaktyczny nadajnik stał u Saszy na biurku i gdy pojawiała się konieczność porozmawiania o czymś z kosmosem, Sasza zawsze go udostępniał.

Udałow towarzyszył Grubinowi, ale pozostałych poprosił o pozostanie na podwórku, żeby nie robić tłoku. Nikt nie odważył się sprzeciwić, mimo że oczywiście każdy miał ochotę posłuchać kosmitów - po co przylecieli, jakie mają plany, czy chcą podbić Ziemię, czy przeciwnie, proponują przyjaźń.

U Grubina w dużym pokoju, pełnym przyrządów i książek, panował nieporządek i półmrok. W dodatku widzowie sterczeli przy oknie i zasłaniali światło.

Grubin szybko odnalazł na ekranie pulsowanie odpowiadające gościowi z kosmosu i gdy stało się wyraźniejsze, wezwał statek na odpowiedniej długości fali.

- Odezwijcie się! - powiedział. - Po co przylecieliście? Statek nie odpowiadał.

- Powtarzam! - nie poddawał się Grubin. - My, mieszkańcy wolnej planety Ziemia, nalegamy na odpowiedź.

- Jak będzie trzeba, to odpowiemy - usłyszeli w głośniku gruby głos, mówiący z nieznanym akcentem. - Na razie musimy się zorientować.

- W czym? - zapytał Udałow. Odpowiedzią było milczenie.

Nic więcej nie udało się z gościa wydobyć.

Straciwszy nadzieję na nawiązanie kontaktu, Grubin i Udałow wyszli na dwór. Pozostali milczeli, nie śmiejąc naruszyć toku myśli Korneliusza Iwanowicza.

- Trzeba będzie polecieć - oświadczył w końcu.

- Tak - zgodził się Grubin. - Trzeba będzie.

Głasza, gdy zorientowała się, że mają zamiar użyć balonu reklamowego, zaczęła protestować, ale Malużkin ją powstrzymał.

- To w interesie ludzkości - powiedział. - Musimy zaryzykować.

- A jeśli go zestrzelą? - zapytała Głasza.

- Wtedy cała Galaktyka zobaczy naszą firmę - odpowiedział Malużkin. - Wielkimi literami w językach płomieni.

- Opamiętaj się! - zachnął się Łożkin. - Na pokładzie będzie nasz człowiek!

- Wszystko skończy się dobrze, chciałem powiedzieć - poprawił się od razu Malużkin i uśmiechnął się bezmyślnie. Tak właśnie uśmiechają się milicjanci, gdy zostaną przyłapani na okłamywaniu ludu pracującego.

Wszyscy razem poszli na pole za cerkwią Paraskewy Piatnicy, gdzie w pustym garażu trzymano balon. Statek kosmitów przez cały czas wisiał pośrodku nieba, niczym nie promieniował i nie dawał żadnych oznak życia. Wielu mieszkańców miasta miało parszywe uczucie, że chodzą pod nawisem skalnym, gotowym zawalić się przy byle powiewie wiatru. Ale ludzie w Wielkim Guslarze przyzwyczaili się do wielu rzeczy, dalej spokojnie chodzili po ulicach, dzieci biegały do szkoły, a matki przygotowywały się do porodów.

Czaszę balonu sprawnie rozłożono na trawie, przeganiając ludzi spacerujących tam z psami. Przyniesiono palnik i balon zaczęto nadmuchiwać. Ponieważ balon przestał już być dla mieszkańców miasta atrakcyjną nowością, zwracano nań tyleż uwagi, co na latający talerz.

Do kosza weszli Udałow i Grubin. Łożkin też koniecznie chciał wsiąść, ale nie pozwolono mu ze względu na podeszły wiek.

* **

Jesień była wczesna, ciepła, zwana w naszych stronach babim latem. Nie było zimno nawet na dużej wysokości.

Udałow patrzył w dół, na rodzinne miasto, którego panorama, rozszerzając się stopniowo, rozpościerała się pod nogami. Ulice z każdą sekundą stawały się węższe, domy niższe i ciaśniej stłoczone, do miasta zbliżyły się lasy i zarośla za rzeką...

Zadumany nad względnością życiowych wartości usłyszał nagle okrzyk Grubina:

- No nie, popatrz tylko!

Udałow obejrzał się. To, co zobaczył, wstrząsnęło nim tak samo jak jego towarzyszem.

Okazało się, że dolecieli do statku kosmitów dużo szybciej, niż myśleli. Statek wisiał nie pod samymi chmurami, jak wydawało się obserwatorom z ziemi, ale nieco powyżej cerkiewnej dzwonnicy. I tylko dlatego że na niebie nie było innych przedmiotów, z którymi można go było porównać, wydawał się tak gigantyczny. Co prawda, i tak był trzy razy większy od balonu firmy „Głębia - Guś”. Ale gdyby pół godziny temu zapytano Udałowa o rozmiary statku, odpowiedziałby, że jest kilka razy większy od boiska piłki nożnej.

Próbował zwrócić na siebie uwagę kosmitów, machając rękami i krzycząc. Nie doczekał się jednak odpowiedzi ze statku, mimo zapewnień Grubina, że widzi w iluminatorach miniaturowe główki kosmitów przyglądających się balonowi.

Balon miał małą możliwość manewru i dlatego nie udało się oblecieć statku przybyszów dookoła. Wzlecieli nieco wyżej, popatrzyli z góry na anteny i systemy obronne statku, mając jednocześnie nadzieję, że poczynania balonu nie zostaną uznane za wrogie - rakiety i armatki statku były wprawdzie niewielkie, ale zabić można nawet igłą.

Pokręcili się trochę wokół tajemniczego przybysza i opuścili się w dół. Wkrótce potem bez specjalnych przygód wylądowali na polu.

- No i co?! Żyjecie? - z tym okrzykiem Głasza rzuciła się do balonu i zaczęła głaskać jego kosz. Chyba straciła już nadzieję, że dostanie swoją własność z powrotem.

- Co powiedzieli? - zapytał Łożkin.

- Milczą - odpowiedział Udałow.

- Kiepska sprawa - powiedział Łożkin. - Trzeba powiadomić obronę przeciwlotniczą.

- Poczekaj - odpowiedział Udałow. - Coś tu się nie zgadza z rozmiarami.

I opowiedział, że statek jest obliczony nie na ludzi, tylko na niewielkie istoty, najwyżej trzycentymetrowe, mniejsze od myszy, wielkości ołowianych żołnierzyków.

Ta informacja zmusiła wszystkich do zastanowienia. Oczywiście, kosmos pełen jest tajemnic i zagadek, ale w okolicach Ziemi nigdy wcześniej takich liliputów nie spotykano.

- To co robimy? - zapytał Malużkin.

- Czekamy - odpowiedział twardo Udałow. W jego głowie już ukształtował się podpowiedziany przez życiowe doświadczenie plan.

Udałow podzielił się nim tylko z Grubinem - potrzebował pomocnika.

- Sasza - wyjaśniał sytuację Grubinowi - przecież oni nie przylecieli ot, tak sobie. Gdyby przylecieli bez żadnego celu, trochę by pokrażyli, porobili zdjęcia, pogapili się i wrócili do domu. A ci wiszą tu już drugą dobę, wiele osób ma ich dosyć. Czyli muszą coś planować.

- Masz rację, Korneliuszu - zgodził się Grubin.

- A skoro planują, to znaczy, że nawiążą kontakt.

- Jasne.

- I nasze zadanie polega na tym, żeby dowiedzieć się, kto się z nimi skontaktuje. Jeszcze nie wiadomo, co z tego może wyniknąć.

Grubin przyznał Udałowowi rację, obaj przyjaciele zaopatrzyli się w lornetkę i zmieniając się co sześć godzin, zaczęli obserwować statek z dachu domu numer szesnaście, mając nadzieję, że dyżury nie potrwają długo i skończą się, zanim nadejdą jesienne chłody, a przede wszystkim zanim wyczerpie się cierpliwość zazdrosnej Kseni.

Pomysł Udałowa przyniósł efekty już drugiej nocy. Dając odpór kolejnej kontroli Kseni, która w głębi duszy była przekonana, że Udałow łązi na dach na spotkania z Rimką, Korneliusz znowu spojrział w lornetkę i zobaczył, jak od statku odrywa się niewielki okrągły przedmiot i powoli, lotem ślizgowym zmierza ku ziemi.

Obeznanym z kosmicznymi sprawami Korneliusz od razu rozpoznał kuter. A więc miał rację! Przybysze nawiązali kontakt!

Wypatrzył, gdzie wylądował kuter - sklep spożywczy numer dwa „Delikatesy”. Zszedł schodami pożarowymi i zastukał do okna Grubina.

Grubin spał w ubraniu - od razu wyskoczył przez okno i pobiegł za Udałowem.

Spóźnili się mimo pośpiechu.

Sklep był oczywiście zamknięty, a stróż twardo spał. Nie było sensu go budzić. Udałow postanowił obejść sklep dookoła, mając nadzieję, że albo znajdzie kuter, albo wypatrzy miejsce, przez które mógł przeniknąć do wewnątrz. Znalazł.

Na podwórku na tyłach sklepu, w jednej z drewnianych, rozrzuconych po asfalcie skrzynek bez wieka, stał poszukiwany kuter. Niestety Udałow nie od razu się domyślił, że skrzynka może być kryjówką, i stracił ze dwie minuty. Stał na podwórku i rozglądał się, gdy ze skrzynki wyleciała matowa kula i nabierając prędkości, pomknęła w górę.

- Stój! - krzyknął w ślad za kutrem Grubin. Udałow w milczeniu rzucił się do skrzynki. Myślał, że zobaczy tych, z którymi kontaktowali się przybysze. Znowu się spóźnił.

Skrzynka była pusta. Tylko karaluchy rozbiegły się po kątach pod groźnym wzrokiem Korneliusza Iwanowicza.

Nic nie wskórawszy, Grubin z Udałowem wrócili do domu. Nie było sensu dłużej siedzieć na

dachu. Przybysze zrobili już, co mieli zrobić, ale co to było - nie wiadomo.

* * *

Sytuacja wyjaśniła się nieco następnego dnia rano, dzięki Kseni Udałowej. Korneliusz właśnie jadł jajecznicę. Ksenia zdążyła już być w sklepie i na bazarku, a więc miasto nie miało przed nią tajemnic.

- I co, niepotrzebnie siedziałeś na dachu - stwierdziła jadowicie.

- Niezupełnie - odpowiedział niewyspany Udałow. - Jednostronny kontakt został jednak nawiązany, obserwowaliśmy ich i wyśledziliśmy miejsce lądowania. Na podwórku za sklepem.

Udałow nigdy i niczego przed Ksenią nie ukrywał. I mimo że mało interesowały ją kosmiczne zagadnienia, jak na przeciętną mieszkankę Guslaru była dość dobrze poinformowana.

- Nikogo nie widzieliście?

- Oprócz karaluchów nikogo - przyznał się Korneliusz. - Nici.

- Otóż to - powiedziała Ksenia. - Ludzie mówią to samo.

- Co ludzie mówią? - zapytał czujnie Udałow. Zawsze interesowała go opinia publiczna, która choć skłonna do robienia z igły wideł, rządzi się jednak pewnymi prawami i często zaskakuje celnymi wnioskami.

- Zgadzą się z tobą - odparła Ksenia.

- Nic takiego nie powiedziałem, żeby się ze mną zgadzać.

- Powiedziałeś, kochany, powiedziałeś. Powiedziałeś, że ci twoi przybysze - w tym momencie wskazała palcem sufit, przypominając, że statek malutkich przybyszy ciągle jeszcze wisi nad miastem - przylecieli do karaluchów.

- Co?

- Wszyscy już o tym wiedzą.

- Zwariowałaś! Po co im karaluchy?

- Krewniacy - odpowiedziała Ksenia. - Jedna rasa. Jedna kategoria wagowa.

- Nie! - krzyknął Udałow. - To niemożliwe! Przecież karaluchy są nierozumnymi owadami!

- Tak sądzisz? A dlaczego w takim razie żyją na nasz koszt i nie można ich w żaden sposób wytępić? Dlaczego w walce z karaluchami człowiek zawsze ponosi klęskę?

Ksenia przyjęła pozę oratora. Jej słowa zabrzmiały bardzo uroczyście.

- Od razu tam klęskę... - powiedział niepewnie Udałow.

- Teraz nie będziesz już miał wątpliwości. Ci z góry przylecieli specjalnie po to, żeby obronić karaluchy przed naszymi szykanami, przed wytępieniem. Na skutek złożonej przez karaluchy skargi.

- No, to już jest...

W tym momencie spojrzenie Korneliusza padło na nieduże czarne stworzenie, stojące na wałku od kanapy i wodzące w powietrzu przednimi łapkami. To był wielki okaz karalucha. Udałow nawet w kuchni rzadko takie widywał, a już żeby coś tak niesympatycznego odważyło się pokazać w biały dzień w pokoju - to było nie do pomyślenia!

- A to co ma znaczyć?! - Korneliusz rozglądał się, czym by tu zrzucić na podłogę i rozgnieść odwiecznego przeciwnika człowieka, ale Ksenia zorientowała się, w czym rzecz, i zawisła mu na ręce.

- Korneliusza, opamiętaj się! - zawołała. - Pomyśl o wnukach.

- Czego się przestraszyłaś? - zdziwił się Udałow. Przywidziało mu się, że karaluch, którego gwałtowne ruchy w ogóle nie przestraszyły i nie skłoniły do ucieczki, lekko się uśmiecha. Nawet

przygładził wąsy przednią łapką!

- No to chociaż zrzucę go z kanapy - powiedział Korneliusz poddając się.

- Jak zechcą, to sami odejdą - powiedziała Ksenia o karaluchu, tak jak się mówi o zbzikowanym hrabim, którego nie należy złościć i denerwować.

- Co to za bzdury?! - zapytał groźnie Udałow, odwracając się od kanapy i bezczelnego karalucha.

- Ludzie mówią - odpowiedziała Ksenia. - Ludzie nie kłamią.

- I co oni tam jeszcze mówią?

- Mówią, że karaluchy się zjednoczyły i wysłały do swoich braci list, że my, ludzie, gnębimy je i zabijamy. I że w związku z tym proszą o pomoc.

- A ci od razu przylecieli! - głos Udałowa ociekał sarkazmem.

- Przylecieli - odpowiedziała spokojnie Ksenia, zbierając okruszki, przesypując je na spodeczek i polewając konfiturą. - I to nie tylko do Guslaru. Mówi się, że wiszą już nad wszystkimi miastami na Ziemi. I że wkrótce ukaże się zarządzenie, że ludzie mają oddać władzę karaluchom i we wszystkim się im podporządkować. Żeby ludzie je kochali, karmili i tak dalej.

- Co „i tak dalej”? - zapytał przygnębiony Udałow.

- A to już nam powiedzą same karaluchy - wyjaśniła Ksenia. - Ludzie mówią, że będą brać nasze dziewczęta do haremów, a nas zaprzęgać w ichnie karety. Poza tym trzeba będzie z nimi spać, ponieważ karaluchy lubią ciepło ludzkiego ciała.

- Tego jeszcze brakowało! - Korneliusz rozgniewany odwrócił się do karalucha, ale ten nie był już sam. - Na wałku siedziało i stało około dwudziestu sztuk.

Udałow nie zdążył się nawet do nich zbliżyć, gdy Ksenia czułym głosem powiedziała:

- Chodźcie, moje malutkie, moje kochane, zjedzcie sobie, posilcie się.

I Udałow z przerażeniem patrzył, jak karaluchy przebiegły po podłodze, wspięły się po nodze od stołu, otoczyły spodeczek z okruszkami i zaczęły spokojnie zajadać.

Z obrzydzeniem pogroził karaluchom pięścią i zobaczył, że największy z nich też pogroził mu łapką.

Karaluchy, które rozumiały, że historyczna sprawiedliwość, tak jak ją pojmowały, zatriumfowała i teraz one i ludzie zamienili się miejscami, w ciągu kilku zaledwie minut wyszły ze wszystkich kryjówek i ciemnych miejsc. Bezczelnie pchały się do punktów zbiorowego żywienia, do stołówek, restauracji „Złota Gęś”, do kawiarni, a nawet do bufetów służbowych, wszędzie domagając się lepszego jedzenia i przejawiając ogromny apetyt.

Gdy Udałow przyszedł do Koli Białosielskiego, żeby zapytać o radę - co robić, jak dalej żyć pod panowaniem karaluchów i czy nie można by poprosić centrali o dywizję raketową, delegacja składająca się z kilku wielkich karaluchów właśnie wystawiła Białosielskiego z gabinetu, informując go, że jest na ich czarnej liście i dlatego od dziś ma tutaj wstęp wzbroniony.

- Liczę - powiedział Białosielski, stojąc na schodach - że sprawę rozwiążą ich wewnętrzne konflikty. Dzwonili do mnie z rejonowej spożywczej centrali handlowej, podobno zauważono pierwszy konflikt między karaluchami czerwonymi i czarnymi.

- Daj Boże! - odpowiedział Udałow.

Przez chwilę milczeli. Z gabinetu dobiegały szmery i szelesty. Karaluchy niszczyły niebezpieczne dla nich dokumenty.

Przybiegł Sawicz. Był bankrutem - został napadnięty we własnym sklepie. Najbardziej bezczelne karaluchy zażądały, żeby jego żona Wanda otworzyła puszki z konserwami, w razie niespełnienia

żądania grozili gwałtem.

Ale największa sensacja czekała Udałowa w domu. Droga powrotna zajęła mu dużo więcej czasu niż zazwyczaj - po ulicach całymi rodzinami snuły się karaluchy i trzeba było ustępować im z drogi. Sensacja polegała na tym, że słynna Rimka zaproponowała swoją rękę i ciało naczelnemu karaluchowi ich domu i otrzymała łaskawą zgodę. Ceremonia zaślubin miała się odbyć lada dzień...

- Do diabła! - powiedział ponuro Grubin, stojąc przy stole do domina na podwórku ich domu. - A może trzeba ewakuować ludność? Mamy przecież balon.

- I dokąd uciekniesz - westchnął Udałow - jeśli nad każdym miastem planety wisi taki sam statek. Przecież oni wszystko dokładnie przemyśleli i gdy my traciliśmy czas, oni z całą starannością przygotowali przewrót. Nic nie można zrobić. Na Ziemi każdy nasz krok jest kontrolowany przez karaluchy, a na niebie wiszą wrogie statki kosmiczne karaluszycy protektorów. Jak mogliśmy dopuścić do tego, żeby nawiązali ze sobą kontakt?

- Słyszałem - powiedział Grubin - że jakiś karaluch dostał się na ziemski statek kosmiczny. Może nawet z rodziną. A dalej to już kwestia techniki.

- Ciekawe, zaczną tępić ludzi czy nie?

- W ich środowisku nie ma co do tego zgodności - odrzekł Grubin. - Ale jeśli nawet dzisiaj nie mają tego w planach, po roku czy dwóch niekontrolowanego rozmnażania się na pewno wezmą się za eksterminację ludzi.

Zapadła cisza.

Statek karaluszycy opiekunów wisiał nad nimi jak miecz Damoklesa.

- Tak - powiedział Łożkin, który podszedł niezauważony. - Nie trzeba było tak ich tępić. W pewnym sensie sami jesteśmy sobie winni.

Nieduży, ale groźnie wyglądający czerwony karaluch siedział mu na uchu i najwidoczniej cenzurował wszystkie wypowiedzi zasłużonego emeryta.

- Nie - rzekł Udałow. - Wy jak sobie chcecie, ale ja się nie poddam. Ukryję się w lesie. Do lasu nie wejdą. W szałasie będę mieszkał.

Pozostali milczeli. Plan Udałowa wydał im się naiwny.

Siłę zwalcza siła.

Z domu dobiegała muzyka, grzmiał bęben, grały skrzypce - wesele Rimmy trwało w najlepsze.

Nocą karaluchy wepchały się Udałowom do łóżka - spodobało im się spanie w pościeli i przytulanie do ludzkich ciał. Udałowowie uciekli z łóżka, narzucili coś na siebie i wyszli na klatkę schodową. Dobrze, że jeszcze nie było zimno. Sąsiedzi dzielili z nimi wygnanie.

Nie chciało im się spać. Wstydzili się za ludzkość i jednocześnie było im jej żal.

- I dlaczegośmy ich wcześniej nie wytlukli! - wyszeptała żona Łożkina.

- Ciszej - poprosił ją mąż. - Przecież podsłuchują ze statku.

- Właśnie - powiedział przechodzący obok nich karaluch.

I wtedy nad źle śpiącą przerażoną Ziemią rozległ się niegło-śny, ale doskonale wszędzie słyszalny głos ze statku kosmitów:

- Karaluchy Wielkiego Guslaru! Wasza godzina wybiła. Prosimy, abyście zebrały się na polanie za cerkwią Paraskewy Piatnicy w celu uroczystego odwiedzenia statku waszych braci i towarzyszy. Zapewniamy bezpłatny poczęstunek i prezenty.

Na ulicach dał się słyszeć potężniejący szum - w drogę ruszyły miliony karaluchów. Pijany Małużkin, który przechodził w tym czasie przez plac, był wstrząśnięty widokiem poruszającego się

dywanu, na kilka centymetrów pokrywającego trawę. Przerażony Malużkin zastygł w pół kroku i zobaczył, jak na statku kosmicznym otwierają się szerokie wrota, a stamtąd ku ziemi płynie płaski, jaskrawozielony promień. Po promieniu, jak po pochylni, szerokim potokiem popłynęli szczęśliwi zwycięzcy - karaluchy. Jeden z ostatnich, czekając na swoją kolej, zauważył nieszczęsnego Malużkina i pisnął:

- Sprawiedliwość historyczna zawsze triumfuje! Gnębione masy powstają przeciwko ciemnościom i nasi wrogowie zaczynają żałować, że się urodzili.

- Nigdy w życiu nie rozgniotłem karalucha - sprzeciwił się Malużkin.

- Ale z obrzydzenia, a nie z humanizmu! - pisnął karaluch. - A inni, nawet dzieci, niszczyli nas całymi tysiącami. I pamiętajcie, że gdy już wrócimy z prezentami i instrukcjami, to weźmiemy się za was na serio.

Z tymi słowami ostatni karaluch pospieszył w górę po zielonym promieniu i wkrótce skrył się w trzewiach statku kosmitów. Łuk się zamknął. Zapadła cisza.

Ludzie zaczęli wychodzić z domów i patrzeć w górę. Co to będzie, gdy karaluchy wrócą? Byli coraz bardziej przygnębieni.

Pełne napięcia przecucie nadciągającego nieszczęścia opanowało wszystkich mieszkańców Wielkiego Guslaru. I wtedy obok statku pojawiła się świecąca plamka, która przemieniła się w nieduży, lecący ku ziemi kuter. W połowie drogi widoczny z każdego okna i z każdej ulicy kuter się zatrzymał.

Światło wokół kulistego kutra stawało się coraz jaśniejsze, rozprzestrzeniało się na wszystkie strony, w końcu przerodziło się w owalny wklęsły ekran kilkumetrowej średnicy.

Wszyscy mieszkańcy Guslaru po raz pierwszy zobaczyli przybysza, który postanowił osobiście przemówić do ludzi.

Kosmita rzeczywiście był w pewnym stopniu podobny do karalucha, a raczej do owada z rodziny karaluchów. Ale trzeba przyznać, że wiele ich różniło - przybysz miał dużo większą głowę, bardziej wyraziste oczy, a jego przednie łapki kończyły się kilkoma palcami, w jednej trzymał nawet papierosa. I co najważniejsze, kosmita był ubrany. Skąpo, ale ze smakiem.

- Proszę państwa! - zwrócił się do zastygłych ludzi. - Wybaczcie, że przyczyniliśmy wam zdenerwowania. Ale nie ma w tym naszej winy. Sami wymyśliliście i zaczęliście rozpowszechniać fałszywe pogłoski. I sami padliście ich ofiarą. Trudno nam zrozumieć, jak mogliście dać się tak łatwo złapać. Niestety, nie mogliśmy uspokoić was wcześniej, ponieważ wówczas runąłby cały plan, tak starannie przemyślany i wielokrotnie przez nas wypróbowany. Nasz statek jest jednym z eskadry statków, które przyleciały na Ziemię w celu wytępienia bezczelnych karaluchów, istnej klęski żywiołowej. Wybaczcie nam, że z powodu konieczności zachowania tajemnicy byliście zmuszeni znieść chamstwo karaluchów, które zbezczelniały, uwierzywszy w plotkę o tym, że ze względu na podobny rozmiar i wygląd jesteśmy ich przyjaciółmi i obrońcami. Ale teraz wasze męki się skończyły. Karaluchy zostały zwabione do naszego statku i spalone w piecu. Na Ziemi nie ma już karaluchów! Śpijcie spokojnie.

Z tymi słowami ekran zmętniał i zgasł, kuter wrócił na statek.

Ludzie nie mogli uwierzyć we własne szczęście.

Tym razem się udało!

Podjęto próby odszukania winnego rozpowszechnienia strasznej plotki, ale oczywiście nieudane.

Mimo późnej godziny ludziom nie chciało się wracać do domów.

Młody Gawryłow przyniósł magnetofon. Ludzie zaczęli tańczyć na placu. Niektórzy handlowcy otworzyli swoje sklepy i bezpłatnie albo za pół darmo rozdawali towary. To była wspaniała, magiczna noc.

Gdy wracali już do domu, Udałow zapytał Grubina:

- I czemu oni tak się zawzięli na te karaluchy?

- Myślę, że im za nie wstyd. Niby istoty z jednego plemienia, ale jedne inteligentne i humanitarne, a drugie - zwyczajni drobni drapieżnicy!

Udałow kiwnął głową.

- Odlatuje, odlatuje! - zawołał ktoś w tłumie. Rzeczywiście, ciemny okrągły statek kosmitów rozpląnął się na czarnym niebie.

Ksenia wzięła męża pod rękę.

- To właśnie jest szczęście - powiedziała. - A my żyjemy i nie czujemy go, dopóki nie stanie się coś złego.

I tak przytuleni do siebie, jak za młodych lat, weszli na pierwsze piętro.

Napili się herbaty.

Przed snem Udałow poszedł się umyć.

Na brzegu umywalki siedział podobny do karalucha, ale o wiele przyjemniejszy z wyglądu przybysz i ruszał wąsami.

- A ty co? - zdziwił się Udałow. - Spóźniłeś się na statek?

- Będę tu teraz mieszkał - powiedział przybysz. - Zamiast karalucha.

- Jak to? Przecież sami powiedzieliście...

- Okruchy zostawiaj na stole w kuchni - polecił przybysz.

1994

NAPÓJ ZAPOMNIENIA

Tego napoju nie wymyślił profesor Minc. Rusłan Chabajew, znachor z Niżnieselegińska, przysłał profesorowi kępkę trawy kut do analizy. Lew Chrystoforowicz zbadał właściwości trawy i potwierdził działanie jej soku na organizmy żywe: po wypiciu wywaru z trawy człowiek zapominał wcześniejsze wydarzenia. W zależności od dawki, okres zapomnienia trwał od jednego dnia do jednego miesiąca.

Minc ustalił skład chemiczny soku i wydzielił aktywny czynnik. Potem zrobił dla siebie pewien zapas tego środka, ale nie wymyślił dla niego zastosowania.

Pewnego pięknego dnia spotkał na podwórku Ksenię Udałową. Sąsiadka odprowadzała syna do szkoły. Wyglądała na przygnębioną.

- Co się stało, Ksiusza? - zapytał życzliwie Minc. - Po oczach widzę, że nie jest dobrze.

- Szkoda słów, Lwie Chrystoforowiczu - odezwała się Ksiusza. - Trzeci dzień się tak męczę. Przyśnił mi się straszny koszmar. Śniło mi się, że wróciłam do domu, a tam mój Korneliusz z aktorką Akułową piją wódkę.

- Ale przecież to nieprawda! Korneliusz to wzór męża i ojca! A aktorka Akułową nie ma po co do nas przyjeżdżać.

- Mama rozbiła serwis - powiedział Maksymek - o głowę taty.

- Niemożliwe! - wykrzyknął Minc. - Dlaczego?

- Pili z niego wódkę! - odpowiedziała Ksenia.

- Ale tylko we śnie! Nie naprawdę.

- Pewnie, że nie naprawdę. Ale pili! Sama widziałam.

- Wejdźmy do mnie na chwilę - powiedział Minc. - Może uda mi się jakoś pomóc.

W swoim pokoju Lew Chrystoforowicz odszukał na półce małą buteleczkę z napojem zapomnienia, odmierzył kilka kropel, dodał trochę wody i dał Kseni. Przy tym, żeby nie było niedomówień, wyjaśnił jej, że dzięki temu zapomni, co wydarzyło się w ciągu ostatnich czterech dni.

Ksenia podziękowała i zaprowadziła Maksymka do szkoły.

Jak na złość, właśnie tego dnia Ała Stiepanowa, nauczycielka języka rosyjskiego, zwana Marfutą, kobieta dobra, ale zmęczona ciągłymi niepowodzeniami Udałowa juniora, wyrwała Maksymka do odpowiedzi. I nie była z niego zadowolona.

Wtedy zapowiedziała chłopcu, że na następnej lekcji na pewno przepyta go z całej gramatyki i jeśli Maksymek znowu nic nie będzie umiał, będzie zmuszona wezwać do szkoły rodziców.

Maksymek wyszedł ze szkoły zgnębiony. Nie dlatego że miał wyrzuty sumienia, ale dlatego że groziła mu katastrofa: za dwa dni urodziny - i obiecany rower. Jutrzejsza klęska przekreślała rower i groziła karą cielesną.

Maksym szedł, wlokąc za sobą teczkę i nawet się zastanawiał, czyby się nie wziąć za gramatykę. W tym momencie zobaczył na podwórku profesora Minca, który siedział na ławce pod krzakiem bzu i czytał zagraniczne czasopismo. W jednej chwili w pamięci Maksymka zbudziły się poranne zdarzenia. Zrozumiał, że jest nadzieja. Jeśli Marfutą zapomni o swoim nikczemnym zamiarze, może

uda się uratować rower.

Maksym wiedział, że gdy Lew Chrystoforowicz czyta, nie oderwą go od tego nawet wystrzały armatnie. Wiedział też, że profesor nigdy nie zamyka drzwi swojego mieszkania.

Po pięciu minutach Maksym był już u siebie w domu. W jego teczce leżał tajemniczy flakonik.

Przy obiedzie, chcąc sprawdzić profesora, Maksymek zapytał:

- Jak tam twój sen, nie męczy?

- Jaki sen? - nie zrozumiała Ksenia.

- O aktorce Akułowej.

Korneliusz, przerażony, przycisnął palec do ust, ale Ksenia nie zauważyła tego rozpaczliwego gestu.

- Jedz, synku, bo ostygnie - powiedziała. I Maksymek uwierzył profesorowi.

Po obiedzie poszedł do domu Marfuty. Postanowił, że nie wróci do domu, dopóki nie doleje jej wywaru do herbaty albo zupy. Chciał odegrać rolę kajającego się grzesznika i poprosić o dodatkowe zajęcia. Potem ona i tak o tym zapomni.

Drzwi otworzyła matka Marfuty i powiedziała, że Ała Stiepa-nowa pojechała do Potmy na zebranie i wróci późnym wieczorem. To była tragedia. Nie mógł przecież przyjść do nauczycielki w nocy jako kajający się grzesznik.

Strapiony Maksymek usiadł na brzegu rzeki i zaczął się zastanawiać.

W rzece było dużo wody. Ale ona nie trafi do kranu Marfuty.

A jaka trafi?

Maksymek uzmysłowił sobie, że woda płynie do domów wodociągami. Gdyby udało mu się znaleźć początek wodociągu i wlać tam zawartość flakonika, to jakaś kropla dotarłaby do domu nauczycielki.

Bystry chłopiec poszedł na stację miejskiego wodociągu i wykorzystując zaufanie dyżurnego, któremu powiedział, że przygotowuje referat o pracy tutejszego zakładu, został zaprowadzony do ujęcia wody. I wlał tam napój zapomnienia.

Miało to miejsce o godzinie dwudziestej. O dwudziestej drugiej Maksymek spał snem sprawiedliwego. Śnił mu się rower, na którym jeździła aktorka Akułowa.

** *

Wielki Guslar budzi się rano.

Ludzie idą do pracy, na bazar ciągną furmanki i samochody marki Żiguli, pasażerowie spieszą do pierwszych autobusów, znad rzeki dochodzą głosy marynarzy i wędkarzy.

Rodzina Kobczikowych obudziła się, czując przedsmak wielkiego święta.

Gdy Zina myła zęby, matka pouczała ją przez drzwi od łazienki:

- Wszystko zaczyna się w Urzędzie Stanu Cywilnego. Musisz mu tam pokazać, kto będzie głową rodziny.

- Daj spokój, mamó! - odpowiedziała Zinoczka. - Kola je mi z ręki.

Biała sukienka wisiała na wieszaku i lśniła koralikami.

Wszyscy siedzieli już przy stole, jedli śniadanie, pili herbatę, tylko Zina nie mogła oderwać się od sukienki. Dzisiaj był jej dzień.

W końcu też siadła do stołu.

Ojciec w czarnym garniturze, w krawacie, już wstawał.

- Dokąd idziesz, tato? - zapytała Zinoczka, nalewając sobie herbaty.

- Dokąd, dokąd. Do pracy - odpowiedział ojciec. Zina roześmiała się.

- Wystroił się jak stróż w Boże Ciało - gderała matka, odsuwając filiżankę. - Zniszczysz garnitur.

- Mamo! - Zina uważała, że żarty zaszły za daleko. Nerwowo piła herbatę.

- A ty co? - zapytała matka. - Całe technikum ma czekać, żebyś wreszcie na lekcje przyszła?

- Mamo! - i tutaj niezadowolenie Ziny, że rodzice pozwalają sobie na takie żarty w dniu jej ślubu,

ustąpiło miejsca obawie. Rzeczywiście, zaraz spóźni się na zajęcia.

Pobiegła do swojego pokoju, żeby się ubrać, i zdumiona ujrzała, że przy jej łóżku na wieszaku wisi biała sukienka ślubna.

- Mamo! - krzyknęła Zinoczka. - Mamo, ty to tutaj powiesiłaś? Matka weszła i zamarła.

- Ja nie wieszałam - powiedziała.

- Wiem! - ucieszyła się Zina. - To ojciec ją kupił, chciał mi zrobić niespodziankę. On wie, że ja... że przyjaźnię się z Kola...

- Zwariował! Jeszcze zapeszy!

- Ładna sukienka - pochwaliła Zina. - A może on rzeczywiście mi się oświadczy?

- Teraz to już nie ma co - powiedziała matka. - Sukienka kupiona. Musisz mu jakoś dać do zrozumienia...

Gdy Zina dobiegła do technikum - rzeczywiście się spóźniła - zobaczyła Kola snującego się przy wejściu. Mimo że był ciepły sierpniowy dzień, Kola miał na sobie czarny garnitur.

- Coś się tak wystroił? - zapytała Zina.

- Nie wiem - odpowiedział Kola. - Jestem w jakimś takim podniosłym nastroju. Jakbym cię cały miesiąc nie widział i teraz dopiero zobaczył. Rozumiesz?

‘ - Naprawdę, Kola?

- Naprawdę, Zina. A może byśmy wzięli ślub?

Nie, tajemnicza biała sukienka nie na darmo pojawiła się w domu!

- Czekaj na mnie po zajęciach - powiedziała Zina - pogadamy. Muszę pomyśleć...

W tym momencie ojciec Ziny, Kobczikow, czując, że na próżno włożył czarny garnitur, szedł ulicą i dziwił się - jeszcze wczoraj drzewa były zielone, a dzisiaj liście zaczęły żółknąć. Co się wyprawia z tym klimatem! A wszystko przez sputniki.

Rozmyślając tak, wszedł do Urzędu Rady Miejskiej i idąc do siebie na drugie piętro, zajrzał po drodze do poczekalni przed gabinetem Batyjewa. Jeszcze go nie było. Ludmiła siedziała przy maszynie do pisania i malowała paznokcie. Przed nią stał jakiś przyjezdny i ponuro powtarzał:

- Powiedziała pani wczoraj, żebym przyszedł...

- Nie pamiętam - odpowiadała Ludmiła. - Nigdy pana nie widziałam.

A Batyjew od rana miał zły humor. Nie wiedział dlaczego, ale był zły. Zaczął się zbierać do pracy. Pomyślał, że wszystkiemu winien jest Karaś. Kopie pod nim podstępnie, a wygląda, jakby do trzech nie potrafił zliczyć. Wtedy ktoś zadzwonił do drzwi. Żona zmywała w kuchni, Batyjew sam otworzył. To był listonosz, oddał list polecony.

Batyjew podpisał, rozerwał kopertę. W kopercie, nie wiadomo dlaczego, były bilety na pociąg relacji Wołogda-Tuapse, na trzydziestego września.

- Co to ma znaczyć? - zaryczał Batyjew i rzucił się do kuchni. - Po co rezerwowałaś bilety? Dlaczego na trzydziestego września? Przecież w lipcu byliśmy na urlopie!

- Na trzydziestego? - zdziwiła się żona. - Jakie bilety?

- Te bilety!

W tym momencie wzrok Batyjewa padł na wiszący nad stołem kalendarz. Kalendarz pokazywał dwudziesty ósmy wrzeźnia.

- Kto pozrywał kartki?! - rozłościł się Batyjew jeszcze bardziej - - W ogóle nie pilnujesz wnuków!

- Wasieczka nie dosięgnie do kalendarza - powiedziała żona, nie przestając oglądać biletów. -
Może to pomyłka?

- Już ja wiem, co to za pomyłka - domyślił się Batyjew. - Karaś to urządził.

- Ale po co?

- Przyjdę do pracy, wezwę go do siebie i zwolnię! Dostyc tego! Na dole kierowca nacisnął klakson. Trzeba było jechać. Tymczasem Karaś miał swoje problemy. Gdy wstał, podszedł do szafy i zajrzał do swojej szuflady, żeby wyjąć czysty podkoszulek. Nieoczekiwanie jego palce trafiły na samym dnie na coś opakowanego w papier. Nic nie rozumiejąc, wyjął zawiniątko i odpakował. W papierze było pudełko, na nim francuskie napisy. Perfumy - Dlaczego francuskie perfumy leżą w jego podkoszulkach?

Karaś chciał zapytać o to żonę, ale właśnie weszła do pokoju i sama zobaczyła, że mąż ma w ręku perfumy.

- Co to jest? - zapytała.

- To ja się ciebie pytam, co to jest? - szczerze odpowiedział Karaś.

Problem polegał na tym, że Karaś nie pamiętał, jak i dlaczego francuskie perfumy pojawiły się w jego bieliźnie, a jego żona była przekonana, że jej by nigdy nie kupił francuskich perfum. A więc kupił je innej, wpadł i teraz beczelnie kłamie.

Tak więc Karaś spóźnił się do pracy. Niedobrze. Właśnie nadchodził ostatni etap walki z Batyjewem.

W województwie mieli lada dzień podjąć decyzję, a do tego czasu trzeba było się ukrywać i nie dać złemu, podejrzliwemu Ba-ryjewowi pretekstu do rozprawy.

Karaś wbiegł do urzędu, przyciskając do oka chłodną monetę, zgarbił się, przemknął przez korytarz i skrył się za swoim biurkiem - na prawo od biurka, przy którym siedział Kobczikow, w czarnym garniturze, co już samo w sobie było podejrzane.

- Batyjewa nie było? - nieśmiało zapytał Karaś Kobczikowa, na co ten odpowiedział, że zdaje się, teraz poszedł.

Udało się. Dobra nasza! - cieszył się Karaś. W tym momencie zadzwonił telefon i jakiś emeryt zaczął krzyczeć, że u nich w domu już od miesiąca nie mogą zaspawać rury i woda się leje. Karaś obraził się i odpowiedział, że dopiero wczoraj dowiedzieli się o rurze, a emeryt ciągle krzyczał: „Popatrzcie na kalendarz, biurokraci!”. Karaś spojrział na kalendarz, który pokazywał koniec wrzeźnia. To było niemożliwe, bo wrzesień dopiero się zaczął. Kobczikow odwrócił się do sąsiada i zapytał: - Karaś, dawali premię za sierpień?

Karaś zrozumiał, że nie pamięta... A jeśli perfumy kupił za premię? Ale dla kogo? Czyżby dla Ludmiły, sekretarki Batyjewa? Przecież już się umówili, że zejdą się dopiero wtedy, gdy Karaś zajmie miejsce Batyjewa.

W tej chwili rozległ się straszny, złowieszczy ryk. Nie minęła i sekunda, gdy do pokoju wpadła wystraszona Ludmiła i zapiszczała:

- Karaś do Batyjewa, biegiem!

Karaś chciał się przeżegnać, ale nie śmiał, poprosił tylko przybitym głosem Kobczikowa:

- Chodź ze mną, co? Jesteś w radzie zakładowej, przy tobie nie ośmieli się mnie pożreć.

Batyjew stał do nich tyłem, przed drzwiami swojego gabinetu. Na drzwiach była tabliczka: „S.

Karaś”. Batyjew próbował oderwać tabliczkę paznokciami, ale śruby trzymały mocno.

Karaś zachwiał się ze strachu. Czyjś złośliwy, niewczesny dowcip mógł go kosztować głowę.

Kobczikow podtrzymał osuwającego się Karasia. Ludmiła płakała. Do poczekalni zagłądali inni pracownicy.

- Zapewniam pana - wybąkał Kobczikow - że Karaś nigdy nawet nie pomyślał...

Batyjew oderwał tabliczkę i wyrzucił ją przez okno. Potem, nie zdejmując z Karasia ołowianego spojrzenia, sięgnął do kieszeni po chusteczkę. Razem z nią wypadła książeczka. Kobczikow podniósł ją i podał szefowi.

- A to co znowu? - zaryczał Batyjew, otwierając ją. Przeczytał, co było w niej napisane, i książeczka wypadła mu z ręki. Stracił przytomność.

Kobczikow podniósł książeczkę. To była książeczka emeryta na nazwisko towarzysza Batyjewa.

Gdy cucono Karasia i Batyjewa, Kobczikow wszedł do gabinetu i zadzwonił do województwa. W kadrach zapytał, kto u nich, w Guslarze, jest naczelnikiem. Odpowiedziano mu, że naczelnikiem od dwóch tygodni jest Karaś, Batyjew zaś przeszedł na zasłużoną emeryturę. Kobczikow poinformował o tym współpracowników.

Batyjewa sprowadzono na dół, żeby sobie odpoczął, a Karaś wziął się w garść, wszedł do gabinetu, usiadł za wielkim biurkiem i nagle wykrzyknął:

- Tu są moje rzeczy!

Pozostali sprawdzili - rzeczywiście, na blacie były rzeczy Karasia: teczka, notes, długopisy, nawet fotografie żony z dziećmi.

- Czy ktoś pamięta, jak to się stało? - zapytał Karaś. Nikt nie pamiętał.

Karaś doszedł już do siebie. Nieznany, batyjewskim tonem powiedział:

- Proszę opuścić mój gabinet. Proszę wrócić do pracy. Jeśli będę kogoś potrzebował, wezwę. A pani, Ludmiło Josifowna, niech zostanie.

- To jakaś diabelska sprawa... ukochany - powiedziała Ludmiła, gdy zostali sami.

- Dostaniesz perfumy - obiecał Karaś - ale musisz trochę poczekać.

Mimo że tego dnia podobne historie zdarzały się we wszystkich domach, zakładach i urzędach, a czasem były nawet bardziej tragiczne lub bardziej zabawne niż opowiedziana tutaj, życie toczyło się dalej. Swoją kolejną.

Gdy później profesor Minę zastanawiał się, dlaczego miasto do wieczora pogodziło się ze stratą miesiąca, zrozumiał, że poza rzadkimi wyjątkami życie jest monotonne, a wrzesień niczym się nie różni od października.

Od tamtej pory najprzebieglejsi urzędnicy w sytuacjach krytycznych zawsze zrzucali winę na obiektywną amnezję.

Wśród mieszkańców miasta była przynajmniej jedna osoba, która o niczym nie zapomniała. Nauczycielka języka rosyjskiego

Ała Stiepanowa rano zawsze pije mleko. Tak więc gdy przyszła rano do szkoły, od razu na początku lekcji wezwała do odpowiedzi Maksyma Udałowa. I okazało się, że nie ma on pojęcia o

regu-łach gramatycznych. Wezwała do szkoły Ksenię Udałowa i Maksy-mek nie dostał roweru na urodziny.

Ale go to nie zmartwiło. Nie pamiętał, że miał dostać rower, a Korneliusz Udałow rzecz jasna nie pamiętał, że obiecał kupić sy-nowi rower na urodziny.

1988

ŚWIAT RÓWNOLEGLY

„Na dziesięć minut przed startem wyszedł do narodu stary Łożkin.

Miał na sobie krótkie czarne spodnie i wyblakły różowy podkoszulek z napisem „CSKA”. W rozłożonych rękach trzymał plakat z trasą. Trasę zmieniano codziennie, żeby urozmaicić bieg.

Uczestnicy biegu zebrali się w jednym miejscu, omawiali dzisiejsze zadanie.

Biec należało pod górę, w stronę parku. Następnie aleją do rzeźby dziewczynki z wiosłem, potem dookoła letniej estrady, do placu budowy nowego cechu wytwórców zabawek plastikowych, a następnie placem Pionierów do stawu-basenu za cerkwią Paraskewy Piatnicy. Meta przed muzeum miasta.

Za pięć ósma zagrzmiała orkiestra dęta.

Orkiestra stała nad samą rzeką, w wypolerowanych trąbach odbijały się zajęczki światła, z wody zerwały się przestraszone kaczkę i poleciały ku odległemu brzegowi.

Dwie emerytki, które nie mogły biec, ale chciały jakoś uczestniczyć, trzymały naciągniętą czerwoną taśmę. Łożkin zwinął plakat w rulon, podał go jednej ze staruszek, a sam wziął od niej megafon i zajął miejsce na czele biegu. Do niego należało wygłoszenie komentarza krajoznawczego o zabytkach architektury, które biegacze spotkają po drodze.

Z oddali dobiegł dźwięk kurantów z wieży strażackiej. Staruszki opuściły taśmę i tłum różnokolorowo ubranych biegaczy ruszył pod górę, ku wiekowym lipom w parku miejskim.

Mikołaj Białosielski biegł obok Udałowa. Biegł lekko, nie ukrywając uśmiechu szczęścia. Codzienne biegi po zdrowie tuż przed rozpoczęciem dnia pracy były jego pomysłem. W ciągu ostatnich dwóch lat starał się żadnego nie opuścić.

Żyłasty emeryt Łożkin nie zostawał w tyle. Odwrócił się w biegu i krzyknął do megafonu:

- Obejrzyjcie się za siebie! Popatrzcie, jak spokojnie niesie swoje wody oczyszczona ze ścieków przemysłowych nasza ukochana rzeka Guś. Nawet stąd widać pluskające się w niej jesiotry i leszcze!

Udałow obejrzał się posłusznie. Jesiotrów i leszczy nie zobaczył, ale pomyślał, że w sobotę trzeba będzie pojechać na ryby nad jezioro Kopenhaga. Może by zaprosić Białosielskiego? Najwyższa pora odpocząć. Trzeci rok bez urlopu. Samym środkiem rzeki płynęły radośnie trzy delfiny. Delfiny należały do wodnego pogotowia ratunkowego, ale nie miały wiele pracy - tej wiosny w Wielkim Guslarze nauczono pływać ostatnich uparciuchów.

Obok Białosielskiego biegła dyrektorka szkoły muzycznej, gadatliwa śmieszka Zina Soczkińska. Udałow wiedział, że ona znowu dowodzi przewodniczącemu Rady Miejskiej konieczność stworzenia w jej zakładzie klasy harf. Ale z harfami nie jest łatwo, nawet w województwie są towarami deficytowymi.

Peleton rozciągnął się po wąskiej ścieżce. Orkiestra zauważalnie zostawała w tyle. Tylko flety trzymały się w peletonie. Za biegaczami nie nadążał również profesor Minc, człowiek nieco otyły i nienawykły do uprawiania sportu. Ale uparty. Już trzy tygodnie pracował nad problemem grawitacji. I chociaż twierdził, że grawitacja miałaby zostać wykorzystana w budownictwie, Udałow podejrzewał, że prawdziwą przyczyną jest pragnienie wsławienia się w porannych biegach.

Udałowa odepchnął redaktor gazety miejskiej Malużkin. Nieduży, kwadratowy, z wielką lwią głową. Dwa metry za nim biegł łyskając okularami Misza Stendal, korespondent tejże gazety. Miał ze sobą teczkę redaktora.

Malużkin wcisnął się między Białosielskiego i dyrektorę Zinę. - Napiszemy wstępniak? - zapytał surowo. Białosielski drgnął. Podobnie jak i wszyscy w mieście, Białosielski bał się Malużkina, nieposkromionego bojownika o jawność, prawdę i demokrację. To właśnie „Guslarski Sztandar”, na czele którego stał Malużkin, zdemaskował korupcję na miejskim rynku, wymusił regularną dostawę ciepłej wody do sauny numer jeden, zdjął ze stanowiska pogardzającego ekologią dyrektora fabryki zabawek, poparł co najmniej sześć śmiałych inicjatyw i wykrył kilka przypadków mydlenia oczu, włączając zawiązanie danych na fermie zwierzęcej. Ostatnio dostało się, i słusznie, samemu profesorowi Mincowi. To właśnie on wyhodował dla fermy nową rasę srebrzystych lisów z dwoma ogonami, ale nie znalazł chwili, żeby powiadomić o swoim osiągnięciu prasę. Pupykin zaś, który po zdjęciu ze stanowiska przewodniczącego Rady Miejskiej pracował jako dyrektor tejże fermy, każdego lisa oddawał państwu jako dwa lisy, dzięki czemu przekroczył wszystkie plany, dostał mnóstwo nagród, a w dodatku handlował na boku lisimi ogonami. Bojownik o prawdę Malużkin miał poparcie w szerokich kręgach rozbudzonego społeczeństwa, a społeczeństwo opierało się na Malużkinie. Białosielski, będąc w mieście władzą wykonawczą, nierzadko cierpiał z powodu redaktora.

- Nie będę pisał wstępniaka! - zawołał Białosielski, przechodząc na szybkość sprinterską. Naruszył trasę i skręcił na wąskie ścieżki miasteczka biologicznego, gdzie dla dzieci stworzono krajobrazy naszej planety. Zaskrzeczały makaki, rozdziawił paszczę krokodyl. Białosielski przebiegł obok baobabu i już myślał, że nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo, gdy nagle zagroziły mu drogę trzy mamuty wyhodowane metodą retrogenetyki, które na skutek nieuwagi zootechnika Lowoczki uciekły z podmiejskiego gospodarstwa. Białosielski wyhamował, Malużkin dogonił go i przysunął mu dyktafon do twarzy. Przewodniczący Rady Miejskiej już miał zdać się na łaskę prasy, gdy na szczęście jeden z makaków wyrwał Malużkinowi magnetofon.

Białosielski dogonił Udałowa na głównej alei, przed rzeźbą dziewczynki z wiosłem.

, - Ciężko? - zapytał Korneliusz Iwanowicz.

- Lekko nie jest - przyznał Białosielski. - Ale problemy hartują. Dobiegniemy do muzeum na czas?

Nikt by nie pomyślał, że uczyliśmy się w jednej klasie, westchnął Udałow. Wygląda na młodszego o dziesięć lat. Oto co znaczy aktywny tryb życia i zachowanie umiaru we wszystkim.

- Pojedziemy w sobotę na ryby? - zapytał, starając się nie są - W sobotę? W sobotę mam być w jury. Konkurs tańców dziecięcych. A potem w ramach pracy społecznej będziemy restaurować dom kupca Demuszkina. Może byśmy w tę sobotę razem po-restaurowali, a na ryby pojedziemy za tydzień?

Udałow nie zdążył odpowiedzieć - przed nim ostro wyhamował Łożkin i zaczął krzyczeć do megafonu:

- Drodzy towarzysze biegacze! Widzicie tu, przed szesnastowiecznym zabytkiem, cerkwią Paraskewy Piatnicy, dawny staw. Ten staw staraniami społeczeństwa i uczniów technikum rzeczno-przekształcono w najlepszy w województwie odkryty basen. Nad nim wznosi się dziewięciometrowa trampolina. Wszyscy chętni mogą przerwać bieg i skoczyć do basenu.

Białosielski od razu pobiegł w stronę trampoliny. Udałow przypomniał sobie, że o dziewiątej ma

zebranie w biurze, w którym jest kierownikiem. A jeszcze nie jadł śniadania.

Skreślił na Kwiatową, żeby przeciąć kwartał przy rynku. Na rynek ciągnęły wozy i samochody - mieszkańcy okolicznych wsi wieźli na sprzedaż artykuły spożywcze i kwiaty. Oto i ulica Puszkina. Zaraz będzie w domu. Trzasnęła furka. Zza płotu wyskoczył były przewodniczący Rady Miejskiej i były dyrektor fermy zwierzęcej Pupykin. Miał na sobie dres firmy „Adidas”, który przywiózł kiedyś z podróży służbowej do Szwajcarii. Dogonił Udałowa i zapytał:

- Białosielski brał udział?

- I Malużkin też - odpowiedział Udałow, przyspieszając kroku.

Nie znosił Pupykina - uważał go za człowieka pustego, nieuczciwego i kłótliwego. Dobrze zrobiono, że wysłano go na emeryturę..

- Przekaż Białosielskiemu, że ja też biegłem - powiedział Pupykin. - Trenuj ę według swój ego prywatnego programu.

Po wygłoszeniu tego obłudnego oświadczenia zrobił wymach rękami, wykonał obrót i pobiegł z powrotem do domu.

Zawsze to samo, pomyślał Udałow. Przecież bieg jest dobrowolny, ale on i tak musi kombinować.

Zwolnił. Trzeba uspokoić oddech.

Słońce było już wysoko, zrobiło się gorąco. Szybko rosnące cedry, którymi była wysadzona ulica Puszkina, rzucały na różowe płyty jezdni poszarpany cień. Wiewiórka zeskoczyła z dolnej gałęzi i przebiegła przez ulicę. Udałow nachylił się nad maleńką fontanną, proponującą przechodniom gazowaną wodę, i napił się.

Rimma Kazaczkina, mieszkająca w sąsiednim domu kobieta pusta o wydatnym biuście, jak głośiły plotki, nowa pasja architekta Oboleńskiego, mijając Udałowa zahaczyła go swoim pełnym biodrem. Udałow udał, że nie zauważył aluzji.

Pojawił się profesor Minc. Był zmęczony, łysina lśniła mu od potu. Sapał i kaszłał.

- Każdy bieg - oświadczył Udałowowi - to dla mnie dodatkowy dzień życia. Tracę czterysta gram.

- To bez znaczenia, Lwie Chrystoforowiczu - sprzeciwił się Udałow, wchodząc na podwórko domu numer szesnaście. - Już przy obiedzie odrobi pan tę stratę z nadwyżką.

Minc się zasepił. Nikt nie lubi gorzkiej prawdy. Ksenia Udałowa wychyliła się z okna pierwszego piętra i krzyknęła:

- Dwa razy z biura dzwonili! Kasza już wystygła!

Udałow wbiegł po schodach, lekko przeskakując po dwa stopnie.

- Stary cap - powiedziała Ksenia, otwierając drzwi. - Dla kogo się tak odmładzasz?

- Rób to samo - zaproponował jej Udałow, idąc do łazienki. - Też odmłodniejesz.

- Mnie to nie jest potrzebne - odparła Ksenia. Ceniła swoje okrągłe, nalane, solidne ciało.

- Maksym w technikum? - zapytał Udałow.

- Kazałbyś mu obciąć te kudły. Ludzie go na ulicach palcami pokazują.

- Przejdzie mu - odpowiedział Udałow. - Ty też chodziłaś w minispódniczkach.

Na dole coś zaczęło niegłośno stukać - sąsiad Grubin włączył perpetuum mobile. W nocy urządzenie odpoczywało. Pod oknem zatrafił samochód dostarczający do mieszkań mleko i śmietanę. Ksenia z rozmachem postawiła na stole talerz z kaszą i pobiegła na dół.

W mieście Wielki Guslar rozpoczynał się kolejny dzień pracy.

Udałow i Minc szli do Białosielskiego na zebranie.

Minc wyjął chusteczkę i wysmarkał się.

- Chyba się dzisiaj przeziębilem - powiedział. - Nie powinienem był skakać z trampoliny.

Na placu przed Urzędem Rady Miejskiej kłębił się tłum ludzi.

Najbliżej drzwi stali emeryci. Zbita, krzepka grupka. Dwie babcie, które Udałow widział rano, rozwinęły długi plakat: „Uratujemy nasz ukochany Guslar przed barbarzyńcami!”. Stary Łożkin, teraz już w czarnym garniturze, ale ciągle jeszcze z megafonem, szedł powoli wzdłuż hasła i sprawdzał, czy nie ma błędów ortograficznych.

Studenci technikum rzeczno nie przynieśli żadnych transparentów. Wystarczały im portrety architekta Oboleńskiego. Portrety były powiększonymi zdjęciami formatu legitymacyjnego, dorysowano tylko wąsy, a koszulę i krawat pomalowano na zielono, tak że wyglądało to jak bluza wojskowa. Fotografie chwiały się na długich kijach. Ten widok przeniósł Udałowa w lata dzieciństwa, gdy w Guslarze na placu głównym płynął ku trybunie pochód pierwszomajowy, a nad trybuną chwiały się portrety wodza.

Udałow pomyślał, że studenci posunęli się za daleko. Powiedział o tym profesorowi.

- I pan, i ja jesteśmy ludźmi starszego pokolenia - odpowiedział profesor. - Poczucie humoru gotowi jesteśmy uznać za prowokację.

- To już nie jest humor - odezwał się Łożkin. - To niedopuszczalny sarkazm. Myślę, że będziemy musieli odciąć się od młodzieży.

- Teraz? - zdziwił się Minc.

- Nie. Jak tylko pokonamy bezdusznych biurokratów!

Udałowowi zrobiło się wstyd pod pałącym sawonarolskim spojrzeniem Łożkina. W tym momencie na plac wlecieli rokerzy na ryczących motocyklach. Oni też pałali obywatelskimi uczuciami. Jeździli dokoła tłumy i wydawali rewolucyjne okrzyki. Sierżant Pilipienko, który miał pilnować porządku, podbiegł do nich, wymachując pałką, ale rokerzy sprytnie puszczali jego morały mimo uszu.

Z boku wejścia stała inteligencja - bez plakatów i transparentów, ale za to bardzo zdecydowana. Byli tam członkowie towarzystwa ochrony zabytków, miłośników książek, towarzystwa ochrony zwierząt, przyjaciół dzieci... Udałow znał wszystkich, często chodził do nich w gości. Ale teraz czuł się wśród nich obco.

Nie! - chciał krzyknąć. Nie! Całym sercem jestem z wami. Pragnę chronić i pomnażać zabytki! Ale muszę wypełniać polecenia zwierzchników, muszę oszczędzać państwowe pieniądze i posuwać nasze miasto na drodze progresu. To prawda, że w naszym mieście w okresie władzy radzieckiej zburzono siedemnaście cerkwi i sto innych zabytków, ale za to niemal rozwiązano problem mieszkaniowy.

W tym momencie Udałow przerwał ten wewnętrzny monolog - zrozumiał, że to nie jest jego monolog, tylko dosłowne przytoczenie przemówienia głównego budowniczego Słabienki na ostatnim zebraniu.

A oto i Pupykin! Co on tu robi? ‘

Pupykin stał z boku, a z nim jego rodzina - Marta Barłomiejewna i dwójka dzieci. Wszyscy na zielono, nawet twarze mieli zielone. Dzieci trzymały w rękach portret antypatycznego mężczyzny w papasze.

Pupykin nerwowo schwycił Udałowa za rękaw i zapytał szeptem:

- Powiedziałaś mi, że uczestniczyłem w biegu?

. - Powiem - obiecał Udałow. - A ty co, pomalowałaś się?

- Cała moja rodzina - oznajmił Pupykin - stworzyła nieformalną organizację: Partię Zielonych.

Zajmujemy się ochroną przyrody.

- Godne pochwały - powiedział Minc. - A czyj to portret? Jakoś nie przypominam sobie takiego ekologa.

- To ich główny działacz - oświadczył Pupykin. - Znaleźliśmy go w jednej książce. Ataman Machno* [*Nestor Machno, 1884-1934, przywódca wojsk anarchistycznych na Ukrainie w czasie wojny domowej w Rosji 1918-20. Z „zielonymi” łączy go wyłącznie kolor - ataman i jego ludzie nosili zielone mundury (wszystkie przypisy tłumacza).].

- Pupykin, radzę ci, schowaj ten portret. Ten zielony nie zajmował się ekologią - powiedział Udałow.

* * *

- A czym? - zapytał Pupykin.

- Popelnianiem błędów.

Zanim jeszcze Udałow wszedł do budynku, Pupykinowie zdążyli podeptać portret.

Minc i Udałow weszli wąskimi schodami do gabinetu Białosielskiego. Drzwi były otwarte na oścież. Jak zawsze.

Wewnątrz już działał główny architekt miasta, schludny, szlachetny Jelisej Oboleński. Z pomocą młodej pani architekt przypinał do ściany rysunki przedstawiające ulicę Postępu.

Redaktor Malużkin stał nieco dalej i patrzył na rysunki przez binokle. Misza Stendal zapisywał coś w notesie.

Główny budowniczy Słabienko już usiadł i położył łokcie na stół. Był gotów do walki.

Pracownica muzeum Finifliukina wpatrywała się z pogardą w jego plecy, ale nie mogła przeszyć go wzrokiem. - Zaczynamy? - zapytał Białosielski.

Zajmowali miejsca. Rozmawiali, ktoś nawet zażartował. Wszyscy byli zdenerwowani. Miało dojść do walki.

Żyjemy w sytuacji jawności, pomyślał Udałow. Niby nauczyliśmy się demokracji, niby zbieramy owoce. Ale siły przeszłości ciągle się nie poddają.

Oddano głos sile przeszłości w osobie głównego architekta Oboleńskiego. Oboleński wziął do ręki wskaźnik z bukszpanu i podszedł do ściany.

Lubił i umiał występować. Ale na początek zapytał:

- Może zamkniemy okna? Zdaje się, że przyszliśmy tu pracować, a nie sprzeczać się ze społeczeństwem.

- Dla nas to nic nowego - odpowiedział Białosielski. - Czemu mielibyśmy się bać narodu?

Tłum roił się pod oknami. Przymocowane do tornistrów śmigła brzęczały jak trzniele. Te latające aparaciki pod nazwą „Karlson z dachu” sprzedawano w dziale sportowym domu towarowego. Zostały wynalezione przez Minca na prośbę turystów w celu pokonywania parowód i obszarów wodnych. Były słabiutkie, ale ludzie je polubili. I nie wszyscy wykorzystywali je w celach turystycznych. Niektórzy uczniowie wlatywali do sadów owocowych, niejaki Iwanicki wyszedł swoją żonę w objęciach Landrusa na drugim piętrze, doszło również do innych nadużyć. Udałow

pomyślał ze smutkiem, że jego sąsiad Lew Chrystoforowicz jest geniuszem. Nad wszystkim ma władzę: i nad fizyką, i nad chemią. Ale następstwa jego błyskotliwych wynalazków są, niestety, nieprzewidywalne. Dopiero co pterodaktyl, wyhodowany metodą retro-genetyki z koguta, pokąsał należącego do Lipkina dobermana, którego szczekanie przeszkadzało pterodaktylowi odpoczywać na gałęzi cedru. Dobrze, że nie samego Lipkina. Albo weźmy na przykład szybko rosnące jabłonie - zeszłego lata owoce zbierano szesnaście razy. W efekcie diabli wzięli magazyn produktów rolnych, nie dali rady z załadunkiem, za duże przeciążenie. Nie, Minca trzeba było bardzo pilnować.

Oboleński trzymał wskaźnik jak szpadę i w poszukiwaniu moralnego wsparcia popatrzył na głównego budowniczego Słabienkę. Ten jeszcze mocniej splótł swoje silne palce i ledwo zauważalnie skinął swojemu sprzymierzeńcowi głową. Walka się rozpoczęła.

- Widzicie tu - powiedział Oboleński - świetlaną przyszłość naszego miasta.

Szeroka aleja była zabudowana wieżowcami z kolumnadami i portykami, wzdłuż niej ciągnęły się jednakowo przystrzyżone lipy, które można zobaczyć wyłącznie w wersalach i na planach architektonicznych.

Nad aleją rozpościerało się niebieskie niebo z różowymi obłokami. Na horyzoncie wznosiły się błękitne góry o zaśnieżonych szczytach. Czyżby on chciał swoją aleję dociągnąć do Kaukazu? - przestraszył się Udałow. Ale potem zreflektował się, zrozumiał, że to tylko architektoniczna umowność.

W pokoju panowała cisza. Aleja hipnotyzowała.

Oboleński triumfalnie obrzucił spojrzeniem publiczność, tknął wskaźnikiem w plan i oświadczył:

- Tutaj będzie zarząd gospodarstwa komunalnego.

Architekt Jelisej Oboleński był w Guslarze człowiekiem nowym, ale zdążył już zapuścić korzenie. Importował go Pupykin.

Miało to miejsce pięć lat temu, gdy Pupykin wspinał się po szczeblach drabiny służbowej, ale nie dotarł jeszcze na szczyt. Pojechał kiedyś do Moskwy, w podróż służbową. Był realistą, co nie przeszkadzało mu mieć swoje marzenia. Bardzo chciał znaleźć w stolicy przyjaciół, ludzi, którzy myśleliby tak samo jak on. Zwłaszcza wśród inteligencji twórczej. Pupykin sam był inteligentem, skończył technikum odzieżowe w Wołogdzie, a potem liczne kursy. Regularnie czytywał czasopisma i gazety.

Miał szczęście. Trzeciego dnia pobytu poznał w hotelowej kawiarni krytyka literackiego z Syzrani, który przybył do stolicy na seminarium o realizmie i miał zamiar zamieszkać w Moskwie, bo w Syzrani jego talent miał niewielkie szanse rozwoju. Krytyk spodobał się Pupykinowi, a Pupykin krytykowi. Razem chodzili do kina i na szaszłyki, a potem krytyk zawiózł Pupykina do swojego mecenasa, poety dla młodzieży. U poety sporo wypili, rozmawiali o wrogach i duchu narodowym. Poeta czytał głośno wiersze o masonach. Gdy żona poety wyrzuciła ich z domu, pojechali do Jeliseja Oboleńskiego.

Jelik Oboleński, po rozwodzie z kolejną żoną, mieszkał w swojej pracowni. Pracownia mieściła się w piwnicy, na ścianach wisiały ikony i wrzeciona, w kątach stało sporo pustych butelek. Sam Jelik Oboleński początkowo nie spodobał się Pupykinowi. Ze względu na wysoki wzrost, mienszewicką bródkę, chudość i aksamitny szlafrok wydał mu się człowiekiem duchowo obcym. Poza tym Oboleński palił fajkę i grasejował.

Ale towarzysze powiedzieli, że Oboleński to swój chłop, z książąt, Rurykowicz. W pracowni też pili, wymyślali masonom, którzy przejęli w Moskwie najważniejsze stanowiska, poeta czytał wiersze

o Perunie i Etruskach, z których, jak wiadomo każdemu obywatelowi, wywodzi się naród rosyjski. Potem poeta i krytyk zasnął objęci na kanapie, a Oboleński pokazał Pupykinowi swoje najtajniejsze prace. Miasto przyszłości.

Rysunki te Oboleński pokazywał tylko najbliższemu przyjacielowi. Były owocem trwającej dwadzieścia lat drogi twórczej, rozpoczętej jeszcze w szkole średniej.

Pewnego dnia chłopiec Jelik Zalipuchin - nazwisko ojczyma przyjmie dopiero odbierając dowód osobisty - poszedł z mamą na WDNCH * [*WDNCH (wystawka dostiżenij narodnego choziajstwa), utworzony w 1959 roku olbrzymi park mieszczący pomniki socjalizmu, m.in. odznaczające się przepychem rzeźby, fontanny i przede wszystkim pawilony, w których prezentowano osiągnięcia gospodarcze. Obecnie pawilony te są wykorzystywane jako sklepy, głównie ze sprzętem elektronicznym.], Wystawę Osiągnięć Gospodarki Narodowej. Spacerowali alejami, podziwiali pawilony, zrobili sobie zdjęcie przed fontanną „Złoty Kłos”. To było pierwsze spotkanie Jelika z architekturą. Zachorował na nią. W zeszytach do algebry rysował kolumnady i portyki, ścianę nad swoim łóżkiem obkleił fotografiami ulubionych zabytków architektonicznych - pawilonów wystawowych, greckich świątyń, dworców na placu Komsomolskim i stacji moskiewskiego metra. Nawet spacerując po mieście z ukochaną, Jelik zawsze w końcu prowadził ją na WDNCH, gdzie zapominał o dziewczynie, oczarowany doskonałością linii pawilonu Ukraińskiej SSR.

Cztery razy z rzędu próbował dostać się na Wydział Architektury i zawsze bez powodzenia. Ale przez te cztery lata do tego stopnia opatrzył się na wydziale, że wszyscy, włączając dyrektora, uwierzyli, że Oboleński od dawna u nich studiuje. Zaliczano mu kolejne przedmioty i wysyłano do objętego opieką wydziału kołchozu na wykopki ziemniaków. Wkrótce został głównym specjalistą. Nikt nie umiał lepiej od niego przedstawić światłocienia na popiersiu Apollona.

Oboleński stał się swego rodzaju znamienitością.

W innych czasach zakończyłby studia z wyróżnieniem, ale wtedy akurat dla romantyków nastały ciężkie czasy. Do architektury zaczęto wdrażać projektowanie typowe, a studenci zaczęli zajmować się twórczością Niemeyera i Le Corbusiera, których Oboleńskie serce pokochać nie mogło.

Oboleński przestał być wyróżniającym się studentem, zagubił się w tłumie średniaków, zaczął mieć coraz więcej tyłów i akurat przed dyplomem okazało się, że nie ma go na liście studentów, bo nie zdał egzaminów wstępnych.

Porzucił wydział bez żalu. Nie zrezygnował jednak ze swojego wielkiego marzenia - przebudowania wszystkich miast świata. Znalazł sobie pracę, co prawda nie w swoim zawodzie ale dającą mu zadowolenie: projektował torty w fabryce słodczy. Łączył w nich krem i architekturę, i wślawił się w cukierniczych kręgach do tego stopnia, że zamawiano u niego jubileuszowe torty dla ministrów i artystów narodowych.

Ale dla swoich przyjaciół inteligentów Oboleński pozostał księciem i architektem. Przez swoją kochankę, pracującą w dziale pomieszczeń niemieszkalnych, udało mu się zdobyć piwnicę i urządzać tam pracownię. Zaprzyjaźnił się z bojownikami o ducha narodowego. Do jego pracowni zawsze można było przyjechać z przyjacielem albo dziewczyną, wypić i pogadać o bieżących problemach. Projekty miast przyszłości Oboleński pokazywał tylko ludziom bliskim, zaufanym, a poeci dla młodzieży musieli zadowolić się oglądaniem ikon i wrzecion.

Jak tylko Pupykin został przewodniczącym Rady Miejskiej, natychmiast ściągnął Oboleńskiego. Dał mu mieszkanie i stanowisko naczelnego architekta miasta. Oboleński przywiózł ze sobą wagon rysownic. Zaczął gorączkowo przygotowywać wyburzenie i odbudowę Wielkiego Guslaru. Ale nie

zdążył: Pupykin stracił stanowisko, stoczył się w dół.

Oboleński, który nie miał już gdzie się podziać, pozostał naczelnym architektem, może dlatego że nie miał wrogów, jeśli nie liczyć obrażonych mężów i porzuconych kobiet, a może dlatego że zbliżył się z naczelnym budowniczym Słabienką. Słabienko też chciał zburzyć Wielki Guslar, który przeszkadzał mu rozwinać skrzydła. Co prawda, trzeba było zrezygnować z kompletnego przerobienia Guslaru, ale Oboleński i Słabienko wierzyli, że jedną magistralę uda im się poprowadzić.

Magistrala miała przeciąć miasto na połowy, rozwiązać wszystkie problemy komunikacyjne oraz zapewnić budowniczym pracę na najbliższą dziesięćlatkę. Wymyślił ją Pupykin, chciał nią wozić delegacje z zagranicy i województwa. Ale społeczeństwo, kto' re już dawno podniosło głowę, zaczęło protestować. I magistrala, dla której trzeba by zburzyć sześć cerkwi, ostatni zajazd i szesnaście dziewiętnastowiecznych budynków, stanęła pod dużym znakiem zapytania.

- Bez magistrali - mówił Oboleński, przechadzając się wzdłuż projektu i czasem wskazując jakiś jego fragment - nasze miasto zostanie skazane na uduszenie się problemami komunikacyjnymi i znajdzie się za burtą progresu. Niektórzy moi oponenci twierdzą, że zostanie zniszczone historyczne oblicze miasta. Ale to nie jest oblicze, którego potrzebujemy. Pozwólcie, że zapytam, czy ludzie chcą wlec się do pracy wąskimi, krzywymi uliczkami naszych dni, czy też wolą mknąć ku bramie swojego biura autobusem pospiesznym, prostą aleją...

Gdy Oboleński skończył przemawiać, w ciszy rozległ się twardy głos Słabienki:

- Zgadzą się.

Udał się, sam będąc budowniczym, wprowadzić niewielkiej klasy, ale jednak, rozumiał, że dla Słabienki o wiele lepiej i wygodniej jest dostać pod budowę wielki na pół miasta plac i za jednym zamachem rozwinać epopeję. Gdy stworzysz epopeję, nie ma co się rozdrabniać. Jakie Słabienko ma teraz życie? To na Griaznuchie przedszkole buduje, to nowe skrzydło dla akademika, to wciska osiedle nad parkiem, to przerywa remont szkoły muzycznej - i biega tak człowiek wte i wewte, jak holenderski chłopczyk z wyciągniętym paluszkami wzdłuż tamy. A dookoła buszują widzowie, czyli społeczeństwo, i wszyscy niezadowoleni, że nie tak robisz, jak by oni chcieli.

Oj, nie lubi Słabienko społeczeństwa, nie jest zadowolony z Białosielskiego, którego społeczeństwo prowadzi na smyczy, który wprowadził głośność i pierestrojkę bez granic. Nawet sekretarkę zwolnił. Nie zamyka drzwi. A co będzie, jeśli przeniknie wróg?

Popiecznicy czym prędzej zaczęli naśladować przewodniczącego. Malużkin, redaktor naczelny gazety, opowiedział się za jawnością dwa lata temu. Poszedł nawet dalej niż Białosielski: drzwi do swojego gabinetu zdjął z zawiasów i wyrzucił na śmietnik. A nad wejściem umieścił neonową wywieszkę: „Przyjęcia o każdej porze doby”. W „Guslarskim Sztandarze” popiera się dowolne przedsięwzięcie. Co prawda, Malużkin zawsze najpierw dzwoni do Białosielskiego: „To jak, Mikołaju Iwanowiczu, co pan o tym myśli?”. A Białosielski za każdym razem odpowiada mu pytaniem: „A co pan o tym myśli?”. Wtedy Malużkin śmiało idzie naprzód.

- Ile to już lat ci żalosi projektanci znęcają się nad naszymi nieszczęsnymi miastami?! - wykrzyknął Malużkin, wstając. - Mam tu smutną statystykę lat trzydziestych i czterdziestych. Zburzono niezliczone zabytki architektury. W pozostałych są magazyny, a dzwonnica soboru została przerobiona na wieżę do skoków ze spadochronem...

- Nie przyszliśmy tu chyba po to, żeby słuchać wykładu o spadochronach? - powiedział Słabienko.

- Co tu mają do rzeczy spadochrony! - zawołał Malużkin. - Proszę mi nie przerywać. Niech pan lepiej powie ludziom, po co dwa lata temu zaczął pan przerabiać dom kupca Gamowatego na łaźnię?

- Na saunę - poprawił go Słabienko. - Dla pracowników fermy zwierzęcej. Robotnicy chcieli się myć.

- Na osobistą saunę dla sławetnego Pupykina - odezwała się dyrektorka biblioteki.

Rozgorzała bitwa.

Trzykrotnie ją przerywano, ponieważ masy pod oknami domagały się informacji o przebiegu zebrania, i informacje te oczywiście otrzymywały - w Wielkim Guslarze nie zdarzają się tajne dyskusje i zamknięte posiedzenia.

Problem polegał na tym, że nawet najzajadlejsi obrońcy zabytków rozumieli, że trzeba będzie zbudować magistralę - w przeciwnym razie miasto nie poradzi sobie z komunikacją. I nawet gdyby odrzucono plany Oboleńskiego, kaplica Świętego Filipa i trzy stare domy znajdują się na jej drodze.

Po dwóch godzinach dyskusji Białosielski odwrócił się do profesora Minc'a i zapytał:

- A co na to nauka? Czyżby nie było żadnego wyjścia?

- Zastanawiałem się już nad tym - odezwał się Minc. - Oczywiście, można by zbudować tunel pod miastem, ale niestety budżet Wielkiego Guslaru tego nie wytrzyma.

- Sami widzicie - powiedział Oboleński. - Nawet Lew Chrystoforowicz zdaje sobie z tego sprawę. - jest inna możliwość? - zapytał Białosielski.

- Jest, i to kardynalna - odparł Minc.

- Niech pan powie - poprosił Białosielski.

- Grawitacja - powiedział Minc. - Jak tylko opanujemy siły grawitacji, będziemy mogli przesunąć dowolny dom nawet bez użycia dźwigów.

- Ico stoi na przeszkodzie?

- Niestety, nie wynalazłem jeszcze antygravitacji - odpowiedział Minc z miną winowajcy. - W teorii wszystko działa, ale w praktyce...

- Jak możemy panu pomóc? - zapytał Białosielski, przeczekawszy falę okrzyków zdumienia. - Może potrzebuje pan środków, pomocników, sprzętu?

- Nie sędzę, by cokolwiek na świecie mogło mi pomóc - odparł Minc i kichnął. - Drugi taki geniusz jeszcze się nie urodził... - Minc zamilkł, powoli zamknął usta i w zadumie usiadł.

- Co z panem? - zapytała Finifliukina. - Może przynieść panu wody?

Minc pokręcił przecząco głową.

Przez chwilę panowała cisza. Tylko z placu dobiegał równy pogwar czyniony przez tłum. W końcu Minc podniósł głowę i obrzucił obecnych wzrokiem.

- Jutro dam odpowiedź.

- Co za brednie! - zawołał Oboleński. - Przecież to szarlataneria! Żaden instytut na świecie tego nie osiągnął, nawet w Japonii nie ma żadnej antygravitacji. Warto by sprawdzić, z jakiej to studni profesor Minc czerpie swoje wątpliwe idee.

Słabienko tylko się sarkastycznie uśmiechnął. I wtedy odezwał się Białosielski:

- Mam nadzieję, że obecni tu towarzysze i przedstawiciele społeczeństwa zgodzą się, że problem jest na tyle poważny, by odłożyć jego rozwiązanie na dwa dni. Osobiście głęboko wierzę w geniusz towarzysza Lwa Chrystoforowicza. Już niejednokrotnie nam pomógł.

Gdy Oboleński zaczął wyciągać pinezki, żeby zdjąć swoje tęcze plany, Białosielski powiedział:

- Niech pan zostawi tutaj swoje dzieła. Ludzie będą przychodzić do mojego gabinetu. Niech patrzą i mówią, co o tym myślą.

** *

Udałow odprowadził Minca do domu. Profesor zupełnie się rozłożył. Kichał, chrypiał - poranna przebieżka fatalnie odbiła się na jego zdrowiu, nadwątłym działaniem umysłową.

- Co pan tak wtedy zamilkł, Lwie Chrystoforowiczu? - zapytał Udałow. - Co za świetlany pomysł przyszedł panu do głowy?

- Domyślił się pan? - zdziwił się profesor. - Myślałem, że nikt nie zauważył.

- Za dobrze pana znam, sąsiedzie - powiedział Udałow. - Niech pan pomyśli, ile przygód razem przeżyliśmy!

Zatrzymał się, przyłożył dłoń do czoła profesora i rzekł:

- Lwie Chrystoforowiczu, pan ma gorączkę. Niech pan natychmiast weźmie aspirynę i od razu kładzie się do łóżka.

- Nie! - wykrzyknął Minc. - W żadnym wypadku! Muszę natychmiast jechać... iść... przejść... Dałem słowo. Miasto czeka!

- Lwie Chrystoforowiczu, nie ma pan racji. W takim stanie nic pan nie zrobi. A jeśli trzeba gdzieś pojechać - wie pan, że jestem gotów. Tym bardziej dla naszego miasta.

- Nie! - Minc chwiał się na nogach. Przeziębienie dawało o sobie znać. - Ta podróż może być bardzo niebezpieczna. Z powodu swojej nieprzewidywalności.

- Podróż?

- Tak, swego rodzaju podróż.

Doszli do bramy domu numer szesnaście. Pogoda się zepsuła, zaczął kropić deszcz. Żółte liście opadały z drzew i przyklejały się do mokrego asfaltu. Minc przystanął w bramie i powiedział:

- Panu, Korneliuszu Iwanowiczu, zdradzę tę niebezpieczną tajemnicę, ale nie mogą jej poznać ludzie żądni zysku i kręgi militarne.

- Niech pan poczeka - przerwał przyjacielowi Korneliusz. - Najpierw pójdziemy do domu, zaparzymy herbatę, połknimy aspirynę, a dopiero potem porozmawiamy.

- Niestety, nie mamy czasu. Widzi pan przecież, w jakiej krytycznej sytuacji znalazło się nasze miasto. Słabienko ma poparcie w województwie... Ludzie oczekują ode mnie szybkich rozwiązań. Dałem słowo...

Mimo wszystko Korneliuszowi, który był trochę młodszy, udało się zaciągnąć profesora do domu. Kazał mu się przebrać, a sam obiecał, że zaraz przyjdzie.

Oczywiście, nie udało mu się zaraz przyjść. Zanim się umył i opowiedział wszystko Kseni...

Przy obiedzie włączył telewizor, program lokalny. Pokazywano sąd społeczeństwa nad Pierodonowym, który rzucił na jezdnię bilet autobusowy. Prokurator domagał się wygnania z Guslaru, obrońca kładł nacisk na wiek i zasługi oskarżonego. Przestępca płakał i przyrzekał poprawę. Ograniczono się do surowej nagany, potem była rozmowa z sierżantem Pilipienko o bezdomnych kotach. Zdaniem Pilipienki koty są bezdomne, ponieważ za słabo je kochamy. Jeśli się kota pieści i dba o niego, to nie wyjdzie z domu.

Udałow drgnął, jakby usłyszał wewnętrzny dzwoneczek alarmowy. Co z Mincem? A jeśli zlekceważy swój stan i wyjdzie z domu?

Błyskawicznie zrzucił kaptcie, włożył pantofle i narzucił marynarkę. Minutę później był już u Minca, który leżał bez sił na kanapie.

- Zaraz zrobię panu herbatę - powiedział Udałow, włączając gaz. - Musi się pan położyć do łóżka.

- Nie! - wykrzyknął Minc. Spróbował wstać, ale był zbyt osłabiony.

Udałow przyniósł mu herbatę i tabletki. Minc się poddał. Posłusznie wypił gorącą herbatę, połknął lekarstwa i dopiero wtedy Udałow zgodził się go wysłuchać.

- Wiem - powiedział Minc słabym głosem - że w ciągu dwóch dni nie rozwiążę problemu grawitacji. Za dużo pozostało jeszcze do zrobienia. Ale jest nadzieja, że pewien człowiek jest bliżej rozwiązania problemu niż ja.

- I do niego pan się wybierał?

- Właśnie.

- I dokąd, jeśli mogę zapytać? Do Japonii, do Konotopu?

W głosie Udałowa dźwięczała ironia. Już on wiedział, że na całym świecie nie ma człowieka, który dorównywałby genialnością profesorowi Mincowi.

- Jeszcze dalej - uśmiechnął się Minc.

- Jak rozumiem, za lasem czeka na pana statek kosmiczny.

- Prawie pan zgadł, przyjacielu - powiedział Minc.

- I jak nazywa się ten nasz dobroczyńca?

- Minc - odpowiedział profesor. - Nazywa się Lew Chrystoforowicz Minc.

- Bredzi pan? - przestraszył się Udałow.

- Jestem absolutnie przytomny. Chcę wykorzystać fakt istnienia światów równoległych.

- To one istnieją?

- Tak, i to nieskończenie wiele. Ale każdy różni się czymś od naszego. Trafiłem na taki, który rozwija się tak samo jak nasz. Różnice są minimalne.

- To znaczy, że istnieje Ziemia - pojął Udałow - gdzie jest Wielki Guslar, jest profesor Minc...

- Jest nawet Korneliusz Udałow - powiedział profesor.

- Naprawdę?

- Zostało to teoretycznie udowodnione.

- I pan chce tam pojechać?

- Właśnie. Tam mieszka mój sobowtór.

- Ale skoro pan nie wynalazł antygravitacji, to skąd pewność, że jemu się udało?

- Świat równoległy, nazwijmy go Ziemia 2, nie jest dokładną kopią naszego świata. Występują pewne różnice. I jeśli wierzyć moim wyliczeniom, Ziemia 2 wyprzedza nasz świat o miesiąc. A za miesiąc na pewno wynajdę antygravitację.

- No i pięknie - powiedział Udałow, który rozumowo przyjmował kolejne odkrycie profesora, ale jego dusza nie akceptowała takiego rozwoju wydarzeń. Trudno sobie wyobrazić, że ty, twoja żona Ksenia, profesor Minc, a nawet towarzysz Białosielski żyjecie gdzieś tam, miliardy galaktyk albo miliony lat świetlnych stąd.

- Nie wierzy pan? - zapytał Minc.

- Wierzyć wierzę, tylko nie wiem... A to daleko stąd?

- Nauka nie zna odpowiedzi na to pytanie - odparł Minc. - Istnienie światów równoległych zakłada wielowymiarowość wszechświata, który jest zakrzywiony w tak skomplikowany sposób, że

światy równoległe faktycznie stykają się ze sobą, a jednocześnie są od siebie oddalone o miliardy lat świetlnych. Nie, to przekracza nasze zdolności pojmowania!

- Skoro tak, niech mi pan tego nie wyjaśnia - zgodził się Udałow. - Wyzdrowieje pan, wyleży się, wyruszy do tego swojego świata równoległego i pomówi sam ze sobą. Może to rzeczywiście załatwi sprawę.

- Nic pan nie zrozumiał! - wykrzyknął przeziębiony profesor. - Przecież dałem słowo! Miasto czeka! Jeśli za dwa dni nie znajdę antygravitacji, Oboleński zacznie...

Profesorowi załamał się głos.

- Niech pan się tak nie denerwuje - powiedział Udałow. - Nie jest pan sam. Jest z panem społeczeństwo.

- Obiecałem - powtórzył słabym głosem profesor.

Zaczął się rzucać, bredzić, w końcu swoimi jękami doprowadził do tego, że Udałow oświadczył:

- No dobrze, pójdę tam zamiast pana.

- Nie, to zbyt niebezpieczne!

- Dlaczego?

- Nie wiemy, jaka jest różnica między ich i naszym światem.

- A jaka może być różnica, jeśli światy są równoległe?

- Równoległe, ale nie identyczne.

- W takim razie to jeszcze bardziej interesujące.

- Nie mogę wziąć na siebie takiej odpowiedzialności.

- Zайдę tam z samego rana, jeszcze przed pracą.

- A jeśli coś pana zatrzyma?

- Wtedy tam zjem śniadanie. Pieniądze są pewnie takie same?

- Udałow, niech pan nie zadaje idiotycznych pytań! - zdenerwował się profesor. - Nie byłem tam, nikt tam nie był. Jak pan zgłodnieje, to pójdzie do samego siebie. Co, może nie nakarmią?

- To znaczy, że mogę iść bez bagażu - powiedział Udałow.

- Według moich obliczeń podróż zajmie panu dwie godziny. Musi pan zajrzeć do własnego domu, spotkać się ze mną, porozmawiać, wszystko wyjaśnić, wziąć wzory antygravitacji, jeśli oczywiście są, i zaraz potem wracać.

- No to ustaliliśmy - ucieszył się Udałow. - A pan niech odpoczywa. Może wezwać lekarza?

- Nie, mój organizm da sobie radę - odparł Minc.

- Niech mi pan da słowo, że do jutra nie wstanie pan z łóżka! Po chwili wahania Minc obiecał i Udałow uspokojony poszedł do siebie. Lew Chrystoforowicz zawsze dotrzymywał słowa.

* * *

Do podróży do świata równoległego Udałow odniósł się bez paniki. Nieraz już odbywał podobne podróże. Ale nowa wyprawa była pożywką dla rozmyślań. I Udałow rozmyślał.

Tego wieczoru poszli z Ksenią do odrestaurowanego teatru miejskiego, gdzie dawała koncert kameralna orkiestra pod dykcją Spiwaka. Teraz, gdy ożywiło się życie duchowe Wielkiego Guslaru, przyjeżdżało tutaj wielu wybitnych artystów, nawet z zagranicy. Na niektóre koncerty trudno było dostać bilety. Na przykład, na wieczór Adriano Celentano zjechali się widzowie z całego rejonu, nawet z Potmy i Pijanego Boru.

Artyści również byli zadowoleni z występów w Wielkim Guslarze. Podobały się im i jego zabytki, i spokojna, dobroduszna ludność, i entuzjizm amatorów sztuki. Ale najbardziej cenili sobie

guslarski teatr, zbudowany pod koniec osiemnastego wieku sumptem kupca Semibratowa, niestety, pod koniec ubiegłego wieku opuszczony. W latach pierwszych pięciolatek był w nim magazyn, potem przerobiono go na cech kaloszników. Pupykin, gdy jeszcze był głową miasta, chciał zrobić w dawnym teatrze Dom Przyjęć, ale Oboleński namówił go, żeby teatr zburzyć, a na jego miejscu wzniesić Dom Przyjęć z białego marmuru. Na szczęście Pupykina zdjęto ze stanowiska, a teatr odrestaurowano. Na plac budowy (prace były oczywiście dobrowolne) przychodzili niemal wszyscy, a kto nie mógł przyjść, pomagał w inny sposób - jedni szyli portiery, inni wykonywali klamki z brązu, jeszcze inni wycinali różne detale z drewna. 3 Gdy teatr, skromny i przytulny, otworzył swoje podwoje, specjaliści * z całego świata byli wstrząśnięci jego akustyką. Do ostatniego rzędu dolatywał nawet, szlachetniejąc w locie, szelest rzes aktorek.

Co się zaś tyczy instrumentów muzycznych, to ich brzmienie w wykonanej rękami nieznanymi guslarskich mistrzów sali bardzo zmieniło się na korzyść. Stojący na scenie fortepian fabryki „Czerwony Październik” brzmiał nieco lepiej od Steinwaya, a skrzypce... Stradivarius umarłby z zawiści!

Udałow siedział z Ksenią w trzecim rzędzie, upajając się muzyką. A raczej Ksenią się upajała, a Udałow myślał. Jeśli w tamtym świecie jeszcze nie rozwiązali problemu grawitacji, to trzeba będzie szukać innego świata, w końcu jest ich nieskończenie wiele. Jeśli nie uda się za pierwszym razem, będzie musiał wziąć urlop. Tak, Minc ma rację, światy równoległe muszą pozostać tajemnicą państwową. Jeszcze, nie daj Boże, jakiś łajdak chciałby wykorzystać je dla swoich celów... A jeśli już nieraz je wykorzystywali? Jeśli jakiś inny Minc już zajął się tymi podrózkami, ale nie ma przy sobie takiego wiernego Udałowa? Zaufał byle komu, a ten jest już tutaj... Ale po co tutaj? A po to, żeby ukraść z muzeum jakiś cenny eksponat!

Ta myśl przeraziła Udałowa, zaczął kręcić głową, obawiając się, że zobaczy przybysza. Potem zrozumiał. Nie rozpozna go. Przecież wszyscy przybysze są sobowtórami. Patrzysz na niego i myślisz: oto prowizor Sawicz ze swoją małżonką Wandą Kazimirowną. A tak naprawdę to sobowtór Sawicza i sobowtór jego małżonki. Albo jeszcze gorzej - sobowtór Sawicza, ale małżonka jest prawdziwa... Chwileczkę, chwileczkę, a co z Ksenią? To znaczy, że tam jest druga Ksenią? Taka sama, czy może trochę inna?

Udałow spojrzał na żonę. Nie widziała niczego dookoła siebie, ścisnęła w rękach chusteczkę - smutna muzyka Sibeliusa wprowadziła ją w stan ekstazy.

Gdy wracali z teatru do domu, Udałow powiedział Kseni, że jutro jedzie w podróż służbową, która może się trochę przeciągnąć.

- Dokąd? - zapytała Ksenią z roztargnieniem. Ciągle jeszcze pozostawała we władzy sztuki.

- Przygotuj mi ciepłe skarpetki. I przyszyj guzik do płaszcza.

Gdyby nie muzyka, Ksenią oczywiście wyciągnęłaby z męża, dokąd się wybiera. Ale teraz nie miała ochoty nic z niego wyciągać. Wieczór był cichy, cudowny, deszcz przestał padać, ucichł wiatr. Po różnobarwnej kostce nowej jezdni powoli przechadzali się mieszkańcy miasta, uwzniośleni sztuką. Witryny sklepów i kafejek rzucały ciepłe światło. Po drodze do domu Udałow z Ksenią zajrzeli do delikatesów, kupili serwetkę, trochę czerwonego kawioru, banany i śmietanę - na śniadanie. Sprzedawczyni Dusia bardzo żałowała, że nie mogła być na koncercie, ale mówiono, że Spiwak ma rano wystąpić jeszcze raz, specjalnie dla tych, którzy nie mogli posłuchać go wieczorem.

Udałow wysłał żonę z zakupami do domu, a sam ostrożnie zajrzał do Minca.

Minc spał. We śnie poruszał wargami, mamrotał, był niespokojny.

Rano Udałow o mały włos wszystkiego nie zepsuł. Gdy już się ubrał i podszedł do drzwi, obejrzał się, popatrzył na żonę i pomyślał: a jeśli już jej więcej nie zobaczę? Wrócił się, objął Ksenię i pocałował.

Ta czułość ja zaniepokoiła.

- Ty co? Dokąd?

- Przed wieczorem wrócę - powiedział Udałow, ale głos mu drgnął.

- Coś mi się tu nie podoba. Przyznaj no się, co to za jedna?

- Przysięgam ci, Ksiusza, że jadę w podróż służbową, załatwić pewne sprawy dotyczące naszego miasta. A pocałowałem cię z powodu nagłego przyływu uczuć. Czy nie mogło się tak zdarzyć?

- Coś wcześniej mnie rano nie całowałaś - zauważyła bystrze Ksenia. - A skoro wcześniej nie całowałaś, a teraz zaczęłaś, to znaczy, że coś jest nie w porządku.

- Boże! - zdenerwował się Udałow. - To już własnej żony nie można pocałować, od razu afera!

Obraził się. Wyszedł i trzasnął drzwiami. Ksenię trochę to uspokoiło.

Do Minca Udałow wszedł z pompą, otworzył drzwi na oścież i omal nie przewrócił etażerki z czasopismami.

Minc już nie spał, siedział owinięty kołdrą na kanapie.

- Zdziwiające - powiedział na widok Udałowa. - Nie mogę wstać. Taki jestem słaby, aż wstyd.

- To nic - odpowiedział Udałow. - Nie marnujmy czasu. Lekarstwa już pan brał?

Korneliusz zrzucił płaszcz, zaparzył szybko herbatę i przygotował śniadanie. W tym czasie Minc opowiedział mu, co trzeba zrobić.

Przejsć do świata równoległego należało w konkretnym punkcie, wyliczonym przez Minca. Znajduje się on w lesie, za miastem, na szóstym kilometrze. Dobrze się składa, ponieważ przejściu będzie towarzyszyć wydzielenie pewnej ilości energii i lepiej, żeby się to stało w miejscu, gdzie nie będzie ludzi, którym mogłoby to zaszkodzić. Trzeba wyjąć z walizki zestaw ograniczników, podobnych do noży stołowych, wetknąć je w ziemię wokół siebie, a następnie nacisnąć przycisk energotranslokatora. Tam, w świecie równoległym, również należy ogrodzić miejsce wejścia ogranicznikami i zapamiętać je - w innym się nie przejdzie.

Udałow wysłuchał instrukcji, włożył do teczki zestaw ograniczników i przyczepił do koszuli malutki energotranslokator. Był gotów do podróży.

- Niech pan pamięta, przyjacielu - powiedział Minc - że przejść może tylko jeden człowiek. Nie będę mógł przyjść panu z pomocą. Ale jestem przekonany, że w dowolnym świecie równoległym profesor Minc ciągle będzie tym samym profesorem Mincem, a Korneliusz Udałow okaże się taki sam dobry i odważny jak tutaj. A więc, w fazie jakichkolwiek problemów niech się pan zwróci albo do mnie, albo do siebie.

Minc uniósł słabą rękę.

- Czekam! Niech pan wraca z tarczą, nie na tarczy. Udałow wyszedł, zastanawiając się nad sensem nieznanego mu przysłowia. Ciekawe, co profesor miał na myśli, mówiąc o tarczy? Ale wkrótce wyrzucił z głowy tę myśl i ruszył na przystanek autobusowy.

W autobusie był tłok - wiadomo, godziny szczytu, wszyscy jadą do pracy. Autobus długo krążył po wąskich ulicach, z pięć minut stał na skrzyżowaniu - tak intensywny ruch był w Wielkim Guslarze. Udałow rozmyślał nad wagą swojej misji. To przecież właśnie on ma rozładować komunikacyjne zatory i uratować miasto. Ludziom jest ciężko.

Przed delikatesami do autobusu wsiadł Pupykin. Jak zawsze uśmiechnięty, służalczy.

Jakie to dziwne, że ten człowiek ze spoconymi dłońmi przez cały rok stał na czele miasta. I gdyby społeczeństwo się nie zbuntowało, gdyby nie nastąpiła era demokracji, ciągle dręczyłby uczciwych ludzi.

- Korneliusz Iwanowicz! - zapiszczał Pupykin. - Co za szczęście! A ja właśnie spieszę na poranny bieg. Pan dzisiaj nie biegnie?

- Praca - powiedział Udałow. - Dzisiaj nie mam czasu. Jutro będę biegał.

- Ach, ja też jestem taki zajęty - przyznał się Pupykin. - Ale trzeba się pokazać towarzyszowi Białosielskiemu. Mógłby pomyśleć, że wykręcam się swoim zdrowiem, prawda?

- Nie wiem, co myśli towarzysz Białosielski. On i bez pana ma sporo problemów.

- Tak, Mikołaj Iwanowicz jest strasznie zajęty! Lepiej niż inni jestem w stanie zrozumieć jego problemy. Słyszałem, że w zarządzie ochrony przyrody szukają inspektora do spraw ptactwa. Nie mógłby pan tam szepnąć o mnie słówka?

- Co mnie do tego? - zapytał z udreką Udałow, patrząc w okno autobusu.

- Pan ma kontakty - powiedział Pupykin z przekonaniem. - Sam towarzysz Białosielski się z panem konsultuje.

- Jakie tam kontakty...

- Nie! - zapiszczał Pupykin i udał, że chce żartobliwie tknąć Udałowa palcem w brzuch. - Ma pan kontakty, ma! A na emeryturę jeszcze dla mnie za wcześnie. Energia we mnie kipi, pragnę mieć swój wkład w życie miasta!

Autobus zatrzymał się i kierowca powiedział:

- Przystań. Następny przystanek - park miejski.

Udałow mocno popchnął Pupykina do wyjścia. Jeszcze nie tak dawno był inny, zupełnie inny, pomyślał. I który Pupykin był prawdziwy, ten tutaj, czy ten, który wzywał go do siebie na dywanik i wygłaszał reprimendy?

* * *

W lesie na szóstym kilometrze Udałow odnalazł potrzebne miejsce. Minc zaznaczył tam kredą dwa pnie, pomiędzy którymi trzeba umieścić ograniczniki.

Udałow otworzył teczkę. W lesie było cicho, nawet ptaki nie śpiewały. Jesień. Tylko przypadkowy komar brzęczał przy uchu.

Miejmy nadzieję, powiedział do siebie Udałow, że tam, w świecie równoległym, też nie pada deszcz.

Ustawił ograniczniki, wetknął je jak najgłębiej w ziemię, żeby któryś z grzybiarzy nie połasił się na błyszczące noże, i przysypał liśćmi.

Potem wszedł do kręgu, wymacał przy kołnierzu przycisk na energotranslokatora, zmrużył oczy i nacisnął.

W tym momencie gdzieś go porwało, zakręciło nim, Korneliusz stracił równowagę i zaczął spadać, wkręcając się w przestrzeń.

W rzeczywistości nigdzie nie spadał. Gdyby mógł go zobaczyć jakiś przypadkowy przechodzień, byłby wstrząśnięty widokiem grubawego mężczyzny w średnim wieku, który rozpaczliwie wymachuje rękami, jakby szedł po linie, ale przy tym nie rusza się z miejsca. I stopniowo rozplywa się w powietrzu.

Gdy minęły już mdłości i uczucie wirowania, Udałow otworzył oczy.

Podróż dobiegła końca. A może w ogóle się nie zaczęła.

Wokół niego był taki sam cichy las i tak samo brzęczał przy uchu komar.

Potem gdzieś daleko zakukała kukułka. Udałow stał, słuchał, ile mu jeszcze zostało lat. Wyszło, że trzydzieści. Może być. Akurat do emerytury. Z oddali dobiegły wystrzały. Czyżby i tutaj nie zrobiono jeszcze porządku z kłusownikami?

Udałow obejrzał się, popatrzył, czy ograniczniki są na miejscu.

Ograniczników nie było. Ziemia była pusta. A skoro bajek i cudów nie bywa, to znaczy, że Udałow jest już w świecie równoległym. Który też trzeba zaznaczyć ogranicznikami.

Tak zrobił. I tak samo jak w swoim świecie, przysypał je suchymi liśćmi.

Potem popatrzył na niebo. Niebo było pochmurne, deszcz mógł zacząć padać w każdej chwili. Gdzie iść?

Głupie pytanie, odpowiedział sam sobie Udałow. Trzeba iść do miasta, do siebie, do domu!

Zdecydowanym krokiem poszedł w stronę szosy.

Pierwszą różnicę zauważył na przystanku.

Sam przystanek wyglądał tak samo - betonowy placyk, a na nim słup z numerem i rozkładem jazdy. Tylko że słup był przekrzywiony, a rozkład jazdy tak wychłostany deszczem i wiatrem, że nie sposób było dowiedzieć się, kiedy przyjedzie autobus.

Czas płynął, a autobusu ciągle nie było. Przejechało kilka samochodów, lecz żaden się nie zatrzymał, żeby zabrać Udałowa.

Udałow zdecydował, że pójdzie na piechotę. Do miasta było sześć kilometrów, ale za dwa kilometry będą Wysielki, a stamtąd jeździ dwudziestka do samej ulicy Puszkina.

Po drodze Udałow rozglądał się uważnie, wyszukując różnice. Nie było ich dużo. Na przykład szosa. W naszym świecie doprowadzili ją do porządku jeszcze zeszłej wiosny. Tutaj, jak widać, nie mieli czasu, żeby to zrobić. Wyboje, dziury, gdzieś pęknięcia... Jako specjalista, Udałow wiedział, że jeśli nie zajmą się tą szosą w najbliższym czasie, trzeba będzie przeznaczyć na remont znacznie większe pieniądze. Musi im powiedzieć... Ale komu? Powiem Udałowowi, postanowił Udałow.

Wreszcie przed nim pojawiły się dachy Wysielek. Wyszedł na jedyną w tej miejscowości ulicę. Przed sklepem na schodkach siedziało dwóch smutnych miejscowych. Na przystanku autobusowym nie było żywego ducha.

- Autobus dawno był? - zapytał Udałow jednego z miejscowych.

- Autobus? - Mężczyzna popatrzył na Udałowa jak na chorego psychicznie. - Jaki autobus?

- Do centrum - powiedział Udałow.

- Potrzebuje autobusu do centrum - oznajmił mężczyzna swojemu kompanowi.

- Zdarza się - odpowiedział tamten.

Ze sklepu wyszedł jeszcze jeden mężczyzna, nieco starszy. Niósł w ręku ciemną flachę.

- Jest politura - rzekł i szybko się oddalił. Rozmówcy Udałowa pobiegli za posiadaczem butelki.

- Kiedy będzie autobus?! - krzyknął za nimi Udałow.

Nie odpowiedzieli, a staruszka, która wyszła ze sklepu za człowiekiem z butelką, powiedziała:

- Nie będzie autobusu, kochany. Odwołali.

- Jak to odwołali? Na długo?

- W drodze wyjątku na prośbę pracowników.

- A kiedy przyjedzie?

- Nigdy nie przyjedzie - wyjaśniła staruszka. - Po co ma przyjeżdżać, skoro nie chcemy, żeby przyjeżdżał.

- Ale do miasta jest cztery wiorsty na piechotę!

- A ty się, gołąbeczku, nie spiesz, pooddychaj sobie świeżym powietrzem. Dlatego właśnie zlikwidowali autobus, żeby ludzie mogli sobie powietrzem pooddychać. Dla zdrowia.

- Czy wy, babciu, nie żartujecie?

- A skąd! Wąska Iwanów sobie żartował. I gdzie teraz jest? Milczysz? No właśnie.

Udałow nie znał ani Wąski, ani jego aktualnego miejsca pobytu. Ale nie pytał. Poszedł dalej.

Cztery kilometry to nie tak znowu dużo. Tym bardziej jeśli nie wieje wiatr, nie pada deszcz i słońce za bardzo nie grzeje.

Wkrótce Udałow dogonił młodą kobietę z plecakiem i walizką. Była ubrana w waciak i spodnie narciarskie. Na nogach miała męskie pantofle, głowę owiniętą szarą chustką.

- Może pomóc? - zaproponował Udałow.

- Nie trzeba.

Jej twarz wydała mu się znajoma. Szedł obok, próbując sobie przypomnieć.

- Co pan tak się przygląda? - zapytała kobieta, nie patrząc w jego stronę. - Nie poznaje mnie pan czy co?

- Twarz znajoma... Niedawno panią widziałem... Nie chciałbym pani urazić, ale jest pani tak nietypowo ubrana...

- No, Udałow! - roześmiała się kobieta. - Ty, ostrożny!

Dopiero po tym, jak wymówiła te słowa, po uśmiechu i po stalowej koronce w prawym kącie ust Udałow poznał Zinoczkę Soczkinę - śmieszkę, żartownię, dyrektorkę szkoły muzycznej i aktywną działaczkę społeczną. Jeszcze wczoraj biegli razem i ona domagała się utworzenia klasy harf. Ale ta miła, inteligentna kobieta była odmieniona w tak rażący sposób, że nawet rodzony ojciec nie od razu by ją poznał. Twarz jej zmizerniała, ogorzała od słońca, pokryła się siateczką przedwczesnych zmarszczek. Kędzierzawe włosy były schowane pod chustką, rzęsy nieumalowane, wargi spierzchnięte. I ten wzrok - pusty, ani śladu śmiałości i łobuzerstwa.

- Nie - powiedział Udałow - naprawdę pani nie poznałem, Zinoczko. Znam panią inną. Co się stało?

I w tym momencie Udałow zreflektował się: nie jesteś w domu, Korneliuszu, jesteś w świecie równoległym! A przemiana Ziny to jeszcze jedna różnica między tym a naszym światem.

- Żartuje pan sobie? - spytała Zina już bez uśmiechu. - Łatwo panu żartować.

Powiedziała to z taką goryczą, że Udałow zrozumiał: popełnił nietakt. Ale teraz nie miał głowy do dyplomacji. Możesz uznać, że miałeś szczęście, spotkałeś znajomą, która cię rozpoznała. Trzeba wyciągnąć z niej informacje, ostrożnie, żeby nie wystawić na strzał własnego sobowtóra, który nawet nie podejrzewa, że sobie spacerujesz po Wielkim Guslarze. - Skąd pani wraca? - zapytał Udałow. Spróbował przy tym jeszcze raz odebrać od młodej kobiety walizkę. Najwidoczniej zaskoczona wypuściła walizkę z ręki, ale od razu się spostrzegła i zaczęła ciągnąć ją do siebie. Walizka była ciężka, Udałow sprzeciwiał się i powtarzał: - Przecież chcę tylko pomóc!

Ale Zina z uporem ciągnęła walizkę w swoją stronę. Walizka nie wytrzymała tej walki, zamki puściły i wysypały się na ulicę mokre, brudne ziemniaki...

Zina odskoczyła, zasłoniła oczy rękami i zaczęła szlochać. - Przepraszam, nie wiedziałem - powiedział Udałow. - Nie chciałem.

Postawił otwartą walizkę na drodze, nachylił się i zaczął zbierać do niej ziemniaki.

Rozległ się pisk hamulców.

- Co żeś się tu rozłożył, żeby cię szlag!

Udałow uniósł głowę. Nad nim stał motocykl. Na siodełku, opierając się jedną nogą o asfalt, siedział stary znajomy - sierżant Pilipienko. Tylko że miał wąsy i kapitańskie pagony.

- Ty co, nie wiesz, co to za trasa?! Mam cię izolować?!

- Sioma, Pilipienko! - zdziwił się Udałow. - Co za trasa?

- A, to ty - powiedział Pilipienko. Jednak poznał. - Co żeś się tak wystroił?

A przecież Udałow nie miał na sobie nic szczególnego - modny płaszcz, uszyty w Guslarze przez spółdzielnię „Moda Komuny Paryskiej”, holenderski kapelusz kupiony w domu towarowym i doskonale armeńskie pantofle - ubranie jak ubranie - Co ty tu robisz? - zapytał podejrzliwie były sierżant, obecnie kapitan Pilipienko.

- Przecież widzisz - odpowiedział Udałow. - Ziemniaki się rozsypały.

- Ziemniaki? Skąd masz?

- Posłuchaj, Pilipienko, o co ci chodzi? Przecież znamy się od dzieciństwa.

Udałow obejrzał się w poszukiwaniu Ziny, ale nigdzie jej nie było. Udałow zdecydował, że przyzna się do tych ziemniaków. I tak gorzej już być nie może.

- Ziemniaki są moje - odpowiedział Udałow niemal bez wahania.

- Zdziwiasz mnie - powiedział Pilipienko. - I to w twojej sytuacji.

- Co ci się nie podoba w mojej sytuacji?

- Żartujesz?

- Nie, pytam.

- Dobra, zbieraj szybciej te ziemniaki, nie blokuj drogi - zaczął zrzędzić Pilipienko. Odpychając się prawą nogą, podprowadził motocykl trochę bliżej i zaczął przesuwając butem ziemniaki w stronę Udałowa.

W oddali zawyła syrena alarmowa.

- Z drogi! - zaryczał Pilipienko. Udałow odciągnął walizkę na bok.

- Zamknij ją! - krzyknął Pilipienko i nacisnął na gaz. Motocykl podskoczył i runął do przodu.

Udałow zamknął walizkę i wyprostował się.

W tym samym momencie zza zakrętu wyskoczyła czarna wołga z dwiema chorągiewkami, jakie widuje się na samochodach ambasady - z prawej strony państwowa, z lewej z herbem Guslaru: łódź pod żaglami, na dziobie siedzi pieśniarz z gęslami, a nad masztem - niedźwiedzia łapa pod czerwoną gwiazdą.

W samochodzie zamajaczył czyjś znajomy profil, na sekundę głowa odwróciła się i spojrzała na Udałowa. Udałow nie zdążył odgadnąć, kto to był.

Z tyłu mknęły jeszcze dwie wołgi, szara i zielona, za nimi żiguli, a w końcu motocyklista w mundurze policjanta.

Kondukt przeleciał i zniknął, pozostawiając po sobie chmurę spalin i strzępy przenikliwych dźwięków.

Udałow odwrócił się w stronę rosnących przy drodze krzaków i zapytał:

- Zina, jest pani tam?

- Jestem - usłyszał w odpowiedzi.

Soczki wygramoliła się z krzaków, blada, roztrzęsiona.

- Kto to był? - spytał Udałow.

- On. Wracają z polowania. Nie domyślił się pan?

- Zażartowałem.

- Mnie było nie do śmiechu. Myślałam, że ze mną koniec.

- No co pani? - zdziwił się Udałow. - Co takiego pani zrobiła, żeby się tak bać?

- Nie rozumie pan?

- Pojęcia nie mam.

- Korneliuszu Iwanowiczu - powiedziała z wyrzutem Zinoczka. - Mieszka pan ze mną w jednym mieście i niestety wiem, jaką rolę pan odgrywa. Jednego tylko nie rozumiem - dlaczego wziął pan na siebie moje przestępstwo, ryzykując głowę?

- Niczego nie ryzykuję. Ale wielu rzeczy nie rozumiem - przyznał się Udałow. Podniósł walizkę i zaczął iść. Zina szła obok niego.

- Wiem, o co chodzi - powiedziała. - Sumienie się obudziło. Ksenia mi mówiła, że nie jest pan takim bydlęciem, jak by się mogło wydawać. Nie uwierzyłam jej.

- I gdzie to mówiła?

Wtedy Zina zatrzymała się, spojrzała na Udałowa i odpowiedziała zagadkowo:

- Tam gdzie rosną ziemniaki. - Nagle wybuchła: - Przeklęty obłudnik! Proszę mi oddać walizkę! Udałow posłuchał.

- A teraz niech pan już idzie - rozkazała Zina. - Nie wiem, może coś w panu drgnęło, ale najpewniej to strach przed rozprawą. Do widzenia. Nie widziałam pana i pan też mnie nie widział! I do miasta nie szłam.

Udałow już wiedział, że lepiej nie zadawać więcej pytań. On czegoś nie rozumie, Zina go za coś nie lubi. A przecież jeszcze wczoraj byli w doskonałych stosunkach. Co prawda, nie tutaj.

Zina skręciła z szosy na ścieżkę, a Udałow wszedł do Wielkiego Guslaru.

* * *

Zaczęły się parterowe domki na peryferiach miasta, pochowane w sadach. Dalej widać było ciemny gąszcz parku miejskiego. Za nim były już wyższe domy, dzwonnice i kopuły cerkwi. Z daleka wyglądało to zupełnie jak rodzinne miasto.

Oto i pierwsza, tak dobrze znana Udałowowi ulica. Przechodzi w nią wlewająca się do miasta szosa. Ulica Leniwa - tak ją nazywają od zawsze. I raczej nie dlatego że mieszkali na niej lenie czy leniwce - po prostu płynie sobie ta uliczka leniwie, wyginając się lekko, jak rzeczka.

Na pierwszym płocie zauważył nową tabliczkę. Białą, z czarnym napisem: „Ul. Robotników”.

Jeszcze jedna różnica, pomyślał. I wewnętrznie się zgodził - rzeczywiście, już najwyższa pora pozmieniać nazwy. Przyjeżdżają turyści, zagraniczne delegacje i mogą sobie wyrobić fałszywe wyobrażenie o charakterze mieszkańców Guslaru. Trzeba będzie u nas postawić ten problem.

.Nad ulicą wisiał szeroki czerwony transparent z białym napisem: „Nasze miasto będzie wzorem!”.

Udałow nie miał nic przeciwko temu wezwaniu. Do tego zawsze trzeba dążyć.

Płoty zostały niedawno pomalowane, ładnie, na zielono. Wszystkie jednakowo. I tutaj Udałow też znalazł wyjaśnienie: najwidoczniej miewają problemy z farbą olejną, a tu przywieźli zieloną, przyjemną dla oczu, no i pomalowali. Myśl o tym, że płoty pomalowano, żeby ucieszyć oko przejeżdżającego po polowaniu kierownictwa, nie przyszła mu do głowy.

Chodników nie było - pyliste ścieżki wśród łopuchów. W tej dziedzinie jesteście do tyłu,

pomyślał Udałow. My to wszystko zrobiliśmy już w zeszłym roku. To było ciekawe, tak iść i porównywać. Jak na rysunkach w czasopismach dla dzieci: odszukaj dziesięć szczegółów różniących dwa jednakowe obrazki. I łamiesz sobie głowę - na jednym jest stół z długą nogą, na drugim z krótką, na jednym lecą trzy ptaki, a na drugim dwa.

Na przecięciu dawnej Leniwej z zaułkiem Targowym, który tutaj, jak zauważył Udałow, nazywał się ulicą Bezinteresowności, stała wielka drewniana tablica. Na niej widniał wizerunek dziewczyny w stroju ludowym, przyciskającej do piersi ogromny snopek jak lubego młodziana. Nad nią był napis: „Zasypiemy nasz Guslar zbożem!”.

Udałow westchnął: czasem ludziom brakuje wykształcenia.

Oczywiście, chcieli jak najlepiej, ale nie do końca im to wyszło.

Tutaj trzeba skręcić w lewo, przypomniał sobie. Tak najszybciej wyjdzie na Górna. Ominie rynek uliczką na tyłach spółdzielni inwalidów.

Skręcił w przejście: za chwilę zobaczy kipiący życiem, tak znajomy bazar.

Ucieszył się, widząc w otaczającym bazar parkanie dziurę. Identyczną jak ta w domu. Była tylko jedna różnica - tam dziura była po prostu dziurą, a nad tą tutaj umieszczono nieduży napis: „Przejście wzbronione”.

W tym momencie Udałow zobaczył wychodzącego z przejścia chłopaka ze słomianą miotłą w rękę. Twarz jakby znajoma. Chłopak nawet się uklonił i Udałow skinął mu głową. Potem się zorientował: widział go przecież nie dalej jak wczoraj, długowłose roker, młodszy brat Gawryłowa! Ale ten był krótko obcięty, prawie na zero, a zamiast skórzanej kurtki miał szarą marynarczynę. Dlatego Korneliusz nie poznał go od razu.

Nabrał śmiałości, też przeszedł przez dziurę i znalazł się na rynku.

Wygląd bazaru wstrząsnął Udałowem. Jeśli gdzieś czuło się różnicę między naszym Guslarem a tym tutaj, to właśnie na bazarze. Na naszym bazarze tętni życie. W pobliżu dziury powinny być stragany z ziemniakami, burakami i kapustą. Ziemniaki tam sprzedają piękne, twarde, białe. Dalej są stragany z owocami - f jabłka i gruszki, brzoskwinie i hurma z eksperymentalnej fermy, szklarniowej, późne maliny i słoiki z konfiturami, solonkami, marynatami. Są tutaj też goście z południa: Uzbegy z winogronami, Gruzini z wytrawnym winem i mandarynkami, Armeńczycy z brzoskwiniami o niezapomnianym kształcie i smaku, Hindusi z orzechami kokosowymi i owocami mango, Chińczycy... chociaż nie, Chińczycy są przeważnie w mięsny pawilonie. Handlują tam pekińskimi kaczkami, mięsem strzykw i swoistą słodko-kwaśną świniną. Zaraz obok Duńczycy - ci przywożą na guslarski bazar najlepsze mięso na świecie. No i Islandczycy - kto robi lepsze śledzie niż oni?

Myśli te przemknęły przez głowę Udałowa, przywołując obraz guslarskiego bazaru. Aż mu w brzuchu zaburczało. Ale rzeczywistość równoległa była zupełnie inna.

Stragany z ziemniakami i burakami były zupełnie puste, jeśli nie liczyć jednej kobiety sprzedającej pestki. Udałow podszedł do niej i zapytał:

- Można spróbować? Kobieta wzruszyła ramionami.

Udałow wziął jedną pestkę - była przypalona i przesuszona.

- Nie najlepsze - powiedział.

- Ciesz się, że chociaż takie są.

Szedł pomiędzy pustymi straganami, na których nie było ani kokosów, ani jabłek, w stronę pawilonu mięsny. Zobaczył nad nim jaskrawy plakat: „Wystawa i sprzedaż mioteł”.

I rzeczywiście - w środku sprzedawali miotły. Miotły szły jak świeże bułeczki, ludzie tłoczyli się

po nie w kolejce. Po mięsie nie było nawet wspomnienia.

Trafiłem na zły dzień, pomyślał Udałow. Spojrzał na stragany, na których zazwyczaj sprzedawano mleko, śmietanę i twaróg.

Stał tam jeden ponuro wyglądający chłop, a przed nim słoiki.

- Co jest? - zapytał Udałow, sądząc, że masło i śmietana kryją się pod ladą.

- Jak to co? - zdziwił się chłop. - Nie widzisz? Słoiki. - Puste?

- A jakie mają być, pełne?

- No tak - powiedział Udałow i poszedł dalej.

Przyjrzał się ludziom stojącym w kolejce za miotłami, wyszukując znajome twarze. Nawet poczuł, że ma ochotę kupić Kseni miotłę. Co prawda, w domu była już jedna miotła, ale skoro wszyscy stoją, to bardzo chciałoby się samemu stanąć. To atawizm, zrozumiał Udałow, walcząc ze sobą. Atawizm, który pozostał z czasów, gdy wszystko było deficytowe. To trzeba wyciskać z siebie po kropki - zdaje się, że tak uczył Czechów.

Udałow nic na bazarze nie kupił. Ale z tego wszystkiego zgłodniał. Niby do obiadu zostało jeszcze trochę czasu, ale gdy widzisz, że dookoła ciebie nie ma nic do jedzenia - zaczyna cię męczyć głód. Udałow nie wchodził do muzeum bazaru, stojącego na miejscu spółdzielni „Róże i goździki”, i poszedł do wyjścia. Tam, na prawo od wejścia, jest stołówka „Pychotka”, jedzenie dobre, niedrogo, dostawy Mussalimowych.

Przy wejściu Udałow dogonił znajomego - prowizora Sawicza. Sawicz niósł dwie miotły.

- Nikita! - zawołał Udałow. - Dlaczego nie jesteś w pracy? Powiedział to ot, tak sobie, dla żartu.

- Co? - Sawicz obejrzał się przestraszony. - Mam zwolnienie! - W tym momencie poznał Udałowa i odetchnął. - Co ludzi straszysz? Mało zawału nie zostałem. Już myślałem, że to policjant.

Sawicz miał twarz bardzo bladą, pokrytą potem. Wolną ręką ściągnął z głowy kapelusz i zaczął wycierać nim twarz i policzki.

- Przepraszam - rzekł Udałow. - Nie sądziłem, że cię przestraszę. Patrzę, idzie Sawicz, pomyślałem sobie, jak to dobrze spotkać kogoś znajomego. Miotły kupiłeś?

- Tak, rzucili.

- Dobre miotły - zgodził się uprzejmie Udałow. - A jak życie w ogóle?

- Przecież wiesz, że życie jest wspaniałe, lepsze trudno sobie wyobrazić - powiedział Sawicz dziwnym, załamującym się głosem.

- Słusznie - zgodził się Udałow. - W porannych biegach bierzesz udział?

- Co masz na myśli? - spytał czujnie Sawicz. Wyszli z bazaru i przystanęli.

- Tak tylko pytam. - Udałow zrozumiał, że znowu się wygadał. - Korneliuszu Iwanowiczu - powiedział nagle Sawicz. - Tobie w prawo, a mnie w lewo. Lepiej, żeby nas razem nie widzieli.

- A dlaczego?

- Nie chcesz, to nie - powiedział znużony Sawicz. - Tylko pamiętaj, że mam zwolnienie. Wszystko zgodnie z prawem. A o Wandę nie mam żalu.

- A co z Wandą? - zapytał Udałow.

- Z Wandą? Jeszcze się pytasz? - Sawicz miał tragiczny wyraz twarzy, jeszcze chwila i zacznie płakać.

- Przekaż jej pozdrowienia - powiedział Udałow. Najwyższa pora się pożegnać, zanim znowu powie coś, czego nie powinien.

- Jej? Pozdrowienia? Od ciebie?

Sawicz odwrócił się i zaczął biec, wlokąc za sobą miotły jak niepotrzebny bukiet.

Muszę jak najszybciej porozmawiać z samym sobą, pomyślał Udałow. Bo tu co krok to zagadka.

Skreślił w prawo, w stronę ulicy Puszkina.

Przeszedł pod zawieszonym nad ulicą plakatem: „Gospodarstwo powinno być gospodarne!”. Nie zrozumiał go i spojrział w prawo, gdzie powinna być spółdzielnia „Pychotka”. Spółdzielni nie było. Zamiast szyldu był skromny napis: „Wypożyczalnia flag i haseł”.

Na ulicy nie było dużo przechodniów, niektórych Udałow rozpoznawał i z rozpędu się im kłaniał. Ludzie odpowiadali na ukłon, ale niektórzy odwracali wzrok, spuszczaali głowy i pospiesznie się oddalali.

Tutaj powinny być delikatesy, powiedział do siebie Udałow. Wejść, kupię coś swojemu sobowtórowi. Nie wypada przecież przychodzić w gości z pustymi rękami. Kupię kawior, szampana, zresztą nie wiadomo, co tu mają. Wezmę, co będzie.

Witryna delikatesów ucieszyła Udałowa. W końcu wszystko wróciło na swoje miejsce. Wyglądała niemal tak samo jak w jego Guslarze. Pośrodku leżała tusza wołu, po bokach sagi różnych gatunków kielbas, za kielbasami porcjowany łosoś i jesiotr. Szczególnie łosoś ucieszył Udałowa - takiego różowego i wielkiego już dawno nie widział. A więc to, co widział na bazarze, było fałszywym alarmem - drugi Guslar nas nawet pod pewnymi względami przegonił.

Udałow wszedł do sklepu. Zaskoczył go brak klientów. No proszę, powiedział do siebie, tutaj godziny pracy to świętość. Nawet gospodynie domowe nie chodzą po sklepach w godzinach pracy. A może oni tutaj wypracowali sobie powszechny system dostawy towarów do domu?

Podszedł do działu rybnego. Ale na ladzie nie było ani jesiotra, ani łososa. Nie było nawet szprotów.

- Przepraszam! - zawołał sprzedawczynię, która siedziała w kącie i robiła na drutach.

- Czego? - spytała, podnosząc głowę.

Boże, zrozumiał Udałow, przecież to Wanda Kazimirowna, żona Sawicza, kierowniczką domu towarowego.

- Wanda! - zawołał ogromnie ucieszony Udałow. - Co ty tu robisz?

- Korneliusz? - Wanda odłożyła robótkę. I zamilkła. Tylko patrzyła na niego wrogo.

- Masz jakieś nieprzyjemności? - zapytał Udałow. - Przed chwilą spotkałem Nikitę na rynku, miotły kupował. Pytałem o ciebie, a on mi nic nie powiedział.

- A co miał ci powiedzieć? - spytała Wanda. Zmizerniała, postarzała się, jej oczy straciły blask. Udałow zrozumiał: jakieś nieszczęście. Każdy pracownik handlu drży przed kontrolą. U nas w Guslarze milicji sporo czasu zajęło rozpedzenie wszystkich handlowych krętaczy. Ale Wanda!... Wanda zawsze była uczciwa! Jej dom towarowy zajął pierwsze miejsce w województwie! I nawet chór sprzedawczyń był na występach w Moskwie!

Tutejsza Wanda była zupełnie inna. Może zgrzeszyła? Człowiek jest słaby...

- Czego pan sobie życzy, Korneliuszu Iwanowiczu? - zapytała.

- Na wystawie widziałem łososa. Nie zważyłabyś mi ze trzydzieści deko?

- Co? - powiedziała cicho Wanda. Tak jakby Udałow wymówił jakieś nieprzyzwoite słowo, którego się nie spodziewała.

- Trzydzieści deko, nie więcej.

- A może jeszcze sobie jesiotra zażyczysz, prowokatorze? podniosła głos.

- Skończył się, tak? - zapytał Udałow pokojowo. - Jeśli się skończył, to nic nie szkodzi. Ale

możesz mi chyba zdjąć z wystawy?

- A pójdziesz ty... - i tu nastąpiły takie słowa, których nie tylko Wanda znać nie mogła. Udałow nigdy by nie podejrzewał, że ludzie mogą tak przeklinać. - Ja nie mam już nic do stracenia! Możesz sobie teraz podejmować kroki, składać skargi, niszczyć... nie zastraszysz mnie!

- Wando, Wandeczko, ale co ja tu mam do rzeczy? - mamrotał Udałow. - Przechodziłem, widzę, artykuły na wystawie leżą...

- Jakie artykuły? Kartonowe artykuły, zrobione z papier mache, na wypadek przypadkowej delegacji albo komisji z województwa...

Wanda rozplakała się i uciekła na zaplecze.

Udałow stał zdezorientowany. Było bardzo cicho. I wtedy do niego dotarło, że nieliczni klienci, stojący w kolejce po napój kawopodobny „Owsiany mocny”, odwrócili się w jego stronę. Patrzyli na niego również sprzedawcy. Wszyscy milczeli.

- Przepraszam - rzekł. - Nie wiedziałem... I wyszedł ze sklepu.

Na ulicy jeszcze raz popatrzył na wystawę. I zrozumiał, że tylko naiwny wzrok człowieka przywykłego do obfitości towarów - powiedzmy, wzrok belgijskiego turysty albo mieszkańca naszego, prawdziwego Guslaru, mógł przyjąć tę atrapę za prawdziwego łososa.

Niedobrze, pomyślał Udałow. Zdaje się, że wystarczy już tych przechadzek po mieście. Trzeba jak najszybciej dostać się do domu i dowiedzieć się wszystkiego od samego siebie.

W sklepie przy wystawowej szybie tłoczyli się klienci i sprzedawcy, wszyscy patrzyli na Udałowa. Jak głodne rybki z akwarium.

Udałow czym prędzej poszedł w stronę domu.

Daleko nie zaszedł. Drogę zagroziła mu długa kolumna uczniów. Szli parami, na początku kolumny nauczycielka i na końcu nauczycielka. Uczniowie nieśli chorągiewki i małe łopatki.

Śpiewali chórem:

Wszyscy kraj swój budujemy, Wszyscy razem pracujemy. Po co deklinacje ryc, Lepiej palik w ziemię wbić. Lewa, prawa, lewa, prawa, Dla nas praca to zabawa. Po co chemia i fizyka, Można od nich dostać bzika. Nauka się nie opłaca, Bo najważniejsza jest praca!

Idąca na przedzie nauczycielka podniosła rękę. Dzieci przestały śpiewać i otworzyły buzie.

- Precz z przybłędą Kiwaczkiem! - krzyknęła.

- Precz, precz, precz! - krzyknęły z zapalem dzieci.

- Precz z darmożjadem Karlsonem! - krzyknęła druga nauczycielka z tyłu.

- Precz, precz, precz! - wyły dzieci.

Kolumna ruszyła i Udałow też ruszył za nią, rozmyślając o słowach dzieci.

Niedługo towarzyszył tej rozentuzjasmowanej kolumnie. Dzieci weszły na plac. Na ten tak znajomy plac, z jednej strony ograniczony bazarem, a z drugiej budynkiem Rady Miejskiej. Na nim powinien wnosić się pomnik pionierów, którzy dawno temu wyruszali z Wielkiego Guslaru, żeby odkryć Czukotkę, Kamczatkę i Kalifornię. I tutaj Udałow przeżył szok. Posągu - grupowego portretu pionierów stojących na dziobie stylizowanej łodzi - nie było. Pozostał tylko postument w kształcie łodzi. Teraz wystawały z niej ogromne betonowe nogi w spodniach. Nogi schodziły się na wysokości dwupiętrowego domu. Monument jeszcze wznoszono - na górze krzatali się betoniarze.

Plac dookoła pomnika był rozkopany. Buldożery wyrównywały ziemię, koparki ryły transzeje, ludzie wyladowywali sadzonki i wkopywali je w specjalne dziury. Uczniów, którzy ze śpiewem na ustach pojawili się na placu, popędzili tam, gdzie tworzono klomby. Dzieciaki zaczęły łopatkami

rozkopywać ziemię.

Na balkonie Urzędu Rady Miejskiej tłoczyła się orkiestra dęta, grająca radosny marsz.

Udałow stał jak wmurowany i zastanawiał się gorączkowo. Który z wielkich ludzi żył w Guslarze albo chociaż był tu przejazdem? Puszkina? Nie. Tołstoj? A może Łomonosow po drodze z Chołmogorów? Ale po co od razu strącać pionierów?

Rozpoznał operatora buldożera. To był Edik z jego biura, z działu remontów.

Udałow podszedł do buldożera. Wiedział, że nie może pytać wprost, musi działać ostrożnie.

Edik też zauważył swego szefa i zdziwił się:

- Korneliuszu Iwanowiczu, a pan czemu nie w bufecie? Przynajmniej on nie był zły na Udałowa.

- Odechciało mi się - odpowiedział Udałow. - No, jak tam robota?

- Wykonamy plan z nadwyżką! - powiedział kierowca. - Monument będzie o trzy metry wyższy niż planowano!

- I bardzo dobrze - zgodził się Udałow. Nie zbliżyło go to jednak do rozwiązania zagadki pomnika. No cóż, pomyślał, trzeba iść, nie ma co się tu szwendać. Jednak ciekawość była silniejsza.

- Imponująco wygląda, prawda? - zapytał.

- Co imponująco?

- Postać imponująco wygląda.

- Pan lepiej to wie, Korneliuszu Iwanowiczu - odpowiedział kierowca.

- Ktoś znany? Wielki uczonec?

- Skoro pan tak mówi - odpowiedział niepewnie kierowca. Aha, czyli jednak nie uczonec. Albo pisarz, albo działacz polityczny.

- A kiedy umarł, nie pamiętasz? - zapytał Udałow, wskazując pomnik.

Kierowca spojrzał na niego dziwnie. Najwidoczniej Udałow palnął coś głupiego. A więc datę śmierci człowieka, którego dolna połowa stała już na placu, znało każde dziecko.

- Nie, nie! - Udałow starał się poprawić sytuację. - Wiem, kiedy umarł. Chciałem cię tylko sprawdzić.

- Sprawdzić?

I wtedy buldożer zaczął powoli odwracać się w stronę Udałowa. W tym ruchu była ukryta groźba.

- Gdyby nie kolejka po mieszkanie - powiedział bez uśmiechu Edik - inaczej bym z tobą pogadał.

- Dobra! - zawołał Udałow. - Idę. Żartowałem.

Szybko odszedł, starając się nie trafić pod łyżkę buldożera. I o mały włos nie wpadł na dziewczynkę, która rączkami drobiła grudki ziemi na przyszlum klombie.

- Jak masz na imię, dziewczynko? - zapytał Udałow.

- Nineczka - odpowiedziała dziewczynka.

- Zuch, a do przedszkola chodzisz?

- Chodzę - powiedziała dziewczynka. - A kto ty jesteś?

- A ja chodzę do pracy - przyznał się Udałow. - Powiedz, skarbie, jakiemu wujkowi stawiają tu pomnik?

- Dobremu wujkowi - odpowiedziała dziewczynka z przekonaniem.

- Píše książki? - zapytał Udałow.

- Píše - potwierdziła dziewczynka.

- Ma brodę?

- Ma - powiedziała dziewczynka pokornie. - To wujek Tołstoj?

- Ojej! - wykrzyknęła dziewczynka, dziwiąc się domyślności Udałowa.

Podskoczyła i pobiegła do wychowawczynie, która w otoczeniu innych maluchów wsadzała w ziemię krzaki róż.

- Proszę pani! - krzyknęła dziewczynka. - Proszę pani! A ten wujek mówi, że nasz pomnik jest tłusty!

- Obywatelu! - wychowawczynie była niską ładną kobietą. - Co pan tu robi?

- Proszę się mną nie przejmować - powiedział Udałow. - Idę na obiad. Chciałem pomóc dziecku, niech się uczy. Ale to mądra dziewczynka. Wie, że to będzie pomnik Tołstoja.

- Co?! - kobieta pociągnęła dziewczynkę do siebie, żeby Udałow nie mógł położyć ręki na jej głowce. - Proszę stąd iść! Niech pan nie krzywdzi dziecka! Złożę na pana skargę!

Ludzie zaczęli się oglądać. Udałow szybko podszedł do piedestału. Za nim coś się działo, ktoś coś tłumaczył, wyglądało na to, że szykuje się pogoń.

Obszedł piedestał dookoła i zobaczył, że z tyłu leżą fragmenty posągu - ogromna betonowa ręka zaciśnięta na teczce, druga ręka z rozprostowanymi palcami, kawałki popiersia i przede wszystkim przykryta brezentem głowa. Kula wielkości człowieka.

Nogi same poniosły Udałowa w stronę głowy. Wprawdzie dziewczynka powiedziała, że to Tołstoj, ale i tak chciał sprawdzić.

Pewnym krokiem podszedł do głowy, wyciągnął rękę, uchylił brzeg ciężkiego brezentu, ale zobaczył tylko ucho. I w tym momencie z tyłu rozległ się przeraźliwy gwizd - w jego stronę biegł milicjant, za nim inni ludzie i dzieci.

Udałow zrozumiał, że jest źle. Rzucił się do ucieczki.

Daleko nie uciekł - z przeciwnej strony nadjechała karetka pogotowia. Zahamowała przed transeją, z samochodu wyskoczyli sanitariusze z noszami i też zaczęli biec w stronę Udałowa. Udałow miotał się po polu jak zajęć, przeskakując doły, ale pierścień obławy się zacieśniał.

Złapano by go, gdyby coś nie odwróciło uwagi pogoni.

Nagle niebo pociemniało, nad miastem zawisła czarna chmura.

- Czerwona zabawka! - rozległy się krzyki. - Czerwona zabawka!

Ludzie rozbiegli się w poszukiwaniu kryjówki i zabrali ze sobą dzieci. Chwilę później Udałow został na placu sam.

Idzie burza, pomyślał i dziękując przyrodzie za interwencję, zaczął iść w kierunku straganów, żeby tam się schować. Ale przez cały czas się oglądał i daleko nie uszedł.

Z nieba spadły pierwsze krople.

Krople były czarne, żrące, paliły twarz i przenikały przez ubranie. Zaczął biec szybciej, ale deszcz był coraz silniejszy. Zanim Udałow dobiegł do jakiejś pustej bramy, piekło go całe ciało, a ubranie zaczęło się rozpuszczać.

A niech to diabli! - rozżłościł się. Żebym wiedział, nigdy bym się nie zgodził na tę podróż. Wiecznie ten Minc z jego pomysłami! Ale wewnętrzny głos poprawił go: Korneliuszu, nikt cię nie zmuszał do biegania po placu i zadawania pytań. Gdybyś poszedł prosto na Puszkina, to już byś wracał do domu ze wzorami w ręku. Sam jesteś sobie winien.

Udałow przyznał rację wewnętrznemu głosowi, mimo że było mu żal garnituru, płaszcza i kapelusza, nie mówiąc już o butach.

Kwaśny deszcz przestał padać, ale chmura jeszcze wisiała nad miastem i ulice były puste.

Udałow pobiegł do domu.

Biegło mu się ciężko. Chodniki były śliskie i czarne od śmierdzącej mazi, płaszcz się rozpuścił, garnitur ledwo się trzymał, w prawym bucie odkleiła się podeszwa, a spodnie trzeba było przytrzymywać rękami.

W tak oplakany stan Udałow przebiegł ulicę Puszkina, wbiegł w bramę swojego domu i od razu dał nura na klatkę.

Już był na znajomych schodach, przed swoimi drzwiami.

Nacisnął dzwonek i usłyszał swojsko brzmiący dźwięk.

* * *

Drzwi otworzyły się dopiero po dłuższej chwili. Stała w nich znajoma młoda blondynka. Przystojna, w opinającym się na wysokim biuście szlafroczkowi w kwiaty.

- Korneliusz! - wykrzyknęła. - Jak można tak nie uważać?

- Ja... rozumie pani... rozumiesz... - Udałow zupełnie się zmieszał, bo spodziewał się zobaczyć zupełnie inną kobietę. Zdarza się, że człowiek patrzy na człowieka i wie, że gdzieś go widział, albo chodziliście do jednego przedszkola, albo razem do klasy, albo może znacie się z czasów na Jałcie. Ale kto to jest? Kto? Co tu robi? Gdzie jest Ksenia?

- Lepiej nie wchodzić - powiedziała młoda kobieta, zagradzając przejście. - Pochodź sobie trochę, przeschnij.

- Dziękuję, nie - sprzeciwił się Udałow. Szczękał zębami z zimna.

- Tylko nie wchodzić do pokoju - ustąpiła kobieta, nie ukrywając, jakie obrzydzenie wywołuje w niej jego widok i zapach. - Zrzucić wszystko tutaj i od razu do łazienki!

To był problem. Udałowowi proponowano rozebranie się do naga, sądząc, że to nie ten Udałow. I żeby chociaż proponowała to Ksenia... Kseni, nawet tej obcej, by się nie wstydził. Ale ta młoda ślicznotka... jak tu się przy niej rozebrać?

- No co? - zapytała młoda kobieta. - Coś się tak zacukał, mój ty sokole oskubany?

- Lepiej tak pój de do łazienki - powiedział Udałow. - Tam się rozbiore.

- Żeby mi cała łazienka przesiąkała tym smrodem? Tam stoją moje importowane szampony.

W głosie młodej kobiety dały się słyszeć przenikliwe nutki, pod tym względem była podobna do Kseni. Ale tylko pod tym. Miała przecież jakieś dwadzieścia lat mniej od jego żony, oczy umalowane, róż na policzkach, powłóczyście spojrzenie...

Udałow zszedł rozpadające się buty, razem z nimi zeszyły skarpetki. Potem jednak spróbował wejść do pokoju.

- Stój! - młoda kobieta rękami zagroziła przejście. - Zabiję! Szlafroczek rozchylił się, odsłaniając koronkową bieliznę, ale ślicznotki absolutnie to nie speszyło.

Wtedy Udałow, rozumiejąc, że nie ma innego wyjścia, zaczął ściągać z siebie resztki garnituru. Rozbierał się powoli, grał na czas, w nadziei że drugi Udałow przyjdzie i go uratuje od wstydu, jednocześnie obawiając się, że ten drugi Udałow może go źle zrozumieć.

- Czemu przyszedłeś do domu? - zapytała tymczasem ślicznotka.

- Przyszedłem... przyszedłem na obiad - przypomniał sobie Udałow.

- Na obiad? Do domu? Przecież jesz obiad w bufecie. Skąd miałabym mieć dla ciebie obiad?

Garnitur upadł na ziemię, Udałow został w slipkach i podkoszulku. Dobrze, że przynajmniej ich ten kwaśny deszcz nie rozpuścił. Ale były niepewne, Udałow musiał podtrzymać slipki rękami. Omal nie spalił się ze wstydu, ale rozumiał, że jeśli teraz przyzna, się, że nie jest prawdziwym

Udałowem, może dojść do tragedii.

Ze strachu i kompletnego zmieszania zrobił się agresywny. Co to za traktowanie! I to we własnym domu! Nie dość, że zrobili coś z jego żoną, to jeszcze mu rozkazują!

- Daj mi jakiś szlafrok - powiedział.

- Dostaniesz szlafrok, jak się umyjesz - odparła młoda kobieta. A jeśli to moja nowa żona? - pomyślał Udałow. Wszystko w tym świecie jest tak jak w naszym, tylko żoną nie jest Ksenia, lecz kobieta młoda i ładna.

I jak tylko o tym pomyślał, od razu inaczej popatrzył na kobietę, można powiedzieć okiem gospodarza. Ale jednocześnie czuł się zmieszany, było mu niezręcznie wobec Kseni.

- Daj szlafrok - powtórzył, robiąc jeszcze jeden krok do przodu.

Kobieta cofnęła się, nie tyle ze strachu przed nim, ile z obawy, że się o niego ubrudzi.

Przedpokój w mieszkaniu Udałowów nie był zbyt duży i Udałow po chwili stał już na progu pokoju. Powtórzył jeszcze głośniejszym i śmielej:

- Daj szlafrok!

W tym momencie stało się coś już zupełnie dziwnego - jego szlafrok pojawił się w uchylonych drzwiach.

Poruszał się w powietrzu trzymany przez męską obnażoną rękę.

Udałow wziął do ręki szlafrok i zobaczył w szczelinie naczelnego architekta miasta Oboleńskiego, jak to mówią, w samych kałesonach.

- A to kto? - zapytał Udałow, zupełnie wchodząc w rolę swojego sobowtóra.

- A co? - spytała młoda kobieta, próbując zasłonić drzwi plecami.

Może to nie moja żona? - pomyślał Udałow. Ja się tu ciskam, a może to żona architekta Oboleńskiego?

- Co tam robi Oboleński? - spytał.

- Oboleński? - zdziwiła się młoda kobieta. - Jaki Oboleński?

- Architekt! - krzyknął Udałow. Odsunął kobietę i otworzył drzwi na oścież.

W oknie zamajaczył cień, dał się słyszeć trzask gałęzi i głuche uderzenie o ziemię.

Udałow rzucił się do okna.

Oboleński z trudem podniósł się z ziemi i kulejąc, poczłapał w stronę bramy. Był półnagi, brakujące fragmenty garderoby niósł pod pachą.

- Ej! - zawołał Udałow. - Stój! Trzeba pogadać!

Ale architekt nawet się nie obejrzał. Wtedy Udałow odwrócił się do młodej żony.

- Żądam wyjaśnień - powiedział.

- Wyjaśnień? - Kobieta była oburzona. - A kim ty jesteś, żeby żądać wyjaśnień!

- A jestem! - odpowiedział Udałow, sam nie wiedząc, kim jest.

- Człowiek w gości przyszedł, na herbatę.

W jej głosie zadźwięczała próba usprawiedliwienia się - najwidoczniej mimo wszystko brakowało jej bezczelności.

- Na herbatę?! - krzyknął Udałow. - Na herbatę w szlafroku?!

- U niego nie ma ciepłej wody - odpowiedziała kobieta, cofając się przed wściekłością Udałowa.

- Wody nie ma, przyszedł wziąć prysznic. A resztą co cię to obchodzi?

- Jak to, co mnie to obchodzi? - Udałow zrozumiał, że oto ma okazję dowiedzieć się, kim jest dla niego ta kobieta. - Jesteś moją żoną czy nie?

- No jestem - odpowiedziała kobieta. - No i co z tego?

- A to, że takie żony dusi się na miejscu!

- A to uduś, Otello, uduś, zobaczymy, co jutro powiesz!

- Jutro będzie futro! - zaryczał Udałow, uniósł rozczapierzone ręce i ruszył na swoją młodą żonę.

Młoda żona wycofała się do pokoju, bezczelnie chichocząc i kołysząc biodrami. I po tych biodrach Udałow rozpoznał Rimkę, która zaczepiała go na ulicy. Może się to wydać nieprawdopodobne, że Udałow nie od razu ją poznał, ale postawcie się na jego miejscu - przychodźcie do domu, a tam młoda, mało znajoma sąsiadka, ubrana w szlafrok waszej żony. Ciekawe, czy tak od razu byście, ją rozpoznali.

W tym momencie Rimka zawyła tak, jakby właśnie zaczął ją dusić.

Z szaleństwem w oczach wpatrywała się w coś za plecami Udałowa.

Od drzwi dobiegł zdziwiony głos:

- Co tu się dzieje?

Rimma otworzyła usta, zamknęła oczy i powoli osunęła się na podłogę. Udałow obejrzał się i zobaczył, że w drzwiach stoi on sam, we własnej osobie. Tylko że w płaszczu, garniturze i czapce naciągniętej na uszy.

- Kim jesteś? - zapytał groźnie Udałow stojący w drzwiach.

- Poczekaj, poczekaj! - zawołał pierwszy Udałow. - Wszystko w porządku. Zaprowadzam porządek w naszej rodzinie.

I wtedy Udałow drugi poznał Udałowa pierwszego. Oczywiście nie uwierzył swoim oczom. Zamknął je i długo nie otwierał. A młoda żona leżała na podłodze u jego nóg i prawie nie oddychała.

- Posłuchaj mnie uważnie! - powiedział pierwszy Udałow swojemu sobowtórowi. Mówił szybko, żeby nie pozwolić mu się opamiętać. - Jestem tobą i nie ma w tym żadnej mistyki, czysta nauka. Zaraz ci wszystko wyjaśnię. Weź się w garść, Korneliuszu.

- A ona? - zapytał sobowtór, nie otwierając oczu.

- Rimma niech sobie poleży - powiedział Udałow. - Nic jej nie będzie. Są ważniejsze sprawy.

- No, no! - sobowtór otworzył oczy. Charakter miał udałowski, uparty. Ostрым ruchem zrzucił płaszcz, przykucnął obok młodej żony i położył rękę na jej nadgarstku. Szukał pulsu.

- No i co ja ci mówiłem? - zapytał Udałow. - Puls ma normalny?

- Słaby - odpowiedział sobowtór.

- Chodź, przeniesiemy ją na kanapę - zaproponował Udałow.

- Sam to zrobię - powiedział sobowtór. - Ty jesteś brudny. Zebrał siły, podniósł krzepkie ciało młodej kobiety i dociągnął do kanapy. Rimma nie dawała znaków życia. Potem sobowtór odwrócił się do Udałowa.

- Co ty tu robisz w samych slipach?

W jego głosie dało się słyszeć zazdrość.

- Pytasz niewłaściwą osobę - odpowiedział Udałow. - Nie mnie podejrzewaj, tylko tego, kto przez okno uciekł.

- Co?! - Sobowtór rzucił się do okna.

- Już go tam nie ma - oznajmił Udałow. - A kto był?

- Kto? Sam pewnie wiesz.

- Słowo honoru, nie wiem - odpowiedział sobowtór.

- Architekt Oboleński.

- Tak myślałem - powiedział sobowtór. - Stary kozioł!

- A czego się spodziewałeś?! - wykrzyknął Udałow. - Jak zamieniasz starą żonę na młodą, musisz liczyć się z ryzykiem. Apollo to ty nie jesteś.

- Cicho bądź! - zniecierpliwił się sobowtór. Patrzył na swoją młodą żonę. W jego spojrzeniu było uczucie, którego Udałow nie mógł odgadnąć.

- Myślała, że jesteś na obiedzie w bufecie - dodał Udałow.

- Bufet zatopił kwaśny deszcz. Dach przeciekał. Nawet on został bez obiadu - odpowiedział sobowtór. - A ty skąd się wzięłaś?

- Pozwolisz, że najpierw się umyję?

- A co, swojego domu nie masz?

- Mam, ale daleko i w samych slipach do niego nie dobiegnę. Poza tym muszę z tobą porozmawiać.

- O czym? - sobowtór najwidoczniej ciągle był w szoku.

- Pójdiesz ze mną - powiedział Udałow. - Posiedzisz ze mną w łazience, jak się będę mył.

- Nie chcę. Muszę iść na spotkanie.

- Korneliuszu, nie sprzeciwiaj się. Nasza rozmowa jest tajna. A tajne rozmowy najlepiej prowadzić w łazience. Gdy leci woda, nikt nie może podsłuchać.

Udałow poszedł do łazienki zdecydowanym krokiem, sobowtór się wahał. Młoda, niewierna żona leżała nieprzytomna, nie wiadomo było, czy się nad nią litować, czy ją zabić.

Na początek przykrył ją pledem, a potem mimo wszystko poszedł do łazienki.

Udałow włączył piecyk gazowy, rozebrał się. Sobowtóra się nie wstydził. Sobowtór zdziwiony patrzył na duży pieprzyk pod prawym ramieniem. Sam niewątpliwie miał taki sam.

- Poczekaj - powiedział Udałow do sobowtóra. - Najpierw się opłuczę.

- Jesteś pewien, że to był Oboleński? - zapytał ten.

- Stuprocentowo - odrzekł Udałow. Nie miał zamiaru oszczędzać sobowtóra.

- To niemożliwe! Ona mnie kocha.

- Zamknij drzwi - powiedział Udałow. - Żeby Rimma przypadkiem nie zajrzała.

- Wyjaśnij mi, co to wszystko znaczy - poprosił sobowtór.

- Wszystko w swoim czasie - odpowiedział Udałow, siadając na brzegu wanny i wskazując sobowtórowi taboret.

Teraz mogli już rozmawiać, zbliżywszy do siebie głowy. Głowy odbijały się w lustrze - obaj to widzieli i obaj się temu dziwili.

Co za geniusz z tego Minca! - myślał Udałow. Największy geniusz wszech czasów!

Co się wyprawia! - myślał drugi Udałow. Czy ja śnię? A może to wroga prowokacja?

Ale gdy spróbował się uszczypnąć, Udałow powiedział:

- Nie śnisz, to wszystko obiektywna realność. Jestem, twoim sobowtorem ze świata równoległego.

- Aha - zgodził się sobowtór, ale chyba nie zrozumiał.

- Gdzie Ksenia? - zapytał Udałow.

- Rozwód - odpowiedział krótko sobowtór.

- A w naszym świecie ja z nią żyję. I nie mam zamiaru się rozwodzić.

- Obowiązek ponad przyzwyczajenie.

- Zaskoczyłeś mnie. Oczywiście, rozumiem, że nasza Ksenia nie ma łatwego charakteru. Ale gdy

się razem przeżyło ćwierć wieku... A gdzie Maksymek?

- Z nią - tak samo krótko odpowiedział Udałow. Nie chciał o tym rozmawiać.

No dobrze, zdecydował Udałow. Jeszcze do tego wrócimy.

- A ta nowa, Rimma? - zapytał. - Jak cię złapała?

- Była sekretarką. U niego. Gdy się rozwiodłem, polecił mi ją - Kto, Białosielski?

- Białosielski?

- Co, Koli Białosielskiego nie znasz? Przecież razem z nim chodziliśmy do jednej klasy. U nas jest przewodniczącym Rady Miejskiej!

- Nie znam - powiedział sobowtór, zezując w stronę drzwi. - Musisz już iść.

- Coś mi się tu u was nie podoba - powiedział Udałow. - Jak tutaj przyjechałem, myślałem, że u was wszystko jest takie jak u nas. A widzę, że wy tu macie nie świat równoległy, ale, że tak powiem... prostopadły.

- Jaki świat? Co ty pleciesz?

- Nie słyszałeś o światach równoległych? Znana teoria. Nasz profesor Minc ją rozgryzł i wysłał mnie do was, żeby załatwić jedną sprawę... Co się odwracasz?

- Nie znam żadnego profesora Minca - odpowiedział sobowtór.

- Daj spokój - powiedział Udałow. - Ten numer ci nie przejdzie. Zaraz pójde do Minca i on mi wszystko wyjaśni.

- Nie idź.

- Dlaczego?

- Minca tam nie ma.

- Jak to - nie ma?

- Nie ma i koniec.

- A gdzie jest?

- Tam gdzie należy.

- Nie do wiary! - powiedział Udałow. - Jesteś mną. I jednocześnie mną nie jesteś. Jak to się mogło stać? Mamy tych samych rodziców, chodziliśmy do tej samej szkoły. To i charakter powinniśmy mieć ten sam.

- Nie chcę cię słuchać.

- Dlaczego?

- Dlatego że najpierw trzeba się dowiedzieć, na czyj młyn lejesz wodę.

- Coś podobnego! - oburzył się Udałow. - Mów mi zaraz, co się stało w Guslarze, co to za kataklizmy! Dlaczego się zmieniłeś? Czulem, że coś jest nie tak. Wanda na mnie wilkiem patrzy, Sawicz też... A oni nie na mnie patrzyli wilkiem, tylko na ciebie.

- Otwórz! - rozległ się kobiecy głos za drzwiami. - Otwórz, muszę wejść!

Głos należał do Rimmy, sekretarki.

- Poczekaj, kotku! - przestraszył się sobowtór. - Poczekaj, wyjdę do ciebie.

- Otwieraj, mówię ci! - krzyknęła Rimma.

- Co to będzie, co to będzie? - sobowtór zaczął rozglądać na wszystkie strony, zastanawiał się, gdzie ukryć Udałowa.

Nad ich głowami było niewielkie okienko - wychodziło na schody kuchenne.

- Wyłaż tędy! - rozkazał szeptem sobowtór.

- Nie ma mowy!

- Wylaż, chcesz mnie zgubić?

Drzwi się zachwiały, najwidoczniej Rimma próbowała je wyważyć.

- Otwieraj, draniu! - wyła. - O mało zawału nie dostałam, to ci na sucho nie ujdzie!

Sobowtór dosłownie podniósł Udałowa na rękach, próbując wypchnąć go przez okienko, ale mieściła się tylko głowa. Był tak spanikowany, że nie rozumiał tego, tylko syczał:

- No szybciej! Szybciej!

W tym momencie drzwi się otworzyły - nie wytrzymał zamek i Rimma zobaczyła, jak jej mąż samego siebie, tylko zupełnie nagiego, próbuje, jak Atlas ziemię, podnieść na rękach.

Z zaskoczenia sobowtór upuścił Udałowa, ten wpadł do wanny, sobowtór na niego. Rimma zawyła, jakby ją zarzynali, i upadła na wznak - znowu zemdląła.

Udałow wstał, ślizgając się w mokrej wannie, roztarł potłuczony bok i pomógł wydostać się z wanny swojemu oszołomionemu sobowtórowi.

Ten tylko wzdychał i achął, i nie mógł powiedzieć ani słowa.

Wtedy z podwórka dał się słyszeć ostry dźwięk klaksonu.

- To po mnie - powiedział sobowtór, patrząc na leżącą żonę. - Wzywają mnie. Zebranie już się zaczęło, a ja tutaj...

W jego głosie zabrzmiała kompletna rezygnacja. Klakson odezwał się znowu.

- Idź - powiedział Udałow. - Powiedz, że nie możesz, żona zachorowała.

- No coś ty? - zdziwił się sobowtór. - Przecież mnie wzywają!

Jestem spóźniony!

- W takim razie ja powiem - oświadczył Udałow.

Sobowtór zawisł na nim jak matka, która nie chce puścić syna na front. Wlokąc sobowtóra za sobą, Udałow doszedł do środka pokoju. Wtedy przypomniał sobie, jak wygląda, i owinął się w zasłonę - wystawała mu tylko głowa. Wychylił się z okna.

Pod oknem stał motocykl z przyczepą. W nim siedział kapitan Pilipienko i naciskał klakson.

- O co chodzi? - zapytał Udałow. - Cały dom wystraszysz.

- Udałow! - zawołał Pilipienko. - Mam polecenie dostarczyć cię na dywanik. Wsiadaj do przyczepy!

- Nie mogę, dopiero wyszedłem z wanny! - odpowiedział Udałow. Poczul, jak z tyłu zamiotał się sobowtór, zaraz pojawi się w oknie. Nie odwracając się, odepchnął go mocno, a sam odrzucił zasłonę i stanął przed kapitanem zupełnie nagi.

- Widzisz?

- A co mnie to obchodzi - odpowiedział Pilipienko. - Jak sam nie zejdziesz, zaprowadzę cię pod konwojem.

W tym momencie nerwy sobowtórowi puściły i za plecami Udałowa rozległ się krzyk:

- Idę, lecę! Już, zaraz!

I dał się słyszeć tupot nóg Udałowa zrozumiał, że z drugiego Udałowa nie będzie pożytku na zebraniu. W żadnym razie. Dogonił go przy drzwiach łazienki, gdzie sobowtór zastygł nad rozciągniętym ciałem Rimmy.

- Posłuchaj - powiedział Udałow. - Zastanów się spokojnie. W takim stanie nie możesz jechać na zebranie. Wykręć się jakoś.

- Nic nie rozumiesz! To sprawa życia i śmierci! Rimma poruszyła się i próbowała otworzyć oczy.

- Zaraz się ocknie - ostrzegł go Udałow. - Jeśli nie będziesz potrafił jej udowodnić...

- Ona do niego pobiegnie! Zgubi mnie!

- Nie wrzeszcz - powiedział Udałow. - Jest wyjście. Ja pojedę z Pilipiejką na to zebranie. I posiedzę tam...

- Rozpoznają cię!

- Kto mnie rozpozna? Przecież ja to ty.

- Ale będziesz musiał mówić i oni się domyśla! Za oknem znowu zawył klakson.

- Będę milczał. To dla mnie nie pierwszozna. Przyzwyczailem się do milczenia na zebraniach.

Nie masz na sumieniu jakichś specyficznych grzeszków?

- Nie mam żadnych grzeszków!

Rimma znowu się poruszyła i sobowtór drgnął.

- Doprowadź do porządku swoje sprawy rodzinne, a potem biegiem na plac główny. Czeka tam, za pomnikiem. W przerwie do ciebie podbiegnę i mnie zamienisz. Jasne?

Sobowtór skinął głową i gorączkowo wyszeptał:

- Tylko nic nie mów! Kijaj głową i nic nie mów. Nie masz o niczym pojęcia i mógłbyś mnie bardzo łatwo zgubić.

Udałow, nie tracąc czasu, rzucił się do pokoju i otworzył szafę. Chwała Bogu, szafa stała na swoim miejscu, a w środku były wszystkie jego rzeczy. Wyciągnął wyjściowy garnitur, kupiony przez Ksiuszę w Wołogdzie, zaczął go wkładać, zreflektował się, wyjął bieliznę - i z bielizną w rękę, jak z białą flagą, podskoczył do okna i pomachał nią Pilipience:

- Ein moment! - krzyknął.

Z krawatem w garści wyskoczył na korytarz. Jego sobowtór siedział w kucki nad młodą żoną - nic do niego nie docierało. Udałow powtórzył:

- Za pomnikiem! Bądź w czarnych okularach. Pamiętaj, gdzie leżą?

I wybiegł na schody.

Nie zbiegł od razu na dół. Najpierw podszedł do Minca, chciał go uprzedzić, że zaraz przyjdzie, ale zatrzymał się zaskoczony: zamiast zamka sznurek, a na nim plastikowa plomba - mieszkanie zaplombowano. Czyżby rzeczywiście staruszek umarł? Ale przecież jaki z niego staruszek? Sześćdziesiątki nie skończył. Ale coś się stało! Serce Minc miał jak dzwon... Ech, niepotrzebnie zaplątał się w to ratowanie sobowtóra - trzeba było się raczej dowiedzieć, co z profesorem, przecież takie samo niebezpieczeństwo może mu grozić również w naszym świecie. Nie dbamy o zdrowie, a potem robi się za późno.

Z tą myślą, pod wycie klaksonu Udałow wybiegł na podwórko i wskoczył do przyczepy.

- Zabiję! - warknął Pilipienko i nacisnął gaz. Motocykl jak narowisty koń wyskoczył na ulicę.

. Z Pilipiejką nie dało się rozmawiać: motocykl ryczy, Pilipienko przeklina, ludzie uciekają z ulicy.

Pięć minut później byli już pod Urzędem Rady Miejskiej. Pilipienko zahamował tak, że Udałow wyleciał z przyczepy głową do przodu. Podtrzymał go jakiś nieznajomy młody człowiek.

- Ech, Korneliuszu Iwanowiczu! - powiedział z wyrzutem, pomagając Udałowowi wstać. - Czeka na pana, nie są zadowoleni. - Dosłownie zawlókł Udałowa po znajomych schodach na górę, do gabinetu przewodniczącego.

Po drodze Udałow próbował zawiązać krawat.

W poczekalni było ciasnawo - trzy biurka, a przy nich trzy sekretarki, wszystkie młode,

bezczelne, wymalowane i wszystkie podobne do Rimmy.

A po obu stronach obitych naturalną skórą drzwi siedziało dwóch młodych sportowców w szarych garniturach, jak dżiny-strażnicy ze wschodniej bajki, ale z czerwonymi opaskami ochotniczej obywatelskiej służby porządkowej na rękawach.

Młody człowiek lekko popchnął Udałowa.

Jeden ze sportowców szybko pociągnął go w swoją stronę, drugi powiódł rękami po jego ciele.

- O co chodzi? - zdziwił się Udałow.

Sportowcy nawet nie odpowiedzieli, zresztą możliwe, że nie umieli. Młody człowiek otworzył drzwi i sportowcy wepchnęli Udałowa do gabinetu.

W gabinecie momentalnie zapadła cisza.

Stoły były ustawione w znajomy sposób, w literę T.

Przy głównym stole, na miejscu Białosielskiego, siedział Pu-pykin.

„Właśnie Pupykin, nikt inny.

Ponieważ siedział, wydawał się potężniejszy, nawet wyższy. Ale Udałow znał jego prawdziwy wzrost.

Tutejszy Pupykin od naszego różnił się zasadniczo.

Nie tylko dlatego że zapuścił wąsy i jeszcze bardziej wyłysiał, nie tylko dlatego że miał na sobie surowy czarny garnitur z czerwonym krawatem, ale spojrzenie... Boże drogi, przecież on zupełnie inaczej patrzył!

Czy ten człowiek mógłby brać udział w porannych biegach i płaszczyć się przed Udałowem? Czy ten Pupykin mógł się ukrywać na brzegach społeczeństwa, pomalowany na zielono i walczyć o zachowanie kaplicy Filipa? Spojrzenie Pupykin miał tygrysie, ciężkie, spod zmarszczonych brwi.

Inny Pupykin, dużo sympatyczniejszy, figlarnie uśmiechnięty spoglądał na Udałowa z wielkiego obrazu, wiszącego na ścianie za żywym Pupykinem. Na obrazie przyjmował bukiet róż od dziewczynki, w której Udałow od razu rozpoznał młodszą córkę Pupyki na. Na dalszym planie tłoczyła się bijąca brawo publiczność, a wśród niej, o dziwo, również Udałow.

Pupykin przeniósł ołowiane spojrzenie na Udałowa.

I wszyscy siedzący przy nóżce litery T popatrzyli na niego w ten sam sposób.

Napotykać te spojrzenia, Udałow rozpoznawał ich właścicieli. Czasami z trudem. Oto patrzy na niego główny budowniczy Słabienko. Co za spojrzenie! Oto wpatruje się w niego bezczelny architekt Oboleński. Już zapomniał, jak wyskakiwał przez okno? A to spojrzenie redaktora Malużkina. Też nie pozbawione ciężaru. Czyżby Malużkin, ten bojownik o jawność, tak się zmienił? Oto patrzy na niego Finifliukina, dyrektorka muzeum - gdzie się podziała życzliwość w spojrzeniu? A stary Łożkin...

Udałow nie zdążył przyjrzeć się pozostałym. Pupykin powoli, nie spiesząc się, otworzył usta, pokazał drobne nierówne zęby i szczeknął:

- Siadaj, potem z tobą pogadamy!

W tym samym momencie wszyscy odwrócili się od Udałowa. Tak jakby go w ogóle nie było.

Udałow znalazł miejsce u brzegu stołu, usiadł, a siedzący obok Malużkin odsunął się, skrzypiąc krzesłem.

I zapanowała cisza.

- Przerwano nam - powiedział Pupykin - ale będziemy kontynuować.

Udałow drgnął - w tym głosie była groźba.

- Mów dalej, Mimeonow - rozkazał Pupykin.

- Samorzutne wydalenie do atmosfery nieznacznej ilości zanieczyszczeń - powiedział Mimeonow, wstając pokornie. Były dyrektor fabryki zabawek plastikowych, już rok temu zdjęty ze stanowiska za reakcyjność, zaczął przekładać trzymane w rękach papierki.

- Nie czytaj nam z kartek - polecił Pupykin. - Z kartki każdy może nakłamać, co tylko zechce. Papierki przygotuj dla kontroli, a nam, swoim towarzyszom, mów, jak jest naprawdę. Dałeś plamę?

- Dałem - powiedział Mameonow - ale z przyczyn obiektywnych. - Mimo wszystko rozwinął jedną z kartek i zaczął szybko czytać: - W roku ubiegłym powierzona mi fabryka przekroczyła plan o dwa i trzy dziesiąte procenta, wypuszczając dla potrzeb ludności wyrobów numer jeden - sześćset dwadzieścia pięć, wyrobów numer dwa bis - dwieście trzydzieści cztery, w tym osiemnaście powyżej planu. Wyrobów numer pięć...

- Stop! - powstrzymał go Pupykin.

- Rozszyfrować?

- Zwariowałeś! Powiedz lepiej, dlaczego omal nie zgubiłeś naszego miasta.

- Niejednokrotnie pisałem, nawet wam mówiłem, Wasylu Parfenowiczu. Filtry się skończyły. Trzeba wezwać specjalistów z Wołogdy, zatrzymać produkcję. Sami wiecie...

- Jakie propozycje? - zapytał Pupykin.

- Myślę, że napiszemy felieton - zaproponował Malużkin. - O pewnych działaczach gospodarczych. Żadnej litości.

- Dobry pomysł - zgodził się Pupykin. - Niech ludzie wiedzą, że zauważamy wszystkie negatywne aspekty naszego życia.

- A jeśli przeczytają to w województwie? - zapytał Oboleński, uśmiechając się bezczelnie. - I przyślą do nas komisję?

- A niech czytają. Nie boimy się jawności - odpowiedział twardo Pupykin. - Niech cały świat czyta.

- I tamci też?! - wykrzyknął Łożkin. - Imperialiści też?

- Łożkin, daj spokój! - rozzłościł się Pupykin. - Trzymamy cię tu jako kombatanta, a nie prowokatora.

- A ja miałbym propozycję - powiedział Sawulski. Jego Udałow też znał, pracował jako naczelnny lekarz sanitarny.

- Mów. Tylko krótko, mamy już dość twoich przemówień. - Pupykin zmarszczył brwi.

- Będę się skracał. - Sawulski potarł dłonie. - To oburzający fakt. Wielu się nie spodziewało, trafili pod ten deszcz i stracili odzież. A w napiętej sytuacji, jaka istnieje w handlu...

- Sawulski, powiedziałem ci - pogroził mu Pupykin. - Nie rozwodź się. Sytuację w handlu znam lepiej od ciebie i wiem, że się poprawia. Prawda?

Pupykin popatrzył na kierownika centrali targowej i ten od razu, bez zastanowienia odpowiedział:

- Podjęliśmy odpowiednie kroki!

- Widzisz, człowiek podejmuje kroki, a ty... Do rzeczy. Ale weź pod uwagę, że jeśli twoja propozycja będzie nieodpowiednia, głowy nie zachowasz. Społeczeństwo już od dawna jest z ciebie niezadowolone, kiepsko chronisz naszą ekologię. I w każdej chwili możemy cię rzucić na pożarcie, prawda, Malużkin?

Twarz redaktora gazety rozjaśnił figlarny uśmiech.

- Felieton mam już gotowy - oznajmił. - Leży u mnie w biurku. Sawulski zbladł i zachwiał się.

- Ale nic, kontynuuj - rzucił Pupykin. - Co chciałeś powiedzieć?

- Przeprowadziliśmy analizy - rzekł Sawulski głucho, jakby miał usta pełne ziemniaków. -

lokazało się, że z fabryki zabawek nie wydostały się żadne zanieczyszczenia.

- No proszę! - zdziwił się Pupykin. - Co to wobec tego było?

- Była to chmura niewiadomego pochodzenia, która przedostała się na nasze niebo spoza rejonu.

- I co, niezły pomysł? - zapytał Pupykin.

- Można zrobić poprawkę? - włączyła się dyrektorka muzeum.

- Ale na temat.

- Wydaje mi się, że chmura mogła przyjść spoza województwa.

- Posłuchaj, a jeśli... - głos Pupykina zamarł.

W tym momencie diabeł pociągnął Udałowa za język.

- Sądzę - powiedział Korneliusz - że najprawdopodobniej ten deszcz przyplłynął do nas z RPA, od tamtejszych rasistów.

- No? - Pupykin aż podniósł się z fotela. - No? Rasiści źle traktują naród... - ale tu do niego dotarło, że Udałow sobie żartuje i zdrowo przesadza. Usiadł, zmarszczył brwi i powiedział: - Dobrze. Ty, Malużkin, przygotuj materiał o chmurze z rejonu Potem-skiego. A ty, Udałow, wiedz, że się doigrałeś.

Ludzie zaczęli odsuwać swoje krzesła jak najdalej od Udałowa, a ten przeklinał się w myślach, co go podkusiło - przecież jeszcze dzisiaj wróci sobie do domu, a za niego oberwie się sobowtórowi.

- Pamiętaj, Mimeonow - zakończył Pupykin - że problem twojej fabryki pozostaje aktualny. Jeśli jeszcze raz zdarzy się taka emisja zanieczyszczeń, wydalę cię z miasta. Wiesz dokąd.

- Ale przecież plan...

- Plan wykonasz. Nawet go przekroczysz. Jaki jest kolejny punkt?

- Urbanistyka - powiedział Oboleński.

- A, to lubię. To jest prawdziwy postęp. Daj no tu projekty.

Na gest Oboleńskiego młody podręczny otworzył drzwi. Dziesięcioro dziewcząt i chłopców wniosło dziesięć standów i ustawili je jeden obok drugiego, żeby stworzyć wrażenie całości.

Udałow z przerażeniem zrozumiał, że odezwy i nadzieje Oboleńskiego, który chciał w naszym świecie wybudować magistralę, tutaj osiągnęły bajeczne rozmiary.

- Oto nasza główna ulica, nasze jutro - powiedział Oboleński cicho i radośnie. Ale przy tym potarł potłuczone biodro.

- Ulica imienia Wasyla Pupykina - zaszemrał czyjś głos.

- Kto to powiedział? - Pupykin zmarszczył brwi. - Milczycie? A przecież wiecie, czego nie toleruję. Ty, Łożkin!

Łożkin stropił się jak psotny pierwszoklasista, wstał i powiedział:

- Wy, Wasylu Parfenowiczu, nie tolerujecie pochlebstwa i wazeliniarstwa.

- I zawsze o tym pamiętaj. Naród zdecyduje, jak nazwać naszą ulicę. Naród, a nie ty, Łożkin.

- Tu nie macie racji! - podskoczył nieoczekiwanie Malużkin. - Łożkin jest przedstawicielem narodu. I to jego lepszej części, weteran pracy.

- Dobrze, dobrze, nie spierajmy się - zmiłował się Pupykin. - Siadaj, weteranie, i następnym razem nie wyskakuj z takimi propozycjami.

Oboleński doczekał się ciszy i odwrócił się do swojego projektu.

Jak zrozumiał Udałow, półkilometrowej szerokości magistrała miała zostać poprowadzona przez całe miasto. Po obu jej stronach wznosiły się różne, ale dziwnie do siebie podobne budynki. Każdy opierał się na licznych kolumnach, nad każdym rzędem kolumn były portyki z jednakowymi posągami. Na dachach domów także stały posągi. Dodatkowo wszystkie budynki ozdobiono różnorodnymi fintifluskami. Ogólnie przypominało to torty wykonane na jubileusz starogreckiej cerkwi.

I którzy oni mają zamiar przeciągnąć tę magistralę? - próbował sobie gorączkowo wyobrazić Udałow. Najwidoczniej po starym centrum nie zostanie ani śladu.

No jasne, przecież to plac główny, a tam dziesięciokrotnie wyższy przypominający jednocześnie egipską piramidę i chińską pagodę Urząd Rady Miejskiej. A na środku dziesięciopiętrowy posąg... i już z głową, z teczką... Posąg samego Pupykina!

Tylko się nie śmiać, powtarzał sobie Udałow, tylko się nie uśmiechnąć. To wszystko mnie nie dotyczy, a jak ja się zaśmieję, to ukarzą sobowtóra.

- Mijamy właśnie - dobiegł oszołomionego Udałowa głos architekta Oboleńskiego - teatr miejski. Jego budynek, utrzymany w stylu guslarskiego empire-baroku, stanie na miejscu starego budynku, zbudowanego przez nastawionych kosmopolitycznie kupców...

Milcz, Korneliuszu! - powtarzał sobie Udałow. Milcz, trzymaj się...

Ale język go zdradził. Język sam z siebie powiedział:

- W starym teatrze jest najlepsza na świecie akustyka. Przyjeżdżają do niego orkiestry symfoniczne.

Oboleński aż się zakrztusił.

- Chce pan powiedzieć, Korneliuszu Iwanowiczu - zapytał miękko - że nasz nowy teatr jest gorszy od starego?

Co się wtedy zaczęło! Jak się wszyscy rzucili na Udałowa! Na-zwali go wsteczniakiem, reakcjonistą, elementem zacofanym i oczywiście czymś najmitą. Słowo „najmita” wisiało w powietrzu i waliło go na odlew.

Ale język Udałowa - o zdrajco! - znowu nie wytrzymał i wyczekawszy chwilę ciszy w chórze oskarżeń, krzyknął:

- To bzdura, a nie projekt!

- Co? On podaje w wątpliwość moją kompetencję? Oboleński do tego stopnia stracił głowę, że odwrócił się do Pupykina, czekał, aż ten go poprze. A Pupykin w milczeniu kręcił węża. Widocznie chciał, żeby Udałow wypowiedział się do końca.

- Mniej biegaj do cudzych żon! - krzyknął niepoprawny Udałow. - Lepiej postudiuj trochę architekturę!

Wtedy Oboleńskiemu też puściły nerwy. W fatalnej ciszy, jaka zapadła po tych słowach, architekt wykrzyknął:

- Ona mnie kocha! I ja też ją Kocham! Nie jesteś jej godzien!

- Skończyliście? - rozległ się grzmiący głos.

Udałow spojrzał na Pupykina i zrozumiał, że ten mówi do megafonu - wyciągnął skądś tubę. Najwidoczniej trzymał ją na specjalne okazje.

- Pogadaliście sobie i wystarczy! Siadać! Wszyscy usiedli. Zapanowała cisza.

- Jeśli chodzi o ciebie, Oboleński, wszystko jest jasne, stary capie. Dyskusję na temat magistrali podsumuje towarzysz Słabienko. Potem przerwa. Po przerwie omówimy sprawę byłego kierownika przedsiębiorstwa budowlanego, byłego członka prezydium miejskiego i byłego, nie boję się tego

słowa, mojego przyjaciela, Korneliusza Udałowa.

Wszyscy poczuli taką grozę, że nawet Słabienko nie od razu rozpoczął swoją mowę. Najpierw napił się wody ze stojącej przed nim karafki. Drżały mu ręce.

Od Udałowa nie tylko wszyscy się odsunęli, ale nawet odsunięto od niego stół. Teraz siedział sam w pustej przestrzeni.

- Wyburzanie - powiedział Słabienko - zaczynamy w poniedziałek. Przeprowadzimy mobilizację społeczeństwa. Społeczeństwo jest przygotowane, czeka z radością.

- To dobrze - pochwalił łaskawie Pupykin. - Prasa, od ciebie wiele zależy. Jeśli będzie coś nie tak, odpowiesz głową!

- Jutro przyniosę artykuł - obiecał Malużkin. - Przygotowałem już wypowiedzi ludności, życzenia dla pracujących, wszystko jak należy. Naród płonie żądzą przemian.

- Za pół roku skończymy - oznajmił Słabienko.

- Co? Za pół roku?

- Techniki jest za mało. Poza tym ci diabelni wyzyskiwacze budowali z cegły...

- Dynamitem! - krzyknął Pupykin.

- Tam są osiedla mieszkanie. Ciężka sprawa.

- Wysiedlić - zdecydował Pupykin. - Wezwiesz do mnie Pilipienkę i prokuratora, pomyślimy, jak załatwić sprawę od strony formalnej. Za dwa tygodnie centrum ma być zburzone.

- Postaramy się, oczywiście... - W głosie Słabienki dźwięczała wątpliwość.

Udałow popatrzył na Oboleńskiego. Oboleński wpatrywał się w niego z nienawiścią, szczyrzył zęby, ale ugryźć nie mógł - za daleko.

- Wy się nie starajcie, tylko zróbcie. Burzyć to barachło będą wszyscy. Najważniejszy jest entuzjizm, jasne, Malużkin?

- Trzeba będzie ludziom dać jakąś perspektywę - przypomniał Malużkin. - Ogłosić, że wszyscy potrzebujący otrzymają na ulicy waszego imienia samodzielne mieszkania.

- Tego nie można zrobić - sprzeciwił się nagle Łożkin. - To przecież nieprawda. Naród nas nie zrozumie. Przecież na tej ulicy będą tylko budynki publiczne.

- Jak to publiczne?! - wykrzyknął Oboleński. - A dom mieszkalny dla ojców miasta?

- Ale to tylko jeden dom... i dla ojców.

- Łożkin - przerwał mu Pupykin - pamiętaj, że w Guslarze nie istnieje problem ojcowie-dzieci, nie ma nawet konfliktów na tym tle. Jeśli są, to wydumane. Czyli skoro budujemy dla ojców miasta, to znaczy, że budujemy też dla dzieci. Ja sam mam dwoje dzieci. Wszyscy o tym wiecie.

Obecni nie wytrzymali, zaczęli klaskać. Gdy się już wyklaskali, ustalono, że o mieszkaniach wspomni się w następnym numerze gazety. Bez zagłębiania się w szczegóły.

Oczywiście, Udałow miał ochotę wstać i powiedzieć, co o tym wszystkim myśli, ale się powstrzymał. Już i tak zaprzepaścił karierę swojemu sobowtórowi.

Potem przemawiali inni ojcowie miasta. Każdy meldował, jaką cegiełkę wniesie we wspólne dzieło. Wtedy Udałow dowiedział się, jakie to wyroby są produkowane w fabryce zabawek plastikowych, która omal nie zatrąła miasta. Okazało się, że wyrób numer jeden - to posąg Pupykina w skali jeden do jednego dla ozdoby dachów na magistrali, wyrób numer dwa - Pupykin jako dziecko, te posągi zapotrzebował naród do przedszkoli. I wykonywano je nie z gipsu, lecz z marmuropodobnego plastiku. Fabryka pracowała z takim natężeniem, że doszło do emisji

zanieczyszczeń.

Potem znowu przemawiał Słabienko na temat pomnika, który wznoszono na placu głównym.

- Sabotaż - powiedział twardo - którego dopuścił się tak zwany rzekomy profesor Minc, postawił nas w trudnej sytuacji.

- Trudnej, ale nie beznadziejnej - powiedział Pupykin.

- Beznadziejnych sytuacji, jak wiadomo, nie ma - zgodził się Słabienko. - Ale jak mamy pańską, przepraszam, głowę podnieść na taką wysokość, gdzie żaden dźwig nie sięga, jeszcze nie wiemy. Bez tego... grawitatora... nie damy rady. Poza tym Minc jest nam potrzebny do zbudowania magistrali.

- Słyszeliśmy już te wywody - skrzywił się Pupykin. - Nazwałbym je kapitulancjami. Przez tysiące lat różne narody wznosiły ogromne budowle bez żadnych dźwigów, nie mówiąc już o profesorze Mincu.

- Trzeba jeszcze wyjaśnić, dla jakiego wywiadu on pracuje! - krzyknęła ze swojego miejsca dyrektorka muzeum Finifliukina.

- To przecież oczywiste - powiedział Łożkin. - Dla syjonistycznego.

Boże drogi! - przestraszył się Udałow. Co tu się dzieje? Nawet Łożkin, ten miły, kłótniwy staruszek, całe życie przeżył w jednym domu! Przecież on szanuje Minca jak brata. Korneliusz od razu się poprawił: To w naszym świecie. A tu mamy świat równoległy.

- Jeśli chodzi o Minca, sprawdzamy go - powiedział Pupykin.

- Nie tracimy nadziei. Jednakże muszę ci przypomnieć, Słabienko, że piramidy w Egipcie i dzwonnice Iwan Wielki zbudowano bez dźwigów.

- Ale na nich nie ma głów - wyraził nieudany sprzeciw Słabienko.

Tak zaczęli na niego psykać, że nie pozostało mu nic innego, jak usiąść. Wtedy Pupykin zarządził przerwę.

- Idźcie do bufetu. Zreperowali już dach i przywieźli kawior. A ty, Udałow, zostań na chwilę.

Udałow został. Ci, którzy spieszyli do bufetu, omijali Udałowa szerokim łukiem.

- Zastanawiam się, czemu jesteś dzisiaj taki odważny? Po oczach widzę, że się nie boisz - zauważył Pupykin.

Przenikliwy, pomyślał Udałow. Rzeczywiście, nie boję się. Ale dlaczego - w życiu się nie domyśli. A przecież gdybym tu żył, na pewno bym się bał. Ma w ręku całe miasto.

- Twoje prowokatorskie wystąpienie na dzisiejszym zebraniu nie jest dla mnie zaskoczeniem - powiedział Pupykin, podkreślając w zadumie wąsy. - Już od rana otrzymuję sygnały o twoim dzisiejszym zachowaniu. A przecież nie jestem twoim wrogiem, zrobiliśmy razem kawał dobrej roboty. Zawsze byłem wobec ciebie w porządku. Dlatego chcę się najpierw zorientować. Może obejdziemy się bez sprawy personalnej, jak myślisz?

Udałowowi zrobiło się żal swojego sobowtóra i odpowiedział:

- Byłoby dobrze.

- Zuch z ciebie, Korniusza. Siadaj, siadaj, co stoisz. Pupykin poczekał, aż Udałow usiądzie, i sam usiadł naprzeciwko.

- Śmiechu warte - rzekł. - Jak wściekłe psy, dosłownie jak wściekłe psy. Wystarczyło powiedzieć, że jestem z ciebie niezadowolony, a oni już gotowi rozszarpać cię na kawałki. Ja rozumiem, przeżywasz stres. Naprawdę przyłapałeś Oboleńskiego z Rimką?

- Naprawdę - przyznał się Udałow. - Wskoczył przez okno, z pierwszego piętra.

- To dlatego tak kuleje, a niech go! Gdy ci przekazywałem Rimkę, można powiedzieć, po mnie,

myślałem, że zdobędziesz zwykle ludzkie szczęście. Teraz widzę, że się pomyliłem. Pomyliłem się, a ja zawsze przyznaję się do swoich błędów. Szkoda tylko, że inni nie biorą ze mnie przykładu. Wiesz co, w imię przyjaźni odstąpię ci Wierkę. Ogień nie kobieta, blondynka. A może chcesz Swietkę? To ta, co siedzi z prawej strony, nowa, ma w rodzinie Cyganów, słowo honoru. Zamkniesz jawnemu, czador jej powiesz na twarzy jak zasłonkę. W drodze wyjątku. A jeśli potrzebujesz zaświadczenia, dyrektor polikliniki ci wystawi - egzema twarzy. No jak, pasuje? A Rimkę wciśniemy Oboleńskiemu. Zleżały towar!

I Pupykin zaczął się przeraźliwie śmiać, mało nie spadł pod stół, zrobił się taki malutki, jednym paznokciem można go zgnieść.

- Nie w tym rzecz - powiedział Udałow. - Z Ksiuszą nie było mi źle.

- Daj spokój! Takie jak ona nie są nam potrzebne. Niech wie, gdzie jej miejsce. Nie, mój drogi, jesteśmy jeszcze młodzi, jeszcze powojujemy, wsławimy się na cały świat. Zapomnij o tej intrygantce!

Aha! - pomyślał Udałow. Ksenia zrobiła coś, co nie pasowało Pupykinowi. A może sobowtór ciągle ją jeszcze kocha? Dobrze by było.

- Co się tak zamyśliłeś? Nie zgadzasz się?

- Jak chcecie - odpowiedział Udałow.

- Taki pokorny? Chytrus z ciebie Udałow, oj, chytrus. Powiedz mi, przyjacielu, czemu dzisiaj rano zbierałeś ziemniaki na szosie? Za mało ci wydają ziemniaków w rozdzielniku?

- A wy jak sądzicie? - nie stracił przytomności umysłu Udałow.

- Mam pewne podejrzenie - powiedział Pupykin. - Ale tak ciężkie, można powiedzieć, straszne, że nawet nie śmiem powiedzieć głośno.

- Powiedzcie.

- A powiem. Powiem. Może nosiłeś ziemniaki wrogom naszego narodu?

- Jakim znowu wrogom?

- Widzisz, coś ukrywasz, a więc kłamiesz! Po oczach widzę, że kłamiesz! Komu nosiłeś? I tak doniosą, i tak się dowiem!

T - Ja tylko tak... - Udałow postanowił ratować swojego sobowtóra. - Zobaczyłem, że leżą rozsypane, i pozbierałem.

- Już to widzę, jak w moim mieście ktoś kartofle rozsypuje. Znowu kłamiesz. A co robiłeś o tej porze na szosie? Też zapomniałeś?

- Spacerowałem.

- A o czym rozmawiałeś z Sawiczem na rynku? - Pupykin zerwał się i zaczął szybko chodzić po gabinecie. Udałow zobaczył, jakie ma wysokie obcasy. Strzelał pytaniami jak z karabinu maszynowego: - Po co w sklepie udawałeś diabli wiedzą co? Dlaczego chciałeś kupić łososa z kartonu? W opozycję się bawisz? A na placu, pod moim pomnikiem, po co się szwendałeś? Po co agitowałeś ludzi, że umarłem?

- Miałem na myśli Lwa Tołstoja.

- Kto jest u nas przewodniczącym? Ja czy Tołstoj?

- Wy.

- Chciałeś mnie obalić?

- To wszystko tylko oderwane od siebie przypadki.

- Przypadek to uświadomiona konieczność - powiedział Pupykin. - Teorii trzeba się uczyć. No

jak, będziesz się kajał, czy mamy cię rozgromić, jako przykład dla innych niedowiarków?

- Jak uważacie. - Udałow popatrzył na zegarek. Zaraz się skończy przerwa. A musi jeszcze uprzedzić prawdziwego Udałowa, co go czeka.

- Wobec tego ideowy i organizacyjny pogrom - podsumował dyskusję Pupykin.

- Prawdziwy z was dyktator.

- Nie jestem dyktatorem - odpowiedział Pupykin - tylko wyrazicielem dyktatury mas. Masy mi ufają.

- Masy cię rozgryzą - ostrzegł Udałow.

On też wstał. Pupykin na ten ruch rzucił się w róg gabinetu, wyciągnął rękę do przycisku.

- Nie wołaj swojej ochrony - powiedział Udałow. - Pójdę coś zjeść do bufetu.

- Do bufetu masz wstęp wzbroniony - wyszczerzył się Pupykin. - Nie mam zamiaru marnować kawioru na takich jak ty.

- A więc jeszcze przed rozmową ze mną wiedzieliście, czym się ona skończy?

- Na tym polega moja praca. Muszę wiedzieć wcześniej, co się jak skończy. Zostań w poczekalni, daleko nie odchodź. Nigdzie się przede mną nie ukryjesz.

Udałow wyszedł z gabinetu. Sportowcy z opaskami ochotniczej służby go przepuścili. Udałow popatrzył na sekretarki. O, ta czarnulka mogła zostać jego żoną i kryć twarz pod zasłonką. Tę blondyneczkę też mógł mieć. Gdzie jesteś, gdzie jesteś, moja ty Kseniu kochana? I Udałow zatęsknił za Ksenią za dwóch - za siebie i za sobowtóra.

* * *

Na dworze siąpił deszczyk, ale prac przy monumencie nie przerywano. Dzieci kopały klomby, wychowawczynie sadziły sadzonki, monterzy mocowali do boku posągu rękę z teczka, brygada drogowców sypała szuter pod asfalt.

Udałow odwrócił się od ludzi i szybko poszedł w stronę pomnika. Za masywnym postumentem chował się niewysoki, grubawy mężczyzna w płaszczu z podniesionym kołnierzem, w kapeluszu naciągniętym na uszy i w czarnych okularach. A więc tak wyglądam z boku, pomyślał Udałow i podszedł do sobowtóra.

- Czekasz? - zapytał.

- Ciszej! Wszędzie kręcą się ludzie. Co cię tak długo nie było?

- Pupykin mnie przesłuchiwał.

- W takim razie leć! Lepiej mu od razu paść do nóg!

- Poczekaj no, nie chcesz posłuchać, co cię czeka?

- A co?

- I przebrać się też nie chcesz?

- A po co?

- Udałow nie może wyjść na przerwę z gabinetu w jednym garniturze i wrócić w innym. Widzę, bracie, że zupełnie zgłupiałeś.

- Wobec tego lećmy. Tam jest barak, chyba pusty.

- Lećmy.

Pobiegli, a Udałow po drodze powiedział do sobowtóra:

- Dobrze się zastanów, zanim tam wrócisz.

- A co?

- Jak tylko zjedzą kawior...

- Dzisiaj w bufecie dają kawior? - zapytał sobowtór z żalem tak szczerym, że Udałow aż się zatrzymał.

- Poważnie żałujesz?

- Przecież mi się należy - odpowiedział sobowtór.

- Skoro ci się należy, to musisz brać?

- Jak mam nie brać, skoro mi się należy?

Pobiegli dalej, weszli do baraku. Rzeczywiście był pusty. Na haczykach wisiały marynarki, na stole stały puste miski. Od razu zaczęli się rozbierać.

- Tak ci się przyglądam - powiedział Udałow - i myślę: jeśli ty, mój sobowtór, mogłeś zamienić się w coś takiego... to znaczy, że we mnie też to jest?

- Co jest?

- Niewolnictwo. Lokajstwo.

- Przepraszam, ale nie jestem ani niewolnikiem, ani lokajem - rzeki z godnością drugi Udałow. - Mam odpowiedzialną pracę, nie kradnę, jestem w porządku...

- I kradniesz, i w porządku nie jesteś - przerwał mu Udałow.

- Tylko sam tego nie widzisz. Jeśli tobie dają kawior w bufecie, a innym się nie należy, to znaczy, że go kradniesz. Rozumiesz?

- Zwariowałaś! Czy ty nie rozumiesz, że my, na kierowniczych stanowiskach, musimy podtrzymywać swoje siły umysłowe? Mamy szczególną pracę, organizacyjną!

- A w przedszkolu dają kawior?

- Nie wiem. Mleko dają.

- Ale ugrzęźłeś, Korneliuszu, nie spodziewałem się tego po tobie.

- A w czym ty jesteś lepszy?

- Ja buduję jasną przyszłość.

- Ja też. Pod kierownictwem towarzysza Pupykina. A ty pod czyim przywództwem?

- Głupiec z ciebie, Korneliuszu. My mamy demokratyczne przywództwo.

- My też.

- Nie myl demokracji z odpowiedzialnością zbiorową. Drugi Korneliusz zaczął wkładać spodnie. Rozmowa z sobowtórem przestraszyła go i rozżłościła.

- Może i macie tam u siebie demokrację - powiedział - ale twojej zasługi w tym nie ma. Nie przycisnęli cię, to jesteś dumny. A jakbyś był na moim miejscu, to co byś zrobił? Byli tacy, co się sprzeciwili. I co im to dało? Co dało to ludziom? Gdzie jest Sten-dal? Gdzie Ksenia? Gdzie Minc? Gdzie Wanda?

- Gdzie?

- W różnych miejscach. Nasz naród jeszcze nie dorósł do demokracji. Nam potrzebna jest twarda ręka. Jak dobrze pracujesz, to cię cenią.

- Jak cię tu cenią, to nie wiem, ale wiem, że zaraz będą omawiać twoją sprawę personalną.

- Co?! - Sobowtór skulił się jak od uderzenia w żołądek.

- Nie „co”, tylko słuchaj. Rano widziano mnie na szosie, jak zbierałem ziemniaki. Zdecydowali, że to byłeś ty.

- A po co zbierałeś te ziemniaki?

- Zinie Soczkinej chciałem pomóc. Niosła je do miasta.

- Przecież to przestępstwo! Ziemniaki są na kartki, a ona je z pola ukradła!

- Pamiętaj, że pomaganie człowiekowi nigdy nie jest przestępstwem. Potem w sklepie chciałem kupić łososa...

- Skąd miałyby być w sklepie łosoś? Co to za brednie?

- No właśnie mówię, że łososa w sklepie nie ma. A więc tę brednię też zapiszą na twoje konto.

Potem na placu powiedziałem, że Pupykin już umarł...

- Ja cię zabiję! Chciałeś mnie zgubić?

- A skąd mogłem wiedzieć, że tu u was takie porządki? Ale najważniejsze jest to, że na tym waszym zebraniu oświadczyłem Oboleńskiemu, co myślę o jego moralności.

- No i kto cię prosił! Oboleński to przyjaciel Pupykina!

- Nikt mnie nie prosił, to z poczucia godności własnej. Bronilem twojego honoru.

- Co ty wiesz o honorze!

- A ty?

- Ja wiem. Honor to dyscyplina.

- Otóż to. Tu się właśnie różnimy. No więc jak, pójdziesz na tę kaźń, czy znikniesz, póki nie jest za późno?

- Wszystko im wytłumaczę. Wasyl Parfenowicz mi wybaczy.

- Wszystkiego się wypieraj - poradził mu Udałow. - Ja nie ja, krowa nie moja.

Ale sobowtór już go nie słuchał. Wybiegł z baraku.

- Poczekaj! - krzyknął za nim Udałow. - Gdzie mam szukać Minca?

Sobowtór nie odpowiedział. Kuląc się pod deszczem, biegł przez plac do Urzędu Rady Miejskiej, na spotkanie swojego gorzkiego losu. Udałow, unikając ludnych miejsc, poszedł do swojego domu. Wiedział, kogo ma szukać. Stary przyjaciel i sąsiad Sasza Grubin nie mógł się zmienić.

Ale Grubin też się zmienił.

Udałow zajrzał do niego z podwórka. Pokój był jeszcze bardziej zawałony różnymi rupieciami niż zazwyczaj. Nie wiedzieć czemu było w nim pełno części ludzkiego ciała wykonanych z białego plastiku. Grubin siedział na zapadniętym łóżku i trzymał głowę w rękach, tak jakby chciał ją sobie odkręcić. I kiwał się miarowo.

Na pewno go zęby bołą, pomyślał Udałow i postukał w okno.

Grubin podniósł głowę, popatrzył tępo na Udałowa i znowu głowę opuścił.

Udałow po cichutku wszedł do domu, spojrzał na górę - czy nie patrzy ktoś z pierwszego piętra - i pchnął drzwi do Grubina. Na szczęście były otwarte.

- Cześć, Sasza. Co jesteś taki przybity?

- A co, nie wiesz? - zapytał Grubin, nie podnosząc głowy.

- Próbuję zrozumieć.

- Dla ciebie wszystko jest jasne - odpowiedział Grubin. - Ty znalazłeś swoje miejsce.

- A ty?

- Na tym polega cała tragedia! - wykrzyknął Grubin. - Jak mogłem tak się dać złapać! Powiedz mi, jak mogłem! No dobrze, ty jesteś człowiekiem słabym, wpadłeś w sidła, nawet się nie wyrywałeś. Gdzie cię niosą, tam idziesz. Ale ja jestem inteligencją twórczą, przez całe życie byłem dumny ze swojej niezależności. A teraz zostałem współuczestnikiem przestępstwa!

- Poczekaj, nie wszystko naraz. Po kolei.

Udałow bardzo chciał zrozumieć, co się stało z Grubinem. Możliwe, że to tylko zewnętrzne

zmiany, że jeszcze nie wszystko stracone.

- Nie mam z tobą o czym rozmawiać - rzekł Grubin.

- Dlaczego?

- Dobrze wiesz. Ty jesteś nomenklaturą. Ja sprzedajną inteligencją.

- Mimo wszystko mi opowiedz. Załóżmy, że przed tobą stoi nie Udałow, tylko jakiś inny człowiek.

- Inny by nie pobiegł donosić do Pilipienki. A Udałow pobiegnie.

- Nie pobiegnę - sprzeciwił się Udałow. - Słowo honoru.

- Zachciało ci się prawdy? W takim razie uważaj! Powiem ci, Korneliuszu, że w ciągu ostatnich trzech lat bardzo się zmieniłeś. Od czasu gdy Pupykin dopuścił cię do łask, stałeś się innym człowiekiem. Gotów jesteś lizać ziemię, po której on chodzi. A co z Ksenią zrobiliście? - A co?

- Tylko mi nie mów, że ustąpiłeś przed siłą! Inny nigdy by żony nie oddał. Położyłby się w przedpokoju z cekaemem, bił się do ostatniego pocisku. A ty wybrałeś Pupykina. Wybrałeś, to teraz płaszcz się przed nim.

- A co poza tym? - zapytał Udałow. Przykro mu było słuchać takich rzeczy o sobowtórze, ale trzeba. Uczyć się należy na cudzych błędach.

- A wobec Minca jak postąpiłeś? Po coś go pogrążył?

- Ja? Minca?

- I po co ja z tobą rozmawiam! Tylko czas marnuję. To dziwne, jak szybko ludzie mogą się zmienić...

- A teraz ty mnie posłuchaj - zdecydował się Udałow. - I spróbuj mi uwierzyć.

Powiedział to tak znacząco, że zdziwiony Grubin utkwiał w nim wzrok.

- Nie jestem Udałowem - powiedział Korneliusz Udałow. - A raczej jestem, ale innym Udałowem. Prawdziwy Udałow siedzi teraz w Urzędzie Rady Miejskiej, na zebraniu, gdzie niszczą go współtowarzysze.

Zadziwiająco, ale Grubin natychmiast uwierzył Udałowowi!

- Masz inne oczy - stwierdził. - Takie jak kiedyś. Może nawet bardziej śmiałe. Wy tłumacz mi wszystko.

I Udałow opowiedział mu o wynalazku Minca, o tym jak Minc się przeziębził i Udałow musiał wyruszyć do świata równoległego zamiast niego.

W miarę słuchania Grubin jaśniał na twarzy, zmarszczki mu się wygładziły, nawet włosy zaczęły mu się kręcić. Zerwał się z miejsca, zaczął biegać po pokoju, przewracać różne przedmioty i rozrzucać plastikowe kończyny.

- Natychmiast! - wykrzyknął, nie dając Udałowowi dokończyć. - Natychmiast wracaj! Uciekaj stąd! To nie jest miejsce dla ciebie. I jeśli możesz, weź mnie ze sobą! Nie mogę tu już dłużej żyć!

- Spokojnie - zastopował go Udałow. - Bez paniki. Mam wykonać tu zadania. Pierwsze - odnaleźć Minca. A drugie - zorientować się, co tu się dzieje. Zastanowimy się razem, jak poprawić tę sytuację. Opowiadaj. Krótko, rzeczowo. Zaczynaj! ‘

Ostatnie słowo zabrzmiało jak rozkaz i Grubin się podporządkował. Stał przed stołem, zastanowił się.

- Nawet nie wiem, jak to się zaczęło. Chyba trzy i pół roku temu. Wtedy przewodniczącym był Seliwanow.

- Pamiętam - potwierdził Udałow. - U nas też był przewodniczącym. Potem przeszedł na

emeryturę.

- I jego miejsce zajął zastępca Pupykin, Wasyli Parfenowicz.

- U nas też. Jak na razie wszystko się zgadza.

- Czasy były, jak wiesz, spokojne, nie za dobre, ale i nie najgorsze... Zatwierdzono Pupykina na stanowisku przewodniczącego. Początkowo nic właściwie nie robił. Cały czas powtarzał: jak uczył nas towarzysz Seliwanow... kontynuując dzieło towarzysza Seliwanowa...

- Popatrz, popatrz, u nas też tak zaczynał!

- Potem zaczęły się przesunięcia w kadrach. To jeden przeszedł na emeryturę, to drugi, tego zdjęli ze stanowiska, tamtego przenieśli... i Pupykin zmienił ton. Stawał się coraz bardziej pewny siebie. Zamówił sobie w Wołogdzie buty na wysokich obcasach... Pilipienkę przekabacił na swoją stronę... To nasz kapitan milicji.

- Znam, u nas do tej pory jest sierżantem. Prosty chłop, serdeczny. Przewodniczący Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami.

- Przeciwko Pupykinowi zaczęto walczyć. Był u nas taki Białosielski, znasz? Kola. Chodził z nami do klasy.

- Ja bym go nie znał - uśmiechnął się Udałow.

- No więc ten Białosielski wystąpił przeciwko Pupykinowi. Zażądał, żeby skończyć z zawyżaniem danych i oszustwem, i zacząć rozwijać inicjatywę pracujących i demokrację... tak, demokrację...

Udałow skinął głową. Doskonale pamiętał tę historię.

- Nie wiem, jakim sposobem, ale wszystko załatwiono po cichu. Pupykin gdzieś napisał, do kogoś zadzwonił, coś tam przeciwko Białosielskiemu wynalazł. Białosielski zleciał ze stołka i pojechał do województwa szukać sprawiedliwości. Nie wiem, czy ją znalazł, czy nie, do miasta w każdym razie nie wrócił. Dla wielu jego klęska była dobrą lekcją. Ludzie zrozumieli, że niebezpiecznie jest występować przeciwko Pupykinowi.

- A więc tak się to u was potoczyło - westchnął Udałow. - Teraz wszystko rozumiem.

- Dalej już samo poszło. Pupykin wszędzie występował, mówił, jacy jesteśmy szczęśliwi, jak nasze miasto posuwa się naprzód siedmiomilowymi krokami. Im mniej było towaru w sklepach, tym głośniej przemawiał Pupykin. Co najsmutniejsze, jak tylko ludzie się upewnili, że Pupykin twardo siedzi, że nie da się go strącić, pochowali się po kątach, każdy u siebie w domu walczył o demokrację i jawność, a na zebraniach głosowali tak, jak należy.

- Jasne.

- Po roku i ty, Korneliuszu, zorientowałeś się, że lepiej być przy Pupykinie niż przeciwko niemu. Kiedyś na zebraniu przeciwko niemu wystąpiłeś. I od razu się zaczęło: nagana za nagana, potem wszczęto przeciwko tobie postępowanie karne za kradzież materiałów budowlanych.

- Ja bym coś ukradł!

- Wierzę, że nie kradłeś. Ale po tym wszystkim jakoś tak skłęśłeś, nawet ze mną przestałeś rozmawiać i zacząłeś się pokazywać na trybunie obok Pupykina.

- Szybkoście się do tego wszystkiego przyzwyczaili!

- Dziwisz się? Jeśli od rana do wieczora tłumaczą ci, jakie to szczęście, że mamy takiego przewodniczącego, to lepiej się z tym zgodzić.

- I ty też się zgodziłeś?

- Na tym polega moje przestępstwo! - wykrzyknął Grubin. - Wiesz, że jestem niezłym wynalazcą.

Wysunąłem propozycję, żeby udoskonalić plastik, z którego robiono zabawki w fabryce, i wynalazłem nowe kształty - myślałem o zrobieniu dla domu wczasowego szachów w kształcie rycerzy, wielkości człowieka, tylko lekkich. A Mimeonow uznał, że to dobry moment, by podlizać się Pupykinowi. Postanowił rozpocząć masową produkcję jego popiersi. Żeby można je było postawić w każdym urzędzie i w każdym mieszkaniu. Wykorzystał mój wynalazek. Pupykinowi spodobała się ta inicjatywa. Zaprosili mnie do fabryki jako konsultanta, dali premię. A gdy Mimeonow zaczął dla przyszłej szczęśliwości miasta Wielki Guslar produkować posągi naturalnej wielkości, ja też do tego przyłożyłem rękę. I teraz się męczę.

- Czyli inni nie męczyli się i wysławiali Pupykina, a ty męczyłeś się, ale nie wysławiałeś? - zapytał Udałow.

- Nie musisz być ironiczny - powiedział Grubin. - Ja wszystko rozumiałem. Nawet ostrzegałem Mimeonowa, mówiłem mu: opanuj się! Filtrów fabryka nie ma, całe miasto zgubimy. Kiedy do nas przyjechałeś?

- Dzisiaj rano. Widziałem, do czego doprowadziła wasza działalność. Straciłem garnitur i w ogóle całe ubranie.

- Więcej do fabryki nie pójde! Niech mnie nawet wysiedlą do wiejskiego patronatu, nawet na przymusowy urlop... Niech sobie robią, co chcą! Więcej już nie będę z nimi pracował.

- Poczekaj, nie spiesz się. Nie do końca rozumiem wasz system.

- A u was jest inaczej?

- Nie ma czasu na wyjaśnienia. Powiem ci tylko, że twój Pu-pykin jest na emeryturze, wszczęto wobec niego postępowanie karne...

- Co? Niemożliwe! To wspaniale!

- Nie gorączkuj się. Jak będzie czas, to ci opowiem. Teraz najważniejszy dla mnie jest Minc. Co z nim? Czy jest zdrowy? Dlaczego drzwi są zaplombowane?

- Nie wiesz? Jest na przymusowym urlopie. Za sabotaż.

- Minc? Za sabotaż?

- Zawiódł. Własnoręcznie zepsuł podnośnik grawitacyjny, żeby nie wznosić posągu.

- Mówisz, że wynalazł antygravitację?

- Wiem to na pewno, razem przeprowadzaliśmy doświadczenia.

- Ale nie dla Pupykina?

- Wiesz, że ma swoje zasady.

- A więc są jeszcze ludzie z zasadami?

- Oczywiście. Nie jest ich dużo, ale są - przyznał się Grubin. - Ale za zasady słono się płaci. Minc zapłacił. Twoja Ksiusza też...

- Właśnie, zupełnie zapomniałem. Co to za historia z Rimką?

- Gdy wysłano Ksenię do patronatu wiejskiego...

- Mów jaśniej!

- Ludzie ze wsi przenieśli się do innych województw - wyjaśnił Grubin. - Gospodarstwa opustoszały. A Pupykin przez cały czas śle do województwa raporty o tym, że sytuacja w rolnictwie coraz lepsza. Co rok siejemy o pięć dni wcześniej, plony, które rosną o trzy procent rocznie, zbieramy o trzy dni wcześniej. Dostawy są realizowane bez zakłóceń. Tylko że z tego powodu w mieście nie ma co jeść, a do pracy w polu wysyłają wszystkich, którzy albo nie zgadzają się w czymś z Pupykinem, albo są podejrzeni, albo niepotrzebni. Połowa nauczycieli, ponad połowa lekarzy

pracuje na roli, całe technikum rzeczne tam kopie i piele... A z piłkarzy i sambistów Pupykin stworzył oddziały, które pilnują pracujących. Trzymają ich na zwiększonych racjach żywnościowych.

- Czyli pańszczyzna?

- Nazywa się to wiejskim patronatem. A co najdziwniejsze, Korneliuszu, ci, którzy pozostali w mieście, uważają, że z rolnictwem u nas wszystko w porządku. Przecież codziennie w gazecie można przeczytać, jak to nam się dobrze żyje.

- A co się stało z Ksiuszą?

- Kiedyś towarzysz Pupykin osobiście przyjechał do ciebie, to znaczy do Udałowa, do domu, żeby okazać swoją przychylność. A Ksenia, zamiast podać mu obiad, urządziła skandal, wygarnęła mu całą prawdę. Znasz Ksenię. Nie da się nią kierować. Pupykin się obraził, następnego ranka ją związali, wsadzili Pilipience na motocykl i wywieźli na wieś, na reedukację, do wiejskiego patronatu, bez prawa powrotu do miasta.

- A ja? To znaczy on?

- A on... pobiegł do Pupykina i zaczął go prosić: Oddaj mi żonę! A Pupykin, jak gadają, pogłaskał go po głowce i mówi: „Po co ci taka stara i nieposłuszna żona. Mnie nie szanuje, a więc nie szanuje ani ciebie, ani naszej wielkiej ojczyzny. Jeszcze dzisiaj przeprowadzimy rozwód, a tobie oddam jedną z moich sekretarek”. Tak zrobił. Rozwiódł go i ożenił z Rimką. Sama mi opowiadała.

- Jasne - powiedział Udałow. - Wszystko rozumiem. Chodźmy do Minca. Gdzie on odpoczywa?

- Przymusowy wypoczynek to po starym więzieniu. Więzienie jest w piwnicach zajazdu, gdzie wcześniej był magazyn. Tam wypoczywają szczególnie niezadowoleni.

- Chcesz mi powiedzieć, że profesor Lew Chrystoforowicz Minc, laureat dwudziestu nagród, profesor trzydziestu uniwersytetów, jest w piwnicach inkwizycji?

- Nie żeby od razu inkwizycji... - zmieszał się Grubin. - Ale w piwnicach...

- Natychmiast jedziemy do województwa! Tak dłużej być nie może.

- Do województwa nie dojedziesz. Niejeden już próbował. Żeby pojechać do województwa, potrzebne jest specjalne pozwolenie. Pilipienko podpisuje je osobiście. Dostać je mogą tylko sprawdzeni optymiści. W województwie mają o Wielkim Guslarze jak najlepsze mniemanie.

- Ale przecież ktoś musi tutaj przyjeżdżać!

- Nawet jak przyjedzie, to sobie obejrzy witryny z kartonowym łososiem i zje obiad w bufecie Rady Miejskiej. Jasne?

- Minca trzeba uwolnić! - Trzeba. Ale nie wiem jak.

- Może poderwać prasę?

- Malużkina? Sam widziałeś. On potrzebuje jasności. I dostaje ją odgórnie.

- No cóż - powiedział Udałow - w takim razie chodźmy do tej piwnicy.

- Piwnice są zamknięte i pilnowane przez ochotniczą straż obywatelską.

- Sasza, nie na darmo przez tyle lat zajmuję się remontami. Czy sądzisz, że nie znam w tym mieście podziemnych przejść?

- A jest tam przejście?

- Powinno być. Przynajmniej w moim świecie jest, i to nawet oczyszczone przez archeologów. Przekopali je złodzieje w piętnastym wieku, wynosili toboły z zajazdu.

Gdy wyszli na podwórko, Udałow nagle usłyszał:

- Korneliuszu, dokąd idziesz? Dlaczego nie do domu?

Głos był kobiecy, żalony.

Udałow podniósł głowę. W oknie jego mieszkania stała młoda żona Rimka, rozneglizowana, z twarzą opuchniętą od łez.

- Wybacz mi! - krzyknęła. - To była chwilowa słabość. Wracaj, Korneliuszu! I nie wierz oszczerstwom Grubina. To z zawiści! Wracaj w moje namiętne objęcia!

- Zwraca się pani do niewłaściwej osoby - odpowiedział jadownicie Udałow.

A Grubin dorzucił:

- Czy cię szkalować, czy nie - żadna różnica. Młoda żona Rimma splunęła za nim w ślad.

* * *

Na dawnej ulicy Jabłoniowej, a obecnej Postępowej przyjaciele minęli umieszczone na słupach hasło: „Pupykin powiedział - naród wykona!”, minęli muzeum W.P. Pupykina, zeszli nad rzekę w tym miejscu, gdzie do urwiska przylegają pracownie i warsztaty restauratorów. W świecie Udałowa te warsztaty tętnią życiem i pracą. W tym świecie były opuszczone, drzwi nie domknięte, wszędzie brud.

Udałow pewnym krokiem poszedł za szopę, tam oderwał przegniłą deskę. Przed nimi pojawiło się wejście do podziemi, byle jak zasłonięte siwymi bierwionami. Grubin wyjął zabraną z domu latarkę.

Szli długo, czasem Udałow zatrzymywał się, zaglądał do bocznych korytarzy wykopanych przez poszukiwaczy skarbów lub rozbójników, ale ani razu nie zgubił drogi. Korytarz kończył się przy okutych żelazem drzwiach.

- Tutaj - powiedział Udałow. - A teraz cicho!

W tym samym momencie rozległ się przeraźliwy skrzyp - Udałow zaczął otwierać drzwi nie ruszane od stu lat.

Na szczęście skrzypu nikt nie słyszał.

Zagłuszył go rozpaczliwy krzyk.

Stali w podziemnych magazynach zajazdu, przemienionych wołą Pupykina w miejsce izolacji i przymusowego odpoczynku.

Przed nimi ciągnął się tunel, gdzieniegdzie oświetlony gołymi żarówkami. Krzyk dobiegał zza pobliskich drzwi - tam właśnie pospieszyli przyjaciele, sądząc, że torturują niepokornego profesora.

Ale byli w błędzie.

Przez szczelinę w drzwiach zobaczyli, że w pobielonej celi na krześle siedzi udręczony Udałow. Przed nim, szeroko rozstawiając nogi, stoi kapitan Pilipienko.

Pilipienko nie bił Udałowa. Czytał mu tylko coś z kartki.

- Nie! - krzyczał Udałow. - Nie było spisku! I żadnych dolarów nie widziałem na oczy.

Pilipienko odczekał, aż Udałow skończy wyć, i spokojnie czytał dalej:

- „Otrzymawszy trzydzieści srebrnych dolarów od syjonistycznego agenta Minca, zgodziłem się podpalić przedszkole numer dwa i zatruć studnię przy klinice położniczej”.

- Nie! - krzyknął Udałow. - Kocham dzieci!

- No co? Uwalniamy? - zapytał szeptem Udałow.

- Nie warto cię uwalniać - odpowiedział szczerze Grubin. - Nie zasłużyłeś. Poza tym wdalibyśmy się w bójkę. Sami wpadniemy i Minca nie uwolnimy.

Nie można powiedzieć, żeby Udałow zupełnie zgadzał się z przyjacielem. Trudno się przyglądać, jak ty sam siedzisz w więzieniu i jeszcze się nad tobą znęcają. Ale Udałow pomyślał, że Grubin ma rację. Mają cel. Szlachetny cel. I on jest najważniejszy.

Minęli na palcach celę, do której trafił sobowtór Udałowa, i zatrzymali się przed następną, zamkniętą na zasuwę.

Grubin bezceremonialnie odciągnął zasuwę i otworzył drzwi.

W celi było ciemno.

- Lwie Chrystoforowiczu! Jest pan tu?

- Pomyłka - odpowiedział spokojny głos. - Lew Chrystoforowicz przebywa w sąsiedniej celi.

Mam zaszczyt porozumiewać się z nim stukaniem.

- A pan kim jest? - zapytał Udałow.

- Nauczyciel rysunku Elistratow - usłyszeli w odpowiedzi.

- Siemion Borysowicz! - wykrzyknął Udałow. - A pana za co?

- Odmówiłem namalowania obrazu „Pupykin spogląda na urodzajne niwy”.

- Niech pan wychodzi - poprosił Grubin.

- To oficjalna decyzja?

- Nie, chcemy pana uwolnić.

- Wybaczcie, ale zostanę - odpowiedział nauczyciel rysunku. - Wyjdę tylko po mojej całkowitej i absolutnej rehabilitacji.

- Wobec tego niech pan czeka - powiedział Udałow.

Nie było chwili do stracenia. W każdym momencie mogli zjawić się strażnicy. Udałow i Grubin podbiegli do sąsiednich drzwi.

- Lew Chrystoforowicz?

- We własnej osobie. Co pan tu robi, Sasza?

- Przyprowadziłem panu gościa - powiedział Grubin i włączył latarkę.

Profesor Minc, siedzący na kamiennej podłodze, na której położył marynarkę, zasłonił dłonią oczy.

- Niech pan to zgasi - poprosił. - Oczy mi się odzwyczaiły od światła.

- Przyprowadziłem panu gościa - powtórzył Grubin.

- Kogo? Kto odważył się zejść do tego więzienia? Co to za życzliwy człowiek?

- To ja, Korneliusz - powiedział Udałow.

- Nie wierzę własnym uszom! Czy to nie pan pierwszy podczas rozpatrywania mojej sprawy personalnej zasugerował odizolowanie mnie w tym domu podziemnego wypoczynku?

- Nie, nie ja - odpowiedział uczciwie Udałow.

- Nie pan nazwał mnie wrogiem narodu i zagranicznym agentem?

- Nie ja.

- Jest pan kłamcą, Udałow! - wykrzyknął Minc. - I nie mam zamiaru z panem rozmawiać.

- Ten Udałow, który głosował i wzywał - rzekł Korneliusz - siedzi teraz dwie cele dalej.

Pilipienko zrobił z niego terrorystę. A ja jestem zupełnie innym Udałowem.

- Nie rozumiem!

- Żyję w świecie równoległym. Przysłał mnie tutaj nasz Lew Chrystoforowicz. W ważnej sprawie. Ale kiedy zobaczyłem, co się tu u was wyrabia...

- Chwileczkę! - zawołał Minc. - To wspaniale! Grubin, niech pan zapali latarkę.

I Minc padł Udałowowi w objęcia.

- A więc światy równoległe istnieją! - cieszył się jak dziecko. - A więc moje przewidywania i teoretyczne wyliczenia były prawidłowe. Niech żyje nauka! I co prosił przekazać mój sobowtór?

- Lew Chrystoforowicz stanął przed problemem - powiedział Udałow. - Musimy przeciągnąć przez Guslar magistralę, a on w żaden sposób nie może sobie poradzić z antygravitacją. Przeziębł się i poprosił mnie, żebym wstąpił do pana i wziął obliczenia.

- Mówi pan prawdę? - zapytał czujnie Minc.

- A dlaczego miałbym kłamać?

- Może to diabelski podstęp Pupykina. Potrzebuje antygrawitacji. Dla niej zrobiłby wszystko. Mógł nawet wymyślić świat równoległy.

- Nie, Udałow mówi prawdę! - powiedział Grubin. - Ja mu wierzę!

- A ja nie! - zaprzeczył się Minc. - Jeśli w waszym świecie równoległym również budują magistralę, mój sobowtór nigdy nie zgodziłby się na uczestnictwo w tej zbrodni przeciwko własnemu miastu. Tak samo jak ja wolałby dożyć reszty swoich dni w ciemnicy, nie poszedłby na służbę do barbarzyńców.

- W naszym świecie - tłumaczył Udałow - antygravitacją jest potrzebna, żeby przesunąć kaplicę Filipa i uratować zabytki. Minc się wahał. Wówczas Grubin powiedział: - Jest wyjście. Chce pan dowodów? - Chcę.

- W takim razie niech pan idzie z nami, pokażę panu drugiego Udałowa.

Minc wstał i podtrzymywany przez Grubina wyszedł na korytarz.

Minutę później byli pod celą, w której Pilipienko przesłuchiwał drugiego Udałowa.

Profesor zajrzał do środka, a potem odwrócił się do Udałowa pierwszego.

- Niech pan mi wybaczy, że nie uwierzyłem, ale zbytnia ufność zbyt drogo kosztuje.

- Miło to słyszeć - odpowiedział Udałow. - Początkowo przestraszyłem się, że wszyscy tutaj pogodzili się już z tyranem.

- To nie tyran, tylko drobny bandyta - sprzeciwił się Minc. - Tyranów już nie ma, ale tyrania ciągle żyje.

Ostatnie słowa powiedział zbyt głośno. Pilipienko usłyszał hałas na korytarzu, rzucił się do drzwi, otworzył je i zobaczył Minca.

- Wyszedłeś? Zamierzasz uciekać? - zaryczał, sięgając ręką do kabury.

Minc osłupiał. Nie wiedział, co się robi w takich sytuacjach. Ale Udałow, który wyrósł bez ojca, na ulicy, wiedział doskonale. Odsunął Minca na bok, zrobił krok naprzód i powiedział:

- Dość tego, Pilipienko. Doigrałeś się.

Pilipience opadła szczeka. Patrzył na Udałowa jak królik na węża. Potem spojrzął na otwarte drzwi i tam zobaczył drugiego Udałowa.

Grubin nie tracił czasu.

- Korneliuszu! - krzyknął do sobowtóra Udałowa. - Wychodź!

Pierwszy Korneliusz tymczasem odebrał oszołomionemu milicjantowi pistolet, a jego samego wepchnął do celi i zamknął drzwi na zasuwę. Pilipienko nawet się nie opierał.

- A teraz biegiem! - ponaglił ich Grubin. Pobiegli korytarzem do podziemnego przejścia.

W samą porę. Pilipienko opamiętał się, zaczął walić pięściami w drzwi, wołać pomocy i z oddali dały się słyszeć kroki - od wejścia do podziemi biegli strażnicy-sambiści.

Ale drzwi do podziemi były już zamknięte i nasi bohaterowie pospieszyli niezauważeni w stronę warsztatów restauratorów.

Jeśli nawet ich ścigano, to bezskutecznie.

Bez dalszych przygód wydostali się z podziemi i usiedli za szopą, żeby odetchnąć.

Był ładny jesienny wieczór. Słońce schowało się już za budynkami, niebo się rozjaśniło, zrobiło się bezbarwne, a nieliczne chmury podświetlone były na brzegach złotem. Wyglądały jak wielkie jesienne liście.

Udałow patrzył na swojego sobowtóra - siniak pod okiem, zadrapanie na policzku, ogólnie nieporządnny wygląd.

- Bili? - zapytał współczująco.

- Pilipienko - odpowiedział sobowtór. - Już ja mu odpłacę.

- Nie - rzekł profesor Minc. - Jego sędzią będzie naród.

- Kto? - westchnął sobowtór Udałowa. - Prokurator? Sędzia? Wszyscy siedzą u Pilipienki w kieszeni.

- Przyślą ludzi z województwa - pocieszał go Grubin. - Albo z Moskwy. Nieprzekupnych.

- Rewolucja! - stwierdził ponuro Udałow sobowtór. - Tylko rewolucja może tu coś zmienić.

- Rewolucji nie możemy urządzić - wyjaśnił Grubin. - Żyjemy w państwie socjalistycznym, mamy prawodawstwo, związki zawodowe. Przeciwno komu chcesz urządzić rewolucję?

- Bez rewolucji się nie obejdzie.

- A jak ją zorganizujesz?

- Pójdę do ludzi, otworzę im oczy.

- Czy ty do tej pory miałeś oczy zamknięte? - zapytał Grubin - Nie, widziałem oczywiście pewne braki... - Udałow zmieszał się, zamilkł.

- I zjadłem je czarnym kawiozem z bufetu - dokończył za niego Grubin. Uśmiechnął się gorzko. Wszyscy się uśmiechnęli; w słowach Grubina była życiowa prawda.

- Trzeba napisać - zaproponował Minc. - Niech przyślą komisję.

- Wielu pisało - sprzeciwił się Grubin. - Ale wszystkie listy są przechwytywane na poczcie. Gdzie potem ląduje pisarz? W wiejskim patronacie. A w dodatku jak na złość nasze miasto nie ma kolei i otoczone jest nieprzebytymi lasami.

- Nie takimi znowu nieprzebytymi - wtrącił się Udałow.

- Obawiam się, że Pupykin da sobie radę z każdą komisją. Ma w tej dziedzinie doświadczenie. Dokumenty są odpowiednio spreparowane. Mucha nie siada.

- Dziwnie się czuję, przyjaciele, jak tak na was patrzę - powiedział Udałow. - Jesteście tacy sami jak w moim świecie. I wygląd ten sam, i głos... A jednocześnie jesteście inni. Czy mógłbym kiedykolwiek przypuszczać, że Korneliusz Udałow, człowiek uczciwy, prostolinijny, nawet dobry, może stać się sługusem drobnego dyktatora?

- Nie trzeba - poprosił sobowtór. - To przeszłość. Już sobie wszystko uświadomiłem.

- Co to, wystarczy jeden Pupykin, żeby was, entuzjastów, budowniczych jasnej przyszłości zmienić w błoto?

- Pupykin nie jest sam - westchnął Minc. - To cały kierunek: pupykowszczyzna. Pojedynczy łajdak nie może zmienić historii, jeśli nie zbierze bandy podobnych łajdaków. Ich kłamstwa brzmią pięknie, w sfabrykowanych dokumentach można poczytać o postępie i szczęściu. Wielu ludziom Pupykin jest potrzebny. Przy Pupykinie można nie myśleć. Wystarczy służyć. Dobrze służysz - masz wszystko. Nawet młodą żonę z dostawą do domu. Nie służysz wiernie... sami rozumiecie. I z każdym dniem robi się coraz więcej wiernych sług. Prasę też ma w ręku...

- Gdy wrócę do domu i opowiem Malużkinowi, jaką rolę gra przy Pupykinie, zabije mnie. Własnymi rękami. On by życie oddał za wolność i demokrację - powiedział Udałow.

- ...i kombatantów - ciągnął Minc.

- Nie znacie Łożkina. Wczoraj na placu kierował demonstracją domagającą się ocalenia kaplicy Filipa!

- A ja na własne oczy widziałem, jak Łożkin tę kaplicę na czynie społecznym burzył - sprzeciwił się Grubin.

- Ty się, Grubin, lepiej nie odzywaj. Już ja wiem, do czego jesteś zdolny. Całe nasze miasto jest dumne z twojego wynalazku.

Zrobiło się chłodno. Chmury pociemniały, znowu zaczął wiać wiatr.

- Na mnie pora - przypomniał Udałow. - Tylko chciałbym jeszcze prosić o te wzory.

- Wzory mam w głowie - powiedział Minc. - Wszystkie notatki spaliłem.

Cała ta sytuacja była jakaś nieprawdziwa, mistyczna, wszystko działo się jakby we śnie. Udałow stał w swoim rodzinnym Gu-slarze, w towarzystwie przyjaciół i nawet samego siebie. Dobrze by było teraz posiedzieć w kawiarni albo machnąć się do teatru, jak przystało na ludzi kulturalnych. A zamiast tego muszą chować się za szopą w porzuconej przez restauratorów bazie i nawet nie wiedzą, gdzie się podziać i co robić dalej.

- Pojadę do tego patronatu - postanowił nagle sobowtór Udałowa. - Odwiedzę Ksenię. I tak nie mogę wrócić do domu.

Słowa sobowtóra ucieszyły Udałowa. A więc jednak to nie byli obcy ludzie.; On też podjął decyzję.

- A więc tak... - zaczął. Wszyscy słuchali go z uwagą, bo przyjechał z normalnego świata.

- Do mojego świata uda się teraz Lew Chrystoforowicz. Od razu pójdzie do naszego Minca i o wszystkim mu opowie. Przy okazji da mu wzory. Minc ma głowę państwową, coś wymyśli. A dwóch Minców tym bardziej. Jeśli zajdzie potrzeba, idźcie do Białosielskiego, może on wam podpowie, do kogo się zwrócić w województwie. Albo nawet w Moskwie. A jak już coś wymyślicie, od razu wracajcie. Będziemy czekać.

- A pan, Korneliuszu Iwanowiczu? - zapytał Minc.

- Razem z moim bratem bliźniakiem udam się na wykopki. Obawiam się, że beze mnie Ksenia mu nie przebaczy.

- Dziękuję, jesteś prawdziwym przyjacielem - powiedział drugi Udałow i skąpa łza potoczyła się po jego brudnym, podrapanym policzku.

Pierwszy Udałow wyjął chusteczkę i otarł łzę.

- A co ja mam robić? - spytał Grubin. - Nie chcę siedzieć bezczynnie.

- Będziesz czekać. W rezerwie - rzekł Udałow. - Prowadź propagandę wśród narodu, przygotuj nowe wybory.

Plan Udałowa został zaakceptowany. Wyszli z szopy i zaczęli iść pod górę, zaułkiem, żeby nie wpaść w oczy przeciwnikom.

Byli już w połowie zbocza, gdy nagle Minc się zatrzymał.

- To, co nam zaproponowałeś, Korneliuszu - powiedział - jest bardzo mądre. W jakiejś powieści fantastycznej tak by pewnie było. Udałbym się do świata równoległego, otrzymałbym tam radę i pomoc, ty z Udałowem rozpoczęlibyście powstanie w patronacie, tam ludzie aż się palą, tylko czekają na sygnał. I wszystko skończyłoby się szczęśliwie. Ale teraz sobie zdałem sprawę, że nie jesteśmy w powieści!

- Ma pan rację, Lwie Chrystoforowiczu - poparł go Grubin. To jest realne życie. I powinniśmy

działać, tak jakby światów równoległych w ogóle nie było. A może ich naprawdę nie ma?

- Jak to? A ja? - zapytał Udałow.

- A ty się nam tylko śnisz - zakończył Grubin.

- No właśnie - poparł go drugi Udałow. - Masz rację, Sasza. Samiśmy Pupykina wyhodowali, sami musimy go zlikwidować.

- U nas nie może być rewolucji! - przypomniał Udałow.

- Kto mówi o rewolucji? - odpowiedział Minc. - Chcemy tylko zaprowadzić porządek we własnym domu.

Troje przyjaciół popatrzyło na siebie i zgodnie skinęło głowami.

- Chwileczkę - powiedział Minc i wyciągnął z kieszeni notes. Wyrwał z niego kartkę, szybko zapisał na niej trzy linijki cyfr i podał Udałowowi. - Przekaż to mojemu sobowtórowi. Oczywiście, to nie są gotowe formuły, ale gdybym był na jego miejscu, na pewno bym się domyślił, jaką drogą pójść.

- Dziękuję - rzekł Udałow. - Chociaż i tak uważam, że pana, jako wiodącego naukowca, powinniśmy ewakuować do naszego świata.

- Trzeba by było ewakuować całe miasto. - Minc wyciągnął do Udałowa rękę i dodał: - Dziękuję, że pan do nas przyjechał. Bardzo nam pan pomógł. I działaniem, i przykładem.

- Dziękuję, Korneliuszu - powiedział Grubin, zegnając się z Udałowem. - Miło było się spotkać.

Jako ostatni zegnał się z nim sobowtór.

- Mam nadzieję, że Ksenia zrozumie.

- Wszystko się jakoś ułoży - uspokoił go Udałow. - Znasz ją, nie jest pamiętliwa.

I we trzech, niczym trzech muszkieterów, nie wyjaśniając Udałowowi, jaki mają plan, szybko poszli ulicą w górę.

Bał się o nich. I jednocześnie było mu przyjemnie patrzeć na męską przyjaźń. Wyglądali zupełnie jak załoga pancernika „Wariag”, gdy wyruszała w swój ostatni, nierówny bój.

Udałow poczuł się samotny.

Złożył we czworo karteczkę ze wzorami i schował do buta. Jeśli go zatrzymają, to może nie znajdą.

Gdy się wyprostował, usłyszał na górze krótki trzask.

Wystrzał?

Zaczął się wpatrywać w półmrok. Nie, to nie był wystrzał. To trzasnęła furtka. Ktoś wyszedł na ulicę i zaczął iść obok trzech muszkieterów.

Udałow jeszcze przez chwilę patrzył...

I popędził za przyjaciółmi, którzy już skryli się za grzbietem góry.

Gdy ich dogonił, zobaczył, że razem z nimi idzie co najmniej dziesięć osób. A drzwi i furtki ciągle się otwierały...

1988

WIELCE SZANOWNY MIKROBIE

ROZDZIAŁ 1

W którym Korneliusz Udałow otrzymuje zaproszenie na ZIZ i podejmuje decyzję.

Z poranną pocztą Korneliusz Udałow otrzymał przesyłkę lotniczą. Był w niej list następującej treści: „Szanowny Korneliuszu!

Zostałeś zaproszony na pierwszy ZIZ jako delegat z Ziemi z prawem głosu decydującego. Obecność obowiązkowa. W przypadku niestawienia się konsekwencje poniesie cała Ziemia, która zostanie deszyfrowana do 34 pro-ku-ła.

Pierwszy ZIZ odbędzie się w dniach 21-36 lipca bieżącego roku, na 14xxXX-5:%=?34.

Transport, przewodnik, posiłki, pogrzeb (w razie konieczności), odpowiednią temperaturę i wilgotność zapewnia Komitet Organizacyjny ZIZ.

Sekretarz KO ZIZ G-G”.

Korneliusz dwukrotnie przeczytał zaproszenie, potem podszedł do okna i ze smutkiem popatrzył na podwórko. Podwórko było zielone i swojskie, stara Łóżkina wieszała pranie, z białych prześcieradeł kapąły na trawę ciężkie krople wody, rudy kogut wleciał na otwarte drzwi komórki i głośno łopotał skrzydłami, z okna Gawryłowów dobiegała muzyka jazzowa, a po błękitnie porannego nieba płynęły różowe chmurki, nad którymi z przenikliwym krzykiem latały jerzyki. I teraz ten spokojny, znajomy, kochany świat trzeba będzie porzucić dla nieznanego ZIZ, dla wątpliwych radości i realnych niebezpieczeństw podróży kosmicznej.

- Trzeba będzie jechać - powiedział Udałow, odwracając się od okna i patrząc z czułością na Ksenię, która nakrywała stół do śniadania. - Jaki mamy dzisiaj dzień?

Ksenia rzuciła okiem na ścienny kalendarz.

- Osiemnasty. Gdzie ty się wybierasz? Znowu na ryby?

- Zostało już tylko trzy dni - rzekł w zadumie Udałow. - Nie na ryby, tylko na pierwszy ZIZ.

- Nawet o tym nie myśl! - oburzyła się Ksenia. - Dostyc tego. Pewnie znowu kosmici? Znowu masz poświęcić swój czas i nerwy w imię galaktycznej przyjaźni?

- Trzeba, Ksiusza - powiedział Udałow i usiadł przy stole. Po śniadaniu poszedł do Mikołaja Białosielskiego.

ROZDZIAŁ 2

W którym Udałow rozmawia z Mikołajem Białosielskim i wysłuchuje protestów

Mikołaj Białosielski chodził do jednej klasy z Korneliuszem Udałowem. Po zakończeniu szkoły z wyróżnieniem, wyjechał do województwa. Tam otrzymał wyższe wykształcenie, po czym swoimi zdolnościami i umiłowaniem pracy zdobył powszechny szacunek przełożonych i został skierowany do swojego rodzinnego miasta na stanowisko dyrektora.

Niechętnie wracał do Wielkiego Guslaru. Był człowiekiem z zasadami, poważnym i obiektywnym, dlatego też przeczuwał nieuchronność konfliktów. Bujna wyobraźnia podpowiadała mu, że na wiadomość o jego rychłym przyjeździe wielu mieszkańców miasta zacznie mówić: „No jakże, oczywiście, że pamiętam Kolę Białosielskiego! Chodziliśmy do jednego przedszkola!”. Albo: „Kola? Białosielski? Swój człowiek! Moja cioteczna siostra Leokadia była żoną jego wujka Kostii”. Problem małych miasteczek polega na tym, że wszyscy wszystkich znają.

Przecucia Białosielskiego się sprawdziły. Na ulicach podchodzili do niego nieznajomi ludzie, wspominali wspólne szczęśliwe dzieciństwo, po czym zapraszali go na obiad albo prosili o protekcję. Do gabinetu przenikały cioteczno-stryjeczne babcie, pragnące poprawy warunków mieszkaniowych, i przyjaciółki z obozu pionierskiego, kłamiące o trwającej ciągle miłości.

Białosielski ze strachu przed okrzykiem „Kola, przyjacielu!” zaczął unikać ludzi, stał się surowy dla rodziny i schudł. Marzył

o przeniesieniu do dalekiego Pietropawłowska Kamczackiego. Ale nadal pozostał wierny swoim zasadom.

Udałow wiedział o tragedii Białosielskiego i dlatego, mimo że spędzili razem sześć lat w jednej ławce i wspólnie hodowali gołębie, ani razu nie odwiedził go w domu, a gdy spotykali się na zebraniach, witał się powściągliwie i unikał rozmów. Białosielski tęsknił za starą przyjaźnią, chciałby kiedyś posiedzieć z Udałowem i powspominać odległe dzieciństwo, ale się powstrzymywał. W walce z faworytyzmem nie powinno być żadnych wyjątków.

Udałow wszedł do gabinetu Białosielskiego i od razu w progu powiedział:

- Dzień dobry. Mam ważną sprawę.

- Dzień dobry, Korneliuszu - odrzekł Białosielski. Na widok Udałowa jego wzrok złagodniał i Białosielski poczuł ogromną ochotę powiedzenia byłemu przyjacielowi czegoś serdecznego. - Ładną mamy w tym roku pogodę. Czerwiec nas rozpieszcza.

- Tak, gorąco - zgodził się Udałow.

- Siadaj. Co tam u ciebie w biurze? Plan wykonacie?

- Postaramy się - stwierdził powściągliwie Udałow, usiadł i wyjął z kieszeni zaproszenie.

- Kiedy bierzesz urlop? - zapytał Białosielski.

- Właśnie nie wiem. Miałem zamiar w sierpniu, ale... Przyszedłem się poradzić.

Przesunął po stole zaproszenie Białosielskiemu i czekał.

Białosielski uważnie przeczytał list, spojrzął szybko na Udałowa, po czym wyjął z drewnianego wysokiego kubka starannie naostrzony ołówek i zaczął czytać jeszcze raz, zaznaczając błędy i w niezrozumiałych miejscach stawiając znaki zapytania na marginesach. Udałow patrzył w okno, za którym gruchały gołębie, i marzył o rybach.

Białosielski skończył czytać list i zamyślił się. W liście czaił się podstęp. Nie trzeba było aż tak demonstracyjnie cieszyć się na widok Udałowa. To przecież przyjaciel z dzieciństwa - a więc człowiek podwójnie niebezpieczny. Nie na darmo przez te wszystkie miesiące trzymał się na dystans i taktownie unikał poufałości. I ty, Brutusie! - zdenerwował się Białosielski. Już lepiej by poprosił o nowe mieszkanie. Myśląc w ten sposób, niechcący napotkał jasne, błękitne spojrzenie Udałowa, zobaczył jego gładkie wypukłe czoło, pulchne różowe policzki i kędziorki dookoła wczesnej łysiny. Nieoczekiwanie dla samego siebie zapytał:

- Co to takiego ten ZIZ?

- Pojęcia nie mam - przyznał się ucziwie Udałow.

- Jasne - powiedział Białosielski. Potem dodał: - Jak wiadomo, lipiec ma trzydzieści jeden dni.
- Najwidoczniej oni mają inny kalendarz - zauważył Udałow. - To może nie warto jechać?
- Nie warto - zgodził się Białosielski.
- I żona się ucieszy. Nie podobają się jej te moje podróże kosmiczne. Zazdrosna.
- O rodzinie też trzeba pomyśleć - powiedział Białosielski. - Zbyt często o niej zapominamy.
- Czyli zdecydowaliśmy? Musiałem się przecież poradzić. A kogo tu się poradzić w takiej sprawie? Pójdę już, bo się do biura spóźnię.

- Idź. Pracuj spokojnie.
- Spokojnie nie da rady - Sprzeciwił się Udałow. - Będę się niepokoił o los Ziemi.
- A co się stało?

- Deszyfiszorywką grożą. Na trzydzieści cztery prokuły.
- Pro-ku-ła - poprawił Białosielski, zaglądając do zaproszenia. - To jakieś brednie.
- Pewnie że brednie - zgodził się Udałow. - Może jakoś to będzie.

Białosielski pokreślił słowo „deszyfiszorywana” czerwonym ołówkiem.

- Sprawdzałeś w słowniku wyrazów obcych? - zapytał.
- Nie ma. To pewnie ich terminologia.

Białosielski spojrział w okno. Gruchały gołębie, chmury skłębiły się, gdzieś w oddali zagrzmiało. Białosielski zapragnął wyjechać do Pietropawłowska, na Kamczatkę, gdzie nie byłoby przyjaciół z dzieciństwa.

- Znaczy, ignorujemy? - zapytał Udałow. Stał na środku gabinetu, przestępując z nogi na nogę. Czuł się niezręcznie, że postawił Kołę w takiej sytuacji.

- A jeśli to nie żart? Gdybyśmy mogli wiedzieć...

- Ale skąd?

- A jak w ogóle zamierzałeś tam pojechać? Adres mało zrozumieli.

- Już oni wiedzą. Dla nich to tak jak dla nas Wołogda. Przyjaciele z dzieciństwa zamilkli. Udałow pomyślał, że jeśli uda mu się nie polecieć na ZIZ, to dobrze by było zaprosić Kołę na ryby.

- Jeśli przyjadą, to im powiem, że jestem chory. Wyjdzie dyplomatycznie i nikt nie będzie miał pretensji.

- Dobry pomysł - potaknął Białosielski. Zrozumiał już, że Udałow jest szczery i bezpośredni. - Tak właśnie powiedz.

- A tego... jeśli chodzi o ryby... - ale Korneliuszowi nie udało się dokończyć zaproszenia. Na środku gabinetu, dokładnie pomiędzy Udałowem i biurkiem Białosielskiego pojawił się człowiek w czarnych trykotach. Nie wyglądał na Ziemianina.

- Przepraszam - powiedział szybko, z lekkim akcentem mieszkańca innej planety. - Jestem z ZIZ. Szukam Udałowa, Korneliusza. Statek czeka na orbicie. Dlaczego opóźnienie?

- Nie jadę - rzekł natychmiast Udałow. - Jestem chory.

- Pojedziesz - stwierdził po prostu człowiek w trykotach. - Trzeba, Korneliuszu.

- Chwileczkę - wtrącił się Białosielski. - Po pierwsze, to mój gabinet...

- Co tu ma do rzeczy gabinet? - zdziwił się człowiek w czerni. - Mam obowiązek dostarczyć Udałowa na pierwszy ZIZ, a czeka nas jeszcze przesiadka na Aldebaranie. Czasu jest bardzo mało. - Wysłannik ZIZ władczy gestem położył rękę na ramieniu Udałowa.

Korneliusz spojrział z rozpaczą na Białosielskiego. Co by tu jeszcze wymyślić?

- Może zaszła pomyłka? - zapytał Białosielski. - Może szuka pan innego Udałowa?

- Dokładnie tego - powiedział wysłannik. - Został wybrany, jego parametry odpowiadają wymaganiom ZIZ.

- Niech pan chociaż powie, co to takiego ten ZIZ! - poprosił Udałow, próbując uwolnić ramię z żelaznego uchwytu człowieka w trykotach.

- Zjazd Istot Zwyczajnych.

- Nie jestem godzien!

- Zgadza się - poparł Udałowa Białosielski. - Dlaczego właśnie Korneliusz Iwanowicz ma reprezentować Ziemię na forum międzynarodowym? Moglibyśmy zaproponować wam bardziej godnych przedstawicieli. Na przykład inżyniera Sidorowa. Społecznik, sportowiec, racjonalizator, człowiek wybitny...

- Tak jest! Sidorowa! - wykrzyknął Udałow.

- Nie potrzebujemy Sidorowa - powiedział wysłannik. - Potrzebujemy Udałowa.

- Dziwne - powiedział Białosielski. W tym momencie zadzwonił telefon.

Białosielski podniósł słuchawkę, przez cały czas marszcząc brwi. A Udałow, korzystając z chwili przerwy, zapytał wysłannika:

- Mogę wstąpić do domu po rzeczy?

Zrozumiał już, że nie uda mu się wykręcić od tego ZIZ-u.

- Nie mamy czasu. - Wysłannik schwycił Udałowa za pasek i silnie pociągnął go pod sufit.

Udałow zdążył jeszcze zobaczyć zadartą do góry zaniepokojoną twarz starego przyjaciela. Twarz zniknęła i sekundę później Udałow, zbliżając się do niedużego latającego spodka, spoglądał na Wielki Guslar z wysokości tysiąca metrów.

Białosielski odprowadził Udałowa wzrokiem i rzekł do słuchawki:

- Przepraszam, co pan mówił?

- Nie puszczajcie Udałowa na ZIZ - odpowiedział głos o dziwnym tembrze i silnym kosmicznym akcencie. - To może skończyć się dla Ziemi tragicznie.

- Kto mówi?

- Życzliwy.

- Udałow już poleciał. Proszę podać swoje nazwisko i powody, dla których nie życzy pan sobie uczestnictwa Korneliusza Udałowa na międzynarodowym zjeździe.

- Szkoda, że go puściliście. Teraz możecie mieć pretensje tylko do siebie.

W słuchawce coś szcęknęło. Kobięcy głos oznajmił:

- Rozmowa z Omega Smoka została zakończona. Trzy minuty.

- Dziękuję - powiedział Białosielski i powoli odłożył słuchawkę.

ROZDZIAŁ 3

W którym Udałow ma przesiadkę na Aldebaranie

Statek kosmiczny nabrał prędkości. Ziemia zniknęła z pola widzenia, a Słońce wyglądało jak nieduża żółta gwiazda. Za iluminatorem kłębiły się mgławice. Udałow odszedł od okna i poklepał się po kieszeni, sprawdzając, czy dokumenty są na swoim miejscu. Wysłannik włączył autopilota i odwrócił się do Udałowa:

- Udało się. Zdążyliśmy.

- A co? - zapytał Udałow.

- Mogli nas zatrzymać. Twoja skromna osoba, Udałow, wzbudza spore zainteresowanie w pewnych kręgach.

- Niepotrzebnie. Nie wpraszałem się na ten wasz ZIZ, lecę tylko dlatego, że to mój obowiązek. Mogę wracać w każdej chwili. Tym bardziej że na Ziemi jest wielu godniejszych ode mnie.

- Możliwe - zgodził się wysłannik. - Godnych są miliony, ale Udałow jeden.

- No cóż... - Udałow nie miał zamiaru zaprzeczać. - Załóżmy, że miałem szczęście. Zobaczę nowych braci w rozumie.

- Siadaj i zjedz coś - zmienił temat wysłannik. - W bufecie na Aldebaranie jest parszywe jedzenie.

Zjedli obiad i zaczęło się hamowanie przed Aldebaranem.

Ciekawski Udałow był wstrząśnięty widokiem portu kosmicznego na Aldebaranie. W ogromnych salach spacerowały, siedziały, odpoczywały, parowały, wisały głowami w dół, dyskutowały, czekały, stały w kolejkach po bilety, żywiły się w bufecie dziesiątki tysięcy Aldebarańczyków, Syriuszyjęzyków, Deskasyjców, Tori-tori, Prulów, Kofkriafiekijczyków, 45/67-czyków, milczących Ispuzników, Wegijczyków, Pletczyków, Mossaderów, antropoidalnych Loków, Porników, Apretttwoniejczyków i wielu innych, których nazwy Udałow nie zapamiętał. I ani jednego mieszkańca Układu Słonecznego.

Wysłannik szybko przeprowadził przez salę oszołomionego różnorodnością rozumnego życia Udałowa, przepchnął go przez wąskie drzwi z niezrozumiałym napisem i powiedział:

- Poczekaj tutaj. Radzę ci nie opuszczać tego pomieszczenia. W przeciwnym razie miej pretensje do siebie. Idę skasować bilety. Wysłannik poszedł, a Korneliusz Udałow rozejrzał się dokoła. Pomieszczenie było niewielkie, biorąc oczywiście pod uwagę tutejsze kryteria. Od eleganckiej fontanny bił aromat piżma, dookoła stały wyściełane fotele. Większość była pusta. W pozostałych nudziły się dziwnie ubrane istoty.

Udałow podszedł do najbliższego wolnego fotela i usiadł. Starał się zachowywać tak, jakby podróże kosmiczne były dla niego chlebem powszednim. W zasadzie tak było rzeczywiście, ale ostatni raz w odległych zakątkach kosmosu był trzy lata temu, a na tak ogromny dworzec trafił po raz pierwszy.

Pozostali osobnicy w fotelach popatrzyli obojętnie na Udałowa i powrócili do swoich zajęć. Było cicho. Czasami głośnik pod sufitem mruczał coś w obcym języku, prawdopodobnie ogłaszając lądowanie. Udałow zaczął myśleć o Kseni. Na pewno się denerwuje. Dobrze by było wysłać jej telegram, ale gdzie tu znaleźć pocztę? Na wszelki wypadek postanowił zapytać sąsiada, który od dołu do ramion przypominał człowieka, ale książkę, którą czytał, trzymał w chwytnych mackach, pochylając nad stronami upie-rzoną głowę z dziobem zamiast nosa.

- Przepraszam - powiedział Udałow. - Nie wie pan, czy można stąd wysłać telegram na Ziemię? Stworzenie odłożyło książkę, przechyliło na bok głowę i powiedziało:

- Czyk-czyk-czyri... ipiti.

- Przepraszam?

- Niech pan nie zwraca uwagi - odezwał się głos z drugiej strony. - Nie zna rosyjskiego.

Udałow z ulgą odwrócił się w stronę, z której dobiegał głos, i zobaczył wyprostowanego, zgrabnego i dobrze ubranego metrowego pasikonika.

- A pan mnie rozumie?

- Rozumiem - powiedział pasikonik. - Jestem synchronicznym tłumaczem. Lecę na pierwszy ZIZ.

- Dużo języków pan zna? - zapytał Udałow.

- Trudno powiedzieć, nigdy nie liczyłem. A pan, sądząc po niepewnym sposobie bycia, prowincjonalnym wyglądzie i głupkowatym wyrazie twarzy, z miasta Wielki Guslar?

- Zgadł pan! - ucieszył się Udałow. Nawet puścił mimo uszu niepochlebny wypowiedź pasikonika. - Skąd pan wie o moim mieście?

- I nazywa się pan Korneliusz Iwanowicz - dodał pasikonik. - Bardzo mi przyjemnie. Przeglądałem listy delegatów, a mam fenomenalną pamięć. To co, idziemy wysłać telegram do pańskiej żony Kseni?

- A jeśli spóźnimy się na statek? - zaniepokoił się Udałow.

- Poczekają. Bez nas nie polecą. Zapomniałem się przedstawić. Nazywam się Tori, z planety Tori-Tori, z ulicy imienia Tori.

- Aż tyle zbiegów okoliczności? - zapytał ostrożnie Udałow, który wiedział, że każda planeta w Galaktyce ma swoje obyczaje i czasem niewłaściwe pytanie może śmiertelnie obrazić rozmówcę albo nawet wywołać wojnę.

- Nie - odpowiedział synchroniczny tłumacz. - Na naszej planecie każdy nazywa się Tori, wszystkie miasta to Tori i wszystkie ulice noszą imię Tori.

- I nie myli się wam?

- Wręcz przeciwnie. Za proste, żeby się pomylić.

- No tak - zgodził się Udałow. - To gdzie jest poczta? Pasikonik natychmiast zerwał się z fotela, pociągnął Udałowa ostrym pazurkiem do drzwi i za róg. Znaleźli się w niskim białym pomieszczeniu. Pod ścianami stały umywalki różnej wielkości, kształtu i wysokości.

- Tutaj możemy spokojnie porozmawiać. Nikt nas nie podsłucha - zaszeptał pasikonik Tori. - Masz coś do sprzedania?

- Nie rozumiem - powiedział Udałow. - Chciałem iść na pocztę.

- Ta stacja nie ma łączności z Ziemią. Poważnie pytam. Co wiesz? Kosztowności? Pamiątki?

- Zdziwiasz mnie. Jakie kosztowności? Tak się tu spieszyłem, że nie zdążyłem wstąpić do domu, nie wziąłem nawet płaszcza.

- Szkoda - zasmucił się pasikonik.

- Dziwne - westchnął Udałow, patrząc, jak jakiś pasażer tranzytowy myje swoje siedem łap. - Przecież znasz języki, pewnie nieźle zarabiasz. A zajmujesz się spekulacją.

- Uwielbiam dreszczyk emocji - odpowiedział pasikonik po prostu. - Nic na to nie poradzę. A moje zdolności lingwistyczne nie są potrzebne na konferencji. Znajomość wszystkich języków wydadzą ci razem z mandatem.

- To mówisz, że nie ma poczty?

, - A po co miałyby być? Kto stąd wysyła telegramy na Ziemię? Naiwny jesteś, Udałow.

- Nie. Jestem ufny.

W tym momencie głośnik, który wisiał nad ich głowami, przestał szwargotać w nieznanym języku i odezwał się po rosyjsku:

- Udałow, Korneliusz Iwanowicz, jest oczekiwany pod pomnikiem Kolana Państwowego, pośrodku sali numer osiem. Powtarzam, delegat pierwszego ZIZ Udałow Korneliusz Iwanowicz jest oczekiwany w centrum sali numer osiem, pod pomnikiem Kolana Państwowego.

- No widzisz - powiedział Udałow do pasikonika. - A ty mówiłeś...

- Poczekaj - zaniepokoił się pasikonik. - Sam nie idź.

- To chodź ze mną - zaproponował Udałow.

Dwie minuty później Udałow i Tori stali obok imponującego pomnika Kolana Państwowego. Dookoła było pełno ludzi. Kto mnie wzywał? - zastanawiał się Udałow. Czyżby przyleciał Kola Białosielski?

- Korneliuszu! - usłyszał.

Podeszła do niego dziewczyna olśniewającej urody, ubrana tylko w srebrzysty kostium kąpielowy. Szeroko otworzyła błękitne oczy i uśmiechnęła się figlarnie, obnażając dwa rzędy perłowych zębów w oprawie pełnych koralowych warg.

- Uważaj, Korneliuszu! - ostrzegł pasikonik.

- Wiem, wiem - zgodził się Udałow, nie będąc w stanie oderwać oczu od pięknej dziewczyny.

- Jestem szczęśliwa - powiedziała, muskając rękę Udałowa delikatnymi palcami. - Marzyłam o tym spotkaniu. Chodźmy. Nasz miłutki latający raj czeka przy drugim cumowisku. Będziemy razem odpoczywać nad szemrzącym strumykiem zakochanych, pod sklepieniem bananów zapomnienia. Chodźmy, króliczku!

Udałow, zupełnie nic nie rozumiejąc i zupełnie o niczym nie myśląc, pokornie poszedł za dziewczyną. I może nawet doszedłby razem z nią do drugiego cumowiska i dotarł pod banany zapomnienia, gdyby nie twarda dłoń wysłannika w czarnych trykotach.

- Delegacie Ziemi! - krzyknął posłaniec. - Zapomina się pan.

- Jest mój - powiedziała czule dziewczyna. - Jesteś mój, prawda?

- Jestem twój - skinął głową Udałow.

Pasikonik rzucił się naprzód i wcisnął między Udałowa a piękność.

- Udałow! - zawołał, oglądając się na wysłannika. - Z naszego punktu widzenia ta osoba nie jest godna zainteresowania. Możliwe, że jest syntetyczna...

- Nie wierz im, Korneliuszu - zaprotestowała dziewczyna. - To oni są syntetyczni.

Wysłannik chwycił sprzeciwiającego się Korneliusza pod rękę i szybko powlókł za sobą. Udałow szarpnął się, dziewczyna głośno szlochała i krzyczała:

- Od pierwszego wejrzenia! Pokochałam. Na całe życie. Nie zniosę rozłąki!

- Ja też! - odpowiedział Udałow.

Pasażerowie tranzytowi patrzyli na tę scenę z zaciekawieniem, sądząc, że obserwują jakiś narodowy obyczaj.

Dziesięć minut później pasikonik z wysłannikiem wsadzili chorego z miłości Udałowa do statku kosmicznego i przywiązali go do fotela. Udałow, ciągle jeszcze w amoku, powtarzał:

- Od pierwszego wejrzenia... od pierwszego wejrzenia i na całe życie...

ROZDZIAŁ 4

W którym Udałow przylatuje na miejsce, gdzie ma się odbyć pierwszy ZIZ

Zaraz po starcie Udałow dostał od wysłannika tabletkę i zasnął. Gdy się obudził, dolatywali już do planety 14 xxXX-5%=?34. Bolała go głowa, drżały ręce. Widział przed sobą piękne błękitne oczy, ale już przesłonięte mgiełką przeszłości. Słyszał, że obok rozmawiają wysłannik i pasikonik, ale nie zrozumiał nic oprócz znajomego nazwiska - Udałow. Z trudem przypomniał sobie, że to jego nazwisko.

- Lepiej panu? - zapytał synchroniczny pasikonik. - Minął panu atak miłości?

- Kiepska sprawa - powiedział Udałow. - Nigdy mi się coś podobnego nie zdarzało, ostatni raz w szkole średniej.

- I jak się to wtedy skończyło? Dobrze?

- Nie pamiętam szczegółów. Ale było ciężko.

Pasikonik zamyślił się, opierając głowę na pazurku, a wysłannik rzekł:

- Nie podoba nam się to. Za bardzo się tobą, Udałow, interesują.

- To prawda - zgodził się Udałow. - Przecież ona знаła moje imię. Może widziała gdzieś fotografię?

- Myślisz, że zobaczyła twoje zdjęcie, zakochała się i zaczęła cię szukać po całym kosmosie?

- Takie rzeczy się zdarzają - powiedział skromnie Udałow.

Bardzo chciał uwierzyć w miłość.

- Korneliuszu, czy według ziemskich kryteriów jesteś mężczyzną przystojnym? - zapytał wysłannik. - Amantem? Ulubieńcem kobiet?

- Raczej nie - przyznał się Udałow. - Jestem w sumie przeciętny.

- Otóż to właśnie. Inaczej nie zaproszono by cię na ZIZ.

A twarz tej kobiety nie wydaje ci się znajoma?

- Nie. Go najwyżej z marzeń...

- Tym bardziej mnie to niepokoi - powiedział wysłannik. Byli już u celu. Za iluminatorami pojawiła się częściowo zasłonięta chmurami planeta.

Statek z Aldebarana zatrzymał się przy sputniku kontroli medycznej. Gdy Udałow w ślad za pasikonikiem i wysłannikiem zszedł ze statku, znalazł się w długiej białej sali, gdzie czekali medycy w fartuchach i maskach.

Trafił do potężnej kobiety, która kazała mu się rozebrać, a potem napuściła na swoją ofiarę kilkanaście zwawych mechanizmów, które okręciły Udałowa przewodami, pokłuły igłami, przepłukały mu żołądek, zrobiły rentgen, a wszystko to w ciągu jakichś dwóch minut. Poddawany badaniom Udałow nie tracił charakterystycznej dla niego dociekliwości i przyglądał się, jak badani są inni pasażerowie. W splotach przewodów i igieł pobłyskiwał żółty brzuch pasikonika, wysłannik zaś pod czarnym trykotem miał pomięte różowe pióra.

Mechanizmy, zbliżając się do końca badań, wypuszczały długie kartki żółtego papieru i przekazywały je lekarce. Lekarka po przeczytaniu nakłuwiała je na metalowy pręt, do którego zostało już przymocowane, nie wiadomo kiedy zrobione, kolorowe, mało podobne zdjęcie Korneliusza Iwanowicza.

Lekarka zerknęła na kolejną kartkę, głośno gwizdnęła i powiedziała:

- A to dopiero! Udałow się przestraszył.

Lekarka nacisnęła zamocowany w oparciu fotela przycisk i odjechała od Udałowa na pięć metrów.

Pasikonik i wysłannik już się spokojnie ubierali. Najwidoczniej dla nich badania zakończyły się pomyślnie.

Lekarka zagwizdała jeszcze głośniejsze i obok jej fotela pojawiło się dwóch lekarzy. We trójkę zaczęli uważnie studiować kartki, pogwizdując i rzucając Udałowowi pełne potępienia spojrzenia.

- Tori! - zawołał pasikonika Udałow. - Co u mnie znaleźli?

Pasikonik, zapinając swój elegancki kostium, podszedł do lekarzy i zagwizdał w ich języku. W

odpowiedzi lekarze wygwizdali całą pieśń, a mechanizmy z nową siłą zaczęły obracać, kłuć i obmacywać Udałowa.

- Weź pod uwagę, że długo tego nie wytrzymam - ostrzegł Udałow. - Znęcają się nade mną.

- Musisz wytrzymać - powiedział pasikonik. - Nie jest dobrze.

Udałow tak się przestraszył, że zamknął oczy. Nie powinien był tego robić - przed oczami od razu pojawiła się piękna niezua-joma i zaczęła tęsknie wzdychać. Udałow zadrżał i w tym samym momencie usłyszał głos wysłannika.

- Korneliuszu, wysłuchaj mnie uważnie. Zostaniesz poddany dezynfekcji. Rozumiesz?

- Nie rozumiem. - Udałow otworzył oczy. Zobaczył, że lekarze patrzą na niego groźnie i z obawą.

- O co chodzi?

- Przybywasz z zacofanej planety, na której występuje cała masa mikrobow i wirusów. Wśród nich są takie, których nauka Galaktyki nie zna. Mogą być niebezpieczne dla innych istot.

- Może wrócę do domu? - zapytał Udałow. Ale zabrzmiało to nieszczerze. I nie dlatego że zapragnął nagle wziąć udział w ZIZ. Po prostu miał nadzieję, że uda mu się jeszcze raz spotkać piękną nieznaną. Wiedział, że nie może się to dobrze skończyć, ale cóż, jego dusza cierpiała i gorąco pragnęła tego spotkania.

- Za późno na powrót do domu - powiedział wysłannik. - Według waszych, ziemskich, barbarzyńskich kryteriów jesteś zdrowy. Ale według naszych stanowisz coś w rodzaju skansenu zarazy.

- Cóż począć - westchnął obłudnie Udałow. - Tacy już jesteśmy.

Więcej nic już nie powiedział - z góry opadł na niego metalowy klosz i Udałow pogrążył się w absolutnej ciemności. Wydawało mu się, że rozbierają go na części. Tak też było. I dopóki kontrola kwarantanna nie przemyśla każdej komórki jego ciała, Udałow jako taki nie istniał. Po zabiegu złożono go dokładnie takiego, jaki był przed zabiegiem, oddano mu garnitur i resztę garderoby. Ubranie pachniało karbolem, buty zrobiły się twarde, a wewnątrz ciała wszystko swędziało. Życie stało się dużo mniej przyjemne, ale za to Udałow zapomniał o dziewczynie.

Wysłannik zaprowadził Udałowa do wyjścia z sali, a lekarze patrzyli w ślad za nimi i głośno wymieniali się gwizdami.

- Czegoś takiego jeszcze nie widzieli - przetłumaczył pasikonik.

Po pierwszej sali czekała ich druga kontrola. Udałowa zmierzono i porównano z fotografią w dowodzie. Nie wytrzymał i wypalił:

- Coś mi się wydaje, że tu u was niedobrze się dzieje. Czegoś się obawiacie, kogoś boicie. Powiedźcie, o co chodzi.

- Nie mogę - odpowiedział wysłannik. - Nie mam takich uprawnień. Wszystko w swoim czasie.

ROZDZIAŁ 5

W którym Udałow przybywa na ZIZ i próbuje zadomowić się w nowym miejscu

Do hotelu dojechali szybko. Jechali głównie tunelami, więc Korneliuszowi nie udało się przyrzuć miejscowej architektury.

W hotelowym holu ozdobionym mnóstwem flag i haseł w niezrozumiałych językach wysłannik zaprowadził Udałowa do długiego kontuaru i przekazał go miłej starszej damie o trzech oczach i w

okularach. Potem pożegnał się grzecznie, ale bez wylewności.

Dama, będąca najwidoczniej krótkowidzem, wodziła nosem po listach delegatów. W końcu znalazła jego nazwisko.

- Udałow - powiedziała. - Korneliusz Iwanowicz. Miejsce zamieszkania - Ziemia. Wiek - średni, pozycja społeczna średnia, sytuacja materialna średnia. Zgadza się?

- Trudno zaprzeczyć - rzekł Udałow.

W holu dźwięczały przeplatające się głosy, istoty różnego rodzaju zbijały się w niewielkie grupki, rozmawiały ze sobą, czasem przybiegali organizatorzy, automatyczni kelnerzy nosili tace z cieciami w kielichach.

- Tak - ciągnęła dama. - Dwunóg, oddychający tlenem, średnich rozmiarów, o średniej temperaturze. Oto klucz od pokoju trzysta dwa dwanaście. Winda na trzydzieste piętro, skrzydło północne, korytarzem na prawo. Proszę wziąć mandat i teczkę. Niech pan sprawdzi, czy wszystko jest.

Starsza pani podała Udałowowi teczkę delegata. Teczka była czarna, plastikowa, z tłoczeniami. W środku były:

1. Notes, długopis, który - jak się wkrótce przekonał Udałow - zmieniał kolor atramentu w zależności od nastroju piszącego, gumka, ścierająca nie tylko to, co napisane, ale także wspomnienie o tym.

2. Tabletki, będące jednocześnie talonami na wyżywienie w stołówce dla istot oddychających tlenem. W razie potrzeby można je było stosować jako środek na niestrawność.

3. Kilka referatów zaplanowanych zawczasu, przewodnik po hotelu z wmontowanym kompasem, aparat do nagrywania myśli, trzy trójwymiarowe widokówki, znaczek.

4. Folder „ZIZ - nadzieja Galaktyki”.

5. Blankiet do głosowania.

6. Zaproszenie na bankiet kończący zjazd i tekst toastu, który Udałow miał wygłosić w imieniu społeczności Ziemi.

7. Bilet powrotny na Ziemię z przesiadką na Aldebaranie.

- Zapoznał się pan? - spytała dama.

- Tak - odpowiedział Udałow. - Interesujące.

- A teraz proszę zdjąć marynarkę i podwinąć rękaw koszuli. - Dama trzymała w ręku wielką strzykawkę.

- A to po co?

- Zastryk niwelujący barierę językową - wyjaśniła dama i wstrzyknęła Udałowowi dwa centymetry sześciennie roztworu.

Bolało. Ale działanie było piorunujące. Tysiące mieszających się ze sobą niezrozumiałych głosów nagle zaczęło być zrozumiałe. Co najdziwniejsze, Udałow rozumiał już napisy na wszystkich wywieszkach i plakatach.

Roztarł pokłute przedramię, włożył marynarkę, grzecznie podziękował damie w jej ojczystym języku i poszedł szukać windy..

Po drodze, już bez skrępowania, pytał przechodzących o drogę. Rozumieli go doskonale, tak jakby rozmowa toczyła się na ulicy w Guslarze, ale niestety plątali się w wyjaśnieniach, bo sami j niedawno przyjechali. Udałow chciał już nawet wrócić do starszej damy, ale drogi powrotnej też nie mógł odnaleźć. W efekcie wsiadł do windy, która zatrzymała się dopiero na pięćdziesiątym piętrze,

podjechał ruchomymi schodami do innego skrzydła, zszedł po schodach i znalazł się w pralni. Stamtąd służbową windą dostał się do ogromnego basenu, gdzie pluskały się dzieci delegatów, trafił do świetlicy, do kabaretu dla ośmiornic lądowych, potem do biblioteki i dopiero mniej więcej dwie godziny później, potwornie zmęczony znalazł numer trzysta dwa dwanaście.

Drzwi do pokoju nie spodobały się Udałowowi. Były okrągłe i sięgały mu do piersi. Z trudem je otworzył i wcisnął się do pokoju. Znalazł się w długiej ciemnej rurze, po której zjechał głową w dół. Z tyłu szczęknięty zamykające się drzwi i zrobiło się ciemno. Udałow, przebijając głową jakąś membranę, wpadł do ciepłego, słodkiego i lepkiego środowiska, które niestety pozbawione było powietrza.

Spadając na dno, zaczął się szamotać. Miał nadzieję, że uda mu się odnaleźć wyjście, ale po ciemku nie mógł określić nie tylko, gdzie są drzwi, ale nawet tak elementarnych pojęć jak góra i dół. Zaczął tracić przytomność i ledwie żywy opadł na dno. W tym momencie usłyszał, jak ktoś przeklina. - Kto śmiał zakłócić mi spokój? Dlaczego nie pozwala mi się spać? Złożę skargę!

Udałow chciał odpowiedzieć, że potrzebuje natychmiastowej pomocy, ale do ust dostała mu się słodka ciecz i stracił przytomność.

Ocknął się na korytarzu, gdzie wyrzucił go rozżłoszczony, oddychający syropem osobnik zamieszkujący pokój trzysta dwa dwanaście. Pulchna kobieta o miłej twarzy robiła Udałowowi sztuczne oddychanie. Gdy doszedł już do siebie, kobieta, która okazała się sprzątaczką, wytłumaczyła mu pomyłkę, która o mały włos nie zakończyła się tragicznie: zamiast do północnego skrzydła trafił do zachodniego. A potem zaprowadziła Udałowa do jego pokoju.

Po drodze obiecała uprać i wyprasować ubranie, a także zdobyć dla niego nową teczkę i mandat.

Do pokoju Udałowa dotarli bez problemów. Pokój był nieduży, przytulny, z oknem wychodzącym na podwórko. Sprzątaczką odwróciła się, gdy Udałow się rozbierał i owijał w kołdrę. Podał jej rzeczy i zapytał wzruszony:

- Niech mi pani powie, dobra kobieto, jak mógłbym się pani odwdzięczyć?

- Zawsze to miło pomóc człowiekowi. Nas, Ziemiaków, jest tutaj tak mało.

- Jak to? - Udałow sądził, że jest tutaj pierwszym Ziemiakiem.

- Jesteśmy z Atlantydy - powiedziała prostodusznie kobieta. - Gdy toniliśmy dawno, dawno temu, przelatywał nad nami latający talerz. Tych, którzy jeszcze utrzymywali się na powierzchni, zabrano. A potem przewieziono tutaj. Zaaklimatyzowaliśmy się, zajęliśmy rolnictwem, zaczęliśmy się rozmnażać. Ale czasem bardzo tęsknimy za ojczystą planetą. Co tam u nas słyszać? Odnależliście Atlantyde?

- Szczerze mówiąc, nie. Są nawet wątpliwości, czy rzeczywiście była.

- Była, złociutki, była, czemu miałoby jej nie być - powiedziała kobieta i wyszła. W czasie jej nieobecności Udałow wziął prysznic, doprowadził się do porządku i już nawet żartował w myśli ze swojej przygody. Gdyby opowiedział coś takiego na Ziemi, żartom i kpinom nie byłoby końca.

Kiedy wyszedł z łazienki, jego bielizna i garnitur wisiały już na oparciu krzesła, czyste i wyprasowane. Sprzątaczką stała w pokoju odwrócona twarzą do okna.

- Jak ja się pani odwdzięczę... - zaczął Udałow.

- Nie trzeba... Tylko...

- Proszę mówić - zachęcił ją Udałow.

- Moja córka zaginęła - powiedziała sprzątaczką i zalała się łzami. - Jedyne moje radość, kochanie moje najdroższe. Poleciała do sąsiedniej galaktyki, miała zdawać na studia i przepadła.

Drogi Korneliuszu Iwanowiczu, przez pamięć naszych wspólnych przodków, niech pan spojrzy na zdjęcie mojej Tuliczki, może akurat gdzieś ją pan widział?

Nie odwracając się, podała Udałowowi niedużą amatorską fotografię. Uśmiechała się na niej tajemnicza piękność, która wyznawała Udałowowi miłość na Aldebaranie.

- Ach! - wykrzyknął Udałow i zamilkł. Nawałnica uczuć nie pozwalała mu mówić.

- Co?! - zawołała nieszczęsna matka, odwracając się do Korneliusza. - Czuję, że ją pan widział.

- Tak. Podeszła do mnie na Aldebaranie i wyznała miłość.

- Tak po prostu podeszła?

- To mnie właśnie najbardziej zdumiało.

- Pierwsza podeszła?

- Pierwsza.

- Łajdak z ciebie, Udałow! - oburzyła się kobieta. - Chociaż Ziemiańin. Moja córka myśli tylko o genetyczno-matematycznej lingwistyce w dziedzinie futurologii i nigdy, powtarzam, nigdy nie podeszłaby do nieznanego mężczyzny.

- Proszę mi wybaczyć, może ja się rzeczywiście mylę... Może to po prostu była jakaś bardzo do niej podobna dziewczyna. Ale wywarła na mnie niezatarte...

Sprzątaczką z Atlantydy wyrwała mu zdjęcie i wybiegła. Udałow postąpił chwilę na środku pokoju, westchnął ciężko, wzruszył ramionami i powiedział głośno:

- Nie, to nie była pomyłka... Błękitne oczy przyzywały go...

Po raz pierwszy w życiu Udałow miał ochotę napisać wiersz o miłości.

Zaczął nawet szukać papieru i ołówka, gdy do drzwi ktoś zapukał.

ROZDZIAŁ 6

W którym Udałow pertraktuje i zawiera transakcję

Za drzwiami stał znajomy pasikonik. Zdążył się już przebrać w coś fioletowego, przypominającego frak. W twarde, błyszczące uszy włożył po kwiatku, pachnącym mocno, korzennie. Noski jego butów nie przestawały się poruszać.

- Bardzo modne - oznajmił Udałowowi. - Zamontowano w nich motorki elektryczne. Chcesz kupić?

Pasikonik był ożywiony, zachowywał się jak stary przyjaciel, od razu rozsiadł się w fotelu i zapytał, czy Udałow nie ma czegoś chłodnego do picia.

Udałow powiedział, że sam też by się chętnie napił.

- Ach, prowincja, prowincja - zaśmiał się pasikonik tłumacz.

Nacisnął przycisk w oparciu fotela i w ścianie otworzyły się drzwiczki, za którymi podświetlone pomarańczowym światłem stały kielichy i naczynia różnego kształtu.

- Tylko nic mocnego - powiedział Udałow. - O mało co nie utonąłem. W dodatku obraziłem kobietę.

- Opowiadaj. - Pasikonik już nalewał napoje chłodzące. Opowiadanie Udałowa wywołało śmiech, współczucie i zrozumienie.

- Dziwna sprawa z tą dziewczyną - powiedział w końcu Tori.

- Chociaż ja osobiście wolę brunetki. Zajmę się tym. Ale, ale, przyszedłem ci coś pokazać.

Powinieneś się przecież interesować osobliwościami albo przynajmniej pamiętkami z dalekiego kosmosu.

- Już ci mówiłem, że nie mam czym zapłacić - rzekł Udałow.

- Pieniądzy ze sobą nie wzięłem, pamiętek też nie, a żadnych nielegalnych transakcji zawierać nie będę. Nie zapominaj, że jestem przedstawicielem niedużej, ale dumnej planety.

- Co za patriotyzm! Zobaczysz, że jak poznasz osiągnięcia kosmicznej cywilizacji, to na Ziemię nawet nie zechcesz spojrzeć.

- Nie sędzę. Rozmawiałem tu właśnie z jedną prostą kobietą, sprzątaczką. Jej przodkowie porzucili ojczyznę wiele wieków temu. A ona, jak tylko zobaczyła rodaka, za darmo wyprasowała garnitur.

- I nazwała łajdakiem - zauważył zjadliwie pasikonik.

- Należało mi się. Powinienem był milczeć. Po co denerwować matkę? Przecież niewykluczone, że w tej dalekiej galaktyce córka zesłała na złą drogę, wpadła w złe towarzystwo... A dla matki na zawsze pozostanie wzorową uczennicą, skromną dziewczyną, studentką.

- Sądzisz, że jeśli pokochała cię jakaś kobieta, to już musiała wpaść w złe towarzystwo?

- Nie wiem, nie wiem - westchnął Udałow, patrząc ze smutkiem w wielkie lustro, które odbijało jego okrągłą niedużą figurę. - Trudny świat, obce zwyczaje...

- Dobra, popatrz - powiedział pasikonik.

Wyjął z kieszeni buteleczkę dziwnego kształtu z czymś zielonym w środku.

- Co to jest? - zapytał Udałow.

- Mogę sprzedać. Środek na wszystko.

- Jak to na wszystko?

- W zależności od potrzeby. - I na katar?

- I na katar. I na miłość. I na komary. I na deszcz. Unikat. Nie trafił do produkcji seryjnej.

Zrobiony jest z korzenia, który rośnie wyłącznie na jednej jedynej asteroidzie. Sam rozumiesz.

- A po co mi taki środek? - zapytał Udałow obojętnie, ale płonące oczy wydały go doświadczonemu oszustowi Tori.

- Jak nie dla ciebie, to dla innych ludzi - zaproponował demagogicznie pasikonik.

- Nie. Będiesz za to chciał nie wiadomo co.

- Nic się nie bój, jestem hojny.

- Środek pewnie jest cenny?

- Ale ja cię lubię.

- Wybacz, lecz nie wierzę - powiedział Udałow. - Dlaczego miałbyś mnie lubić? Nie zasłużyłem.

- Za zasługi się szanuje. Lubi się za wady.

- Nawet nie znasz moich wad.

- Są doskonale widoczne - rzekł krótko pasikonik. - Bierzesz środek?

- Ile? - zapytał Udałow.. - Osiemnaście.

- Dużo.

- Szesnaście, to moje ostatnie słowo.

- Piętnaście i biorę.

- Tylko z sympatii do ciebie - powiedział pasikonik. Podał buteleczkę Udałowowi.

- Będzie działać?

- Myślisz, że cię oszukałem? Wypróbuj. Udałow rozejrzał się, jak by tu użyć środka.

- Masz pryszcz na czole - odpowiedział mu pasikonik. Udałow podszedł do lustra. Pryszcz rzeczywiście był. Co prawda nieduży.

- Nic się nie bój - rzekł pasikonik. - Weź odrobinę na palec i posmaruj.

Udałow wyjął korek, polał palec i dotknął nim czoła. Palec zrobił się przyjemnie chłodny. Przez chwilę Korneliusz stał tak z palcem przy czole. Ta poza wywołała w nim nową falę przemyśleń.

- Zaraz, zaraz... Jak? - spytał.

- O co ci chodzi?

- Jak ci zapłacę?

- Tak jak się umówiliśmy. Sam przecież powiedziałeś. Piętnaście.

- Powiedziałem, ale nie wiedziałem czego.

- Aleś ty głupi. Jak się targujesz, to trzeba wiedzieć, co oddajesz.

- A co oddałem?

- Współuczestnictwo w sztuce - odpowiedział pasikonik. Czas trwania: piętnaście minut.

- Nie mam nic wspólnego ze sztuką.

- Posłuchaj, Udałow, ja dbam o twoje sprawy. Ale nie zapominam również o sobie. Gdy się dowiedziałem, że nie masz ani grosza i nawet szczoteczkę do zębów dostałeś państwową, zacząłem się zastanawiać, jak by ci tu pomóc, a przy okazji samemu nie zbankrutować. I wymyśliłem. Ty, jak każda istota rozumna, masz zbędne wspomnienia, niepotrzebnie obciążające twój i tak już przeładowany mózg. Zabiorę ci je. Nic potrzebnego brać nie będę, za to grozi sąd.

- A po co ci wspomnienia związane z nieciekawym życiem w niedużym mieście Wielki Guslar? - zapytał Udałow.

- Dla ciebie to zwykłe wspomnienia o zwykłych rzeczach, a dla nas egzotyka. Chciałbyś zobaczyć film o życiu moich sąsiadów, jak oni rano demonstracyjnie krufią, potem idą do tragicznych preków i ryzykują w łofie ulytyć się od progoworkify?

- Nic nie zrozumiałem - powiedział Udałow. - Ale to interesujące.

- Twoje życie też jest dla nas interesujące. Liczę, że za twoje niepotrzebne wspomnienia dostanę pewne wynagrodzenie. Jestem uczciwym biznesmenem. Jeśli zapłacą więcej, niż warta jest ta bezcenna buteleczka, podzielę się z tobą nadwyżką. Oderwij wreszcie palec od czoła!

Udałow posłusznie odsunął palec i zobaczył, że pryszcz zniknął. Środek działał.

- A jak ja ci oddam te niepotrzebne wspomnienia?

- Zaraz wszystko zrobimy.

Pasikonik wybiegł na korytarz i po chwili wrócił, tocząc przed sobą przygotowany zawczasu wózek z przyrządami - wszystko, cwaniak, przewidział!

- Najpierw zobaczymy, jakie wspomnienia zostały umieszczone w mózdku jako zbędne. Z nich sobie coś wybiorę. Sam rozumiesz, przyjacielu, ja też ryzykuję. A jeśli twoje wspomnienia są nudne?

W tym momencie drzwi uchyliły się i przez szczelinę do pokoju wrzucono teczkę i mandat.

- Trzymaj, oszczerco! - rozległ się głos dobrej sprzątaczkki. - Załatwiłam dla ciebie nową teczkę.

- Nie chciałem obrazić pani córki! - wykrzyknął Udałow. - Mam dla niej jak najserdeczniejsze uczucia!

- Nie wierzę! - odkrzyknęła sprzątaczkka i drzwi zamknęły się z trzaskiem.

Udałow westchnął ze smutkiem i powiedział zaniepokojony:

- Tylko żebyś mi wspomnień o niej nie ruszał!

- Nie mam zamiaru. Są świeże, zatrzaśnięte w aparacie słuchowym i nerwach ocznych. Jak niby

niałbym je stamtąd wydostać?

Pasikonik wprawnie podłączył Udałowa do przyrządów, a sam patrzył przez okular skierowany na mózdek Udałowa. Nie bolało, tylko trochę łaskotało w kark. Udałow posłusznie siedział i myślał, jak by tu najlepiej wykorzystać uniwersalny środek na Ziemi, żeby nie rozmieniać go na drobne. Na przykład, przydałoby się wykorzystać z Kseni skłonność do zrządzenia i pretensji. Udałowowi niedługo stuknie pięćdziesiątka, a żona ciągle traktuje go jak dziecko, domaga się raportów, gdzie był, z kim i tak dalej, aż wstyd. Ale jak tylko Korneliusz pomyślał o Kseni, zamiast smutku i tęsknoty za pozostawioną rodziną poczuł dręczącą tęsknotę za piękną Tulią. Nawet pożałował, że nie wziął od jej matki fotografii dziewczyny. Miałby chociaż jakąś pamiątkę. Chwileczkę, a gdyby tak za pomocą tego środka wmówić Tulii prawdziwą miłość do Udałowa? Mówiła co prawda o miłości, ale kto wie, może już o nim zapomniała i tymi samymi wielkimi oczami patrzy teraz na jakiegoś tam kosmitę z osobistym latającym talerzem...

- Operacja zakończona - powiedział pasikonik. - Serdecznie dziękuję.

- Znalazłeś coś wartego sprzedania? - zainteresował się Udałow.

- Nie mogę dać gwarancji, ale mam taką nadzieję.

- Dobrze i to. Butelka jest już moja?

- Twoja, korzystaj na zdrowie.

Pasikonik zaczął zwijać oprzyrządowanie, jakby w obawie, że Udałow się rozmyśli. Ale Udałow nic nie zauważył. Pieścił w dłoniach buteleczkę i myślał o związanych z nią swoich planach.

ROZDZIAŁ 7

W którym Udałow uczestniczy w otwarciu pierwszego ZIZ

Pierwszy Galaktyczny Zjazd Istot Zwyczajnych został uroczystie otwarty dwudziestego pierwszego lipca kalendarza ziemskiego, który oczywiście nie ma żadnego odniesienia do innych kalendarzy wszechświata.

W gigantycznej sali kongresowej zajęli miejsca ci delegaci, którzy żyli w środowiskach tlenowych, a jest ich w Galaktyce większość. Za przezroczystymi ścianami okrągłej sali umieszczono setki kabin wypełnionych wodą, metanem, propanem, butanem, słonymi i kwaśnymi roztworami, parą, żwirem, próżnią, watą, mgłą, mchem, siarkowodorem i wszystkimi innymi atmosferami, w których żyją pozostali mieszkańcy rozumnej części Galaktyki.

W prezydium zasiadali członkowie komitetu organizacyjnego i rząd planety 14xxXX-5:%=?34. Udałow dostał miejsce w amfiteatrze - wygodne, ze świetną widocznością.

- Drodzy goście - zwrócił się do delegatów G-G dwugłowy przewodniczący komitetu organizacyjnego. - Zebraliśmy się tutaj, żeby zająć się losem naszego wszechświata. Są problemy, z którymi nie mogą sobie poradzić ani geniusze, ani rządy. W celu ich rozwiązania wybraliśmy z każdej planety najbardziej przeciętnego osobnika...

Przemówienie przewodniczącego spodobało się Udałowowi, który jednak tak był zajęty oglądaniem sąsiadów w sali i istot stłoczonych za szklanymi przepierzeniami, że nie zauważył, jak G-G skończył i jego miejsce na trybunie zajął przedstawiciel komisji mandatowej. Jego przemówienia Udałow zaczął słuchać mniej więcej od połowy.

- ...W zjeździe bierze udział dwa tysiące sześciuset ośmiu delegatów z głosem decydującym z dwóch tysięcy sześciuset dwudziestu dwóch planet i układów planetarnych. Z ważnych powodów

nieobecnych jest czternastu, w tym w drodze umarło trzech, zabitych w potyczkach z kosmicznymi gnirami - jeden, rozmnożyło się przez pączkowanie i zdieciniało - dwóch, jeden okazał się geniuszem i został odesłany jako samozwaniec, libustyrował się - jeden, zdezerterował - jeden, pięciu przepadło bez wieści...

Gdy komisja mandatowa skończyła swój raport, Udałow pomyślał, że najwyższa pora na przerwę. Zastanawiał się, czyby nie pójść do bufetu, i w tym momencie wydało mu się, że widzi pasikonika. Pomachał mu ręką. To był błąd. Przedstawiciel G-G zauważył ten gest i nieprawidłowo go zrozumiał.

. - Mowę powitalną - powiedział - chciałby wygłosić delegat Ziemi Korneliusz Udałow.

Udałow chciał zaprzeczyć, ale jego protesty zagłuszyły brawa. Chcąc nie chcąc, musiał przejść przez całą salę aż do trybuny, nie mając przy tym zielonego pojęcia, o czym będzie mówić.

Wszedł na trybunę, podniósł rękę, żeby uciszyć oklaski, i poczuł, że ma wystarczająco duże doświadczenie w przemawianiu na zebraniach, by nie skompromitować Ziemi przed tak ważnymi gośćmi.

- Towarzysze - zaczął. - Panie i panowie. I ci z was, którzy nie mają płci. Przybyłem tutaj z niewielkiej planety Ziemia, o której wielu z was nigdy nie słyszało. Ale to nieważne - ja też nie słyszałem o wielu waszych planetach, a przecież w żaden sposób nie zmniejsza to mojego szacunku do was.

Rozległy się oklaski i inne dźwięki, zastępujące oklaski u istot nie posiadających dłoni.

- Lecąc tutaj, nie wiedziałem, czym będziemy się zajmować. Ale miałem nadzieję, że będzie to coś ważnego. Dzisiaj rano przeczytałem program zjazdu oraz folder „ZIZ - nadzieja Galaktyki”. I muszę powiedzieć, że leżąca u podstaw naszego zjazdu idea mnie natchnęła. Już dawno zwykli ludzie wszystkich planet powinni się połączyć. Jest ich najwięcej, stanowią najzdrowszą część rozumnej ludzkości. Wszystkie zagrażające wszechświatowi niebezpieczeństwa są dziełem geniuszy bądź głupców, nigdy jednak nie są winni ludzie przeciętni. Cóż geniusze i głupcy zrobiliby bez nas, zwykłych ludzi?

Znowu rozległy się oklaski i szum.

- Kto ma decydować o losach wszechświata, jeśli nie my? - ciągnął Udałow, coraz bardziej się zapalając, - Jesteśmy większością. Kto najczęściej się żeni i rodzi dzieci? Zwyczajni ludzie. Kto najrzadziej się rozwodzi? Zwyczajni ludzie. Co robiliby inni, gdyby nie było nas, zwyczajnych? Zaręczam wam, wymarliby, z głupoty albo od zbytnej mądrości. Kto rozpoczyna wojny? Napoleonowie. A kto je kończy i zawiera pokój? My, zwykli ludzie. Przecież nie moglibyśmy nawet należycie docenić geniuszu i niebezpieczeństwa Napoleona, gdyby nie było setek zwykłych wodzów, do których możemy go porównać! Jak mogliby zdolni pisarze stać się wielkimi, gdyby nie było dziesiątek zwyczajnych pisarzy, którzy wykonują swoją skromną pracę, uwypuklając wielkość Lwa Tołstoja? Jak moglibyśmy ocenić piękno niektórych kobiet, gdyby nie było obok nich tych zwyczajnych, naszych żon?

Tu znowu rozległy się brawa oraz pojedyncze gwizdy i gniewne okrzyki, jako że nie wszyscy zgadzali się z Udałowem. Udałow zmieszał się, poczerwieniał i zrozumiał, że przesadził. Dlatego zakończył swoje przemówienie krótko:

- Pozdrawiam nasz pierwszy ZIZ w imieniu wszystkich zwyczajnych ludzi na Ziemi. Mam nadzieję, że wspólnymi siłami osiągniemy szczyty. Przeciętność jest niepokonana!

W huku braw wszedł z trybuny. Niektórzy delegaci zaczęli natychmiast na ogromnych kartkach

papieru rysować ostatnie słowa delegata z Ziemi: „Przeciętność jest niepokonana!”. Do przerwy w sali było już kilkanaście plakatów z takim napisem, a pod wieczór hasło pojawiło się na mieście. Jego mieszkańcy byli dumni, że właśnie w ich mieście odbywa się taki ważny zjazd. Następnego dnia pojawiły się duże okrągłe znaczki z wizerunkiem uśmiechniętego Udałowa i napisem „Przeniep”, co miało oznaczać „Przeciętność jest niepokonana!”.

Po przemowach organizatorów i powitaniach wygłoszonych przez przedstawicieli Syriusza, Aldebarana i innych nie znanych Udałowowi planet zaczęła się dyskusja. Korneliusz ze zdziwieniem zauważył, że przeciętne istoty są dość różnorodne. Na przykład przeciętny człowiek z Prosidory według ziemskich kategorii był matematycznym geniuszem, a dowolny Tori z planety Tori-To-ri - utalentowanym lingwistą. Przeciętny Jaryk był nieco mądrzejszy od pięcioletniego ziemskiego dziecka i dużo bardziej kłótlivy od kundla Łożkinów.

Rozpoczęła się gorąca dyskusja na temat opracowania przez istoty zwyczajne przeciętnego programu oraz zaprowadzenia w Galaktyce spokoju i harmonii. Wkrótce zajęto się głównie planetą Ke, z którą wiązała się pewna nieprzyjemna tajemnica.

Jeszcze przed kilku laty planeta ta niczym nie wyróżniała się spośród innych wysoko rozwiniętych i pokojowo usposobionych światów, ale potem wszyscy jej mieszkańcy nagle zapadli na niezrozumiałą chorobę, a przy tym odmówili leczenia. Najgorsze było jednak to, że zarażali się wszyscy, którzy w jakiś sposób kontaktowali się z mieszkańcami planety Ke. Na pierwszy rzut oka człowiek wydawał się zupełnie zdrowy, ale całkowicie zmieniał się jego charakter - chory z radością usprawiedliwiał każde świństwo, zdradę i oszustwo ze strony swoich nowych przyjaciół, a następnie znikał. Otepiali nagle mężczyźni nie poznawali swoich żon i dzieci, bili je i biegli na kosmodrom. Działacze państwowi zapominali o swoich zadaniach i obowiązkach, a przy tym próbowali ogłosić swoje światy koloniami planety Ke. Gdy ich próby spełzały na niczym, również i oni przepadali bez wieści. Geniusze całej Galaktyki starali się rozwiązać ten problem, niestety, bez rezultatu. W końcu zdecydowano się ogłosić kwarantannę i nie wpuszczać mieszkańców Ke na inne planety. Ale ci przejawiali ogromną pomysłowość - zamiast siebie wysyłali zarażone istoty z innych światów. Na szczęście jeden z lekarzy wymyślił analizę, w której znany związek trzyetylomononukleon zmieniał kolor na zielony, gdy chuchał na niego człowiek zarażony chorobą Ke. Z tego właśnie po-wodu tak starannie sprawdzano pasażerów, którzy przylecieli z Aldebarana.

W niektórych wystąpieniach nazwę planety Ke wymawiano z niepokojem, nawet ze strachem. Wszyscy rozumieli, że uratowanie jej mieszkańców należy do najważniejszych zadań ZIZ.

W czasie przerwy Udałow zjadł obiad w stołówce, podzielonej na działy ze względu na rodzaj pożywienia. Jedzenie było znośne, tylko dziwne. Niestety, zza przegródki dolatywał zapach siarkowodoru - stał tam stolik planety, na której siarkowodór pije się zamiast herbaty. Gdy Udałow wstał już od stołu, podbiegła do niego pomarańczowa kula w kaloszach na cienkich nóżkach - chciała uścisnąć mu dłoń i pogratulować tak udanego wystąpienia. Udałow podziękował kuli i zobaczył, że w jego stronę zmierza pasikonik. Pasikonik był ubrany jeszcze bardziej wykwintnie niż wczoraj, w złoty smoking z brylantową zapinką przy kołnierzu, w złote spodnie z łosiowej skóry i czerwone buty, których noski ruszały się jeszcze bardziej niż ostatnio. Kwiaty w uszach były usypane drogimi kamieniami.

- Udałow! - krzyknął pasikonik i rzucił się w stronę przyjaciela tak gwałtownie, że omal nie wpadł pod nogi sześcionogiemu liliowemu słoniowi, który niósł wiadro z parówkami.

- Tutaj! - zawołał Udałow, idąc w kierunku pasikonika. Był przekonany, że tłumacz chce

pogratulować mu przemówienia.

Ale pasikonik myślał o czym innym.

- Posłuchaj, Korneliuszu - powiedział głośnym szeptem. - Nie zostały ci jeszcze jakieś niepotrzebne wspomnienia?

- Myślałem, że zabrałeś wszystkie wczoraj.

- Nie wydaje mi się. Poza tym wziąłbym też takie, które nie są ci potrzebne, a o których myślisz, że mogą się przydać.

- Coś ty taki gorliwy! Pewnie udało ci się korzystnie sprzedać te poprzednie?

- A skąd! - odpowiedział szybko pasikonik i zaczął patrzeć gdzieś w bok. - Ledwie mi się wydatki zwróciły.

Jego łapka niezauważalnie przemieściła się w okolice kołnierza i zasłoniła brylantową zapinkę. Udałow uśmiechnął się w myśli. Zrozumiał, że ma rację, ale nie chciał się kłócić. Zbędne wspomnienia były mu potrzebne jak zeszłoroczny śnieg. Tym bardziej że ich braku zupełnie nie odczuwał.

- W takim razie po co ci one? - zapytał.

- Znalazłem dla ciebie coś ciekawego - powiedział Tori. - Chodź, to ci pokażę. Tylko drogo za nią chcą.

Gdy przeszli na bok, pasikonik wyjął zza pazuchy zieloną kulkę, trochę większą od orzecha włoskiego.

- Widzisz? Dali mi to na jakiś czas.

- Wyjaśnij - powiedział Udałow.

W tym momencie zadzwonił dzwonek zwołujący delegatów na poobiednie posiedzenie.

- Jedną chwileczkę! - Pasikonik podważył pazurkiem orzech z boku. Okazało się, że jest tam małeńki otwór. - O, tutaj można żyć. I żyją.

- Kto? Pchły? - zapytał Udałow, kierując się w stronę wyjścia.

- O to właśnie chodzi, że ludzie. To roślina. Rośnie na dalekiej planecie Sapur. Najpierw jest taka malutka, potem osiąga rozmiar piłki nożnej, a potem będzie twojej wielkości.

- Niech sobie rośnie na zdrowie - powiedział Udałow, idąc korytarzem. Nie wypada się spóźniać, zwłaszcza jeśli jest się już osobą znaną.

- To roślina dom - ciągnął pasikonik. - Gdy jest mała, dzieci mogą tam trzymać swoje lalki, gdy podrośnie, robi się z niej pokoik, gdzie mogą żyć kawalerowie i panienki. A po dwóch latach pokoik staje się tak duży, że można podzielić go na dwa. Rodzina się powiększa, dom rośnie i nie ma żadnych problemów mieszkaniowych.

- A roślina nie protestuje? - zapytał Udałow.

- Dlaczego miałyby protestować? Uczyłeś się przecież w szkole, że roślina wchłania dwutlenek węgla i wydala tlen. Im intensywniej w niej oddychasz, tym jest jej przyjemniej. I powietrze zawsze świeże, nie trzeba wietrzyć mieszkania. Dwadzieścia lat temu te rośliny przywieziono na Sapur i cała ludność przeniosła się do żywych domów. Miasto na pierwszy rzut oka wygląda jak las. I przyroda w porządku, i ludziom nie jest ciasno.

- A jeśli na Ziemi domy się nie przyjmą? - zapytał Udałow.

- Przyjmą się. Na Sapurze jest taki sam klimat jak pod Moskwą. Nie wierzysz? Możemy polecieć i zobaczyć. Wyobraź sobie tylko, żadnych problemów w budownictwie mieszkaniowym. Każde dziecko dostaje swój dom, dorasta, a dom razem z nim...

Weszli do sali posiedzeń. Pasikonik upewnił się, że Udałow znowu dał się złapać, i pobiegł na górę, do synchronicznych kabin. Udałow zajął swoje miejsce. Tak się zamyślił, że nawet nie słyszał przemówień pierwszych oratorów. Przecież mógłby przynieść Ziemi ogromną korzyść! Może rzeczywiście warto poświęcić jeszcze jakieś wspomnienia?

ROZDZIAŁ 8

W którym Udałow idzie do kina i bardzo się dziwi

Udałow z przyjemnością słuchał, jak niektórzy delegaci w swoich wystąpieniach powoływali się na jego przemówienie, a inni kończyli wypowiedź hasłem „Przeciwność jest niepokonana!”. Nie zauważył nawet, jak zleciał czas, tym bardziej że dowiedział się wielu ciekawych rzeczy o życiu na innych planetach. Żałował nawet, że nie ma talentu pisarskiego i tego, co usłyszał, nie może przenieść na papier, dla ziemskich czytelników. Chociaż ziemscy sceptycy, którzy do tej pory nie wierzyli w latające talerze, na pewno uznaliby jego opowieści za wymysł i fikcję.

W końcu rozbrzmiał gong przewodniczącego i posiedzenie zostało zamknięte. Ogłoszono, że jutro zjazd rozpocznie się po obiedzie - niektórzy z delegatów nie byli przyzwyczajeni do tak długich posiedzeń i potrzebowali odpoczynku. Wszystkich chętnych zaproszono do odwiedzenia sklepu z przewodnikami dla gości z zagranicy, podmiejskich jezior i wykopaliska podziemnego miasta. Udałow zaczął szukać przewodniczącego G-G. Przyszła mu do głowy interesująca myśl - a może by tak pojechać jutro nad te jeziora i powędkować do obiadu? Trzeba by się tylko dowiedzieć, jak tu wygląda sprawa z wędkami i przynętą.

Ale nie znalazł przewodniczącego. Nie zdążył. Obok niego jak demon kusiciel zjawił się pasikonik Tori.

- Myślałeś o problemie mieszkaniowym? - zapytał.

- Ciężko powiedzieć. Trzeba by się zapoznać z tymi roślinami w ich naturalnym środowisku. Może te domy nie będą się dla nas nadawać. Nie wiadomo, jak w nich rozwiązano problem kanalizacji i wodociągów, nie wiadomo, co z ogrzewaniem i oświetleniem. Nie mogę tak szastać wspomnieniami.

Pasikonik głęboko się zamyślił.

- Masz rację - powiedział w końcu. - Sapur jest niedaleko. Jutro do południa zdążymy. Tylko weź pod uwagę, że koszt podróży doliczę do ceny. Troska o ciebie sporo mnie kosztuje. Nie mam pojęcia, dlaczego cię tak lubię. Może rzeczywiście masz sporo wad?

- Może - odpowiedział Udałow.

- W takim razie przyjdę po ciebie o szóstej rano - uprzedził go pasikonik.

I zwiął.

Szukanie przewodniczącego nie miało już sensu. Na ryby i tak nie uda się pójść. Coś Udałow nie miał do nich szczęścia. No nic, pomyślał. Za to dokonam przewrotu w budownictwie.

Wieczór był ciepły, ładny i Udałow zdecydował pospacerować trochę po mieście. Przed wejściem do hotelu ktoś go zawołał.

To była sprzątaczką, matka ukochanej Udałowa.

- Korneliuszu Iwanowiczu, jest do pana telegram z Ziemi. Dopiero co przyszedł.

- Dziękuję. - Udałow rozłożył telegram. Myślał, że to od Kse-ni, ale się pomylił. Telegram był od Koli Biało sielskiego.

„Wszystkiego najlepszego z okazji otwarcia zjazdu - brzmiał telegram. - Mam nadzieję, że nie skompromitujesz naszej planety. Rodzina zdrowa. Życzę powodzenia. Mikołaj”.

Udałow poczuł głęboką wdzięczność do przyjaciela z dzieciństwa, który zdobył jego adres i przysłał życzenia. Postanowił od razu odpowiedzieć.

- Daleko stąd na pocztę? - zapytał sprzątaczkę.

- Już zamknięta. Dopiero jutro.

- Szkoda. Dziękuję, że mnie pani odszukała.

- To dla mnie przyjemność. Obraził mnie pan wprawdzie, podejrzewając o takie rzeczy moją córkę, ale mimo wszystko jest pan człowiekiem sympatycznym i moim rodakiem. A dzisiaj tak pan wspaniale przemawiał, widziałam w telewizji!

Sprzątaczką była jeszcze całkiem młodą kobietą o przyjemnej powierzchowności. Gdyby nie ciągły smutek i płaczliwość, byłaby bardzo podobna do swojej córki.

- Nie chciałem pani urazić - powiedział Udałow. - A już tym bardziej pani córki.

Rozmawiając sobie w ten sposób, szli po jasno oświetlonej świątecznej ulicy, w poprzek której wisiały transparenty: „Przeciętność jest niepokonana!”. Niektórzy przechodnie rozpoznawali Udałowa, kłaniali mu się albo ściskali ręce. Korneliusz był w podniosłym nastroju, uprzejmie i serdecznie rozmawiał ze sprzątaczką z Atlantydy. O pięknej Tulii nie mówili. W końcu doszli do jakiejś restauracji. Udałow zaprosił nawet sprzątaczkę na kolację, ale odmówiła, tłumacząc, że w restauracji jest za drogo. Przypomniało to Udałowowi o jego niejasnej sytuacji materialnej. Uśmiechając się z zakłopotaniem, z czym było mu bardzo do twarzy, przyznał się do tego sprzątaczkę.

- Mogłem tu co prawda trochę zarobić - napomknął - ale zamiast pieniędzy wolałem dostać pewien unikat.

I opowiedział sprzątaczkę o środku, który dostał za niepotrzebne wspomnienia. Potem wyjął z kieszeni buteleczkę.

Sprzątaczką przyjrzała się buteleczce, zmarszczyła brwi i westchnęła:

- Oszukano cię, Korneliuszu Iwanowiczu. Wykorzystano twoją prostoduszność. To nie jest środek od wszystkiego, tylko lekarstwo na pryszcze. Bardzo dobre, ale nic prócz pryszczy nim nie wyleczysz. Można je kupić w każdej aptece.

Udałow bardzo się zmartwił, ale od razu wziął się w garść.

- Dobry środek na pryszcze też niełatwo dostać. Poza tym zapłaciłem za niego zeszłorocznym śniegiem. Wychodzi na to, że złodziej złodziejowi ukradł pałkę.

Właśnie przechodzili obok kina.

- Chodźmy do kina - zaproponowała sprzątaczką. - Bilety nie są drogie. Jak będzie pan mógł, to mi pan za nie odda.

Udałow był wzruszony taką bezpośredniością. Poszli do kina.

Na początku pokazywali film o podróży kosmicznej. Sprzątaczką wyjaśniła mu szeptem, że to film dokumentalny - innych tu nie znają - i został zgrany z pamięci pewnego znanego kosmonauty. Potem zaczął się film „Pierwsza miłość”. Wtedy właśnie Udałow przeżył wstrząs.

Na ekranie, w realnych kolorach i wymiarach pojawiła się pylista, dziwnie znajoma ulica. Po obu jej stronach stały parterowe domki z ogródkami, w których rosły astry i floksy, leniwie poszczekiwały psy, wsuwając nosy między sztachety. Było ciepło, panował spokój. Nad domami, na końcu ulicy, pod niebem płonęła złota kopuła...

- Ziemia - wyszeptała radośnie sprzątaczką z Atlantydy.

- Ziemia - powiedział Udałow. I dodał: - Wielki Guslar, ulica Kułubina.

To było bardzo dziwne wrażenie. Udałow czuł, jakby zatapiał się w dawny, dziecięcy sen. Przecież on, kierownik przedsiębiorstwa budowlanego, doskonale wiedział, że ta ulica wygląda teraz inaczej, domki po prawej stronie zostały częściowo wyburzone, a na ich miejscu zbudowano piętrowe przedszkole i pralnię ze szklanymi ścianami.

...Ulicą szła dziewczyna, bardzo młodziutka, w błękitnej kretonowej sukience i z warkoczykami do ramion. Uśmiechała się do swoich myśli. Udałowowi wydała się w jakiś sposób podobna do pięknej Tulii. Najwidoczniej to samo zauważyła również sprzątaczką, bo zaszlochała:

- Moja córeczka też była taka... prymuska! Dziewczynka spojrzała prosto w ekran i radośnie wykrzyknęła:

- Cześć!

- Cześć - odpowiedział głos jakiegoś młodzieńca i na ekranie pojawił się niewysoki młody człowiek o okrągłej twarzy, zadartym nosie i kręconych włosach, opalony na brąz. Udałow pomyślał, że skądś zna tego młodego człowieka, ale wspomnienie rozbłyło gdzieś na krawędzi pamięci i zniknęło. Udałowa bardziej interesowały widoki rodzinnego miasta. Z dumą gospodarza odnotowywał, że teraz ta ulica jest już pokryta asfaltem, dzięki czemu nie ma na niej tyle pyłu, a drzewa po obu stronach są znacznie wyższe i dają wspaniałą cień.

Dziewczyna i chłopak wzięli się za ręce i poszli w kierunku skweru, który zieleniał nieopodal.

- Tam jest teraz plac zabaw dla dzieci, z huśtawkami - oznajmił Udałow sąsiadce, ale ona nie odrywała wzroku od ekranu.

Kadr drugi. Ten sam chłopak i ta sama dziewczyna kąpali się w niedużej niebieskiej rzeczce. Gałęzie wierzby opuszczały się do samej wody, gdzieś na dnie jak złociste cienie przemykały rybki. Chłopiec płynął na drugi brzeg, a dziewczyna stała po pas w wodzie i krzyczała:

- Wracaj, bo utoniesz!

Następny kadr. Wieczór. Gdzieś niedaleko gra orkiestra. Dziewczyna i chłopak idą ciemną alejką. Nagle dziewczyna zatrzymuje się i wpatruje się w chłopca. W ciemności jej oczy płoną jak gwiazdy. Oczy ogromnieją, wypełniają cały ekran... Widzowie wstrzymują oddech.

- Teraz założyliśmy w parku oświetlenie - wyszeptał Udałow - i prawie już nie ma ciemnych alejek.

- Niech pan będzie cicho! - powiedziała szeptem zirytowana sprzątaczką. Udałow poczuł się urażony takim brakiem zainteresowania jego troską o zagospodarowanie terenu.

Chłopiec delikatnie dotknął ustami policzka dziewczyny, a ona odwróciła się gwałtownie i uciekła. Pobiegł za nią... Wbiegli w krąg światła przed estradą do tańczenia, gdzie grała mała, złożona z czterech muzyków orkiestra, chłopcy łuskali pestki, a skupione w małe grupki dziewczyny wesoło szczebiotały.

- Tak - westchnął Udałow. - Ja też tam kiedyś bywałem...

...Oto chłopiec i dziewczyna płyną w tangu po estradzie. Chłopiec nieśmiało przyciska do siebie szczupłą talię dziewczyny i patrzy na nią zakochanymi oczami.

Orkiestra milknie, a oni cały czas stoją pośrodku estrady i nie wiedzą nawet, że muzyka już się skończyła.

A wtedy podchodzi do nich wysoki chłopak i mówi mutacyjnym basem:

- Idź stąd. Żeby twoja noga więcej tu nie powstała. I żebym cię już nigdy z nią nie widział.

- Ale co... - Chłopiec najwyraźniej zaczyna się bać. - Przecież ja nic...

- Idziemy - mówi dziewczyna do chłopca i bierze go za rękę, odważnie patrząc w oczy dryblasowi.

- Nigdzie z nią nie pójdziesz - uprzedza dryblas.

- Właśnie że pójdzie - upiera się dziewczyna. - Nie boję się ciebie. I on też nie. Nie boisz się, prawda?

Chłopiec milczy.

Rozgrywa się pełna napięcia niema scena. Spojrzenia krzyżują się jak szpady. Dryblas nie wytrzymuje spojrzenia dziewczyny i wycofuje się.

Sala oddycha z ulgą. Ktoś płacze. Życiowa, zrozumiała dla całej cywilizowanej Galaktyki scena.

- Co za chuligaństwo - powiedział Udałow sam do siebie. - Zaczepiają dziewczynę!

...Chłopiec z dziewczyną powoli zeszli z estrady. Coś się zmieniło, coś nie pozwalało im przysunąć się do siebie... Na dole, w ciemnej alei, czekał na nich ten sam wysoki chłopak.

- Zostaw ją! - rozkazał.

- Nawet nie próbuj! - krzyknęła dziewczyna, łykając łzy.

- Nic mu nie zrobię - uśmiechnął się nieprzyjemnie chłopak. - Sam pójdzie. Pójdziesz?

Po długiej przerwie, która wydała się widzom niemal wiecznością, chłopiec powiedział do dziewczyny zduszonym głosem:

- Przyjdę do ciebie jutro.

- Zapomnij - rzekł dryblas, śmiejąc się szyderczo - Zjeżdżaj.

- Jeżeli teraz pójdziesz, to już nigdy więcej mnie nie zobaczysz - powiedziała dziewczyna.

Ale chłopiec już się oddalał aleją, schylając nisko głowę i chowając ją w ramiona, jakby się bał, że uderzą go z tyłu.

Jeszcze jeden kadr: brzeg rzeki. Na brzegu, w trawie, siedzi i płacze chłopiec. Jest sam. Tylko księżyc spogląda na niego z czarnego nieba...

Widzowie powitali koniec filmu brawami. Udałow nie klaskał. Myślał. Nie mógł zrozumieć, dlaczego pokazują tu filmy o Wielkim Guslarze. W dodatku takie pesymistyczne. Sprzątaczką nie była brawa. Popatrzyła tylko uważnie na Udałowa i powiedziała:

- Może już pójdziemy?

- Chodźmy - zgodził się Udałow. Był zmęczony i chciało mu się spać.

Gdy wyszli na ulicę, sprząteczka zapytała:

- No i co pan o tym myśli?

- Trudno ocenić - przyznał Udałow. - Oczywiście, zdarzają się czasem pojedyncze przypadki złego zachowania nastolatków. Ale ciągle z tym walczymy...

- Niczego to panu nie przypomniało?

- Nie. Co prawda, trochę się zdziwiłem. Mieszkam w tym mieście od zawsze. Miasto poznałem, ulice też, odgadłem wszystkie zmiany, a tych młodych ludzi nie mogę sobie przypomnieć. Pewnie byli dużo młodszy ode mnie. W takim wieku nawet jeden rok to już duża różnica.

- A ja poznałam.

- Co?

- Pana poznałam, Korneliuszu Iwanowiczu. W młodości.

- I kto mnie tam gra?

- Nikt! To film o panu. To pana wspomnienia, które pan zepchnął do mózdzku, żeby o nich zapomnieć, a potem sprzedał pasikonikowi za lekarstwo na pryszczę.

- Nie! - zawołał Udałow. - Nie mógłbym czegoś takiego zapomnieć. Tego nie było!

- Teraz dla pana już tego nie ma - przytaknęła sprzątaczką i po jej policzku spłynęła łza. - Sprzedał pan i nie ma.

- Takie rzeczy się nie zdarzają!

- A może bez tego wspomnienia lżej się będzie panu żyło? Tylko będzie pan uboższy... Proszę mnie nie odprowadzać.

Odeszła szybkim krokiem. Udałow westchnął, nie przekonany słowami sprzątaczką i wrócił do hotelu. Ale ziarno wątpliwości zostało zasiane. Twarz chłopca wydawała się znajoma.

ROZDZIAŁ 9

W którym Udałow wyjaśnia pewne sprawy i w tajemnicy leci na Sapur

Może Udałow zapomniałby o wieczornym seansie, gdyby nie prasa. W szczelinę pod drzwiami ktoś wsunął lokalną gazetę, w której czerwonym ołówkiem została zaznaczona notatka: „Sukces nowego filmu”.

„W mnemoteatrze „Otwarte Serce” pojawił się nowy mnemofilm „Pierwsza miłość” ze wspomnień młodości Ziemianina U. Prawdziwość, szczerłość i chwytający za serce smutek tego intymnego widowiska wywołuje u widzów głębokie wzruszenie. Aż chciałoby się zakrzyknąć: „jakże podobne są duchowe problemy we wszystkich zakątkach Galaktyki!”. Organizator i producent filmu Tori (Tori-Tori) odmówił rozmowy z naszym korespondentem, tłumacząc się brakiem czasu - jest delegatem na ZIZ. Jednakże udało się nam przeprowadzić wywiad z właścicielem sieci mnemoteatrów, który powiedział, że z powodu ogromnego artystycznego i wychowawczego znaczenia filmu producent otrzymał za niego potrójne wynagrodzenie i wypłacił całą rekordową sumę właścicielowi wspomnień Ziemianinowi U. Mamy nadzieję, że tak wysokie honorarium zachęci Ziemianina U. do dalszej współpracy z naszymi widzami. Czekamy na nowe, nie mniej wzruszające i prawdziwe filmy! Dostyc już żalonych produktów nie znających uczuć spekulantów sztuką!”.

Udałow odłożył gazetę. Stracił dobry humor. Okazało się, że sprzątaczką miała rację. Jeśli Ziemianin U. to Udałow, wyglądało na to, że Korneliusz zyskał reputację przedsiębiorcy i dorobkiewicza...

Otworzyły się drzwi i wbiegł ożywiony pasikonik.

- Dzień dobry! - wykrzyknął. - Wszystko już przygotowane! Lecimy!

W tym momencie jego spojrzenie padło na rozłożoną gazetę.

- Już czytałeś? - zapytał żywo. - A ja właśnie miałem ci ją przynieść, tylko zapomniałem.

Widzisz, jacy jesteśmy sławni! Przyjemnie, prawda? Czekają nas dalsze sukcesy!

- A więc tak - powiedział twardo Udałow. - Handlujemy moimi intymnymi chwilami i kompromitujemy mnie na całą Galaktykę?

- Nie bądź naiwny, Korneliuszu. Sprzedałeś mi to wspomnienie i nawet nie zauważyłeś jego braku.

- Sprzedałem. Za butelkę środka na pryszczę.

- A co, może środek niedobry? - zaperzył się pasikonik. - Może nie działa?

- A kto mi powiedział, że to uniwersalny środek? Na wszystko?

- Niewykluczone - odparł tłumacz synchroniczny. - Jeszcze nikt nigdy nie próbował zastosować go w innym celu. Kto może zagwarantować, że nie pomaga na miłość? Ja osobiście nie mogę. Ale nie

o to chodzi. Zbieraj się, czekają na nas żywe domy. Zapomniałeś?

- Domki dla lalek? - zapytał Udałow sarkastycznie. - Jak mogę wierzyć człowiekowi, który już dwa razy mnie oszukał?

- Dlaczego dwa razy?

- A pieniądze? Otrzymałeś rekordowe wynagrodzenie, kupiłeś sobie brylantową zapinkę, ale za przelot to chcesz zedrzeć ze mnie?

- To oszczerstwo! - oburzył się pasikonik. - Wpadłeś w złe towarzystwo! Zawistnicy chcą skłócić cię z twoim przyjacielem i dobroczyńcą! Ten sknera, właściciel mnemoteatrów, wprowadził prasę w błąd. Z trudem starczyło mi na pokrycie kosztów.

Okrągłe oczka pasikonika błyszczały. Wyglądał na obrażonego i pokrzywdzonego. Ale Udałow przewyciężył w sobie litość i postanowił mu nie wierzyć. W końcu też nie był pierwszym naiwnym. Owszem, jest przeciętniakiem, ale nie znaczy to, że jest głupi. Dlatego też westchnął obłudnie i powiedział:

- Dobrze, nie kłóćmy się. Muszę ci powiedzieć, że dostałem propozycję wzięcia udziału w reżyserowaniu filmów. Połowa zysków dla mnie. Za pół godziny mają mi przynieść zaliczkę.

- Zwariowałeś! - krzyknął pasikonik i Udałow zrozumiał, że tym jednym posunięciem wygrał całą bitwę. - Przecież to złodzieje! W najlepszym razie dadzą ci jedną trzecią!... Nie znasz ich! Potrzebujesz prawdziwego przyjaciela i obrońcy. Beze mnie zginiesz.

Pasikonik nerwowo podniósł pazurki i powiedział zupełnie innym tonem:

- A właśnie, Korneliuszu, ciągle zapominam. Noszę twoje pieniądze i wciąż zapominam ci je oddać.

Łapka pasikonika zniknęła na sekundę za pazuchą złotego smokingu i wyskoczyła z powrotem z paczką pieniędzy. Pasikonik położył stosik na stole.

- Weź, to twoja część.

- Nie trzeba, już się umówiłem.

- Ale policz, policz... Sądysz, że ja bym cię okłamał?

- Nie chcę nic liczyć. Zabieraj te pieniądze. Pasikonik zamarł w bezruchu, a potem nagle wykrzyknął:

- No jak to! To moje przekłete roztargnienie! Przecież resztę twoich pieniędzy włożyłem do innej kieszeni!

Po czym wsunął łapkę do tej samej kieszeni i wyjął stamtąd jeszcze jeden stosik, dwa razy grubszy od poprzedniego.

- Teraz wszystko się zgadza - powiedział. - Jakby mi ktoś kamień z serca zdjął. Teraz ja jestem biedny, ty bogaty i jesteśmy kwita. Czegóż się nie robi dla przyjaciela!

Zamachał łapkami, ale tak nieszczęśliwie, że zza pazuchy wysypały mu się banknoty w takiej ilości, że nawet padając na podłogę nie udało mu się ich przykryć całym ciałem.

- Co robić! - wykrzyknął. - Pomóż mi, Udałow, zebrać spadek, który dostałem dzisiaj rano po mojej cioci Tori, która zginęła pod wrzącą lawą.

Udałow nie miał zamiaru mu pomagać. Przejrzał już tego krętacza na wylot. Ale szczerze mówiąc, nie czuł się obrażony. Oszuści całej Galaktyki są do siebie podobni. Nie ma co się na nich obrażać. Trzeba z nimi walczyć.

Zebrał pieniądze ze stołu, nie licząc włożył do portfela i gdy pasikonik pełzał po podłodze, uczesał się, starannie układając ostatnie pasemko włosów w poprzek łysiny, poprawił krawat.

- No cóż, pora jechać - powiedział. - Sprawdzimy, czy masz jeszcze jakieś resztki sumienia.

. - Oczywiście, że mam! - ucieszył się pasikonik. Zrozumiał, że mu wybaczone. - Nie myśl sobie, droga w obie strony już została opłacona, bilety mam w kieszeni. A propos, przyjmij ode mnie ten skromny upominek. Uwielbiam robić ci prezenty.

Pasikonik wyjął niewielkie pudełeczko z przezroczystym wierzchem.

- Tylko nie upuść - ostrzegł.

W pudełku siedział, ruszając kleszczami, malutki skorpion.

- I co ja mam z nim robić?

- Ach, Udałow, Udałow! - westchnął pasikonik. - Nie rozumiesz swojego szczęścia. Wygrałem wczoraj to zwierzątko w karty. Niezastąpiony w czasie upału i w czasie słoty. Żaden ze znanych ludzi w tej części Galaktyki nie rozstaje się ze skorpionem.

- Wy tłumacz - nakazał surowo Udałow.

- Jak wiadomo - zaczął pasikonik - skorpiony żyją na planecie, gdzie jest łagodny klimat i obfitość owoców. Ale w okresie godów przenoszą się na sąsiednią planetę. W tym celu pokonują miliony kilometrów w próżni i szukają swoich samic wśród wulkanów i burz piaskowych. Żeby przeżyć, nauczyły się zmieniać na swoją korzyść otaczające je środowisko. W odległości jednego metra. Gdzie jest skorpion, zawsze jest rześko i przyjemnie pachnie.

Wypróbuj...

- Gdzie mam go wypróbować? - zapytał Udałow. - Tu i tak jest rześko.

- Nic prostszego.

Pasikonik pobiegł do łazienki i odkręcił gorącą wodę. Po minucie łazienkę wypełniły kłęby pary. Wyłonił się z nich mokry To-ri i powiedział do Udałowa:

- Chodź, nie bój się.

Udałow posłuchał. Para napadła na niego w drzwiach łazienki, próbując go ogłuszyć, sparzyć, wchłonąć. Uczucie było obrzydliwe, ale Udałow cierpliwie czekał. Zrobił jeszcze jeden krok w głąb łazienki i nagle zobaczył, jak para wokół jego głowy i górnej części ciała się rozrzedza. Wyglądało to tak, jakby Udałowa włożono do kuli, w centrum której znajdowała się jego dłoń z pudełeczkiem. Zapachniało świeżymi kwiatami. Skorpion popatrzył na Udałowa malutkimi oczkami.

- No dobrze, przyjmuję ten prezent jako zadatek przyszłych rozliczeń. A on nie gryzie?

- Jak ma gryźć, skoro jest w pudełku? - Pasikonik spojrział na zegarek i zaniepokoił się. - Idźmy już, tylko ostrożnie, żeby nikt nie zwrócił na nas uwagi. Gdyby się ktoś pytał, to idziemy na spacer.

- Co to za tajemnice? Nie lubię tajemnic.

- Wszystkie wycieczki zostały już zaplanowane, a podróż na Sapur nie mieści się w tym harmonogramie. Zanim ją zaplanujemy, będzie obiad - wyjaśnił pasikonik.

Ale w jego oczach nie było szczerości i dlatego Udałow postanowił zachować czujność.

- Dobrze - zgodził się pozornie. - Chodźmy, tylko najpierw muszę wysłać telegram do domu.

Pasikonik nie protestował. Poszli na pocztę. Udałow, jako że miał teraz wystarczająco dużo pieniędzy, nadał od razu dwa telegramy. Jeden do Białosielskiego z podziękowaniami i informacją, że prace zjazdu przebiegają na wysokim poziomie, a drugi do domu, żeby się rodzina nie niepokoiła. Wysłałby i trzeci, do pięknej Tulii, ale nie znał adresu.

W którym Udałow leci na planetę Sapur w celu wymiany doświadczeń w dziedzinie budownictwa mieszkaniowego

- Oto nasz statek - powiedział pasikonik, podchodząc do niedużego latającego talerza, stojącego nieco na uboczu, tam gdzie beton lotniska ustępował miejsca zielonej trawie i chwastom.

- Doleci? - zapytał Udałow, zaskoczony skromnymi rozmiarami statku.

- A dlaczego by nie? Nic się nie bój. Ja też chcę żyć. Udałow pomyślał, że tym razem pasikonik mówi prawdę, i jako pierwszy wszedł na ciasny, ale przytulny pokład talerza.

- Do Sapura będziemy lecieć pół godziny. Wszystko jest zautomatyzowane - rzekł pasikonik. - Pamiętaj, że masz mnie tam słuchać, żadnych sprzeciwów. To obca planeta i obce obyczaje. Jak ci się spodoba, to kupimy nasiona.

Pasikonik zajął miejsce za sterami, a Udałow usiadł na drugim fotelu i zapiął pasy. Robiło mu się przyjemnie na myśl, że utemperował tego kosmicznego kanciarza. Z zadowoleniem macał w kieszeni gruby portfel. Potem wyjął pudełko i mrugnął do skorpiona. W kabinie zapachniało poziomkami i powiała lekka bryza.

Talerz powoli uniósł się nad kosmodromem i nabierając prędkości, pomknął na sąsiednią planetę.

Pasikonik pewnie przesuwiał dźwignie i talerz wyrwał się poza atmosferę. I wtedy ktoś nagle ogłuszająco kichnął.

- To ty kichnąłeś? - zapytał Udałow.

- Nie. A to nie ty?

Zamilkli. Poczuli się niepewnie. Na statku ktoś się ukrywał.

- Kto tu jest? - podniósł głos Udałow.

Milczenie.

- Wychodź, bo strzelam - powiedział pasikonik.

Usłyszeli szuranie, drzwi szafy, w której były naczynia i skafandry, otworzyły się i nieśmiało wyszła wąska istota, przypominająca muchomora w żałobie. Miała na sobie obcisłe ubranie i pas z frędzlami oraz pomięty czarny kapelusz z szerokim rondem i białymi plamami. Na rękach miała białe rękawiczki, w prawej ręce trzymała torbę podróżną.

Istota odchrząknęła, zdjęła kapelusz, obnażając łysą jak kolano głowę bez śladu włosów i zapytała:

- Nie przeszkodziłem?

- To nie statek pasażerski - odpowiedział nieuprzejmie pasikonik. - Co, nie miał pan pieniędzy na bilet?

- A dokąd lecimy? - zapytał muchomor.

- A dokąd by pan chciał?

- Jak najdalej - odpowiedział muchomor.

Udałow zrozumiał, że twarz muchomora pokryta jest grubą warstwą białej i błękitnej farby, na której narysowano niebieskie smutne brwi, pod oczami zaś namalowano czarne sińce.

- Mów zaraz, po co wlałeś na nasz statek, bo wylądujesz w próżni - pogroził pasikonik Tori.

- Humanizm ci nie pozwoli - odpowiedział muchomor. - Chociaż mnie i tak już wszystko jedno. Jeden nieboszczyk więcej...

- Niech się pan uspokoi - powiedział Udałow. - Nie ma tu wrogów. Ktoś pana prześladowuje?

- Nie. Gorzej. Ja prześladowuję. Ale bezskutecznie.

- Nieszczęśliwa miłość? - zapytał Udałow ze współczuciem.

- W pewnym sensie - zgodził się muchomor. - Rozumie pan, jestem grabarzem.

- Od razu wyczułem w nim coś złowieszczonego - zauważył pasikonik.

- Niech pan mówi dalej - powiedział Udałow. - Nawet grabarze mają uczucia.

- Dziękuję. Dobry z pana człowiek. Chciałbym poznać pańskie nazwisko. Jest pan pierwszą osobą, od której usłyszałem dobre słowo w ciągu ostatniego roku.

- Nazywam się Korneliusz Udałow. A kim pan jest, nieszczęsny grabarzu?

- Moja historia jest straszna - powiedział grabarz, siadając w fotelu odstąpionym mu przez Udałowa. - Przeżyłem życie na odległej planecie sześć-G, w gwiazdozbiornie Wieloryba.

- Znam, znam - wtrącił się pasikonik, nie skrywając irytacji. - Parszywe miejsce. Nabawiłem się tam gorączki.

- Jestem synem i wnukiem grabarza. To nasza specjalizacja, przekazywana z pokolenia na pokolenie. Nie wyobrażam sobie, że mógłbym wykonywać inny zawód, jestem wysokiej klasy profesjonalistą. Przyjeżdżano specjalnie z sąsiednich kontynentów, żeby u mnie umrzeć.

- Do rzeczy - zachnął się pasikonik. - Autoreklama nas nie interesuje.

- Tori, jesteś nietaktowny! - zawołał Udałow.

- Kontynuuję - powiedział muchomor. - Ostatnie lata to dla naszej planety ekologiczny kryzys. Lasów coraz mniej, brakuje drewna, papieru, droższą są produkty naturalne.

- I rośnie śmiertelność - wtrącił współczująco Udałow.

- Nie o to chodzi! Chodzi o to, że dzisiaj godny pochówek jest trzy razy droższy niż dziesięć lat temu. My, grabarze, żeby nie zbankrutować, musimy podnosić ceny.

- O ile? - zainteresował się pasikonik.

- Tylko o tyle, żeby móc pokryć wydatki. Najważniejszy jest honor firmy. Stopniowo rujnowaliśmy się i biednieliśmy, ale mimo to staraliśmy się zapewnić mieszkańcom naszej planety godny pogrzeb w granicach ich budżetów. Co prawda nie zawsze się to udawało. I w tej sytuacji kryzysu ekonomicznego zadano nam zdradziecki cios w plecy.

- Ze strony rządu? - spytał zjadliwie pasikonik.

- Gorzej. Mieszkańcy planety ogłosili strajk powszechny.

- Sami urządzali sobie pogrzeby? - próbował zgadnąć Udałow.

- Jeszcze gorzej. Odmówili umierania. Wyobraźcie sobie, wszyscy, nawet stuletni starcy strajkowali i przestali umierać - tylko po to, żeby zrujnować ludzi troszczących się o zapewnienie innym godnego spotkania z wiecznością.

- I nie umierają? - zachichotał pasikonik.

- Od pół roku.

- Nie ma łamistrajków?

- Było dwóch - przyznał muchomor. - Z rodziny.

- Powinniście obniżyć ceny - poradził Udałow. - Przecież ludziom też jest trudno. Pół roku i ani jednej śmierci...

- Tu chodziło o zasady - rzekł muchomor. - Wyemigrowaliśmy. Ja przyleciałem tutaj.

- I co, tu też nie umierają?

- Umierają, ale tutaj są miejscowi grabarze, którzy nie przyjęli mnie do swojego związku zawodowego. Dlatego wsiałem na wasz statek, żeby znaleźć planetę, której ludność byłaby godna

usług mojej szacownej firmy.

- A to historia! - powiedział Udałow. I zrozumiał, że nie może współczuć grabarzowi.

Pasikonik, nie przestając chichotać, powtarzał:

- I nikt nie umiera! A to zuchy!

Muchomor podciągnął pod siebie nogi, włożył kapelusz i zapytał:

- Śniadanie będzie?

Udałow wyjął kanapki, poczęstował pasikonika i muchomora i zaczął jeść. Lecę sobie z jednej planety na drugą, myślał, w odległym punkcie kosmosu jem spokojnie kanapkę, i to nawet nie z masłem, tylko z jakimś nieznanym tłuszczem i kiełbasą, zrobioną z czegoś, o czym lepiej nie myśleć. Lecę, jakbym leciał w po- dróż służbową, oglądam przez iluminator nieznanne gwiazdozbiory, a gdzieś w nieskończonej przestrzeni jest moja Ziemia i na niej mały punkcik - miasto Wielki Guslar, mało znane nawet dla moich rodaków. A w drugim końcu Galaktyki, być może, tęskni za mną nieznajoma, ale kochająca Tulia, która ma taką miłą i dobrą mamę pochodzącą z Atlantydy. Spotykasz ludzi, poznajesz ich i przestajesz się dziwić, tak jak przestał się dziwić podróżnik Mar-co Polo, gdy okrążył Ziemię. A przecież trzeba się dziwić, w przeciwnym razie podróżowanie traci sens. Nie dziwić się można i w domu, oglądając telewizję...

Za iluminatorem migotał jakiś punkt lecący równolegle z ich statkiem.

- Popatrz, Tori - powiedział Udałow. - Ktoś za nami leci.

- To nic takiego - odpowiedział pasikonik. - Tylko błędząca gwiazda.

- Nie wygląda na błędzącą gwiazdę - rzekł grabarz. - Latałem sporo po kosmosie, obsługiwałem pogrzeby specjalne, a takich gwiazd jeszcze nie widziałem. Moim zdaniem, ktoś nas rzeczywiście goni.

- Nie zwracajcie uwagi. Po kosmosie lata pełno draństwa. Lepiej kończcie jedzenie i przygotujcie się do lądowania.

Grabarz zmierzył pasikonika nieufnym okiem profesjonalisty, ale nic nie powiedział. Udałow znowu zaczął rozmyślać o osobliwościach swojego losu.

- Trzeba podróżować - stwierdził w końcu. - Trzeba podróżować i patrzeć.

- Nie - sprzeciwił się grabarz. - Lepiej nie podróżować i umierać w domu.

ROZDZIAŁ 11

W którym na planecie Sapur Udałow przeżywa sporo nieprzyjemności i rozczarowanie.

Pasikonik spojrział na mapę i wylądował na polu, nieopodal roślinnego miasta.

- Ty, Udałow - powiedział - nie wrywaj się naprzód. Targować się będę ja. Ciebie mogliby oszukać i wcisnąć niewłaściwe ziarna.

- Dobrze - zgodził się Udałow. - Masz większe doświadczenie, więc działaj. Tylko pamiętaj, że będę cię obserwować. Nie ufam ci.

Pasikonik machnął pobłażliwie łapką i zaczął szybko iść po ścieżce do lasu. Denerwował się, co chwila spoglądał na zegarek. Udałow pomyślał, że synchroniczny tłumacz boi się spóźnić na posiedzenie ZIZ.

Muchomor szedł z tyłu, rozglądał się, węszył, swoim wyglądem nadawał ekspedycji bolesciwy charakter. I strasznie irytował pasikonika.

- Odczep się - mówił pasikonik. - Po co się za nami wleciesz? Idź sobie w tamtą stronę,

słyszałem, że tam mają cmentarz.

- Przepraszam, ale cmentarz mnie nie interesuje. Nie interesuje mnie rezultat, lecz sam proces. W pewnym sensie jestem I olimpijczykiem.

Udałow spoglądał na wysokie drzewa, obok których przechodzili, ale to były zwyczajne drzewa, żadnych drzwi w pniach.

- Cierpliwości - powiedział pasikonik, widząc zainteresowanie Udałowa przyrodą. - Jeszcze pięć minut.

Las wyglądał normalnie, liściasty, z ptakami i owadami, ścieżka też była zwyczajna. Było tak miło i spokojnie, że Udałow zaczął sobie po cichu nucić... I wtedy pasikonik nagle zamarł, a jego plecy zadrżały ze zdenerwowania.

- Nic nie rozumiem - powiedział. - Przecież jeszcze w tym tygodniu tu byłem.. Gdzie jest miasto?

Wyszli na ogromne, zryte pole. Pomiędzy dołami biegły dróżki, przy dróżkach stały tabliczki z nazwami ulic.

- Mógłbym przysiąc... - powiedział pasikonik. Udałow, czując, że coś jest nie tak, zapytał otwarcie:

- Znowu?

- Poczekaj! - Tori zobaczył leżącego na trawie człowieka.

Podbiegli. Człowiek był nieprzytomny i cicho jęczał. Grabarz wyjął z torby jakiś flakonik, podsunął mu pod nos. Leżący jęknął głośniejsze i otworzył oczy.

- Co się stało? - zapytał nerwowo pasikonik. - Gdzie się podziało miasto?

- To straszne, umieram - powiedział człowiek i przymknął powieki.

- Tak zaraz nie umrze - stwierdził grabarz. - Zaufajcie mojemu doświadczeniu. Jeszcze trochę pociągnie.

- Mów, co się stało z waszym miastem - naciskał pasikonik.

- Niestety. I to wszystko nasza wina - zaczął człowiek. - Zamieszkaliśmy w domach-roślinach, myśleliśmy, że w ten sposób zapewnimy sobie wieczny komfort. Żyliśmy w nich dwadzieścia lat. Nasze mieszkania posłusznie rosły, nie wiedzieliśmy, co to kryzys mieszkaniowy, i oddychaliśmy świeżym powietrzem. Nowe rodziny odłączały się razem z drzewami. Ale nie pomyśleliśmy...

Przewrócił oczami i grabarz musiał znowu podsunąć mu pod nos flakonik.

- Na czym to ja stanąłem? - zapytał konający. - Ach, tak! Zapomnieliśmy zapytać podróżników, którzy przywieźli nam nasiona, jak się te drzewa rozmnażają.

- A jak się rozmnażają? - zainteresował się Udałow.

- Dowiedzieliśmy się o tym dzisiaj w nocy. Pod wieczór nasze mieszkania zakwitły ogromnymi wonnymi kwiatami, a nocą wyciągnęły korzenie z ziemi i poszły szukać swoich partnerek. Okazało się, że w naszym mieście występują tylko drzewa rodzaju męskiego, a żeby przedłużyć ród, muszą zapylić żeńskie kwiaty.

- A gdzie są te żeńskie kwiaty?

- Zapomnieli je tu importować - wyszeptał człowiek. - Teraz nasze mieszkania wraz z całą ludnością wędrują nie wiadomo dokąd i nie wiadomo, gdzie się zatrzymają... A ja niechcący wypadłem ze swojego mieszkania i potłukłem się...

Po tych słowach nieszczęsny mieszkaniowiec wędrującego miasta ostatecznie stracił przytomność.

- Idziemy szukać miasta - zdecydował Udałow. - Tam przecież ludzie zostali, dzieci, denerwują

się...

, - A jak ich znajdziemy? - spytał pasikonik.

- Po śladach. Zostawiają przecież ślady. Jak stado słońi.

- Lepiej poczekajmy na nich tutaj. Może pokręcą się trochę i wrócą.. „

- Idziemy, idziemy - rzekł stanowczo Udałow i pociągnął tłumacza za rękaw.

- Ja tu zostanę! - krzyknął za nimi grabarz. - Możliwe, że ten nieszczęśnik umrze. Pochowam go bezpłatnie, żeby nie wyjść z wprawy. Nudno tak bez pracy.

Udałow i pasikonik nie przeszli nawet stu metrów, gdy coś ogromnego zasłoniło słońce. Udałow podniósł głowę i zrozumiał, że wprost na nich ląduje statek kosmiczny.

Przyjaciele rozbiegli się, ale statek zawisł, nie dotykając ziemi, a z luków zaczęli wyskakiwać na trawę ciężkozbrojni desantowcy.

Minutę później Udałow oddał się do niewoli. Nie wiadomo komu. Zaprowadzono go do oficera dowodzącego desantem. Po prawej stronie Udałowa stał ponury pasikonik, po lewej grabarz, którego odciągnięto od potencjalnego nieboszczyka.

- Dzień dobry, Wasza Wysokość - powiedział nieoczekiwanie pasikonik. - Zadanie zostało wykonane.

- Gdzie jest miasto? - zapytał spokojnie i nawet ospale oficer. Jego twarz była nieruchoma, źrenice zastygły pośrodku białek, jak u niewidomego.

- Zaszły nieprzewidziane komplikacje - wyjaśnił pasikonik z miną winowajcy. - Okazuje się, że miasto wyruszyło na poszukiwanie swoich samic.

- Bez żartów! - krzyknął gniewnie oficer i cienkim batem sparzył ramię pasikonika. Złoty frak franta z planety Tori-Tori rozdarł się, odsłaniając spadziste zielone ramię.

- Miasto było roślinne - spróbował wyjaśnić nieporozumienie Udałow. - To były drzewa i one odeszły.

- Kpią sobie z nas. Żadne drzewa nie chodzą - odpowiedział ospale oficer. - Sto batów każdemu.

- Poczekajcie! - zawołał grabarz. - Tam leży uszkodzony mieszkaniec tego miasta. Jest w takim stanie, że nie będzie kłamać. Przesłuchajcie go i zrozumiecie, że was nie oszukujemy.

Oficer wydał rozkaz pilnowania jeńców, a sam, wymachując batem, ruszył w stronę umierającego.

- Powiedz mi, Tori - zwrócił się do pasikonika Udałow. - Skąd znasz tego oficera i jakie to zadanie wykonałeś?

- Ciebie to nie dotyczy, Udałow - powiedział Tori. - Ale ci powiem. Jego Wysokość jest entomologiem. Na jego prośbę prowadziłem obserwację ciem.

- A propos, to właśnie ten statek leciał za nami - zauważył grabarz.

- Zbieg okoliczności - odparł pasikonik, ale nikt mu nie uwierzył.

Oficer wrócił do nich i rzekł:

- Ten człowiek umarł tak szybko, że nie zdążyliśmy poddać go torturom. Ale zdołał się przyznać, że wypadł z chodzącego domu. A gdzie jest Udałow? Tori obiecał go dostarczyć.

- Ale nie za darmo - bezczelnie, ale lekliwie zauważył podły pasikonik.

- Nie radzę się przy tym upierać - ostrzegł Jego Wysokość, machając batem.

- To ja jestem Udałow - przyznał się Korneliusz. - Czego chcecie?

- Dowiesz się na miejscu. A ten drugi to kto?

- Jestem grabarzem - oznajmił muchomor. - Aktualnie bez pracy. Sądząc po waszym walecznym

wyglądzie, w waszym szanownym świecie znajdzie się dla mnie praca. Zgadzą się lecieć z wami.

- Weźcie go, potem się zobaczy.

- Wasza Wysokość, muszę wracać na ZIZ - wtrącił pasikonik. - Proszę się ze mną rozliczyć i pojadę.

- Wykonałeś tylko połowę zadania - powiedział oficer. - Miasta nie ma, a za samego Udałowa nie mogę ci zapłacić.

- W takim razie nie będę więcej dla was pracował - oświadczył pasikonik. - I straciecie agenta na ZIZ.

- Znajdziemy innego. Mniej kłótliwego, bardziej sumiennego. Żołnierze zarechotali.

- Ach, tak! - wykrzyknął pasikonik. - Złożę skargę! Natychmiast wracam na ZIZ i oświadczę, że ukradliście jednego z najbardziej popularnych delegatów, ulubieńca całego zjazdu Korneliusza Iwanowicza Udałowa. Strzeżcie się, bandyci!

- Brać go! - rozkazał oficer i żołnierze z nieukrywaną przyjemnością złapali pasikonika pod rękę.

Kilka minut później pasikonik, Udałow i grabarz znaleźli się w statku kosmicznym. Warto zauważyć, że pasikonik i Udałow zostali pozbawieni swoich oszczędności, a grabarz torby.

Drzwi zasunęły się, zaszumiały silniki i statek poleciał w niewiadomym kierunku.

- Zdrajca - rzekł Udałow niespecjalnie urażony, ale ze wstrętem. - Zwabiłeś mnie na tę planetę...

- Nie rozumiesz - usprawiedliwiał się pasikonik. - To wynikało z moich zasad. Jestem zdrajcą ideowcem. Pieniądze są tylko symbolem mojej zdrady. Jak tylko sprawa się wyjaśni, ten bezczelny oficer zostanie okrutnie ukarany.

- Ale przedtem ja cię ukarzę - powiedział Udałow.

- Słusznie - ucieszył się grabarz. - Nie udało mi się pochować tego mieszkańca lasu, pochowam tego łajdaka.

Pasikonik uwierzył, że Udałow mówi poważnie. Rzucił się do metalowych drzwi, zaczął jęczeć i uderzać w nie całym ciałem. Nikt nie zareagował na jego skargi.

Tymczasem grabarz wyciągnął z kieszeni suwmiarkę, lekkimi, niemal niezauważalnymi ruchami zmierzył pasikonika i oznajmił Udałowowi:

- Tanio wyjdzie, będzie można wykorzystać dziecięcą trumienkę. Orkiestry nie będzie się zamawiać, wieniec jeden, z żółtych jaskrów.

Spokojny, rzeczowy ton grabarza działał przygnębiająco, wycie pasikonika stało się tak głośne, że statek wszedł w niebezpieczne wibracje i zaczęły się pojawiać szczeliny, przez które ze świstem uchodziło powietrze. Syrena alarmowa częściowo zagłuszyła wrzaski. Udałow zdziwił się, jak ogromna wola życia i pragnienie dobrobytu tkwiły w tym małym ciałku.

Grabarz wyciągnął rękę w stronę Udałowa i zwrócił kciuk w dół, ku drżącej podłodze. Był to słynny na arenach starożytnego Rzymu gest, którego używano, gdy publiczność żądała dobicia zranionego gladiatora.

Udałow przecząco pokręcił głową. Przypomniawszy sobie, że reprezentuje tu humanitarne, postępowe społeczeństwo.

- Może się jeszcze poprawi! - krzyknął, ale jego głos zlał się z narastającym hukiem.

W ten sposób wiszące na włosku życie pasikonika zostało uratowane. I nie wiadomo było, czy na szkodę, czy też dla dobra bohaterów naszego dramatu.

Powoli przestał wycić i tylko cicho szlochał, zwinięty w kłębek pod drzwiami. Od czasu do czasu rzucił na towarzyszy lękliwe spojrzenia. Grabarz, rozczarowany miłosierdziem Udałowa, rysował na

ścianie projekty komunalnych katafalków, a Udałow denerwował się, że opuści wieczorne posiedzenie zjazdu.

ROZDZIAŁ 12

W którym Udałow jest w niewoli i dowiadyuje się o dziwnych losach planety Ke

Wkrótce jeńców zaprowadzono do wyjścia ze statku, który właśnie wylądował na planecie Ke.

Planeta przywitała Udałowa drobnym deszczykiem, wesoło bębniącym na liściach drzew i płatkach róż. Z wyjątkiem wypalonego i ubitego przez lądujące i startujące statki betonowego placu miejscowość pokrywał dywan różnobarwnych kwiatów, z którego wyłaniał się masywny budynek dworca kosmicznego. Niewypowiedzianie cudowny aromat otulał ciało i pieścił powonienie, a miriady motyli ożywiały obraz, konkurując z kwiatami pod względem jaskrawości kolorów.

- Nieźle - powiedział Udałow, który umiał docenić troskę o piękno i ekologię. - To wspaniałe: jeśli tak lubią kwiaty, to znaczy, że muszą tu być ludzie o otwartych sercach.

Pasikonik nie wiedzieć czemu zachichotał, a idący z tyłu żołnierz pchnął Udałowa kolbą.

Budynek dworca wyglądał na od dawna nie odnawiany. Odpadał z niego tynk, ale oplatające go rośliny przydawały ruinom malowniczości i romantyzmu.

Nad wejściem wisiała wyblakła, zniszczona wiatrem i deszczem wywieszka: „Serdecznie witamy na planecie Ke!”.

W budynku dworca było duszno i parno, jak w oranżerii. Na podłodze stały doniczki z rezedą i skrzynki z konwaliami, czasem trzeba było przez nie przeskakiwać.

Na spotkanie oficerowi wyszedł wychudzony grubas, ze skórą wiszącą jak u głodującego słonia i w butach nie od pary. Grubas był nieogolony, nieuczesany i nieumyty. Żuł konwalię.

- Przywieźliście? - zapytał krótko.

- Tylko Udałowa - odpowiedział oficer. - Miasto zdążyło uciec.

- Udałow stawiał opór? - zapytał grubas, drapiąc się po brzuchu.

- To by nie miało bez sensu.

Udałow zwrócił uwagę, że wargi grubasa poruszają się niezgodnie ze słowami, tak jakby grubas kogoś nieumiejętnie dubbingował. Udałow nawet się obejrzał, podejrzewając, że to jakaś sztuczka, ale obok nich nie było nikogo prócz żołnierzy.

Pasikonik odepchnął Korneliusza i zrobił krok do przodu.

- Proszę natychmiast zaprowadzić mnie do Jego Bezkresności - zażądał. - Mam dla niego tajną wiadomość.

Niechlujny grubas zdziwił się, uniósł brwi i zamarł, jakby czemuś się przysłuchując.

- Nie - powiedział w końcu. - Najpierw obejrzymy Udałowa. Dzień dobry, Udałow.

- Dzień dobry. - Korneliusz skinął głową. - Nie ma tu za dużo do oglądania.

- Gdzie jest moje szkło pomniejszające? - zapytał grubas. Nikt nie mógł mu pomóc. Grubas zaczął szperać w fałdach swojego obszernego, pomiętego ubrania, w końcu wyciągnął skądś szkło, przyłożył je do oka, które od razu wielokrotnie się powiększyło, i zaczął się wpatrywać w Udałowa. Oglądał delegata z Ziemi przez jakieś dwie minuty. Udałowowi znudziło się stanie i zaczął przestępować z nogi na nogę.

- Nie robi specjalnego wrażenia - powiedział rozczarowany grubas. - Nakarmcie ich i przygotujcie do ceremonii.

Żołnierz zaprowadził jeńców do stołówki. Stołówka była obok, za przepierzeniem ze skrzynek i walizek oplecionych dzikim winem. Jej ściany pomalowano na brązowo, podłoga była brudna, okna zakurzone, w szczelinach podłogi rosła trawa.

Kuchni przy stołówce nie było. Tylko kontuar, na którym leżały sterty pomiętych płatków róż i bukietki hiacyntów. Kucharz i jego pomocnicy kroili płatki szerokimi nożami, a chłopcy na posyłki mieli hiacynty w maszynkach do mięsa. Udałow pomyślał, że powoli zaczyna mieć dość tych kwiatowych zapachów. Poczłł straszną ochotę na śledzia.

W stołówce było mało ludzi. Wszyscy jedli to samo - sałatkę z pokrojonych płatków, a na drugie kaszę ze zmielonych płatków. Jedli szybko, obojętnie i bez apetytu, mimo że od czasu do czasu z ich ust wyrwały się okrzyki zachwytu.

Żołnierz popchnął jeńców w kierunku kontuaru, gdzie kucharz rzucił im na talerze po łyżce sałatki, a chłopcy na posyłki dorzucili po garści kwiatowej kaszy.

Jeńcy wzięli swoje porcje i znaleźli przy długim stole wolne miejsca. Grabarz powąchał jedzenie i powiedział:

- Jak u nas na cmentarzu!
- Też tak jecie? - zdziwił się Udałow.
- Nie, tylko wachamy, a potem wyrzucamy wieńce.

Udałow pokręcił głową. Nie spodobał mu się ten rodzaj humoru. Potem popatrzył na swojego sąsiada przy stole. Był nim zarośnięty młody człowiek o tępym spojrzeniu, w marynarce włożonej tył na przód. Jadł powoli i cichutko jęczał. Naprzeciwko Udałowa siedziała staruszka w narzuconej na ramiona serwecie. Udałow przetarł brudną łyżkę chusteczką do nosa, nabrał trochę sałatki i ostrożnie podniósł do ust. Tak jak się obawiał, sałatka była gorzka.

- Nie da rady - westchnął Udałow. - Nie zjem tego. Żeby chociaż posłodzili.
- Nie smakuje? - zapytała wrogo starucha w serwecie. - Patrzcie no, nektar mu nie smakuje!
- A pani smakuje? - zdziwił się Udałow.
- Co za głupie pytanie - skrzywiła się starucha. - Wszystkim smakuje.
- Nie przeczę - zmieszł się Udałow. - Estetycznie, elegancko, przyjemnie pachnie. Ale kwiaty nadają się raczej do wachania niż do jedzenia.
- A olejki eteryczne? - przypomniał surowo młody człowiek w marynarce.
- Dobrze do wody kolońskiej i dla motyli - stwierdził Udałow. - Choć nie chciałbym krytykować cudzych obyczajów.

- Dziwne - rozeźliła się staruszka na dobre. - Panom smakuje, a jemu, rozumiecie, nie. Co w takim razie byś sobie życzył, gołąbeczku?

- Chleba - przyznał się Udałow.
- Chleba mu się zachciewa! - wykrzyknęła staruszka, nie poruszając wargami. - A to łajdak!

Ale jednocześnie jej oczy zwilgotniały, a młody człowiek głośno i gwałtownie przełknął ślinę. Udałow zrozumiał, że i oni chętnie zjedliby kawałek chleba.

Zapadła cisza. Zupełnie jakby ktoś niewidoczny, ale potężny rozkazał wszystkim zamilknąć. Ludzie wstali od stołu, ustawili się dwójkami w kolumnie i zaczęli iść, skandując przy tym, początkowo nieśmiało i niepewnie, a potem coraz głośniej i z coraz większym zapałem:

- Niech żyje kwiatowa sałatka! Niech żyją olejki eteryczne!
- Precz z chlebem i wstrętnymi kotletami!
- Precz! - niosło się po sali.

Brzęczały naczynia. Kucharze, pomocnicy i chłopcy na posyłki bili brawo i wznosili niepochlebne okrzyki pod adresem białek i węglowodanów.

Co prawda, u wszystkich usta poruszały się niezgodnie ze słowami.

Rozentuzjasmowani ludzie w podskokach zbliżali się do drzwi i znikali w nich. W końcu stołówkę opuścił ostatni człowiek. Pozostała tylko obsługa, żołnierz i jeńcy. Żołnierz jak gdyby nigdy nic kończył swoją kwiatową kaszę.

Pasikonik popatrzył na niego z pogardą i powiedział:

- Wyniszczą się zupełnie.

- Schudli - zgodził się z nim grabarz. - W sam raz dla mnie. To nie planeta, tylko żyła złota.

- Jeśli ich pan przeżyje na tej diecie - zauważył Udałow.

- Nie przeżyje - uśmiechnął się krzywo pasikonik. - Wszystkich was wykończą psychicznie.

- A ciebie?

- Mnie nie. Jestem skończonym łajdakiem, a tacy jak ja są towarem deficytowym. Fenomenalna atrofia sumienia: wszystkich mógłbym sprzedać.

- Wiesz co, Udałow - powiedział grabarz - trzeba go było zlikwidować na tym statku. Pochowalibyśmy go i po krzyku.

- Zdaje się, Tori - rzekł Udałow - że grabarz ma rację. A może jeszcze nie jest za późno?

- Jest - zachichotał pasikonik, wskazując wypukłymi oczkami żołnierza.

Żołnierz wylizał talerz, potem powąchał go, podniósł leżący na stole płatek, wstał, podszedł do jeńców i powiedział:

- Idziemy, potencjami!

Następną godzinę jeńcy spędzili w byłym pokoju dla matki z dzieckiem, przerobionym na izolatkę za pomocą krat w oknach.

W izolatce było brudno i zimno. Trzymano tutaj worki z nasionami kwiatów. Grabarz robił dobrą minę do złej gry i mówił, że jako profesjonalista upaja się atmosferą grobowca. Udałow szybko chodził po pomieszczeniu, omijając dziecięce krzeselka i połamane zabawki. Nagle pasikonik wykrzyknął:

- Co z ciebie za kolega, Udałow! Egoista!

- Dlaczego? - zdziwił się Udałow.

- Pudełko ze skorpionem gdzie masz? W kieszeni?

- Zupełnie o nim zapomniałem. Wybacz.

Udałow wyjął skorpiona z kieszeni. Skorpion powąchał chłodne powietrze i od razu stworzył wokół nich normalną atmosferę. W izolatce zrobiło się cieplej, zapachniało różami. Jeńcy zbili się w ciasną grupkę, żeby dla wszystkich starczyło ciepła.

- Dziwna planeta - powiedział Udałow, gdy już się trochę ogrzał. - W oczach pustka, jedzą kwiaty, mówią, że chleba nie potrzebują, krzyczą: „Precz z kotletami!” i w ogóle wyglądają niechlujnie.

- To proste - odrzekł pasikonik. - Cały cywilizowany świat zastanawia się nad planetą Ke, wszyscy uważają jej mieszkańców za chorych na dziwną chorobę. A wyjaśnienie jest bardzo proste - planeta została wzięta do niewoli.

- To czemu wcześniej nic nie powiedziałaś? Już dawno byśmy coś przedsięwzięli.

- Zapomniałaś, że się im sprzedałem?

- Niezbyt rentowna transakcja - zauważył grabarz.

- Teraz to już się od nich odciąłem. Dlatego właśnie wyjawiam tę straszną tajemnicę. Tobie, Udałowie, jako pierwszemu.

- No to opowiadaj.

- Nie ma za wiele do opowiadania. Jakimś cudem trafiły na tę planetę mikroby. Czy przyleciały, czy tu się jakoś wylęgły, nieważne. Od zwykłych mikrobów różnią się tym, że są rozumne. Wydawałoby się, że powinny zająć się jakąś twórczą pracą, dołączyć do galaktycznego bractwa. Ale nie - same nie chcą pracować, wolą pasożytować na innych istotach...

- Pasożyty! - wykrzyknął Udałowie.

- Nic podobnego - rozległ się czyjś głos i drzwi do izolatki otworzyły się nagle..

Były niechlujny grubas, który powitał jeńców na kosmodromie, wszedł rozgniatając butami lalki i grzechotki.

- Nic podobnego - powtórzył. - To nie są żadne pasożyty, tylko wielce szanowne mikroorganizmy.

- Tak właśnie powiedziałem - pospieszył z zapewnieniem pasikonik. - Dokładnie tak powiedziałem. Wielce szanowni i miłoścy panowie szlachetne mikroorganizmy.

Coś wewnątrz grubasa trzasnęło i zaszeleściło. Grubas stał z otwartymi ustami i pokornie czekał, aż dźwięki się skończą.

- Uśmieśliśmy się - powiedział, gdy wszystko ucichło. - A ty kontynuuj, Tor i, kontynuuj. Nie ma tu żadnych tajemnic. Jeszcze nikt nie wyszedł stąd taki, jaki przyszedł. Mów!

Pasikonik odsunął się od swoich towarzyszy, uklonił się niezgrabnie i rzekł:

- Generalnie wszystko jasne. Panowie mikroorganizmy na prośbę mieszkańców planety Ke osiedlili się tutaj i wtedy mieszkańcy planety Ke zwrócili się z prośbą do szanownych mikroorganizmów, aby w celu jeszcze większego zjednoczenia ludności planety i szanownych mikroorganizmów te ostatnie zamieszkały we wnętrzu mieszkańców planety. Od tamtej pory w każdym mieszkańcu planety Ke żyje szanowny mikroorganizm i podpowiada nędznemu mieszkańcowi planety Ke cenne myśli. Prawidłowo referuję?

- Oczywiście, że nie - odparł niechlujny grubas. - Jakie tam zjednoczenie! My, mikroorganizmy, albo pasożyty, jak powiedział nasz drogi Udałowie, oby to chamstwo nie zostało mu wybaczone - jesteśmy panami. My wydajemy rozkazy, a ludzie je wykonują. I o żadnej równości nie może być mowy. Wszystko dzieje się tak, jak życzymy sobie my, hm, pasożyty. To my, hm, hm, pasożyty lubimy eteryczne olejki wonnych kwiatów. Dlatego wszyscy na tej planecie lubią eteryczne olejki, hodują kwiaty, wachają kwiaty i jedzą je. Nigdy nie zabijamy jeńców. Po co? Każdy nowy człowiek to nowy domek dla jednego z nas. Przecież tak szybko się rozmnażamy. Mamy już zapisy na nowe ciała. I teraz właśnie zamieszkamy w was.

- Tylko nie we mnie - powiedział szybko pasikonik. - Ja dobrowolnie i świadomie służę waszej szlachetnej sprawie.

- A dlaczego by nie? W tobie będzie mieszkał mój brat albo wnuk. Jak sam powiedziałeś, zjednoczy się z tobą, będziecie się przyjaźnić i on będzie ci podpowiadał, jak masz myśleć, o czym myśleć, o czym nie myśleć, kiedy i co mówić, a kiedy lepiej milczeć. Twoja wartość jako agenta wzrośnie potrójnie. Ciesz się, głupcze!

- Cieszę się, oczywiście...

- Ciesz się w milczeniu. Ty, grabarzu, też nam się przydasz. Potrzebujemy grabarzy. Cały czas się rozmnażamy, a wasze ludzkie ciała są tak niedoskonałe! Żyją krótko, padają jak muchy. Pracy

będziesz miał dość.

- Dziękuję - powiedział serdecznie grabarz. - Wszystkie te spory o zjednoczeniu i poddaństwie są mi z gruntu obce, jestem apolityczny. Potrzebuję tylko twórczej pracy i należytego wynagrodzenia.

- O wynagrodzeniu zapomnij - odparł niechlujny grubas.

Ponieważ usta grubasa pozostawały nieruchome, Udałow zrozumiał, że mówi pan grubasa - wielce szanowny mikrob. I Korneliusz zrozumiał, dlaczego ludzie są tutaj tak źle ubrani, zarośnięci, brudni. A po co mieliby o siebie dbać? Mikrobów to nie interesuje. One są nagie.

- Nie mogę zapomnieć o korzyściach materialnych. Jestem człowiekiem interesu - wyjaśnił grabarz.

- Jak zamieszka w tobie mój wujek, stanie ci się obojętne, czy kopiesz groby za pieniądze, czy dla własnej przyjemności. Wstawajcie, idziemy.

- Dokąd? - zapytał Udałow.

- Do pałacu. Czeka tam na nas Jego Bezkresność Mikrob Naczelny. Zamierza osobiście zamieszkać w tobie, Udałow. Z tej okazji odbędzie się uroczystość. Ma już, co prawda, szacowne ciało, ale stare, bezwartościowe. A twoje bardzo nam pasuje. Zwłaszcza biorąc pod uwagę rolę, jaką masz odegrać w Galaktyce.

- Moja rola jest bardzo skromna - powiedział Udałow. - Nie pojmuję, czemu poświęcacie mi tyle uwagi. Ponadto muszę was oficjalnie uprzedzić, że nie jestem jakimś tam włóczęgą bez domu i ojczyzny, tylko przedstawicielem Ziemi. Stoi za mną sześć miliardów rodaków, którzy nigdy nie pozwolą skrzywdzić swojego towarzysza. A więc, pamiętajcie: podnosząc rękę na mnie, podnosicie rękę na całą miłującą wolność Ziemię!

Udałow mówił głośno i uroczysto. Nawet pożałował, że nie ma obok niego Koli i kolegów z pracy, którzy mogliby ocenić słuszność i siłę jego przemówienia.

Niechlujny grubas poczekał cierpliwie, aż Udałow skończy, a potem uśmiechnął się krzywo.

- Dobrze mówisz. Nie oszukali nas. Naczelny mikrob z radością w tobie zamieszka. A co się tyczy sześciu miliardów mieszkańców Ziemi, to cieszymy się, słysząc o takiej liczbie nosicieli. Co za perspektywy dla naszego rozwoju! Ziemię też podbijemy! Może nawet z twoją pomocą, Udałow.

ROZDZIAŁ 13 którym Udałow spotyka się z Jego Bezkresnością Mikroblem Naczelnym i piękną Tulią

- Przed Jego Bezkresnością macie się zachowywać kulturalnie - uprzedził niechlujny grubas, prowadząc jeńców korytarzem portu kosmicznego do wyjścia na ulicę. Z tyłu maszerowali żołnierze. - Jego Bezkresność nie znosi chamstwa.

- A dlaczego nazywacie go Bezkresnością? - zapytał Udałow.

- Po pierwsze, z szacunku dla jego umysłu i talentów. A po drugie, on jest naprawdę ogromny. Nie uwierzysz, ale Mikroba Naczelnego można dojrzeć nieuzbrojonym okiem.

- Niemożliwe! - wykrzyknął służalczo pasikonik. - I nadal rośnie - dodał grubas.

Połowę drogi przejechali w starym samochodzie bez dachu, ale na jednym z zakrętów silnik zgasł i samochodu nie udało się już uruchomić. Kierowca leniwie grzebał w silniku, a potem zdrzemnął się na drodze. Żołnierze zaczęli go bić, mikrob, który żył w kierowcy, zażądał, żeby przestali, bo od tego ciało wchodziło w nieprzyjemną dla mikroba wibrację.

Dalej szli na piechotę. Nie było to łatwe, na ulicach od dawno nie sprzątnano śmieci i odpadków.

Na jednym ze skrzyżowań musieli się zatrzymać, bo ulicą powoli szła demonstracja. Demonstracja składała się z kilkuset byle jak ubranych, a niekiedy rozebranych kobiet w wiankach i girlandach z kwiatów, niosących plakaty i transparenty z krzywymi napisami. Niektóre z nich Udałow zapamiętał: „Mój mikrob jest zawsze ze mną”, „Ani kroku bez mikroba”, „Ucieszymy naszych panów wzrostem liczby urodzeń”. Wiele kobiet niosło okrągłe tablice z wymalowanymi na nich trzema literami P.

- Co to znaczy? - spytał Udałow niechlujnego grubasa.

- Posłuszeństwo, pilność, prostota. Nasze główne hasło. Podoba się?

- Nie podoba się - odpowiedział uczciwie Udałow.

- A mnie się podoba! - zawołał pasikonik. - Jestem szczęśliwy, że mogę oglądać taką harmonijną organizację społeczeństwa, taką jednomyślność, taką miłość do mikrobow!

- Spróbowaliby inaczej - zauważył grubas. Podniósł rękę i zakrzyknął: - Starajcie się, drogie kobiety! Jesteśmy z wami!

- Hura! - rozległy się głosy kobiet.

Jak tylko demonstracja przeszła, grubas szybko poszedł dalej. Żołnierze leniwie człapali z tyłu, wachając różyczki zatknięte w lufy automatów.

Pałac byłego prezydenta planety Ke był, jak łatwo się domyślić, w opłakanym stanie. Tynk odpadł, niektóre kolumny się zawaliły, ich fragmenty leżały na wjeździe do pałacu. Trzeba było korzystać z wąskiej, wijącej się ścieżki, spoglądając przy tym przez cały czas w górę, czy nie zawali się coś jeszcze.

Przed wejściem nie było żadnej straży, na tej planecie nie miałyby to sensu - przecież w każdym przestępcy siedział czujny obserwator, a wojny o władzę między sobą mikroby jeszcze nie znały.

Po korytarzach i holach pałacu snuli się smętni ludzie, jakiś człowiek, który miał na sobie tylko buty, spał na stopniach, na klatce schodowej stał wielki bak z kwiatowym wywarem, lokaj w obszarpanej liberii ponuro żuł gladiolusa. Na widok wchodzących po schodach żołnierzy z jeńcami zerwał się, zmusił twarz do uśmiechu i zbyt głośno wykrzyknął:

- Życzycie sobie nektaru? Nie ma nic smaczniejszego od nek-’ taru!

- Dziękujemy, może w drodze powrotnej - odpowiedział uprzejmie Udałow.

Weszli w końcu do głównej sali, gdzie czekał uprzedzony o ich przybyciu naczelny mikrob. Udałowowi nie udało się zobaczyć go nieuzbrojonym okiem, mikrob był ukryty w ciele słabego staruszka, byłego prezydenta planety. Staruszek z mikroblem w środku siedział na podium w złotym podniszczonym fotelu. Wokół tłoczyli się dygnitarze.

Niechlujny grubas wyminął jeńców, podszedł prosto do fotela i oznajmił:

- Korneliusz Udałow z Ziemi i osoby wzięte do niewoli razem z nim proszą o pozwolenie przybliżenia się.

- Zuch - powiedział dobrotliwie staruszek, gładząc pomarszczoną ręką śnieżnobiałą rzadką bródkę. - A więc to ty jesteś Udałow?

Oczka staruszka zaczęły świdrować Korneliusza. Udałow miał wrażenie, że za tymi źrenicami czai się wielki mikrob. Co oczywiście nie było prawdą. Nie mógł przyzwyczaić się do myśli, że siedzący przed nim staruszek nie jest prawdziwy, że to tylko powłoka, podobnie jak stojący wokół niego dygnitarze. Nie wytrzymał i zadał niedelikatne pytanie:

- Przepraszam, ale jak pan, człowiek, w którym siedzi mikrob, odczuwa jego obecność?

Ku jego zdumieniu staruszek zupełnie innym głosem odpowiedział:

- To ohydne... - ale w tym samym momencie jego oczy się zaszkliły, usta zacisnęły i przez nos

wydobyła się reszta zdania: - Ciągła obecność Jego Bezkresności to dla mnie rozkosz. Jestem szczęśliwy, że mogę być powłoką.

- Rozumiem - westchnął Udałow. - A jakże, rozumiem.

Dopiero w tym momencie dotarła do niego cała groza tej sytuacji. Przedtem wszystko było nierealne. Dostał się do niewoli, zdarza się, przywieźli go do pałacu... Ale gdy zobaczył, jak zaszklily się, zastygły oczy nieszczęsnego prezydenta, gdy przemówił w nim mikroby, Udałowa przeszył dreszcz. Nawet serce zaczęło mu mocniej bić.

- Jak podróżowaliście? - zapytał prezydent, szarpiąc brodę. Wygodnie?

- Co? - zapytał Udałow, niemal nie słysząc, o czym mówi prezydent.

Odpowiedział za niego pasikonik:

- Podróż była doskonała, Wasza Bezkresność. Cieszymy się, że możemy pana oglądać!

- Mnie nie widać - powiedział prezydent. - Powiedziano mi, że jesteś sprzedajnym i nierozumnym agentem. Zgadza się?

- W zupełności - pospieszył z zapewnieniem pasikonik. - Jestem absolutnie niegodzien zostać powłoką szanownego mikroba.

- Twój rozum nie jest nam potrzebny - rozległ się melodyjny kobiecy głos.

Dygnitarze zaśmiali się.

Udałow drgnął i spojrzał w kierunku, z którego dobiegał głos. W tłumie dworzan, nie zauważona wcześniej, stała jego ukochana.

- Tulia! - wykrzyknął. - Najdroższa! Wreszcie się spotkaliśmy! - Zrobił krok do przodu i szeroko otworzył ramiona.

- Co z nim? - zdziwił się prezydent.

- Zakochał się we mnie - odpowiedziała ze śmiechem przepiękna Tulia. - Gdy wykonywałam twoje zadanie na Aldebaranie i próbowałam wykraść Udałowa ze stacji przesiadkowej, byłam zmuszona udąć niejakie zainteresowanie tym barankiem. No i dał się złapać.

Dygnitarze, sam prezydent, żołnierze i nawet niechlujny grubas omal nie umarli ze śmiechu. Okazało się, że mikroby też mają poczucie humoru. Nawet pasikonik zachichotał, a muchomor grabarz uśmiechnął się ponuro, nie podnosząc opuszczonych kącików ust.

Udałow miał ochotę zapaść się pod ziemię. Opuścił bezwładne ręce..Czuł, że purpurowieje ze wstydu. Konwulsyjnie przełknął ślinę i gdy śmiech trochę ucichł, powiedział:

- Tulio, pani mama nie ma od pani żadnych wiadomości i bardzo się martwi.

- Mama! - wykrzyknęła dziewczyna, ale gnieźdzący się w niej mikroby od razu zawładnął jej głosem i powiedział: - Nie mam rodziców. Wszyscy jesteśmy krewnymi Jego Bezkresności.

I Udałow zrozumiał, że rozmowa z tą dziewczyną nie ma już sensu. Zrozumiał też coś jeszcze: jeśli mu się uda, jeśli nie zostanie powłoką dla mikroba, zrobi wszystko co w jego mocy, żeby uratować i zwrócić matce tę nieszczęśliwą dziewczynę. Oraz pozostałych mieszkańców planety Ke.

ROZDZIAŁ 14

W którym Udałow niechcący stacza pojedynek z Mikrobyem Naczelnym

- No cóż, chyba zaczniemy - powiedział skrzypiącym głosem Prezydent.

- Od kogo zaczniemy? - zapytał niechlujny grubas.

- Od postaci drugoplanowych - zdecydował staruszek. - Na przykład, od tego agenta

nieudacznika.

- Nie jestem nieudacznikiem! - zaczął krzyczeć pasikonik. - Dostarczyłem wam Udałowa! Zupełnie za darmo, wyłącznie z pobudek ideologicznych. Możecie mnie wypuścić.

- Zaraz dostaniesz nagrodę - odpowiedział Prezydent. - Najwyższą nagrodę. Zostaniesz podniesiony do godności nosiciela mojego ciotecznego brata, który wczoraj stracił poprzednie ciało. Zaczynajcie.

Niechlujny grubas wraz z jednym z żołnierzy przeszli w róg sali, gdzie za kolumnami leżało coś przykrytego dywanami. Podnieśli róg dywanu i odciągnęli go na siebie. Pod spodem było kilka martwych ciał.

- Który z nich jest pana kuzynem? - zapytał grubas.

- Wydaje mi się, że ten po prawej - powiedział Prezydent. Nagle, ku przerażeniu Udałowa, z ciała nieboszczyka drugiego od lewej dobiegł głos:

- Nie, jestem tutaj.

Grubas wyjął ze swojego kołnierza igielkę i nachylił się nad nieboszczykiem. Udałow odwrócił się, nie chciał na to patrzeć. Pasikonik stracił przytomność i z chrzęstem upadł na podłogę. Piękna Tulia śmiała się melodyjnie.

Niechlujny grubas wrócił do jeńców, ostrożnie niosąc przed sobą igielkę i osłaniając ją dłonią jak płomyk świecy. Udałow zmrużył oczy. Rozległ się rozpaczliwy krzyk Tori. Potem zapadła cisza. Korneliusz otworzył oczy i zobaczył, że pasikonik powoli wstaje z podłogi.

Tori otrzepał zakurzone złote spodnie, jego twarz wykrzywił nienaturalny uśmiech. Niemal nie poruszając wargami, powiedział:

- Dziękuję, kuzynie, teraz wszystko w porządku. Wynudziłem, się przez te trzy dni bez ruchu.

I podporządkowując się rozkazom swojego nowego pana, pasikonik zaczął tańczyć. Dygnitarze i żołnierze bili brawo.

- Tori! - zawołał Udałow. - Tori, słyszysz mnie?

- Słyszę - odpowiedział Tori, nie przestając tańczyć. - Jestem szczęśliwy. Mogę teraz spokojnie rozkoszować się nektarem i o niczym nie myśleć.

- Brawo! - zawołał Prezydent. - Następny.

Operacja z grabarzem zajęła tylko minutę, igła z mikroblem była już przygotowana. Grabarz próbował stawiać opór i Udałow nawet skoczył mu na pomoc, ale żołnierze szybko stłumili bunt. Po kilku sekundach grabarz również oznajmił, że jest szczęśliwy.

Pozostał już tylko Udałow. Jedyne nieszczęśliwy w tej ogromnej zadowolonej kompanii.

- Zajmę się nim osobiście - oznajmił Prezydent, schodząc z podium.

Żołnierze wbili Udałowowi automaty w plecy, żeby nie mógł się cofnąć, a Udałow postanowił, że zachowa godność nawet w tak krytycznej chwili. Zamarł i wysoko uniósł głowę.

Staruszek szedł z trudem, podtrzymywali go żołnierze. Udałow zdążył nawet pomyśleć, że nie można karmić wyłącznie płatkami kwiatów człowieka niemłodego już i w dodatku przywykłego do różnych specjałów.

Dwa metry przed Udałowem staruszek nagle się zatrzymał.

- Jesteście pewni, że to ten Udałow? - zapytał.

- Absolutnie pewni - odpowiedziała piękna Tulia i wyjęła z torebki złożoną we czworo kartkę papieru. - Oto co głosi przepowiednia Ostradamusa: „I przybędzie na zjazd delegat z Ziemi, Korneliusz Udałow. I wsławi się na zjeździe wielce. I groźba straszna zawiśnie nad potęgą

mikrobów. I będzie on...”.

- Dosyć - przerwał jej Prezydent. - Do tej pory Ostradamus nigdy nas nie oszukał. Mimo że jego przepowiednie są niejasne. Nazywasz się Korneliusz? Jesteś z Ziemi?

- Nazywam się Korneliusz Iwanowicz Udałow - powiedział jeniec. - Przyleciałem z Ziemi, z miasta Wielki Guslar i przysięgam, że uczynię wszystko, żeby uwolnić Galaktykę od pasożytów.

- To ten - powiedział Prezydent. - Nie ma wątpliwości. Na Ziemi nam uciekłeś, na Aldebaranie też, ale tutaj nie masz dokąd uciec.

Prezydent podszedł bardzo blisko do Udałowa, zwinął wargi w trąbkę i zatrzeszczał:

- Szybciej! Potrzebne mi nowe ciało. Moje stare umiera. Zaczął się chwiać, nogi się pod nim ugięły, ale dla Udałowa nie było już ratunku. Padający Prezydent zdążył objąć Korneliusza starczymi rękami, wczepić się w niego z wielką siłą, przysunąć sztywniejące wargi do jego ust. Udałow, nie zwracając uwagi na protesty dygnitarzy, odsunął głowę, ale coś małego i żwawego przebiegło mu po policzku i zanurkowało w nozdrzu. Pozbawione właściciela ciało Prezydenta osunęło się na podłogę. Umierający staruszek wyszeptał:

- Niszczcie pasożytów... pić!

- Wody! Dajcie mu wody! - krzyknął Udałow. - Człowiek źle się czuje!

Zaczął się nachylać nad nieruchomym Prezydentem, ale w tym momencie coś stało się z jego kręgosłupem, coś zatrzasnęło się w jego klatce piersiowej i zastygł w niewygodnej pozycji. Głos z jego wnętrza powiedział:

- Nie trzeba, Udałow, daj sobie spokój. Wszystko w porządku. Nie jesteś już sam. Jest w tobie wierny i nieodłączny przyjaciel. Zagrożenie dla istnienia mikrobów przestało istnieć. Od dziś będziemy razem walczyć o szczęście i pomyślność pasożytów.

- Nie! - krzyknął Udałow. Ale jego krzyk ucichł, nie dochodząc do ust. Zamiast krzyku ktoś głosem Udałowa powiedział:

- Wspaniałe ciało. Ruchliwe, krzepkie, w sam raz dla mnie.

Rozległy się radosne okrzyki dygnitarzy, do których przyłączyli się szczęśliwy pasikonik i grabarz. Najbardziej cieszyła się piękna Tulia, w której, jak się później dowiedział Udałow, mieszkała sama naczelną matka plemienia mikrobów.

- Poczekajcie - protestował w myśli Udałow. - Nie macie prawa! Złożę skargę!

Ale w odpowiedzi w jego wnętrzu, gdzieś w okolicach zatok nosowych rozległ się cichy, pełen zadowolenia śmiech, który przerodził się w przekonujący, miękki, a nawet dobrotliwy głos Mikroba Naczelnego:

- Od tej pory, Udałow, nasze życie stanie się pogodne i beztrudne, będziemy pić nektar i bez sprzeciwu wykonywać moje polecenia. Na wszystkich skrzyżowaniach będziemy krzyczeć, że jesteśmy szczęśliwi. Będziemy walczyć o posłuszeństwo, pilność i prostotę. I nic prócz mojego szczęścia nie będzie nam potrzebne... Pomyśl tylko, jakie wygodne jest takie bezwzględne podporządkowanie, ile rozterek i kłopotów ci to oszczędza. Pasożyt za ciebie myśli, pasożyt za ciebie decyduje, nie trzeba nawet myć zębów, przecież pasożytowi wszystko jedno, czy twoje zęby są czyste czy brudne... Razem pokonamy cały wszechświat, uszczęśliwimy Galaktykę, ofiarujemy spokój Ziemi... Co to jest? Kto tu idzie?

Nagle wewnętrzny głos Udałowa zamilkł i Korneliusz, ciągle jeszcze we władzy mikroba, mógł się rozejrzeć i zobaczyć, co się wokół niego dzieje.

Dygnitarze o czymś rozmawiali, grabarz zdejmował miarę z trupa Prezydenta, chociaż nie było to

potrzebne, bo żołnierze przygotowali już zardzewiałe haki, żeby przeciągnąć ciało na wysypisko śmieci. Piękna Tulia, nie podejrzewając, że Mikroba Naczelnego spotkały w ciele Udałowa jakieś nieprzyjemności, podeszła do niego i powiedziała:

- Sądzę, że moja powłoka wciąż jeszcze cię pociąga. Możesz z niej skorzystać. Gdy ty i Tulia będziecie się zajmować sobą, ja i Jego-Bezkrzesność omówimy problemy dalszej ekspansji.

Oczy Tulii były puste i Udałow pomyślał, że nie są takie piękne, jak mu się wydawało.

- A co z miłością? - zapytał.

- Po co ci miłość? - zdziwiła się Tulia. - Najważniejsza jest prostota.

- Przestańcie! - usta Udałowa poruszały się wbrew jego woli. Widocznie w jego organizmie działo się coś niedobrego. - Natychmiast mnie stąd wypuście!

- Co się stało? - przestraszyła się Tulia. - Co z tobą?

- Napadnięto na mnie! Tu są całe legiony bandytów! Na pomoc! Ratunku!

Tulia uderzyła Udałowa piąstką w głowę.

- Przestań! Zostaw mojego syna w spokoju! Jak śmiałeś podnieść na niego rękę, łajdaku!

- Nie mam z tym nic wspólnego! - krzyknął Udałow. Słowa zabrzmiały głucho i nieprzekonująco; z ust Udałowa wyrwały się rozpaczliwe jęki cierpiącego pasożyta. Ból Mikroba Naczelnego poczuł również Udałow. Zaczął się więc i miotać, rozbolały go jednocześnie wszystkie zęby, łupało mu w czaszce i łomotało w uszach. Wbrew sobie zaczął się niezgrabnie wyginać, machać rękami, wypinać brzuch i przytupywać. Przez głowę przemknęła mu myśl, że jest teraz pewnie podobny do szamana, ale ta myśl od razu zniknęła i zaczął tracić świadomość. Jak przez mgłę widział wyciągające się do niego gniewne ręce dygnitarzy i dawnych kolegów - pasikonika i grabarza, wszyscy dookoła wrzeszczeli, grozili, że go zabiją, a nawet próbowali to zrobić, ale przeszkadzali sobie nawzajem i to go uratowało. Tymczasem z gardła Udałowa przez cały czas wyrwały się straszne przekleństwa.

- Umieram! - wył Mikrob Naczelnny. - Zostałem otoczony! Tu są jacyś drapieżnicy! Jedzą mnie żywcem! Ratunku! Nie mogę się wyrwać... Zdrada... zdrada... aaa...!

Ostatni krzyk naczelnego pasożyta ucichł, przerodził się w niezrozumiałe szlochy. Przerażeni dygnitarze odsunęli się od Udałowa, a on, pobity i wymęczony stoczoną w nim walką, stracił przytomność.

ROZDZIAŁ 15

W którym Udałow trafia do podziemi i spotyka się z przepowiadaczem Ostradamusem

Gdy Udałow doszedł do siebie, okazało się, że leży na chłodnej, brudnej podłodze sali tronowej. W sali słychać było szum głosów, ale już nikt Udałowa nie bił.

Usiadł z trudem. Głowa mu pękała, obolałe ciało nie chciało go słuchać. Gdy zdołał zogniskować wzrok, zobaczył, że dygnitarze skupili się wokół złotego fotela, na którym siedziała Tulia, i omawiali zaistniałą sytuację. Na Udałowa nikt nie zwracał uwagi.

Pasikonik krzątał się wokół tronu, a grabarz stał nieopodal razem z żołnierzami i spoglądał na Udałowa ze współczuciem.

W tym momencie dygnitarze odsunęli się od tronu! Tulia spojrzała na Udałowa gniewnie i bez cienia cieplejszych uczuć..

- Doszliśmy do wniosku, Udałow, że pomimo dezynfekcji w twoim organizmie zachowały się groźne dla nas bakterie i wirusy... Oczywiście, moglibyśmy to jeszcze sprawdzić i umieścić w tobie

jeszcze jednego z naszych braci, ale to zbyt duże ryzyko. Dlatego zdecydowaliśmy, że najlepiej będzie, jak cię zniszczymy. Zgodzisz się chyba, że to rozsądna decyzja?

- Nie - sprzeciwił się Udałow. - Uważam, że to dzika decyzja.

- Ale przecież zabiłeś najlepszego z nas!

- Nikogo nie zabijałem. I nikt go nie prosił, żeby we mnie mieszkał.

- Udałow, my mamy podbić całą Galaktykę. Nie próbuj stanąć na drodze historycznemu procesowi. Zostałeś skazany na śmierć, jednakże wykonanie wyroku na razie odraczamy. Doszliśmy do wniosku, że skoro ty stanowisz zagrożenie, to sama Ziemia jest jeszcze bardziej niebezpieczna. Zamiast jednego wroga mamy teraz sześć miliardów wrogów. To nas zasmuca. Należało poważniej potraktować przepowiednie Ostradamusa i zniszczyć cię na Aldebaranie.

- Spóźniliście się - rzekł Udałow. - Przegraliście. Weźcie pod uwagę, że jestem tylko bardzo przeciętnym Ziemiąninem, a na naszej planecie są bardzo mądry ludzie.

- Wzięliśmy to pod uwagę - powiedziała piękna Tulia. - I dlatego zanim cię zabijemy, zostaniesz poddany torturom, które skłonią cię do dobrowolnego udzielenia informacji pozwalających nam zlikwidować całą Ziemię. Zabrać go!

Żołnierze pokazali Udałowowi na migi, żeby ruszył w stronę drzwi. Udałow nie stawiał oporu. Był tak wykończony, że marzył tylko o tym, by się przespać. A potem się zobaczy.

Spokojnie poszedł do wyjścia.

Na dworze ciągle świeciło słońce, po niebie płynęły chmury, sąsiednią ulicą szła kolejna demonstracja domagająca się większego spożycia nektaru. Nikogo nie obchodził człowiek, który znalazł się w tarapatach i mógł spłonąć na stosie jak Joanna d'Arc, Giordano Bruno i Taras Bulba.

Udałow przeszedł przez plac i zatrzymał się przed wejściem do więzienia. Uprzedzony o jego przybyciu strażnik otworzył drzwi. Sam odsunął się przestraszony. To było zrozumiałe, na planecie Ke trzymanie przestępców w więzieniu nie miało sensu, przecież można ich było wykorzystać i poddać reedukacji w bardziej pewny sposób.

Skrzypiały zardzewiałe drzwi, na schodach podnosiły się tumany kurzu. Udałow miał wrażenie, że ta droga nigdy się nie skończy.

Wreszcie dotarł do najniższego poziomu lochów. Metalowe drzwi z wizjerem otworzyły się i Udałow wszedł do zimnej kamiennej celi, oświetlonej wiszącą pod sufitem gołą żarówką. Stał tu taboret, na podłodze wałała się sterta zgniętej słomy, a w kącie widać było czarną dziurę - najbardziej prymitywną toaletę.

- No cóż - powiedział do siebie Udałow. - Jeszcze nie wszystko stracone.

Judasz w drzwiach odsłonił się i kobiecy głos powiedział:

- Wszystko.

Udałow poznał głos pięknej Tulii i zawołał:

- Żądam sprawiedliwego sądu!

- Sąd się już odbył - oświadczyła Tulia. - Zostałeś skazany na spalenie na stosie za zabójstwo Prezydenta tej planety.

- Chwileczkę! - oburzył się Udałow. - Przecież sądu nie było i ja się do niczego nie przyznałem! A Prezydenta nie ruszyłem nawet palcem. Sąźniście go zamorzyli tymi kwiatkami.

- To nie ma znaczenia! - odkrzyknęła Tulia zza drzwi. - Po wykonaniu wyroku jego kopia zostanie wysłana na ZIZ i na Ziemię, żeby wszyscy mogli poddać zabójcę moralnemu osądowi.

Kroki Tulii oddaliły się i zapadła cisza, którą zakłócało jedynie kapanie kropel wody

spadających z sufitu kamiennej celi. Udałow wyjął z kieszeni pudełeczko ze skorpionem. Skorpion popatrzył na Udałowa z wyrzutem - pewnie jeszcze nigdy nie był w takiej sytuacji. Potem lekko zamachał odwołkiem i zaczął ogrzewać zatęchłe, wilgotne powietrze. Zapachniało floksami.

Udałow poczuł się nieco lepiej. Trochę rozgrzany, zwinął się w kłębek na słomie i przysnął. We śnie zobaczył Guslar, Ksenię robiącą naleśniki, syna Maksymka biegnącego po zielonej łące przed cerkwią Paraskewy Piatnicy z siatką do łowienia motyli w rękę, a także szkolnego przyjaciela Kołę Białosielskiego, który powtarzał z przekonaniem: „Nie poddawaj się, Korneliuszu! Nie opuścimy cię w nieszczęściu! Nie uwierzimy w oszczerstwo rozpowszechniane przez siły reakcji! Cała Ziemia z zapartym tchem obserwuje twoją nierówną walkę o sprawiedliwość i wyzwolenie pracowitych mieszkańców planety Ke spod władzy ciemnych. Jesteśmy z tobą, Korneliuszu!”. Rozległ się warkot werbli i Korneliusz się obudził.

Okazało się, że to ktoś po cichu stuka w ścianę. Nierównomiernie, z przerwami. Brzmiało to jak alfabet Morse'a, którego Udałow niestety nie znał.

Wyciągnął rękę do ściany, przegonił stonogę i zastukał w odpowiedzi.

- Nie poddawaj się! - zawołał nieznamy głos.

Udałow spojrział w górę i zobaczył, że w dziurze pod sufitem pojawiła się ludzka głowa. Głowa mrugnęła do Udałowa i powtórzyła:

- Najważniejsze to się nie poddawać.

- To pan stukał? - zapytał Udałow.

- Ja. - Człowiek kichnął ogłuszająco i powiedział: - Proszę mi wybaczyć, mam katar.

- Co pan tu robi?

- Nic nie robię, siedzę w celi i czekam na śmierć.

, - Ja też - powiedział Udałow. - Zdziwiający zbieg okoliczności. Pan też kogoś zabił?

- Nie. Jestem samobójcą. Pozwoli pan, że do pana zejdę? Będzie się wygodniej rozmawiało.

- Oczywiście - zgodził się Udałow. - Będzie mi bardzo miło.

- W takim razie niech pan podejdzie bliżej i podstawi mi plecy. Nie chce pan chyba, żebym złamał nogę?

- W żadnym wypadku - odparł Udałow i podszedł do ściany.

Człowiek przecisnął się przez dziurę, zeskoczył ciężko na plecy Udałowa i zjechał po nich na podłogę. Okazało się, że to krępy karzełek, z ogromną smolistą strzechą włosów.

- Dziękuję - powiedział, otulając się w brokatowy szlafrok i siadając na jedynym taborecie. - Bardzo mi miło pana poznać, Korneliuszu Iwanowiczu, zwłaszcza że w pewnym stopniu to ja jestem winien nieszczęścia, które pana spotkało.

- A ja się cały czas zastanawiałem, czyja to wina - powiedział Udałow. - Dlaczego pan to robi?

- Wyłącznie z próżności i miłości do luksusu. Nie ma pan może papierosa?

- Nie palę.

- Wiem. Ja tylko tak, żeby zmienić nieprzyjemny dla mnie temat rozmowy. Nie znoszę, gdy ludzie mają przeze mnie nieprzyjemności. Przez całe życie z tym walczyłem. I nie wyobraża pan sobie, ile nieprzyjemności spotkało ludzi z mojego powodu. Zresztą siebie też nie udało mi się oszczędzić.

- A kim pan jest z zawodu?

- Przepowiadaczem.

- To coś w rodzaju iluzjonisty?

- Gorzej - westchnął karzełek.

Zapadła cisza. Po chwili Udałow powiedział:

- Wszyscy mnie tu znają, a sami jakoś zapominają się przedstawić.

- Mój pseudonim - Ostradamus. Mojego nazwiska nikt nie zna.

- Bardzo mi miło. A skąd pan mnie zna?

- To proste. Jest pan, Korneliuszu, osobą powszechnie znaną z którą związane są określone nadzieje.

- Gdybym był taki nadzwyczajny, nie zaproszono by mnie na ZIZ. Właśnie przeciętność jest moją siłą.

- Zgadza się. Ale pan jest najbardziej przeciętny wśród przeciętnych. I to decyduje o pańskiej wyjątkowości. Nie ma pan papierosa?

- Nie palę.

- Wiem. Przepraszam. Strasznie chce mi się palić. Trzeci tydzień mnie tu trzymają tylko na kwiatowym nektarze. Już bym wolał, żeby mnie wreszcie zabili.

Karzełek zaczął kichać. Przez dwie minuty nie mógł się uspokoić.

- Niech pan poczeka. - Udałowowi nasunęło się straszne podejrzenie. - A co z panem?

- To znaczy?

- Jak mogą pana zabić, skoro siedzi w panu szanowny pasożyt?

- Nie ma we mnie pasożyta - odpowiedział karzeł.

- Coś mi się wydaje, że to prowokacja - rzekł Udałow. - Tutaj we wszystkich są pasożyty. Nawet we mnie był, ale go uśmierciłem.

- Wiem. Cała planeta już wie. Chociaż nie było w tym pańskiej zasługi, Korneliuszu. Efekt zacofania Ziemi. W całym wszechświecie wirusy i inne mikroorganizmy zostały pokonane, a na Ziemi ciągle jeszcze istnieją.

- I niech pan pomyśli - powiedział Udałow - kto w rezultacie lepiej na tym wyszedł? Ja mam taki immunitet, że nawet Mikroba Naczelnego pokonałem. A wy wszyscy jesteście zdani na łaskę pasożytów.

- Ja nie - odrzekł Ostradamus. - Wybrałem śmierć.

- Coś mi się nie chce wierzyć. Pasożyty by do tego nie dopuściły.

- Jak pan widzi, dopuściły.

- Mogę zadać jedno sprawdzające pytanie? - zapytał Udałow.

- Proszę pytać.

- Lubi pan płatki kwiatów?

- Gorszego świństwa nie ma w całej Galaktyce.

- No tak, zdaje się, że jednak nie ma w panu mikroba. Ale dlaczego?

- To długa historia. A czasu mamy mało. - - Niech pan opowie w skrócie.

- Postaram się. Chodzi o to, że w młodości bardzo lubiłem podróżować. I pewnego razu, za czarną dziurą, w podwójnej mgławicy, przed białym kolapsem, wpadłem w wir czasu, w którym spleciona jest przeszłość i przyszłość.

- No i co?

- Przez pół roku nie mogłem się z niego wydostać. Czego ja tam nie widziałem! Niektóre rzeczy zapamiętałem, zapisałem w notatniku. A dalej to już poszło., Pan, człowiek doświadczony i przenikliwy, może się domyśli, jak ogromna była pokusa, by stać się sławnym, gdy wróciłem i zobaczyłem pewnego działacza politycznego, o którym wiedziałem, że za pięć lat zostanie premierem swojego kraju...

- I rzeczywiście zna pan całą przyszłość? - zapytał Udałow.

- Gdzie tam! Nic podobnego. Przypadkowe fragmenty. A czasem nie wiadomo nawet, co było, a co dopiero będzie. Nie mówiąc już o tym, gdzie się coś ma wydarzyć.

- To jak z taką fragmentaryczną wiedzą udało się panu zostać przepowiadaczem?

- A co, może jestem gorszy od innych przepowiadaczy?

- A może lepszy? Ludzi pan okłamuje.

- Daj pan spokój, Udałow. Przecież inni przepowiadacze w ogóle nic nie wiedzą, a ja mam przynajmniej te fragmentaryczne wiadomości. No i udało się.

- Jakim cudem?

- Zgadłem o tym premierze. Coś mi się tam jeszcze przypomniało. Też zgadłem. Moja sława rosła. Miałem coraz większe doświadczenie. Ludziom trzeba dawać to, czego potrzebują. Jeśli zgadywałem dobrze, to mi wierzyli i pamiętali o tym, a jeśli się myliłem, to wyszukiwali mi

usprawiedliwienia i zapominali. Powoli stałem się chlubą swojej planety.

- Wątpliwa sława - powiedział Udałow.

- Nie przeczę. I muszę powiedzieć, że moja sława wzrosła szczególnie wtedy, gdy zająłem się przepowiedniami na skalę kosmiczną. W moim notatniku figurowało mnóstwo nazwisk i nazw. Niektóre rozszyfrowałem, niektórych nie i zacząłem je umieszczać w swoich przepowiedniach. Czasami mi się udawało. Wyobraża pan sobie, Udałow, pewnego dnia otrzymuję notę od jakiejś tam ambasady innej planety: jakie ma pan prawo przepowiadać śmierć naszego ukochanego dyktatora? Milczę, a dyktator wkrótce ginie w wypadku samochodowym. A kto

o tym uprzedzał? Ja. Ale przeceniłem swoje siły. Zmęczyłem się, rozleniwiłem, zamarzyło mi się swobodne i beztrudne życie.

I postanowiłem skończyć z przyszłością za jednym zamachem. Stworzyłem przepowiednię na dwadzieścia lat naprzód. Przepowiedziałem wojny, śmierć, wystawy artystyczne, zorze polarne - no i w ogóle, nieźle sobie pofolgowałem. A na końcu pozwoliłem sobie zażartować: przepowiedziałem własną śmierć. Cha, cha!

Ale Udałow nie roześmiał się. Zapytał poważnie:

- A miał pan ku temu przesłanki?

- Absolutnie żadnych - odpowiedział karzełek. - Ale proszę mnie zrozumieć, traktowałem swoją pracę dość lekko, a poza tym wydawało mi się, że dwadzieścia lat to kawał czasu.

- Nie, to wcale nie tak dużo. Pamiętam, zakochałem się w jednej dziewczynie...

- Czemu pan przerwał? Nikomu nie powiem. Udałow pokręcił głową. Zasepił się.

- Zapomniałem. Niby się zakochałem, ale w kim, dlaczego i jak się to skończyło... nie pamiętam.

- Zdarza się - rzekł przepowiadacz. - Ze mną było gorzej. I to właśnie z powodu mojej wielkiej sławy i niezachwianej reputacji. Uwierzono mi, wydrukowano moją powszechną przepowiednię w milionach egzemplarzy, rozwieszono we wszystkich miejscach publicznych i w mieszkaniach prywatnych, obsypano mnie złotem i zapewniono wszelkie wygody. Strasznie przytyłem. Nie ma pan papierosa?

- Nie palę.

- Dlaczego mi się ciągle wydaje, że pan pali? Dziwne. Na mojej planecie zaczęło się absurdalne życie. Załóżmy, że na czerwiec zapowiedziałem wojnę z sąsiadami. Nasz rząd posłusznie zbiera armię i rozpoczyna wojnę. Nikomu nawet do głowy nie przyjdzie, że mogłem się pomylić. Kończy się wojna, a tu według moich przepowiedni - ulewne deszcze i powódź. I chociaż nie spada ani jedna kropla, otwarto tamy - miasta i pola zostają zalane. Przepowiedziałem na ten przykład śmierć przewodniczącego własności ziemskich. I jak pan myśli, co się stało? Przewodniczący z rozpacz spędza całą noc w knajpach, żre jak świnia i umiera na niestrawność. Gdybym nie przepowiedział, żyłby do dziś. Rozumie pan, do czego zmierzam?

- Smutna historia - powiedział Udałow. - O ludzkiej łatwowierności i pańskiej nieodpowiedzialności.

- Sam to rozumiałem, głupi nie jestem. Ale niech pan spróbuje zrozumieć mnie! Nawet gdybym wyszedł na plac i zaczął krzyczeć: „Ludzie, okłamuję was, nie wiercie mi!” - to myśli pan, że coś by się stało?

Udałow zastanowił się i odpowiedział szczerze:

- Pewnie nic. Ale może by uwierzyli. Pana przepowiednie dotyczyły całej Galaktyki?

- W stosunku do innych planet byłem ostrożniejszy. Bałem się konfliktów. Nie powstrzymało mnie to jednak przed umieszczeniem w swoim obwieszczeniu kilku niejasnych informacji. Na przykład o panu.

- Co o mnie? - zapytał Udałow.

- Mikroby panu nie czytały?

- Czytały. Że jestem dla nich zagrożeniem i takie tam.

- Napisałem dokładnie coś takiego: „I przybędzie na zjazd ZIZ delegat z Ziemi, Korneliusz Udałow. I wsławi się na zjeździe wielce. I groźba straszna zawisnie nad potęgą mikrobów. I będzie on...”

- Ico dalej?

- Dalej to i ja nie wiem. Rozumie pan, Korneliuszu, w wirze czasu zobaczyłem pana w jakiejś wielkiej sali. A tam wszyscy krzyczeli: „Niech żyje delegat Ziemi Korneliusz Udałow! Wybierzmy jego! Jest godzien! Stanowi zagrożenie dla mikrobów...” i tak dalej, w tym stylu. Absolutna abrakadabra z punktu widzenia mojej ówczesnej sytuacji. - A może jeszcze coś pan widział? - zapytał z niedowierzaniem Udałow.

- Może i widziałem. - Karzeł uśmiechnął się, pokazując drobne żółte zęby. - Ale powiedzmy, że zapomniałem.

Udałow nie nalegał. Jeszcze by się okazało, że karzeł widział jego śmierć...: Dopiero byłby problem... Nie, już lepiej nie znać swojej przyszłości.

- Przez dziewiętnaście lat i kilka miesięcy żyłem sobie beztrosko. I nagle zauważyłem, że ludzie zaczęli na mnie jakoś tak dziwnie patrzeć. Przyjaciele się odsunęli, dziewczęta już mnie nie kochały, a rodzina codziennie coraz mocniej nalegała, żebym sporządził testament. Obudziłem się któregoś dnia i doznałem olśnienia! Przecież zbliża się moja śmierć! I wszyscy nie mogą się jej doczekać! Przez te dwadzieścia lat znudziłem im się doszczętnie... przez cały czas musieli zaglądać do mojego spisu: czy ma się zacząć, wojna, czy może trzeba pójść na czyjś pogrzeb... Oho, pomyślałem, jeśli nie umrę w wyznaczony dzień, to mnie uduszą! Nie pozwolą mi żyć nawet minuty dłużej. Ani przyjaciele, ani rodzina, ani społeczeństwo. Spojrzałem na kalendarz, a tu został mi już tylko miesiąc życia. Nie ma pan może... A, prawda, pan nie pali.

Karzeł umilkł, zamyślił się. Udałow nie śmiał go poganiać, jednocześnie nerwowo nasłuchując, czy nie słyhać zbliżających się kroków. W każdej chwili mogli wejść oprawcy.

- Tego samego dnia wyszedłem z domu, niby po papierosy, w najbliższym sklepie z akcesoriami teatralnymi kupiłem ciemne okulary i rudą perukę - i na kosmodrom. Wsiadłem na pierwszy lepszy statek. Niestety, jak tylko wyszliśmy na orbitę, dogonił nas statek wojskowy i wzięto mnie do niewoli. Okazało się, że to była ekspedycja mikrobów z planety Ke mająca na celu handel niewolnikami. Wszystkich pasażerów spędzono do jednego pomieszczenia i zaczęto im wszczepiać mikroby. Gdy przyszła kolej na mnie, zacząłem stawiać opór, a w czasie szamotaniny spadła mi peruka i ciemne okulary. Rozpoznano mnie. Widzieli w gazecie moją fotografię. Nie wiedziałem wtedy, że jak tylko mikroby przeczytały moją niejasną przepowiednię o Udałowie, złękły się i zapragnęły ze mną spotkać. A tu ja sam wpadam im w łapy! „Czemu lecisz incognito?” - pytają mnie. Odpowiedziałem szczerze: „Zajrzyjcie do mojej kompleksowej przepowiedni. Za trzy tygodnie mam umrzeć”. Wtedy oni przywieźli mnie tutaj i zamknęli w piwnicy. Zagrozili, że jeśli nie powiem im wszystkiego o zagrożeniu ze strony Udałowa, to przyspieszą moją śmierć. Oczywiście, nie miałem się czego bać. Nie ośmieliliby się tego zrobić. Ale za to przynajmniej nie próbują we mnie zamieszkać. Kto chciałby się wprowadzać do nowego mieszkania na trzy tygodnie?

Karzeł skończył swoją opowieść. Udałow podszedł do drzwi. Na korytarzu było cicho.

- To znaczy, że mikroby bały się mnie od samego początku? -> Mnie wszyscy wierzą - powiedział nie bez dumy karzeł.

- Nie wszyscy. W Wielkim Guslarze nie widziałem nikogo, kto by panu wierzył.

- Ziemia to peryferia Galaktyki - rzekł Ostradamus, który nie grzeszył delikatnością.
- W takim razie dlaczego nie zatrzymali mnie na Ziemi?
- Nie zdążyli. Słyszałem, że zadzwonili do jakiegoś Białosiel-skiego, żeby cię nie puszczał na zjazd.

- Chodziliśmy do jednej klasy - powiedział Udałow. - To porządny człowiek, można na nim polegać. Gdyby tu był, na pewno by coś wymyślił, żeby nas stąd wyciągnąć. Już w szkole był prymusem.

Gdzieś daleko dały się słyszeć kroki katów.

- No i tak - westchnął Udałow. - Zdaje się, że trzeba będzie umrzeć.

- Nie, nie możemy umrzeć - oświadczył stanowczo karzeł. - Nie mogę do tego dopuścić. Duma zawodowa mi na to nie pozwala.

- Co tu ma do rzeczy duma zawodowa, skoro i tak za parę dni ma pan umrzeć?

- Nie chodzi o mnie. Przepowiedziałem, że pan wsławi się na zjeździe? Przepowiedziałem, że będzie pan zagrożeniem dla mikrobów? Jeśli pana zabiją, moja przepowiednia się nie spełni. To hańba, która będzie mnie prześladować nawet po śmierci. Chodźmy.

Uratujemy pana.

- Jak? - zapytał Udałow wsłuchany w kroki katów.

- Włóż pan do dziury, przez którą tu przeszedłem. Ja pana podsadzę, a potem pan poda mi rękę. Tak zrobili. I to w samą porę. Gdy nogi karła znikały w dziurze, drzwi do celi Udałowa otworzyły się i weszli kaci w kombinezonach nurków.

ROZDZIAŁ 16

W którym mowa jest o tym, co się stało po zniknięciu Udałowa

Przezołgując się do sąsiedniej celi podziemnego więzienia na planecie Ke, Udałow nie podejrzewał nawet, że jego zniknięcie spowodowało reakcję łańcuchową znaczących wydarzeń w różnych miejscach Galaktyki.

Na wieczornym posiedzeniu ZIZ zauważono jego nieobecność. Był już przecież dość znany na zjeździe.

Sprawdzono w hotelu. W hotelu Udałowa nie było. Zaczęto wszystkich przesłuchiwać i ponieważ robiono to w sposób metodyczny, na skalę całej planety, to przesłuchano także sprzątaczkę z Atlantydy. Sprzątaczką powiedziała, że Udałow usycha z miłości do jej zaginionej córki i możliwe, że rozpoczął poszukiwania. Zajrzano do kin, zobaczono tam film z młodzieńczych wspomnień Korneliusza Iwanowicza i zaczęto szukać pasikonika. Pasikonik też zaginął. Poszukiwania przeciągnęły się do wieczora. Wtedy na planecie Sapur znaleziono porzucony statek, którym przylecieli tam Udałow z pasikonikiem. Na statku zachowały się mikroślady zaginionych i ślady nie rozpoznanej trzeciej osoby, która w materiale śledztwa występowała jako X, mimo że tak naprawdę był to grabarz.

Zagadka zniknięcia Udałowa zaniepokoiła wszystkich delegatów na zjazd. Grupy specjalne przeczesywały planetę Sapur, inna grupa poleciała na Aldebarana, żeby odszukać tam piękną Tulię. Śledczy i ochotnicy spośród delegatów szukali Udałowa na planecie, na której odbywał się zjazd. Komitet Organizacyjny podał się do dymisji. Dymisji nie przyjęto. Naruszona została jedna z naczelných zasad zjazdu - bezpieczeństwo jego uczestników.

W nocy kierownictwo zjazdu chwyciło się ostatecznego środka - nawiązało kontakt z Ziemią. Mikołaja Białosielskiego obudził dzwonek telefonu.

- Nie - powiedział twardo Białosielski po wysłuchaniu doniesienia z kosmosu. - Udałow do domu nie wrócił, nie mógł wrócić w tak krótkim czasie. Przelot z centrum Galaktyki na Ziemię trwa przynajmniej dwie doby. Wiecie o tym lepiej ode mnie.

- Tak, ale postanowiliśmy sprawdzić wszystkie ewentualności.

- Słusznie - zgodził się Białosielski. - Niemniej cuda się nie zdarzają. Musicie szukać Udałowa w swoim rejonie. Życzę powodzenia.

Kierownictwo ZIZ zapewniło Mikołaja Białosielskiego, że zostaną przedsięwzięte wszelkie środki, i odłożyło słuchawkę.

- Co za nonsens - powiedział sam do siebie Białosielski, siadając na tapczanie i zapalając papierosa. - I wszystko przez tych przyjaciół z dzieciństwa. Jak ja bym chciał pracować w Pietropawłowsku na Kamczatce...

Przemyślenia przemyśleniami, ale Białosielski był przecież człowiekiem czynu. I chociaż nie było praktycznie żadnych szans na odnalezienie Udałowa w Guslarze, dopalił papierosa, ubrał się i poszedł na ulicę Puszkina do domu numer szesnaście, gdzie mieszkał Udałow.

Miasto spało w słodkich objęciach letniej nocy. Mrugające przez ciemne listowie gwiazdy wyglądały jak dekoracja. Na podwórku jednopiętrowego domu Białosielski zatrzymał się i popatrzył na znajome z lat dziecińczych okno. Nagle zaświtała w nim dziwna nadzieja, że to wszystko, czego był świadkiem w ciągu ostatnich dni, to tylko zły sen. - A Udałow teraz śpi sobie spokojnie albo czyta, nie mając pojęcia o żadnych ZIZ. Niestety, Białosielski był zmuszony odpędzić tę efemeryczną nadzieję. Wiedział, że cudów nie ma. Wiedział, że rzeczywistość jest surowa: Udałow poleciał na zjazd do innego sektora Galaktyki i tam przepadł bez wieści.

Białosielski westchnął, popatrzył na zegarek i starając się nie skrzypieć stopniami, wszedł na pierwsze piętro, pod drzwi mieszkania szkolnego przyjaciela.

Ksenia otworzyła prawie od razu. Nie spała. Na jej okrągłej, w jakiś sposób podobnej do męzowskiej twarzy malował się lęk.

- Kola! - wykrzyknęła głośnym szeptem. - To ty!

Kolę Białosielskiego знаła ze szkoły i z obozu pionierskiego. Wtedy była szczupłątką, wesołą dziewczyną z mysimi ogonkami, a Kola był wysokim, chudym chłopcem, który każdą wolną chwilę spędzał z książką w ręku, a przy tym nieźle grał w piłkę ręczną, wspaniale jeździł na nartach i bił rekordy w biegu na sto metrów.

- Wejdz - powiedziała Ksenia. - Dzieci śpią. Co się stało z Korneliuszem?

Powiedziała to z taką pewnością, że Białosielski już wiedział - przychodząc tutaj zrobił błąd. Nie będzie mógł okłamać przyjaciółki z dzieciństwa.

- Udałow zaginął - rzekł.

- Wiedziałam - wyszeptała Ksenia. - Nie trzeba go było puszczać. Pierwsza weszła do pokoju i opadła na kanapę. Sił starczyło jej tylko na to, żeby wyciągnąć rękę w stronę bufetu i pokazać Białosielskiemu, gdzie stoją krople walerianowe.

Białosielski nalał lekarstwo, usiadł i poczekał, aż Ksenia dojdzie do siebie. Wszystko w tym pokoju budziło w nim wspomnienia. Ileż kawałów się tu wymyślało, ile ściąg napisało, ile tomów encyklopedii przeczytało!

- Przepraszam, Kola - powiedziała Ksenia. - Ale zrozum...

- Ja wszystko rozumiem, Kseniu.

- Zostawia mnie samą z dwojgiem dzieci i leci nie wiadomo dokąd. Przyjaźń kosmiczna! A teraz jeszcze i babę sobie znalazł! - zawołała nieoczekiwanie i zaczęła płakać. - Boże, jak ja cierpię!

- Poczekaj, jaką babę? - zaprotestował Białosielski. - Twój mąż pojechał na zjazd jako delegat,

od tamtej pory minęło cztery dni, a zaginął dopiero dzisiaj rano...

- Myślisz, że miał za mało czasu? Wystarczyło! Nie pocieszaj mnie. Nie pocieszaj. Jeśli to nie baba, to znaczy, że nie żyje.

- Wpadasz ze skrajności w skrajność - powiedział Białosielski. - Myślałem, że może się stęsknił za domem, że już wrócił. Inaczej nigdy bym cię nie niepokoił.

Ale Ksenia nie słuchała. Wstała zdecydowanie, wyjęła z szafy wyjściową sukienkę, rzuciła ją na kanapę i powiedziała:

- Odwróć się.

- Co chcesz zrobić? - zapytał Białosielski.

- Lecę tam. Beze mnie nie dadzą sobie rady. Jeśli ja go nie znajdę, to już nikt go nie znajdzie.

Tamta na pewno go omota.

- Jak to, nocą, bez uprzednich ustaleń...

- No to teraz z nimi ustal. Jesteś humanistą czy nie?

- Jestem - zgodził się niechętnie Białosielski.

- To zadzwoń do nich, żeby przysłali transport. Natychmiast. Nie umieli ochronić mojego męża, to teraz będą musieli współpracować ze mną.

- Ksiusza... - próbował przemówić jej do rozsądku Białosielski, ale Ksiusza odwróciła się do przyjaciela z dzieciństwa okrągłymi plecami i poleciła:

- Zapnij mi suwak. Nie powinnam jeść tylu mącznych rzeczy. Białosielski zapiął suwak i poszedł zadzwonić. Wiedział, że z rozjuszoną Ksenią Udałową nie da sobie rady.

ROZDZIAŁ 17 w którym przepowiadacz prowadzi Udałową przez inne światy - Nie na próżno spędziłem dwa tygodnie w podziemiach i wytrzymałem tortury tych łajdaków - powiedział karzeł, gdy byli już w jego celi. - W celi znalazłem łopatę, którą zapomnieli wynieść robotnicy. Wykopałem przejście podziemne i zupełnie przypadkowo trafiłem prosto do piwnicy laboratorium wybitnego profesora.

- A gdzie jest ten profesor? - zapytał Udałow, przysłuchując się nerwowym szeptom oprawców za ścianą. Na pewno za chwilę zobaczą dziurę pod sufitem.

- Profesor nie przeżył obecności mikroba w swoim ciele, umarł ze wstydu i upokorzenia. Na szczęście jego laboratorium było zamknięte na klucz i mikroby nie domyśliły się, żeby je jakoś wykorzystać. Pójdę pierwszy, jestem chudszy od pana, jak się pan zaklinuje, wyciągnę. Ale musi się pan rozebrać.

- A jeśli tam będzie zimno?

- W ubraniu ugrzeźnie pan na pewno. Sam kopałem, to wiem. Udałow się wahał. Nie bardzo chciał zostać w obcym świecie bez ubrania. Ale w głosie karła dźwięczała taka pewność, że posłuchał. Zdjął marynarkę, koszulę, zaczął zdejmować buty i zamarł, słysząc nad głową czyjś triumfalny okrzyk:

- Tu jest! Brać go!

Udałow spojrzał w górę. W dziurze sterczały dwie głowy w hełmach nurków. Okazało się, że to eksgrabarz i piękna Tulia. Karzeł już skoczył do podkopu i zawołał:

- Szybciej!

Udałow przydeptał sobie nogawkę i o mało co nie upadł. Uratowało go tylko to, że prześladowcy, chcąc jak najszybciej przedostać się przez dziurę, przeszkadzali sobie wzajemnie i zaklinowali się.

Dał nura w czarną gardziel podkopu. Z przodu słychać było szybki oddech staruszka. Korneliusz z trudem przeciskał się między ścianami podkopu. Dobrze, że usłuchał Ostradamusa i wszedł tu bez

ubrania. W marynarce utkwiłby już dawno. Zresztą bez marynarki też nie szło mu najlepiej i karzeł trzy razy musiał wyciągać go za uszy.

Kilka minut później Udałow, upačkany ziemią, podrapany, z płonącymi uszami, stał w piwnicy laboratorium zmarłego profesora. Wszędzie dookoła porozstawiane były jakieś przyrządy i aparaty, świeciły się lampy - na szczęście wszystko było w takim samym stanie jak w dniu, gdy profesor dostał się do niewoli.

- I co teraz? - zapytał Udałow.

- Profesor zajmował się zagadnieniem przemieszczeń błyskawicznych - powiedział karzeł. - Nie rozpracował go jednak do końca. Za pomocą tej maszyny można przenieść się do jednego z milionów światów. Nie wiem tylko, do jakiego trafimy.

- A może zostaniemy tutaj? Przedrzemy się do kosmodromu, wsiądziemy na statek...

- Akurat! - zdenerwował się karzeł. - Wszyscy na tej planecie są czujni, w każdym siedzi mikrob. Nie zdążylibyśmy zrobić nawet dwóch kroków, jakby nas złapali. Jedyna szansa to znaleźć na innej planecie jakiś sposób na dotarcie do normalnych ludzi. Potrzebna jest nam planeta, na którą latają statki kosmiczne. Może nie od razu, ale na pewno ją odnajdziemy.

Z podkopu dobiegło ciężkie sapanie.

- Ktoś tam chyba ugrzązł - domyślił się Ostradamus.

- Nie odchodź - usłyszeli głuchy głos Tulii. - Porozmawiamy jak przyjaciele.

- Już ja znam tę waszą przyjaźń - powiedział ze smutkiem Udałow.

Było mu ciężko na sercu. Do tej pory nie udało mu się wygnąć z serca miłości do nieszczęsnej dziewczyny. Dlatego gdy karzeł przygotowywał przyrządy, żeby przejść do świata równoległego, Udałow nachylił się nad podkopem i krzyknął:

- Tulio, obiecuję, że zrobię wszystko, by uwolnić cię od pasożyta i zawieźć do mamy!

- Dzięki... - usłyszał, ale w tej samej chwili słowa wdzięczności ucichły i naczelna matka mikrobów odezwała się tym samym słodkim głosem: - Już ja cię dorwę!

- Tutaj, Korneliuszu! - zawołał karzeł. - Droga otwarta.

I Udałow, nie czekając, aż naczelna matka spełni swoją groźbę, rzucił się w stronę karła, który otworzył luk w skomplikowanej, potężnej maszynie. Udałow wszedł za nim i znalazł się na innej planecie.

Nieznana planeta wydała się Udałowowi spokojna i przyjazna. Rześki wiatr szeleścił sosnowymi igiełkami, śpiewały ptaki, szemrały strumienie i latały ważki.

- Prawie jak w domu - cieszył się Udałow. - Szkoda, że nie mam aparatu fotograficznego.

Dopiero by się znajomi zdziwili, widząc takie podobieństwo.

- Idziemy, szkoda czasu - powiedział karzeł. - W każdej chwili może się tu zjawić pogoń.

- To nie zamknął pan za nami drzwi?

- A jak je miałem zamknąć? - zapytał zrzędlawie karzeł. - Instrukcji nie było. Poza tym, jeśli się okaże, że to niewłaściwy świat, będziemy musieli wracać i szukać innego.

- A jeśli oni zastawią na nas pułapkę?

- Mam nadzieję, że nie. Mam nadzieję, że będą nas po prostu gonić.

Udałow nie poczuł się uspokoiony jego słowami. Ale może od razu udało im się trafić do właściwego świata, takiego, który ma łączność z ZIZ?

- Nie będziemy za daleko odchodzić, bo zabłądzimy - rzekł staruszek.

Rozejrzeli się. Maszyna, dzięki której tu się dostali, wychodziła czarnym bokiem na polanę, było ją z daleka widać. Wędrowcy zeszli wąską ścieżką nad rzekę.

Udałow przykucnął, żeby w przezroczystej wodzie umyć twarz i ręce. W tym momencie zobaczył

swoje gołe nogi i przypomniało mu się, że ma na sobie tylko slipki. Poczul się niezręcznie.

W oddali słycać było wystrzały.

- Oho! - wykrzyknął karzeł. - Chodźmy. Zobaczymy, co się tam dzieje.

Ale na razie nigdzie nie poszli. Z maszyny wyskoczyli kaci. Staruszek miał rację. Tulia była w srebrzystym kostiumie kąpielowym, grabarz w chałacie, kapelusz trzymał w ręku. Kombinezony nurków zdjęli, inaczej nie precisnęliby się przez podkop.

Prześladowcy rozejrzeli się, zastanawiając się, gdzie mogli się ukryć uciekinierzy. W rękach trzymali pistolety.

Nie znalazłszy żadnych śladów, nosiciele mikrobów poszli w stronę lasu.

Udałow i Ostradamus poczekali, aż kaci znikną w lesie, i szybko, czasem przypadając do ziemi, pobiegli w drugą stronę.

Gdy zdecydowali, że niebezpieczeństwo minęło, wyprostowali się i pobiegli co sił w nogach. Spieszyli się tak, że nic nie widzieli i niczego nie słyszeli. Mało brakowało, a to by ich zgubiło.

Żżżżyk! - kula zagwizdała przy uchu Udałowa.

Żżżżyk! - druga kula wbiła się w pień drzewa obok karła.

Uciekinierzy padli na trawę.

- Co to takiego? - zapytał Udałow.

- To istoty rozumne - odpowiedział sarkastycznie karzeł. - Z rozumnymi zawsze trzeba uważać.

W leśnym gąszczu zatrzeszczały gałązki. Po kilku minutach na polanę wyszło dwóch mężczyzn. Udałow od razu zgadł, że to myśliwi. Nieraz widział myśliwych na Ziemi, chociaż sam należał do wędkarzy. Myśliwi rozglądali się i rozmawiali:

- Pewnie skoczył w krzaki. Postrzeliłem go.

- Ja mojego na pewno raniłem. Daleko nie zajdą. Porządna zdobycz.

- Wydawało mi się, że ich nie znam.

- Ja swojego też wcześniej nigdy nie widziałem. Uważaj, żebyśmy nie zabili kogoś przypadkowego.

- Niemożliwe, przypadkowi nie pojawiają się tu w sezonie. Już mieli zamiar odejść, gdy karzeł wyciągnął chusteczkę do nosa i zaczął nią machać, chowając się za zwałonym drzewem. Myśliwi zauważyli ten sygnał i podnieśli broń.

- Poddajemy się! - krzyknął karzeł. - Jesteśmy przypadkowymi przechodniami, nie dzikimi zwierzętami!

- W takim razie wstawajcie, tylko ręce nad głową - powiedział jeden z myśliwych. - Nie chcemy ryzykować.

Uciekinierzy powoli podnieśli się z trawy, trzymając ręce nad głowami.

- Mówicie, że trafiliście tu przypadkiem? - zapytał myśliwy, podchodząc bliżej i cały czas trzymając ich na muszce.

- Nie jesteśmy nawet z tej planety - wyjaśnił Udałow.

- Rzeczywiście, nie wyglądają na myśliwych - powiedział drugi myśliwy.

- Na zwierzynę też nie. - Udałow spróbował się uśmiechnąć. - Co tu ma do rzeczy zwierzyna? - zdziwił się myśliwy.

- No przecież omal nas nie postrzeliliście!

- Zgadza się! Ale co ma do tego zwierzyna?

- Jesteście przecież myśliwymi? - zapytał Udałow.

- Oczywiście, że tak. Najprawdziwszymi.

- To znaczy, że polujecie na zwierzynę. Dziką.

- Skąd wam to przyszło do głowy?
- Szkoda czasu - powiedział jego towarzysz. - To przyjezdni. Sami mówili, że są z innej planety.
- No, to idźcie swoją drogą - pozwolił im drugi myśliwy.
- A nie będziecie strzelać? - zapytał Udałow.
- My nie - zapewnił drugi myśliwy. - Ale inni mogą.
- Nigdzie nie idę - powiedział Udałow do Ostradamusa. - Mam dość. Jak mnie zabiją, to nie spełnią się pana lipne przepowiednie.

Udałow usiadł na trawie. Miał tego wszystkiego po dziurki w nosie.

- Wyjaśnijcie nieobytym przybyszom - poprosił karzeł - dlaczego ktoś miałby do nas strzelać?

Czy jesteście podobni do ptaków albo do niedźwiedzi?

- Wyłumacz mu - powiedział drugi myśliwy. - Rzeczywiście chyba nic nie rozumieją.
- To bardzo proste - zaczął pierwszy myśliwy. - Polowanie to u nas najbardziej popularny rodzaj sportu i wypoczynku. Niemal co trzeci mieszkaniec naszej planety jest myśliwym. Polowaliśmy przez kilkaset lat, aż wybiliśmy większość zwierząt. Potem już nie było na co polować. Nasze żony zaczęły protestować - że lasy opustoszały, że ekologia została zakłócona - i połączyły się z przyjaciółmi przyrody, by zabronić polowań.

- A j ak tu zabronić polowań - wtrącił drugi myśliwy - j eśli nigdy nie znaleźliśmy żadnej innej rozrywki? Nie można zabronić polowań. To byłby dramat narodowy.

- No więc znaleziono kompromis. Zdecydowano, że myśliwi podzielą się na dwie części. I będą polować na siebie.

- Przecież to nieludzkie! - zawołał Udałow.
- Nie zgadzam się z panem - powiedział Ostradamus. - To bardzo mądre. I ludzie mają rozrywkę, i zwierzętom krzywda się nie dzieje. A dużo myśliwych ginie?

- To zależy - odparł powściągliwie pierwszy myśliwy. - A wy po co do nas przylecieliście?
- Szukamy drogi do cywilizacji. Powiedzcie, czy od was latają statki na inne planety?
- Nikt u nas nie lata na inne planety. Jeszcze nie wynaleźliśmy podróży kosmicznych. Jak tylko je wynajdziemy, natychmiast polecimy polować na inne planety.

- W takim razie nie spieszcie się - poradził im karzeł.

W tym momencie gdzieś w pobliżu rozległy się wystrzały. Udałow i karzeł odruchowo padli w trawę, a ich znajomi zaczęli się ostrzeliwać.

- Uciekajmy stąd - powiedział Udałow. - Bo nas zabiją. Ostradamus przyznał mu rację i pobiegł w stronę maszyny. Po drodze omal nie wpadli na ognisko. Przy ognisku siedzieli myśliwi, a na ogromnym rożnie coś się piekło.

- Ojej! - przestraszył się Udałow. - Patrz pan! Oni nie tylko się nawzajem zabijają, ale nawet zjadają.

- Tak, to potworne - zgodził się karzeł. Potem podniósł się ostrożnie, przyjrzał, uśmiechnął się i zauważył: - Jeszcze nigdy nie widziałem myśliwych z rogami.

- Z rogami?

Udałow też się przyjrzał i zrozumiał swoją pomyłkę. Na rożnie piekło się na j zwyczajnie j szy jeleń.

- Jak to? Przecież postanowili! Przecież mieli polować tylko na siebie... A co z równowagą ekologiczną, światem zwierząt, ochroną środowiska naturalnego...

- Całe to gadanie to tylko mydlenie oczu społeczeństwu - stwierdził cynicznie karzeł. - Jeśli oni rzeczywiście do kogoś strzelają, to tylko do takich głupków jak my. Żeby ich żony widziały, że nie marnują nabojów. Biegnijmy dalej!

Pobiegli.

Ale nie przebiegli nawet stu metrów, gdy usłyszeli za sobą tupot nóg. Rozległ się wystrzał.

- Myśliwi! - krzyknął Udałow. - Szybciej, przyjacielu! Obejrzał się i zobaczył, że gonią ich nie myśliwi, tylko kaci. Na szczęście ani grabarz, ani Tulia nie mieli pojęcia o strzelaniu.

ROZDZIAŁ 17

W którym Udałow kontynuuje podróż po innych planetach

Prześladowcy spóźnili się o minutę. Uciekinierzy wpadli bez tchu do maszyny i przeskoczyli na inną planetę.

Na początku planeta ich przeraziła.

Tak posępnego spustoszenia, takiej ekologicznej beznadziei nie widzieli jeszcze nigdy, mimo że obaj bywali w różnych zakątkach Galaktyki.

Nad czarnymi jeziorami unosiły się cuchnące opary pochodzenia przemysłowego, były lasy górowały nad ziemią szkieletami dawnych pni, góry dawno temu przeobraziły się w wyrobiska i wzgórza zużytej szlaki, a powietrze nadawało się do wszystkiego, tylko nie do oddychania.

Zaciskając ręką nos, Udałow powiedział:

- Lećmy dalej. Póki jeszcze żyjemy.

- Zaraz - odrzekł spokojnie Ostradamus. - To, co widzimy, to ślady działalności rozwiniętej, chociaż niezbyt rozumnej cywilizacji. Na tyle rozwiniętej, że wykorzystali na tej planecie wszystko, co można było wykorzystać. Przypuszczam, że budowali również statki kosmiczne.

- Nawet jeśli budowali - zaprotestował logicznie Udałow - to ich statki tak cuchnęły, że nie dałoby się na nich latać.

- Ech, Udałow, nie masz pan pojęcia, jak wynalazcze potrafią być istoty rozumne. Dopóki nie wymrą ostatecznie, żyją, rozmnażają się i nawet chodzą do kina.

Udałow tymczasem rozejrzał się i zwrócił uwagę na to, że lasy fabrycznych kominów nie wydzielają żadnego dymu, betonowe ruiny wyglądają na wymarłe, a po zawalonych papierem i puszkami po konserwach drogach nikt nie jeździ.

- Mam wrażenie, że oni już wymarli - powiedział. - Nie ma co ,liczyć na kino.

- Jest jeszcze wariant optymistyczny - poprawił go Ostradamus. - Optymistyczny dla nich i pesymistyczny dla nas.

- Jaki?

- Odlecieli stąd. Ewakuowali się. Znaleźli inną planetę i odlecieli. Instynkt samozachowawczy. Ale mimo wszystko musimy się trochę przejść, sprawdzić.

Udałow pokornie poczłapał za przepowiadaczem, starając się nie oddychać. Ale nie zawsze się to udawało. Korneliuszowi kręciło się w głowie.

Przeszli jakieś sto metrów, omal nie wpadając do otwartej studzienki kanalizacyjnej, gdy nagle w odłamku betonowej ściany otworzyły się drzwi i wyszedł stamtąd porządnie ubrany mężczyzna, wyglądający na kosmitę. Był stosunkowo czysty, stosunkowo umyty i ogólnie sprawiał miłe wrażenie, jeśli nie liczyć malującego się na jego twarzy niepokoju.

- Wybaczcie! - krzyknął. - Serdecznie przepraszam. Spóźniłem się. Instalacja się zepsuła. Co za szczęście, że zaczekaliście.

- Dzień dobry - powiedział ostrożnie Ostradamus.

- Dzień dobry - rzekł Udałow, który podejrzewał, że z kimś ich pomyłono. - Pan na kogo czeka?

- Na was - odpowiedział aborygen. - Ale naszą planetę jest tak trudno odnaleźć, że już straciliśmy nadzieję.

- I dlaczego pan na nas czeka? - zapytał Ostradamus.

- Chodzi nam o konsultację. Nie dostaliście naszego listu?

- Nie. Trafiliśmy tu zupełnie przypadkowo.

- To nie jest pan ekspertem od wodorostów?

- Absolutnie!

- Czyli pan jest tym ekspertem? - aborygen zwrócił się do Udałowa.

- Nie, co najwyżej w dziedzinie budownictwa mieszkaniowego - przyznał się Udałow.

- Ale może macie panowie jakieś pojęcie o wodorostach?

- Mamy - powiedział nagle Ostradamus. - Kiedyś przez pół roku mieszkałem na planecie Ocean i żywiłem się wyłącznie morską kapustą. Doskonale wpływa na kondycję fizyczną, trochę gorzej na psychikę. Przygnębia.

- Doskonale! - ucieszył się aborygen. - Jedziemy! - Nie mamy czasu.

- Przysięgam, że nie zajmiemy wam więcej niż pół godziny, a za konsultację zapłacimy najpiękniejszymi perłami wszechświata. Niemożliwe, żebyście nie mieli krewnych albo ukochanych, którym nie chcielibyście przywieźć pereł.

Ten argument trafił Udałowowi do przekonania. Gorąco zapragnął przywieźć perłę Kseni i... nie, o drugiej kobiecie nie pozwolił sobie myśleć.

- Proszę za mną - powiedział aborygen i otworzył drzwi w betonowej ścianie.

Drzwi nie prowadziły donikąd. Za nimi w krzywej wnęce widać było te same czarne kominy martwych fabryk i opary unoszące się nad zatrutymi strumieniami.

Aborygen śmiało wszedł w fałszywe drzwi i zniknął.

- Mieszkańcy podziemi - powiedział Udałow, który już wszystko zrozumiał. - Mają tam windę. - I wszedł za aborygenem.

Nieznana siła chwyciła go i poniosła po nie kończącym się nie oświetlonym tunelu, wśród różnokolorowych iskier. Nie wiadomo jak długo trwała podróż, czas przestał istnieć. Potem w oczach Udałowa coś rozbłysło i rozległ się przyjemny głos aborygena:

- Stacja przesiadkowa.

Udałow otworzył oczy i zobaczył, że stoi w niszy, otoczony przez pejzaż podobny do tego, który dopiero co opuścił. Co prawda kominów było mniej i trochę inaczej je rozmieszczono, opary były w innych kolorach, powietrze cuchnęło, ale też nieco inaczej niż minutę temu.

- Co się stało? - zapytał aborygena. - Gdzie my jesteśmy?

- Przepraszam - powiedział aborygen. - To jeszcze nie koniec podróży. Proszę za mną.

Znowu wszedł do pustego otworu drzwiowego i zniknął.

Przecież nie będę się zatrzymywać w pół drogi, pomyślał Udałow i poszedł za jego przykładem. Znowu było to samo - wrażenie pustego tunelu, migotanie kolorów i iskier...

Stali przed drzwiami, otoczeni przez spustoszony świat. Powietrze było bardziej wilgotne, ale nie mniej cuchnące, okolicę zasnuwała żółta mgła, z której wystawały kominy fabryk i ruiny domów, co prawda znacznie większe, ale mimo wszystko były to tylko ruiny...

- No i co? - zapytał Ostradamus. - Jesteśmy już na miejscu?

- Przepraszam - powiedział aborygen. - Proszę iść za mną. I znowu przeszedł przez drzwi.

Ostradamus popatrzył na Udałowa, Udałow na przepowiada-cza. Obaj wzruszyli ramionami - cóż innego można było w tej sytuacji zrobić? - i przeszli przez drzwi.

Tym razem spustoszenie nie było tak tragiczne i całkowite. Może dlatego że gdzieś niedaleko

szumiało morze, a góry na horyzoncie wyglądały nieco lepiej niż na poprzednich stacjach. Ale i tu całkowita martwota i duszące zapachy mówiły, że jest to miejsce, w którym człowiek nie powinien mieszkać.

- Już? - zapytał Udałow. - Znudziło mi się to latanie po waszych tunelach.

- Prawie - zapewnił ich aborygen. - Ostatnia przesiadka. I szybko wszedł w drzwi, obawiając się protestów gości. Tym razem mówił prawdę.

W świecie, w którym się znaleźli, powietrze nadawało się do oddychania. Świadczyła o tym obecność ludzi, czekających na nich przy drzwiach. Stała ich tam spora grupka. Niektórzy byli w maskach przeciwgazowych, inni w skafandrach... Na zboczu góry widać było jakieś rośliny, nad nimi przeleciał jakiś ptak, przypominający nietoperza...

Udałow uściskał dłonie gospodarzom, zrobił kilka kroków i dopiero wtedy zrozumiał, że stoi na niedużej wyspie. Zielone morze usiane wieżami wiertniczymi i pojedynczymi platformami ciągnęło się aż po horyzont.

- Specjalista przyjechał... specjalista przyjechał... - dał się słyszeć narastający szum głosów.

Smutne twarze ożywiły się nieco.

- Co chciał pan nam pokazać? - zapytał niecierpliwie Ostradamus. - Gdzie są te wasze wodorosty?

- Najpierw zapraszam na obiad - powiedział przewodnik. - Potem wybieriecie sobie perły...

Przy obiedzie, skromnym, bez alkoholu, składającym się głównie z darów morza i syntetycznych ziemniaków, gospodarze planety podzielili się z gośćmi swoimi problemami i obawami.

- Widzieliście, w jakim stanie jest nasz świat? - zapytał siedzący na honorowym miejscu prezydent planety.

- Widzieliśmy - westchnął Udałow. - Smutne.

- A co można poradzić? Jesteśmy cywilizacją. A cywilizacja to zagłada dla przyrody.

- Niezupełnie - poprawił go Udałow. - Wiele zależy od nas.

- Słusznie - zgodził się prezydent. - Ale jeśli raz wejdzie się na drogę zniszczenia, to brnie się coraz dalej i coraz trudniej się zatrzymać. Czasem nawet nie można się już zatrzymać. My nie umieliśmy.

- Szkoda - powiedział Ostradamus. - A więc, najpierw zniszczyliście swój świat, a potem wyemigrowaliście?

- Tak. Nie było już czym oddychać, czego wydobywać, co jeść.

- I zaczęliście zagospodarowywać inne kontynenty - domyślił się Udałow.

- To nie takie proste. Zanim się spostrzegliśmy, inne kontynenty też już były spustoszone.

- A więc tymi tunelami podróżowaliście po innych planetach! - zgadywał Ostradamus.

- Nie, to cały czas ta sama planeta. Gdzie można przewieźć pięć miliardów mieszkańców?

- Teraz już mniej - wtrącił się przewodnik. - Teraz to już nawet miliona nie będzie.

- Co za różnica... W przyrodzie nic nie ginie.

Zapadła smętna cisza i Udałow nie śmiał jej naruszyć. W końcu prezydent otarł łzę i kontynuował:

- Uratowała nas podróż w czasie. Tunele czasu, które wynaleźliśmy niemal w ostatniej chwili. Nauczyliśmy się przenosić w przeszłość i pomyśleliśmy, że można przenieść się w te czasy, gdy na planecie nie było jeszcze ludzi. Wzięliśmy rzeczy osobiste, dzieci, kosztowności i przenieśliśmy naszą cywilizację milion lat wstecz. To było wspaniałe. Przez pierwsze lata wylegiwaliśmy się na łąkach i kąpaliśmy w morzu... A potem...

Nad stołem przetoczyło się ciężkie westchnienie.

- Zniszczyliście swoją planetę sprzed miliona lat? - zapytał Ostradamus.

- Zgadza się. Okazało się, że jesteśmy wierni swoim przyzwyczajeniom.

- I znowu cofnęliście się w przeszłość?

- Tak jest. I za każdym razem niszczyliśmy przyrodę szybciej niż poprzednio. W końcu trafiliśmy do tak odległych czasów, że zaczęło nam brakować ładu. A teraz stoimy na progu cofnięcia się do pierwotnego oceanu. Do oceanu, w którym dopiero rodzi się życie, w którym panują wodorosty i ameby. Nie ma dla nas innej drogi - cała nasza przyszłość jest beznadziejnie zanieczyszczona...

- Zniszczyliście swoją planetę pięć razy! - zawołał przerażony Udałow.

- Żeby tylko pięć... - powiedział prezydent. - Zniszczyliśmy ją osiemnaście razy!

- Ale przecież ocean też zniszczycie!

- Całkiem możliwe. Wtedy będziemy się musieli cofnąć do momentu powstania planety...

- I żyć w wulkanach? - W głosie Ostradamusa dźwięczał sarkazm.

- Obawiam się, że tak. - Prezydent był poważny.

- Ale dopóki do tego nie doszło - uśmiechnął się sztucznie przewodnik, prezentując optymizm historyczny - chcieliśmy poprosić was o przeprowadzenie zwiadu w oceanie, dokąd mamy zamiar przenieść się w przyszłym roku, i o pomoc w opanowaniu technologii produkcji żywności z wodorostów i ameb...

Ostradamusowi zrobiło się żal skazanej cywilizacji. Włożył skafander nurka i wyruszył w ocean. Udałow nie dowiedział się, czy jego rady na coś się przydały. Miał kiepski humor i nawet to, że pozwolono mu pogrzebać w pudełku z perłami i wybrać najładniejszą z nich dla żony, nie mogło go pocieszyć. Miał ochotę dać aborygenom parę dobrych rad, podzielić się z nimi swoim ziemskim doświadczeniem... Ale czasem dobre rady tylko irytują.

Kiedy kilka godzin później przeszli przez wszystkie drzwi czasu i wrócili do teraźniejszości, Ostradamus powiedział:

- Czuję, że dojdą i do wulkanów.

- Powinno się tu wycieczki przywozić - odpowiedział Udałow. - No dobrze, zniszczyli planetę raz, to każdy głupi potrafi, ale osiemnaście razy...

ROZDZIAŁ 19

W którym zmniejsza się tyranów.

Znowu weszli do maszyny przemieszczeń błyskawicznych i znowu Udałow zapadł się w ciemny, nie kończący się tunel. Zakręciło mu się w głowie i stracił oddech. Ciężko było przywyknąć do takich wrażeń, ale Udałow pocieszał się przeczytanymi kiedyś słowami polarnika Armmdsena: „Do zimna nie można przywyknąć, ale można nauczyć się je wytrzymywać”.

Podróż zakończyła się szczęśliwie. Udałow wyszedł z kabiny nieopodal ogromnego kosmicznego miasta pełnego pompatycz-nych budowli. Było cicho, nad głowami latały ptaki, po niebie płynęły różowe chmury.

- Wie pan, co teraz zrobimy? - zapytał karzeł.

- Pójdziemy do miasta szukać kosmodromu - odpowiedział Udałow.

- Najpierw poszukamy jakiejś knajpki i zjemy obiad. A dopiero potem kupimy bilety na międzyplanetarny statek.

Udałow nie miał nic przeciwko temu i poszli w stronę miasta.

Gdy już do niego dochodzili, zrozumieli, że na tej planecie też nie wszystko jest w porządku. Było zbyt pusto.

Ulicę, którą weszli do miasta, pokrywał grubą warstwą kurzu, ze ścian podpadał tynk, krzewy i drzewa rozrosły się, niszcząc asfalt. I ani śladu żywego ducha...

Tajemnicza, złowieszcza cisza przygnębiała i skłaniała do jak najszybszej ucieczki.

- Nikogo tu nie ma - zaszeptał Udałow.

- I to od dawna - odpowiedział szeptem Ostradamus.

- Może oni też odeszli w przeszłość - myślał na głos Udałow.

- Albo umarli w czasie epidemii.

- Albo pozabijali się w wojnie atomowej.

- Albo odlecieli na inną planetę.

- Wiele lat temu...

Zmęczeni wędrowcy od razu opadli z sił. Co innego być u celu, zająć smaczny obiad i rozkoszować się przedsmakiem spokojnego lotu statkiem kosmicznym, a co innego zdać sobie sprawę, że i tutaj nie ma co liczyć na ratunek.

Po krótkiej naradzie wędrowcy postanowili poszukać portu kosmicznego. Może został tam jakiś zapomniany statek.

Kilka minut później znaleźli się na ogromnym placu, gdzie zobaczyli coś niewiarygodnego.

Środek placu zajmowały małe domki, zupełnie jakby kiedyś bawiło się tu przedszkole w budowanie miasteczka dla lalek.

Domki były wierną kopią prawdziwych budynków: miały szyby, kominy, szyldy, obok jednego stał nawet mały samochodzik.

Udałow zajrzał przez okno trzeciego piętra, które było akurat na wysokości jego oczu. Zobaczył pokój z kanapą, stołem, na którym stały miniaturowe talerzyki, filiżaneczki, napoczęta butelka wina. Ale ani w pokoju, ani w domku, ani na placu nie było śladu żywych istot.

- Lubili dzieci i urządzali im zabawy na placach - zasugerował niepewnie Ostradamus.

Udałow pokręcił głową.

- Nie - powiedział. - To miniaturowe miasteczko za bardzo przeszkadzałoby komunikacji miejskiej.

Opuścili plac i zaczęli iść ulicą prowadzącą na wzgórze, na którym pysznił się pałac z dziesiątkami wież i wieżyczek. Mieli zamiar obejrzeć stamtąd całe miasto.

Droga pod górę zajęła im około pół godziny. W tym czasie Udałow zdążył się przekonać, że kiedyś miasto przeżywało rozkwit, mogło pochwalić się osiągnięciami w dziedzinie kultury i sztuki. Ale do rozwiązania zagadki go to nie zbliżyło.

Weszli do porzuconego, zapuszczonego i zakurzonego pałacu. Przez jakiś czas chodzili po salach i komnatach. Nikt ich nie wołał, nikogo nie spotkali. Weszli na górę, na galerię, która otaczała jedną z pałacowych wież, i zaczęli przyglądać się miastu.

- Udałow! - wykrzyknął Ostradamus. - Tam stoją statki!

Korneliusz spojrzął szybko w tamtą stronę. Nie trzeba było mieć sokolego wzroku, żeby zrozumieć: kosmodrom był martwy od bardzo dawna. Ogromny, stojący na środku pola liniowiec pokrywała rdza, luki były otwarte...

- Może to nie kosmodrom - powiedział Udałow - tylko muzeum?

Zdecydowali, że pójdą do kosmodromu i przyjrzą mu się z bliska.

Tym razem ulica spadała w dół, ku szerokiej rzece dzielącej miasto na dwie części. Na nabrzeżu obok kamiennego mostu zobaczyli jeszcze jedno miasteczko dla lalek.

Było dwukrotnie mniejsze od poprzedniego. W takim mogłyby mieszkać tylko ołowiane żołnierzyki - lalki by się nie zmieściły. Miasteczko było porzucone i pokryte kurzem.

Wędrowcy nie zatrzymywali się przy nim zbyt długo. I tak nie byli w stanie rozwiązać zagadki tej planety, dopóki nie spotkają kogoś, kto zgodziłby się wszystko im wyjaśnić. Po dwudziestu minutach wykończeni podróżnicy dotarli do przedmieść miasta. Domy były tu parterowe, nie tak długowieczne jak w centrum, wiele z nich się poprzekrzywiało, niektóre się zawaliły. Ulica była zasypana zbutwiałymi deskami, tynkiem i kawałkami mebli. Szło się coraz trudniej.

Uwagę Udałowa przykuł wróbel albo bardzo do niego podobny mały ptaszek. Leciał nad samą jezdnią, jakby szukał owadów. Tuż przed Udałowem runął w dół. Korneliusz mimo woli popatrzył w ślad za nim.

Ku jego zaskoczeniu okazało się, że ptak próbuje schwycić nie pająka czy żuczka, tylko małego człowieka, który miotał się po wyszczerbionej jezdni.

- Sio, ludojadzie! - krzyknął gniewnie Udałow na wróbla. - Czyżbyś nie wiedział, że nawet taki mały człowieczek jest władcą przyrody?

Wróbel, nie wiadomo, przestraszony czy zawstydzony, wzbił się w niebo.

Ostradamus, nie rozumiejąc o co chodzi, zapytał:

- Cemu pan krzyczy na ptaki?

- Odnalazłem ludzkość - odpowiedział Korneliusz, klękając. Po cichutku, żeby nie ogłuszyć brata w rozumie, odezwał się do drżącego dwucentymetrowego człowieczka: - Nie bój się, jesteś wśród swoich.

Człowieczek zatkał uszy. Udałow wziął go w dwa palce i postawił sobie na dłoni, tak jak to robił z liliputami Guliwer.

Człowieczek, zrozumiał, że nie grozi mu już niebezpieczeństwo, poprawił ubranie, przybrał dziarską postawę i cieniutkim głosikiem zapytał:

- Człowieku, któremu jestem niewypowiedzianie wdzięczny za uratowanie mojego niegodnego życia, skąd przybywasz? Przecież podróże kosmiczne zostały dawno temu odwołane.

Udałow pokrótce opowiedział liliputowi o swoich przygodach. Potem, nie mogąc się powstrzymać, zapytał wprost:

- Co się stało z miastem?

Liliput zamiast odpowiedzi poprosił, żeby go przenieść na sąsiednią ulicę. I w czasie tej krótkiej podróży opowiedział Udałowowi i Ostradamusowi tragiczną historię planety.

Okazało się, że planeta żyła, jak przystało na cywilizowany świat, rozwijała się, kroczyła drogą postępu i utrzymywała kontakty z innymi planetami. Trwało to aż do dnia, gdy władzę przejął człowiek, którego naród przezwiał tyranem. Tenże tyran przez jakiś czas tłumił wolność, naukę i sztukę. A potem mania wielkości zmusiła go do sięgnięcia po radykalne środki.

Sam tyran był niewysoki, co tyranom często się przytrafia. Z tego powodu musiał patrzeć na swoich poddanych z dołu do góry. Bardzo go to przygnębiało.

- To smutne - przyznawał się w wąskim kręgu zaufanych. - Przerosłem innych pod względem okrucieństwa, intryg, łajdactwa i rozumienia sztuki, a ciągle jestem niższy od przeciętnego poddanego. To niesprawiedliwe i musi zostać naprawione.

Najprostszy sposób naprawienia niesprawiedliwości zasugerował minister bezpieczeństwa: ściąć głowy wszystkim mieszkańcom planety i tym samym uczynić tyrana najwyższym człowiekiem. Ale humanizm nie pozwolił tyranowi na skorzystanie z tego prostego środka. Tym bardziej że już i tak w czasie represji ludność planety została znacznie przeredzona, co odbiło się negatywnie na gospodarce.

Tyran wezwał uczonych i nakazał im rozwiązać ten problem bez zbędnego przelewu krwi. Wspomniał jednocześnie, że jeśli nie uporają się z tym przed Nowym Rokiem, to będzie zmuszony

wszystkich uczonych stracić.

W obliczu takiego niebezpieczeństwa uczeni pracowali dniami i nocami, dopóki nie wynaleźli sposobu zmniejszania wzrostu człowieka o połowę, jeszcze w łonie matki.

Tyran i tak kazał stracić uczonych i zaczął czekać, aż na planecie urodzi się wystarczająca liczba niemowląt nowego typu. Następnie wymordował ich rodziców i krewnych oraz wszystkich innych normalnych ludzi i został najwyższym człowiekiem w swoim państwie. Od tamtej pory nadworni malarze mogli uczciwie malować sceny grupowe, na których tyran górował nad narodem o trzy głowy.

Wszystkie stare samochody, tramwaje, meble, nawet szczoteczki do zębów trzeba było wyrzucić - były zbyt duże dla nowej ludności. Początkowo sprzyjało to rozwojowi gospodarki, niestety, już kilka lat później zmniejszona pod względem wzrostu i liczebności ludność nie była w stanie wykonywać pracy, z którą bez trudu dawali sobie radę ich przodkowie.

Mijały lata, tyran zmarł i mieszkańcy planety mogli swobodnie odetchnąć. Niestety, nie na długo. Tyrania jest zaraźliwa, a na planecie powoli zaczęła się rodzić tyrańska tradycja.

Władzę przejął pewien łajdak, którego nazwano dyktatorem. Tenże dyktator, należący do ludzi nowego typu, był osobnikiem przerażającym, złośliwym, a w dodatku dokładnie wiedział, czego chce. Martwiło go tylko jedno - dlaczego wszyscy mieszkańcy planety są od niego wyżsi? Wezwał nowe pokolenie uczonych i rozkazał im zmniejszenie płodów o połowę...

W tym miejscu opowieści nasi podróżnicy dotarli do małego miasteczka zbudowanego na dawnym boisku do koszykówki. Miasteczko było dwa razy mniejsze od tego, które widzieli przy moście, za to tętniło życiem. Po ulicach, spoglądając w niebo, czy nie nadlatują ptaki i ważki, biegały liliputki. Po głównym placu maszerowała rota żołnierzy.

Udałow delikatnie opuścił uratowanego człowieczka na ziemię i zapytał:

- To wszystko, co z was zostało?

- Tak. Przecież po dyktatorze, który poszedł śladami tyrana, nastał despota, potem despota drugi, po nim trzech ciemieżców, jeden uzurpator. Teraz rządzi złoczyńca, którego macie właśnie szczęście oglądać...

Człowieczek wskazał władcę, który wyszedł ze swojego zabawkowego pałacu. Złoczyńca miał trzy i pół centymetra wzrostu i groźnie górował nad swoim narodem. Widząc na przedmieściach stolicy dwóch nieznanymi gigantów, absolutnie nie speszony, wydał rozkaz strzelania do nich z armat. Armatki zwrócono w stronę wędrowców i zaczęto ich ostrzeliwać pociskami wielkości ziarenka pieprzu. Pociski bezboleśnie odbijały się od kostek Udałowa.

- To okropne! - wykrzyknął Ostradamus, mając na myśli nie artyleryjską kanonadę, lecz los miasta i jego mieszkańców.

- I za każdym razem jest nas coraz mniej! - odkrzyknął uratowany człowieczek, który dał nura do tranzei wykopanej na placu. - Za każdym razem mamy coraz więcej wrogów! Byle wróbel jest dla nas śmiertelnie groźny! Byle żuk jest wrogiem. Mojego brata na śmierć wysłał komar!

Liliput zmęczył się, położył się na dnie tranzei i zmarł.

- Z przyjemnością rozdeptałbym tego złoczyńcę! - wykrzyknął Ostradamus.

- Mogliby zginąć niewinni ludzie - sprzeciwił się Udałow. - Poza tym odrzucamy indywidualny terror.

- To nie jest indywidualność, tylko efekt genetycznego szaleństwa! - denerwował się Ostradamus.

- Pan słyca problem - westchnął Udałow. - I kiepsko zna historię. Jeśli istnieją warunki dla tyranii, jeśli sprzedajna biurokracja i okrutna policja trzyma za mordę opinię publiczną, jeśli stłumiono demokrację, to tyranii będą rosnać jak grzyby po deszczu. Ale nie uda się im zahamować

historycznego rozwoju. W końcu miasto się opamięta i zacznie nowe życie.

- Do tego czasu społeczeństwo osiągnie wielkość mikroarów i zostanie pożarte przez ameby - rzekł złośliwie Ostradamus.

- Nie. Przywrócimy ludziom poprzednie wymiary. I wiem, jak to zrobimy.

Wszedł ostrożnie do miasta, zatrzymał się na placu przed strzelającymi armatami, schylił się i złapał złoczyńcę, który właśnie miał zamiar rzucić się do ucieczki.

. - Spokojnie - rozkazał Korneliusz, przysuwając złoczyńcę do swojej twarzy. - Nic ci nie grozi. Wysłuchaj mojej konstruktywnej propozycji.

Złoczyńca był malutkim, ale odważnym i opanowanym liliputem, co pomogło mu przeżyć sześć spisków i trzy powstania.

- Słucham - powiedział do Udałowa, przyjmując dumną pozę.

- Czy interesuje cię rządy mrówkami, gdy dookoła wznoszą się ogromne kamienne domy?

- To nie dla nas, jesteśmy za mali - odpowiedział ze smutkiem złoczyńca.

- Dzisiaj tak. Ale jutro?

- A co zmieni się jutro?

- Twoi poprzednicy myśleli tylko o tym, jak uczynić innych niższymi od siebie - powiedział Udałow. - Zajęcie godne tyranów, ale prowadzące do stagnacji.

- Nie znoszę, gdy ktoś jest wyższy ode mnie - przyznał się złoczyńca.

- Zuch - powiedział Udałow. - W takim razie bądź wyższy od innych.

- Od ciebie też?

- I to o wiele!

- Ale jak?

- Wydaj rozkaz powiększenia ludności o dziesięć razy! O sto razy!

- A ja?

- A siebie powiększ o sto pięćdziesiąt razy!

- Opuść mnie na ziemię! - rozkazał złoczyńca. Udałow wykonał rozkaz.

- Uczni, do mnie! - pisał głośno złoczyńca. Uczni zbiegli się w okamgnieniu.

Udałow usłyszał wydawane rozkazy, patrzył, jak uradowani uczni rozbiegli się po swoich laboratoriach. Sam w tym czasie odganiał od wzburzonego miasta muchy i wałki.

Ostradamusowi znudziło się czekanie i poszedł z powrotem do maszyny podróży błyskawicznych. Na rogu odwrócił się i zawołał:

- Korneliuszu, idziemy, poradzą sobie bez nas!

Udałow kiwnął głową i wkrótce dogonił karła. Szli w milczeniu, każdy zajęty swoimi myślami. Po trzech godzinach miasto pozostało daleko w tyle. Przed maszyną Udałow wyjął z kieszeni złoczyńcę i postawił go na ziemi.

- Coś pan narobił! - wykrzyknął Ostradamus. - Będzie szedł ze trzy miesiące! I droga niebezpieczna...

- Pozwólmy uczonym popracować w spokoju - powiedział Udałow. - Pozwólmy odetchnąć ludności. Przerosną złoczyńcę...

ROZDZIAŁ 20

W którym szaleje wojna domowa.

Kolejna planeta powitała podróżników głuchym rykiem i łoskotem metalicznych grzmotów. Hałas wżarł się w atmosferę do tego stopnia, że przesiąknięte pyłem i trującymi gazami powietrze przez

cały czas drżało, więc zarysy przedmiotów były rozmyte i niewyraźne.

- Znowu katastrofa ekologiczna?! - wrzasnął Udałow, próbując przekrzyczeć huk.

Ostradamus kiwnął głową. Ale wkrótce okazało się, że nie miał racji.

Idąc po zasnutej mgłą nizinie, gdzie pośród rzadkich, zbutwiałych pni wały się zardzewiałe maszyny, rozprute opony, spłaszczony puszek po konserwach i inne śmieci, podróżnicy dotarli do szerokiej, rozjeżdżonej szosy. Z nasypu mogli obejrzeć okolicę.

Poprzez zasłone drżące powietrze zobaczyli kilka budynków. O ile można się było zorientować, były to dziwaczne hybrydy, coś pomiędzy zamkami feudalnymi i zakładami przemysłowymi. Spoza wysokich murów, nad wierzchołkami zębatych wież wznosiły się kominy fabryczne, wypływające w szare niebo różnokolorowe strumienie dymu.

- Gdy Udałow i Ostradamus zastanawiali się, do którego z zamków powinni się udać, huk się nasilił. Szosą jechała kolumna samochodów.

Zeszli na pobocze i czekali, aż samochody podjadą bliżej. Kolumnę otwierała machina przypominająca samochód pancerny. Składała się z kilku pancernych wagonów i platform. Z wagonów wystawały lufy cekaemów, na platformach stały działa o długich lufach.

Jedno z dział odwróciło się, pokazując Udałowowi czarne wnętrze lufy. Ale Udałow nawet nie drgnął, pamiętał z książek, że uciekanie przed drapieżnikiem to najgorsze, co można zrobić. Na nieruchomych śmiałków tygrysy i niedźwiedzie zazwyczaj nie napadają.

Samochód pancerny pojechał dalej. Poprzez łoskot dobiegł Udałowa cichy, klekoczący stukot - to Ostradamus szcząkał zębami. Gdyby Korneliusz nie złapał go mocno za rękę, rzuciłby się do ucieczki, gubiąc tym samym siebie i swojego towarzysza.

Za samochodem pancernym jechały działa o przerażającym, ale prymitywnym wyglądem, za nimi kilkanaście ciężkich ciężarówek. Naczepy były puste, a w kabinach siedzieli surowi fizylierzy w nasuniętych na oczy szarych hełmach.

Za ciężarówkami jechał opancerzony samochód sztabu. I właśnie gdy zrównał się z podróżnikami i Udałow pomyślał, że spotkanie z wojskiem skończyło się szczęśliwie, w samochodzie poszła opona. Samochód przekrzywił się, zjechał na pobocze i znieruchomiał.

W szczelinie nad drzwiami pojawiły się oczy. Popatrzyły surowo na Udałowa. Udałow uśmiechnął się nieśmiało i kiwnął głową. Nie chciał psuć sobie stosunków z właścicielem oczu, który zapewne miał pod ręką cekaem. Samochód pancerny alarmująco zawył. Kolumna odpowiedziała pojedynczymi sygnałami. Ciężarówki i samochody hamowały, wzbijając tumany kurzu.

Drzwi samochodu pancernego otworzyły się, wyskoczyło z nich dwóch fizylierów w szarych hełmach i wymierzyło w podróżników. Ostradamus szarpnął się i chciał biec, ale Udałowowi w ostatniej chwili udało się go przytrzymać.

W ślad za fizylierami z samochodu wyszedł gruby, poważnie wyglądający mężczyzna w półwojskowym ubraniu i wyglansowanych butach.

Za nim wysiadł dziarski adiutant z akselbantem, w epoletach i furażerze z imponującym herbem. Pod pachą trzymał teczkę na dokumenty.

Na znak adiutanta fizylierzy błyskawicznie zrewidowali Udałowa i Ostradamusa. Nic podejrzanego nie znaleźli, o czym zameldowali dowódcy.

- Szpiedzy? - warknęło dowództwo, przeszywając Udałowa spojrzeniem.

Udałow mimo woli wyprężył się i odpowiedział:

- Melduję, że nie. Podróżnicy.

- Społeczeństwo? - zapytało dowództwo jeszcze czujniej.

- Ale nie miejsce - pospieszył z odpowiedzią Ostradamus. - Przelotowe.

Udałow podał swoje dokumenty. Adiutant przestudiował je i zameldował dowództwu, że Udałow jest istotą z innej planety.

Ostradamus oczywiście nie miał dokumentów. Udałow poręczył za niego.

Tymczasem kierowca i fizylierzy zmieniali koło, a reszta żołnierzy rozeszła się po poboczu i odpoczywała.

- Przepraszam - powiedział Udałow, korzystając z chwili ciszy. - Co się tu u was dzieje? Wojna?

Pytanie wydało się dowództwu podejrzanym.

- Może są z gazety? - zasugerowało, zwracając się do adiutanta.

Słowo „gazeta” wywołało nieoczekiwaną, dość ostrą reakcję ze strony fizylierów i załóg innych samochodów. Wszyscy chwycili automaty i pistolety.

- Nie - zapewnił ich Udałow. - Jesteśmy przejazdem. Rozejrzemy się i zaraz jedziemy dalej. Nie mamy tu nic do roboty i szczerze mówiąc, nie bardzo nam się tu podoba.

- Nie podoba się - powtórzyło w zadumie dowództwo. Zdjęło kapelusz, wytarło nim twarz i usiadło na rozkładanym krzeselku, przyniesionym przez adiutanta z samochodu. - Mnie też się tu nie podoba. Jakie zajmujecie stanowisko tam, u siebie?

Na Ostradamusa nie patrzyło. Może z powodu jego niskiego wzrostu, a może dlatego że Ostradamus miał długie włosy, czego dowództwo na odległych planetach nie znosi.

- Kieruję przedsiębiorstwem budowlanym - odpowiedział uczciwie Udałow.

- Ciężko? - zapytało dowództwo. Mówiło tonem zmęczonego, niemłodego już człowieka, obciążonego licznymi obowiązkami.

- To zależy. Teraz jestem na urlopie.

- A ja już czwarty rok bez urlopu - oznajmiło dowództwo.

- Praca? - domyślił się Udałow.

- Praca. Zapadła cisza.

Adiutant przyniósł dowództwu szklankę wody. Udałowowi i Ostradamusowi nie zaproponowano. Nie obrazili się. W Udałowie walczyły ze sobą dwa uczucia - ciekawość i strach. Ciekawiło go, co też się wyprawia na tej nieznanym planecie. A z drugiej strony bał się przebywać zbyt długo w towarzystwie dowództwa, które udaje się na wojnę.

- Nie nazwałbym sytuacji krytyczną - powiedziało dowództwo, dopijając wodę i oddając szklankę adiutantowi. - Wojny nie ma. Ale pracujemy w ciężkich warunkach.

- Proszę wybaczyć, ale dla nas, przybyszów, to nie do końca zrozumiałe. Co to za praca?

- O tam, widzisz? - dowództwo nieoczekiwanie przeszło na ty i wskazało ręką daleki zamek zwieńczony fabrycznymi kominami. - Tam jest moje hrabstwo.

- Jakie hrabstwo?

- W tłumaczeniu na wasz ziemski język jego nazwa brzmi Zakład Ciężkich Konstrukcji Walcowanych.

- A po co takie mury?

- Mury są niezbędne!

Udałow skinął głową, jakby zgadzając się, że bez murów hrabstwo nie mogłoby istnieć.

- Tak więc robicie konstrukcje - ciągnął. - A teraz dokąd się wybieracie?

- W pochód - odpowiedział hrabia. - Przeciwno tym tam - wskazał ręką wznoszące się w pewnym oddaleniu od szosy mury i dymiące kominy innego zamku.

- A kim oni są? - zapytał Udałow.

- To nasi przysięgli dostawcy. Księstwo Zakładu Odlewania Blachy Walcowanej.

- A po co ten pochód?

- A jak inaczej mamy uzyskać dostawę blachy? Już drugi kwartał o nią prosimy, a oni nas ignorują. Po poprzedniej trzymiesięcznej wojnie, w której naszą stronę reprezentował książę Głównej Fabryki Maszyn i oddziały Zakładów Produkcji Maszyn Rolniczych, Zakład Odlewania jest zobowiązany wypłacać nam kontrybucję w ilości...

- Trzystu ton blachy co miesiąc - odpowiedział adiutant.

- Ale ci dranie wciągnęli do swojej koalicji trzy baroństwa i jedno księstwo, zwabili do siebie żalostną jałmużną Zakład Montażu Lodówek i unieważnili traktat pokojowy. I teraz idziemy, żeby okrutnie zemścić się na tych kłamcach i hipokrytach. Nie sądzicie, że mamy rację?

- Bezsprzecznie! - zgodził się szczerze Udałow. - Przecież pozbawili was surowca. Wasze maszyny stoją. Naród żąda od was produkcji... W pełni podzielam wasze oburzenie.

- Naród? Daj spokój tej demagogii! - skrzywił się hrabia. - Naród to my. Nasz dzielny naród Zakładu Konstrukcji Walcowanych we wspólnym porywie idzie ze mną.

- Ale przecież coś produkujecie.

- Oczywiście. Na tym polega sens istnienia naszego zamku.

- A co to za konstrukcje?

- Takie jak tu widzisz. - Dowództwo wskazało zbitemu z tropu Udałowowi kolumny samochodów pancernych, dział i innych przykładów wojennej techniki.

- I kiedy wywalczyte tę blachę...

- Wtedy potroimy nasze siły i zaczniemy walczyć z innymi dostawcami!

Oszołomiony Udałow skinął głową. Jeszcze nie do końca pojął osobliwość ekonomicznej struktury tej planety.

- A zresztą, Udałow - powiedział hrabia, uśmiechając się po ojcowsku - widzę, że przyleciałeś z bardzo zacofanej planety. Musisz się jeszcze dużo nauczyć. I dlatego proponuję, żebyś do nas dołączył. Będiesz mógł zobaczyć zuchów z naszego zakładu przy pracy. Wszystko gotowe? Do samochodów!

- Dołączyłbym z przyjemnością - odpowiedział Udałow. - Ale niestety, pewne sprawy wymagają mojej obecności...

Nie zdążył dokończyć. Ostradamus nagle szarpnął go za rękaw.

- Popatrz pan... Udałow obejrzał się.

Nizina, zanurzeni po kolana w kurzu i mgłę, biegli w ich stronę Tulia i grabarz.

Udałow nie zastanawiał się ani sekundy.

- Dziękuję - powiedział do hrabiego. - Z przyjemnością. Gdzie możemy wsiąść?

- Najlepiej do mojego samochodu.

Błyskawicznie zanurkowali w otwarte drzwi samochodu, mając nadzieję, że prześladowcy nie zdążyli ich wypatrzeć wśród setek pracowników i żołnierzy Zakładu Konstrukcji Walcowanych.

W samochodzie pancernym było duszno i ciasno. Hrabia usiadł w obitym aksamitem fotelu, pozostali przysiedli na skrzynkach z pociskami. Kolumna powoli ruszyła naprzód.

Udałow wyjrzał przez wąską szczelinę. Zobaczył, że grabarz i Tulia drepczą na poboczu i zagląдают do samochodów. Odetchnął z ulgą. Teraz pozostawał już tylko drobiazg - uniknąć bezpośredniego udziału w starciu z dostawcami.

- A więc - zwrócił się do hrabiego - wszystkie zakłady na waszej planecie są takie... autonomiczne.

- Każdy dba o swoje interesy - zgodził się jego rozmówca. - Interesy reprodukcji rozszerzonej. W przeciwnym razie zapanowałaby anarchia.

- A poza granicami waszych zamków...

- Poza granicami tylko pustynia moralna - odpowiedział ostro hrabia.

- Społeczeństwo! - wykrzyknął adiutant, krzywiąc się.

- Słynne rzekome społeczeństwo - uściślił hrabia. Samochód podskakiwał na wybojach, przez szczelinę wciskał się pył.

- Ale w sumie - hrabia uśmiechnął się chytrze - nie ma tego złego.

Zaśmiali się we dwóch z adiutantem, i hrabia wyjaśnił:

- Dlaczego jedziemy po dostawę właśnie dzisiaj? Bo garnizon przeciwnika jest mocno osłabiony.

Zwiadowcy donieśli nam, że wczoraj, przy próbie zatrucia dla potrzeb zakładu ostatniego jeziora w tej okolicy, batalion melioracyjny Zakładów Odlewania Blachy Walcowanej wpadł w zasadzkę, przygotowaną przez tak zwane społeczeństwo sąsiedniego miasta.

- Ma to historyczne uzasadnienie - wtrącił się adiutant. - Czytał pan może o tym w podręcznikach: konflikt między miastami i baronami?

- To było za czasów feudalizmu! - przerwał mu ostro hrabia. - Od tamtej pory wiele się u nas zmieniło. - I poklepał pulchną dłonią rękojeść pistoletu.

- A co było dalej? - spytał Udałow.

- Odlewnia podciągnęła główne siły. Na brzegach jeziora przez cały czas trwają zaciekle walki. I dopóki oni walczą ze społeczeństwem, my zaatakujemy od tyłu! - wykrzyknął triumfalnie hrabia.

- Zdobędziecie blachę i będziecie z niej robić samochody pancerne, żeby zdobywać blachę i robić samochody pancerne? - próbował zorientować się w sytuacji Ostradamus.

Hrabia zignorował pytanie długowłosego karła. Podniósł się i wyjrzał przez szczelinę. Najwidoczniej cel pochodu był już blisko.

Nagle w przodzie dał się słyszeć łoskot, wystrzały, zgrzyt i pisk hamulców. Adiutant próbował dowiedzieć się czegoś przez radio, ale radio trzeszczało i nie udzielało żadnych informacji.

- Trzeba zrobić rozpoznanie! - krzyknął hrabia. Adiutant głośno westchnął. Fizylier otworzył drzwiczki i pierwszy wyskoczył na jezdnię. Adiutant wyskoczył za nim. W tym momencie przez otwarte drzwiczki do samochodu wpadło kilka niedużych białych pocisków.

Koniec! - przemknęło Udałowowi przez głowę. Już po nas!

Rzucił się na podłogę. Z góry padł na niego wrzeszczący hrabia. Ale wybuchu nie było. Tylko zagłuszony krzykami suchy trzask... i okropny smród...

, Udałow spróbował wygrzebać się spod ciała hrabiego. Dokładnie przed jego oczami leżało coś znajomego... Oczywiście! Rozbity zbuk.

Nie było czym oddychać. Przez cały czas do samochodu wpadały nowe zbuki i inne zepsute, a czasem nawet jadalne przedmioty. Hrabia zsunął się z Udałowa i chrypiąc, rzucił się do drzwi. Niestety zaklinował się w nich, co miało fatalne skutki dla ekspedycji. Pokryta pleśnią, niewiarygodnie cuchnąca i śliska laska gotowanej kielbasy, wypuszczona, jak zrozumiał potem Udałow, ze stojącej przy drodze katapulty, trafiła hrabiego w nos. Hrabia padł bez zmysłów na jezdnię.

Udałow z Ostradamusem, lekko ranni, sturlali się do przydrożnego rowu. Tam kryły się niedobitki armii hrabstwa Zakładu Ciężkich Konstrukcji Walcowanych. Obok nich, dusząc się od miazmatów, wił się adiutant.

- Kto to był? - zapytał go ciekawski Udałow. - Kto zrobił zasadzkę?

- Łajdaki! - wychrypiął adiutant. - Nędzne wyrodky z Zakładu Mięсно-Jajeczno-Mlecznego!

- Poddajcie się! - usłyszeli wzmocniony megafonem głos. - Wasz hrabia jest w niewoli. Jeśli nie poddacie się teraz, udusicie się!

- Będziemy musieli się poddać - rzekł z goryczą adiutant.
- Ale czego oni chcą? - dopytywał się Udałow.
- Naszej techniki - odpowiedział adiutant, podnosząc ręce i wyczołgując się z rowu. - Przecież oni też mają swoich dostawców i konsumentów...
- Biegniemy! - szepnął Udałow. - Dopóki liczą jeńców... I razem z Ostradamusem szybko zniknęli we mgle.

Dwie godziny później, o mało co nie wpadając w sam środek walk między Zakładem Odlewania Blachy Walcowanej i społeczeństwem, cudem unikając dwóch zasadzek i trzech starców, wrócili do maszyny przemieszczeń błyskawicznych.

ROZDZIAŁ 21

W którym wędrowcy trafiają na planetę, gdzie nie ma wysoko rozwiniętej cywilizacji

Po drodze, w biegu, udało im się zobaczyć jeszcze jeden świat. Prześladowcy dosłownie deptali im po piętach.

Świat zamieszkiwały istoty wykonujące nie swoje zajęcia.

Tuż obok miejsca gdzie Udałow i Ostradamus wylądowali, znajdowało się wydawnictwo poezji, w którym na stanowiskach redaktorów pracowały świniarki, autorami zaś byli asenizatorzy. Redaktorzy natomiast karmili świnię, a poeci czyścili toalety. I nikogo to nie dziwiło.

Nieco dalej zobaczyli balet, w którym tańczyli księgowi i dyskobole, ponieważ baletnice były szalenie zajęte wyprowadzaniem słoni, a poganiacze słoni zajmowali się algebrą teoretyczną. Wszyscy pracowali, wszyscy byli strasznie zajęci, ale Korneliusz miał szczęście: znalazł ludzi, którzy budowali statek kosmiczny. Udało im się z nimi porozmawiać. Budowniczości nawet pokazali ten statek. Był bardzo kolorowy i miał imponujący kształt. Budowniczości przysięgali, że prace zostaną zakończone za kilka dni i gorąco namawiali gości do przyłączenia się do tej twórczej pracy. Ale podróżnicy nie przyjęli zaproszenia: budowniczości statku byli kuchmistrzami.

Nie bacząc na wyraźną nienormalność takiej organizacji pracy, tutejsza prasa i telewizja nie ustawała w wychwalaniu malarzy wysiadających jajka za pingwiny i lekarzy poświęcających wszystkie swoje siły rzeźbie w drzewie. Zresztą w gazetach pracowali przeważnie specjaliści od krzyżówek ananasów.

- No i jak wy tak? - pytał Udałow aborygenów.

- A jak inaczej? - mówili niektórzy.

- Jeszcze jak! - odpowiadali inni.

Ale oczy Udałowowi otworzyła dopiero rozmowa z przypadkowo napotkaną starowinką, na którą on i Ostradamus wpadli w krzakach, gdy kryjąc się przed prześladowcami przedzierali się z powrotem do maszyny.

Starowinką, jak sama powiedziała, zbierała lecznicze zioła.

- Rzeczywiście tu rosną? - zapytał Udałow.

- A skąd ja mam to wiedzieć? Jestem przewodniczącą miejscowego towarzystwa niewidomych.

- Wydawało mi się, że pani widzi.

- - W naszym towarzystwie wszyscy widzą. Prawdziwi niewidomi strzelają z łuków. Nie rozróżniam tych ziół, dla mnie każda trawka wygląda tak samo.

- W ten sposób można nawet kogoś otruć - powiedział Ostradamus.

- Zdarza się - przyznała starowinką.

- Ale kto na to wszystko pozwala?

- Nasz król. Z zawodu jest speleologiem. Od trzech lat żyje w jaskini i nie ma żadnego kontaktu ze światem zewnętrznym.

- To jak funkcjonuje wasze państwo? - oburzył się Udałow.

- Nam to bez różnicy - odpowiedziała babcia.

- Wszystkim?

- Absolutnie wszystkim.

- No tak, jeśli wszystkim - zgodził się mądry karzeł - to rzeczywiście, nie ma żadnej różnicy.

W tym momencie w krzakach coś zaszeleściło. Prawdopodobnie nadciągała niezmordowana

Tulia.

Udałow i Ostradamus ledwo zdążyli wskoczyć do maszyny...

Po kilku męczących minutach przelotu wyszli na planetę, która początkowo wzbudzała nadzieję.

W pomarańczowych chmurach zachodu, skłębionych nad wzgórzami na horyzoncie, przeleciał jakiś obiekt kosmiczny. Za nim ciągnął się dymiący ślad. Karzeł, który zwątpił już w wyplątanie się z tego labiryntu obcych światów, złapał Udałowa za rękaw:

- Korneliuszu, jesteśmy uratowani!

- Dobrze by było - powiedział Udałow. - Najwyższa pora wracać. Obawiam się, że pogłoski o moim zniknięciu dotrą do Kseni, a ona w nerwach jest przerażająca.

- W takim razie szybko, dopóki te diabły nie wyskoczyły za nami. Nie zostawią nas w spokoju.

- Co zrobić, przecież to tylko mikroby, organizmy prymitywne. Nie uspokoją się, dopóki nas nie zabiją.

- Nie można się z nimi dogadać - zgodził się karzeł. - Nie sposób znaleźć żadnego kompromisu.

Popatrz no, co jest tam, za krzakami?

Za krzakami znajdowała się prymitywna osada otoczona wysokim ogrodzeniem. W jego rogach wznosiły się drewniane wieże.

- Czyżby i tutaj prowadzili wojnę hrabiowie i baronowie przemysłu? - zdziwił się Udałow. - Mam nadzieję, że tu nie ma jeszcze żadnego przemysłu. I powietrze takie czyste. Ale w takim razie to i statków by nie było.

- Korneliuszu, niech pan przestanie wątpić! - zdenerwował się Ostradamus. - Przecież widział pan na własne oczy, że po niebie przeleciało coś współczesnego!

Wyszli na pylistą wiejską dróżkę zrytą kołami wozów. Przypiekało słońce. Udałowowi dokuczały gzy i muchy, które przez cały czas siadały mu na obnażonych ramionach i cięły bez litości. Ułamał witkę i zaczął smagać się nią po ramionach i piersi. Uderzenia zostawiały czerwone pręgi. Bolało, ale i tak było lepiej, niż gdy gryzły owady. Chłostał się z taką zawziętością, że na jego widok miejscowy wieśniak wykrzyknął:

- Święty człowiek! Dręczy ciało!

I nie zauważony przez zmęczonych uciekinierów zaczął biec w stronę zamku, żeby oznajmić o przybyciu czcigodnego pielgrzyma.

Uciekinierzy nie doszli do zamku. Kilometr od niego karzeł nagle zatrzymał się i powiedział:

- To chyba jest to, czego szukamy.

Udałow przestał się biczować. Żadnych śladów statku kosmicznego ani nawet kosmodromu nigdzie nie było widać.

- Co pan ma na myśli? - zapytał.

Ostradamus, dużo mniej zmęczony niż jego towarzysz, zbiegł żwawo z drogi, przedarł się przez burzan i wyskoczył na pole.

- Tutaj, Udałow! - zawołał. - Jesteśmy uratowani! Udałow z trudem przedostał się przez rów,

wpadł w pokrzywy i prawie płacząc podszedł do karła.

- Patrz pan tylko, gdzie stoisz! - triumfował Ostradamus. - Spójrz pod nogi.

Udałow spojrzał pod nogi, ale nic nie zobaczył. Ziemia jak ziemia, twarda, goła...

- Jest wypalona! - Karzeł tupnął nogą. Ziemia zadźwięczała, jakby stukał w osmolony garnek. -

Tutaj lądują statki kosmiczne! Żadnego innego wyjaśnienia nie widzę i nie mam zamiaru szukać.

- - No to gdzie są te statki?

- Nie rozumie pan? To zacofany świat, łączność z nim utrzymują wyłącznie ekspedycje.

Przylatują, żeby wymienić artykuły przemysłowe na miejscowe surowce. Bardzo częsta praktyka.

Żadnego ingerowania w wewnętrzne sprawy rozwijających się planet, wyłącznie ograniczona współpraca ekonomiczna.

Plac był okrągły, niewielki, mógł mieć jakieś sto metrów średnicy. Czyli przylatywały tutaj niewielkie statki. No cóż, Ostradamus miał spore doświadczenie w podróżach kosmicznych. Na pewno lepiej się orientował, gdzie lądują statki kosmiczne.

- Posiedzę trochę, poczekam - powiedział Udałow. - Strasznie się zmęczyłem.

- Nie wolno! - zawołał przepowiadacz. - Co, zapomniał pan, że gonią nas mikroby? Zaczaimy się w krzakach.

- Dobrze -. zgodził się pokornie Udałow. - Żeby tylko statek jak najszybciej przyleciał. Bo pomrzemy tu z głodu.

Rozległ się tętent kopyt.

Drogą od zamku, w stronę wędrowców, jechała kawalkada. Było już za późno, żeby się ukryć.

Jeźdźcy, ubrani w płaszcze i kurtki ze zwierzęcych skór, uzbrojeni w krótkie miecze i kopie z grotami z brązu, jechali wprost na Udałowa, w dodatku tak groźnie i gwałtownie, że Korneliusz zamknął oczy, myśląc sobie, jakie to przykre, po tylu przygodach i cudownych ocaleniach zginąć z rąk dzikusów.

Ale tętent kopyt zamilkł na skraju placu i rozległ się głośny bas:

- Który z nich jest świętym człowiekiem?

- Ten!

Udałow otworzył oczy i zobaczył, że obszarpany chłop wskazuje go potężnemu, odzianemu w lwią skórę mężczyźnie z zieloną ogoloną głową i długimi, spadającymi na piersi fioletowymi wąsami. W rękę mężczyzna ten trzymał ciężką maczugę.

- Ty męczyłeś swoje ciało? - zapytał Udałowa.

- Moje ciało jest wymęczone do ostateczności - przyznał się Udałow. - Niedługo umrze.

Gigant z wąsami podjechał bliżej i obejrzał szramy, zadrapania i oparzenia od pokrzyw na nagim ciele Udałowa.

- Zaiste... - powiedział z szacunkiem. - Z jakich powodów przybyliście do nas?

- Szukamy ratunku - rzekł Udałow.

- Słusznie - odpowiedział wąsacz. - Wszyscy jesteśmy tu tylko gośćmi. Wszyscy powinniśmy szukać ratunku. Mówił mi o tym nasz kapłan.

- To bardzo mądre - zauważył uprzejmie Ostradamus.

- Ale zbyt abstrakcyjne - sprzeciwił się wąsacz. - Lepiej by było, gdyby pomagał swojemu plemieniu w bardziej konkretny sposób. A on nie potrafił nawet zapewnić dobrej pogody w porze żniw. Musieliśmy go zabić.

- To nie jego wina - zaprotestował Udałow. - Nawet na bardzo rozwiniętych planetach prognozy pogody są jeszcze bardzo niepewne.

- Nie obchodzi mnie, co dzieje się na tak zwanych rozwiniętych planetach. Jako wódz plemienia

ponoszę odpowiedzialność za uprawę roli. I jeśli nie znajdę winnego złych zbiorów, winien będę ja. To co, może mnie mają zabić?

Rozległy się pełne oburzenia krzyki towarzyszących wodzowi dzikich jeźdźców. Było oczywiste, że jeźdźcy nie pozwolą skrzywdzić swojego wodza, nie dopuszczą do jego śmierci.

- No i nie mam teraz kapłana - ciągnął wążacz. - A tu nagle oznajmiamą mi, że idzie drogą święty człowiek i smaga się witką. No, myślę, jeśli robi to, mimo że nikt na niego nie patrzy, to znaczy, że jest prawdziwym kapłanem. Będziesz musiał przejść do mnie na służbę.

- Nie, dziękuję - rzekł Udałow. - Jestem budowniczym, nie agronomem. Ale może mój towarzysz się zgodzi. Tylko mówią, że wkrótce umrze. Sam to sobie przepowiedział.

Ostradamus skłonił się wodzowi.

- Z przyjemnością bym z wami został i zajął się przepowiedniami na tak prymitywnym poziomie, ale po co wam kapłan, który niedługo umrze?

- Tak, gdyby teraz były żniwa, to taki kapłan nadałby się w sam raz. Zabiliśmy go za nieurodzaj i po krzyku. Ale dopiero co zakończyliśmy siew. Za wcześnie...

Wążacz zamyślił się i w końcu powiedział: - To co, idziemy do mnie, święci ludzie?

- Nie możemy - odpowiedział karzeł i wskazał ręką otaczające go wypalone pole. - Czekamy.

- Na kogo?

- Na statek - wyjaśnił Udałow.

- Szalupę kosmiczną - uściślił Ostradamus.

- Po co na niego czekacie? - zapytał podejrzliwie wążacz.

- Chcemy na nim odlecieć.

- Tak po prostu na nim latacie? - A jak inaczej?

- O! - rozległy się okrzyki wśród jeźdźców. - To wielcy czarownicy. Nie pozwól im odejść, wodzu!

- I nie boicie się? - zapytał wódz.

- Czego tu się bać? Przyzwyczailiśmy się. - A ja pomimo mojej służbowej odwagi nigdy bym nie poleciał - powiedział wążacz.

Zapadła cisza. Dzicy wojownicy z szacunkiem czekali na decyzję czarowników. W oddali dał się słyszeć huk, wystrzały, a potem szcęk broni i krzyki.

- Co się tam dzieje? Kto nam przeszkadza? - zdenerwował się wódz. - Przecież rozmawiamy. Sprawdźcie to!

Na rozkaz wodza kilku jeźdźców dało koniom ostrogę i pogalopowało za wzgórza na zwiad. Udałow i Ostradamus popatrzyli na siebie. Wyglądało na to, że pogoń była tuż, tuż.

- Prześladują nas wrogowie - wyjaśnił karzeł wodzowi. - Może nas ukryjecie?

- Nie rozumiem - zadudnił wążacz. - Wy, tacy wielcy czarownicy, a czegoś się boicie?

- Nasi wrogowie są równie potężni jak my. Wybieramy sobie odpowiednich wrogów, silnych, na naszym poziomie - powiedział karzeł, wypinając jednocześnie pokrytą czarnymi włosami pierś i łyskając oczami.

- Słusznie - zgodził się wódz. - Trzeba wybierać sobie właściwych wrogów. Byle jaki wróg może zepsuć reputację.

Ciekawy człowiek, pomyślał Udałow, patrząc na zieloną głowę i fioletowe wąsy wodza. Co za dążność do cywilizacji! Już po jego sposobie mówienia i manierach widać, że nawet zanim zabije czarownika, prowadzi z nim pouczające dysputy.

- Ale nawet przed silnymi wrogami wstyd się chować - powiedział wódz.

- Nie mamy broni - tłumaczył karzeł. - Jak tylko zdobędziemy broń, sami zaczniemy ich

prześladować:

Z bronią nie będzie problemu - zapewnił ich wódz i rozkazał swoim wojom: - Dać im kopie i miecze! Po czym odwrócił się do uciekinierów i dodał: - Ze szczerym zainteresowaniem będę obserwował waszą walkę z wrogami. Nawet będę się o was niepokoił. Jeśli zginiecie, usypimy wam kurhan, a waszych wrogów zabijemy i zjemy. Możecie spokojnie walczyć.

- No nie! - zaprotestował karzeł, przyjmując z rąk jeźdźca kopię. - Taką bronią nie pokonamy naszych wrogów. Oni mają zaczarowaną broń, która działa na odległość.

- Co z tego? - zdziwił się wąsacz. - Zaczarujcie swoją broń i ona też będzie działać na odległość. Nawet ja to potrafię bez żadnych czarów.

Z tymi słowami wódz cisnął swoją kopią. Kopia przeleciała pięćdziesiąt metrów i wbiła się w pień potężnego drzewa, rozszczepiając je na dwie części.

- Piękny rzut! - wykrzyknęli jeźdźcy. - Niech żyje wódz! Zza rozszczepionego drzewa wyłoniła się niewielka procesja.

Z przodu wlokła się, popędzana przez jeźdźców, pobita, nieszczęśliwa Tulia w wymazanym ziemią srebrzystym kostiumie kąpielowym i grabarz w porwanym chałacie, przez który prześwitywało jego kościste ciało. Rondo muchomorowego kapelusza spadało mu na uszy, zasłaniając twarz. Piękna Tulia była rozczochrana i bez makijażu.

Jeden z wojowników przygalopował do wodza, rzucił na ziemię pistolety jeńców i powiedział:

- Wodzu, ci nikczemni burzyciele spokoju biegali po twoich włościach, szukali jakiegoś Udałowa i napadli na twojego szanownego dziadka, próbując zmusić go do wyjawienia, gdzie jest Udałow.

- Ajajaj! - zmartwił się wódz. - Co za chamstwo! Mój dziadek ma sto trzy lata, jak mogli tak go potraktować? I jak się to wszystko skończyło?

- Tak jak powinno się skończyć - odpowiedział staruszek, bardzo podobny do wodza. Tylko wąsy miał białe i sięgające aż do pasa. Staruszek siedział na koniu i trzymał w ręku końce sznurków, którymi związane były ręce jeńców. - Bardzo mnie rozgniewali. Siedzę sobie, rozmyślam o rzeczach wiecznych, o prawie każdego robaczka do nietykalności, słońeczko świeci, orły przylatują, wydziobują ziarno z moich rąk, a tu nagle podbiegają ci dranie i zaczynają się głośno domagać, żebym im wydał jakiegoś Udałowa. Machają mi przed nosem tymi pałkami - staruszek wskazał leżące na ziemi pistolety. - Mówię im: odejdźcie, rozmyślam. A oni mi grożą. No to musiałem ich związać.

Staruszek zeskoczył lekko z konia i dodał:

- Mają szczęście, że już jestem stary i słaby. Jeszcze bym ich niechęć zadusił.

- Niech żyje dziadek naszego wodza! - wykrzyknęli jeźdźcy.

- No, co powiecie? - zapytał wódz jeńców. - Po co przybyliście?

- Zaszła pomyłka - powiedziała Tulia. - Po prostu zabłądziliśmy... - W tym momencie zauważyła Udałowa. - A więc tu jesteś! - wykrzyknęła. - Mam cię!

Udałow, zaskoczony, cofnął się o krok. Staruszek szarpnął za sznurek i Tulia upadła. Grabarz na wszelki wypadek też upadł.

- Chwileczkę! - ryknął wódz. - Czarowniku Udałow! Czy to nie są ci wasi potężni wrogowie?

- To oni.

- Czy to nie ich czarodziejska broń leży u moich nóg?

- Ona - powiedział Udałow.

- To co z was za czarownicy, skoro nawet mój słaby dziad potrafił dać im radę? A ja chciałem takiego nędznego człowieka uczynić moim osobistym kapłanem! Czy wiesz, jakich kapłanów już zabijałem? Bohaterów! Mistrzów w swoim fachu!

- Przepraszam, ale wcale się nie pchałem na to stanowisko - zaprotestował Udałow. - Nawet

odmawiałem.

- I dobrze robiłeś - powiedział wódz. - Twoje szczęście. Co zrobimy z tymi łajdakami? Dziadku, potrzebni ci niewolnicy?

- Nie - odpowiedział staruszek. - Ja teraz myślę o wieczności. Stałem się dobroduszny, łagodny.

- W takim razie złożymy ich w ofierze - zdecydował wódz. - Już drugi tydzień nie ma deszczu.

- Słusznie - poparł wodza karzeł. - Tylko jak ich będziecie składać w ofierze, nie podchodźcie za blisko. Są strasznie zaraźliwi.

- To możliwe - powiedział wódz. - Jeden kapłan, niech mu ziemia lekką będzie, opowiadał mi, że są na świecie roznosiciele >zarazy wielkości komara. Nieprawdopodobne, ale możliwe. A wy jak myślicie?

- Milion razy mniejsze od komara - odparł karzeł. - Sam widziałem.

- Łzesz, durniu. Jak mogłeś je widzieć, skoro nawet taki komar jest ledwo widoczny?.

- Nie jestem durniem - obraził się Ostradamus. - Jeśli pojutrze nie umrę, to przyślę wam przyrząd zwany mikroskopem. W nim wszystko widać.

- I nie oszukasz? - zapytał wódz. - Bo jeden kapłan, żebym go nie zabił, obiecał mi przywieźć przyrząd. Puściłem go, a on nie wrócił. Może mnie oszukał? Może nie ma na świecie przyrządu?

- Przyrządy są - zapewnił karzeł. - Przywiezie. Może ma problemy z transportem?

- No dobrze. Postaraj się nie umrzeć - powiedział wódz. - Strasznie bym chciał mieć ten mikroskop. A żeby nie groziła nam zaraza, czym prędzej złożmy twoich wrogów w ofierze. Jak ich najlepiej zabić?

- Spalić - zaproponował karzeł. - Najbardziej higieniczny sposób.

- Słusznie - zgodził się wódz. - W końcu przecież dążymy do kultury i higieny. Hej tam, zbierajcie gałęzie, a my się tymczasem posilimy.

Udałow był potwornie głodny, ale nagle stracił apetyt. Zawsze to samo. Zdawałoby się, że nie powinien mieć żadnej litości dla wrogów, a tu...

- Zlitujcie się - powiedziała cicho Tulia. - Obiecujemy, że już nigdy nie będziemy was prześladować. Myliliśmy się.

- Nie mogę. Obiecałem przyjacielowi - odpowiedział wódz, sadowiąc się na poduszkach i uważnie patrząc, jak słudzy ustawiają na skórze dzban z winem i miski z jedzeniem. - Obiecał, że przywiezie mi mikroskop. A ja jestem okropnie żądny wiedzy. Od cywilizacji dzielą mnie już tylko dwa kroki.

- Trzy mikroskopy! - krzyknęła Tulia. - Cztery mikroskopy! Całe mikrobiologiczne laboratorium!

- Ach, nie trzeba mnie przekupywać! - odpowiedział rozdrażniony wódz. - Jestem człowiekiem o prostych zasadach i niezłomnej moralności. I nie cofam swoich obietnic! Jeśli będę się sprzedawać za mikroskopy, jaki dam przykład mojemu narodowi? Wszyscy dookoła zaczną się sprzedawać za mikroskopy. No, goście, siadajcie do stołu. Wypijemy za znajomość.

Udałow posłusznie usiadł razem ze wszystkimi, ale był niespokojny. Co chwila oglądał się na Tulię i myślał o tym, że jeśli nie liczyć wstrętnego mikroba, to jest to prosta, dobra i bardzo ładna dziewczyna, nawet nieumalowana. Tulia pochwyciła jego współczujące spojrzenie i odwołała się do jego uczuć:

- Korneliuszu, przecież łączyła nas miłość.

- To było oszustwo - odpowiedział Udałow. - Pokochałem cię, ale bez nadziei.

Grabarz powiedział cicho:

- Może chociaż dadzą mi się napić przed śmiercią?

- Dajcie mu kubek - powiedział wódz.

Tulia cicho płakała. Grabarz uniósł kubek i powiedział:

- Nawet nie będzie mnie miał kto tu pochować. Co za hańba! Jestem grabarzem w dziesiątym pokoleniu, a nie będzie mnie miał kto pochować.

Wypił połowę wina i oddał kubek wodzowi. Wódz wziął od niego naczynie i w zadumie podniósł do ust. Już miał się z niego napić, gdy Udałow, czując, że coś jest nie tak, rzucił się do niego i rozpaczliwym gestem wybił mu kubek z ręki.

- Co to ma znaczyć! - Wódz zerwał się i wyciągnął miecz. - Umrzesz wcześniej niż oni! Takiej obrazy...

- Niech pan poczeka - powiedział grabarz. - Udałow właśnie uratował pana przed losem gorszym niż śmierć. Mój mikrob w obawie przed śmiercią zeskoczył na krawędź kubka i chciał dostać się do pańskiego ciała przez usta. Niech pan podziękuje Udałowowi, że się pan nie zaraził.

- Możesz mnie zabić, wodzu - powiedział Udałow. - Ale ja chciałem cię tylko uratować.

- Jeśli obaj tak mówią, to wierzę. A gdzie jest ten mikrob, który chciał mnie zarazić?

- Jest bardzo mały - wyjaśnił Udałow. - Bez mikroskopu nie da się go zobaczyć.

- To dlaczego zwlekacie z dostarczeniem mikroskopu?! - zdenerwował się wódz. - Nie mogę nawet zobaczyć swoich wrogów!

W tym momencie Ostradamus zauważył, że Tulia przesunęła się na krawędź zastępującej serwetę skóry.

- Z powrotem! - zawołał karzeł, a domyślny dziadek wodza szarpnął za sznurek.

Ręka Tulii zawisła w powietrzu.

- Chciała go podnieść - powiedział karzeł, klękając i wodząc nosem nad samą serwetą. - Musi gdzieś tu być.

Karzeł tak się spieszył, że przewrócił nogą półmisek z pieczoną gęsią i dzban z samogonem. Ale nikt się nie obraził. Wszyscy byli zbyt pochłonięci biegiem wydarzeń.

- Wrzątek! - krzyknął karzeł wyciągając do tyłu rękę. - Szybko!

W jego głosie i ruchach było coś, co przypominało Udałowowi chirurga, który w dzieciństwie wycinał mu migdałki.

Sługa trzymający w rękach miedziany czajnik posłusznie podał go karłu i ten zaczął polewać wrzątkiem brzeg skóry. Nagle rozległ się głośny pisk. I ucichł...

Tulia podniosła ręce i powiedziała z boleścią:

- Chwała ci, mój cioteczny rodaku! Poległeś w walce z przebiegłymi wrogami.

- I po wszystkim - powiedział karzeł, prostując się i oddając czajnik słudze. - Jeden wróg załatwiony. Radzę jak najszybciej zająć się drugim.

- Co wy się tam grzebiecie! - krzyknął wódz na sługi. - Stosu nie umieją ułożyć!

Wódz, będąc człowiekiem pierwotnym, zatarł ręce w przedsmaku okrutnego widowiska.

- Korneliuszu - zaczęła błagać dziewczyna. - Znasz przecież moją mamę.

- - Tak - potwierdził Udałow.

- Korneliuszu, moje uczucia do ciebie pozostały takie same. Byłam tylko zmuszona je ukrywać. Teraz już nie będę. Jestem twoja. Możesz zrobić ze mną, co zechcesz. Możesz mnie nawet zabić własnymi rękami.

- Nie - powiedział Korneliusz. - Trudno mi w to uwierzyć. Wiem, że siedzi w tobie przebiegła naczelna matka i to ona mówi twoim głosem.

- Mówimy razem - powiedziała Tulia. - W miłości do ciebie jesteśmy absolutnie solidarne, Korneliuszu. Razem ukryjemy się na jakiejś dalekiej planecie i będziemy żyć w miłości i zgodzie.

Korneliusz wstał z miejsca i zrobił krok w jej kierunku. Miłość płonęła w nim silnym ogniem.

Cóż, zdarza się! Korneliusz dokładnie zdawał sobie sprawę ze zgubności swoich uczuć do dziewczyny, w której wnętrzu czaił się zły i obojętny mikroby. Nie powinien jej kochać! Ale nie kochać jej już nie mógł.

- Trzeba będzie go związać! - zawołał Ostradamus. - Jest teraz niebezpieczny. Przypomina towarzyszy Odyseusza, którzy usłyszeli śpiew syren i skoczyli do morza.

- O Odyseuszu opowiesz nam potem - powiedział wódz. - A Udałowa zwiążemy. Nie znoszę, gdy dla ładnej kobiety mężczyźni tracą poczucie godności osobistej.

Na znak wodza słudzy rzucili się na Udałowa i już zaczęli go wiązać, gdy Udałowowi przyszedł do głowy znakomity pomysł.

- Już wiem! - krzyknął, próbując wydostać się spod silnych, młodych ciał' dzikich wojowników. - Spróbuję uratować Tulię!

- To podstęp - powiedział karzeł. - Miłosny szal.

- Podstęp - zgodził się wódz.

- Ja też kiedyś kochałem - przypomniał sobie dziadek. - I mnie też wiązano.

Tylko grabarz się nie odezwał. Siedział z boku i obgryzał kość. Dawno nie widział prawdziwego jedzenia.

- No co mam zrobić, żeby móc zbliżyć się do dziewczyny? Co mam zrobić? - pytał zrozpaczony Udałow.

- Nie wolno ci się do niej zbliżać - powiedział karzeł.

- Ale dla mnie mikroby nie są niebezpieczne.

- Tak, a potem będzie za późno.

- Wykupię od ciebie dziewczynę - zaproponował Udałow wodzowi.

- Nie sprzedaję osób przeznaczonych na ubój - w głosie wodza dźwięczała godność osobista.

- Czyżby nie było żadnego wyjścia! - krzyczał Udałow, wijąc się pod wojownikami.

- Myśl, Udałow, myśl! - podtrzymywała go dziewczyna. - Jestem z tobą!

- Jest wyjście - powiedział nagle dziadek.

- Nazwałbym to raczej samobójstwem - odpowiedział wódz, który rozumiał swojego dziadka w pół słowa.

- To prastary zwyczaj - rzekł dziadek - i nie nam go zmieniać. Społeczeństwu bez tradycji grozi degradacja.

- Jaki zwyczaj? - zainteresował się Udałow.

- Jak przyleci, to możesz uznać, że miałeś szczęście. Albo pecha.

- Kto przyleci? - zapytał Ostradamus.

- Ten, na którego czekacie. Sami powiedzieliście, że chcecie na nim stąd odlecieć. I że się nie boicie.

- Chcieliśmy odlecieć statkiem kosmicznym.

- Z powodu niskiego poziomu naszej cywilizacji nie mamy pojęcia o statkach kosmicznych - oświadczył wódz. - Nie ma u nas czegoś takiego.

- No to kto w takim razie u was lata po niebie? Kto wypalił to pole? - zdziwił się karzeł. - Czyje to lądowisko?

- Wiadomo - powiedział wódz. - Smoka.

- Jeszcze nam tylko smoka brakowało! - zdenerwował się Ostradamus. - Czemu nas w takim razie wprowadziliście w błąd?

- Sami się wprowadziliście - zauważył wódz.

- I co mam zrobić z tym smokiem? - wychrypiął przygnębiony Udałow.

- A co się zazwyczaj robi ze smokami? Zabić. Odrąbać wszystkie trzy głowy. Co prawda, jeszcze nikomu się to nie udało.

- To niepoważne - powiedział karzeł. - Udałow jest nam potrzebny żywy.

- Zwyczaj jest zwyczajem. Ustanowili go nasi przodkowie. Jeśli bohater chce dostać dziewczynę, musi zmierzyć się ze smokiem. I zginąć. Ale jeżeli pokona go w uczciwej walce, to dostanie dziewczynę i będzie mógł się z nią ożenić.

- Wspaniały zwyczaj! - powiedziała Tulia tak słodko, że jeżeli nawet Udałow miał jakieś wątpliwości i obawy, to o nich zapomniał.

- Jestem gotów! - zawołał. - Gdzie ten smok?

ROZDZIAŁ 22

W którym Udałow bierze udział w śmiertelnej walce.

Smok nie kazał na siebie długo czekać. Czy usłyszał, że go wzywają, czy może poczuł zapach pieczonego mięsa, w każdym razie wkrótce, zasłaniając błoniastymi skrzydłami słońce i wyciągając do przodu trzy dyszące ogniem głowy, wylądował na polu lotem ślizgowym. Słudzy czym prędzej zebrali resztki jedzenia i uczujący wycofali się pod osłonę drzew.

Smok bez pośpiechu obszedł lądowisko, dmuchnął ogniem z nozdrzy, zmiotł pył kolczastym ogonem, zlizął resztki uczyty i ułożył się do snu.

Udałow zrozumiał, że się boi. Śmiertelnie. Nigdy wcześniej nie widział smoków i nie myślał, że są takie ogromne i tak doskonale opancerzone grubą łuską.

- Puście go - rozkazał wódz. - Niech się doprowadzi do porządku, przygotuje. Niech sobie wybierze konia i odpowiednią broń.

Junacy rozstąpili się, pomogli Udałowowi wstać. Wszyscy patrzyli na niego z nieukrywanym podziwem. Wszyscy oprócz karła.

- Głupi jesteś, Udałow - westchnął Ostradamus. - Co sobie ludzie pomyślą! Międzynarodowy działacz, kierownik przedsiębiorstwa budowlanego, ojciec dzieciom, a rzucą się do walki z niezwyciężonym smokiem dla dziewczyny o wątpliwej reputacji.

- Moją reputację zostaw w spokoju - zareagowała ostro Tulia.

- Ona ma rację - powiedział ze smutkiem Udałow. Najchętniej nie walczyłby z tym smokiem, ale jeśli jesteś Ziemianinem i dałeś słowo, to musisz go dotrzymać. A Udałow dał słowo, w dodatku dwa razy. Po pierwsze, obiecał matce, że odnajdzie i przywiezie jej córkę; po drugie, dał słowo, że uwolni dziewczynę spod władzy mikroba. Nie mówiąc już o własnych uczuciach.

Udałow popatrzył na konia, którego mu przyprowadzono, i pokręcił przecząco głową. Nigdy w życiu nie siedział na koniu. Miecz przyjął. Miecz był przyciężki, ale przecież nie pójdzie na smoka z gołymi rękami.

Karzeł podał Udałowowi leżący na ziemi pistolet.

- Proszę - powiedział. - To pana jedyna realna nadzieja.

- Dziękuję - odparł Udałow wypranym z nadziei głosem.

- Celuj pan w oko - poradził karzeł.

- W które? - zapytał Udałow.

Smok miał sześć oczu i wszystkie bardzo małe.

- Naprzód! - powiedział wódz, kładąc Udałowowi rękę na ramieniu. - Życzę ci szczęścia. Jestem wzruszony twoim odważnym czynem. Gdy osiągniemy już odpowiedni poziom cywilizacji, postawimy ci pomnik.

- Ja też kiedyś kochałem - rzekł dziadek. - Ale nie odważyłem się wyruszyć na smoka.

- No i dobrze - podsumował wódz. - Ożeniłeś się z moją babcią i urodził się wam mój tata.

Inaczej mogłoby mnie nie być.

- Możliwe, możliwe - szepnął dziadek i jego oczy zasnuły się mgiełką wspomnień.

Wódz delikatnie pchnął Udałowa w plecy. Na nogach jak z waty Udałow poszedł w stronę smoka. Smok go nie widział, leżał i spokojnie pochrapywał, wypuszczając przez nozdrza cuchnący dym, od czasu do czasu uderzając ogonem o ziemię - najwidoczniej śniło mu się coś złego.

W miarę jak Udałow zbliżał się do potwora, pokryty łuską bok zwierzęcia wznosił się coraz wyżej. Po chwili zasłaniał już połowę nieba. Powoli wydymał się i opadał. Gdy Udałow był już zupełnie blisko, smok przekreślił się przez sen, podrapał szponiastą łapą po pancernej piersi. Rozległ się okropny zgrzyt. Udałow zdążył odskoczyć w ostatniej chwili.

Do diabła z nim, pomyślał małodusznie. I tak go nie zabiję. Jak bym mógł zabić takie dzikie i pewnie rzadkie zwierzę, które nie zrobiło mi nic złego!

Już miał wrócić do ludzi i oznajmić im swoją decyzję, gdy usłyszał delikatny głos ukochanej:

- Korneliuszu, śmiało! Jeśli umrzesz, umrę razem z tobą! Umrę w strasznych męczarniach, spalona na stosie ku uciesze tych dzikusów.

Udałow opanował się, wziął szeroki zamach i uderzył mieczem w okryty łuską bok. Brwi smoka uniosły się w zdziwieniu. Zapewne z wysokości czteropiętrowego budynku, na której znajdowały się oczy potwora, Udałow wydawał się stworzeniem marnym i niegodnym uwagi.

- Ach, ty! - wykrzyknął Udałow, widząc, że smok znowu zamyka oczy i zamierza zignorować wroga. - Uwważaj! - I znalazłszy szczelinę w stalowej łusce, Korneliusz wbił w nią koniec miecza.

Wtedy smok się już poważnie zdziwił. Podniósł nawet łapę, żeby odpędzić natrętnego robaczka. Ale Udałow był na to przygotowany, odskoczył na dziesięć metrów i wyjął pistolet. Smok podniósł wszystkie trzy głowy i plunął w stronę Udałowa ogniem. Korneliuszowi osmoliło brwi i rzęsy, a białe niegdyś slipki - jedyne ubranie, jakie miał na sobie - zrobiły się brązowe. Zabolało.

Udałow podniósł pistolet i wystrzelał w smoka cały magazyr nek, starając się celować w oko. Kule odbijały się od mordy potwora, tylko jedna trafiła w cel. Smok podniósł łapę i wyciągnął z oka kulę jak paproch.

Teraz Udałow był już niemal bezbronny, a smok obrażony i nie na żarty rozżłoszczony. Zdecydował, że rozprawi się z krzywdzicielem jednym uderzeniem. Podniósł łapę. Mimo że nie trafił - z wiekiem stracił zręczność i precyzję ruchów - kawałki zerwanej ziemi uderzyły w Udałowa jak kartacz.

Ale nie zdołało go to powstrzymać. Każdego, nawet najbardziej nieśmiałego i przeciętnego człowieka można doprowadzić do takiego stopnia rozpacz, że staje się bohaterem. W chwili gdy widzowie tego zapierającego dech pojedyńku odbiegli nieco dalej, Udałow znowu podniósł miecz i ruszył na smoka z samobójczą odwagą. Był gotów na śmierć, ale nie zgadzał się na przegraną.

Nic więc dziwnego, że nie zauważył nad sobą gęstego cienia. Nie zauważył go również smok, który stanął na zadnich łapach i szykował się do walki z człowiekiem.

Ale z lądującego statku kosmicznego cała ta scena była widoczna jak na dłoni. Kupcy, którzy przylecieli na planetę, chwycili za kamery i zaczęli gorączkowo filmować to widowisko.

Wszystkie trzy głowy smoka wypuszczały strumienie ognia i dymu, łapy cięły powietrze, chybiając o milimetry, ale Udałow przedarł się przez te przeszkody i wbił miecz w brzuch potwora. Smok poczuł łaskotanie, przycisnął łapy do brzucha i zaczął się drapać. I w tym momencie zauważył wiszący nad nim statek kosmiczny.

Nie miał doświadczenia w kontaktach ze statkami kosmicznymi - wyrósł i spędził życie na

zacofanej planecie. Nic więc dziwnego, że się pomylił i wziął statek za innego smoka. Zapominając o Udałowie, ciężko wzbil się w powietrze i spróbował stracić statek, który z trudem wytrzymał taki atak. W burcie pojawiło się głębokie wgniecenie, statek zaczął szybko tracić wysokość.

Ale ze smokiem było jeszcze gorzej. Pierś rozbita, skrzydło pogiete, głowy ogłuszone... Smok uznał się za pokonanego i powoli, ciężko łopocząc skrzydłami, poleciał w stronę gór lizać rany.

Udałow, który upadł na ziemię, gdy smok wzbil się w powietrze, wstał z trudem. Ciągle jeszcze nic nie rozumiał, nie wiedział nawet, czy jest zwycięzcą, czy zwyciężonym.

Ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Wszyscy patrzyli na statek kosmiczny. Z różnymi uczuciami. Dzikusy z przerażeniem i zdumieniem.

Karzeł z nadzieją, że są to pokojowo nastawieni kupcy, którzy pomogą Udałowowi dostać się na cywilizowaną planetę. Tulia też z nadzieją, że oto z odsieczą nadlatują powłoki mikrobow.

Udałow, nie bacząc na rany i zmęczenie, błyskawicznie ocenił sytuację i podszedł do Tulii. Prawie nikt nie zwrócił na to uwagi.

Tulia spostrzegła się dopiero wtedy, gdy Udałow trzymał ją w ramionach.

- Ty co? - próbowała się wyrwać, odpychając Korneliusza obiema rękami. - Nie pora teraz na miłość.

Ale Udałow jej nie wypuszczał z objęć.

- Jeden pocałunek dla zwycięzcy smoków - powiedział. - Obiecałaś.

- Ach, co za głupstwa! - zawołała piękność. - Całuj, tylko szybko. Teraz, mam nadzieję, stos mi już nie grozi. A ty, gołąbecz-ku, i tak zginiesz.

Ale oczy Tulii, nad którymi naczelna matka chwilowo straciła kontrolę, zdradziły prawdziwe uczucia dziewczyny - wdzięczność dla odważnego mężczyzny. Pocałunek był długi i namiętny.

- Zuch, zasłużyłeś na ten skromny dar - zauważył dziadek wodza, który był romantykiem i dlatego patrzył na Udałowa, a nie na statek kosmiczny. - Szkoda, że ja w swoim czasie nie stanąłem do walki ze smokiem.

Łapiąc oddech, Udałow odsunął się od Tulii, a grabarz, który ze względu na rodzaj pracy i własny charakter odnosił się do ludzi z nieufnością, powiedział:

- To do ciebie niepodobne, Udałow.

Włożył do ust kolejny kawałek mięsa i popił winem. Korzystał z tego, że uwaga otoczenia skupiona jest na statku.

- Nie rozumiem - powiedział Udałow, ale na jego wargach igrał dziwny uśmiech.

- Rozumiesz, rozumiesz - westchnął grabarz, rozglądając się, czy nie zostało jeszcze coś do zjedzenia. - Ale czuję, że wykombinowałeś jakiś podstęp. Wierzę, że zakochałeś się w tej dziewczynie, i tym bardziej mnie dziwi, że rzuciłeś się do niej z pocałunkami, ot tak, bez pozwolenia.

- Poczekaj - powiedział Udałow, spoglądając kątem oka na wzburzoną Tulię, która przyciskała do piersi obnażone, wymazane ziemią ręce i patrzyła, jak ze statku wysuwa się pochylnia.

Nagle jej twarz wykrzywił okropny grymas.

- Co się dzieje? - zapytała. - Kto mnie atakuje?

- Co? - zapytał rzeczowo grabarz. - Pora na pogrzeb?

- Nie spiesz się - odpowiedział Udałow, nie skrywając triumfalnego uśmiechu. - A jeśli nawet, to potrzebna będzie bardzo mała trumienka.

- Wszystko rozumiem! - wykrzyknęła dziewczyna, wijąc się w konwulsjach. - To twoja sprawka, wstrętny człowieku! Wykorzystałeś to, że byłam zajęta czym innym, i pocałowałeś mnie w usta.

- Zgadza się - odpowiedział Udałow. - A jak wiadomo, w czasie grypy i innych chorób zakaźnych pocałunki są kategorię przeciwwskazane. To najpewniejsza droga przejścia infekcji z jednego

organizmu do drugiego. Pomyślałem sobie, że do mojego ciała naczelną matką nie odważy się przejść. Wie, że to dla niej śmierć pewna. A o tym, że moje mikroby mogą przedostać się do organizmu Tulii, w zamieszaniu nie pomyślała.

- O biada, biada! - jęczała Tulia. - Jedzą mnie żywcem! Ratunku... na pomoc...

Głos pasożyta słabł i Tulia niepewnie ruszyła w stronę statku, mając nadzieję, że przylecieli jej rodacy. Ale sznurek, który przez cały czas trzymał obserwujący tę scenę dziadek wodza, nie pozwolił jej daleko odejść.

- Wszystko jasne - powiedział dziadek, gdy Tulia zgięła się wpół. - Nieszczęsna jest nawiedzona przez diabła, który teraz dzięki czarom Udałowa z niej wychodzi.

- Coś w tym rodzaju - zgodził się Udałow.

Drzwi statku otworzyły się i po pochylni wyszli, starannie i modnie ubrani, ufryzowani i wymyjni kupcy.

- To nie ci! - wyszeptała na ich widok Tulia, zachwiała się, pisnęła ostatnim krzykiem naczelnej matki i bez zmysłów padła na ziemię.

- Niech mnie ziemia pochłonie! - rozległ się tubalny okrzyk wodza, który podjechał do statku. - Kogo ja widzę! Mój przedostatni kapłan! Gdzie przyrząd?

- Jedną chwileczkę - odpowiedział starszawy mężczyzna w haftowanej todze.

Szerokim gestem wskazał drzwi statku. Po pochylni triumfalnie zjechał kolorowy telewizor.

- Oto obiecany przyrząd! - powiedział kapłan.

- O przyrządzie, jakże jesteś piękny! - wykrzyknęły dzikusy, padając plackiem przed telewizorem.

- Szarlatan - wymamrotał Udałow, nachylając się nad Tulia.

- Teraz to dopiero zacznie się tu rozwój cywilizacji - podsumował stary cynik grabarz muchomor, obgryzając baranie udo.

ROZDZIAŁ 23

W którym Udałow zjawia się na ZIZ i spotyka z żoną.

Kierownictwo ZIZ, jego delegaci, rząd planety, nie mówiąc już o przyjaciołach, byli pogrążeni w najczarniejszej rozpaczce.

Taką właśnie sytuację zastał Udałow, gdy schodził ze statku na sputniku planety i taki sam jak zawsze, wesóły i radosny, pełen siły i energii poszedł w kierunku centrum medycznego.

Rozpoznano go, zanim zdążył otworzyć usta.

Najpierw po sali przetoczył się szept:

- Udałow! Udałow wrócił! A więc żyje! Co za szczęście dla ludzkości!

A potem szept przerodził się w głośnie i radosne okrzyki.

- Udałow! - grzmiała sala.

Lekarze i celnicy wzięli zaginionego bez wieści delegata na ręce i zanieśli do kutra, który zmienił kurs i poleciał na planetę.

Być może, gdyby Udałow nie zniknął w tak dramatycznych okolicznościach, gdyby nie stał się ośrodkiem intryg i niepokoju, jego znaczenie dla delegatów i losów ZIZ nie byłoby tak ogromne. Ale teraz, gdy już nikt nie wierzył w jego powrót, powitanie Udałowa przerodziło się w święto narodowe.

Apogeum radości przypadło na moment, gdy zmieszany Udałow wszedł na salę.

Delegaci wstali. Przecież w czasie jego nieobecności nikt o niczym innym nie mówił, jego Skromne przemówienie, wygłoszone w dniu otwarcia zjazdu, we wspomnieniach świadków

przerodziło się w referat o fundamentalnym znaczeniu. Hasło „Przeciętność jest niepokonana”, rzucone przez Udałowa z trybuny, stało się najbardziej rozpowszechnionym zwrotem na planecie. Kilka miast walczyło o prawo postawienia Udałowowi pomnika, w razie gdyby go nie odnaleziono, a jedna niewielka nieodpowiedzialna planetka Przekaj oficjalnie ogłosiła, że Udałow urodził się na niej, w niewielkim miasteczku i w dzieciństwie został stamtąd wykradzony przez Ziemiaków.

Na próżno Korneliusz wymawiał się zmęczeniem i złym samopoczuciem. Wśród burzy oklasków zmuszono go do wejścia na trybunę i wygłoszenia mowy.

Odchrząknął, obciągnął poły marynarki i zaczął mówić swoim, tak wszystkim znanym wysokim, nieśmiałym głosem:

- Witajcie, drodzy koledzy, drogie przeciętne istoty wszechświata. Cieszę się, że mogłem powrócić na łono naszego zjazdu.

Rozległy się gromkie brawa, które w czasie przemówienia z rzadka cichły.

- Zapewne wszyscy - ciągnął Udałow - zadajecie sobie pytanie: gdzie byłem przez cały ten czas, gdzie przepadłem i dlaczego nikogo nie uprzedziłem? Pozwolicie, że zacznę od sprawy najważniejszej. Byłem na planecie Ke.

W sali zapadła cisza.

- Wiedziałem o niebezpieczeństwie grożącym całej ludzkości. Wiedziałem o tajemnicy związanej z tą planetą i uznałem za swój obowiązek udać się tam osobiście w towarzystwie mojego przyjaciela, tłumacza synchronicznego Tori. Zdecydowaliśmy, że albo rozwiążemy tajemnicę i zlikwidujemy niebezpieczeństwo, albo zginemy.

Gdy umilkły brawa, Udałow mówił dalej:

- Po pokonaniu wielu przeszkód i przeciwności dotarliśmy na planetę Ke. Okazało się, że obawy nie były płonne. Planeta Ke została podbita przez mikroorganizmy, które wdarły się do ciał wszystkich mieszkańców planety i zamierzały prowadzić dalszą ekspansję, zaludnić swoimi potomkami ciała wszystkich żyjących w Galaktyce istot i w ten sposób zniewolić kosmos. Na szczęście udało mi się znaleźć sposób na unieszkodliwienie mikrobów. Niestety, nasza walka, o której bardziej szczegółowo opowiem przy najbliższej sposobności, była ciężka i pociągnęła za sobą ofiary. Z rąk mikrobów śmiercią walecznych zginął nasz wspólny przyjaciel, tłumacz synchroniczny Tori z planety Tori-Tori. Uczcijmy jego pamięć minutą ciszy.

Głos Udałowa zadrżał. Przewodniczący ZIZ G-G nalał mu wody z karafki i podsunął pod rękę. Ale Udałow pokręcił głową. Mówił dalej:

- Trudno sobie wyobrazić, jak znęcano się i pastwiono nad rozumnymi istotami na planecie Ke. W każdej z nich siedział mikrob, który mówił, co ma robić, co jeść i jak się rozmnażać.

Okrzyki oburzenia przetoczyły się przez salę zjazdu. W oczach wielu delegatów zalśniły łzy.

- Chociaż tajemnica została rozwiązana - ciągnął Udałow - i podjęto już pewne kroki, ludność planety Ke jest wyczerpana, pozbawiona wsparcia i zupełnie zdemoralizowana. Musimy ratować naszych przyjaciół. Jak to zrobić, jak pomóc naszym braciom w rozumie, jeszcze nie zdecydowałem i dlatego teraz proszę was o radę.

Udałow usiadł i skromnie odwrócił się od huraganu oklasków.

Rozległy się okrzyki na jego cześć oraz rady, jak uratować planetę Ke. Panował niewyobrażalny hałas i nikt nie zauważył, jak do sali wpadła zdyszana i potargana, zmęczona przesiadkami i wyczerpana nerwowo Ksenia Udałowa, którą trzymał pod rękę Mikołaj Białosielski.

Ksenia od razu zauważyła swojego męża i pomachała mu ręką. Ale oczywiście w tym hałasie i ogólnym machaniu kończynami nie została zauważona.

- Widzisz go! - krzyknęła Ksenia do Białosielskiego. - Siedzi! Specjalnie mnie zdenerwował.

Może nawet wcale nie zginął.

- No i dobrze - powiedział Białosielski z ulgą. - Czyli możemy wracać. Podejmiemy do niego w czasie przerwy, złożymy życzenia szczęścia i sukcesów w pracy, a potem wrócimy do domu.

- Nie - odpowiedziała twardo Ksenia. - Nie po to tu za nim jechałam, żeby go teraz zostawić samego. Postanowiłam, że wrócimy do domu razem.

Przerażony Białosielski rozumiał, że nie ma na tę kobietę żadnego wpływu. Zrozumiał też coś jeszcze: wyjechał wprawdzie z Guslaru, i to dalej niż do Pietropawłowska, ale i tak nie udało mu się uwolnić od ciężaru przeszłości.

- Popatrz, Kola - mówiła tymczasem Ksenia, która umiała się szybko uspokajać. - Wszędzie są portrety mojego męża i plakaty w niezrozumiałych językach też na jego cześć. Szanują go tu. To przyjemne. Pójdę i powiem, że jestem jego żoną.

- Mylisz się, Ksiusza - powstrzymał ją Białosielski. - W ten sposób okazują szacunek nie tylko Korneliuszowi, ale wszystkim mieszkańcom naszej planety. A ja i ty jesteśmy tylko jej szeregowymi obywatelami i nie powinniśmy o tym zapominać.

Przewodniczący zjazdu G-G wszedł na trybunę i postukał ołówkiem w karafkę.

- Cisza! - zawołał.

Delegaci uspokajali się powoli. W końcu jednak udało się uciszyć salę. Wtedy przewodniczący powiedział:

- Po naradzie z delegatem Udałowem podjęliśmy decyzję, którą chciałbym teraz poddać pod głosowanie. Proponujemy wszystkim delegatom, którzy mogą i chcą podróżować w środowisku tlenowym, zorganizowanie - oczywiście z zastosowaniem wszelkich niezbędnych środków ostrożności - podsumowującego posiedzenia na nieszczęsnej planecie Ke> demonstrując tym samym naszą solidarność z jej mieszkańcami. Jednocześnie będziemy mogli zorientować się na miejscu, w jaki sposób najlepiej im pomóc.

Udałow zerwał się z miejsca i krzyknął:

- Popieram tę propozycję z całego serca! Niech żyje nasz przewodniczący G-G!

W sali rozpętała się burza braw. Jedyne dysonans stanowiły protesty delegatów, którzy nie oddychali tlenem, a również chcieli natychmiast lecieć na planetę Ke.

Ksenia, znająca tylko język rosyjski, niewiele zrozumiała, ale była dumna ze swojego męża i głośno krzyknęła:

- Niech żyje mój mąż Korneliusz Udałow! Tak trzymać!

Jej krzyk przebił się przez ogólny harmider, wielu delegatów się obejrzało. Przez salę przetoczyła się wiadomość, że żona Udałowa przyleciała z Ziemi, by wziąć udział w tym historycznym momencie.

- Niech pani przejdzie do prezydium! - krzyczeli delegaci. Ksenia z zadowoleniem posłuchała tej rady. Chciała nawet wejść na górę, ale powstrzymał ją głos Udałowa:

- Kseniu, opamiętaj się! Stawiasz mnie w niezręcznej sytuacji.

- To ty mnie postawiłeś w niezręcznej sytuacji, gdy uciekłeś z domu! - odcięła się Ksenia, ale nie weszła wyżej. Niezdecydowana zatrzymała się na stopniach.

- Poczekaj - powiedział do niej Udałow. - Zaraz zorganizujemy podróż na wyzwoloną przeze mnie planetę i znowu będziemy razem.

Przewodniczący zaproponował delegatom przegłosowanie pomysłu Udałowa. Delegaci jednomyślnie podnieśli ręce, łapy, macki, pazury i inne kończyny.

- Propozycja została przyjęta - oznajmił przewodniczący. - Statki już czekają. Możemy rozpocząć załadunek.

Delegaci zaczęli wstawać ze swoich miejsc, przepychając się w pośpiechu, wszyscy chcieli jak najszybciej znaleźć się na planecie Ke. I w tym momencie od drzwi rozległ się zachrypnięty głos:

- Stójcie!

ROZDZIAŁ 24

W którym wszystko zostaje wyjaśnione, bohaterowie nagrodzeni, a złoczyńcy ukarani.

Głos należał do dziwnego stworzenia.

Stworzenie było w samych slipkach, okropnie wymazanych ziemią, na ramionach miało czyjąś kurtkę, twarz podrapaną i poranioną, a wianuszek włosów dookoła łysiny tak splątany i brudny, że nie sposób było określić, do jakiego typu bądź gatunku należy właściciel zachrypniętego głosu. Wystarczyło popatrzeć na zakrwawiony miecz w jego ręce, by zrozumieć, że stworzenie jest prymitywne, agresywne i w żaden sposób nie pasuje do pogodnej atmosfery zjazdu.

Dwie inne istoty stojące po obu stronach dzikusa również były brudne, obszarpane i nie do rozpoznania. Po prawej stronie dzikus stała jakaś nieszczęsna dzika dziewczyna w srebrnym kostiumie kąpielowym, po lewej zupełnie już niezrozumiały fenomen w strasznie pomiętym kapeluszu przypominającym kapelusz muchomora, po którym długo deptano, i w czarnym obszarpanym ubraniu, którego żalostne strzępy wlokły się po podłodze.

- Kto to jest?! - rozległy się okrzyki. - Dlaczego ich wpuszczono?

Brudny nagi człowiek, nie opuszczając miecza, podszedł do trybuny, wszedł na nią pewnym krokiem i powiedział:

- Nie polecicie na żadną planetę Ke. Już tam na was czekają. Zrobią z was takich samych bezwolnych niewolników jak on.

I goły dzikus wskazał mieczem Udałowa.

- To oszczerstwo! - rozległy się okrzyki. - Bandyta! Zabrać go! Szlachetny Udałow wyzwolił planetę Ke od ciemieców! Teraz wszyscy lecimy tam, żeby pomóc ofiarom!

- Szlachetny Udałow nie mógł nic zrobić mikrohom - odpowiedział z uśmiechem dzikus. - Jemu samemu ledwie udało się od nich uciec.

Na te pozbawione szacunku słowa wypowiedziane pod adresem bohatera sala odpowiedziała głośnie śmiechem.

- Proszę wyjść! - zażądał przewodniczący, oglądając się na prawdziwego Udałowa. - W przeciwnym razie zostaniecie wyprowadzeni siłą. Nie przeszkadzajcie w przygotowaniach do lotu na planetę Ke.

- Nie ma mowy o żadnym locie - powiedział bezczelny dzikus. Podniósł miecz i wymierzył go w przewodniczącego. - Ten miecz spłynął krwią smoka i używany jest tylko w słusznej sprawie. A tak przy okazji, ja właśnie jestem Udałowem.

- Precz! - krzyżeli delegaci. - To kpiny!

Ubrany Udałow wstał ze swojego miejsca i rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć: „No i co ja mogę poradzić?”.

- Jeszcze nie wiem, kim jesteś! - wykrzyknął dzikus w slipkach. - Ale podejrzewam, że zostałeś nasłany przez pasożyty, żeby zwabić delegatów na swoją planetę i wszystkich co do jednego zarazić.

- Co za bezczelne kłamstwo! - zawołał ubrany Udałow.

Kłócąc się, Udałow i dzikus zbliżali się do siebie i w tym momencie najbardziej spostrzegawczy delegaci zwrócili uwagę na niezwykle podobieństwo dzikusowi i ubranego Udałowa.

Przewodniczący zagroził drogę nagiemu dzikusowi, osłaniając cofającego się przed napaścią

ubranego Udałowa.

- On ma rację! - wykrzyknęła nagle rozczochna dziewczyna w srebrzystym kostiumie kąpielowym. - To on jest prawdziwym Udałowem! To on pokonał dziesiątki przeszkód, walczył i cierpiał, żeby ostrzec was przed niebezpieczeństwem. Stracił wszystko, nawet ubranie, a wy wierzycie tamtemu samozwańcowi!

Na znak przewodniczącego do sali weszła ochrona. Umiejętnie schwycili gołego dzikusa pod rękę i zaczęli ciągnąć do wyjścia. Miecz z brzękiem upadł na podłogę.

Z punktu widzenia posłusznych prawu i oburzonych przeciętnych delegatów, wybierających się na planetę Ke ze szlachetną misją, wszystko było jasne. Sprawiedliwość zatriumfowała, chuligan został poskromiony. Ale okazało się, że to jeszcze nie koniec.

Wysoki, zgrabny człowiek w ciemnym garniturze i dobranym ze smakiem krawacie zdecydowanym krokiem podszedł do podium, lekko wskoczył na trybunę i zwrócił się do sali.

- Najważniejsze - powiedział - żebyśmy nie popełnili fatalnego w skutkach błędu.
- Nie ma o czym mówić! - zawołał ktoś. - Wszystko jasne.
- A jeśli ten żaloszny dzikus rzeczywiście jest Udałowem? Takie rzeczy się zdarzają.
- Dobrze mówisz, przyjacielu z dzieciństwa, Mikołaju Białosielski! - wykrzyknął dzikus, mocno trzymany przez ochronę. - Trzeba to zbadać.

Ubrany Udałow powtórzył za nim jak echo:

- Tak, przyjacielu z dzieciństwa, Mikołaju Białosielski, trzeba to zbadać. Dziwi mnie tylko, czemu jeszcze masz wątpliwości, że ja to ja.
- Muszę uczciwie przyznać - odpowiedział Białosielski - że tamten człowiek też jest podobny do Udałowa. I dlatego proponuję zapytać o zdanie obecną tu żonę Udałowa, Ksenię. W ten sposób unikniemy omyłki.

- Słusznie! - krzyknął nagi dzikus. - Gdzie jesteś, Ksiusza?
- Tutaj - odpowiedziała masywna małżonka Udałowa.
- To niepotrzebne - powiedział ubrany Udałow. - Po co wplątywać w tę farsę moją szanowną żonę? Po co naszej rodzinie taki rozgłos?

Słowa ubranego Udałowa wywołały zrozumienie i współczucie większości delegatów, ale mimo wszystko ciekawość wzięła górę - był to przecież zjazd istot przeciętnych, które uwielbiają sensację. Kseni pozwolono wejść na trybunę.

Przed nią stało dwóch Udałowów.

Jeden był nieźle ubrany (Ksenia sama kupowała mu ten garnitur), uczesany i w ogóle pozytywny. Drugi budził wątpliwości, a nawet rozdrażnienie. W jego oczach widać było dzikie błyski, jak w odległych latach młodości; był nagi, poraniony i wyglądał żałośnie. Ale i on wywoływał w niej jakieś ciepłe uczucia.

- Ksenia - powiedział solidnie ubrany Udałow. - Wypowiedz swoje zdanie i wkrótce razem wrócimy do naszego rodzinnego ogniska.

- Stęskniłeś się za domem? - zapytała Ksenia.
- Marzę, byśmy znowu byli razem.
- W takim razie ty jesteś moim Korneliuszem - powiedziała Ksenia, ale jej palec, który już-już miała wymierzyć w stronę ubranego Udałowa, zamarł. Na boku rozebranego Udałowa zauważyła znajomy, tak lubiany pieprzyk. - Nie - dodała. - Rozebrany też jest mój.

Sala zahuczała.

- Co za brednie! - nie wytrzymał rozebrany. - Tracimy czas, a mikroboom właśnie o to chodzi. Tulia, powiedz im, że jestem prawdziwy. Powiedz!

Dziewczyna, która weszła na podium, pomimo niechlujnego wyglądu była piękna i młoda.

Powiedziała z pewnością w głosie:

- Z całą odpowiedzialnością powtarzam, że rozebrany Udałow jest prawdziwy.

- To ty jesteś nieprawdziwa! - zawołał ubrany Udałow. - Szpieg mikrobów!

- Poczekaj, Korniusza - powstrzymała go Ksenia. - A ty, ko-chaniutka, kim jesteś dla Korneliusza Udałowa?

- Jestem jego przyjacielem - odpowiedziała dziewczyna.

- Ach, przyjacielem? - głos Kseni tchnął mrozem. - A skąd pochodzisz?

- Stąd, Moja mama pracuje w hotelu...

- Córeczko! - rozległ się kobiecy krzyk.

W stronę Tulii biegła nieszczęsna matka, zalewając się łzami. Dziewczyna rzuciła się do niej.

- Mamo!

Ksenia spojrzała ostro na nagiego Udałowa i zobaczyła w jego wzroku udrękę. Udręka odnosiła się do Tulii.

- Taki mi niepotrzebny - powiedziała Ksenia. - Nawet jeśli jest prawdziwy. Dajcie mi tego pozytywnego.

Po dokonaniu wyboru Ksenia usiadła na wolnym krześle obok swojego męża.

- W drogę, w drogę! - wołał ubrany Udałow. - Teraz już wszystko zostało wyjaśnione.

- Jeszcze nie wszystko - wtrącił się Mikołaj Białosielski. Znał Udałowa od dzieciństwa i dlatego nagi, niepokorny osobnik wzbudzał w nim większą sympatię niż ten pozytywny. - Pozwolicie, że też 'o coś zapytam.

- Pozwolimy? - zapytał przewodniczący.

- Tylko żeby to już było ostatnie pytanie - zgodzili się delegaci.

- Powiedz mi, ubrany Korneliuszu - zwrócił się do niego Białosielski. - Jak nazywał się nasz nauczyciel fizyki?

- Ach, takie głupstwa! - szybko odpowiedział ubrany Udałow. - Nawet nie pamiętam.

- Karabas się nazywał! - krzyknął goły Udałow. - Na chemiczkę mówiliśmy Kwas, a na historyka Iwan Aleksandrowicz...

- Wystarczy - powiedział Białosielski. - Jeszcze jedno pytanie. Tym razem do nagiego Udałowa. Gdzie poznałem twoją żonę?

- Przez całe życie się nad tym zastanawiałem - odpowiedział Udałow. - Najprawdopodobniej na obozie pionierskim. Albo w klu44I bie młodych przyrodników, gdzie ty kroileś żaby, a Ksenia hodowała miczki.

- Nienawidziłem tych żabich operacji - przyznał się Biało-sielski i uściśnął gołemu Udałowowi poranioną rękę. - Poznaliśmy się w kinie.

- To skandal! - oświadczył ubrany Udałow. - Protestuję!

Ale w tym momencie Ksenia, która siedziała z ręką czule położoną na ramieniu ubranego Udałowa, zrobiła gwałtowny ruch i szarpnęła za marynarkę. Marynarka spadła z Korneliusza i okazało się, że pod nią jest złoty smoking pasikonika Tori, tłumacza synchronicznego. Drugim ruchem Ksenia ściągnęła z pasikonika maskę i perukę.

Pasikonik wykonał ogromny skok, próbując się ukryć, ale nagi Udałow był czujny. Jeszcze chwila i Tori, szamocząc się w rękach Udałowa, zaczął jęczeć:

- Jestem niewinny! Padłem ofiarą okoliczności!

- Wezwijcie lekarzy - powiedział Udałow. - Niech wyjmą z Tori pasożyta i zbadają go. Wtedy łatwiej nam będzie znaleźć sposób walki z tym niebezpieczeństwem.

- Ani się ważcie! - zawołał mikroorganizm głosem pasikonika. - Jestem przedstawicielem niepodległego narodu!

Ale lekarze w maskach i fartuchach już do niego szli. Udałow wrócił do Kseni. Ksenia płakała.

- Kiedy się domyśliłaś, koteczku, że to ja jestem prawdziwy? - zapytał żonę.

- A wtedy - odpowiedziała Ksenia - gdy ta szantrapa z długimi nogami zaczęła cię bronić. Ty Don Juanie niemyty!

I na oczach całego zjazdu Ksenia wymierzyła ukochanemu mężowi siarczysty policzek.

Oczywiście, ten fakt nie przeszkodził delegatom jednogłośnie wybrać Udałowa na honorowego przewodniczącego Związku Istot Zwyczajnych, jako najbardziej godną i najbardziej przeciętną ze wszystkich przeciętnych istot Galaktyki. Od tamtej pory nawet w najbardziej odległych systemach gwiazdnych nazywa się go oficjalnie przewodniczącym kosmosu i zwycięzcą smoka, a mniej oficjalnie - pogromcą pasożytów.

ROZDZIAŁ OSTATNI

Wieczorem, przed odjazdem do domu, gdy skończyły się uroczystości związane z mianowaniem Udałowa na tak odpowiedzialne stanowisko, a manifestacje, karnawałowe pochody i koncerty powoli dobiegały końca, Udałowowie odosobnili się w swoim pokoju.

Ksenia zszywała mężowi marynarkę, rozprutą podczas demaskacji pasikonika, a Udałow przeglądał papiery: te, które mogły przydać się na Ziemi, odkładał na prawo, pozostałe na lewo.

- Teraz to już nie dam sobie z tobą rady - powiedziała Ksenia, odgryzając nitkę. - Co drugi dzień będziesz w kosmos latał, jak nie na posiedzenie, to na zebranie.

- Nie ma mowy - rzekł Udałow. - Jak chcą, to niech sami przyjeżdżają. Ja mam swoją pracę.

- Będziesz latał, będziesz. Do tej swojej ukochanej.

- Ona nie jest moją ukochaną, Ksiusza - zaprotestował Udałow. - Ona tylko wykonywała zadanie.

- A ty się napuszyłeś jak młody kogut.

- Wybacz.

- Nigdy. Żeń się z nią, nie mam nic przeciwko. Zamieszkasz tutaj, zajmiesz się pracą społeczną, ze smokami będziesz walczył.

- O mnie to nigdy ze smokami nie walczyłeś.

- U nas nie ma smoków - przypomniał Udałow.

Ale głos miał niewesoły. Jakieś ślady gorącego uczucia do Tulii w nim pozostały. I chociaż jeszcze w drodze do domu Tulia tłumaczyła Udałowowi, że jest mu wdzięczna, że go szanuje i uważa za swojego przyjaciela, ale nic poza tym, i że teraz całkowicie poświęci się nauce, by wymazać z pamięci potworne i haniebne miesiące niewoli, Udałow ciągle nie mógł zapomnieć jej oczu i powtarzanych zaklęć: „Od pierwszego wejrzenia... i na całe życie!”

Czy rzeczywiście niektóre kobiety potrafią tak lekko i przekonująco udawać? Jak trudno w to uwierzyć... i jak nie chce się w to wierzyć.

Udałow spojrział na Ksenię kątem oka i zaczął zwawiej przekładać papiery, obawiając się, że żona swoim zwyczajem zaraz odczyta jego myśli. Ale Ksenia nie zdążyła. Ktoś zapukał do drzwi.

Wszedł Białosielski z Tulią. Na widok dziewczyny Ksenia zmarszczyła się, Udałow też. Oboje z różnych powodów. Kseni Tulia w ogóle się nie podobała, a Udałowowi nie podobało się, że Tulia kładzie swoją złotą główkę na ramieniu Mikołaja, zachowując się przy tym tak, jakby było to najbardziej naturalne na świecie.

- Przynosimy smutną wiadomość - oznajmiła Tulia.

- Mówcie.

Udałow starał się przezwyciężyć zazdrość o przyjaciela z dzieciństwa. Wpadało się przyzwyczaić. Tulia już trzeci dzień chodziła przytulona do Mikołaja.

- Przyszedł telegram, z dzikiej planety. Wódz i dziadek ślą pozdrowienia i życzą nam szczęścia w życiu osobistym. Oglądają przyrząd i czekają na bogate plony.

- I co w tym smutnego? - zapytał Udałow.

- Przepowiadacz umarł. Umarł nasz Ostradamus.

- To niemożliwe! - Udałow podszedł do okna i przywarł czołem do chłodnej szyby. - A więc sprawdziła się jego ostatnia przepowiednia.

- Tak. Obudził się rano w dniu swojej śmierci, wesóły, zupełnie zdrowy i powiedział, że widocznie nie uda mu się umrzeć śmiercią naturalną. Potem napisał list do Udałowa, wyszedł w pole, odszukał smoka i nazwał go żalną żabą.

- Gdzie jest ten list? - zapytał Udałow.

- Tutaj.

Tulia podała Udałowowi niewielką kartkę. Udałow przeczytał:

„Drogi Korneliuszu!

Przypomniałem sobie jeszcze jeden szczegół z pana przyszłego życia. Ukryłem go przed panem, ponieważ dowodził, że pan przeżyje, a to sprawiłoby, że nie zachowywałby się pan naturalnie. Będąc w wirze czasu, zobaczyłem, że nie wypełnił pan planu rocznego i z inicjatywy Białosielskiego otrzymał pismną naganę.

Żegnaj, Korneliuszu, szczerze pana polubiłem. Jeśli sam nie umrę, spróbuję dokończyć pańską walkę ze smokiem. Coś mi się ten smok nie podoba.

Niech pan nie zapomni przysłać wodzowi mikroskopu”. List był nie podpisany.

- Wszystko jasne, Ostradamusa zgubiła próżność... i poczucie odpowiedzialności. - Udałow podał list Białosielskiemu, żeby też mógł się z nim zapoznać.

Białosielski przeczytał i powiedział:

- Wszystko może się zdarzyć. Zobaczymy pod koniec roku. Do pokoju zajrzała sprzątaczką z Atlantydy.

- Jesteś tu, Tuliczko? Już się zaczęłam niepokoić. Boję się puszczać cię od siebie nawet na pół godziny.

- Proszę się nie obawiać - powiedział Białosielski. - Będę się troszczył o pani córkę. Może mi pani zaufać.

- Ach, właśnie, mamusiu - odezwała się Tulia tym samym czułym głosem, którym niegdyś wysyłała Udałowa na bój. - Zdecydowaliśmy z Kolą, że się pobierzemy.

- Chwała Bogu, że się od mojego odczepiła - mruknęła Ksenia. Sprzątaczką z Atlantydy zachwiała się na nogach, szykując się, żeby zemdleć, i Udałow musiał pobiec po wodę. Nic nie powiedział - i tak wszystko było jasne. Niepotrzebnie walczył ze smokiem. Mógł sobie walczyć nawet z dziesięcioma potworami, i tak piękne kobiety dostają prymusi. Ale czy ktoś by się domyślił, że są takie piękne, gdyby nie było zwykłych kobiet, naszych żon, z którymi je porównujemy? Poza tym nasze żony mają swoje zalety. I Udałow popatrzył z czułością na Ksenię.

Drzwi znowu się otworzyły. Do pokoju wjechała maszyna, za którą szedł, popychając ją, pasikonik. Obok, pomagając mu, kroczył przedstawiciel komitetu organizacyjnego G-G.

- Drogi Korneliuszu - powiedział G-G, gdy pasikonik wieszał na ścianie niewielki ekran - z szacunku dla twoich zasług wobec mieszkańców Galaktyki ZIZ wykupił u magnatów kina mnemo-

film, nakręcony bez twojej wiedzy przez synchronicznego tłumacza Tori na podstawie twoich wspomnień.

- Już się kajałem - powiedział pasikonik. - Ale jeszcze raz bardzo przepraszam.

- Ponieważ uważamy, że nawet zapomniane wspomnienia są niezbędne dla pełni osobowości, zwłaszcza tak wartościowej jak osobowość Korneliusza, film ten zostanie wyświetlony w taki sposób, że w miarę jego oglądania przedstawione wydarzenia będą wracać do pamięci Udałowa, znikając z taśmy.

Po tym przemówieniu obecni ustawili fotele i zaczęli oglądać film. Udałow starał się nie patrzeć na ekran. Wyjął pudełko ze skorpionem, które cudem przetrwało podróże i przygody, i zaczął karmić zwierzątko okruszkami.

Po kilkunastu minutach film się skończył i pasikonik zapalił światło.

- Koniec - oznajmił. - Taśma jest pusta, a wspomnienie wróciło do właściciela.

- Przypomniałem sobie! - odezwał się Udałow. - I dziwię się, jak mogłem zapomnieć. To było o tym, jak poznaliśmy się z Kse-nią i jak o mało co się nie rozstaliśmy.

- Przeze mnie - uśmiechnął się Białosielski. - To ja byłem tym dryblasem, który ci groził. Ale nigdy bym cię nie pobił.

- Pamiętam - powiedział Udałow. - Wtedy już się tak nie przyjaźniliśmy.

- Zawsze rozdzielały nas kobiety - powiedział Białosielski, głaszcząc ramię przytulonej do niego Tulii.

- Kola, jak ci nie wstyd! - powiedziała z wyrzutem Ksenia. - Poczekałbyś do ślubu.

- Ech, Tori, Tori! - westchnął Udałow. - Zdrada nie przyniosła ci bogactwa. Złe uczynki nigdy się nie opłacają.

- Wiem - zgodził się pasikonik. - Życie nauczyło mnie wielu rzeczy. Teraz zarabiam pieniądze w uczciwy sposób.;

- Jak? - zapytał Udałow, który nie bardzo mu ufał.

- Odkupiłem od kupców film o walce Udałowa ze smokiem. Jutro wchodzi na ekrany wszystkich kin. Bilety wykupione na rok naprzód. Bez fałszywej skromności liczę, że zostanę milionerem.

- A czy to nie zaszkodzi mojej reputacji? - zapytał Udałow, który w ostatnich dniach zaczął się traktować dużo poważniej.

- Nic nie może zaszkodzić twojej reputacji - odpowiedział szczerze pasikonik. - Załatwić ci bilety na premierę?

- No, nie wiem... - zawahał się Udałow.

Popatrzył na Tulię, ale Tulia patrzyła na Kolę. Spojrzał na żonę.

- Idź, idź - powiedziała Ksenia z groźbą w głosie - ale potem nie masz po co wracać do domu.

- Wybacz, Tori - rzekł Udałow. - Nie będzie mnie na premierze. Praca.

Drzwi znowu się otworzyły. Wszedł grabarz w nowym kapeluszu i nowym chałacie.

- Możecie mi pogratulować - powiedział. - Wracam. Na mojej planecie skończył się strajk.

1978

Spis treści

ROZUM ZNIEWOLONY 2

DESANT KOSMICZNY 20

Ż

EGNAJ, SWOBODO 34

POKUSA 52

TECHNOLOGIA OPOWIADANIA 75

REJONOWE ZAWODY W DOMINO 89

TOTALNA KLĘSKA 96

Część druga 117

SZATY REKETIERA 128

OJCOWIE I DZIECI 142

SKÓRKA CZASU 150

PRZYBYSZE NIE DO NAS 172

NAPÓJ ZAPOMNIENIA 184

Ś

WIAT RÓWNOLEGLY 192

WIELCE SZANOWNY MIKROBIE 265